

sandra paretta
a zimą nastąpi lato

Kiedy dzban miodu za rojem pszczół poleci, Statki lądem popłyną, a wieże kościołów wynurzą się z fal, Gdy koń jeźdźca dosiądzie, a od traw krowy wymrą, Gdy kot przed myszą pod miotłą się schowa, A matka Cyganom za pół korony dziecko sprzeda, Gdy zniwiarzy zasypie śnieg, a zimą nastanie lato, Czy jeszcze ktoś zwątpi, że już na głowie stanął świat? Strofa z pieśni "The World turned upside down" z czasów wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych (1775-1783) Księga pierwsza Dezerter 1 Odtąd co tydzień słyszeliśmy nowe straszne opowieści o dezerterach, których pojmano, kiedy dotarli tu w przebraniu marynarzy, wędrownych rzemieślników czy nawet kobiet, ukryci w beczkach przewożonych statkami. Patrzyliśmy potem, jak 200 chłopów osiem razy tam i z powrotem przepędzano aż do utraty tchu pomiędzy dwuszeregiem siekających szpicrutami żołnierzy, a następnego dnia czekało ich to samo. Z Żywota biedaka w Tockenburgu, Zurych 1789 Drzewa wiśniowe zakwitły po raz wtóry, a ludzie po kątach szeptali, że w tym roku lato chyba się nie skończy. Stodoły pękały w szwach, choć z pół jeszcze nie pozwożono wszystkiego zboża. Kto posiał oziminę, z trwogą patrzył, jak bujnie rośnie, i wyczekiwał pierwszych przymrozków, które by ten nadzwyczajny wzrost przyhamowały. Rok 1775 od pierwszych dni niósł pomyślność, a gdy mimo upływu czasu stan ów się utrzymywał, w ludziach począł się budzić niepokój. Narzekali na ciągle błękitne niebo, na przygrzewające słońce, nie przyzwyczajeni, że czegoś można mieć w nadmiarze. Tu wszystko było na kredyt: majątek, wolność, nawet życie. Miało się je na chwilę, bez żadnych gwarancji na przyszłość. Nikt nie zapominał, że mieszka u stóp twierdzy, która jednocześnie jest koszarami i więzieniem. Królowała nad pagórkowatą krainą. Widoczny zewsząd szary stożkowaty hełm jej wieży groźnie wbijał się w błękit nieba, długi, przesuwający się cień o każdej porze dnia pozbawiał słońca inny kawałek okolicznych pól. Grupka wieśniaków zmierzających do dworu Haynau miała twierdzę Ziegenhain za plecami. Szli jeden za drugim przez łąki, choć nieopodal biegła droga; nie chcieli, by kurz osiadł im na butach, a ubrani byli odświętnie w czarne bluzy z wielkimi ołowianymi guzikami, czarne kapelusze z szerokim rondem, czarne chustki pod szyją. Z daleka było już widać kamienną bramę dworu tak wysoką, że wóz załadowany sianem mieścił się w niej bez trudu. Po bokach wisiały jeszcze wieńce dożynkowe, po jednym z każdego majątku oddanego w zastaw. W ostatnim roku znowu ich kilka przybyło i wszystko wskazywało na to, że wkrótce w okolicy nie będzie ani jednego chłopca gospodarującego na swoim, gdyż coraz mniej było takich, co jeszcze się nie zadłużyli. Przed bramą wieśniacy zdjęli kapelusze i powoli weszli w obsadzoną dębami aleję, którą zamykał główny budynek, osłonięty wysokimi drzewami o żółknących gdzieniedzie liściach. Dwór był parterowy, jedynie w środkowej części nadbudowany, w oknach odbijało się słońce. Po obu stronach alei, nieco oddalone, ciągnęły się zabudowania gospodarcze. Wieśniacy nie rozmawiali, nasłuchując hałasów, które przypominały im własne obejścia: krzyków bawiących się dzieci, gdakania kur, stuku młotków do klepania kos. To dodało im pewności siebie. Dumnie unieśli głowy i przyśpieszyli kroku, a sprawa, która ich tu przywiodła, nie wydawała się aż tak beznadziejna, żeby mieli odejść z kwitkiem. Już byli za bramą, gdy trzynastoletni Ambros z Felbinghofu krzyknął. Wszyscy stanęli jak wryci i odwrócili się: nad twierdzą Ziegenhain unosił się biały dym. Twarze wieśniaków spochmurniały. Z przymrużonymi oczami obserwowali, jak obłok dymu pęcznieje i rozplywa się po błękitnym czystym niebie. Od tej bieli wokół jakby pojaśniało. Wieśniacy wiedzieli, co ów dym nad wschodnim skrzydłem twierdzy oznacza, mimo to popatrzyli na siebie z niedowierzaniem - dezerterzy uciekali wiosną i latem, jesień nie była dla nich łaskawa, a jeśli ktoś uciekł w listopadzie, mógł być pewien, że czeka go taki sam los jak zajęce, na które zaczynał się teraz sezon. W zabudowaniach gospodarskich zapadła nagle cisza, sekundy do

odgłosu salwy wlokły się w nieskończoność. Wreszcie armatni huk odbił się potrójnym echem od zabudowań. Chłopi zamienili się w słuch. Bali się spojrzeć na siebie, jedynie Langhofbauer, barczyste chłopisko z siwymi włosami i rudą brodą, uderzył sękatą laską o ziemię i rzekł: - Co was tak zatkało? Jeszcze nie przywykliście? Na pewno ten, co wziął nogi za pas, ma więcej odwagi niż wy wszyscy razem. Mówię wam, jeśli o tej porze zdecydował się na ucieczkę, liczy na współnika, a ja mu życzę, żeby nie trafił na takiego tchórza jak wy. Nawet sobie boicie się pomagać! - Może lepiej chodźmy do domu? - odezwał się dzierżawca folwarku z Gleim. - Chcesz zawracać spod drzwi? - zachnął się Langhofbauer. - Wiesz, jacy są żandarmi - upierał się dzierżawca. - Posądzają nas, że pomagamy dezertantom. Langhofbauer wsparł się oburącz o laskę i patrzył każdemu po kolei w oczy. - Czy któryś z żandarmów pomógł wam kiedykolwiek przepędzić dziki z waszych pól? A może ze strachu jużście zapomnieli, po cośmy tu przyszli? Nikt się nie poruszył. Stali pochyleni, jak pod ogromnym ciężarem. - Róbcie, jak chcecie! - zdenerwował się Langhofbauer. - Pójdę do Haynau sam, ale nie myślcie sobie, że załatwię też wasze sprawy! Już miał odejść, lecz mimowolnie wraz z innymi spojrzął w kierunku twierdzy. Biała chmura prawie się rozpułyła, jej podobne do spłaszczonych poduszek resztki zachodni wiatr poroznosił daleko od twierdzy. W tym momencie znad wałów trysnęła nowa fontanna dymu i po kilku sekundach ciszę rozdarł potężny huk. - Chciałbym dostać choćby połowę tego prochu, co go niepotrzebnie wysadzają w powietrze - mruknął Langhofbauer i ruszył przed siebie. Pozostali niechętnie poszli za nim, po kilku krokach jednak znowu przystanęli. Na końcu dębowej alei ukazał się jeździec na długonagim gniadym rumaku, ubrany w rezedowy uniform Pierwszego Heskiego Regimentu Gwardyjskiego. Przemykał pomiędzy drzewami, co chwila niknąc za mieniącymi się kolorami jesieni liśćmi. Chłopi usunęli się na skraj alei, rozpoznawszy syna właściciela dworu. Na ich widok Claus Haynau zatrzymał konia tak gwałtownie, że wierzchowiec stanął dęba, a spod jego kopyt na osłupiałą grupę posypał się piach. W tumanach kurzu wymamrotali jakieś pozdrowienie. Claus poklepał rumaka po szyi. Jego delikatne rysy twarzy były charakterystyczne dla chłopców, którzy w dzieciństwie wiele chorowali. Pozostaje w nich ślad walki ze strachem, że na całe życie zostaną przykuci do łóżka. Z wyniosłą miną popatrzył na dzierżawców ojca. Po nazwisku nie znał żadnego, prócz Langhofbauera, który najdłużej gospodarował samodzielnie i bronił się przed długami, a który teraz wysunął się krok do przodu i rzekł: - Idziemy do pańskiego ojca, bo... - Wybraliście zły moment - przerwał mu Claus. - ...bo dziki całymi stadami plądrują nasze pola - nie ustępował chłop. Claus, nie zwracając na niego uwagi, liczył, ilu ich przyszło. Gdy weźmie się parobków, woźniców i łowczych, będzie trzydziestu sześciu. Z takim zastępem można już ruszyć za dezertatem... - Krzyku te bestie wcale się nie boją, kijami ich też nie przegonimy, potrzebne są strzelby... - Dalsze słowa Langhofbauera zagłuszył huk trzeciego wystrzału. - Macie tu na mnie czekać! - rozkazał Claus, zawracając w miejscu. - Przyprawdzą dla was konie i ruszamy za dezertatem. Jak go złapiemy, dostaniecie każdy po talarze, jasne? Nie czekając na odpowiedź, zniknął w stajniach, skąd po chwili słychać było wydawane przez niego polecenia. Langhofbauer zaklął siarczyście i mruknął: - Że też akurat jemu wpadliśmy w łapy! Robert Haynau przynajmniej by nas najpierw wysłuchał. - Obaj są jednakowi! - burknął dzierżawca folwarku. - Z Robertem mogę rozmawiać jak z własnym synem - nie dał się przekonać Langhofbauer. - Jaśnie panowie wszyscy traktują nas jak śmiecie. - Ale smakuje ci tytoń, który Robert sprowadza z Amsterdamu! - Gwiżdżę na jego tytoń! Niech się lepiej nie czepia mojej córki! - Problem, kto kogo się czepia... Ja w każdym razie nie słyszałem, żeby Robert Haynau ganiał za spódniczkami, a wiem coś o tym, bo mam w domu cały babiniec. Rozmowę przerwał świst batów, tętent końskich kopyt i pokrzykiwania chłopców stajennych, którzy nie mogli sobie poradzić z utrzymaniem rumaków na uprzęży. Claus rzucił chłopom pejcze i polecił: - Jazda! Na koń i za mną! Za chwilę zbieg może już być daleko. - Ale my musimy wracać, bo dziś mamy wartę - rzekł

spokojnie Langhofbauer. Claus uniósł się w strzemionach i zmierzył go piorunującym wzrokiem. - Sprzeciwiasz się moim rozkazom? Na koń! Znacie zarządzenie landgraфа? Kto odmawia udziału w pościgu za dezerterem, będzie uznany za jego współnika! Bez szemrania dosiedli koni, a Claus zaczął żałować, że obiecał im po talarze. Mieli go słuchać i wcale nie musiał im płacić. Popatrzył na nich z pogardą. Siedzą jak kloce! - pomyślał. - Toż to obraza dla konia! Zwłaszcza że przyprowadził im wierzchowce specjalnie przyuczone do polowania z nagonką. Nad twierdzą rozległ się czwarty wystrzał i jak poprzednie odbił się gromkim echem po okolicy. Na mimowolnych jeźdźcach zrobił jednak większe wrażenie, bo wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Tym razem dezerterem nie był zwykły żołnierz, ktoś im równy, gdyż skończyłoby się na trzech wystrzałach. Pięć oznacza, iż uciekł wyższy rangą. - A więc oficer! - mruknął pod nosem Langhofbauer i rzucił Clausowi wyzywające spojrzenie. Od strony stajni nadjechała grupka jeźdźców, którym Claus Haynau kazał ustawić się za sobą, a do chłopów zawołał: - Zamykacie kolumnę, i nie rozchodźcie mi się! Spiąwszy gniadego ostrogami, ruszył galopem. Nasłuchiwał, czy pozostali nadażają - stukot kopyt był w miarę regularny. Pochylił się nad końskim karkiem i pędził jak po ogień, byleby zdążyć przed strażą miejską z Ziegenhain i żołnierzami komendanta Ralla. To on musi dziś ująć dezertera. Wiatr rozwiewał mu włosy, chłodził twarz. Claus Haynau miał wrażenie, że płonie na nim skóra. 2 Powiew wiatru po każdym wystrzale pochylał trzciny porastające brzegi Czaplej Wyspy na rzece Schwalm. Przez chwilę słychać było szelest ostrych liści, zaraz zagłuszony zwielokrotnionym przez echo hukiem, i znowu zapadała cisza tak głęboka, że Robert Haynau słyszał bicie serca czapli, którą trzymał na kolanach. Przestraszony ptak, skuliwszy skrzydła i długą szyję, po każdym wybuchu tulił się do swojego opiekuna, który kończył mu obwiązywać cienkim bandażem nogę. Robert odgarnął z czoła gęste blond włosy i spojrzał w niebo. Na wschód powoli ciągnęły wydłużone obłoki białego dymu. Te, co powstały po piątym armatnim wystrzale, jakby chciały dogonić swoje starsze poprzedniczki. W dzieciństwie Robert bawił się drewnianą makietą twierdzy, a choć dawno zjadły ją na strychu korniki, pamiętał dokładnie każde przejście, każdą bramę, każde drzwi. Ciekawe, którędy dziś uciekł żołnierz? Mimo że twierdza służyła również za więzienie, znacznie częściej uciekali z niej żołnierze niż skazańcy, a przecież w tej okolicy, gdzie aż roiło się od bandytów, ci drudzy mieli większe szanse na przeżycie. Robert ostrożnie zdjął ptaka z kolan. Czapla mogła mieć około roku, jej szare pióra połyskiwały już czernią. Znalazł ją w trzcinach pierwszego dnia po swoim powrocie z Holandii; miała zranioną nogę. Teraz ostrożnie stanęła na zdrowej, rozpostarła skrzydła i jednym mocnym machnięciem wzbiła się w powietrze. Patrzył, jak sobie radzi. Chciałby tak jak ona wzbić się na wysokość uciekających po niebie obłoków dymu. Jakże szybko odnalazłby kryjówkę dezertera i udzielił mu pomocy! Wstał i ruszył przez trzciny. Przystań przewoźnika znajdowała się na północnym cyplu półwyspu. Robert odgarniał nisko zwisające gałęzie, skakał przez omszone pnie powalonych drzew, starając się nie czynić zbytniego hałasu, choć w gruncie rzeczy nic go do tego nie zmuszało. Wyjął z kieszeni rogowy gwizdek i umówionym sygnałem wezwał przewoźnika, by czym prędzej przybył do przystani. Robert zerknął w stronę twierdzy - na wschodnim szańcu, gdzie stała armata sygnałowa, nie było nikogo, błękitne sylwetki kanonierów zniknęły, a więc zaczęło się polowanie i setki mężczyzn przeczesują teraz okoliczne lasy u stóp twierdzy, brzegi Schwalmu, żołnierze obsadzają każdy most, każdą kładkę, każde skrzyżowanie dróg. Nad rzeką kobiety pośpiesznie zbierają do koszów pranie i biegną w stronę miasta Ziegenhain, gdzie strażę zamykają już bramy, dwaj dobosze biją w ogromne bębny i zwołują mieszkańców do obowiązkowej wachty. Za nimi biegnie czereda rozkrzyczanej dzieciarni, na którą podenerwowani dorośli w ogóle nie zwracają uwagi. Robertowi zamieszanie to zawsze przypominało klaunów obwieszczających przybycie wędrownego cyrku, a słowa "dezerter" i "uliczka" brzmiały dla niego identycznie jak "zapasy z niedźwiedziem" lub "taniec na linie". Ale pewnego dnia z ciekawości pobiegł do twierdzy.

Miał wtedy pięć lat, a jeszcze dziś - osiemnaście lat później - dokładnie pamięta świst leszczynowych różg masakrujących plecy pojmanego dezertera i odczuwa ból, jakby to jego smagano. Od strony rzeki doleciało charakterystyczne klaskanie wiosł. Robert wszedł na wąską drewnianą kładkę, wspartą jedynie na dwóch palach. Z trzciny wyłoniło się czółno, przewoźnik odłożył wiosło i kierował łódź drągiem. Ludolf nie był wysoki. W sięgających powyżej kolan butach, szarozielonych drelichowych spodniach i wełnianej bluzie, której nie zdejmował nawet latem, wyglądał niepozornie. W lewym uchu błyszczał złoty kolczyk - talizman przeciwko chorobom, jak mawiał. - Szybko się uwinąłeś! - zawołał Robert z daleka. - Jak daliście sygnał, byłem już w połowie rzeki - odparł, przybijając do przystani. - Podaj mi drogę. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Na twarzy Roberta pojawił się grymas, który ktoś postronny mógłby wziąć za uśmiech, ale Ludolf dokładnie wiedział, co on oznacza. Trzciny rozchyliły się z szelestem, spłoszone ryby rozpierzchły się, połyskując łuskami we wszystkich kolorach tęczy. Robert spojrział w górę rzeki, gdzie na falach kołysało się odbicie twierdzy i załamane smugi słońca. - Wydawałoby się, że oficer ma sto innych okazji, żeby zdezerterować - odezwał się Robert. - Jakie szanse mu dajesz? - Wszystko zależy, czy uda mu się dotrzeć do zmroku - odpowiedział przewoźnik, wiosłując zamaszystymi ruchami. Skąd w jego mizernym ciele bierze się tyle siły? - Pamiętasz przynajmniej, ilu już przewiozłeś na drugi brzeg Schwalmu? - spytał Robert, obserwując go bacznie. - Ostatnio znacznie mniej. Rall jest surowym komendantem, a "uliczka" u niego to tyle co egzekucja, więc nawet najodważniejsi dwa razy się zastanowią, zanim uciekną. Kładka zakolebała się pod ich ciężarem. Chwilę potem, wlokąc za sobą sieci, wspinali się po brzegu do domu przewoźnika. Ludolf znał Roberta od dziecka, a jego ojca, złotnika Roberta Skelnika, jeszcze wcześniej, i wiedział, co teraz młody Haynau czuje. Rzucił sieci na ziemię i uśmiechnął się. - Dobrze, że nie macie teraz konia, Robercie, bo to nie wasza sprawa - mówił, pochyliwszy się, by rozplątać sieć. - Nie jesteście w końcu oficerem, jak wasz przyrodni brat, lecz kupcem, jak wasz ojczym. W mundurze byłoby wam nie do twarzy. - Wyprostował się i dodał: - Poza tym nie lubicie słuchać rozkazów. - Jakbym słyszał moją matkę, gdy ma do mnie o coś żal! Od traktu do Kassel, biegnącego jakieś osiemdziesiąt kroków dalej na północ, doleciał turkot kół, ale przez gęste zarośla wozu jeszcze nie było widać. - No popatrz! Mówiłeś, że nie mam konia! Wystarczy, że bardzo czegoś pragnę, a zaraz się spełnia! - zawołał Robert. - Nie byłbym taki pewny. Sądząc po odgłosach kopyt, to raczej zaprzęg wołów. Na pewno nikt miejscowy. Robert zobaczył wóz na wysokich kołach, nakryty jasnozieloną plandeką, i rzucił się w jego stronę na przełaj, przez łąkę. Ludolf miał rację: to był obcy. Tu nikt nie używa podobnych wehikułów, ni to kupieckiego wozu, ni cyrkowej karety. Woźnica na koźle mógł być i kupcem, i klaunem w jednej osobie. Pod rozpiętym płaszczem miał pstrokaty cudzoziemski strój, lecz to Roberta najmniej zajmowało - wołał przyjrzeć się koniowi. Wyciągnięty łeb, grzbiet jak deska, wyraźnie utykał na lewą przednią nogę. Kości obciążone skórą, a całość jakby niezbyt dokładnie wypchana pakułami, zresztą zmierzwiiona sierść i jej barwa też przypominała wymłócone konopie. Robert stanął na środku drogi i zatrzymał dziwny zaprzęg. - Czego chcecie? - zawołał woźnica. - Dlaczego mnie zatrzymujecie? - próbował zachować groźny ton, lecz głos mu drżał. - Papiery mam w porządku. - Wyjął z torby jakieś dokumenty. - O, pieczęć heskich celników jeszcze nie wyschła! Nazywam się Baltazar Plötz, handluję rękawicami, mieszkam w Anif, koło Salzburga. Jednakże młody napastnik nawet nie spojrział na dokumenty i w głowie biednego kupca kotłowały się wspomnienia o wszystkich napadach, o których ostatnio słyszał. A uprzedzano go, aby nie jechał do tej bandyckiej, protestanckiej Hesji! - Jeżeli sprzedawane rękawice są w takim stanie jak twój koń, to założę się, że nie mają kciuków! - zaśmiał się Robert. Baltazar Plötz pomyślał, że z opresji najlepiej wywinąć się dowcipem, co zresztą zawsze skutkowało, bo poza zmysłem kupieckim i strachliwością odznaczał się wielką skłonnością do żartów. - Nie podoba się wam moja Ksenia? Prawda, że

kuleje, ale taka się już urodziła. Lepszej jednak nie ma na świecie. Nie cierpi chodzić w zaprzęgu, bo przyzwyczała się do jazdy wierzchem, i nie uwierzycie, panie, ale w galopie nie ma sobie równych. Jak wskoczy do wody, to pływa jak ryba, i tak kluczy, że żadna kula się jej nie ima. Ale, panie, co to robicie?! Kilkoma zręcznymi ruchami Robert wyprzągnął kobyłę z wozu. - Jak ja się dostanę do Kassel? - krzyknął kupiec i zamilkł, gdyż część uprzęży leżała już na bruku. Robert wskoczył na konia i pokazał na zachód. - Idź w tamtą stronę, a dojdiesz do dworu Haynau. Spytaj o panią domu i powiedz, że ja cię przysyłam. - Kim jesteście, panie? - zawołał kupiec, lecz Robert bez słowa zniknął szybko w zaroślach przy drodze. 3 Kobyła handlarza miała podkute tylko trzy kopyta, czwarta noga zakończona była nieforemną zrogowaciałą racicą. Jazda na początku była żalosna, ale Robert nawet nie próbował kierować koniem - niech najpierw się przyzwyczai, że nie idzie w uprzęży. Wkrótce rzeczywiście grzbiet się rozluźnił, kark opadł niżej. Koń potrząsnął grzywą i teraz mógł albo rzucić się na ziemię, albo ruszyć galopem. Robert przygotował się na obie możliwości. Ruszył, a Robert w ostatniej chwili zdążył się pochylić i objąć szyję kobyły, która tryumfująco pruła przed siebie. W życiu jeszcze nie pędził tak szybko, nawet na polowaniu z nagonką, gdzie też gnało się na złamanie karku. Zjechał z drogi i na przełaj ruszył w stronę twierdzy, chowając się za zaroślami. Nie miał żadnego planu i gdy połąną drogą objechał wzgórze od zachodu, zatrzymał kobyłę. Zareagowała na najłżejsze naciśnięcie tydek. Ukrył ją w gęstwinie i rozejrzał się. Trafiał we właściwy moment. Między drzewami na polnej drodze unosił się tuman kurzu, zbliżający się szybko w jego stronę. Po chwili widać już było pierwszy koński łeb i zielonkawy mundur jeźdźca, za nim całą kawalkadę. Robert wspinał się na rozłożysty klon i ukrył wśród czerwieniejącego listowia. Oddział był tuż-tuż. Dowodzący wyraźnie wyprzedzał pozostałych, wiatr rozwiewał mu ciemne włosy. - Claus! - mruknął Robert. Był pewien, że przyrodni brat wróci z Kassel dopiero wieczorem, a tymczasem już jest! Robert poczuł się nagle jak gracz w chwili odsłaniania kart lub wysypywania kości z kubka. Brat przejechał obok niego na wyciągnięcie ręki, za nim reszta jeźdźców. Robert rozejrzał się i zauważył gałąź sięgającą nad drogę. Jeden za drugim przejeżdżali pod nią parobcy, woźnice i łowczy z dworu Haynau - razem dwudziestu. Zapowiadała się ciekawa gra: jeden przeciwko dwudziestu! Nadjechali jeszcze chłopci, ale ich można nie liczyć. Dezerter mógłby siedzieć na skraju drogi, a oni obojętnie by go minęli. Na końcu włókł się samotnie trzynastoletni Ambros z Felbinghofu. Robert poczekał, aż chłopiec znajdzie się dokładnie pod gałęzią, wychylił się i złapawszy go wpół, wciągnął na drzewo. Zrobił to tak szybko, że dzieciak nie zdążył krzyknąć. Kiedy zobaczył porywacza, oczy radośnie mu błysnęły. - Dokąd wszyscy jedziecie? - spytał Robert. - Wasz brat nas zgarnął. Polujemy na dezertera. - Powiedział, gdzie zamierza go szukać? - Nie mówił. - Złap swojego konia i dołącz do nich, bo nie dostaniesz nagrody. Mnie oczywiście nie widziałeś, jasne? Robert popatrzył za znikającymi wśród drzew jeźdźcami. Hm, jeden przeciwko trzydziestu dwóm... Pozostałe oddziały go nie interesują, ważne, żeby przechytrzyć brata! Zeskoczył na ziemię, a kobyła, o dziwo, stawiała się sama. Poglaskał jej zmierzwiony bok. Gdyby ją porządnie wyszczotkować, okazałaby się niebrzydkim siwkim! Przez godzinę był niemal wszędzie. Zajrzał do Jastrzębiego Lasu, gdzie czatowała straż miejska, chwilę później na Wilczym Polu napotkał patrol żołnierzy komendanta Ralla. Po rozmowie z Robertem straż podzieliła się na dwie drużyny - jedna ruszyła w stronę smolarni, druga ku kamieniołomom. Dowódca oddziału Ralla zasugerował, że warto by okrążyć Jastrzębi Las. Napotkanych żandarmów też naprowadził na fałszywy trop i był niemal pewny, że do zmroku nie wrócą w pobliże twierdzy, gdzie prawdopodobnie jeszcze ukrywa się dezerter. Tak więc za dnia na pewno nikt go nie znajdzie, a o to głównie chodziło Robertowi. Spokojnie mógł wracać do domu, gdzie czekała na niego kolacja, zapowiadana partia bilarda z bratem i godzinka odpoczynku z matką w przytulnym pokoju przy rozpalonym kominku. Jechał przez las. Zachodzące słońce rzucało długie cienie i jasno przeświecało pomiędzy konarami. Nagle w

jednej ze świetlistych szczelin pojawił się jakiś mroczny kształt i zaraz zniknął. Robert ruszył w tamtym kierunku, okrążył polanę i w pełnym galopie wpadł na człowieka, którym okazał się najmita Klemm, zamieszkujący drewnianą chatę pod lasem. - Aleście mnie przestraszyli, panie! - zawołał najmita. - Chyba zmieni się pogoda, bo znowu nie słyszę na lewe ucho. - Człowieczek uśmiechał się z miną przerażonego cielęcica. Miał na sobie za duże ubranie i wygnieciony kapelusz ozdobiony sójczymi piórami. Obok stał wózek z dyszlem załadowany leszczynowymi prętami, długimi na cztery łokcie i grubymi na palec. - Nie obawiasz się, że trochę przesadziłeś? - spytał Robert, wskazując na różgi. - Jak nie złapią dezterera, to dla przyjemności żołnierze mogą złupić skórę tobie. Najmita bezradnie opuścił rękę, w której trzymał zakrzywiony nóż. - Rall żąda, aby były świeże - mruknął pod nosem. - Najwyżej poleżą sobie w słonej wodzie. Przecież jak ja nie natnę różg, to zrobi to ktoś inny. Na początku żona też nie chciała tych pieniędzy od Ralla i przez cały dzień nie odzywała się do mnie, ale jak poszło jej w nogi i nie może chodzić nad rzekę prac, już się nie bocy. - Nie mam do ciebie żalu, Klemm - przerwał mu Robert. Najmita kopnął ze złością wózek, który zaczął się toczyć po zboczu w kierunku jego niskiej chaty, i powlókł się za nim. - Wszyscy tak mówią, a patrzą na mnie jak na trędowatego. Nikt za darmo nie da mi nawet szeląga, więc muszę patrzeć, z czego żyć, i nie mogę przebierać. - Doszedłszy do chaty, otworzył drzwi stojącej obok szopy. - Mam dla was te króliki, któreście, panie, zamówili przed wyjazdem do Holandii. Możecie je zabrać. - Zniknął w ciemnym wnętrzu i po chwili wyszedł z dwiema wiklinowymi klatkami. - Białe z czerwonymi oczami, jakieście chcieli. Z jednego miotu i mają cztery tygodnie. Robert wyjął jednego kłapoucha, który skulił się w jego dłoni i ostrożnie ją obwąchiwał. - Dla kogo będą? - chciał wiedzieć najmita. - Dla koźlarza Louisa z wozowni. - Och, dla tego czorta?! Chciałbym wiedzieć, jak on to robi: na wiosnę wypędza najędzniejsze stadko kóz, a jesienią wraca z największym i najlepiej wypasionym. Z tych dwóch króli też wkrótce będzie miał cały tuzin! - Co za nie chcesz? - spytał Robert. - Nic! - odparł Klemm tak zdecydowanie, jakby poczuł się urażony. Robert podał mu dwa talary. - Weź dla wnuków. Jak następnym razem doktor Crusius przyjedzie do Haynau, przyślę go do twojej żony. Pamiętasz naszego starego łowczego? Prawie się nie mógł ruszać, a po kuracji doktora znów biega jak chart. Najmita wymamrotał coś pod nosem i odszedł. Robert związał obie klatki, przerzucił przez grzbiet kobyły i wsiadł. Z trudem powstrzymywał szkapę, by nie ruszyła galopem. Spojrzał w stronę rysujących się na horyzoncie wzgórz. Nie śpieszył się. Podziwiał zachodzące słońce, cieszył się, że przemierza ścieżki, którymi jeździł jako chłopiec, w tym samym zielonkawym ubraniu, które choć zdarte i połatane, miał na sobie również dziś. Zawsze tak się włóczył po okolicy ze trzy tygodnie, a potem z przyjemnością wracał do Amsterdamu i Londynu na giełdy herbaty i tytoniu. Zza drzew wyłoniła się wieża wozowni, a po chwili ukazało się całe obejście: kryte gontem czworaki z małymi oknami, stodoły ze szpalerami winorośli aż po dach, gołębniki. Sielski obrazek, jednakże dziś zrobił na Robercie dziwne wrażenie. No tak! Panuje niezwykła cisza, a przecież normalnie od rana do wieczora jest tu hałas, słyszeć stuk młotków, piłowanie, heblowanie, syk wody w kadziach, do których kołodzieje wrzucają koła po nałożeniu rozżarzonych obręczy. Podjechał do bramy, przy której stali dwaj pachołkowie ze strzelbami w ręce. Na odgłos kroków odwrócili się i widząc Roberta, odetchnęli z ulgą. Opuściwszy broń, zrobili mu przejście. Cały dom był obstawiony, przed każdymi drzwiami, pod każdym oknem czuwał ktoś z bronią, a Claus Haynau z konia dyrygował swoimi ludźmi, półgłosem wydając rozkazy. Na widok brata skrzywił się z niesmakiem. Z dwiema klatkami na wynędzniałej kobyłę, w zdartych skórzanych butach i połatanym drelichu Robert wyglądał żałośnie i przynosił bratu wstyd. Chyba robił mu to na złość. Jednakże ludzie odnosili się do oberwańca z niebywałą sympatią, podczas gdy Clausa traktowali co najwyżej obojętnie. I tak było zawsze. Matkę potrafił zrozumieć, ale dlaczego ojczym kocha Roberta bardziej niż własnego syna? W końcu Robert jest bękartem! Jego ojciec, złotnik Skelnik, był oszustem,

który wyprowadził w pole i okradł landgrafa, a później uciekł, zostawiając młodą żonę w ciąży! Claus uparcie wracał do tych myśli, choć w głębi duszy się ich wstydził, lecz nienawiść do przyrodniego brata była silniejsza niż rozsądek. Patrzyli teraz sobie w oczy, nie zsiadając z koni. Robert od razu się domyślił, o co tu chodzi, ale udał zaskoczonego, choć rzeczywiście nie przypuszczał, że jego "gra w dezertera" przybierze tak nieoczekiwany obrót. Przez moment zastanawiał się nawet, czy nie zrezygnować. - A to niespodzianka! - zaczął. - Jeżeli potrzebujesz jeszcze jednego naganiacza, to chętnie się przyłączę. Claus nie dorównywał bratu bystrością, musiał się zastanowić, co mu odpowiedzieć. - W zasadzie nie ma już do czego - burknął w końcu niechętnie. - Nie wiedziałem, że wrócisz z Kassel po południu - rzekł Robert; wskazując rozstawionych na czatach wieśniaków, dodał: - Z tego, co widzę, przybyłem w samą porę! - Może, ale nie potrzebuję twojej pomocy. W tym momencie ze stodoły doleciał okrzyk: "Mamy go! Dawajcie drabiny! Mógł się ukryć tylko tu!" Claus skinął ręką i do stodoły podbiegło sześciu mężczyzn. Pozostali podnieśli karabiny do strzału, cicho trzasnęły zamki i wszyscy jak jeden mąż wycelowali lufy we wrota stodoły. Lewe skrzydło szybko zamknęło się za szóstką wchodzących, prawe pozostało otwarte na oścież. Dochodzący ze stodoły stłumiony gwar nagle umilkł i słychać było tylko szelest przerzucanej słomy i siana. Robert próbował odgadnąć, co tam się dzieje. Nie domknięte skrzydło otworzyło się z hałasem, za nim w tumanie szarego pyłu wysypała się lawina siana. Mężczyźni na dziedzińcu wstrzymali oddech, ci zaś, których do nagonki zaciągnięto siłą, pomyśleli z ulgą, że zaraz będzie po wszystkim i pozwolą im wrócić do domów. Nikt nie zwrócił uwagi na chłopca, który wysliznął się ze stodoły i mimo ciężkich drewniaków biegł zwinnie jak lis. Kozłarz Louis na swoje trzynaście lat był wyjątkowo wyrośnięty, jedynie dziecięca twarz i długie ciemne włosy zdradzały, że jest jeszcze chłopcem. Rozejrzawszy się po podwórzu, natychmiast dostrzegł Roberta. W kilku susach znalazł się przy nim. - Jednak nie zapomniałeś! - krzyczał, wspinając się na palce, by zajrzeć do klatek. Wyciągnął ręce i poprosił: - Pozwól mi zanieść je samemu! Robert zeskoczył z konia, zdjął klatki i zawiesił na ramionach Louisa. Wreszcie chłopiec mógł zajrzeć do środka. - O, takie jak chciałem! Białe z czerwonymi oczami! - szepnął uradowany. - Przygotowałeś już dla nich miejsce? - uśmiechnął się Robert. Claus nie mógł dłużej tego znieść. - Zjeżdżaj! - ryknął na chłopca. - Bo poprzetrącam ci gnaty! Louis przytulił klatki i rzekł: - Mam doskonałe miejsce! Chodź, to ci pokażę. Ze stodoły doleciał głośny okrzyk: - Pozabierać wszystkie drabiny! Długo pod kalenicą nie posiedzi... Chłopiec wziął Roberta za rękę i zaprowadził do szopy, w której stały karety przywiezione do naprawy. Przesuwane drzwi nie były domknięte. - Sądziś, że tu będą miały dobrze? - spytał Louis z wahaniem. Robert zajrzał do środka. - Ze wszystkich kątów ciągnie jak diabli. Poprzeziębają się - stwierdził i zobaczył, że chłopiec z wypiekami na twarzy pokazuje jeden z powozów i zdenerwowany zerka na pilnującego drzwi czeladnika uzbrojonego w karabin. Na co dzień czeladnik Valentin był malarzem, a ze sposobu, w jaki trzymał broń, wynikało, że nie ma najmniejszej ochoty jej użyć. Na widok klatek z królikami uśmiechnął się, zaraz jednak odwrócił się w stronę drzwi, z dworu bowiem dobiegł rozkaz Clausa Haynaua. - Ta kareta! Zajrzyj do środka! - zdążył szepnąć Louis. Robert czuł, jak po plecach przechodzą mu ciarki. Wyciągnął rękę, która ciążyła mu, jakby była z ołowiu, i położył na posrebrzanej klamce powozu, po czym spojrzął na Louisa. Chłopiec skinął głową. Oczy Roberta nie przywykły jeszcze do ciemności. Z trudem mógł dostrzec purpurowe obicie wnętrza karety. Na siedzeniu przy oknie siedział mężczyzna - słaby promyk światła wyraźnie oświetlał przedziałek w jego gęstych ciemnoblonde włosach. Z kamienną, nieporuszoną twarzą patrzył wprost na Roberta. W jego oczach nie było cienia strachu czy zaskoczenia. Dezerterski siedział spokojnie, jak zwyczajny podróżny oczekujący na odjazd dyliżansu, i spoglądał na Roberta jak na osobę, która też zarezerwowała miejsce w powozie. Na odgłos zbliżających się kroków Robert szybko zatrzasnął drzwi karety i roześmiał się. - W powozie możesz trzymać koty, ale nie króliki! - rzekł do Louisa, w chwili gdy w progu

powozowni stanął Valentin. - No, jak wam się podoba herb? - spytał malarz. Robert cofnął się o krok. Na drzwiach karety widniał szlachecki herb Haynauów, który landgraf niedawno im nadał. Przedstawiał na ciemnoczerwonym tle srebrne koło ze skrzyżowanymi mieczami zamiast szprych. Valentin wykorzystał okazję, by odstawić karabin, szybkim ruchem wyjął przesuwane drzwi z karety i rzekł: - Musicie to zobaczyć w świetle. Napracowałem się jak durny, bo stary lak był nie do zdarcia, ale się zapałem. - Obszedł karete z drugiej strony. - Bo jak się dobrze nie zagruntuje, to srebro po tygodniu czernieje. Trzeba je położyć na czerwień, wtedy ma blask ognia, a na słońcu błyszczy piękniej niż złoto. - Przerwał nagle i nieco zażenowany wyciągnął do Roberta rękę. - Zapomniałem pogratulować - wyjąkał. - To szlachectwo to także dla nas zaszczyt. Praca u pana barona to nie byle co!... A niektórzy już się zakładają, że Haynauowie dojdą do jeszcze wyższych tytułów. - Niezależnie od tego, Haynauowie zawsze pozostaną sobą - powiedział z naciskiem Robert, wprawiając w zakłopotanie czeladnika, który by ukryć zdenerwowanie, delikatnie głąskał herb. Robert tymczasem rozmyślał, jak pozbyć się Valentina, nie odchodząc od karety, do której coś ciągnęło go jak magnes. Nie znalazłszy żadnego sposobu, wsadził rękę do kieszeni i skierował się do wyjścia. Valentin ruszył za nim. Wyszli na dziedziniec. Przed domem i stajniami zdjęto już strażę, gdyż Claus chciał posłać jak najwięcej ludzi do stodoły. Stał w pobliżu wrót, a jego wierzchowiec nerwowo przebierał nogami. - Potrzebuję dwóch koni - rzekł Robert do Valentina. - Do karety? Teraz? Chcecie ją zawieźć do Haynau? - A co, boisz się, że uszkodzę lak? - Skądże! Trzy warstwy, każda suszona przez dwanaście godzin... Tak nawet łodzi nikt nie maluje! No to skocz po te konie! Valentin musiał oczywiście sam zaprząć konie i dumny jak paw, robił to powoli, aby widziało go jak najwięcej osób. Robert nie miał zamiaru go popędzać. Podjął decyzję i czuł się jak gracz, który odkrył już swoje atuty, lecz nie jest jeszcze pewny, czy wystarczą, by wygrać. Siedział na koźle i gawędził z Louistem. - Tylko ich nie przekarmiaj! Trochę mleczy, sałaty i marchewki - tę lubią najbardziej. - Założyłem dla nich ogródek. Ojciec dał mi zagon za to, że wyłapałem na polu więcej kretów niż wynajęty "szczurołap"! Valentin podał Robertowi cugle i jeszcze raz z dumą popatrzył na karete. - Z herbem wygląda o wiele ładniej, prawda? - spytał, a nie słysząc odpowiedzi, schylił się, by usunąć klocki spod kół. - Na dziedzińcu stoi koń, na którym przyjechałem. Przywiąż mi go z tyłu karety - rzekł Robert. Valentin wziął stojący pod ścianą karabin i ruszył po kobyłę. Robert walczył z pragnieniem, by zatrzymać karete i zajrzeć do wnętrza, nie mógł bowiem sobie przypomnieć, jak wygląda mężczyzna, którego wiezie. Nie wiedział, czy jest stary, czy młody, jak jest ubrany, zapamiętał tylko te jego pozbawione strachu oczy. Z góry założył, że dezertier nie zrobi nic, co mogłoby zdradzić jego obecność, i śmiało wjechał na plac. Ze stodoły dochodził chrzęst przrzucanego siana, przed otwartymi wrotami stało półkolem ośmiu chłopów z lufami skierowanymi do wnętrza. Claus nie miał najmniejszej ochoty zajmować się teraz bratem, gdy wszakże zobaczył go na koźle, nie wytrzymał. - Co ty znowu wyprawiasz? - spytał ze złością. Robert wstrzymał konie. - Gniewasz się, że jadę nią pierwszy? Pomyślałem sobie, że sprawię ojcu radość, gdy przyprowadzę karete już dziś. - Mógł ją zaprowadzić ktoś z wozowni - burknął Claus po chwili, upewniwszy się, że brat nie szykuje mu jakiegoś psikusy. - Boisz się, że ją zadrapię po drodze? - spytał Robert. - Mam nadzieję, że wrócisz na czas do domu. Pamiętasz o partyjce bilarda, którą mamy rozegrać przed kolacją? - Zrobię, co będę mógł - odparł Claus zniecierpliwiony. Musiał mocno szarpać cugłami, by utrzymać swego wierzchowca, który z pokrytym pianą pyskiem niespokojnie rwał się do biegu. Valentin tymczasem przywiązał szkapę handlarza z tyłu karety i zawołał: - Gotowe! Możecie jechać! Robert lekko uderzył lejcami o grzbiety koni i ruszył, ukłoniwszy się jeszcze bratu. Louis biegł aż do bramy, a potem stał i patrzył, dopóki nie stracił karety z oczu. 4 Oświetlone okna chaty przewoźnika jarzyły się za konarami otaczających ogród olch, na których porozwieszano sieci. Z daleka czuć było dym wymieszany z zapachem smażonych ryb. Robert, zjechawszy

z drogi na łąkę opadającą ku brzegowi Schwalmu, z wielką wprawą kierował po wybojach rozpedzoną karetą. Ludolf przypuszczał, że Robert jeszcze dziś się zjawi - w pogotowiu leżało zawiniątko z ubraniami i worek z prowiantem - lecz na widok sunącej po łące karety przeraził się i wybiegł naprzeciw. - Ukryjcie się przynajmniej pod drzewami, Robercie! Nowiutką karetę każdy zapamięta, a herb nawet ślepcowi rzuci się w oczy! - I co z tego? Jak wyjeżdżałem z wozowni, widziało mnie z trzydziestu ludzi, wśród nich mój brat! Myślisz, że jestem aż tak nieostrożny? - Szaleniec! Kiedyś to się źle skończy! Chyba nie sprzątnęliście go bratu sprzed nosa? - Powiedz lepiej, co tam smażysz na ruszcie? - spytał Robert, przywiązując lejce. - Barweny, ale mam też dwa spore pstrągi. - Spytaj więc naszego gościa, co woli. Przewoźnik po krótkim wahaniu podszedł do karety. Robert, dumny z siebie, nie ruszał się z kozła, nasłuchując, co dzieje się obok. Skrzypnęły drzwi, lecz dalej było tak cicho, że Robert słyszał bicie własnego serca. - Mogłem przypuszczać, że znów sobie ze mnie żartujecie - odezwał się przewoźnik. - A ja za każdym razem daję się nabrać... Robert jednym susem zeskoczył z kozła, odsunął Ludolfa od drzwi i zajrzał do karety. Na purpurowym siedzeniu nie było nikogo! Oszołomiony przysiadł na stopniu. Po chwili uśmiechnął się. - Wiesz, jak ja prowadzę; odważyłbyś się wyskoczyć z karety w biegu? - Wstał i pokazał na tapicerowaną ławę. - O, w tym miejscu siedział! Dezerter!... Rozumiesz? Wywiozłem go z wozowni, ale on widać mi nie zaufał. Raz tylko zwolniłem, cały czas pędziłem jak szalony... Kiedy on wyskoczył? Ludolf zatrzasnął drzwi karety i pokiwał głową. - Może ten herb was przywoła do rozsądku, Robercie! - mruknął. - Niewątpliwie przeszedł dziś próbę ogniową. Przynieś mi wody i jakieś szmaty. Przewoźnik, wpatrując się w herb, rzekł niby do siebie: - Daleko doszedł pan baron Haynau! Dzięki niemu i wy dostaliście szlachectwo, Robercie! - Mówisz tak, jakbym dostał jakiejś choroby... - I to w nowiutkiej karecie! Wy już się nie zmienicie! - A powinienem? Ludolf popatrzył mu w oczy. - Nawet nie wiecie, jak bardzo jesteście podobni do ojca. Kiedy się śmialiście, miałem wrażenie, że słyszę Roberta Skelnika... Boję się tylko, że i wy kiedyś przeholujecie, jak on. - Na aparaturze ojca gotowałem co najwyżej wrzątek na herbatę albo jajecznicę. Złotnikiem nigdy nie zostanę, tego możesz być pewien. - Nie to miałem na myśli - mruknął stary i poszedł do chaty po wodę, szmaty i szczotki. Razem zaczęli myć karetę z kurzu i błota. W pewnym momencie Robert znieruchomiał i spytał: - Pomagałeś mojemu ojcu w ucieczce, Ludolf? - Miał przecież Soermana! Poradzili sobie i nie potrzebowali niczyjej pomocy. - Ale łódkę odnaleziono na wyspie; ktoś musiał ją przyprowadzić z powrotem. - Gdyby wasz ojciec mnie o to poprosił, na pewno bym ją odprowadził, ale on nawet mnie nie ufał. - Może nie chciał cię wplątywać w tę sprawę? - Nie pytałem, w końcu co za różnica... Może to i dobrze, że za dużo nie wiedziałem, i dobrze, że teraz ten dezerter się ulotnił. Robert nie podjął tematu. Szorując karetę, myślał o przeszłości. W tym miejscu stał kiedyś jego ojciec i też rozmawiał z Ludolfem... Do tej pory ojciec, którego Robert nie znał wcale, był dla niego tylko nazwiskiem "Robert Skelnik" i krótką kroniką jego życia. Fakt, że ojciec nie żyje, wystarczał Robertowi za odpowiedź na wszystkie pytania. Teraz nagle chciał wiedzieć więcej. Popatrzył na Czaplą Wyspę i spytał: - Kiedy stamtąd uciekł, też był listopad, prawda? Ludolf skinął głową i dalej polerował karetę. - Przestań już, wystarczy! - rzekł Robert. - Jak to wtedy naprawdę było? Nigdy mi dokładnie nie opowiadałeś. - Bo nigdy nie pytałeś! - odparł przewoźnik, zwracając się do Roberta przez "ty", co rzadko mu się zdarzało. - To był zły rok. Całe lato padało, żniwa były marne, a w listopadzie przyszły siarczyste mrozy, ale bez śniegu. Ziemia zmarzła na kość i było po oziminach. - Ludolf podwinął rękawy swojej wełnianej bluzy. - Twój ojciec opuścił wyspę nocą, a nad ranem spadł pierwszy śnieg i zatarał wszelkie ślady. Łódź na przystani wyglądała jak przysypana cukrem. - Zamilkł, jakby potrzebował czasu na uporządkowanie wspomnień z dalekiej przeszłości. - Potem cały dzień wiał wiatr z południowego zachodu. Wiem, bo patrzyłem na dym unoszący się z laboratorium na wyspie. Przestało dymić dopiero po dwóch dniach, ale to mnie nie zdziwiło,

bo czasami wygaszał piec na kilka godzin. Kiedy wieczorem dym się nie pojawił, zaniepokoiłem się. - Z zamyśloną twarzą Ludolf przeczesywał pamięć. - W piecu znaleziono dziwne popioły... Urzędnicy z Kassel stwierdzili, że złotnik przechytrzył wszystkich i zapalił w piecu coś, co dymiło czterdzieści osiem godzin. W tym czasie on był już daleko. - Myślisz, że on rzeczywiście był w stanie wyprodukować złoto? Ludolf wzruszył ramionami. - Sam nie wiem, czy twój ojciec był oszustem, czy też geniuszem, który potrafił zadowolić każdego. To stary landgraf sprowadził Roberta Skelnika do Kassel, gdyż wtenczas wszyscy książęta marzyli o wyprodukowaniu własnego złota. To szło jak zaraza! Ale nasz stary książę był sprytny jak lis i nie wierzył w cuda. Dowiedział się, że twój ojciec umie podrabiać złote monety - z jednej prawdziwej wytapiał cztery fałszywe, nie różniące się ani kolorem, ani ciężarem. Podobno landgraf dał mu sześćdziesiąt tysięcy prawdziwych złotych talarów i oczekiwał, że dostanie cztery razy tyle. W tym celu zbudował dla niego na wyspie laboratorium. Twój ojciec miał jednak lepszy pomysł - zgarnął złoto i czmychnął! Landgraf zataił całą sprawę. Wyszła na jaw, dopiero jak twój ojciec zginął. - Sześćdziesiąt tysięcy monet! To trochę waży i niełatwo uciekać z takim ciężarem. - Och, on wcale nie uciekał z pieniędzmi! Miał dość czasu, aby się przygotować, i jeżeli cokolwiek zabrał ze sobą, to tyle, co na podróż. Stare baby do dziś twierdzą, że musiał mu pomagać diabeł. - A kim był ten Soerman? - Pochodził gdzieś z północy, Szwed czy Norweg. Podobno od dziecka tułał się z żołnierzami. Miał jakieś piętnaście lat, kiedy tu przybył. Znał chyba z tuzin języków, a z twoim ojcem rozmawiał wyłącznie po polsku. Na wiosnę po ich ucieczce przysłała wiadomość, że nie żyją. Płynęli z Bremy amerykańskim żaglowcem "Thetis", który zatonął niedaleko Nowej Fundlandii. Ludolf zamyślił się, wpatrzony w dół rzeki, nad którą podniosła się lekka mgła, i rzekł jakby do siebie: - On chyba nie przemyślał wszystkiego. Nie powinien był zostawiać twojej matki. Popęłnił błąd i szczęście go opuściło. Robert miał wrażenie, że słowa Ludolfa jak klamra spinają przeszłość z teraźniejszością. Ten człowiek, którego cały dobytek składał się z krytej trzcina chaty, maleńkiego ogródka, łodzi i sieci, był jego nauczycielem od dzieciństwa. To on wyciął dla niego pierwszą wierzbową piszczałkę, pokazał pierwsze gniazdo świerszczy, tarłowisko węgorzy i gniazdo opasłych ropuch w rozszczepionym przez piorun konarze dębu. Nauczył go rozróżniać głosy ptaków i rozpalać ogień krzemieniem, a przede wszystkim - i to była najważniejsza lekcja, jakiej Ludolf mu udzielił - że można być szczęśliwym i czuć się wolnym, nie mając naprawdę nic. Ludolf machnął ręką. - Muszki w listopadzie, to chyba będziemy mieć łagodną zimę - rzekł. - Gdybyś dowiedział się czegoś o zgubionym przeze mnie pasażerze, daj mi od razu znać - powiedział Robert i podszedł do karety. - To mi go przynajmniej opiszcie - przewoźnik znów przeszedł na "wy". - Hm, widziałem go tylko przez chwilę i nie potrafię nic o nim powiedzieć, ale jak go zobaczysz, od razu się domyślisz, że to on. W każdym razie na pewno nie wygląda na przestraszonego. - Nie zarygluję drzwi na noc - rzekł Ludolf, zbierając szmaty do wiadra. - Pozdrowcie ode mnie matkę - dodał. - Pozdrowię. Dzięki! Wskoczył na kozioł, a gdy się obejrzał, Ludolfa już nie było. Rozpłynął się w unoszącej się nad Schwalmu mgłę.

5 Jak każdego dnia o zmierzchu Anna von Haynau obchodziła dom, zapalając światła i nakręcając zegary. Od czterdziestu dwóch lat nieodmiennie towarzyszyła jej klucznica, pani Retz, przyglądając się jak pani, nie uroniwszy kropli oliwy, napełnia z mosiężnego dzbanuska lampy. Anna, delikatna, spokojna i zdecydowana, miała na sobie żółtą suknię z bladezielonym kołnierzem i mankietami. W półmroku jej włosy wydawały się czarne, podobnie jak oczy, które na szczupłej twarzy sprawiały wrażenie za dużych i za szeroko rozstawionych. Usta też były jakby zbyt pełne, a mimo to twarz zachowała wdzięk i ślady dawnej urody. Słysząc tylko bulgotanie przelewanego oleju, w powietrzu unosił się słodkawy pomarańczowy zapach. Dla pani Retz były to najpiękniejsze chwile dnia. W uroczystym nastroju i wśród woni oliwy i świec przemierzały cały dom same i mogły swobodnie, jak dwie przyjaciółki, porozmawiać o wszystkich swoich problemach. Dziś pani

Retz zdecydowała się poruszyć te, które najbardziej leżały jej na sercu. - Zawsze myślałam, że szambelan Lange jest rozsądnym człowiekiem - zaczęła. - Ale gdy nadano nam godność szlachecką, zupełnie mu się pomieszało w głowie. Osobny lokaj do świec, osobny do lamp olejnych, osobny do zegarów i osobny do sreber - tak sobie wyobraża teraz służbę! Pani von Haynau odstawiła dzbanek na tacę i wzięła krzesiwo. - Lange już ze mną o tym rozmawiał. Pani Retz nadęła się jak indor, jej policzki przybrały barwę pieczonego na ogniu jabłka. Wzrostem nie ustępowała grenadierom, a kiedy się wyprężyła, przybywały jej ze dwa cale. - I pani go posłuchała? Jak on w ogóle śmiał zawracać pani głowę takimi nonsensami?! A powiedział też, że lokajom podającym do stołu chce poszyć nowe liberie? - Na jutro zamówił krawca... - I co? - Kazałam, aby go odwołał. Pani Retz odetchnęła z ulgą. - Lange stracił miarę. Szuka dwóch paziów tylko po to, żeby stali na stopniach karety, do kuchni chce zaangażować "patisseura" i "confiseura" - francuszczyzny mu się zachciewa! - i ciągle mówi o przyjęciach, które tu się odbędą! Weszły do galerii. Wysokie okna połyskiwały ciemnym błękitem, widoczny za nimi park jakby się przybliżył, pocięty na obrazy rozmywające się w szkle. Przez cały dzień było słycać ciężkie kroki pani Retz i w każdej chwili można było się zorientować, w której części domu akurat przebywa, kiedy jednak szła obok pani Anny, stąpała ostrożnie jak kotka i mówiła cicho, jak jej pani. Dziś, zdenerwowana, coraz wyżej podnosiła głos. - Chce wszystko postawić na głowie! Park wydaje mu się za skromny, dom zbyt mieszczkański, okna zbyt proste, a schody za wąskie! Najbardziej psioczy na podłogi z desek. Gdyby to od niego zależało, rozwaliby dom i wybudował pałac cały w marmurach, stiukach i kryształach. Spytałam go, czy wie, że w takich pałacach jest potwornie zimno, jada się kiepsko, a na zapłatę czeka miesiącami. Pani Haynau wyjmowała ogarki z wysokich świeczników i wkładała nowe świece. - Cóż, Lange jest dumny, że wreszcie został szambelanem w szlacheckim domu - rzekła mimochodem. - Wie pani, że postanowił zmienić nazwisko?! Nad swoim "e" chce postawić francuski akcent. W południe powiedział, że najwyższy czas, abyśmy się zaczęli uczyć francuskiego, na co Gilbert się wściekł. "Ja uczyłem się kucharstwa u biskupa w Strasburgu i mam dyplom mistrzowski wydany przez tamtejszy cech, a ty, Lange, gdzie się uczyłeś "szambelanować"? Masz jakiś dyplom?" Ten Gilbert potrafi przygadać! Jestem pewna, że Lange nie przyjdzie do pani i nie poprosi o podwyżkę dla kucharza, choć ten gotuje znakomicie i jak się czegoś podejmie, ma to ręce i nogi. Widziała pani, co zrobił z naszej starej kuchni? - Niedawno byłaś innego zdania - odpowiedziała Anna, a na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech i wesoły błysk w oczach, który odmładzał ją o kilka lat. Z tym uśmiechem rządziła całym domem i dlatego nie dochodziło do sporów, kłótni i intryg pomiędzy służbą i domownikami. - Hm, ale wtedy w kuchni było więcej murarzy niż kucharek! - broniła się pani Retz. - Zawsze wystarczała nam jedna kuchnia, a on wymyślił sobie trzy: zimną, słodką i gorącą, i do tego oddzielone osobną salą, aby w domu nie było czuć zapachów z kuchni! A, byłabym zapomniała: Gilbert chce ustalić menu na dzisiejszą kolację. Były w połowie galerii, gdzie od półkolistej platformy zaczynały się schody wiodące na parter. Jedną jej część oświetlały już świece, druga była jeszcze pogrążona w półmroku. Nie zdobiły jej ani lustra, ani kosztowne kotary, pięcioramienne lichtarze nie były ze srebra czy złota, tylko z kutego żelaza pokrytego mosiądzem. Konsole, na których stały, były tak wielkie, że w czasie przyjęć zsuwano je razem i używano jako bufetu do zimnych dań. Podłogi z dębowych desek od ciągłego woskowania przybrały czerwonobrunatny odcień starego złota. Lniane zasłony mocno już z biegiem lat wyblakły. Niewiele się zmieniło od dnia, gdy Annę, wówczas dziewięcioletnią dziewczynkę, przyprowadził tu dziadek zaraz po pogrzebie rodziców, którzy zmarli w czasie epidemii ospy w 1742 roku. W tej galerii z francuskim podręcznikiem tańca w ręku ćwiczyła kroki przed pierwszym balem. Ze środkowego okna po raz pierwszy zobaczyła Roberta Skelnika, po tych schodach zbiegła do niego w dniu ich ślubu. Po nich także wszedł stary landgraf, gdy oskarżył ją o współudział w przestępstwie męża i za karę skonfiskował cały

majątek. Weszła teraz na te schody i zaraz na pierwszym stopniu się zatrzymała. - Nie! - rzekła i wyciągnęła przed siebie ramiona. - Z tego domu nie zrobimy pałacu! Stała na granicy światła i cienia, ujmująco piękna, choć w kącikach ust i oczu pojawiły się już pierwsze zmarszczki. Pani Retz przypomniała sobie jednak inną Annę, dziewiętnastoletnią, której przyniesiono wiadomość, że jej mąż wraz z pomocnikiem i sześćdziesięcioma tysiącami złotych talarów landgrafa uciekł z Czaplej Wyspy. Wówczas też, gdy żandarmi wreszcie odeszli, stanęła w tym miejscu i wyciągnęła przed siebie ręce, jakby chciała objąć cały dom, gdyż tylko on jej pozostał. Scena ta na zawsze utkwiała w pamięci pani Retz. Towarzyszył jej strach, że podobna sytuacja się powtórzy, że tamten dramat był tylko pierwszym aktem, po którym wcześniej czy później nastąpi drugi, gdyż takie są prawa losu, rządzące życiem wszystkich ludzi, nawet z pozoru najsilniejszych. Ta kobieta przetrwała cios, po jakim inni by już nie wstali, i zachowała młodość, podczas gdy inni się zestarzelili. Jakby zawarła pakt z diabłem! Pani Retz odpędziła tę myśl, aczkolwiek chętnie poznałaby przyszłość. We własnym domu Anna von Haynau przed wejściem do kuchni musiała zadzwonić. Tak zarządził Gilbert, podając setki powodów, a to że kuchnia, podobnie jak skarbiec, nie może być dostępna dla każdego, a to że drożdżowe ciasta nie lubią przeciągów, a to wreszcie że jak kobiety nie lubią świadków, gdy się malują, tak wyśmienite potrawy powinno się oglądać, dopiero gdy są gotowe. Pociągnęła za sznur dzwonka, chwilę potem we wznienniku ukazało się oko Gilberta. Bez słowa otworzył drzwi i wprowadził Annę do "słodkiej kuchni" - malutkiego przytulnego pomieszczenia obok właściwej kuchni. Podstawił krzesło, lecz Anna podeszła do piramidy form do ciast, piętrzącej się w kredensie. - Kupiłeś nowe? - spytała, biorąc do ręki porcelanowe naczynie pokryte brązową emalią. - Madame, przecież nie będę z każdym drobiazgiem latał do pani - mruknął, czekając, aż Anna odłoży formę. - Chciałeś ze mną rozmawiać, Gilbertcie. Co się dzieje? - Katastrofa, delikatnie mówiąc! I to akurat dziś! Potrzebuję pani rady, madame: co na pierwsze danie... - Uzgodniliśmy, że będą węgorki. - Tak, tylko że przez tego dezentera nasze plany wzięły w łeb! Wszyscy poszli go szukać i nie miał kto nałapać węgorki. Gdybym wiedział, posłałbym kogoś z rana, chociaż pan baron życzy sobie, aby podawać ryby wyłowione przed godziną, i dalibóg ma rację, bo jak to się u nas mówi: ryby i raki idą prosto z rzeki na stół. Do ostatniej chwili miałem nadzieję, że wróci pan Robert - on wie, gdzie najlepiej ryby biorą - ale też przepadł jak kamień w wodę! - Jestem pewna, że znalazłeś już jakieś wyjście. - Ze zdenerwowania nie mogę nawet myśleć! - To może wypiję odrobinę rosółu i coś mi wpadnie do głowy. Gilbert nie wiedział, czy pani sobie przypadkiem nie żartuje. Kto o tej porze pije rosół?! Te kobiety Dla nich menu to tylko kolejność podawania potraw, a przecież to tak jak w wierszu, gdzie liczy się każda sylaba, każdy rym! Otworzył drzwi do "gorącej kuchni" i krzyknął: - Czystego rosółu w filiżance dla jaśnie pani! Po minucie zjawił się chłopiec z owalną tacą, na której obok czarki z rosółem leżały dwie muszle; w jednej był pokrojony szczypiorek, w drugiej starta gałka muszkatołowa. - A może zupa z porów? - usłyszał Gilbert, stojący ze zwieszoną głową. Zupa z porów! Gilbert zamyślił się jak wódz, który usiłuje pozbierać resztki rozbitej armii, i nagle twarz mu pojaśniała. - Wspaniały pomysł! Dziękuję, madame. Mózg zupełnie mi odrętwiał, a przecież wiem, że pan baron uwielbia zupę z porów. Ponadto do pieczenia z prosięcia doskonale pasuje. - Jestem pojętną uczennicą, co, Gilbertcie? Gdybym jeszcze miała ochotę się uczyć... Jako dziewczynka unikałam kuchni jak diabeł święconej wody. - Za pozwoleniem, w tym domu nie było kuchni, lecz raczej kuźnia! Moja pierwsza garkuchnia w Strasburgu była mniejsza od alkowy, ale mówiło o niej całe miasto. Druga była wielkości buduaru, a trzecia salonu, ale to nie ma znaczenia, bo z kuchnią to jest tak jak z pracownią artysty - jeśli jest za duża, traci się w niej inspirację! Ta zupa to dobry pomysł... Dodam świeżej śmietany... - Proszę przyjść do mnie jutro o dziesiątej; ustalimy jadłospis na najbliższe dwa tygodnie. - Będę miał spokojniejszą głowę - stwierdził, odprowadzając Annę do drzwi. Jeszcze dobrze nie wyszła, a już je za nią

zaryglował. Musiała się roześmiać. W bieliźniarce zapachniało jak na polu lawendy przy południowym słońcu, gdy pani Retz otworzyła szafę z bielizną stołową. - Damy obrusy z liliami czy różami? - spytała. - Myślałam, że Gilbert nie wypuści pani do kolacji. - Poprosiłam go o filizankę rosółu... - O, to nie dla mnie! Byłam w zeszłym tygodniu w Treysie u Hieronimusa Semlera z powodu tych napadów gorąca, a on powiedział, że przykładanie ręki nic nie pomoże, muszę po prostu mniej jeść. Żadnych rosółów, kaw i wina! Jedynie źródłana woda... Po drodze weszłam do aptekarza w Ziegenhain, a ten, jak mnie zobaczył, złapał się za głowę. Będzie mi co sześć tygodni stawiał bańki. - A dlaczego nie porozmawiasz z doktorem Crusiusem? Przyjeżdża do nas z Kassel prawie do tydzień. - Najpierw spróbuję baniek. Doktor Crusius jest dla mnie za mądry: mówi tak, że połowy słów nie rozumiem... To które obrusy wziąć? Pani von Haynau otworzyła szafę z jeszcze nie obszytymi materiałami. - Może te usatysfakcjonują szambelana Lanego? - Z uśmiechem podała pani Retz komplet serwetek. Klucznica podniosła serwetkę do oczu i zawołała: - Herb! Sama go pani wyhaftowała? Kiedy znalazła pani na to czas? - Rano, przed śniadaniem. - Mój Boże, ja przy słabym świetle nawet igły nie nawlokę. A wzór też pani sama wymyśliła? - Claus mi pomógł, gdyż to on skontaktował się z heraldykiem i wybrał jeden z proponowanych herbów. Właściwie czy Claus już wrócił? Pani Retz zacisnęła usta i zaraz szybko wytarła oczy. - Proszę wybaczyć, ale to jest silniejsze ode mnie, choć walczę ze łzami już całe popołudnie. Łapią dezertera... a ja przypominam sobie, jak wtedy złapali mojego syna. Trzy razy przegonili go przez "uliczkę" - zająknęła się, choć w ciągu dwunastu lat, które minęły od tamtego zdarzenia, opowiadała o nim setki razy. - Od jego śmierci nie potrafię się modlić. Próbuję, ale zaraz przypominam sobie jego porozrywane plecy, gdy mi go przynieśli... Annę ogarnął smutek. Pani Retz mówiła o swoim jedynym synu. Trzy razy uciekał z twierdzy, za trzecim razem nie przeżył - zmarł w tym domu na rękach matki. - Doskonale cię rozumiem. Ja też nie zapomnę tamtego dnia do śmierci. Pani Retz wzięła obrusy i wyszły obie w milczeniu. W połowie drogi do jadalni usłyszały turkot nadjeżdżającej karety, pisk hamulców, jakieś męskie głosy i śmiech. - To chyba Robert przyjechał? - zdziwiła się pani Haynau. - To ja już skończę, a pani niech się przebierze. - Pani Retz już miała odejść, nagle jednak zatrzymała się i rzekła: - Gdyby pan Claus z pościgu za dezertorem wrócił z niczym, niech go już pani nie puści. Błagam! Anna skinęła głową i ruszyła w kierunku schodów. Idąc do znajdujących się na końcu galerii swoich pokoi, usłyszała śmiech starszego syna. Śmiał się tak samo jak jego ojciec, złotnik Robert Skelnik, po którym odziedziczył wzrost, oczy, w zależności od światła raz niebieskie, raz zielonkawe, i włosy, nie tyle blond, co złociste. To było coś więcej niż podobieństwo - wyglądał jak wierna kopia! Ponadto Robert ścierał obcasy dokładnie w tym samym miejscu co ojciec i przy jedzeniu także trzymał lewą rękę pod stołem, choć od dzieciństwa starała się go tego oduczyć. Spał w identycznej pozycji, lekko przekręcony na prawy bok, z jedną nogą wyprostowaną, a drugą podgiętą, jakby gotowy do ucieczki. Od dwudziestu trzech lat Anna przyglądała się Robertowi i nie mogła uwierzyć, że syn może być aż tak podobny do ojca. Płomienie świec w kinkietach chwiały się lekko po jej przejściu, suknia z szelestem sunęła po podłodze, w oknach galerii pojawiało się i zniknęło odbicie jej postaci. Anna zastanawiała się, co na dzisiejszy wieczór włoży. Nic nowego nie kazała uszyć, gdyż i tak czekała ją cała seria przymiarek. Na dworze w Kassel nie może przecież pokazać się w byle czym, a nawet najlepsze jej suknie nie nadają się na dworskie bale. Panowie zresztą też muszą się ubrać od stóp do głów - świeżo upieczonych baronów kasselskie towarzystwo podda szczególnie surowej krytyce. Weszła do swoich pokoi. Zerknęła najpierw na wielki fotel przy kominku, na którym Robert i Claus tarbosili się często jako dzieci. Był pusty. Zgarnęła rozłożony na stole pasjans i rzuciła okiem na paterę z owocami. Przed wyjściem chyba widziała na wierzchu wielką gruszkę, a może jej się zdawało? Z garderoby doleciał szmer przypominający przesuwanie wieszaków. Czyżby pokojówka weszła przed nią? Zajrzała.

Wielka szafa stała otworem, w stojącym obok lustrze Anna zobaczyła siedzącego w niej mężczyznę. Spojrzał na drzwi, a potem spokojnie wstał i podszedł do Anny. - Mam nadzieję, że jesteś pani tak samo odważna jak dawniej. Byłoby dobrze, gdybyś nie wzywała pomocy - odezwał się półgłosem, jakby był tu domownikiem. Oderwany rękaw wskazywał jednak, że nie wszedł do domu schodami, a zabłocone buty i zakurzone jasne gęste włosy - że nie przyjechał tu kareta. Anna usiłowała przypomnieć sobie, skąd go zna, lecz nic prócz oczu nie wydawało jej się znajome. W tych oczach nie było cienia strachu. - Soerman! - Uniosła rękę, jakby chciała go dotknąć. Przecież on podobno od dawna nie żyje! - Pozwolisz, pani, że zamknę drzwi? - Poruszał się pewnie, choć był w tym domu pierwszy raz. - Jest tu jeszcze inne wejście? - Nie. - Dziękuję za zachowanie spokoju - uśmiechnął się i dodał nieco uszczypliwie: - Oszczędziłbym ci emocji, madame, ale twoi synowie nie pozostawili mi wyboru: jeden gotów za wszelką cenę odstawić mnie do twierdzy, a drugi... - To pan uciekłeś z twierdzy Ziegenhain? - Wielmożny książę stracił przeze mnie pięć puszek prochu, a jak już mówiłem, jeden z twoich synów chce zasłużyć u księcia na order, drugi zaś ma najwyraźniej ochotę na chłostę jako mój współnik. Mając taki wybór, wolałem iść do pani. Poza tym nie mam pojęcia, co oni wiedzą o mnie i przeszłości... A więc to jest Soerman, o którego śmierci od dwudziestu trzech lat była przekonana, który wraz z Robertem Skelnikiem zatonął na amerykańskim żaglowcu "Thetis" w czasie burzy w pobliżu Nowej Fundlandii. Skoro Soerman żyje, to... W głowie Anny myśli wirowały tak szybko, że omal nie upadła. Zrobiła mały krok do przodu i spytała: - Co z Robertem? - Proponowałbym zasłonić okna. Z zewnątrz dobiegły hałasy. W alei dojazdowej migotały pochodnie, kolumna jeźdźców zmierzała do stajni, ujadały psy. Jadący na czele odłączył się i skierował w stronę dworku - to był Claus. Anna czekała w oknie, aż popatrzy w górę, lecz dziś tego nie zrobił. Zaciągnęła zasłony. Claus nie może zobaczyć Frederę Soermana, to jasne, a Robert? Chyba też nie... By nie rozgrzebywać przeszłości, która dla niego powinna pozostać historią, kartą zamkniętą raz na zawsze. 6 Światła pochodni z dębowej alei lekko rozjaśniły ścianę naprzeciwko okna. Robert wyjrzał. Konie i jeźdźcy poruszali się powoli i niepewnie, choć zwykle bliskość stajni i nawoływania koniuszych zachęcały zwierzęta do szybszego marszu. - Kamizelkę - rzekł Robert i nie odchodząc od okna, wyciągnął rękę, aby Adrian mógł go ubrać. Z narożnego pokoju w lewym skrzydle miał lepszy niż matka widok na dziedziniec i stajnie. - Możesz już odejść - mruknął, nie odwracając się. - Tym razem zostaniecie dłużej w Haynau? - Jeśli tym pytaniem chcesz mi przypomnieć, co ci obiecałem, to powtarzam: zabiorę cię w podróż, jak tylko skończysz osiemnaście lat. - Ale ja już teraz jestem wyższy niż starsi ode mnie... - Ja potrzebuję sekretarza, a nie lokaja. - Od kilku miesięcy prowadzę po francusku korespondencję waszego ojca... - Musisz jeszcze opanować angielski i prowadzenie ksiąg. Adrian skrzywił się za jego plecami. Był jednym z tych łobuziaków, włóczykijów wałęsających się bez celu. Trzy lata temu Robert znalazł go na pół zamarzniętego na drodze w pobliżu Utrechtu, skąd uciekł z gimnazjum, i przywiózł do Haynau. - Wszystko przygotowałem - odezwał się chłopiec. Robert skinął głową i powoli zapinał kamizelkę. Jeźdźcy przechodzili pod jego oknem, orszak zamykał Claus ze sforą psów gończych, które nagle zaczęły wściekle ujadać. Claus rzucił się w stronę karety, którą Robert przyprowadził z wozowni. Stała pod lampą oświetlającą wejście do dworu. Giermek odebrał konia, a Claus po krótkim wahaniu podszedł do powozu i otworzył drzwi. Roberta przeszły ciarki. Polowanie Clausa skończyło się niepowodzeniem, świadczył o tym ślamazarny powrót jego "oddziału", gra więc toczy się dalej, chyba że zaraz Claus trafi na jakiś ślad w karecie. Robert był zły, że sam osobiście nie sprawdził, czy przypadkiem dezertier tam czegoś nie zostawił. Claus zatrzasnął ze złością drzwi i ruszył ku schodom. Jak zawsze, gdy był bardzo zmęczony lub załamany, odzywała się dawna dolegliwość kolana i lekko utykał. Ciekawe, czy znalazł coś w karecie? Robert odszedł od okna. Dwóch służących niosło kosz z polanami do kominka, w drzwiach stał szambelan Lange w

srebrnoszarej liberii, z przypudrowanymi włosami, i nosowym tonem wydawał polecenia. Za drugimi drzwiami komenderowała pani Retz, z sali bilardowej odchodziły stukania kul. Claus już tam był. Na oświetlonym stole Claus ułożył bile i z kijem w rękę przygotowywał się do uderzenia. Kiedy brat wszedł, podniósł głowę. Było widać, że wszystko go drażni. - Co za elegancja! - syknął ironicznie. - Rdzawa czerwień i śliwkowy fiolet, najmodniejsze tej zimy w Paryżu. Sam zaczęłeś ubierać się modnie, czy też jakaś Holenderka cię namówiła? Robert odetchnął z ulgą; Claus nic nie znalazł w karcie, bo gdyby coś zwróciło jego uwagę, natychmiast by się z tym zdradził. - Wziąłem sobie do serca twoje dzisiejsze przestrogi. - No, wcześniej jednak wyrzuciłeś kupę pieniędzy na krawca, co ci się dotychczas nie zdarzało. - Przypadek. Grałem w karty z szefem cechu amsterdamskich krawców. Jak skończyła mu się gotówka, zaczął grać o ubrania. Na najbliższe pięć lat nie muszę niczego kupować, nawet pończoch i obuwia! - Ty nic nie przegrałeś? - Cieszy mnie tylko wygrana, przynajmniej na razie. Claus skrzywił się z niesmakiem, a Robertowi zrobiło się żal, że sprzątnął mu sprzed nosa dezentera. Dla niego była to tylko kolejna gra, dla brata zaś sprawa honoru. Gdyby miał zdrowe kolano, to może tak by się tym nie przejmował. Ilekroć Robert nie rozumiał postępowania brata, jego rozdrażnienia i przesadnego wyczulenia na sprawy honoru, tłumaczył je sobie tą słabością fizyczną, by nie rzec: ułomnością. Nie akceptował zachowania Clausa, ale czy powinien celowo stawiać mu na drodze? - Po kolacji zamierzasz jeszcze wyjechać? - spytał. - Gdybym nie zamierzał, tobym się przebrał, nie uważasz? - burknął Claus. - Ojciec nie będzie zachwycony. Dla niego to szczególny dzień i chciałby go zakończyć w rodzinnym gronie. - Będzie miał ciebie, więc nawet nie zauważy, że wyszedłem. W świetle nisko zawieszanej lampy Robert widział tylko ręce brata i drżący w nich niespokojnie kij. Podszedł do stojaka i wyszukał odpowiedni dla siebie. - O co zagramy? - pierwszy odezwał się Claus. - Jak wygrasz, jadę z tobą, zgadzasz się? Claus ułożył kule, z trzaskiem odpadł kawałek kredy, którą nacierał kij. Później słychać było tylko uderzenia kul z kości słoniowej i zgrzytanie kredy. Claus odprężył się, jak zwykle w obecności Roberta, gdyż od czasu wypadku bardzo się z sobą zżyli. Z owego okresu mieli wyłącznie wspólne wspomnienia, lecz te urwały się nagle, gdy Robert odkrył Czaplą Wyspę i objął ją w posiadanie. Na zewnątrz psy rozszczękały się na nowo. - Sądysz, że w nocy mamy jakąś szansę? - spytał Robert. - Zrobiłem błąd, że wziąłem tych wieśniaków. Patrzą na człowieka kretyńskim wzrokiem i ruszają się jak muchy w smole, a zamiast szukać dezentera, najchętniej by mu pomogli. - Mówisz tak, jakbyś go już osaczył w wozowni. - Rozmawiali jak obcy, którzy wzajemnie się testują i nie są pewni, czy za chwilę nie rzucą się sobie do gardeł. - Oszukali mnie - rzekł Claus. - Teraz wiem, że dezenter w ogóle nie wszedł do stodoły. Dostałem nauczkę. W drodze powrotnej spotkałem komendanta Ralla i wziąłem od niego psy gończe. Znają zapach, więc pójdą za tropem. Robert zastukał w krawędź stołu. - Twój ruch! Claus próbował się skoncentrować, ale na próżno. Po trzecim ruchu kule rozłożyły się tak niefortunnie, że wołał się poddać. - Przecież dopiero zaczęłeś - zdziwił się Robert i rozpoczął grę. Operował zręcznie kijem z drewna gruszowego, uderzał miękko, lecz celnie i zdobywał jeden punkt za drugim. Claus patrzył z podziwem. - Gdybyśmy poszli razem, już byśmy go mieli! - rzekł niby do siebie. Robert zresztą nie odpowiedział, tylko grał dalej. Starszy brat wszystko robił lepiej, a Clausowi pozostało tylko mu dorównywać. Jako chłopiec nie mógł się doczekać, kiedy również dostanie konika. Miał go wreszcie, ale choć bolały go wszystkie kości od nieustannego treningu, dalej siedział w siodle jak niezdara i przegrywał z Robertem każdą gonitwę. W tajemnicy przed wszystkimi zbudował wówczas na łące tor przeszkód i tam właśnie zdarzył mu się ten wypadek. Pół roku leżał przykuty do łóżka, a starszy brat czytał mu na głos, wymyślał przeróżne zabawy. Teraz Claus wspominał okres choroby jako najszcześniejsze chwile z dzieciństwa. Wtedy nie musiał dorównywać bratu, za to później duch rywalizacji, chęć zmierzenia się z nim i pokonania go stała się dominującym pragnieniem Clausa, jego obsesją. Robert stał pochylony nad stołem. Uderzył,

lecz biała kula potoczyła się powoli, trąciła czerwoną i stanęła w miejscu. Claus zmarszczył czoło. - Od kiedy to psujesz tak łatwe bile? - rzekł i obszedł stół, szukając dogodnej pozycji. - Zawsze gdy prowadzę trzydziestoma punktami - padła odpowiedź i zaraz za nią pytanie: - Wiadomo już, kto jest dezzerterem? - Pamiętasz ten napad, o który było tyle szumu? W lesie między Löhlbach a Treysą napadnięto Żyda Veitla Lessera, gdy jechał z żoną i parobkiem do Kassel. Banda zbójców... Zabrali mu dwa i pół tysiąca złotych dukatów, a potem wraz z żoną spakowali do opróżnionych skrzyń, związali i pogonili konie w las. - Pamiętam, ale co to ma wspólnego z dzisiejszym dezzerterem? - Kilka dni po napadzie Żyd rozpoznał jednego ze zbójców w kuźni w Ziegenhain. Kowal nie cierpi Żydów, więc zamiast posłać zbója na szubienicę, wolał go sprzedać werbownikom i przynajmniej zarobić kilka dukatów. Wiesz, jak to się odbywa: by wyrwać go кату, werbownicy zeznali, że w czasie napadu podejrząny grał z nimi w karty "Pod Czarnym Niedźwiedziem", wystawili mu glejt porucznika i odesłali do Ralla. - Claus odszedł od stołu. - Mam dosyć. Po całym dniu trzymania cugli straciłem czucie w ręku - rzekł i zdjąwszy bluzę, cisnął ją na krzesło. - Nie wycofuj się, Claus! Ostatnie uderzenie było już dobre; jedna udana seria i wygrywasz... - przekonywał Robert. W progu zobaczył ojca. Gottfried Haynau, jak zawsze, wszedł bezszelestnie i stanął z założonymi z tyłu rękoma, ziemianin od stóp do głów. Ze swoimi dzierżawcami był po imieniu i starał się stwarzać wrażenie, że nic sobie ze swojego bogactwa nie robi, że znowu nie jest ono tak wielkie, jak się powszechnie uważa. Tak się wczuł w rolę "dobrodzieja", że nie przestawał jej odgrywać nawet w rodzinnym kręgu. - Jaki wynik? - spytał. - Robert prowadzi. Gottfried von Haynau położył dłoń na ramieniu Clausa. - Mówiłem ci już wielokrotnie, abyś z nim nie grał. Robert jest wyśmienitym graczem, a poza tym ma szczęście. Po kolacji chciałbym z wami porozmawiać - dodał i otworzył drzwi wiodące do jadalni. W wąskiej szczelinie jaśniejszego światła jego masywna postać wydała się jeszcze potężniejsza, za duża, by zmieścić się w drzwiach. - Twój ruch i kończymy - rzekł Robert. - Masz do odrobienia dziesięć punktów. Claus wrócił na poprzednie miejsce. Poruszał się sprawnie, a Robert kolejny raz zastanawiał się, czy to jego utykanie nie jest bardziej wynikiem urazu psychicznego niż fizycznego. - Jeszcze sześć - odezwał się. - Mówił ci Rall, jak ten dezzerter się nazywa? - Nie mogę grać i odpowiadać na twoje pytania! - odparł Claus z irytacją, nie odrywając oczu od stołu. - Rall podejrzewa, że zwerbowano go pod fałszywym nazwiskiem, ale w twierdzy nikomu to nie wadzi, bo mają tam motłoch z całego świata. Gdzie kogoś wyrzuca, to trafia do nas: zbankrutowani kupcy, oszuści poczmistrze, jest nawet stary pruski wachmistrz huzarów i mnich, który uciekł z klasztoru w Würzburgu. Same nicponie. Ten niby nazywa się Soerman, choć to oczywista bzdura! Soerman! Robertowi zawirowało przed oczami, wyobraźnia podsuwała tysiące różnych domysłów. Próbował nad nimi zapanować, lecz myśli jakby cofały się w czasie i przywoływały twarze ludzi, których nigdy w życiu nie widział. Najwyraźniej zobaczył twarz ojca, człowieka skazanego na sukces, a nie na bezsensowną śmierć w połowie drogi życia. Ta śmierć była więc tylko maską, która miała zmylić jego prześladowców. A więc on żyje pod nowym nazwiskiem, w nowym świecie... - Wygrałeś! - Claus rzucił kijem o stół. - Wygrałem? - Jednym punktem. Twoje gadanie wytrąciło mnie z rytmu. Drzwi jadalni otworzyły się ponownie, w progu stanęła Anna von Haynau w ciemnoczerwonej jedwabnej sukni. - Nie jesteście dziś głodni? - spytała z uśmiechem i wyszła. Robert od razu zauważył, że matka zachowuje się inaczej, na czym jednak ta różnica polega, nie potrafiłby odpowiedzieć. Coś wisiało w powietrzu. Stół odświętnie zastawiony, pachnące potrawy, nagrząny kominek, wszystko to zapowiadało atmosferę, w której o dezzerterze wspomni się tyle co o źle trafionej bili, a mimo to Robert wchodził do jadalni z oporem, jakby wkraczał na niepewny grunt.

7 Awans Gottfrieda Haynaua z podrzędnego urzędnika dworskiego na jednego z najbogatszych ziemian i przedsiębiorców Hesji nie był zwykłą historią biedaka, który nagle się wzbogacił. W dworze w Haynau nie było ani jednego przedmiotu, który świadczyłby o niezwykłym bogactwie

właściciela, za to w zachowaniu Gottfrieda nie było niczego, co zdradzałoby jego niskie pochodzenie. Uderzała w nim pewność siebie człowieka, który dorósł do swojej pozycji. Jego energia wydawała się naturalna, nie było w nim sztucznej pozy, charakterystycznej dla nowobogackich. Jego swobodne zachowanie miało jednak z dobroduszością tyle wspólnego co ciche kroki tygrysa z niefrasobliwością. Mimo wszystko na utrzymaniu opinii dobrodusznego bogacza bardzo mu zależało. Przybrał na wadze ze dwadzieścia funtów, co wszakże przy jego sześciu i pół stopach wzrostu nie było widoczne, zwłaszcza dla tych którzy nie pamiętali go z czasów, gdy można mu było policzyć zębra. Lekko zaokrąglony podbródek wygładził zmarszczki, świadczące o latach biedy. Pozostało po niej zamilowanie do smakołyków, a to z kolei groziło przybraniem o następne dwadzieścia funtów. Stół nie wyglądał już odświętnie: prócz świeczników nic nie znajdowało się na swoim miejscu. Sztucze poukładano na talerzach, szklanki i puchary stały byle gdzie, serwetki oklapły, a słodczyce leżały jak porzucone przez dzieci zabawki. Rozmowy też zbytnio się nie kleiły. Robert sięgnął po słodczyce podane mu przez matkę. Nie pamiętał, co zjadł, ani jakie pił wino, białe czy czerwone. Siedział jak na rozżarzonych węglach, a mimo to nie chciał, aby kolacja się skończyła. Bał się czegoś, co miało nastąpić potem. Przy stole zasiadł nieproszony gość nazwiskiem Przeszość, patrzył na Roberta oczami człowieka z karety i zadawał drażliwe pytania, na które dotychczas nawet nie próbował sobie odpowiedzieć. Matka zajmowała miejsce na drugim końcu stołu. Była blada i uśmiechała się jakoś tak, jakby chciała coś ukryć. Mówiła, lecz myślami była gdzie indziej. Niby ją znał, ale co właściwie o niej wiedział? Szlachcianka, a wyszła za męża za złotnika, wędrowca z Polski. W rok po jego ucieczce poślubiła Gottfrieda Haynaua, którego landgraf wyznaczył do karnego skonfiskowania jej majątku. Czy to on zaproponował jej małżeństwo? Jak układało im się wspólne życie? Jak by zareagowała, gdyby jej powiedziano, że jeden z rozbitków przeżył? Soerman! Robert chętnie zadałby matce to pytanie od razu, choć cieszył się, że ma jeszcze czas. Claus zamierzał wyruszyć na nocne "polowanie" z psami, a jeśli tym razem mu się uda? Jednakże Robert instynktownie czuł, że ten człowiek nie zostawił śladów. Spojrzał na matkę, a ona natychmiast odwróciła wzrok, jakby przyłapano ją na drobnym oszustwie. Przykryła czarę ze słodczymi tak szybko i gwałtownie, że Gottfried nie krył zdziwienia. - Chyba nie zamierzasz nas już opuścić? - spytał. - Przed kolacją powiedziałaś, że chcesz jeszcze porozmawiać z Robertem i Clausem... - Nie można by tej rozmowy odłożyć? - spytał Claus, sięgając po butelkę wina. Gottfried wszakże popatrzył wpierw na żonę. W jej twarzy i głosie odczytał prośbę, że też chciałaby czym prędzej zostać z synami sama. - Rozpieszczasz mi ich. Jak będą przesiadywać pod twoją spódnicą, to wątpię, czy kiedykolwiek który się ożeni. - Och, przyczyna jest inna! - broniła się Anna. - Nie żenią się, bo mają za duży wybór, a nie dlatego że siedzą w domu! - Być może, ale mówię wam: przed podjęciem ostatecznej decyzji raczej mnie poproście o zdanie. - Jeżeli zamierzasz wyznaczyć posag, który musi wnieść twoja przyszła synowa, trudno będzie znaleźć odpowiednią kandydatkę - zaśmiał się Claus. - Chciałem wam tylko zwrócić uwagę, że w bogatej dziewczynie też można się zakochać. To nie jest tak, że bogata czy biedna, kosztuje męża tyle samo. Kobieta powinna umieć obchodzić się z pieniędzmi, a jeśli była biedna, to gdzie miała się tego nauczyć? Pozwolisz? - zwrócił się do żony, by odsunąć jej krzesło. Anna wstała, jakby tylko czekała na tę chwilę. - Każę wam podać kawę do biura - rzekła. Gottfried chyba znów źle ją zrozumiał. - Jeśli chcesz, wypiję z tobą kawę później - zaproponował. - Chętnie, daj mi tylko wcześniej znać. Robert domyślił się, że była to wykrętna odpowiedź. Matka bezwiednie zwijała i rozwijała serwetkę, a gdy przypadkiem zerknęła na niego, wyraźnie się przestraszyła. Wstał i odprowadził ją do drzwi. Jej zachowanie nie dawało mu spokoju, budziło wątpliwości i nasuwało szereg pytań. Czyżby ten dom, w którym czuł się bezpiecznie, jednak chował przed nim jakieś tajemnice? Dotyczą jego, czy tylko matki? Słyszał głosy brata i ojczyma, lecz myślami był przy matce. - Śpisz na stojąco? - spytał Gottfried, biorąc go pod ramię. Od

drzwi wejściowych dobiegło głucho uderzenie, po nim pojedyncze głosy, które chwilę później przeszły w krzyki. Wybijał się nosowy ton szambelana Langego. Gottfried von Haynau zostawił synów i zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi. Chłopi tłoczący się przy schodach zamilkli, lecz na ich twarzach widać było złość. - Co tu się dzieje? - Gottfried zmierzył szambelana od stóp do głów. - Odkąd to zamykasz przed ludźmi drzwi do mojego domu? - Odsunął Langego i głośno rzekł: - Jeszcze o tym porozmawiamy! Zszedł pomiędzy wieśniaków. - Dlaczego się z nim droczycie? Te drzwi są dla was zawsze otwarte, dopóki ja jestem panem w Haynau. Następnym razem jednak wybierzcie bardziej dogodną porę. Musicie przychodzić nocą? Langhofbauer wysunął się na przód. - Przyszliśmy do was, gdy był jasny dzień. - Skoro proście Langego jak żebracy, to dobrze wam tak. Nikt wam nie zabronił przyjść prosto do mnie. - To wasz syn, Claus... Musieliśmy z nim ścigać tego dezertera. - Mówcie wreszcie, o co chodzi. - O dziki, panie. Jeszcze nigdy ich tyle nie było. Jak w przyszłym roku zapłacimy dzierżawne, kiedy te bestie zniszczą nam zbiory? - Głos Langhofbauera rozniósł się po całym dziedzińcu. - O tym ci w Kassel nie pomyśleli, jak pisali dekret. Mówili, że wszystko będzie inaczej, a zmienili tylko słowa. Dawniej mówili, że "zabrania się" polowania na dziki, a teraz, że "się nie zezwala"... Co za różnica?! Niech napiszą wprost, że mamy je karmić, aby były tłściejsze, bo inaczej polowania się nie opłacają! Przecież w ciągu dnia nie możemy pilnować pól, bo mamy inną robotę, a po nocach hałasować nie ma sensu, bo i tak przegoni się je co najwyżej do sąsiada. Myślicie, że one się boją? Skądże! Potrzebujemy strzelb, a dekret musi być zmieniony! - Langhofbauer, wiesz przecież, że ja dekretu zmienić nie mogę. Dla landgrafa jestem takim samym chłopem jak wy. - Ale grunty są wasze, panie, a do tego jesteście już baronem... - Mimo to pozwolenia na broń wam dać nie mogę - rzekł Haynau zdecydowanie. - Jak chcecie, to posłuchajcie mojej rady. Dziś w nocy pełnicie straż, więc dostaniecie broń, a jeśli się komuś zda, że widzi dezertera, to nikt mu nie zarzuci, że strzelał. Gdzie się zbieracie przed wachtą? - Koło wozowni. - Przyślę tam Clausa, da wam lepszą broń niż dowódca żandarmów. To wasze psy tam tak hałasują? Zapadła cisza, którą przerwał Langhofbauer: - Pan Claus pożyczył charty od komendanta Ralla... Chłopi pospuszczali głowy, Gottfried zaś szybko pojął, o czym teraz myślą. - Innej rady nie widzę. Broń dostaniecie, a ustrzelone dziki biorę na swoje konto. Sprzedam je jako własne. - Poklepał Langhofbauera po ramieniu i odszedł. Chłopi milczeli. Nagromadzona w ciągu dnia złość uleciała z nich w jednej chwili. Tak było zawsze - nawet jak nie dostali tego, po co przyszli, czuli się usatysfakcjonowani. A przecież stracili cały dzień i wracają z niczym. Zastrzelenie dziesięciu czy dwudziestu dzików nic nie pomoże, skoro w lasach żyją ich setki... Gottfried uważał sprawę za załatwioną. Jeszcze dziesięć lat temu rozmowa taka kosztowałaby go sporo nerwów, dziś nabrał dystansu i nie przejmuje się byle czym. Zawód czekał także ukrytych w ciemnym korytarzu lokajów, którzy zacierając ręce, spodziewali się reprimendy, na którą zasłużył sobie szambelan. Baron wprowadził go wraz z synami do swojego kantoru. Uznał, że porachunki z Langem będą dobrym wstępem do rozmowy, którą zamierzał przeprowadzić z synami. Szambelan stał u drzwi. Między upudrowaną peruką, która opadła mu na czoło, a wysokim kołnierzem bluzy widać było jedynie jego szeroki, kaczy nos. Wyglądał jak wielki, trzęsący się ze strachu ptak. - Nie przypominam sobie, Lange, abym kiedykolwiek zakazał ci wpuszczać wieśniaków - zaczął Gottfried. - Ale te chamy muszą się nauczyć, kto tu jest panem! - odpowiedział szambelan zaczepnie. Haynau zmarszczył czoło, lecz jego głos pozostał spokojny: - Wydaje mi się, że to ty powinieneś się czegoś nauczyć, Lange. W tym domu zwyczajem ustalają ja. Tak było i tak pozostanie. To, że przed moim nazwiskiem pojawiło się "von", jeszcze nie oznacza, że musisz mi dom przewrócić do góry nogami, jasne? Lange uklonił się i tyłem opuścił pokój. Gottfried usiadł przy biurku i podkreślił knot stojącej na nim lampy. Był ciekaw reakcji synów, ale czekał, aż odezwą się sami. - Nie podzielałem twojego stanowiska, ojciec - zaczął Claus. - Nie możesz traktować chłopów jak równych sobie.

Słyszałeś, co mówili o dzierżawnym? Gotowi w każdej chwili wszcząć bunt. - Twój pradziad był chłopem, w dodatku pańszczyźnianym, i warto, byś o tym pamiętał. Landgrafowi moje pochodzenie nie przeszkadzało, skoro zrobił mnie baronem. Mój ojciec był tragarzem w kopalni miedzi w Treysie, jednym z tych pacholków, co wynosili rudę na wierzch. W chodnikach było mokro i tak ciasno, że mógł poruszać się tylko na czworakach. Do nogi miał przywiązany wózek, który po załadowaniu ciągnął śliskimi sztolniami na górę. Za wszczęcie buntu wzięto go do wojska, i to było jego szczęście, bo jeden kapitan nauczył go czytać i pisać, trochę matematyki i łaciny. Nie wiem, czy był dobrym żołnierzem, ale wrócił bez jednej nogi i został wyśmienitym nauczycielem. Ja posunąłem się o krok dalej niż on, a ty z pewnością zajdziesz dalej ode mnie, jeśli jednak myślisz, że cokolwiek zyskasz, łapiąc dezertorów, to jesteś w błędzie. Za brudną robotę dostaje się brudne pieniądze, a na nich się nie wzbogacisz. Karierę w wojsku robi się innymi sposobami, mój drogi. - Niech tylko trafi się porządna wojna, to zobaczysz, co potrafię i jak daleko zajdę! - Znowu się mylisz. W czasie wojny masz jedynie większą szansę znaleźć śmierć, a karierę wojskową lepiej robi się w czasie pokoju. Może nie wiesz, ale we Francji co drugi marszałek zawdzięcza swój stopień nie odwadze, lecz urodzie małżonki albo niekiedy córki. - Twoje kupieckie kalkulacje! Są przydatne w handlu herbatą i tytoniem, ale nie w kierowaniu własnym życiem. Ojciec nie czuł się urażony. Od dziecka uczył synów, by swój temperament wypróbowywali najpierw na nim. - A jednak życie jest bilansem, mój drogi! Plusy, minusy, ma, winien. Każdy musi takiego bilansu się trzymać, i chłopci, i rzemieślnicy, i kupcy, i szlachcice. Im bardziej bilans się zgadza, tym lepiej... Słyszałem, że wypożyczyłeś od Ralla psy gończe. Ciekawe, co chcesz osiągnąć? W tej chwili wszyscy patrzą nam na ręce i tylko czekają, aby się pośmiać, a ty dajesz im znakomitą okazję. Mnie nie zależy na tego typu sławie, więc psy zostaną w psiarni, jasne? To nie jest rada, tylko rozkaz, jeśli masz jeszcze wątpliwości. Chodźmy teraz do mojego gabinetu... Jak cały dom, gabinet Gottfrieda von Haynau też był skromnie urządzone. W kominku palił się ogień, oliwne lampy dawały ciepłe, żółtawe światło. Jedyną nową rzeczą był angielski zegar, który Gottfried dostał od Roberta na pięćdziesiąte urodziny. Aby nie urazić pasierba, postawił czasomierz na gzymsie kominka. Nie pozwolił natomiast zmienić skórzanego obicia fotela ani wyrzucić staromodnego, prostego biurka. Bronił nawet starej filcowej podkładki, na której prócz plam pełno było lustrzanych odbitek pism, wśród nich długi, pełny tytuł landgraфа z Kassel i koślawy podpis jednego z dzierżawców, obu dłużników pana z Haynau! Z tego kawałka filcu można by odtworzyć kompletny bilans sukcesów obecnego barona. Claus stał oparty o kominek, Robert usiadł w wytartym skórzanym fotelu. Dopóki nie padło słowo "dezertter", nie słuchał rozmowy. Jakby znajdował się za ścianą, od której odbijały się wszystkie słowa prócz tego jednego. Gdy je usłyszał, ocknął się. Ojczym nie powiedział niczego, z czym by się nie zgadzał, zastanawiał się tylko, z jakiego powodu zabronił Clausowi wyprowadzać psy Ralla. Czyżby też znał już nazwisko dezerttera? - Chcesz nam wyliczyć, ile będzie nas kosztowało to szlachectwo? - usłyszał pytanie Clausa. - Możesz to tak ująć, bo rzeczywiście książe nie utytułował nas z miłości, a wyłącznie z powodu długów, które już u mnie ma i jeszcze zamierza zaciągnąć! Jego wysokość zawarł transakcję, nie ponosząc żadnego ryzyka, gdyż całkowicie spada ono na nas. Musicie sobie zdać sprawę, że nasz władca swoimi, delikatnie mówiąc, nie przemyślanymi decyzjami doprowadził dwór do bankructwa, a co to oznacza dla tych, którzy pożyczili mu pieniądze, nie muszę wam tłumaczyć. Mimo to ten baronowski tytuł jest dla nas w tej chwili więcej wart niż wszystkie długi z odsetkami włącznie. Jest dla nas papierem wartościowym, który może procentować, jeśli tylko właściwie go wykorzystamy. - Otworzył szkatułkę z cygarami, lecz nie wziął żadnego. - Choć może też okazać się pochylnią, po której zjedziemy na dno, jeżeli jak większość nowo uszlachconych wyrzekniemy się naszych mieszczańskich przyzwyczajęń i rzucimy w blichtr szlacheckich salonów. Nazwałeś to "kupiecką filozofią", Claus, ale nawet gdybyś został generałem, z

państwowej kasy nie utrzymałbyś tylu koni co teraz. Z rachunków od krawca widzę, że już zasmakowałeś w luksusach, więc pozwól Robertowi i mnie łamać sobie głowy, skąd wziąć pieniądze, aby twoje rachunki mogły być zapłacone na czas. Dla mieszczanina ubóstwo nie jest wstydem, dla szlachcica oznacza śmierć. Przypomnij sobie werbowników "Pod Czarnym Niedźwiedziem"! Leßberg, Umbach i Scholl mają rodowody sięgające cesarza Fryderyka Barbarossy, ale uczciwymi zawodami pogardzają, a takich jak ja nazywają kramarzami. Sami zaś sprzedają ludzi, i to za worek tytoniu! Robert domyślił się, dokąd ojczym zmierza. Nigdy nie lubił mówić tylko po to, aby go słuchano. Teraz podniósł się i podszedł do sięgającej sufitu szafy z wbudowaną ognioodporną skrytką, w której przechowywał pieniądze i najważniejsze dokumenty. Wyjął z niej dwie czarne teczki i niewielką szkatułkę z laki. Wróciwszy do biurka, rozwiązał pierwszą z teczek. - Przejrzałem i przeliczyłem twoje sprawozdanie, Robercie. Gratuluję. Napracowałeś się, ale wynik tej podróży jest znakomity. - Czasami miałem wątpliwości, zwłaszcza gdy kazałeś mi wybrać wszystkie pieniądze i przerzucić je do van Nottena, a całą gotówkę ulokować w tytoniu. Nazywałeś mnie wytrawnym graczem, a wtedy ręce pocily mi się jak nowicjuszowi. - Trzeba mieć trochę odwagi, żeby postąpić wbrew swoim zasadom, a wycofanie gotówki z banku jest tego typu decyzją, no ale jeśli można uniknąć bankructwa... Ja w każdym razie wierzę informacjom Schlieffena, który od kilku lat prorokuje, że w brytyjskich koloniach w Ameryce Północnej dojdzie do powstania. Zważywszy, że jest on ministrem i prawą ręką księcia, ma na pewno wiadomości z dobrego źródła. To on mi poradził, by otworzyć konto w Amsterdamie u van Nottena. "Kiedyś te pieniądze się panu przydadzą, i to z dnia na dzień", powiedział, a ja od tamtego czasu pilnie śledzę, co dzieje się za oceanem. Te ziemie to istna kopalnia złota dla Anglii. Wszystkie tamtejsze bogactwa: drewno do budowy statków, indygo, ryż, tytoń, trafiają do Anglii bez cła, po śmiesznie niskich cenach, natomiast koloniści muszą za każdy towar pochodzący z Anglii słono płacić. Pewien mój znajomy z Solingen wyjechał do Ameryki i uruchomił tam piec do wytopu żelaza i kuźnię. Wysłał do Anglii najlepszą gatunkowo stal i co? Po kilku latach Anglicy doprowadzili go do ruiny! Angielski monarcha robi jeden błąd za drugim i traktuje kolonie jak obozy karne dla przestępców i dzikusów, a przecież mieszkają i pracują tam ludzie równie uczciwi jak my. Czy można się dziwić, gdy pewnego dnia powiedzą basta?! To tylko kwestia czasu. Ostatnio w Bostonie zatrzymali trzy statki z angielską herbatą i cały ładunek wyrzucili do morza, oświadczając, że żadnych ceł nie będą płacić i wstrzymują handel z macierzystym krajem. Jest to jawne wypowiedzenie wojny, a król Jerzy III zamiast konflikt załagodzić, jeszcze go podsyca. - Haynau uśmiechnął się ironicznie i ciągnął dalej. - Po tym incydencie w Bostonie z Ameryki nie odpłynął ani jeden statek z tytoniem, a im dłużej ta blokada potrwa, tym wyżej pójdą ceny tytoniu w Europie. - W tym miejscu popatrzył na Roberta. - Nie mogłem ci tego napisać wprost, bo gdyby po drodze list wpadł w niepowołane ręce, ktoś mógłby wkręcić się w nasz interes. - Tak właśnie zrozumiałem twoje decyzje. Czytałem angielskie gazety i natknąłem się na wzmianki o pierwszych starciach kolonistów z wojskiem, ale nie brałem tych doniesień poważnie. - Anglicy mają powód, aby zatuszować całą sprawę - rzekł Gottfried i sięgnął po raporty sporządzone przez Roberta. - "Oxhoft 700 ciemnej długolistnej Virginii, 700 żółtego Marylandu, 500 średniego Swicutt, 400 przedniego, 400 wyborowego Lux, 300 drobnego żółtego Marylandu i do tego 300 York River Swicutt". Te dwa ostatnie gatunki już dwa lata temu szły po trzy dolary za funt. - Ale nie Oxhoft. Wytargowałem specjalne rabaty i ceny są znacznie niższe. - Widzę. Liczyłem co najwyżej na 2800, a ty dorzuciłeś jeszcze 600, mamy więc razem więcej, niż wypala się w całej Hesji przez dwa lata. Już przy zakupie zarobiliśmy dwadzieścia procent, w ostatnich tygodniach ceny wzrosły o trzydzieści, więc jeśli ta wojna przeciągnie się do lata, możemy liczyć na zysk w granicach 60 do 80 procent. - O jakiej tu wojnie mowa?! - skrzywił się Claus. - Kilku łobuzów w Bostonie wrzuciło do morza kilka worków herbaty, paru szaleńców wyszło na

ulice z bronią, a wy nazywacie to wojną? Angielscy żołnierze nawet nie kiwnęli palcem, a już się uspokoiło! Nie padł ani jeden strzał! Buntowników masz wszędzie, ojciec - popatrz na swoich chłopów - i nie traktuj ich poważnie. - Wierzę Schlieffenowi. Ma pewne informacje i potrafi przewidywać. - Tylko że statek płynie z Ameryki cztery do sześciu tygodni i te jego informacje po drodze pleśnieją! - Trzymajmy się jednak faktów - wtrącił Robert. - Od kilku miesięcy w londyńskim porcie nie zjawiał się ani jeden statek z Ameryki, podobnie zresztą jak w Amsterdamie, jeśli nie liczyć drobnych oszustów i przemytników. Statki nie płyną i moim zdaniem należałoby przetrzymać towar - dodał, wstając z fotela. Gottfried zamyślił się. Gdy chłopcy dorastali, wydawało się, że Claus będzie kupcem, a Robert oficerem, tymczasem stało się na odwrót. Robert ma żyłkę kupiecką i nie boi się ryzyka, jest przy tym zdecydowany i bystry. Gdyby zobaczył, że koło fortuny przetacza się obok niego, gotów bez wahania wetknąć kij w szprychy, by je zatrzymać. Dziwne, pasierb, a jest bardziej podobny do Gottfrieda niż Claus, jego rodzony syn. Clausa trudno zrozumieć. Kto wie, czy nie zrzuci oficerskiego munduru równie szybko, jak go przywdział? W zasadzie nie nadaje się na żołnierza - brak mu wyrachowania, które w tym zawodzie jest konieczne. Claus o tym wie, lecz się nie przyzna, dopóki nie przestanie sprzeciwiać się ojcu. W istocie, gdyby Gottfried von Haynau był ubogim mieszczaninem, syn by go nienawidził, ale tak już widocznie musi być. Synowie doceniają ojców, gdy jest już za późno, w przeciwnym razie może nigdy nie zdobyliby się na samodzielność... Gdy ojciec żył, Gottfried też myślał o nim inaczej niż teraz. Trudno nie porównywać, gdy ma się dwóch synów. Obaj są jednakowo wrażliwi, jednakże w przypadku Roberta cecha ta w pewnym sensie równoważy inne i pomaga mu w życiu. Clausowi nie. Być może Gottfried obiektywnie ocenia tylko Roberta, z którym nie łączą go więzy krwi? Claus zresztą na pewno się zmieni, gdy znajdzie odpowiednią kobietę i założy własną rodzinę... Tak rozmyślając, Haynau na skrawku papieru coś liczył, dzielił, skreślał, jakby część jego mózgu wyłączyła się i wykonywała wyłącznie obliczenia. W pewnym momencie zmiął papier i rzekł: - Zgadzam się z Robertem, zatrzymujemy tytoń. I teraz drugi punkt: sprzedajemy go Zagrianiemu, czy też występujemy o koncesję na całą Hesję-Kassel? - Wyjął jakąś notatkę i rzekł: - Zagriani już się do mnie zgłosili; proponuje cztery raty, pierwszą w marcu tego roku, ostatnią w przyszłym, wszystkie w równej wysokości. - Ma na myśli marzec 77 roku? - spytał Claus. - Jeśli ceny tytoniu w ciągu roku wzrosną dwa razy, będzie zacierał ręce, a my możemy pluć sobie w brodę - rzekł Robert. Odsunawszy lampę na biurku, dodał: - Warto by się zastanowić, czy nie przejąć całego handlu. - Musielibyśmy zdecydować natychmiast. Zagriani ma do końca grudnia zapłacić landgrafowi za odnowienie koncesji czterdzieści tysięcy guldenów. Moglibyśmy go przebić. - Wiecie dobrze, że na to nigdy się nie zgodzę - odezwał się Claus. - Nawet Żydzi nie postępują w ten sposób, a ty przed chwilą mówiłeś, że w obecnej sytuacji lepiej nie narażać naszego nazwiska na szwank. Zapomniałeś, kogo ludzie nie cierpią najbardziej? Poborców podatkowych i cudzoziemskich zdzierców, którzy wysysają nasz kraj wszelkiego rodzaju opłatami, podatkami, cłami i Bóg wie czym jeszcze. Niedawno w Winz wychłostano francuskiego nadzorcę winnic, a wy się sami pchacie, by także oberwać. I to z kim?! Z Zagrianiem, który tytuł hrabiowski nadał sobie sam! - Twoje święte oburzenie jest nie na miejscu, synu. Gdyby Zagriani miał córki, które landgraf mógłby zaciągnąć do łóżka, na pewno dostałby legalny tytuł już dawno. Ja do niego nic nie mam. W końcu ja też sam ciosałem sobie drabinę, by piąć się w górę, i jest to jeden z powodów, dla których nie chcę Zagrianiemu wchodzić w drogę. - Ile musielibyśmy dać landgrafowi za koncesję? - Roberta interesowały tylko fakty. - Moglibyśmy na przykład zapłacić za dwa lata z góry. - Czyli osiemdziesiąt tysięcy guldenów - mruknął Claus. - A ja myślałem, że całą gotówkę władowaliście w tabakę! - Tylko to, co zostało w Amsterdamie u van Nottena. Claus zaniemówił. Sumy, którymi operowano w tej rozmowie, daleko przekraczały jego wyobrażenie o majątku ojca. - Jestem pewien, że serenissimus taką propozycję przyjmie -

usłyszał głos ojca. - Skarbiec świeci pustkami, a mimo to księżę składa codziennie nowe zamówienia. Najgorzej na tym wychodzą budowniczowie: przyjmują zlecenia, harują jak woły, a potem jeden po drugim bankrutują, bo jaśnie pan księżę po prostu nie płaci. W naszej manufakturze też złożył zamówienie: zastawa stołowa na sto dwadzieścia osób, niebiesko-złota, do zamku, którego pierwsze szkice przysłał mu architekt z Rzymu! Robert bawił się kawałkiem laku, który leżał na biurku. - Jeśli chcecie posłuchać mojego zdania, to uważam, że powinniśmy się wstrzymać. Z pewnością wielu by się ucieszyło, gdybyśmy Zagariniego jako cudzoziemca wyparli z rynku, ale zgadzam się z Clausem, że narobiliśmy sobie także wrogów. Twoja taktyka, ojczu, polegała na czekaniu, aż landgraf sam do ciebie przyjdzie, i nigdy, jak inni, nie pchałeś się do niego z pieniędzmi, a on i tak zawsze od ciebie brał. - Zgoda - odpowiedział Gottfried po chwili zastanowienia. - Pozostańmy przy tym, że wielu ludziom zależy, aby ta amerykańska "wojna herbaciana" trwała jak najdłużej. Już samo słowo "wojna" działa jak zaklęcie, po którym pieniądze same zaczynają się mnożyć. Przejdźmy teraz do następnego punktu - rzekł, sięgnąwszy po drugą teczkę. - Jutro o dziesiątej wyznaczono termin w sprawie Czaplej Wyspy. - Coś z moją wyspą jest nie tak? Gottfried dał Robertowi znak, aby pozwolił mu skończyć. - Pomiar i stare dokumenty leżą już u starosty w Ziegenhain. Zgodnie z nimi wyspa należy w połowie do Sonsfeldów i w połowie do twojej matki. Robert nie wytrzymał. - Ale Sonsfeldowie nigdy nie zajmowali się wyspą! Gdyby Ludolf nie naprawiał przystani na ich brzegu, dawno by runęła do wody. Zgodnie z prawem zwyczajowym wyspa należy do nas. - Dawno już odkupiłbym tę połowę, ale z Sonsfeldem nie da się rozmawiać i dlatego też przekazałem sprawę staroście. Wycenił przedmiot sporu na pięćset guldenów. Ja już swoją część wpłaciłem, więc jeśli Sonsfeld do jutra nie wpłaci tyle samo, wyspa w całości przechodzi na nas. - Po co akurat teraz to całe zamieszanie? - Landgraf zamierza przyjechać na czaple i nie myślcie przypadkiem, że to był mój pomysł. - Od lat nie polował na czaple. Czyżby było z nim aż tak krucho, że swoim damom zamiast biżuterii zamierza wręczać czaple pióra? - On zawsze miał talent do wydawania cudzych pieniędzy - mruknął Gottfried i otworzył czarną szkatułkę. Na białym jedwabiu leżała brosza wysadzana szafirami i diamentami. - Paryż? - spytał Robert. - Frankfurt, ale ten Derenda ma już takie same ceny jak w Paryżu. - A dla kogo to? Minęła długa chwila, zanim Gottfried odpowiedział: - Dla Christine von Sonsfeld. Bracia spojrzeli po sobie. - Dla Christine? Przecież to jeszcze dziecko! - U dziewczynek to normalne, że w ciągu jednej nocy przepoczwarzają się w panienki. - I Sonsfeldowie zamierzają nią ratować się przed ruiną? - Matka, zdaje się, już szykuje dla niej jakiś kontrakt. Robert obejrzał broszę z bliska. - Jeśli dziewczyna zna się na kamieniach, powinna landgrafowi zwrócić tę broszę. Żaden z kamieni nie ma więcej niż ćwierć karata. Coś takiego można ofiarować kurtyzanie za jeden wieczór, a nie panience z tytułem. Claus, który przysłuchiwał się rozmowie z boku, zaśmiał się ironicznie. - Ty to nawet własną siostrę byś przehandlował! Robert spojrzął na niego zdumiony. - O, czyżby panna Sonsfeld była tak piękna, że jesteś o nią zazdrosny? Muszę jej się kiedyś przyjrzeć. - A nie zrobiłeś tego? Przecież z każdej podróży przywozisz jej prezent. - Bawi mnie, jak jej matkę aż skręca ze złości. Nic poza tym. Gdy przed rokiem ostatni raz widziałem Christine, składała się wyłącznie z nóg i rąk, za długich i za chudych, no i sukni, wiszącej jak na wieszaku. - No to dziś byś jej nie poznał - odparł Claus. - Jak ojciec mówi: dziewczęta dorastają w ciągu jednej nocy. Gottfried przysłuchiwał się uważnie, chcąc wywnioskować, co każdy z nich sądzi o Christine. - Dla mnie to oczywiste, że dziewczyna za wszelką cenę chce się wyrwać z upadającego zamczyska i zgodzi się na wszystko - rzucił mimochodem. - Trzeba mieć nadzieję, że nie jest już takim niewiniątkiem, na jakie wygląda. - Wiesz, kto naraił ją landgrafowi? - spytał Robert. - Broszę zamówił u mnie Schlieffen. - Czy dzieje się coś, w czym on by nie maczał palców? - Ja w każdym razie nie będę narzekać - rzekł Gottfried, na co Claus się zachnął: - Nie cierpię tego intryganta! - To najważniejsza osoba na dworze... - I najbardziej skorumpowana! Gottfried kiwał cały czas

głową. - Gdybyś mu dokładnie patrzył na ręce, mógłbyś się nauczyć wielu pożytecznych rzeczy. Trzyma się od wszystkiego z daleka, inni pracują na niego, a on tylko wydaje rozkazy. - Schował broszkę do szkatułki. - Teraz już wiecie, na jakie czaple będzie się tu polować. - Zwinął dokumenty z biurka i razem ze szkatułką zamknął w szafie. Robert zamyślony patrzył na ojca stojącego przy skrytkach, w których znajdowała się cała historia jego życia i kariery. Poukładane i opieczętowane leżały tam akty własności, w tym również dowody nabycia niemal wszystkich dóbr Sonsfeldów, z wyjątkiem niszczącego zamczyska, które im jeszcze pozostało. Były tam akty dzierżawne kilkunastu gospodarstw, manufaktury porcelany, dawnej pohugenockiej przędzalni bawełny, kilku fabryk i trzech kamienic w Kassel. Wszystkie te dokumenty ojczym pokazał Robertowi, w dniu gdy ten osiągnął pełnoletność. Po datach sądząc, Gottfried von Haynau dochodził do majątku stopniowo. Każda transakcja była udokumentowana, podpisana i nie budziła najmniejszych wątpliwości. W jednej z przegródek leżał też akt adopcyjny Roberta. Ojczym włożył go do czarnej koperty wraz z zawiadomieniem o śmierci złotnika Roberta Skelnika. Trudno powiedzieć, czy oba te dokumenty były autentyczne, czy też Haynau uzyskał je poprzez transakcje handlowe? Myśl ta przyszła Robertowi do głowy po raz pierwszy w życiu i przeraził się. Bał się chwili, kiedy ojczym na niego spojrzy, bo nie był pewien, czy zdoła się powstrzymać przed zadaniem mu tego pytania. Uczyniwszy to, bez wątpienia raz na zawsze zamknąłby sobie drogę do prawdy. - Dokąd się spieszysz? - usłyszał głos Clausa i dopiero w tym momencie zorientował się, że bezwiednie idzie do drzwi. 8 Wyszedł przed dom i zapatrzył się w usiane gwiazdami niebo. Miał ochotę pobiec do stajni, wskoczyć na konia i uciec, zaszyć się gdzieś w trawie i przespać aż do porannej rosy. W domku zarządcy paliły się światła, przed stajnią kręcili się jeźdźcy czekający na polecenia Clausa, który po chwili pojawił się na schodach z czterema ciężkimi strzelbami w drelichowych futerałach. - To jedziesz z nami? - spytał, mijając Roberta. - Obawiam się, że zasnąłbym w siodle. Parobek przyprowadził Clausowi konia, a pomagając mu wsiąść, spytał: - Psy poprowadzicie wy, panie? - Psy zostają. Wszyscy gotowi? - Tak jest, panie. - Pogoda chyba się utrzyma - zauważył Robert, lecz Claus nie odpowiedział.. Przytroczył wszystkie cztery strzelby do siodła, zapiął bluzę i dał znak jeźdźcom, by ruszali. Robert patrzył, jak znikają w ciemnościach na końcu alei. Słyszał tylko miarowy tętent końskich kopyt, po chwili zegar na dzwonnicy domku zarządcy wybił kwadrans. Tu był rodzinny dom Roberta. Tu się urodził, wychował, a teraz rozmyśla, że pewnego dnia stąd wyjedzie, by nigdy już nie powrócić. Było to dla niego nowe przeżycie. Nie wiedział, co znaczy tęsknota, a teraz nagle poczuł się obco i chciał uciec gdzieś, gdzie nie zna ani jednego drzewa, ani jednej ścieżki, żadnej wysepki. Gdzieś, gdzie bogactwo jednych nie oznacza biedy innych, gdzie ziemia należy jeszcze do wszystkich... Z zamyślenia wyrwało go bicie zegara stojącego w holu. Rzucił się do drzwi i kilkoma susami wbiegł po schodach na górę. Robert nie przypuszczał, że drzwi do pokoju matki zastanie zamknięte, a mimo to, gdy klamka pod jego dłonią ustąpiła, był zaskoczony. W kominku jeszcze się paliło, świeże polana dołożono chyba przed chwilą, gdyż nie zdążyły zapłonąć i mocno dymiły. Anna von Haynau siedziała we wnęce przy oknie, na kolanach trzymała robótkę. Robert zdjął lichtarz z kominka i postawił na stoliku obok niej. Odruchowo zasłoniła oczy. Koszyczek z kordonkiem stał zamknięty na podłodze, nie nawleczone igły tkwiły w zielonej poduszeczce. Matka zwinęła robótkę i wstała. - Myślałam, że wasza konferencja się przedłuży - rzekła, podchodząc do kominka i wyciągając dłonie ku płomieniom. - Ojciec i Claus też przyjdą na górę? - Claus przed chwilą wyjechał. Polana buchnęły żywym, jasnym ogniem, rozsiewając po pokoju migocące światło. - Myślałam, że ojciec zdoła go zatrzymać. O co chodziło wieśniakom? - Dziki w tym roku czynią straszne szkody. Ludolf uważa, że to oznacza łagodną zimę. - Byłeś na Czaplej Wyspie? Coś się tam zmieniło? - spytała matka spokojnie. Ciekawe, czy zachowa ten spokój, gdy on zada jej pytanie? - Dawno tam nie byłaś. Mam wrażenie, że unikasz tego miejsca; chodzi o przykre wspomnienia? Odwróciła

od niego twarz. - Napijesz się kawy? - zaproponowała, a Robert, o dziwo, poczuł się rażniej. Jeszcze przed chwilą zastanawiał się, czy zadać matce pytanie, które nurtowało go od kilku godzin, a teraz nagle opuściły go wszelkie wątpliwości. - Kim jest Soerman? - spytał, a ona wcale nie wyglądała na zaskoczoną! Zrobiła ruch, jakby chciała przysunąć się bliżej ognia, i uśmiechnęła się. - Mogłam przypuszczać, że pani Retz nie wytrzyma... - Co pani Retz ma z tym wspólnego? - zdenerwował się. - Co tu się dzieje? Od kiedy wiesz, że Soerman żyje, i dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Możesz mi to wytłumaczyć? - Zadałeś zbyt wiele pytań naraz... - Chciała się odwrócić, lecz Robert mocno chwycił ją za ramię. - Przez dwadzieścia lat nie zadawałem ich wcale! - rzekł z naciskiem. Popatrzyła na niego. W tych oczach, które zawsze spoglądały na niego ciepło i czule, pojawił się krótki, dziki błysk. - Mnie te dwadzieścia lat dłużyły się bardziej niż tobie! Puścił jej rękę, mimo to nie odeszła. - Jak chcesz, to pytaj! - rzekła krótko, a on zastanawiał się, od czego zacząć. Nie chciał jej sprawić bólu. Kto wie, czy nie musiała kłamać, by ocalić swoją posiadłość i przeżyć, lecz jeśli nawet tak było, powinien o tym wiedzieć. - Czy to, co opowiadałaś mi o ojcu, jest prawdą? - Tak. Twój ojciec był człowiekiem, który... jak by to powiedzieć... nie mógł znieść myśli, że świat, w którym przyszło mu żyć, został już rozdany. Jako kobieta nie miałam pretensji, że z tego rozdania niewiele mi przypadło, lecz on cierpiał strasznie. Gdy usłyszał, że w Nowym Świecie coś jeszcze można dostać, zdecydował, że tam rozpocznie nowe życie. Miałaś się wkrótce urodzić, więc postanowiliśmy, że przyjadę do Ameryki, jak trochę podrośniesz, ale nasze plany pokrzyżowała wiadomość o jego śmierci... Robert nie mógł sobie przypomnieć, o co właściwie ją spytał, a jednak miał wrażenie, że odpowiedziała mu na zupełnie inne pytanie. - A ten Soerman? Co pani Retz ma z nim wspólnego? - Jest teraz u niej. Czy oni czasami nie mówią o dwóch różnych osobach? - U pani Retz jest dezerterski twierdzy czy pomocnik mojego ojca? - Jeden i drugi: Freder Soerman. - Dawno tu jest? - Przed kolacją zastałam go w mojej garderobie. Robert próbował uporządkować myśli. Zaczął od mało prawdopodobnego przypuszczenia, od tropu pewnej bardzo zawilej tajemnicy, a tu wszystko okazuje się niezwykle proste. - To on jest w naszym domu? I był tu cały czas, gdy jedliśmy kolację? Dlatego byłaś taka zdenerwowana! - To było widać? - Inni chyba nie zauważyli... - Urwał nagle, gdyż ogarnęło go wrażenie, że kobieta, z którą rozmawia, nie jest żoną Gottfrieda von Haynau, lecz Roberta Skelnika, jego ojca. - Zdajesz sobie sprawę, co ryzykowałaś? Claus przyprowadził do domu psy gończe! - Słyszałam ich ujadanie. Soerman też, ale u pani Retz jest raczej bezpieczny. - On nie może tu zostać! Powinnaś była natychmiast mnie zawiadomić. Odwróciła się, udając, że poprawia fryzurę. Robert znał ten ruch doskonale, a mimo to w tej chwili wydał mu się dziwny. - Chciałam ochłonać przed rozmową z tobą i trochę uporządkować myśli. Od dwudziestu trzech lat wierzyłam, że Freder Soerman nie żyje, a tu nagle widzę go przed sobą! - Chodziła po pokoju tam i z powrotem, wreszcie stanęła za oparciem wysokiego krzesła. - Kiedy przyszła wiadomość o śmierci twojego ojca, nie uwierzyłam i ze spakowanymi walizkami czekałam dniami i nocami na znak, że mogę wyjechać. Dziwiłeś się później, że zawsze wiem, o której wróciłaś do domu, a ja wiedziałam nie tylko to. Słyszałam każde skrzyknięcie, każdy szelest. Przez cały rok nasłuchiwałam i czekałam... - Urwała i zrobiła kilka kroków. Robert wyobraził sobie młodą kobietę, która całymi nocami czuwa przy świetle kominka. Na czubkach palców podchodzi do wiklinowego kosza, pochyla się nad śpiącym w nim dzieckiem, przysiadła potem na fotelu lub najbliższym krześle i walczy ze snem. - Po prostu nie mogłam uwierzyć, że już go nie zobaczę - dobiegł go głos matki. - To dziwne, ale gdy dziś zobaczyłam Soermana, wcale się nie przestraszyłam. Właściwie to się spodziewałam, że kiedyś przyjdzie. - A ojciec? Czy on także żyje? Westchnęła ciężko. - Moje przecucia wtedy były słuszne. Wiadomość o zatonięciu okazała się nieprawdziwa. Soerman twierdzi, że zaraz po wylądowaniu w Ameryce twój ojciec do mnie napisał, a potem przez dwa lata wysyłał listy każdym statkiem, który płynął do Europy. - Ty oczywiście żadnego listu nie dostałaś? - Ani jednego! A on nie

doczekał się odpowiedzi... - Gdzie ojciec jest teraz? - Soerman wrócił pięć lat temu, ale już wtedy nie utrzymywał z ojcem kontaktów. - Dlaczego wrócił? - Nawet go nie pytałam. Chciałam tylko usłyszeć wieści o Robercie. - Wypowiedziała to imię z taką łatwością, jakby dwadzieścia trzy lata rozłąki nie miały dla niej żadnego znaczenia. Robert bez trudu odgadł, co teraz dzieje się w jej sercu i myślach. Ich uczucia musiały być przecież bardzo podobne. - Wszystkie listy nie mogły zaginać, a to oznacza, że ktoś je przechwytywał. Nie było odpowiedzi. Matka najwyraźniej jej się bała i wołała zamilknąć. - Kto powiadomił cię o śmierci ojca i Soermana? - Robert spróbował dojść prawdy inną drogą. - Dokumenty przysłano z Londynu, od Lloyd'a. Było to zawiadomienie o zatonięciu "Thetis" wraz z listą zaginionych pasażerów i członków załogi. Wszystko jak najbardziej wiarygodne. - A mimo to miałaś wątpliwości... - Jak mogłam myśleć o śmierci, gdy nosiłam na rękach ciebie? Kobieta, która urodzi pierwsze dziecko, nie jest w stanie myśleć, że wydane na świat życie kiedyś się skończy... Robert nie mógł uwierzyć, że to mówi jego matka. Takich słów i takiego tonu jeszcze u niej nie słyszał. - A kto konkretnie przyniósł ci ten list z Londynu? - Landgrafowi zależało na odzyskaniu pieniędzy i miał nadzieję, że przynajmniej ich część została tutaj. Kazał wszcząć szczegółowe śledztwo... - Znowu unikasz odpowiedzi! Kto konkretnie? Kto prowadził dochodzenie, kto przyniósł wiadomość? Patrzyła przed siebie, najwyraźniej nie zamierzając odpowiadać. - W takim razie ja odpowiem: to był mój ojczym! - Skąd ci to przyszło do głowy? - oburzyła się. - Zatajenie prawdy przed tobą leżało w jego interesie, a kiedy okłamał cię pierwszy raz, musiał kłamać do końca, i dlatego kazał przechwytywać listy. - Nie mów tak, proszę cię! Nie zapominaj, co on dla mnie wtedy zrobił. Nie miałam żadnych szans i gdyby nie on, straciłabym wszystko. Nie chcę, aby tamte zdarzenia odbiły się źle na twoich stosunkach z ojcem. Czasu nie da się cofnąć jak zegara, pamiętaj! Kiedy zobaczyłam przed sobą Soermana, gotowa byłam wsiąść do karety, tak jak stałam, nie martwić się, że będzie zimno, że nie mam pieniędzy na noclegi w gospodach. Byleby stąd uciec, lecz to była chwila i później dziękowałam Bogu, że nie dałam się ponieść emocjom. Powiedziałam sobie, że moje miejsce jest tutaj. W końcu przez te lata wiodło mi się dobrze, byłam nawet szczęśliwa, choć w inny sposób, niż sobie wymarzyłam... Tutaj nie trzeba szukać winnych, Robercie, bo nikt po prostu nie zawinił! Robert milczał. Nie potrafił znaleźć słów, ani nawet gestu, który najlepiej wyraziłby to, co naprawdę czuje. - Zajmę się Soermanem - rzekł. - Co pani Retz o nim wie? - Tylko tyle że uciekł z twierdzy. Dawniej go nie znała, nie wie nawet, jak się nazywa. - Przeprowadzę go przez granicę. - Dziękuję ci, synu! - Nagle rzuciła mu się na szyję, nie jak matka, lecz jak młoda, bardzo młoda kobieta. - Będę czekać, aż wrócisz. - Nie czekaj, mamu. Trudno powiedzieć, ile czasu mi to zajmie. Wolałaby, aby nie wychodził. - Uważaj na siebie! - zdołała wyszeptać. Pani Retz mieszkała w dobudówce na tyłach domu zarządcy. Przed gankiem posadziła róże, tak wysokie, że kiedy latem zakwitają, z daleka było widać tylko wysoki komin jej domku i siedzącą na nim parę białych gołębi. Robert przywiązał konie do płotu przy ogrodowej furtce. Na szczęście ani w stajni, ani później na dziedzińcu nie spotkał nikogo. Wybrał dwie najspokojniejsze i najmniej płochliwe klacze. Gdy przechodził obok psiarni, usłyszał ciche warczenie. Robert sięgnął przez płot i odryglował furtkę. Róże były już owinięte chochołami, ale na wystających czubkach pozostały jeszcze pąki i choć żaden nie był w pełni rozbity, pachniało jak wiosną. Przez okienko nad drzwiami sączyło się słabe światło. Robert zapukał trzy razy. Rozległy się ciężkie kroki, klapka w drzwiach się uchyliła. - To ja! - rzekł półgłosem. Pani Retz otworzyła. W salonie stół był nakryty, z kuchni dolatywał zapach smażonego boczku, na desce leżał kawałek sera, chleb i masło, przy kaflowym piecu stały wysokie męskie buty. Pani Retz wskazała na drzwi w drugim końcu pokoju. - Jest tam. W życiu nie widziałam, żeby ktoś tak dużo i tak szybko zjadł! Soerman leżał na łóżku. Robert wziął ze stołu świecę i podszedł bliżej. Spodziewał się, że przy najlżejszym hałasie mężczyzna zerwie się na równe nogi, ale się pomylił: dezerterspał jak kamień. Oddychał miarowo. Wydawał się młodszy niż

zawiniątkiem, które żywo podskakując wyglądało, jakby też brało udział w psiej walce czy może zabawie. Soerman wyłonił się zza dębu i rzekł: - Powiedzcie mi, proszę, dlaczegoście zaryzykowali wyprowadzenie karety z wozowni? Przecież wtedy nie wiedzieliście, kim jestem. - Mieliście pięćdziesięciu przeciwko sobie. - Nie tylko wyglądacie jak ojciec, ale też mówicie jak on. - Soerman pokręcił głową. - Nadawaliście się do Nowego Świata, dla mnie był on zbyt "nowy". - Ruszajmy, mamy przed sobą daleką drogę. - Chyba nie tak daleką, jak myślicie. Nie jedziemy do granicy, wystarczy, że zaprowadzicie mnie do wypalarni węgla w dębowym lesie. Radziłbym jednak nie mówić o tym kobietom. - A więc to prawda, co o was mówią. - Co mianowicie? - Że należycie do bandy Długiego Hoyma... - Nastaly złe czasy, a tacy ludzie jak Hoym w pewnym sensie próbują złagodzić ich skutki. Nie chcę go bronić, ale czy wiecie, że wielu wieśniaków stać wyłącznie na kupno przemyconych towarów? - Napad na Żyda Lessera to też wasze dzieło? - Wtedy zaczynałem i musiałem robić to, co mi Hoym kazał. Dziś już się usamodzielniałem, choć dalej współpracujemy. Nawet w tej chwili jestem na służbie: posłużyłem mu za przynętę! Dziś z Kassel przywiozą do twierdzy żołd. Trzy talary i pięć groszy na żołnierza i czterdzieści osiem talarów na oficera, niezła sumka, co? Kiedy straż i milicja zajęte są łapaniem dezertera, Hoymowi pójdzie łatwiej... - Czy to znaczy, że zaciągnęliście się do twierdzy specjalnie? - Jak swój do swoich! Mam wprawę w uciekaniu i potraktowałem to jako kolejną zabawę. Dalej jechali w milczeniu. Ze wzgórz, które przemierzali, widać było całą leżącą poniżej kotlinę. Na polach paliły się ogniska przymusowych nocnych straży, przy bramach domostw i dworów nie pogaszono świateł. Twierdza Ziegenhain rysowała się na tle ciemnego nieba wianuszkami smolnych pochodni płonących na wałach. Panowała absolutna, wręcz denerwująca cisza. - Tam w Ameryce są farmerzy, którzy mają ziemi więcej niż cała ta dolina - odezwał się Soerman. - Tylko że nie ma tam twierdz, które by ich pilnowały... - To dlaczego tam nie zostaliście? - Ja chyba należę do ludzi, którzy nie mogą znieść, że im się wszystko udaje. Czuję się lepiej wśród tych, co wciąż marzą, choć zdają sobie sprawę, że ich marzenia nigdy się nie spełnią. Tam każdy, komu się nie powiodło, może mieć żal tylko do siebie, tu można zwalić winę na innych... Robert dopiero teraz zauważył, że to Soerman prowadzi. Jechali leśną przecinką, z daleka pomiędzy drzewami widać już było ognie węglarni. - Możecie już zawrócić - rzekł nagle Soerman. - Boicie się, że ktoś może nas zobaczyć? Soerman roześmiał się. Przyłożył dłoń do ust i cztery razy pod rząd huknął jak sowa. Pierwsza odpowiedź padła z zarośli, o kilka kroków od miejsca, w którym stali, druga z nieco większej odległości, a trzecia z wierzchołków drzew rosnących obok. - Widzicie? Obserwuje nas kilkanaście par oczu, a my nawet o tym nie wiemy! - Podoba się wam takie życie, Soerman? - Nie zawsze robi się to, co się komuś podoba. - Proszę mi powiedzieć szczerze: dlaczego opuściliście Amerykę? - Można by równie dobrze spytać, dlaczego nie pozostałem w ojczyźnie. Byłbym dziś w Szwecji szanowanym radcą dworu - tam zostaje nim każdy, kto zna więcej niż dwa obce języki - nosiłbym peruki z lokami i kołnierzyki z brukselskich koronek i zasiadał we własnej łoży w teatrze. - A ta ucieczka z moim ojcem? - Możecie sobie darować to przesłuchanie. - Ognie węglarni były coraz bliżej. - Właściwie nie ma o czym opowiadać. W styczniu 1752 roku dopłynęliśmy do Ameryki, i tyle. - Na jakim statku? - Nie tym, na który nas wpisano u Lloyda. Skelnik i Soerman, uważani za zatopionych na "Thetis", w rzeczywistości nawet nie weszli na jej pokład. Przemycając tak wielką sumę pieniędzy, nie warto ryzykować. Popłynęliśmy żaglowcem "Vespucci", oczywiście pod fałszywymi nazwiskami. "Ojczym miał ułatwione zadanie! - pomyślał Robert. - Skelnik sam podsunął mi pomysł, a jemu pozostało tylko przechwycić jego listy. Niczego nie ryzykował, skoro tamten sam skreślił siebie z listy żywych." Robert nie czuł do niego żalu, pragnął jedynie poznać całą prawdę. - Nagle wpadło mi w ręce trzydzieści tysięcy złotych dukatów. Nie przypuszczałem, że pański ojciec równo się ze mną podzieli. W końcu kim ja dla niego byłem? Zwykłym pomocnikiem, którego przyjął tylko dlatego, że mógł

rozmawiać z nim po polsku, w swoim ojczystym języku. Sam nie wiedziałem, czy się cieszyć, bo miałem wrażenie, że wypłacił mi połowę łupu, żeby się mnie pozbyć. Teraz wiem, że wcale tak nie myślał; chciał mi dać szansę na ułożenie sobie życia po swojemu. - A on jak się urządził? - Zniknął. Gdy zjawiał się w Nowym Jorku, by osobiście przekazać listy kapitanowi statku płynącego do Europy, za każdym razem wyglądał gorzej. Potem przez rok nie widywałem go wcale, aż pewnego dnia zobaczyłem go w Filadelfii, gdzie zawędrowałem. Jechał w eleganckim powozie i gdy rozpoznał mnie na ulicy, kazał mi wsiąść i zabrał do siebie. Kupił spory kawał ziemi i wybudował nad brzegiem rzeki Delaware olbrzymi dom. Okolica, krajobraz, rzeka, wszystko to przywodziło na myśl Hesję. Nawet dom, który wtedy był w budowie, przypominał dworek w Haynau. Pokoje dla was i matki były już wykończone i urządzone z wielkim przepychem; kupił nawet zabawki! Kiedy dziś ukryłem się w garderobie pańskiej matki, mimowolnie przypomniałem sobie tamten dom w Ameryce. Pachniało tam identycznie, lawendą czy też kwiatem pomarańczy... - Jakby uprzedzając pytanie Roberta, po krótkiej przerwie dodał: - Potem już ani razu go nie spotkałem. - A co wy porabialiście? - Nic, czym mógłbym się pochwalić. Trzydzieści tysięcy dukatów rozeszło się w mig, a resztki zainwestowałem w przemysł. Wciągnęło mnie i kursowałem pomiędzy Europą a Bostonem, ale Anglicy ukrócili ten proceder i w Londynie skonfiskowali statek wraz z towarami. Straciłem wszystko, na dodatek skazano mnie na sześć lat więzienia. Po siedmiu tygodniach uciekłem z Newgate, jednak na powrót do Ameryki nie miałem już ani pieniędzy, ani ochoty. Potem... - Konie szły samopas. Soerman pociągnął cugle i roześmiał się. - Uprzedzałem was, że będzie to opowieść bez końca. Roberta Skelnika nie spotkałem od tego czasu i nic więcej nie mogę o nim powiedzieć. - I tak dużo się dowiedziałem. Jeszcze kilka godzin temu byłem przekonany, że on nie żyje. - On też byłby szczęśliwy, gdyby wiedział, że ma syna. - Od tamtego czasu spłodził następnych... - Możliwe, choć nie sądzę. Gdy próbuję wyobrazić sobie tamten dom, widzę, że jest pusty. Skelnik budował go dla tej jednej kobiety i nie przypuszczam, żeby mógł wprowadzić do niego inną. Wypalarnia była już blisko, w powietrzu unosił się ostry zapach dymu, żywicy i smoły. Z chaty węglarzy ktoś wyszedł, zaraz potem rozległo się hukanie sowy. Robert nie był pewien, czy to sygnał, czy też głos prawdziwego ptaka. Soerman odpowiedział i znów zapadła cisza. - Lepiej już wracajcie. Po co wszyscy mają wiedzieć, że to wyście mi pomogli - rzekł półgłosem. - Jak mogę was odnaleźć? - spytał Robert po chwili wahania. - Po co? O ojcu powiedziałem już wam wszystko. - Nie tylko o to chodzi. - Znacie kobietę, która co tydzień zawozi wiadomości z Ziegenhain do Kassel? - Oczywiście, zagłąda także do Haynau. - Jej możecie zaufać. Zawsze wie, gdzie mnie znaleźć. - Soerman zeskoczył z konia i podał Robertowi cugle. - Nie, możecie go sobie zatrzymać. - To już drugi koń podarowany mi przez Skelnika. Jak ma na imię? - Trewir. Nasz koniuszy pochodzi z Nadrenii. Soerman zawołał konia po imieniu, poklepał po pośladkach i brzuchu, pogłaskał po szyi, jakby odprawiał ceremonię przejęcia go na własność. Skoczył na siodło, uniósł rękę w geście pożegnania i zniknął. Ciszę na krótko przerwały dobiegające z dala przytłumione głosy. Robert siedział na koniu jak wmurowany, w głowie kołatała mu jedna myśl: to wszystko jest snem, z którego zaraz się obudzi i o niczym nie będzie pamiętał. Najszybciej zapomni w ramionach kobiety. Zawrócił konia i ruszył w kierunku Ziegenhain. Pacholek zastukał krótko do kuchennego okna zajazdu "Pod Czarnym Niedźwiedziem", jak zawsze, gdy przychodził gość, któremu zależało głównie na córce karczmarza. Dla jej błyszczących oczu i pięknych kręconych włosów do gospody przychodziło wielu mężczyzn, aczkolwiek plotki o tym, że nie odmawia nikomu, były mocno przesadzone. Lubiła kokietować i podobać się mężczyznom, i tyle. Na znak pacholka podbiegła do lustra i mocno potarła policzki, aby były rumiane, cienką jak u osy talię przepasała fartuszkami - Jak tam reumatyzm? - spytał Robert, przekazując parobkowi konia. Chłop uniósł lewą rękę ponad głowę. - To jakieś czary, panie! Pięć minut u Hieronimusa z Treysy, a sztywna jak kłoda ręka znów się rusza. Nie chciałem

tam iść, ale karczmarz się uwziął, wsadził mnie na furę i zawiózł. Semler tylko mnie dotknął, a ręka zrobiła się gorąca jak ogień. Powiedział, że to wystarczy, że już nie muszę przychodzić. Zobaczymy, co będzie zimą. Nasi trzej oficerowie ucieszą się, żeście przyszli, panie. Mają dziś ciężki dzień, siedzą w małej sali. Robert dał mu napiwek i wszedł do zajazdu. Przystanął w sieni, kiedy jednak dziewczyna się nie pokazała, zapukał do małej sali. W zadymionym pomieszczeniu panował półmrok, lampa świeciła się jedynie na stole przy piecu, przy którym siedzieli oficerowie werbunkowi Leßberg, Umbach i Scholl. We wnęce przy świeczce siedział samotny gość, który najwyraźniej skończył już posiłek. Scholl, zajęty tasowaniem kart, na widok Roberta zawołał: - No, nareszcie karta się odmieni! A wy dwaj nie nacieszycie się pieniędzmi, któreście ode mnie wygrali. Robert rzucił płaszcz na krzesło i przysiadł się do stolika oficerów. Umbach z ironicznym uśmiechem ostentacyjnie czyścił fajkę. - No, nie wiem, panowie, czy zasługujemy na tak szacowne towarzystwo? Aksamit, jedwabie, koronki... od razu widać, komu się powodzi! - śmiał się, opróżniając pustawy woreczek z tytoniem. - Chyba też wezmę się za handel tym zielskiem i szybko się wzbogacę. - Nabił fajkę i zapalił. - Do tego podróże, piękne kobiety... Tylko pozazdrościć! Leßberg wyprostował się dumnie i rzekł: - Wystarczyłaby mała wojenka i też miałbyś to wszystko, mój drogi! Scholl rozdzielił talię na pół i wprawnym ruchem jeszcze raz przetasował. - Wojenka! - odezwał się rozmarzony, zaraz wszakże spochmurniał. - Jak taki księżę chce do czegoś dojść, skoro nie prowadzi żadnej wojny?! Nasz buduje tylko zamki, a zapomina, że do historii wchodzi się poprzez bitwy. Mojego Holendra, chłopca siedmiu stóp wzrostu, na którego nie pasowały żadne spodnie ani buty, musiałem odstąpić pruskiemu królowi, ale ten przynajmniej płaci! Swoim ministrom daje trzy tysiące talarów rocznie, a mnie za Holendra dał dziewięć! Scholl właściwie nie wiedział, czemu akurat teraz pochwalił się "swoim Holendrem"; pewnie dlatego że prócz tej historyjki, silnego austriackiego akcentu, czterech pierścieni na lewej ręce i tytułu szlacheckiego nie miał nic, czym mógłby zaimponować pozostałym. Umbach i Leßberg słuchali wyraźnie zniecierpliwieni, choć lepsze to niż nic: w ich jednostajnie toczącym się życiu nic ciekawszego nie chciało się zdarzyć. - Krew mnie zalewa, jak pomyślę, że pierwszego grudnia mam złożyć roczny raport! Same wydatki, a ani jednego werbunku... Dawniej mieliśmy więcej chętnych, niż było potrzeba. Nawet garbaci pchali się do munduru i jednego dnia potrafiłem zgarnąć dwudziestu pięciu, i to nie łamagów, ale chłopów na schwał! - Te czasy wkrótce powrócą. - Byle przez moim raportem, bo w przeciwnym razie będę musiał złożyć dymisję. - A czy to twoja wina, że nie ma wojny? Nawet jeśli nam skreślą premię od werbunku, to oficerski żołd pozostanie. - Myślisz, że zająłbym się werbunkiem, gdyby z oficerskiego żołdu dało się żyć? - Nie da się, ale wkrótce będzie wojna. - Powtarzasz to od sześćdziesiątego trzeciego, a mamy już rok siedemdziesiąty piąty. - W siedemdziesiątym szóstym będzie wojna. - Może w Rosji, ale tam mają dość żołnierzy i nas nie potrzebują. - Ty zawsze wszystko widzisz czarno, Umbach. Córka karczmarza przyniosła Robertowi kwartę czerwonego wina. Chciała coś powiedzieć, gdy wszakże zobaczyła, że werbunkowi śledzą każdy jej ruch, uśmiechnęła się tylko. Leßberg podstawił jej swój kufel. - Jeszcze raz to samo! - zawołał. Nalewając mu, zerknęła na Roberta. - Przynieś nam kości - poprosił. Odstawiła dzban. Podchodząc do szafy w ścianie, rzekła: - Nie sądzę, aby panowie oficerowie mieli dużo do przegrania. - Chcesz nas się szybko pozbyć, co? - Leßberg chwycił ją za ramię, gdy stawiała kubki z kośćmi na stole. Nie odpowiedziała. - Kiedy Robert von Haynau wraca do domu, od Ziegenhain do Kassel nie ma dziewczyny, która by na niego nie czekała - śmiał się Leßberg. Robert wysypał na stół wszystkie monety, jakie miał przy sobie, i powoli układał je w stosiki podług wartości. - To co, po talarze za grę? Każdy weźmie swój kubek, to pójdzie nam szybciej, zgoda? Przytaknęli, wzięli kubki i ostrożnie nakryli je dłonią, jakby chowali w nich coś żywego. Zapadła cisza, zmałona jedynie klekotem kostek w skórzanych kubkach. Pochylili się jak na komendę, przed każdym leżały trzy kości. - Dziewięć! - pierwszy odezwał się Robert.

Leßberg przesunął swoje kości na środek. - Czternaście! Scholl miał dziesięć, Umbach dwanaście, oni też zgarnęli kości do swoich kubków. Robert spojrzął na Leßberga. - Podwajamy stawkę? - Zgoda! - odpowiedział bez namysłu. Jego towarzysze nie ośmielili się zaprotestować. Karczmarka naląła Leßbergowi wina, a gdy pochyliła się obok Roberta, ten dyskretnie pogłaskał ją po pośladku. Stukot kostek, następna przegrana Roberta. Za trzecim razem zaproponował: - Po cztery talary! - Gdy znów przegrał, by odwrócić złą passę, zawołał: - Gram za osiem! Stracił i tym razem. Oficerowie przecierali oczy ze zdumienia: nawet gdy wyrzucali mało oczek, Robert miał jeszcze mniej. Po półgodzinie wszystko przegrał. Gdy wydał Schollowi ostatnie monety, polecił: - Przybory do pisania! - Chcesz grać dalej? - zdziwił się Leßberg. - A zdarzyło się kiedyś, żebym wycofał się w połowie gry? - Byłoby niesprawiedliwe, gdybyśmy nie dali ci szansy - zaśmiał się Umbach. - Ale ja tam wierzę w prawo serii! Karczmarka przyniosła papier, atrament i gęsie pióro. Żałowała, że nie wyszła Robertowi naprzeciw, gdy podjechał pod zajazd. Robert podzielił kartkę pionowymi liniami i przy każdej wpisał nazwisko. Bez słowa potrząsnęli kubkami; Robert znów przegrał. Nie odzywał się ani słowem, obok stało nie tknięte wino. Nie widział nic prócz białych kostek z czarnymi oczkami i pierwszy raz w życiu przegrywał pod rząd. Mechanicznie zapisywał liczby, nie próbując ich nawet sumować. Wiedział, że nie może się wycofać. Umbach odłożył fajkę i o niej zapomniał, żar wypadł na stół i nadpalił blat, Leßberg nerwowo miał kołnierz, Scholl po cichu coś podliczał. Samotny gość przysunął krzesło bliżej graczy. Córka karczmarza otworzyła górną połowę okna, by przewietrzyć salę, i zajęła się układaniem sztućców, talerzy i serwetek. Choć stała odwrócona tyłem do graczy, wiedziała, że Robert przegrywa. - Pięćset talarów - odezwał się Scholl. - Uważam, że powinniśmy skończyć. Taką sumę dostalibyśmy dziś za zwerbowanie dziesięciu ochotników! - Czy za mnie dostalibyście tyle, co za dziesięciu? - spytał Robert. - Jak mamy to rozumieć? - Tak, jak powiedziałem. Nikt się nie odezwał. Siedzieli tu od rana, zjedli, wypili, pograli w karty i nic nie zapowiadało, że codzienną nudę przerwie taki incydent. Patrzyli po sobie jak dzieci, które w zabawie chcą wywołać diabła, lecz boją się wymówić jego imię. - No jak? Gramy dalej? Jak wygram, skreślacie mój dług, w przeciwnym razie oddaję się temu, kto w następnym rzucie zdobędzie najwięcej punktów. Dziewczyna podeszła, chcąc zabrać Robertowi kości, lecz on odtrącił ją delikatnie i potrząsnął kubkiem. - Na co czekacie? Ryzykujecie najwyżej to, że wam się wymknę - rzekł bez zastanowienia. Nie patrząc mu w oczy, wszyscy trzej potrząsnęli kubkami. Stukanie było jakby głośniejsze, dziewczyna wyszła, obcy jakoś nienaturalnie zakaszał. Scholl rzucił pierwszy i nie czekając na pozostałych, odkrył kubek. Zbladł, widząc trzy jedyńki. - A ty, Umbach? - ponaglał Leßberg. - Dlaczego ja? Rzuć pierwszy! - Wszystko jedno - mruknął i powoli wysypał kości z kubka. Wyrzucił osiem oczek, Umbach zaraz po nim pięć. Na ich twarzach widać było odprężenie. - Wiedziałem! - wyrwał się Scholl. - Ostatnim rzutem odzyska wszystko! Robert przechylił swój kubek: wypadła piątka. - A nie mówiłem! - krzyknął Scholl... - Masz swojego ochotnika, Leßberg - odezwał się Robert. - Jak to? - zawołałi wszyscy trzej, wpatrując się w pojedyncze oczka na pozostałych dwóch kostkach. - Wszak osiem to więcej niż siedem, czy nie? - rzekł obojętnym tonem Robert. - Wyciągaj formularz! - Ty naprawdę nie pozwolisz się nudzić! - zaśmiał się Leßberg niepewnie. - Więc nie psujcie sobie zabawy i dawajcie ten papier. Leßberg wyjął zza pazuchy czerwony skórzany portfel i drżącymi rękoma podał Robertowi blankiet. - Aż tak poważnie tego nie brałem - rzekł niezdecydowanie. - Od kiedy to podważacie moje słowa, he? - Robert zamoczył pióro w kałamarzu i rozpoczął wypełnianie formularza werbunkowego. Śledzili każdy jego ruch, już wyraźnie rozbawieni. - Ty, Leßberg, zdajesz sobie sprawę, kogo złowiłeś? - roześmiał się sztucznie Umbach. - Stopnia nie ma wypisanego na czole. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że wolałbyś wiejskiego osiłka niż prawdziwego barona! Dostaniesz specjalną premię, stary! - Wiesz już, komu go sprzedasz? - Właśnie wpisałem: idę do heskiej straży przybocznej - rzekł

Robert i podsunął Leßbergowi wypełniony formularz. - No to załatw nam jakąś piękną wojenkę. - Dwóch Haynauów w jednym regimencie to już jest wojna. - Co najwyżej o konie lub kobiety! - wybuchnął histerycznym śmiechem Scholl i rzucił formularz w powietrze. - Wiedziałem, że nas wystrychnie na dudka! Zobaczcie jego podpis! Leßberg łapał fruującą kartkę. - Postawił trzy krzyżyki? To co, podpis jest ważny! Znam kilku szlachetnie urodzonych, co nie umieją pisać. - Nie, durniu! Podpisał się fałszywym nazwiskiem! - Kto ci powiedział, że to fałszywe nazwisko? - spytał spokojnie Robert. - Akt adopcyjny można unieważnić. Umbach wyrwał formularz Leßberg z rąk. Rzeczywiście, podpis brzmiał "Robert Skelnik". Położył dokument na stole i zataczając się, podszedł do Roberta. - Na moją komendę: bacność! - wrzasnął. Jego kompani zamilkli, bojąc się, że szykuje się jakaś awantura. Tymczasem Umbach położył ręce na ramionach Roberta i rzekł bełkotliwie: - Wstań, bracie, niech cię uścisknę! Masz rację, niech sobie landgraf wsadzi to szlachectwo gdzieś. Byłeś i zostaniesz Skelnikiem! No, wy dwaj! Uściśnijcie bratu dłoń! Robert patrzył w ich zaczerwienione oczy, czuł ciężkie od wina oddechy, słuchał bełkotu i miał wrażenie, że widzi jedną twarz. Jak po rozstaniu z Soermanem, tak i teraz czuł do siebie wstręt. - Zbierzcie, panowie, wszystkie kieliszki - komenderował Umbach. - Trzeba je wytluc na szczęście dla Roberta, naszego brata. Wszyscy trzej, przekrzykując się nawzajem, rzucili się do kredensu, a że byli kompletnie pijani i bardzo zajęci sobą, nie zauważyli nawet, kiedy Robert się wymknął. Tłukąc kieliszki o podłogę, wytoczyli się na dwór. W salce pozostał tylko nieznamy. Podszedł do stołu, na którym leżały kubki, kości, przybory do pisania i wypełniony przez Roberta formularz. Louis Stein uśmiechnął się. Data i podpis bez zarzutu - dokument jest więc ważny. Stein nie przyjechał tu z Kassel w sprawie Roberta von Haynau ani też Roberta Skelnika, trzymał się wszakże zasady, że nawet jeśli coś wydaje się nieistotne, pewnego dnia może okazać się wielce przydatne. Dlatego też starannie zwinął dokument i schował do swojego portfela. Potem wziął świeczkę ze stołu i spokojnie udał się do pokoju, który na tę jedną noc zarezerwował sobie "Pod Czarnym Niedźwiedziem". Z ulicy dochodziły jeszcze pijackie okrzyki werbowników i brzęk tłuczonego szkła. Robert zbudził się w środku nocy i sięgnął po szklanek wody, która zawsze stała przy jego łóżku, lecz zamiast na nią trafił dłonią na lnianą zasłonę i natychmiast się domyślił, gdzie jest. Usiadł i odsunął tkaninę. Leżąca obok dziewczyna oddychała miarowo, był to najodpowiedniejszy moment, by wymknąć się niepostrzeżenie i wrócić do domu. Myśl, że do śniadania prześpi się kilka godzin we własnym łóżku, wydała mu się zachęcająca. Już opuścił nogi na podłogę, gdy dziewczyna się poruszyła, oplótła go ramionami i wciągnęła z powrotem pod pościel. Gdy się ponownie obudził, pokój wypełniony był zielonkawym światłem, na rosnącym za oknem orzechu świergotały ptaki. Liście poruszane wiatrem delikatnie ocierały się o szyby. Tym razem dziewczyna go nie zatrzymywała. Gdy ubierając się, sięgnął po leżące na komodzie jabłko, odezwała się: - Te w ostatnim rzędzie są najlepsze. Obserwowała go przez szczelinę pomiędzy zasłonami. Robert przychodził do niej rzadko, ale po każdej wizycie świat wydawał jej się piękniejszy. Nie zastanawiała się, czy on ją kocha, nie pytała też, kiedy znowu przyjdzie. Patrzyła tylko błyszczącymi oczami, gdy podszedł do łóżka i pogłaskał ją po głowie. - To kiedy wyjdiesz za mąż? - spytał z uśmiechem. - Na wiosnę. Matka tak chce. Mam wyjechać do Kassel. Narzeczona mojego brata postawiła warunek: wszystkie siostry mają się wyprowadzić! - Wiesz, kogo ci znalezione? Przytaknęła. - A on nie ma siostr? - Ma, i to starsze ode mnie. Już się trzęsą, że sprzątnę im posag sprzed nosa! - wybuchnęła śmiechem. Zawsze się śmiała, gdy przy otwartym oknie nasłuchiwała stuku kopyt jego konia. Choć nie widziała, jak nadjeżdżał, potrafiła odtworzyć sobie jego obraz. Nikt tak elegancko nie siedział na koniu jak on. Czapła wyspa Na wezwanie podskarbiego stawili się: pomocnik szewca Johannes Röder, najmita Jost Stübe i szewc Konrad Haas, których oskarżono o chęć ucieczki do Południowej Karoliny. Wezwani oświadczyli, że do wyjazdu zachęciła ich ulotka, którą dołączono do akt.

Ulotka głosi, że osadnicy otrzymają znaczne sumy pieniężne i ziemię orną za darmo. Koszty przejazdu do nowej ojczyzny będą mogli odpracować na miejscu. Z opisu można by wnosić, że obiecuje się im krainę mlekiem i miodem płynącą. Pod numerem 6 twierdzi się, iż "ziemia tam wielce urodzajna jest i po wysianiu jesienią jednego korca pszenicy, aż 50 lub 60 korców potem zebrać pozwala, a przez lat 30 żadne gnojenie jej nie jest konieczne". Oczywiście jest to bezczelne łgarstwo. Z protokołu podskarbiego z Grabstein w Hesji, rok 1753. 9

Zawsze kiedy Katharina von Sonsfeld budziła rano małżonka, choć już przed laty z małżeńskiego łóżka przeniosła się do buduaru, był to znak, że szuka kozła ofiarnego, na którym mogłaby wyładować złość. Obok jej łóżka wisiała szeroka haftowana szarfa ze srebrnym pomponem, który od ciągłego używania zrobił się czarny. Po pociągnięciu rozdzwaniał się dzwonek, teraz wszelako nie zawołał on jednej z tuzina pokojówek, które tu niegdyś zatrudniano na rok, a potem z hukiem wyrzucano, lecz co najwyżej niemą Marię lub jej męża. Nie zmieniło się tylko to, że dzień rozpoczynał się od awantury ze służbą. Katharina zdarła z głowy nocny czepek i przesunęła palcami po czole, by sprawdzić, czy pod taśmą wygładziły się zmarszczki. Nie było po nich śladu, co zamiast ją ucieszyć, wprowało w jeszcze większą złość. Nie poprawiła jej też humoru myśl, że do końca pobytu w tym zamczysku pozostało już niewiele dni. Od lat czekała na tę chwilę, jednakże nie przypuszczała, że kosztować ją będzie tyle wyrzeczeń. Teraz to sobie uświadomiła i jeszcze bardziej zniechęciła wszystko, co ją otaczało. Odrzuciła koldrę, jakby się jej brzydziła. Mimo iż co wieczór wygrzewano pościel przy kominku, rano znów była ciężka od wilgoci sączącej się ze starych murów. Siedząc na krawędzi łóżka, Katharina rozejrzała się po pokoju. Jako młoda żona kazała przenieść tu najpiękniejsze rzeczy z zamku. Na kobierce z Francji i zasłony z weneckiego brokatu mąż musiał sprzedać jeden z majątków, złote karnisze kosztowały go las, a żyrandole z czeskiego kryształu górskiego - zarybiony staw. Dziś, w szarawym świetle poranka, wszystko to wydawało się stare i podniszczone. Wsunęła na nogi pantofle i odziała się w watowaną podomkę. Na sofie leżała czarna jedwabna suknia, w której zamierzała przyjąć wysłannika landgrafa, na toaletce zaś srebrzyście siwa peruka. Ani za perukę, ani za suknię jeszcze nie zapłacono. U krawcowej i perukarza Katharina zastawiła część swojej biżuterii, gdyż bez zapłaty z góry nie chciano z nią nawet rozmawiać. Ale jeszcze pożałuj! Na kolanach przyjdą i będą błagać, by skorzystała z ich usług, i nikt nie odważy się straszyć, że bez zapłaty nie przyjmie zamówienia! Za drzwiami coś zaszeleściło. Katharina zerwała się i wybiegła na korytarz. - A ty dokąd z tym drewnem? - zawołała za Gustawem, niosącym kosz. - Stań, jak mówię do ciebie! - Lokaj z ociąganiem się odwrócił. - Przecież kazałam ci napalić najpierw w salonie! - krzyknęła. - Taż pali się tam już od godziny - burknął lokaj, przypominający starego wilka: skóra i kości, ale zęby i spojrzenie wciąż groźne. - A to co ma znaczyć? - szarpnęła go za narekawnik, na którym zostały resztki mydlanej piany. - Czyż nie mówiłam, że dziś nie ma czasu na golenie jaśnie pana? Za godzinę przyjdzie gość, a nigdzie nie posprzątań! - Dziedzinec, wejście i salon sprzątnąłem już wczoraj wieczorem. - Jak ty ze mną rozmawiasz?! Zobaczysz, pewnego dnia moja cierpliwość się skończy, a wątpię, czy ktokolwiek przyjmie do pracy takich leniuchów jak ty i twoja żona. - Odwróciła się na pięcie i dziarskim krokiem ruszyła przez korytarz. Z impetem wpadła do pokoju męża i stanęła jak wryta: w kominku hulał ogień, mąż siedział przy stoliku nakrytym do śniadania. W nagrzanym powietrzu unosił się zapach kawy i świeżego pieczywa. Katharina czuła, jak z wściekłości kręci jej się w głowie. Mąż obracał w powietrzu łyżeczkę z miodem, którego cienka strużka spływała na grubo posmarowaną masłem bułkę. - Zamknij drzwi, bo kominek, jak wiesz, nie lubi przeciągów - rzekł, nie patrząc w jej stronę. Wciągnęła mocno powietrze i tak trzasnęła drzwiami, aż w oknach zadzwieczały szyby. - U mnie nie ma kto napalić, nie ma kto przynieść mi śniadania! W tym domu traktuje się mnie gorzej niż służącą! - Zazwyczaj o tej porze jeszcze śpisz. Wystarczyło zadzwonić. - Jak nie chcę zamarznąć na śmierć, to co mam robić? Muszę siedzieć w łóżku!

- To może zjesz śniadanie ze mną? - Neithart von Sonsfeld wskazał puste krzesło. - Nie wysilaj się na uprzejmość, wiesz dobrze, że aby strawić chleb upieczony przez Marię, trzeba mieć żołądek Sonsfeldów, a ja takiego nie mam. - To możesz zjeść chałkę. Jakże ona go nienawidziła za tę lekceważącą obojętność, pod którą ukrywał najczystszej wody egoizm! Nie obchodziło go nic. - Mogłabym umrzeć, a w tym domu nikt by tego nawet nie zauważył! - mruknęła. Odstawił filiżankę i odwrócił się. Neithart von Sonsfeld był przedwcześnie posiwiąłym blondynem, młodzieńczo szczupłym, z arystokratycznie wypielegnowaną twarzą. Choć przekroczył już sześćdziesiątkę, wyglądał na młodszego o co najmniej dziesięć lat. Na wciąż powtarzający się w sprzeczkach temat, które z małżonków umrze pierwsze, było jego zdaniem stanowczo za wcześnie. - Zawsze miałaś końskie zdrowie - mawiał do żony. - I był to główny powód, dla którego się z tobą ożeniłem, gdyż jako generał z natury nie cierpię słabeuszy. Spójrz tylko w lustro: nikt by nie powiedział, że masz czterdzieści trzy lata, a wyglądasz piękniej niż przed naszym ślubem. - Nigdy nie byłam piękna, bo gdybym była, w życiu bym nie wyszła za ciebie i to przeklęte zamczysko! - Gdybym cię nie znał! Masz zły humor, bo jesteś głodna. Tak było zawsze... Zadzwońię po Marię, aby przyniosła ci śniadanie. - Nie ma na to czasu. Dwoje starych ludzi, a muszą pracować za dwudziestu. Ty sobie siedzisz z założonymi rękoma, tymczasem w ogrodzie owoce pogniły na drzewach, bo nie ma ich kto zerwać. To jest powód mojego humoru, jeśli chcesz wiedzieć! Nosa stąd nie wyściubisz i nie interesuje cię, ile mamy drewna na zimę, ile Maria ma mąki na twój chleb i kawy na twoje śniadanka. Wszystko ci jedno, bylebyś miał spokój i mógł się dwa razy dziennie ogolić. Dla kogo właściwie? - Podeszła do jego biurka i sięgnęła po leżące tam papiery. - Zostaw, proszę, bo mi je pomieszasz. - To każ zaryglować drzwi i wpuszczaj tu tylko Marię i Gustawa, skoro nie życzysz sobie mojej obecności. Masz przede mną tajemnice? Co właściwie załatwiłeś z Czapłą Wyspą? Sprzedasz ją? Wiesz przecież, że potrzebujemy pieniędzy. Zapasy się kończą i na Boże Narodzenie zostaniemy bez kawałka cukru i drewna na opał. Neithart wyjął cygareto ze srebrnej szkatułki i zapalił. - Czapla Wyspa nie zostanie sprzedana - rzekł obojętnym tonem. Przez moment wydawało się, że Katharina wybuchnie, zacznie krzyczeć, wyrzuci stół, niespodziewanie jednak na jej twarzy pojawił się szyderczy uśmiech. - Wiadomo: pan z Sonsfeld niczego nie sprzedaje! Dziedzictwo po przodkach jest święte, a dwory, lasy, kamienice wcale nie zmieniły właściciela! Koń by się uśmieł! Masz wszystkich za głupków? Zamek pewnie specjalnie niszczy, aby nikt nie podejrzewał, jakie tu skarby ukrywasz, a to wszystko dla dobra twojej córki, która nie może wyjść za mąż, bo jest za bogata. Każdemu możesz to wmówić, ale nie mnie, żonie, która musi sama cerować sobie pończochy, i tym dwojgu starszkom, służącym, którym od lat już nie płacisz! Słuchał i spokojnie składał serwetkę. Gdy nagle wstał, Katharina zobaczyła, że mąż ma na sobie kamizelkę i spodnie do kolan z bordowego kompletu wyjściowego. Zrobiła wielkie oczy, jakby zobaczyła go w przebraniu. Przez okrągły rok widywała go wyłącznie w wytartym zielonym szlafroku, który plątał mu się między stopami, a całej sylwetce nadawał wygląd zgrzybiałego starca. Ubierał się tak specjalnie, by dokuczyć żonie i pokazać, że nie ma dla niej za grosz szacunku. - Wszystko mi jedno, czy sprzedasz tę wyspę, czy nie, ja w każdym razie pierwszego grudnia chcę widzieć pięćset talarów. - Czapla Wyspa jest równie stara jak herb Sonsfeldów. Zawsze byłaś dumna z widniejących na nim czaplich piór i miecza. Ja szczycę się nim do dziś i dlatego wyspy nie sprzedam. Nie miała już siły, by toczyć tę bezsensowną walkę. Odwróciła się na pięcie i od drzwi rzekła: - Na wszelki wypadek, gdybyś zapomniał: przyjmuję dziś wizytę wyłącznie prywatną. Mam nadzieję, że jasno się wyraziłam, więc nie stawiaj mnie w niezręcznej sytuacji i bądź łaskaw mi nie przeszkadzać. - Po co w takim razie ubrałem się jak na maskaradę? - roześmiał się. - Twoja sprawa. Z moim gościem nie będziesz rozmawiać, jasne? - Wcale nie zamierzałem rozmawiać, moja droga. Tego monsieur Steina chcę po prostu osobiście wyrzucić za drzwi! Zaskoczył ją: Katharina nie wiedziała, czy mąż droczy się z nią, czy też mówi poważnie. -

Stein jest podkomorzym landgraфа i jako osoba... - Jest wędrownym komediantem i naprawdę nazywa się Pała! - Jest podkomorzym księcia i dojdzie jeszcze wyżej! Prawda, że wywodzi się z nizin, ale po Schlieffenie jest najważniejszą osobą na dworze, a księżę liczy się z jego zdaniem. - Masz coś przeciwko mieszczanom? Zawsze myślałem, że nie cierpisz tylko arystokratów. - Jeśli chodzi o swatów i stręczycieli, nie dzielę ludzi na lepszych i gorszych. Podeszła bliżej, mierząc go od stóp do głów. - A jakim cudem ty uważasz się za kogoś lepszego? Bo w bitwie pod Culloden uratowałeś życie angielskiemu królowi, a on do dziś do ciebie pisze? O czym właściwie mu donosisz na kilkunastu arkuszach niebieskoszarego papieru? Napisałeś mu, że roztrwonileś majątek i nie masz posagu dla córki? Patrzył na nią, jakby była przedmiotem. Czasy, kiedy jej słowa jeszcze go raniły, dawno minęły, a poczucie rezygnacji i słabości maskował niewzruszonym spokojem. - Christine nosi nazwisko Sonsfeld, i to jej wystarczy za posag. Odwróciła się i teatralnym gestem zasłoniła twarz rękoma. - Ja za to nie odpowiadam! Wpędziłeś w nieszczęście mnie, a teraz to samo chcesz zrobić z córką. - Jeżeli uda mi się nie dopuścić, abyś córkę wyrzuciła na kurtyzanę, to na Sąd Ostateczny mogę stawić się z podniesionym czołem. - Patrzcie ludzie! Dumny Sonsfeld, a o ile wiem, cały ród wywodzi się od cesarskiego bękarta! - Możliwe, ale moja córka nie wejdzie do łóżka jeszcze ciepłego po francuskiej kokocie! - Sam masz brudne myśli i dlatego wszędzie węszysz brud! - Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem i dodała: - Myślę, że na tym możemy tę dyskusję zakończyć. Patrzył przez chwilę, jak jej ciało się pręży, a ciemne oczy nabierają ognistego blasku, i przypomniał sobie, że kiedyś swoją miłość do niej przyrównał do ujeżdżania dzikiego konia. Na szczęście było to dawno i dziś miał już i ten problem z głowy. Katharina opuściła pole bitwy, aczkolwiek dla niej starcie z mężem jeszcze się nie skończyło, przeszło jedynie w nową fazę. W myślach prowadziła z nim dialog i udzielała odpowiedzi, na które w rzeczywistości nigdy by się nie odważyła, używając przy tym wulgarnych słów i przekleństw, jakich nie powstydziliby się przysłowiowy szewc. Toczyła tę myślową walkę na słowa z prawdziwą przyjemnością, czując wyraźną ulgę. Pełny spokój zawsze przynosiła jej wizyta w apartamentach córki, więc zaglądnęła tam i tym razem. Po cichu otworzyła drzwi sypialni i zawołała Christine, gdy jednak nie usłyszała żadnej odpowiedzi, weszła i stanęła u stóp łóżka. Kolejny raz przysięgła sobie w duchu, że zrobi wszystko, aby wyrwać córkę spod wpływów ojca, zanim nie będzie za późno. Potem zastanawiała się, jak urządzi sypialnię Christine w Kassel. Panińska biel chyba nie będzie najstosowniejsza, a może jednak? Co prawda tego domu jeszcze nie miała, lecz ktoś powstrzymałby Katharinę von Sonsfeld przed zapewnieniem swojej jedyńczej tego wszystkiego, czego sama nie miała: bogactwa, luksusu, miłości. Nie martwiła się o urodę, bo jej akurat Christine nie brakowało. Przymrużywszy oczy, przyglądała się spowitej w biały tiul postaci córki. Tak, sypialnię w Kassel trzeba będzie urządzić w bieli. Nie każda dziewczyna mogłaby sobie na to pozwolić, Christine mogła. Jej cera była koloru rozkwitającego kwiatu lotosu - porównanie to pani von Sonsfeld wymyśliła oczywiście sama. Na barwę włosów swojej córki nie mogła znaleźć właściwego określenia, gdyż przypominały jej srebrzystozłote światło letniego księżyca, jej ciemne oczy zaś miały jakoby kolor mocno dojrzałych wiśni. Kiedy z wychudzonego podlotka Christine przemieniła się w urodziwą panienkę, matka odetchnęła z wielką ulgą. Największym dla niej koszmarem byłoby wydanie za mąż brzydkiej córki. Strach ten dręczył ją od lat, kaleczył jej matczyną dumę, doprowadzał do szaleństwa. Równie cicho jak weszła, wycofała się z sypialni. Zaraz przyjdzie podkomorzy Stein. I niech tylko spróbuje się targować! Wizje świetlanej przyszłości nie opuszczały Kathariny ani na chwilę. Gdy schodziła po krętych schodach na parter, zniechęcone zamczykisko skojarzyło jej się ze statkiem, który przewozi ją do zaczarowanej, baśniowej krainy. W salonie wszakże stanęła oko w oko z przygnębiającą rzeczywistością: ze ściany przy kominku odpadła boazeria, sofa ze złoconą sztukaterią miała wytarte obicie, a dziura w zasłonie, wypalona przez iskry z kominka, wciąż nie została

zacerowana. - Trzeba przynieść inną sofę - rozkazała lokajowi, czekającemu na nią w salonie. - Podstawiłem skrzynkę, więc nikt nie zauważy, że jest wysiedziana - burknął Gustaw. - Przynieście sofę z mojego pokoju, tylko ostrożnie! I nie zapomnijcie o fotelach. Chwileczkę! - zawołała, wskazując brakujący fragment boazerii. - W tym miejscu powiesi się wielki obraz z jeleniem z biblioteki, a dziurę w zasłonie proszę zastawić parawanem z palarni. Obok stanie okrągły stolik i dwa krzesła. Zapamiętałeś? - spytała i przeciągnęła palcem po gzymsie kominka. Ani śladu pyłu! To samo na krzesle i marmurowej konsoli. "Jak u biedaków! - pomyślała z goryczą. - Jedynym luksusem, na jaki ich stać, jest bezwzględna czystość..." Trudno już ukryć, jak naprawdę tu się żyje. Nawet gdyby wniesiono nowiuteńkie meble, bystre oko Steina i tak wykryłoby każdy mankament. Zresztą prawdę widać z daleka, nie trzeba nawet wchodzić do zamku: ogród zaniedbany, park zdziczały... Co jej przyszło do głowy, żeby zaprosić Steina tutaj? Trzeba było pojechać do Kassel i tam omówić z nim szczegóły. Podeszła do okna. Słońce świeciło jej prosto w twarz, lecz nie przymknęła oczu, jakby w tym jaskrawym świetle chciała zobaczyć jaśniejsze dni. U bram zamku zbiegały się trzy drogi: z Kassel, z Ziegenhain i z Treysy. W kierunku do Ziegenhain widać było najdalej, droga wiodła przez łąki i pola. Ktoś inny pewnie by nie zauważył, lecz Katharina von Sonsfeld od razu dostrzegła sylwetkę jeźdźca zdążającego z tamtej strony.

10 Życiorysem Louisa Steina interesowało się wielu, aczkolwiek najwięcej uwagi poświęcał mu on sam. Raz po raz odnajdywał jakiś nowy szczegół i niezwykle barwnie wszem wobec o nim opowiadał. Dzisiejsza wyprawa z całą pewnością takim szczegółem zostanie, bo czy ktoś przeżył wiosenny poranek w środku listopada? Słoneczko przygrzewało, wiał przyjemny wietrzyk i Stein chętnie zdjąłby kapelusz, gdy wszakże pomyślał, co mogłoby stać się z jego ufryzowaną peruką, zarzucił ten pomysł. W powietrzu unosił się ciepły zapach, świergotały ptaki, pod drzewem ścielił się dywanik fiołków. Stein zwątpił, czy aby nie śni z otwartymi oczami. Szarpnął cugle, koń stanął jak wryty, jeździec zeskoczył i przyklęknął - najprawdziwsze fiołki! Szybko ściągnął rękawiczki, wyjął nóż z podręcznej torby i zebrał spory bukiet, obłożony wianuszkami liści. W myślach układał komentarz do tego zdarzenia, który wieczorem dołączy do skrętnie prowadzonych od lat notatek, w czym znakomicie pomagała mu wyrobiona aktorska pamięć, przechowująca każdy zasłyszany czy podejrzany szczegół. Lubił przy tym używać rzadkich bądź cudzoziemskich słów. Na dziś zaplanował zapis brzmiący mniej więcej tak: "Człowiek w życiu zbiera doświadczenie, jakby zbierał kwiaty, kto jednak czerpie je z książek, dostaje je z drugiej ręki. To tak, jakby kupował kwiaty u przekupki, zamiast zerwać je sobie sam i radować się ich świeżością." Wskoczył na konia, wyobrażając sobie minę pani von Sonsfeld, gdy wręczy jej wiosenny bukiet, a ona zacznie mu dziękować, wtrącając kilka francuskich słów z okropnym zresztą akcentem. I kto by pomyślał, że w jego rękach spocznie los samych Sonsfeldów! Gdy przed sześciu laty zjawił się na heskim dworze, był dyrektorem objazdowego teatru, który właściwie już nie istniał, oprócz bowiem suflera i jego córek bliźniaczek, tak głupich, że nadawały się tylko do niemych ról, nie było w nim ani jednego aktora. Na ostatnim postoju przed Kassel uciekli wszyscy wraz z kasą. Każdy rozsądny człowiek na miejscu Steina sprzedałby wówczas rekwizyty i kostiumy i najbliższym dyliżansem wrócił do Saarlouis, gdzie jako Ludwik Pała pędziłby spokojny żywot w zegarmistrzowskim warsztacie swojego ojca. Na to, jego zdaniem, był zawsze czas. W "Angielskim Dworze" miał zarezerwowane piętro dla całej trupy, należało więc znaleźć ludzi, którzy wypełniliby wszystkie pokoje, przy czym wcale nie musieli to być aktorzy. Pierwszy napatoczył się młody Holender, malarz wędrujący do Italii, drugim był złotnik z Augsburga udający się do Paryża, trzecim szklarz z Czech, na którego czekała praca w Hamburgu. Do kompletu dołączyło dwóch studentów, którym bardziej przypadło do gustu wędrowanie niż nauka, no i pewna dama o podejrzanej reputacji, podróżująca wraz z matką i niańką, za niepłacenie komornego wyrzucona na bruk. Z tak skompletowaną "trupą

teatralną" Ludwik Pała, noszący obecnie nazwisko Louis Stein, zjawił się w Kassel. W całym mieście wisiały już afisze, w "Angielskim Dworze" czekał ufundowany przez landgrafa zastawiony stół. Jak głosiła plotka, zapowiadane na następny dzień przedstawienie oglądać miał sam książę. Tymczasem Louis Stein nie miał nawet pomysłu, jaką sztukę w tej sytuacji wystawi, choć na wszelki wypadek wysłał księciu bilecik z wiadomością, że przywiózł do Kassel całkiem nowe przedstawienie, a ponieważ jest ono poświęcone "Jego Książęcej Wysokości", chciałby premierę pokazać wyłącznie jemu. Nie zastanawiając się, co pokaże "księciu panu", Louis Stein najspokojniej w świecie ułożył się do snu. Gdy się rano obudził, miał gotowy pomysł na sztukę "Casanova w Kassel" z udziałem trojga tylko aktorów. Tekstu mówionego będzie niewiele, więc sam sobie poradzi, a bliźniaczki nie muszą się odzywać wcale. Ze strojami może być kłopot, lecz gdy scena nie będzie rzęsiście oświetlona, nikt nie zauważy, że są trochę znoszone. Landgraf propozycję przyjął: na premierę przybył sam, a po spektaklu resztę wieczoru spędził jedynie w towarzystwie bliźniaczek, które zaprosił do zamku. Nazajutrz z rana posłał po "dyrektora" i zaproponował mu zajęcie się dworskim teatrem, operą i baletem. A choć Louis nie pytał landgrafa o szczegóły, od razu zrozumiał, na czym będzie polegać jego właściwe zadanie, tak więc zanim jeszcze księciu znudziły się bliźniaczki, sprowadził do Kassel jakąś włoską śpiewaczkę. Przebywała na dworze całą zimę, na wiosnę Stein zastąpił ją hiszpańską tancerką, a tę z kolei francuską primabaleriną. Po trzech latach książę odznaczył go orderem Złotego Lwa i mianował podkomorzym. Do dziś Louisowi śni się tamta uroczystość. Dawno już mógł sobie pozwolić na kupno dużego domu, jednakże dostatkiem wołał się nie afiszować, zresztą dwa pokoje, które zajmował w książęcym zamku, wystarczały mu w zupełności. Podkreślał to na każdym kroku. Chciał być jak najbliżej księcia, służyć mu, niczym lekarz wyczuwać puls jego nastrojów i odpowiednio dozować remedia. Nic zatem dziwnego, że w krótkim czasie Stein stał się przyjacielem landgrafa i powiernikiem jego intymnych spraw. Snując plany na przyszłość, coraz częściej Louis Stein widział siebie w dużym zamku. Cóż, kamienicę w mieście mógł mieć byle kto, natomiast ziemskie posiadłości wciąż należały wyłącznie do szlachty. Przemierzając pola wokół Sonsfeld, wyobrażał sobie, że jest tu właścicielem, że chłopci kłaniają mu się nisko i tytułują "panie dziedzicu", że nad bramą wjazdową widnieją nowe herby. A czemuż by nie? Zamek w Sonsfeld wkrótce straci właściciela i jako bezpieczeństwa lenno będzie do dyspozycji landgrafa. Zbliżając się do zamku, Stein bezwiednie spojrzał nań jak na swoją przyszłą własność. Mostu nad fosą można nie poszerzać, co najwyżej wymienić balustradę. Rumowisko kamieni u stóp zamku tworzy romantyczną wręcz scenę. Połowę krzaków należy wyciąć, by nie zasłaniały średniowiecznej fosy i malowniczych granitowych głazów, którymi ją obudowano. Po jakie licho otynkowano kolumny przy bramie wjazdowej? Stary zamek jest jak stara kobieta: im mniej tuszuje wiek, tym wydaje się dostojniejsza! Co za barbarzyńca chciał ukryć piękno muru pod warstwą ohydneho tynku? Szereg okien z ostrymi łukami to pewnie dawna sala rycerska; tam będzie przyjmował gości. Jak podczas pierwszego czytania nowej sztuki układał projekt dekoracji i kostiumów, a mężczyznę, który wyszedł mu naprzeciw na dziedziniec, próbował obsadzić w jakiejś roli. Hm, w białym szerokim kołnierzu byłby z niego najprawdziwszy kasztelan... Przekraczając próg salonu Louis Stein już czuł się tu gospodarzem i z takiej pozycji powitał Katharinę von Sonsfeld. - Moja droga! - Poszedł do niej z szeroko otwartymi ramionami. - Jestem oczarowany! "Prawdziwy arystokrata - pomyślała. - I niech sobie mąż o nim mówi, co chce!" Mimo to postanowiła zachować dystans. - Podróż nie była zbyt męcząca? - spytała z uśmiechem. - Dla mieszczuchów jazda wierzchem to jak kuracja odmładzająca - odpowiedział, rzucając rękawiczki i kapelusz na konsolę, po czym wręczył Katharinie bukietek fiołków. - Dla ciebie, madame! Listopadowe fiołki! Z pewnością zasługujesz na kosztowniejsze kwiaty, lecz przecież fiołki, choć niepozorne, są niezwykle słodkie. Nie jestem wprawdzie biegły w odczytywaniu mowy kwiatów, wszelako nie mam wątpliwości,

że fiołki są dla ciebie, pani, najodpowiedniejsze. Katharina powąchała pachnący bukiet. - Jesteś czarodziejem, panie, skoro świeżutkie kwiaty przywiozłeś aż z Kassel. - Może cię rozczaruję, ale nie są to kwiaty z zamkowych szklarni. Nazbierałem je przy drodze, i to niedaleko stąd. Pozwolisz, madame? - Odebrał jej bukiet i wpiął pod zamszową przepaskę na gorsie sukni. Cofnąwszy się o krok, mlasnął z zachwytu. - Wspaniale! Fiolet pięknie kontrastuje z twymi oczami. Katharina zerknęła w wiszące obok kominka lustro, choć nie dlatego że spodobał jej się gest Steina - zmartwiła się, czy kwiaty nie uszkodzą jej jedynej porządnej sukni. On natychmiast to zrozumiał. Przy okazji przypomniał jej o nie zapłaconym rachunku za tę suknię, a to ułatwi mu rozmowę, którą zaplanował. - Rzeczywiście, fiołki to moje ulubione kwiaty -zdobyła się na niewyraźny uśmiech. Stein uklonił się i usiadł. - Może przekąskę? - spytała. - Och, chętnie! Zadzwoiła, a po chwili zjawił się Gustaw w peruce i granatowej liberii. Postawił na stoliku półmisek z surową szynką, pokrojony chleb, karafkę z winem oraz zwykle cynowe talerze i sztucze w rogowej oprawie. - Widzę, że w zamku jest pora drugiego śniadania-ucieszył się Stein. - A już się bałem, że będę musiał długo czekać. - To nic jeszcze nie jadłeś? W takim razie każę podać kawę, a może herbatę? - Dużo gorącego mleka i trochę kawy, o ile nie sprawi to kłopotu. Gustaw wyszedł. - To nie potrwa długo - zapewniła Katharina. - Jako stary kawaler nieczęsto mogę wybrzydzać. - Przypuszczam, że wiele kobiet... - Moja droga - przerwał jej. - Gdy się jest związanym z teatrem i landgrafem, trzecie małżeństwo nie wchodzi w grę. Uśmiechnęła się i spytała: - Jak czuje się książę? Stein teatralnym gestem rozłożył ręce. - On jest niczym dzisiejszy dzionek: słońce niby jesienne, a gorące jak latem. Porównanie najwyraźniej nie spodobało się Katharinie. - A co z polowaniem? - spytała. - Nie pamiętam, aby ostatnimi laty tak pilnie się do czegoś przygotowywał. Sokolnicy dostali nowe mundury, w Kassel nie ma chyba teraz ani jednego rzemieślnika, który nie robiłby czegoś w związku z polowaniem na czaple. - Rozumiem, że podany nam termin zostanie dotrzymany? - Pierwsza część orszaku wyruszy z Kassel już dziś. Landgraf chętnie przyjechałby jutro, ale przygotowania na Czaplej Wyspie muszą potrwać jeszcze z tydzień. Proszę sobie wyobrazić, że przybędzie malarz, który całe polowanie uwieczni na płótnie. Książę buduje dla niego specjalny powóz, można by rzec, pracownię na kółkach. Katharina słuchała Steina z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony rozpieęła ją duma, że całą tę paradę landgraf urządza dla jej córki, z drugiej było jej żal pieniędzy, które zmarnują się na to niby-polowanie. - W ostatnim liście wspominałeś o przeprowadzce do Kassel... - Moje gratulacje, potrafisz czytać między wierszami, madame. Rzeczywiście, od tamtego czasu plan nabrał już konkretnego kształtu. - Czy architektem będzie Du Ry? Mówię od razu, że na innego się nie godzę. - Madame, jak widzę, nie doceniasz niecierpliwości landgrafa. Dom jest już gotów, prawdziwe cacko w parku na południowym krańcu Pól Elizejskich, kompletnie wyposażony. Nie brakuje niczego, co młodej kobiecie potrzeba, co więcej dom, że tak powiem, został już wypróbowany. Pani von Sonsfeld skoczyła jak oparzona. - Co?! Więc to ten dom? Przecież od razu wszyscy się domyślą, o co chodzi! Tym domem całe Kassel wyciera sobie gęby, każdy wie, ile luster wisi w łazience i jakie sceny erotyczne umieszczono na półmiskach i talerzach. Nigdy w życiu się nie zgodzę! - Denerwujesz się drobiazgami. Ta dama wróciła już do Paryża, a ponieważ jest zagorzałą kolekcjonerką porcelany, wspomnianą zastawę zabrała ze sobą na pamiątkę. Poza tym właśnie wyszła za męża. Katharina skrzywiła się z niesmakiem, a Louis Stein ciągnął dalej: - Przy okazji pozwolę sobie na pewną uwagę: czy waleczni przodkowie Sonsfeldów wracali z wypraw bez łupu? Otóż nie, w Kassel do dziś krąży legenda o jakimś Fortunacie Sonsfeldzie, który walczył z Turkami po stronie Wenecjan i do domu przywiózł piękną Turczynkę i wielbłądzie siodło, inkrustowane złotem i drogocennymi kamieniami. Wnukowie i prawnukowie owego Fortunata walczyli potem dzielnie dla niderlandzkich i angielskich królów, a z pól bitewnych wracali nie tylko okryci sławą, ale i z brzęczącą monetą. Krótko mówiąc: wygrana bitwa oznacza konkretną zdobycz, a jeśli jest ona duża, to

nikt nie baczy na cześć. Sądzę, że co do tego oboje jesteśmy zgodni, gdyby zaś miało być inaczej, to moje przedsięwzięcie od razu można uznać za chybione. - Obstawę przy ustalonych warunkach, wśród których był nowy dom. Stein westchnął. - Proszę obstawać, a gwarantuję, madame, że do tamtego domu wprowadzi się nie twoja córka, lecz ktoś zupełnie inny. Chciała zaprotestować, ale Gustaw i Maria wnieśli śniadanie na owalnych emaliowanych tacach. Kiwnęła tylko ręką. - Możecie odejść, pana podkomorzego obsłużyć sama. - Ćwiartkę kawy i trzy ćwiartki mleka, jeśli można - rzekł. Spojrzawszy na jej rękę, dostrzegł, że środkowy palec ma pokłuty od igły. Po raz pierwszy zrobiło mu się jej trochę żal. - Cukier? - Nie, dziękuję. Katharina nie usiadła, lecz podeszła do kominka. - Jeśli dobrze zrozumiałam, nie pozostawiłeś mi, panie, wyboru, więc proszę przynajmniej o wyposażenie tego domu od nowa. - Wnioskuje, madame, że jesteś entuzjastką Du Ry'a, więc zdradzę ci, że on nie tylko zbudował ten dom, ale osobiście wybrał tapety, dywany, zasłony, a nawet zaprojektował meble. - Które pachną jeszcze perfumami tamtej. Nie! Landgraf ma mnóstwo pustych pokoi w swoim zamku, może sobie te meble tam przenieść. Dla czarnowłosej kurtyzany może były dobre, lecz Christine jest niewinna i nie będzie mieszkać w mocnych, krzykliwych kolorach. Stein uśmiechnął się. - Niewinność, madame, jest atutem, który liczy się tylko raz. Jak piękny świeży kwiat, który szybko więdnie. Z całą pewnością landgrafowi imponuje niewinność twojej córki, jednak oboje dobrze wiemy, że nie ona będzie decydować o trwałości tego związku. Książę pan jest wybredny. - Sam mówiłeś, że nudzą go już wyrafinowane kobiety z przeszłością. Stein zamyślił się. Po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że kobiety niedbale ubrane nie mają wycucia w sprawach erotycznych. Jeżeli córka pod tym względem jest podobna do matki, całe to "polowanie na czaple" skończy się klapą i kto wie, czy nie lepiej od razu rozejrzeć się za czymś innym. Katharina podeszła do stolika i usiadła. Od planowanego spotkania jej córki z landgrafem dzieliło ją kilkadziesiąt godzin, a ona wciąż nie wiedziała, na jaki miesięczny budżet Christine może liczyć. - Jeśli o ten punkt chodzi, chcę go widzieć na piśmie - rzekła zła, bo rozmowa toczyła się zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażała. - Hm, wystarczy, że woźnica i lokaj ubiorą się w książęce barwy, a przez rok ma się otwarty kredyt od piekarza po jubilera. Rachunki możesz przysyłać wprost do mnie. - Francuskie zwyczaje wydają mi się lepsze. Madame Pompadour sama płaciła swoje rachunki królewskimi bonami. Wolałabym, aby moja córka nie musiała rozliczać się z każdego najdrobniejszego wydatku. Po prostu niech się ją traktuje jak członka rodziny panującej. Stein odstawił filiżankę. - Skoro powołujesz się na francuski dwór, madame, to zapewniam cię, że gdy Pompadour wprowadzała się do Wersalu, nikt nie przypuszczał, że przez dwadzieścia lat będzie niekoronowaną królową Francji. Nie sądzisz chyba, że swoją pozycję na dworze wymusiła traktatem? Ona kochała króla do szaleństwa. Zostawiła męża, a od króla oczekiwała jedynie miłości, niczego więcej. W najważniejszych sprawach mężczyzna i kobieta nigdy nie umawiają się na piśmie. Wracając do księcia, to kobiet miał wiele, ale mało która naprawdę go kochała. Przebywam z nim na co dzień i znam jego problemy. Zdążył w życiu spróbować wszystkiego i ma świadomość, że jako mężczyzna niewiele już zdoła. Chciałby zacząć od początku i przeżyć miłosną przygodę, jakby to był pierwszy raz. Twoja córka ma więc niepowtarzalną okazję, moja droga, a proszę pamiętać, że miłość to tylko iluzja. Nie burz iluzji księcia i nie próbuj sprzedać mu córki, jak, przepraszam za wyrażenie, zwykle cielątko. On spodziewa się cudów, więc daj mu chociaż szansę. Dla dobra własnej córki, oczywiście. Słowa te wywołały dokładnie odwrotny skutek, bo tylko rozdrażniły Katharinę i wzbudziły dodatkowe wątpliwości. - Nie wiem, dlaczego się boisz. Przecież intercyzę spisuje się przed każdym ślubem, a ja związek księcia z moją córką uważam za coś w rodzaju małżeństwa i chcę, aby on też go tak traktował. Nie oddam mu jej, jeśli nie zapewni jej praw należnych prawowitej małżonce. Aby nie było wątpliwości, moja córka jest gotowa zmienić wyznanie na katolickie - dodała, choć jeszcze nie rozmawiała o tym z Christine. Stein miał wrażenie, że uczestniczy w próbie komedii Moliera. Ten Francuz

naprawdę znał najciemniejsze zakamarki ludzkiej duszy. Tyle się mówi o matczynej miłości, choć jak się wydaje, wygasa ona wraz z przecięciem pępownicy. Gdyby teraz negocjował z panią von Sonsfeld w imieniu bagdadzkiego kalifa, na pewno zapewniłaby od razu, że córka nawróci się na islam. Katharina zrozumiała jego milczenie inaczej. - Zaskoczyłam pana, prawda? Ale ja muszę myśleć nie tylko o jutrze. W końcu z tego związku mogą urodzić się dzieci... Stein z trudem powstrzymał się od śmiechu. - Książę udowodnił już nie raz, że jest zdolny spłodzić potomka. Proszę wszelako pamiętać, że nienawidzi widoku ciężarnych kobiet jak zarazy. - Niemniej jednak każde z dzieci należycie wyposażył. - I raz na zawsze wraz z matką wypędził z pałacu. Skoro madame Pompadour jest dla ciebie wzorem, pani, to pragnę przypomnieć, że nie zamieniła buduaru w bawialnię dla niemowląt. - Bo kilkakrotnie poroniła. - Jednakże tak dyskretnie, że wszyscy w zamku i sam król byli przekonani, że to była tylko migrena. Teraz Stein miał wrażenie, że oboje odgrywają komedię, i żałował bardzo, że nie może od razu tej rozmowy zapisać. Na pewno kiedyś ją odtworzy na scenie. - Dla nas, mężczyzn, byłoby lepiej, gdyby dzieci rosły na drzewach. Nie interesują nas po prostu, podobnie jak religia. Czy wiesz, ilu mężczyzn kocha, nie pytając kobiety, co sądzi o dzieciach i religii? - To śmiały argument, aczkolwiek mnie nie przekonuje. Decyzję o zmianie wyznania podjęłam zupełnie świadomie, gdyż różnica poglądów w małżeństwie, chociażby morganatycznym, jest niedopuszczalna. Komedia bawiła Steina coraz bardziej, mimo to postanowił ją przerwać. - Radziłbym księciu nie wspominać o zmianie wyznania. Przeszedł na katolicyzm w bardzo młodym wieku, a kobieta, która go do tego zmusiła, bo tak to trzeba nazwać, była podobno bardzo piękna. Książę wplątał się w romantyczną historię i drogo przyszło mu za to zapłacić. Stracił część władzy i kraju. Ojciec zmusił go, aby jeszcze za życia zapisał Hesję-Hannau najstarszemu synowi, a żona zabrała legalnych następców i rozwiodła się. Na dodatek była siostrą angielskiego króla i choć dawno już nie żyje, w Anglii księciu ten rozwód pamiętają do dziś. Druga żona, Filipina, przymyka oko na wybryki księcia, lecz na morganatyczne małżeństwo z inną w życiu się nie zgodzi. Chyba ustawiłaś poprzeczkę zbyt wysoko, madame. - To się jeszcze okaże - burknęła cierpko. - Cóż, niektóre kobiety potrafią wszystko. Być może twoja córka jest takim cudownym stworzeniem. Katharina zamyśliła się. Jak każda kobieta, która nie przeżyła wielkiej miłości, była przewrażliwiona na tym punkcie i histerycznie reagowała na wszelkie aluzje na ten temat. Może jej życie ułożyłoby się inaczej, gdyby należała do kobiet, które "potrafią wszystko"? - Wracając do tematu - usłyszała głos Steina. - Książę uważa, że dla dobra wszystkich stron najlepiej byłoby wydać pannę Sonsfeld za kogoś innego. - Nonsens! - zawołała przekonana, że Stein kłamie. To był jego pomysł, a nie landgrafa. Postanowił znaleźć księciu tanią metresę, ot i jego plan! - W tej sprawie może zdecydować wyłącznie moja córka. - Niekoniecznie. Wystarczy, że porozumieją się obaj panowie, to znaczy książę i niby-mąż. Małżeństwo istnieć będzie tylko na papierze, a twą córkę ze ślubnym mężem łączyć będzie jedynie nazwisko, co zresztą ma tę zaletę, że jej ewentualne dzieci z księciem od razu będą miały odpowiednie do stanu nazwisko, no i "ojca". - Upatrzyłeś już kogoś? - syknęła z wściekłością. - Właściwie nie powinienem o tym mówić, gdyż inicjatorem jest baron Schlieffen i to on realizuje cały plan. Wybranek nie był nawet szlachcicem. Katharina skrzywiła się. - No proszę! Słucham dalej! - Kiedy Schlieffen coś postanowi, zawsze wyjście się znajdzie. Co za problem, by utworzyć jeszcze jedną baronię? Nie szukano daleko, wybór padł na Clausa Haynaua... Przepraszam, barona von Haynau. - Haynau? Nigdy w życiu! Dopóki ja żyję, nikt z Sonsfeldów nie będzie nosił nazwiska Haynau! - Prawie już nie panowała nad sobą. - Co za idiotyczny pomysł! - Krążyła między kominkiem a stołem. Nagle stanęła jak wryta. - To nie jest plan Schlieffena! - zawołała. - Wymyślił go Gottfried Haynau, który najpierw zabrał nam nasze dobra, a teraz chce wziąć naszą córkę i do swojej kramarskiej baronii dorobić sobie rodowód. On myśli, że wszystko można kupić, lecz tym razem się przeliczył! - Rozumiem, madame, ale mimo to... - Znam te machinacje! - nie

pozwoliła mu przerwać. - Dałam się nabrać i twoją przyjaźń wzięłam za dobrą monetę. Co za naiwność! Zaproszenia, wycieczki, polowania, zabawki dla małej, zimą kuligi. Wystrychnięto mnie na dudka... Co za pomysł?! Córkę Sonsfeldów oddać kulawemu cherlakowi! Stein oglądał swoje wypielegnowane paznokcie. - Wiedziałem, że tak zareagujesz, madame, aczkolwiek nie tracę nadziei, że po przemyśleniu wszystkiego przyznasz, iż jest to najlepsze wyjście. Nie czułabyś satysfakcji, gdyby część majątku Haynauów dostała się w ręce twej córki, madame? To byłaby piękna zemsta! W całej Hesji nie ma nikogo, kto mógłby się majątkiem równać z Haynauami. Powinniśmy grać w otwarte karty, madame, i mówić sobie szczerą prawdę. O ile wiem, żadna z kochanek księcia nie wyjechała z Kassel w złotej karecie, a przecież każda kobieta kiedyś się zestarzeje i pewnego dnia musi opuścić pałac. Nie wszystkie jednak mają szczęście wrócić do bogatego męża. Sprawa ta ma jeszcze jeden bardzo ważny aspekt: twoja córka byłaby niezależna finansowo od landgrafa i ich związek od samego początku byłby postrzegany inaczej - łączyłyby ich tylko uczucia! Dla rodziny Sonsfeldów trudno o lepsze rozwiązanie - dodał, zastanawiając się, czemu właściwie tak się z nią patyczkuje. Odpowiedź przyszła sama, gdy przypomniał sobie, że jak plan się uda, to zamek, w którym teraz się znajduje, wkrótce będzie jego własnością. Katharina spuściła głowę. Stein umiał pięknie mówić, lecz jej nie przekonał. Z jego słów jasno wynikało, że landgraf zamierza wydać na Christine jeszcze mniej pieniędzy niż na poprzednie metresy. Wielkie plany spełzyły więc na niczym, pozostało co najwyżej targować się o drobiazgi, na to wszakże nie miała już ani siły, ani ochoty. - Chyba potrafię odczytać twoje myśli, madame - przemówił Stein. Choć Katharina była tak zdeprimowana, że już na niczym jej nie zależało, przestraszyła się. - Naprawdę? To o czym, pańskim zdaniem, myślałam? - O czymś typowo matczynym - zaczął Stein niepewny, jak daleko posunąć się z pochlebstwami. - Pomyślałaś, pani, że córka nigdy nie doceni ofiar, które poniosłaś dla jej szczęścia. - Nie sądziłam, że pan jako mężczyzna rozumiesz te sprawy. Louis Stein wstał, nie było sensu ciągnąć tej rozmowy w nieskończoność. - Proponuję, aby zapisać punkty, co do których oboje jesteście zgodni. - Przybory do pisania i papier znajdziesz w sekreterze - odpowiedziała chłodno i podeszła do okna. Jak okiem sięgnąć, pola, lasy i łąki należały niegdyś do Sonsfeldów, teraz pozostała im jedynie Czapla Wyspa, warta co najwyżej pięćset guldenów. To niewiele, później trzeba będzie sprzedać ostatnie kosztowności. Innego wyjścia nie ma. Żadnego wyboru. Stein siedział przy sekreterze i z piórem w ręku czekał. - Zaczniemy od wyposażenia domu w Kassel - zaproponowała. 11

Przeciwieństwa w wyglądzie Christine, jak na przykład jasne włosy i bardzo ciemne oczy, miały także odbicie w jej charakterze. Łagodna, potrafiła być porywcza, marzycielska, działała z wyrachowaniem. Kiedy teraz z butami w ręku skradała się tylnymi schodami, cieszyła się jak dziecko, które chce splatać rodzicom figła, pokrzyżować im plany. Nie czuła żadnych wyrzutów z tego powodu, kłamstwo było dla niej czymś zwyczajnym. Nauczyła się żyć pomiędzy rywalizującymi ze sobą rodzicami i instynktownie wyciągać z każdej sytuacji korzyści dla siebie. Dziś rano udała, że jeszcze śpi, nie musiała więc wysłuchiwać utyskiwań matki, nieodmiennie kończących się wyzwiskami pod adresem ojca. Salon, z którego dobiegały podniesione głosy matki i jej gościa, minęła na palcach, by czym prędzej wydostać się z domu, zanim zapadną jakieś decyzje. W nie zamieszkanym skrzydle zamku poczuła się raźniej. Gdy schyliła się, by naciągnąć buty, pękł szew jej jasnozielonej bluzki myśliwskiej. Od pół roku wszystkie ubrania zrobiły się za ciasne, prócz butów i spodni myśliwskich, co Christine bardzo cieszyło. Upewniła się, czy ma kopertę, którą powierzył jej ojciec. Była w wewnętrznej kieszeni. Szerokimi schodami zeszła do ogrodu. Niedawna wichura zerwała drewniane poręcze, ze stopni powypadały kamienie. Jeszcze jedna porządna ulewa, a po schodach nie będzie śladu. Z rozwianymi długimi włosami biegła wąską alejką wysadzaną bukszpanami, których od lat nikt nie pielęgnował. Wokół panoszyły się chwasty, pajęczyny oblepiały twarz. Żelazna brama w ogrodowym murze, po którym goniły się wiewiórki, stała

na wpeł otwarta - wypadł zawias i nikt nie polecił go naprawić. Ścieżka na wprost prowadziła nad Schwalm. Gdyby Christine wzięła konia, w kilka minut byłaby nad rzeką i bez pomocy przewoźnika przepłynęła się na drugi brzeg, ale przy stajni ktoś mógłby ją zobaczyć, wołała więc nie ryzykować. Potajemne rozmowy matki nie oznaczały niczego dobrego i Christine zdecydowała, że wymknie się do Ziegenhain piechotą, niczym chłopska dziewczka. Innej rady nie było. Ma przy sobie list od ojca do starosty, dzięki któremu Czaplą Wyspa nie wpadnie w ręce Haynauów. To dobrze, że ojciec tym razem nie uległ matce, że ma pieniądze, o których ona nie wie, najważniejsze wszakże dla Christine było to, że ojciec jej zaufał. Jak daleko sięga pamięcią, rodzice wciąż ze sobą wojowali i próbowali wciągnąć ją w swoje rozgrywki. W zasadzie nie stawała po żadnej stronie, nie kochała ich, podobnie jak tego rozpadającego się zamku, z którego chciała wyrwać się jak najprędzej i obojętnie jakim sposobem. Przeszła zaledwie pięćdziesiąt kroków, gdy w oddali zobaczyła smugę dymu unoszącego się nad Czaplą Wyspą. Przystanąła i zacisnęła zęby. Dym mógł oznaczać tylko jedno: Robert Haynau jest na swojej wyspie. A więc wrócił już z podróży, o czym zapewne wiedzieli wszyscy prócz niej. Poprzedniego dnia spytała o niego Marię, lecz ta w odpowiedzi zrobiła tylko głupią minę. Bała się. Nic dziwnego, skoro matki bali się wszyscy. Ileż to razy Christine w duchu przyrzekała, że nie będzie się bać i powie matce wprost, że chce sama o sobie zdecydować, że ma dość okłamywania i zakulisowych rozmów na swój temat. Do czego apodyktyczność matki doprowadzi? Do czego doprowadzi obojętność ojca i jego sarkastyczne uwagi? Biegła ku Schwalmowi i uśmiechała się. Matka wciąż nazywa Roberta "dzikusiem", a nie wie, co zdarzyło się na dożynkach u Haynauów. Było to pięć lat wcześniej. Christine miała wówczas trzynaście lat i bawiła się na placu przeznaczonym dla dzieci. Nagle podszedł do niej Robert i poprosił do tańca. Na to wspomnienie jeszcze dziś robiło jej się gorąco. Tak było zawsze, ilekroć go widziała, a gdy przypadkiem zamienił z nią słowo, miała wrażenie, że cała płonie. Gdy wtenczas podszedł i podał jej rękę, ona myślała wyłącznie o swojej spranej białej sukni, która trzymała się tylko dlatego, że była mocno wykrochmalona. Christine pamięta, że zachowała się jakoś głupio, nie może sobie natomiast przypomnieć, czy w ogóle tańczyli, czy rozmowa trwała sekundę czy całą godzinę, czy rzeczywiście rozplątały jej się warkocze i podarowała Robertowi jedną z białych kokard, które podniósł z ziemi. Pamięta tylko, że było jej strasznie gorąco. Minęło już sporo czasu, a tamtego spotkania nie potrafiła zapomnieć, choć zachowała je tylko dla siebie. Szła pogrążona w myślach; ocknęła się, dopiero gdy wsiadła do łodzi i Ludolf spytał ją, dokąd chce płynąć. Przypomniała sobie, że przed dziesiątą ma wręczyć staroście w Ziegenhain list od ojca, lecz się zawahała. Spojrzała w stronę wyspy, którą zasłaniała ściana wysokich trzcin. Gdyby Robert chciał się z nią spotkać, znalazłby tysiąc sposobów na przekazanie wiadomości tak, aby matka się nie dowiedziała. Może wrócił już dawno i wcale o niej nie myśli? Nagle się otrząsnęła: skąd niby Robert ma wiedzieć, że ona na niego czeka? Gdy rok wcześniej przyszedł do zamku w Sonsfeld, ostatni raz, przyniósł jej pięknie wystrojoną lalę. Nie była to wprawdzie dziecięca zabawka, ale jednak. Skąd miał wiedzieć, że przez rok tak bardzo wydorosłała? Fale chlupotały o burtę łodzi i w tysiącu barwnych błysków odbijały jej twarz. To dodało Christine odwagi. - Zawieź mnie na wyspę - rzekła. Piec hutniczy zbudowany dla złotnika Roberta Skelnika, by wytapiał prawdziwe i fałszywe złoto, służył dziś jego synowi do gotowania wrzątku na herbatę. Zatopiony w myślach Robert siedział przy palenisku i grzebał w rozżarzonych węglach. Kiedyś ojciec używał tego pogrzebacza, wielkich szczypiec i miecha, chodził po czerwonej posadzce, siadywał na trójnogim zydelku. Na regale przy ścianie stały jego fiołki z przeróżnymi chemicznymi roztworami i proszkami. Ludolf mówił, że ojciec nie wygasił ognia, lecz nasycił żar jakimiś chemikaliami, które wydzielają dym przez czterdzieści osiem godzin. W tym czasie zdążył uciec i nikt, nawet Ludolf, się nie zorientował. Robert czuł, że jego odejście będzie mniej dramatyczne, aczkolwiek równie zdecydowane i ostateczne. Jeszcze wczoraj te opuszczone zabudowania

były dla niego symbolem pierwszej wielkiej przygody. Jak łatwe i przyjemne było życie, gdy spędzał na wyspie beztrudne dni. Teraz wszystko się skomplikowało... To, że po rozstaniu z Soermanem przy wypalarni węgla w dąbrowie nie wrócił wprost do domu, mógł wytłumaczyć nie najlepszym nastrojem, gdy jednak z karczmy "Pod Czarnym Niedźwiedziem" nie pojechał do dworu Haynau, uświadomił sobie, że podjął nieodwołalną decyzję, które zaważy na całym jego życiu. Tego ranka patrzył na Czaplą Wyspę innymi oczyma. Żwirowa ścieżka do brodu na Schwalmie, którą usypał, aby koń nie tonął w błocie, dziś była już tylko pamiątką z młodości, z którą trzeba się rozstać na zawsze. Zadumany wypił dwie filiżanki herbaty i zjadł wielką pajdę chleba. Nawet należące w większości do ojca rzeczy, do których był bardzo przywiązany: miedziany kociołek, w którym gotował herbatę, patelnia, na której usmażył mnóstwo ryb, narzuta z futer wydr, pod którą sypiał, nagle straciły na znaczeniu. Po ojcu pozostały też różne drobiazgi, jak lusterko, przybory do golenia i drewniana tabakierka. Robert postanowił, że poprosi Ludolfa, aby zabrał to wszystko, zanim przybędą tu wysłannicy landgraфа przygotowujący polowanie. Dla niego nie ma tu już miejsca, nie ma też nic do roboty. Przyszykuje jeszcze tylko klatki, w których podczas ostatniego polowania pozamykał ulubione czaple i wywiózł z wyspy. W oddali rozległ się krzyk wodnej kurki, z głośnym brzęczeniem nadleciał jakiś owad, słońce przygrzewało. Niby wszystko wyglądało jak zwykle, lecz Robert poczuł się nagle zupełnie opuszczony - przeszłość przestała się liczyć, przyszłość rysowała się bardzo mgliście. Od dłuższego czasu uważnie nasłuchiwał, mimo to nie potrafił zidentyfikować chrzęstu, który wyraźnie nasilał się. Jakby dziki zwierz przedzierał się przez poszycie. W cieniu zarośli mignął nagle jasny kształt. Błysnęły mokre od rosy noski butów, załopotiała szara peleryna, kilka rdzawych liści uniosło się w powietrzu i opadło na jasne włosy dziewczyny. Gdyby nie one, nie poznałby jej. - Wybacz, że cię tu nachodzę. Wiem, że tego nie lubisz, ale kiedy zobaczyłam dym... Dawno już wróciłeś z podróży? Nie odpowiedział. Próbował skojarzyć stojącą przed nim osobę z Christine, którą zapamiętał sprzed roku. Zmieniła się nie do poznania, nie tylko zewnątrz. Odważnie wytrzymała jego śmiałe spojrzenie, nie była to jednak kokieteria; w rezultacie to on poczuł się zmieszany. - Dziwię się, że Ludolf zgodził się przewieźć cię tutaj - rzekł bez zastanowienia. - Też się zdziwiłam, bo zawsze znajdował setki wymówek, a dziś nawet się nie zająknął... - Twoja matka nie byłaby zachwycona, widząc cię w towarzystwie mężczyzny, na dodatek jednego z Haynauów. Christine spoważniała. - Ona nawet nie wie, że się wymknęłam. Nie wzięłam konia, a o dziesiątej powinnam być w Ziegenhain i przekazać staroście list od ojca. - Czyżby żądał odszkodowania za ryby, które czasami łowiłem na jego brzegu? - spytał, zaraz wszakże przypomniał sobie, że ojczym wspominał o ostatecznym wykupie Czaplej Wyspy. - Mógłbym zobaczyć ten list? Bez wahania wyjęła kopertę, złamała pieczęć i podała kartkę Robertowi. Kiedy czytał, miała czas, by mu się dokładniej przyjrzeć. W jasnym słonecznym świetle jego włosy miały taki sam złocisty odcień jak skóra, przy każdym oddechu koszula ciasno opinała mocne ramiona. Christine nie potrafiła ukryć zdziwienia - w rzeczywistości wyglądał zupełnie inaczej niż w jej dziewczęcej wyobraźni. - Jeżeli do dziesiątej chcesz zdążyć do Ziegenhain, musisz się pośpieszyć. Możesz wziąć mojego konia. Czy on coś mówił? Christine czuła jeszcze dotyk jego ręki, gdy podawała mu list. - Mogę ci pomóc - rzekła, zobaczywszy klatki. - One są dla czapli, prawda? Chcesz je ukryć przed myśliwymi? - Tym razem sokoły landgraфа dostaną wszystkie czaple, ale nie będą to już moje ptaki, lecz Sonsfeldów - odparł, kopiąc ze złością kamień. - Nie sądziłem, że twój ojciec znowu się sprzeciwi. Musisz być u starosty przed dziesiątą, w przeciwnym razie wyspa przypadnie w całości nam! I uważaj: mój koń jest czuły w pysku i trzeba mu zostawić dłuższe cugle. Stała przed nim, trzymając w ręku list. Czy on nie zdaje sobie sprawy, co oznacza zerwanie pieczęci, czy nie rozumie, co zrobiła dla niego i dla siebie także? Wykorzystała pierwszą okazję, by postąpić według własnej woli i sprzeciwić się rodzicom. Decyzję podjęła, nie

miała tylko pojęcia, jak powiedzieć o tym Robertowi. - Nie masz przypadkiem łyka herbaty i kromki chleba? Nie zdążyłam zjeść śniadania. Uśmiechnął się. Najwyraźniej nie chce zdążyć do Ziegenhain, choć jeszcze brakuje jej odwagi. Na pewno boi się matki, mimo że w pierwszej chwili stanęła po stronie ojca. Napelnił miedziany kociołek wodą. - Dołóż do ognia - rzekł. - Właśnie szykowałem się do wyjścia. Z przeczuciem, że zdarzy się coś cudownego, Christine pobiegła w głąb laboratorium i nabrała z kosza drewien. Upewniwszy się, że Robert ją obserwuje, przyłożyła list do ognia, a gdy zapłonął jasnym płomieniem, uniosła go tryumfalnym gestem i zawołała: - Czapla Wyspa zawsze była twoja, i tak już pozostanie! Uśmiechnął się gorzko. - Ja chyba mam w sobie coś, co zmusza kobiety do obsypywania mnie podarunkami. Przeważnie jednak robią to wówczas, gdy są przekonane, że wkrótce mnie stracą. I rzeczywiście, potem naprawdę odchodzę. Martwię się trochę, bo jak się wydaje, pan von Sonsfeld nie najlepiej zna swoją córkę. Nie słyszała jego słów, rozróżniała tylko ton głosu. - Wyspa jest twoja... Musiałam to zrobić. Wiele ci zawdzięczam, ale nie miałam odwagi, aby ci o tym powiedzieć - zająknęła się. - Ojcu jakoś to wytłumaczę - dodała i spojrzała Robertowi w oczy. Dlaczego jeszcze nie porwał jej w ramiona? Aż nadto wyraźnie dała mu znak, że go kocha; czy koniecznie musi to powiedzieć? - Jeśli zrobiłaś to dla mnie, to popełniłaś błąd - rzekł, wieszając kociołek nad ogniem. - Błąd? - Usiadła na taborecie. - I tylko tyle? Nie cieszysz się? Napotkała jego chłodne spojrzenie. - Dam ci pewną przestrożę na przyszłość: nie ma nic gorszego od dąsającej się kobiety. Ze złości kobieta może drzeć suknie, rzucać talerzami, ale udawać, że cierpi, i patrzeć przed siebie w ślup, to zgroza! - To może uruczysz mnie także innymi radami? - spytała cierpkim tonem, który tak bardzo denerwował ją u matki. - Skoro sobie życzysz... W skarbcu mojego ojca leży klejnot, brosza z szafirami i brylantami od Derendy z Frankfurtu. Zwróć ją landgrafowi i powiedz, że cenisz tylko duże, pojedyncze kamienie. Pokaż mu, że znasz swoją wartość i chcesz, aby wiedział to już na początku. Długo nie mogła zrozumieć, o czym on mówi. Z potoku słów wywnioskowała, że jest chyba o nią zazdrosny, i to przywróciło jej pewność siebie. - Wszyscy o czymś wiedzą, tylko ja jedna nie. Matka, ojciec, teraz słyszę, że także Haynauowie. Każdy wtrąca swoje uwagi, nie pytając o zdanie mnie. Zastanawiał się nad odpowiedzią, a jednocześnie był ciekaw, jak zareaguje, gdy powie jej prawdę prosto w oczy. - Mam nadzieję, że wiesz, czego landgraf chce od dziewczyny. Dokładnie tych samych słów użył rano ojciec, w ustach Roberta zabrzmiały jednak zupełnie inaczej i wywołały bunt, o jaki siebie nie podejrzewała. - Gdybym była mężczyzną, spalony list ojca by cię ucieszył i już bylibyśmy przyjaciółmi. Dlaczego między nami musi być inaczej? Popatrzył zdumiony i odruchowo wziął ją za rękę. Marzyła, że to robi, teraz wszakże wyrwała się i zawołała rozgoryczona: - Dlaczego? Dlaczego musisz zadawać mi ból? - Mówisz tak, jakbyś już przeżyła zawód miłosny. Popatrzyła mu prosto w oczy, lecz nie odważyła się wyznać swoich uczuć. Z pewnością zareagowałby tak samo, jak w momencie gdy paliła list. - Przypuszczam, że tobie żadna kobieta nie złamała serca, ja z kolei nie obawiam się, że przeżyję zawód. To jedyna korzyść z tego, że wychowałam się w zamku, gdzie mówiło się wyłącznie o pieniądzach, których wечно brakowało. Urwała, dopiero teraz uświadamiając sobie, że Robert ją obejmuje. Może to dobrze? Powie zaraz, że ją kocha? - Nie musisz się tłumaczyć - zaczął. - Pewnie na twoim miejscu zachowałbym się tak samo, mimo że, jak mówią, kobieta rozporządza tylko jednym życiem, a mężczyzna wieloma. To, co zrobisz teraz, będzie miało wpływ na całą twoją przyszłość. Opuściła głowę. Po to tyle słów? Dlaczego nie powie wprost, że ją kocha? - Mówisz tak, jakby sprawa była przesądzona, a nie jest! Podkomorzy rozmawia teraz z moją matką, oczywiście o mnie. Ojciec też ma jakieś plany. Ja się nie liczę. Jakże ja ich nienawidzę! - Przestraszyła się własnych słów, mimo to powtórzyła: - Nienawidzę ich! Myślą tylko o sobie, a ojciec nie jest wcale lepszy od matki. Nienawidzi jej, ale to on doprowadził ją do takiego stanu. Czy tylko ją? Christine też karmiła się półprawdami. Choć matka nie mówiła wprost o swoich planach, to przecież wyrażała się

dostatecznie jasno. Christine mogła zaprotestować, lecz nie uczyniła tego, gdyż gotowa była nawet się sprzedać, byleby tylko uciec z tego ponurego zamczyska, wyrwać się od rodziców. Podniosła głowę i rzekła: - To wszystko jest okropne. Próbowałam zamykać na to oczy, ale dłużej już nie mogę. Pomóż mi, błagam! Woda w kociołku zabulgotała. Robert zalał herbatę. - Masz krewnych? - spytał. Wybuchnęła śmiechem, jakby nagle wyszła z ciemności na pełne słońce. Robert siedział na skraju wielkiego biurka, które stało tu od czasów jego ojca, i bujał w powietrzu długimi nogami. - Nie wspominaj mi o krewnych! - zawołała. - Mam złote sztuce. Co roku od osiemnastu lat moja chrzestna przysyła mi na urodziny po dwie sztuki. Mógłbyś mi pomóc je sprzedać. - Mógłbym ci pożyczyć pieniądze, jeśli mi powiesz, gdzie będziesz. - Nie domyślasz się? - spytała rozgoryczona, że i tym razem nie usłyszała od niego tych kilku prostych słów, które rozwiązałyby wszystkie jej problemy. Nalała sobie herbaty, wypila i sięgnęła po pelerynę, którą rzuciła na ławę obok drzwi. Wyszła. Nie spełniło się nic, co sobie wymarzyła. Robert stanął za jej plecami. Słońce mocno już przygrzewało, w powietrzu unosił się cierpki zapach wysuszonych ziół. - Jest taki kraj... - rzekł - w którym, jak mi się zdaje, czułabyś się dobrze. Oddałaby wszystko, żeby się dowiedzieć, co on naprawdę myśli. - Ile ziemi mogłabym tam kupić za moją zastawę? - W Ameryce nie kupuje się ziemi. - Jak to? Mogę tam sobie wziąć, co chcę? Łąki, pola, kawałek lasu, jezioro, górę? A konie kto mi da? - Żyją stadami dziko, wystarczy złapać. - Jednym słowem: kraina mlekiem i miodem płynąca. - Bierzesz moje słowa za żart, a ja mówię poważnie. - Jedziesz do Ameryki? - spytała i zaraz pomyślała, czy przypadkiem Robert nie chce, aby pojechała z nim. Od razu dostrzegł zmianę, jaka w niej zaszła, i zrozumiał, że mocne musi to być uczucie, które ostatecznie rozstrzygnęło o jej psychicznej dojrzałości i które będzie decydować o dalszych jej losach. Była piękna i Robert walczył z całej siły, by jej nie dotknąć. Od dziecka, zanim na coś nie położył ręki, to dla niego nie istniało. Zrobiła krok w jego stronę. - Kiedy jedziesz? - Jeszcze nie wiem. - A zabierzesz mnie z sobą? - Patrzyła mu uporczywie w oczy. Lepsze to, niż miałyby wybuchnąć płaczem. Aby jednak nie znosić dłużej jej wzroku, przytulił ją i pocałował. Zdawał sobie sprawę, że popełnia błąd, że postępuje lekkomyślnie, lecz nie żałował. Inne kobiety przy pocałunku ciążyły mu w ramionach, Christine była niczym piórko. Wyśliznęła się zręcznie i zniknęła w cieniu pod drzewami. Gałęzie zasunęły się za nią i rozległ się ten sam chrzęst co na początku, jakby dziki zwierz przedzierał się przez zarośla. Wkrótce jednak dźwięk ów zmieszał się z turkotem wozów. Robert zerwał się i pobiegł do przystani. Przewoźnik był już w drodze na drugi brzeg. Christine stała w łodzi, jej długie rozpuszczone włosy powiewały w słońcu. Nie odwracała się, wpatrzona ku drodze z Kassel, skąd dochodził niecodzienny hałas długiej kolumny wozów prowadzonej przez gońców i przednią straż. Na plandekach wozów i drzwiczkach karet pyszniły się czerwono-zielone herby landgraфа Hesji. Serenissimus Orszak królewski - 606999 funtów Chambre au denier - 1618042 Wydatki na królewskie toalety, precjoza itd. - 2274253 Drobne wydatki - 400850 Zakup koni - 12000 Utrzymanie stajni - 1045958 Podarunki - 313028 Nadzór służby - 61050 Polowania - 388319 Służba Jego Wysokości - 1230000 Służba Jej Wysokości - 252000 Nagrody - 160437 "Kieszonkowe" Króla - 2186748 Budowle Króla - 15340901 Tajny fundusz - 2365134 Podróże - 558236 Razem: 288139955 funtów Osobiste wydatki króla Ludwika XIV w roku 1685. 12 Ważny jest nie tylko wzrost jeźdźca, jego waga, lecz przede wszystkim sposób, w jaki dosiada i prowadzi konia. Jednakże nawet najbardziej wytrzymały, pełnokrwisty rumak nie wytrzyma dwugodzinnej jazdy bez odpoczynku. Jadący obok księcia sekretarz nie miał już siły, by pisać dalej, a rzemienie, do których przytroczył tabliczkę niczym przenośny kram, mocno wrzynały mu się w ramiona. - Jak brzmiało ostatnie zdanie? - spytał landgraf. - "Do końca roku wszystkie dachy kryte gontem należy pokryć dachówkami" - wyrecytował Jakub Hanslin. - Trzeba to ująć w formie dekretu. Chciałbym jeszcze dziś przeczytać projekt, i proszę nie zapomnieć o karach. Względem opornych stosowane będą drastyczne

środku. Chłopi muszą się bać, inaczej nie rozumieją. Głowy mają wyłącznie do jedzenia. Fryderyk II, landgraf Hesji-Kassel, trzymał w ręku buteleczkę, którą raz po raz przytykał do nosa. - Spaleniznę czuć aż tu, powietrze zarażone, jestem pewien, że do końca polowania nie opuści mnie ból głowy... Pisz, Hanslin: polecenie dla Zachariasza Vossa: chłopca, do którego należą pałace się zabudowania, ukarać przykładowo jeszcze dziś. Niech to będzie przestroga dla innych. - Nagle stanął w strzemionach. - Gdzie trzyma światło! - wrzasnął na mężczyznę, który z latarnią na drążku jechał obok sekretarza. - Hanslin, notuj: ceny dachówek należy podnieść. Mam tego dosyć, wszystko dostawali w podarunku, teraz niech płacą. Na sto pożarów dziewięćdziesiąt dziewięć wybuchło na dachach, a chłopcy, zamiast odbudować więźbę i pokryć ją dachówkami, wolą porzucić dom i gospodarstwo, i po prostu uciec. Żadnej pomocy z państwowej kieszonki, proszę zapisać, i żadnych ulg w daninie, jeżeli pożar strawi zabudowania pokryte gontem. Dekret ten obejmie cały bieżący rok. Tak nie może być, że ja się staram, aby żyło im się jak najlepiej, a oni coraz bardziej leniuchują. Leśna droga nagle się poszerzyła i przekształciła w uporządkowaną aleję, która po dojeździe do kolistego trawnika rozdzielała się na dwie odnogi, prowadzące łukiem do myśliwskiego pałacu. Naprzeciwko orszakowi wyszli włoscy służący z pochodniami. W żółtawym świetle ukazały się białe tynki pałacyku. Wyglądał pięknie, elegancko, wręcz przepysznie, choć był zaledwie w połowie tak duży, jak zaplanował książę. Im podjeżdżał bliżej, tym zamek wydawał mu się mniejszy. Stół na sześćdziesiąt osób raczej się nie zmieści, choć może uda się przynajmniej wnieść zamówione już łóżka o wymiarach siedmiu stóp na dziesięć. Gdyby landgraf miał filozoficzne podejście do życia, jak Wolter, któremu niedawno złożył wizytę, pewnie by swoje rozczarowanie ujął w zjadliwą satyrę, jednakże z wielkim francuskim kpiarzem łączyła go tylko skłonność do wpadania w zły humor. Na dodatek w tłumie lokajów, którzy wylegli na jego powitanie, nie widział Zachariasza Vossa, odpowiedzialnego za przebudowę i renowację zamku. Koń zatrzymał się sam i byłby zrzucił księcia, gdyby natychmiast nie przyszło mu z pomocą kilku służących. Z obu stron chwycili cugle, przytrzymali czaprak i wyjęli stopy "najjaśniejszego" ze strzemion, nie zapobiegli jednak opadnięciu siodła i popręgów wraz z księciem panem. Każdy inny koń stanąłby dęba, ten stał nieruchomo jak ołowiany posąg. Nie drgnął nawet, gdy książę z całej siły kopnął go w bok. Łowiecka torba potoczyła się po ziemi, wypadła buteleczka z perfumami, za nią rękawiczki. Dwóch pachołków ciągnęło za uzdę, dwóch popychało konia z tyłu. - Spuśćcie psy ze smyczy - polecił landgraf stojącemu obok młodzieńcowi. Fryderyk górował nad wszystkimi, choć na koniu wyglądał raczej na niskiego. Był niezwykle dumny ze swoich długich nóg i najchętniej nosił wysokie, sięgające pachwin buty. - Wasza wysokość! - wołał, przepychając się łokciami, niski mężczyzna z siwą kozią bródką. Doktor Verweyen był faworytem wśród dwudziestu jeden lekarzy służących księciu. - Wasza wysokość jest zgrzany! Nie wolno stać! - Dwóch lokajów biegnących za lekarzem natychmiast zarzuciło księciu na ramiona płaszcz podbity futrem. - Zaklinam waszą wysokość, to jesienne ciepłe powietrze jest bardzo zdradliwe. Wreszcie przy schodach landgraf dostrzegł Zachariasza. - Myślałem, że przebudowa już skończona! - wrzasnął. Zachariasz uklonił się. Skoro książę jednym uprzejmym słowem nie odpowiedział Verweyenowi, zanosilo się na wielką burzę, lecz na to w gruncie rzeczy był przygotowany. Zerknął za siebie. Kamerdyner chyba zdążył się uporać z zapalaniem świec. Dał znak. Ciężkie drzwi otworzyły się, wypuszczając dwóch paziów z zapalonymi sześcioramiennymi świecznikami. Serenissimus w towarzystwie trzech psów wszedł do wielkiego holu w kształcie wydłużonego ośmiokąta. Lustra w czterech ukośnych ścianach sprawiały, że pomieszczenie wydawało się nie mieć końca. Książę rzucił futro na posadzkę i przyjrzał się swemu odbiciu. Lustra były tak wyprofilowane, że w każdym książę wydawał się szczuplejszy i wyższy. Uśmiech w kącikach ust mógł oznaczać, że najjaśniejszy pan się udobruchał, tymczasem ku rozpaczy Zachariasza ukazał się kamerdyner w roboczym ubraniu. Landgraf błyskawicznie skoczył ku niemu, złapał za kołnierz i potrząsając,

wrzasnął: - Nie chciało się ubrać liberii?! - Zdarł z niego szarą bluzę. - Kreatura! Do twierdzy z nim! Człowiek padł na kolana, zaczął coś bełkotać, ale zaraz rzuciło się na niego dwóch lokajów i wywlokło z holu. Pozostali powieszali głowy, ciesząc się w duchu, że nie trafiło na nich. Jednakże landgrafowi dalej się coś nie podobało. - Voss! Co z krzesłami? Dawać mi tu jedno! Zachariasz uklonił się i szybko spełnił polecenie. - Przecież przysłałem jedno na wzór z Paryża! - Utkano według niego tkaninę obiciową. - Ale wzór był na złotym brokacie! - Minister Schlieffen polecił adamaszek. Brokat jego zdaniem był zbyt kosztowny. - Zawołać mi tu Schlieffena! Zachariasz podał krzesło lokajowi. - Jego wysokość wzywa ministra Schlieffena! - krzyknął, a jeden z włoskich gości natychmiast wybiegł z sali. Zapadło milczenie, bo wszyscy się orientowali, że Schlieffena nie ma w zamku, i podziwiali Zachariasza, który jak zawsze znalazł sposób, aby skierować gniew księcia na kogoś innego. Pierwszy odezwał się drobniutki Verweyen. - Wasza wysokość powinien odpocząć przed kolacją. A może kąpiel i drobna przekąska... Tym razem też nie otrzymał odpowiedzi. Goniec tymczasem wrócił i oznajmił, że ministra nie można znaleźć. - Jak się zjawi, chcę go natychmiast widzieć - rozkazał książę, po czym zwrócił się do Vossa i warknął: - Dlaczego czuć tu zapachy kuchenne? Voss rozłożył ręce. - Musiałbym waszej wysokości pokazać cały zamek. Kuchnię przeniesiono do przybudówki, jak wasza wysokość raczył polecić. Odsunięto też boksy dla psów, dzięki czemu można było dwukrotnie powiększyć wejście. - Z oddalonej kuchni jedzenie trafi na stół zimne. - Nadworny inżynier Krisch zbudował izolowany wózek, zachowujący ciepło. - Proszę pokazać mi sypialnię. Dwóch paziów otworzyło drzwi, psy zerwały się i wybiegły. Voss podążył za księciem, którego nagle opanował fatalistyczny nastrój. W salonie do gier zainteresował się dekoracją ścian. - Japońskie wyroby z laki - wyjaśnił Voss, a książę z zadowoleniem pokiwał głową. Przeszli palarnię i gabinet broni. Voss objaśniał, książę słuchał w milczeniu. - A to sypialnia waszej wysokości. Landgraf stanął w progu. - Po co tu tyle świec? Chcecie, aby ściany w mig się zakopciły? I to gorąco! Przecież przez całą noc nie zmrużę oka! Nagle jego wzrok spoczął na obrazie, który przedstawiał go na koniu z sokołem w ręku. Podszedł bliżej. Wyglądał tak, jak sobie zażyczył: szczupły, młody, elegancki, pełen życia, majestatyczny. Dlaczego nie przyszedł na świat jako francuski delfin? Panowałby nad wielkim narodem, dowodził wielką armią, budował zamki tak wielkie, że nikt by nie wiedział, ile naprawdę mają komnat. Tymczasem jego poddani to przede wszystkim banda wieśniaków. Mieszczanie w Kassel niczym się od nich nie różnią. Armia, z wyjątkiem gwardii i korpusu oficerów, to zbieranina wszelkiej maści kryminalistów. Zamki istnieją co najwyżej w planach i nigdy nie zostaną zbudowane, a te istniejące popadają w ruinę, gdyż brakuje pieniędzy na ich utrzymanie. Ponownie przyjrzał się swojemu portretowi. Ten Tischbein jest naprawdę genialny, choć nosi pospolite niemieckie nazwisko. Chyba to dobrze, że właśnie on będzie malował sceny z polowania na czaple. Zachariasz otworzył drzwi do łazienki. Landgraf popatrzył na marmurową wykładzinę na ścianach i uśmiechnął się. - Chyba cię pochwałę, Voss - rzekł, gładząc żyłkową zielonkawą ścianę. Nagle postukał w nią zgiętym palcem i wrzasnął: - Stiuk! Voss przezornie cofnął się o krok, psy warknęły groźnie i ruszyły za wybiegającym do sali biesiadnej księciem. Wszyscy zamarli z przerażenia, jedynie doktor Verweyen, choleryk z natury, pozostał nieporuszony. Studenci, którzy zdając u niego egzamin, dawali się przestraszyć wybuchem złości, przepadali z miejsca. Przechodził tylko ten, kto miał odwagę odpowiedzieć krzykiem. Dokładnie tak zareagował teraz doktor. - Nie zostanę tu ani minuty dłużej! - wrzasnął. - Jeżeli wasza wysokość koniecznie chce się wpędzić w chorobę, to proszę bardzo, ale beze mnie! - Ależ doktorze... - zająknął się książę. - Nie jestem już waszym doktorem! Jak waszej wysokości nie podobają się stiuki, to wystarczy kazać je skuć! - Tak właśnie zrobię! Słyszał, Voss? Zaraz po polowaniu stiuki należy skuć, i w łazience, i te śmieszne imitacje marmurowych kolumn tutaj. Wszystko usunąć, a rachunki proszę do mnie. Podrę je na strzepy, już ja się policzę z tymi oszustami! Zachariasz przytakiwał bez słowa,

ucieszony, że jakoś szczęśliwie wybrnął. Jednakże dzień jeszcze się nie skończył. Na myśl o kolacji robiło mu się gorąco. Kazał skreślić trzy dania, musi czym prędzej biec do kuchni i odwołać swoją decyzję, by nie pogarszać sytuacji. - Lekką przekąską dla jego wysokości - usłyszał głośne polecenie Verweyena i ogarnęła go ochota, by uściskać doktora za tę chwilę wytchnienia. - Gdzie wasza wysokość każe nakryć? - W sypialni - odpowiedział Verweyen zamiast landgrafa. Lekarz kazał tak ustawić stół, aby jego wysokość cały czas miał przed oczami swój portret z sokołem. Dla ochrony przed przeciągami za plecami księcia stanął parawan. Psy ułożyły się na podłodze i łakomym wzrokiem witały lokajów z kopiastymi półmiskami. Kiedy na stole zabrakło miejsca, wniesiono dodatkowe stoliki. Płomienie świec nie miały czasu, by się uspokoić. Landgraf siedział wygodnie w fotelu i zafascynowany podziwiał grę świateł na obrazie namalowanym przez artystę o okropnym nazwisku. To nie było już płótno i farby, to był żywy obraz! Gałęzie na drzewach poruszały się, pióra sokoła drgały na wietrze. Książę dał kamerdynerowi znak, że chce zostać sam. - Poradzę sobie - burknął i odesłał wszystkich lokajów. Wyszli, a mimo to książę miał wrażenie, że ktoś pozostał w pokoju. Odwrócił się i zobaczył stojącą obok drzwi wysoką postać. - Wreszcie się odnalazłeś, panie Schlieffen! Ernst Moritz baron von Schlieffen, rzeczywisty minister Jego Wysokości landgrafa Hesji-Kassel, generał porucznik i zwierzchnik heskiej armii, podszedł bliżej. Nie ubierał się we wzorzyste szaty rodem z Paryża, pozostał przy jedwabiach i batystach we wszystkich odcieniach szarości. Nie uznawał peruk, a jedynie pudrował na białło swoje wciąż gęste włosy, wskutek czego jego ogorzała twarz wydawała się jeszcze ciemniejsza. Landgraf mierzył go od stóp do głów z ironicznym uśmiechem na ustach. - Jak to robisz, że kiedy jestem wściekły, zawsze potrafisz zniknąć? Schlieffen z uwagą przyglądał się zastawionemu stołowi i jakby nie słysząc pytania księcia, rzekł: - Przewiduję koszarne sny, wasza wysokość, tak ciężkie jak faszerowana gęś wraz ze srebrnym półmiskiem, na którym leży. - Koszarne sny miewam z innego powodu, na przykład z tego, że bawisz się w architekta, by oszczędzać moje pieniądze. Stiukowe marmury to skandal! Proszę się dobrze przyjrzeć, jak wygląda moja łazienka! - Nie jest wykończona. Do następnej wizyty stiuki zostaną wypolerowane. Nie można było tego zrobić teraz, gdyż jeszcze nie zdążyły wyschnąć i mocno związać z tynkiem. - Ci murarze to bezwstydni dranie! Nie dostaną ani grosza i niech się cieszą, że nie każe ich zamknąć w twierdzy. Dlaczego nie zleciłeś tych robót Reissowi? Z nim nigdy nie było kłopotów - rzekł książę, odkrawając kawały pasztetu i rzucając je psom. - Dlaczego nie lubisz Reissa? Stało się coś, o czym nie wiem? Jeżeli postawił zbyt wysokie żądania, trzeba było mi o tym powiedzieć. Schlieffen usiadł na krawędzi krzesła i przyglądał się psom zbierającym skrzętnie okruchy. - Próbowałem się dowiedzieć, który z sekretarzy odbierał rachunki od Reissa - rzekł spokojnie. - I udało mi się ustalić, że od trzech lat nie wypłacono mu ani talara. - Czepiasz się drobiazgów. Być może Reiss sam sobie życzył, aby wypłacić mu na raz większą sumę. - W tym czasie Reiss z własnych pieniędzy kupił dla waszej wysokości marmuru za czterdzieści tysięcy talarów. Zadłużył się, zastawił dom w nadziei, że wasza wysokość... - Trzeba go zwolnić z podatku na następne pięć lat. Wydam też polecenie, aby wyrównano mu część wydatków. - Tydzień temu Reiss uciekł przed wierzycielami. Książę ze złości cisnął serwetkę na stół, przy okazji wylewając puchar wina. - Który z dworów go zwerbował? Czy przypadkiem nie hrabia z Hanau? - Już sama myśl, że jego najstarszy syn, następca tronu Hesji-Kassel i obecny regent Hesji-Hanau, o którego przygodach z kobietami i niebosięźnych wydatkach krążyły legendy, mógł mu zrobić kolejny dowcip, przyprawiła księcia o zawrót głowy. - Nic mi na ten temat nie wiadomo, wasza wysokość. - Dziwne, Schlieffen, bo zawsze jesteś o wszystkim najlepiej poinformowany. I pomyśleć, że gdybym tego Reissa nie wysłał do Italii i Hiszpanii, po dziś dzień byłby zwykłym szlifierzem marmuru. Ot, wdzięczność! Dlaczego Reiss nie przyszedł z tym do mnie? - Wszędzie się mówi bez ogródek, że skarbiec waszej wysokości świeci pustkami. Mistrzowi Krischowi wypłaciłem zadatek z własnej kieszeni, w przeciwnym razie

nie przyjąłby zlecenia na przebudowę zamku myśliwskiego. - Kawał łobuza! - mruknął książę. - Reiss nie jest wyjątkiem. Wszyscy budowniczo w Kassel czekają na zapłatę z książęcej kasy. - Po czyjej stronie stoisz, Schlieffen? Bardziej zależy ci na napełnieniu mojej kasy czy raczej kiesy tych zdzierców, co nie zdążyli się zbyt szybko wzbogacić? Proszę się zastanowić i coś wymyślić. Nowe podatki albo cła - dam ci wolną rękę. - Wasza wysokość, proszę wymienić mi jakiś towar, który jeszcze nie został obłożony podatkiem. - Głos Schlieffena brzmiał monotonicznie, bez emocji. - Chleb, mięso, sól, kawa, tytoń, cukier, wełna, bawełna, czyli wszystko, co ludziom potrzebne, by żyć lub umrzeć, jest już opodatkowane. Wykaz artykułów podlegających akcyzie zajmuje sześćdziesiąt pełnych stron dużego formatu, a na każdej jest co najmniej dwadzieścia pozycji. A jeśli chodzi o cło, to pięćdziesiąt osiem posterunków celnych oddaliśmy w dzierżawę, zostało nam dziewiętnaście co, jak na kraj liczący zaledwie trzysta tysięcy dusz, jest stanowczo za dużo. Chłopi oddają dworom sześćdziesiąt procent swoich dochodów, oprócz tego świadczą usługi na rzecz państwa, na budowę twierdz, na zaopatrzenie wojska i muszą zapewniać odwody waszej wysokości, urzędnikom i oficerom. Zabrnęliśmy w ślepią uliczkę, wasza wysokość. Gospodarka jest jak żywy organizm, potrzebuje powietrza, tymczasem my podatkami i cłami cały czas ją dusimy. Dochody spadają z miesiąca na miesiąc, drobni rękodzielnicy i kupcy bankrutują, silniejsi uciekają się do przemytu. To skończy się katastrofą i powinniśmy się mocno zastanowić, jak uratować heską gospodarkę. Opracowałem pewien plan, który należy zrealizować w ciągu dwóch najbliższych lat. Landgraf wstał i lekceważąco machnął ręką, w której trzymał zajęczą udziec. W drugiej trzymał sosjerę z sosem borówkowym i popijał go jak ze szklanki. - Nudzisz mnie, Schlieffen - rzekł z pełnymi ustami, po czym wytarł je serwetką i dodał: - Znowu obudziły się w tobie żołnierskie przyzwyczajenia. Nie po to sprowadziłem cię do Kassel, żeby mieć jednego marudę więcej! - Książę rzucił sztucę na półmisek z nietkniętą galaretką z ryb. - Coś ci pokażę. Z myśliwskiej torby przewieszanej przez oparcie krzesła wyjął skórzaną sakiewkę i wysypał z niej garść monet. - Królowi Prus, któremu niegdyś służyłeś, nie brakuje ani żołnierza, ani też pieniędzy. Powinniśmy postępować jak on. Recepta jest prosta: monety tylko w trzydziestu procentach prawdziwe. I aby nie psuć własnego pieniądza, temu trzeciakowi wystarczy nadać nieco cudzoziemski wygląd. - Wziął złotą monetę i obrócił między palcami. - Potrafisz pan wyczuć, co jest pod cienką warstwą złota? - Rzucił ją na stół tak, że zaczęła krążyć jak bąk. - Na zewnątrz złoto, w środku cyna; znasz lepszy sposób, jak z jednego talaru zrobić trzy? - Ojciec waszej wysokości już z tym eksperymentował i o ile pamiętam, skończyło się to kłapą. - Bo popełnił błąd! Kto do fałszowania monet wynajmuje złotnika?! Ja tego Skelnika trzymałbym za kratkami, a ojciec z sześćdziesięcioma tysiącami złotych dukatów zostawił go na odludnej wyspie, co za lekkomyślność i nieznanostwo ludzkiej natury! Tym razem musi się udać. Pruski król zalewa całe Niemcy swoim podłym pieniądzem i ściągają prawdziwy. Chyba sobie nie wyobraża, że jesteśmy idiotami i nie będziemy go naśladować! Schlieffen stał przed kominkiem, a psy z uwagą śledziły każdy jego ruch. Landgraf uśmiechnął się. - I co mówi wyrocznia? - spytał. - Według przepowiedni nadworny Żyd Veitl Lesser wkrótce wpłaci do książęcej kasy znaczną sumę, i to podobno w czystym złocie. - Znowu mu coś obiecałeś? Nie lubię, kiedy stawia się mnie przed faktem dokonany... - Lesser prosił mnie o pozwolenie na wydanie za męża drugiej córki. - Mnożą się jak szczury! Dwa razy w roku fundują sobie kurację w Hofgeismar... Przejrzyj rejestr zgonów za zeszły rok: żydowskie nazwiska można policzyć na palcach jednej ręki. Co z tego wyniknie, będzie gorsze od fałszowanych talarów, zobaczysz! A Lesser w ogóle ma pieniądze? Jak ostatnio napadli go złodzieje, jęczał, że złupili go do szczeru. - Wiem, że ma. - Niesamowite! Wszyscy mają pieniądze, tylko mnie ich brakuje. Ile zapłacił za zgodę na ślub pierwszej córki? - Zwyczajowe siedem tysięcy talarów. - Tym razem tak tanio się nie wykupi. - Król pruski raz zażądał siedemdziesięciu tysięcy talarów i dostał - rzekł swoim monotonicznym głosem Schlieffen i naprawdę nie było wiadomo,

co myśli naprawdę. - Tobie jednak pruskie trzeciaki się nie podobają. Są jak lekarstwo: niekiedy gorzkie, za to bardzo skuteczne. Dlaczego właściwie uciekłeś z Prus? Z królem Fryderykiem chyba dobrze się rozumieliście, skoro obaj nie cierpicie kobiet? Schlieffen uśmiechnął się arogancko. To za ten uśmiech pruski król wypędził go z pałacu, a księżę heski przyjął z otwartymi ramionami, gdyż arogancję uważał za coś bardzo francuskiego, czyli w jego mniemaniu światowego. - Psom jest tu chyba za gorąco - odezwał się obojętnie Schlieffen. - Poza tym przed polowaniem nie powinny się obżerać - dodał, testując, jak daleko może się posunąć w rozmowie z księciem. Landgraf pociągnął za dzwonek i po chwili zjawił się kamerdyner. - Wyprowadź psy. Za chwilę niech przyjdzie tu podkomorzy Stein z sekretarzem Hanslinem. - Wypił kieliszek wina i zwrócił się do Schlieffena: - Lesserowi powiedz, że siedem tysięcy talarów wystarczy, ale musi się zobowiązać, że odkupi wszystkie dziki upolowane w księżących lasach. Po talarze za sztukę, a w ramach zaliczki wypłaci już teraz trzy tysiące. Z mojej strony jest to dla niego wyróżnienie. - Nalał sobie dwa kieliszki wina i wypił je jeden po drugim. Schlieffen przechadzał się po pokoju. - Skoro jesteśmy przy temacie, wasza wysokość, na zewnątrz czeka baron Haynau. - Jeszcze jeden liczygrosz! Mam już wszystkiego dosyć. Przyjechałem tu na polowanie, a pan każesz mi sporządzać bilanse. - Wypił jeszcze jeden puchar. - Nikogo nie przyjmę! - burknął. Schlieffen sięgnął po kandyzowaną morelę. W takim momencie jak ten jedynie słodczyce były w stanie uspokoić jego nerwy. Podkomorzy Louis Stein znał już na tyle humory jaśnie księcia, że to, co teraz miało go spotkać, wcale nie wydawało mu się groźne. Od razu wyczuł, że chodzi o pieniądze, zresztą jak mogło być inaczej, skoro z księciem rozmawiał Schlieffen i z całą pewnością to jego oszczędnościowe plany wzbudziły wściekłość landgrafa. Stein stanął nad resztkami pasztetu i kośćmi porozrzucanymi przez psy. Jakub Hanslin usiadł przy biurku koło okna i czekał na polecenia księcia. - Najpierw prywatny list. Na osobistym papierze ze złotym nadrukiem. Stein, proszę podyktować adres tej francuskiej tancerki. - Chodzi o kontrakt? - Mam nadzieję, że nikt nas nie uprzedził. - Niemożliwe! Rozmawiałem z nią pierwszy. Będzie to jednorazowy występ czy też cały cykl? - Myślę o całym sezonie zimowym. - Wasze wysokość jak mało kto zna się na sztuce. - Jak właściwie stoi nasz balet? - Mamy sześć tancerek i trzech tancerzy. - A w Haynau? Ilu artystów ma mój syn? Chcę mieć dwa razy więcej, Stein, i to najlepszych. I przypadkiem nie zraż jej mizerną gażą, bo mam już szczerze dość monsieur Dabina w rolach Cyda, Cezara i Brytanika, jego haczykowatego nosa i wypchanych watą łydek. Żadnych dramatów tej zimy, tylko tańce, muzyka i maskarady. Zrozumiałeś? I nie próbuj przemycić jakiejś tragedii! - Kontrakty zostały już podpisane, wasza wysokość. - To nie moja sprawa! - Najstosowniejsza chwila, by francuski teatr zlikwidować raz na zawsze - rzekł Schlieffen, wiedząc, że na ucho z tej strony landgraf nie słyszy. Stein, opowiedz ministrowi Schlieffelowi, jak wygląda demoiselle Richet. On pewnie myśli, że chodzi o byle jaką komediantkę, która występuje na jarmarkach. - Wystarczy, że powiem, iż demoiselle Richet na francuskim dworze jest traktowana jak markiza. Jej wujem jest wielki Noverre, a Ludwik XV trzymał ją do chrztu. To osobistość, choć związana przede wszystkim z teatrem. - Mnie interesuje tylko to, ile każe sobie płacić - rzekł chłodno Schlieffen. - Z tego, co mówisz, Stein, wnioskuję, że jest to zbyt dostojna dama, by brać pieniądze. - Toteż francuski król za jedno przedstawienie ofiarował jej ziemską posiadłość. - A ty pewnie wierzysz, że było to honorarium za tancerskie popisy? Ile battements wykonuje w ciągu sekundy? Pewnie jest lepsza od Pampanini? - Pampanini skacze, a Richet fruwa. - To dziwię się, że francuski król nie darował jej słońca, które podobno do niego należy. Stein uśmiechnął się gorzko. Tego Schlieffena trudno przegadać i nawet w takiej sytuacji jak teraz, gdy już nie ma szans na przeforsowanie własnego zdania, to on uchodzi za rozsądniejszego. - List należy wysłać jeszcze dziś - rzekł landgraf, zaglądając przez ramię Hanslinowi. - Wasza wysokość nie zapomniał o warunkach? - spytał Stein, niezadowolony, że musi o tym rozmawiać w obecności Schlieffena. - Demoiselle

Richet zaznaczyła, że żąda z góry dziesięciu tysięcy talarów. - W ślad za listem wyślę kuriera z pieniędzmi - rzekł landgraf i spojrzał na Schlieffena. - Właśnie dostaliśmy tę sumę, prawda? - Wziął z rąk pisarza pióro i złożył zamaszty podpis. Hanslin, posypawszy list piaskiem, wstał, by odejść. - Chwileczkę! Jeszcze nie skończyliśmy. Szklarnia z egzotycznymi zwierzętami i subtropikalnymi roślinami. To twoja specjalność, Schlieffen, prawda? - Panna Richet będzie tańczyć ze zwierzętami czy tresować je jak w cyrku? - Mój drogi, ja mówię o pannie Sonsfeld, twojej protegowanej. Gdy Du Ry rozpoczął budowę domu, wspomniawszy coś o ogrodzie zimowym, tylko że wtedy nie mogliśmy uzgodnić, czy to ma być przybudówka, czy też osobny pawilon. W tym drugim przypadku byłyby kłopoty z ogrzewaniem, ale podczas ostatniej rozmowy architekt stwierdził, że znalazł już jakieś rozwiązanie. Co proponujesz, Schlieffen? - Pawie, synogarlice, papugi faliste, bażanty złociste, koczokodany, czyli wszystko, co można latem wypuścić na wybieg. Moim zdaniem to panna Sonsfeld powinna dokonać wyboru. - Przecież to miała być niespodzianka! - We Frankfurcie właśnie przebywa włoski cyrk. Być może tam... - wtrącił Stein. - Znakomicie! - zawołał landgraf. - Wysłać kuriera! Hanslin, zapisałeś? I jeszcze jedno: na najbliższym posiedzeniu rady, zaraz po powrocie do Kassel, powołamy akademię sztuk i mianujemy rektorem malarza Tischbeina... Schlieffen patrzył na krążącego po pokoju landgrafa i zastanawiał się, co on czuje, wydając sumy, których nie ma? Przywoływanie go do rozsądku nie miało sensu. Z równym skutkiem można by powstrzymać lawinę lub falę powodziową strzałami z armaty. W ten sposób poszły już w błoto ciężkie miliony, głównie na niedokończone budowle i na kobiety, które gdy zaszły w ciążę, księżę po prostu wyrzucał. - To by było wszystko, Hanslin. Przyprawiono już tego chłopca z palącego się gospodarstwa? - Goniec jeszcze nie wrócił. - List do panny Richet należy wysłać natychmiast. Stein, trzeba pogonić trochę personel. Hanslin, czy projekt dekretu o gontach jest już gotów? - Za pół godziny będzie. Tym razem pisarza zatrzymał Schlieffen. - Być może ja będę cię potrzebować - rzekł, a zwracając się do landgrafa, wyjaśnił: - Jeśli wasza wysokość przyjmie barona Haynaua, jest szansa, że część wydanych przed chwilą pieniędzy wpłynie z powrotem do książęcej kasy. - Czego on chce? - Sądzę, że urobiłem już Haynaua i jest gotów starać się o wyłączność na tytoń. - Ty go urobiłeś! Skąd przyszło ci do głowy, że wyrzeknę się tytoniu akurat dla Haynaua? Ile chce zapłacić? - Osiemdziesiąt tysięcy talarów. - Ile powiedziałeś? Za rok? - Za dwa lata, ale po podpisaniu kontraktu płaci całość z góry. - Mówisz tak, jakby robił nam wielką łaskę, a to przecież on się wzbogaci naszym kosztem. Nie inwestowałby osiemdziesięciu tysięcy talarów, gdyby nie był pewny, że zyska drugie tyle, albo i więcej. Ja dostanę ochłapy... Świat na odwyrtek! - To była wyłącznie moja inicjatywa, wasza wysokość. Haynau nie miałby odwagi prosić, ale go przekonałem... - Nie chcę go widzieć! - Landgraf dał znak Hanslinowi i Steinowi, że mogą odejść, a sam rzucił się do stołu i zgłodniałym wzrokiem zaczął przyglądać się talerzom i półmiskom. - Chyba nie wiesz, Schlieffen, jak czuje się człowiek, gdy naje się do syta i więcej już nie może - rzekł w dobrym nastroju, jak zawsze gdy całymi garściami wydawał pieniądze. - Podobno jako niemowlę wypijałem mleko od dwóch nianiek, a karmiono mnie piersią do półtora roku, choć miałem już wszystkie zęby. A powiedz mi, Schlieffen, tej małej Sonsfeld nie chciałbyś dla siebie? Byłaby dla ciebie w sam raz. Nacieszyłeś się kawalerskim stanem, czterdziestka to dla mężczyzny idealny wiek do ożenku. - Wątpię, czy wasza wysokość zrezygnowałaby z niej dla mnie. Księżę uśmiechnął się. - Gdybym wiedział, że ją tobie odbieram, byłoby to dla mnie bardziej podniecające. Prawdę mówiąc, gdy o niej pomyślę, czuję się tak, jakbym jeszcze nigdy nie miał kobiety! Jak to jest z tobą, Schlieffen? - Księżę poufale objął go przez plecy. - To żaden wstyd! Nie możesz, prawda? Podobno po pierwszym zakażeniu lekarze obcięli królowi pruskiemu klejnoty i po wszystkim. - Czy jeśli ktoś nie lubi muzyki i teatru, trzeba mu od razu obcinać uszy? - Ot, tajemnicza odpowiedź! - Tylko ten, kto chowa własną tajemnicę, potrafi zachować sekrety powierzone mu przez innych. Księżę skrzywił

się. Chciał porozmawiać o kobietach, a Schlieffen wykręcił się aforyzmami. - Rozmawiałeś już z młodym Haynauem o jego sytuacyjnym małżeństwie? - Ojciec czeka za drzwiami. Myślę, że w tej sprawie powinien wasza wysokość rozmawiać z nim osobiście. - Ile razy mam powtarzać, że dziś nie chcę go widzieć na oczy? Za schwywanie bandyty w rodzaju Długiego Hoyma wyznacza się nagrodę, tymczasem bardziej niebezpieczni są tacy jak Haynau, co nie tylko kradną dobytek, lecz i ludzi. Ciebie też już złowił. Gdybym wiedział, że zyskał twą życzliwość jedynie uprzejmością, byłbym spokojny, ja jednak się obawiam, że wkrótce będzie się rządził na dworze, pod moim nosem. Wszyscy, którzy teraz ze świeżo upieczonych baronów sobie żartują, zaraz za nim polecą. To śmieszne, że nawet chłopci trzymają jego stronę. - Bo też ci chłopcy uzyskują plony dwa razy wyższe niż w pozostałych dworach i nie jest to śmieszne, lecz imponujące. A wracając do panny Sonsfeld, małżeństwo sytuacyjne jest koniecznością, z którą wszyscy się zgadzają, aczkolwiek dobrowolne noszenie rogów na pewno nie jest dla zainteresowanego przyjemnością. Wielu dla pieniędzy by się zgodziło, tymczasem Haynau ma ich jak lodu i przypuszczam, że bardziej interesowałoby go coś innego. - O ile dobrze rozumiem, stary chciałby dla syna poroże z kokardą. Czy stopień majora mu wystarczy? - Trzeba go o to spytać. - Szlag niech go trafi! Baronia, wyłączność na tytoń, stopień majora, i to ja muszę go prosić, aby raczył to wszystko przyjąć! Jesteś jeszcze moim ministrem, Schlieffen, czy już Gottfrieda Haynaua? Powinieneś się raczej zastanowić, jak moglibyśmy podciąć skrzydła temu bogaczowi! - rzekł książę, łapiąc nafaszerowany udziec zająca. - Wasza wysokość raczył radzić się mnie odnośnie nóg pewnej tancerki i egzotycznych zwierząt do menażerii - odpowiedział Schlieffen głosem, który nagle z monotonnego stał się natarczywy. - Po to zostałem wezwany, choć już wielokrotnie mówiłem waszej wysokości, że w sprawach uwłaczających honorowi nie będę zabierać głosu. Kiedyś wasza wysokość przyzna, że miałem rację. Ukłonił się i nie czekając na replikę, wyszedł. Nie odwrócił się nawet wówczas, gdy za plecami usłyszał trzask łamanej kości zająca. Natychmiast po otrzymaniu tej depeszy proszę pod byle pozorem udać się do Brunszwiku i dyskretnie wy badać, czy książę skłonny jest odstąpić królowi część swoich oddziałów do wsparcia go w Ameryce. W razie konieczności proszę zaproponować najwyższe z sum, o których mówiliśmy. Gdyby po rozmowie z następcą tronu okazało się, że na Brunszwik nie można zbyt liczyć, proszę niezwłocznie pojechać do Kassel i tamtejszego landgraфа przekonać, by udostępnił nam jak najwięcej żołnierzy. W tej sprawie trzeba działać bardzo skutecznie, aby król jak najprędzej wiedział, na ile wojska może liczyć i kiedy obce oddziały mogą znaleźć się w Ameryce. W tym celu posyłam Panu dwóch kurierów. Jednego proszę odesłać natychmiast, gdy będzie cokolwiek wiadomo, jeszcze przed załatwieniem wszystkich formalności. Lord Suffolk, minister spraw zagranicznych J. W. Jerzego III, króla Anglii, do majora Faucitta. List z dnia 14.II.1775. 13 Nazwanie stosunków łączących Ernsta Moritza Schlieffena i Gottfrieda von Haynau przyjaźnią byłoby wielką przesadą. Potomka starego szlacheckiego rodu z Pomorza i wywodzącego się ze społecznych nizin dorobkiewicza nie łączyła spontaniczna sympatia, lecz zdobyta podczas wieloletniej znajomości wiedza, że nie powinni zostać wrogami. Toczona po cichu wojna spowodowała, że wzajemnie poznali się na wylot, aczkolwiek wciąż trzymali się na dystans. Tak jak na początku dbali, by nie zostać wrogami, tak teraz uważali, aby za bardzo się nie zaprzyjaźnić. Jeden mógł liczyć na drugiego i ufać mu; nie musieli o tym przekonywać ani siebie, ani innych. Po wyjściu od landgraфа Schlieffen nie miał ochoty pozostawać w zamku. Potrzebował świeżego powietrza i szybkiego konia, by wraz z Haynauem wyruszyć do jego dworu. Noc była ciemna, niebo zachmurzone, choć nic nie wskazywało na to, że nadchodzi zimowy wiatr. Gdy wszakże chmury się rozsunały, odsłoniły lodowaty błękit, jakby nie pasujący do ciepłego wieczornego powiewu. Schlieffen wolałby czyste niebo. Miał wrażenie, że by odetchnąć pełną piersią, potrzebuje powietrza spod całej niebieskiej kopuły. - Sądząc po humorze mojego syna, pogoda wkrótce się załamie

- zaczął Haynau. - Noga dokucza Clausowi strasznie i jeśli wysiłki mojej żony nie pomogą, syn raczej nie pójdzie na kolację do księcia. - Rozmawiałeś już z Clausem o małżeństwie? - Wspomniałem. Mamy czas, a jestem przekonany, że Claus doceni wszystkie korzyści. - Najchętniej też bym nie poszedł na tę kolację. Nie mogę już patrzeć, jak taki inteligentny człowiek jak książę stacza się na dno. Co się z nim stało? Jakże on miał plany, gdy piętnaście lat temu obejmował tron! Liga małych księstw jako trzecia obok Prus i Austrii potęga na terenie Niemiec. Wspaniały pomysł, i do tego możliwy do zrealizowania. Książę był inteligentny, zapalony, pozbawiony skrupułów, żądny sławy i władzy, brakowało mu tylko jednego: upor. Wycofuje się przed każdą trudnością, obchodzi z daleka każdy problem. Nie cofa się jedynie przed kobietami i żarciem! - Jak każdy koronowany władca, najwyższych nie pominawszy! - roześmiał się Haynau. - Nie można z nim zamienić jednego poważnego słowa. W ciągu pięciu minut rozdysponował jakieś sto tysięcy talarów, których oczywiście nie ma, a gdyby nie krępował się przede mną, wydałby dwa razy tyle. Francuskiej tancerce chce zapłacić dziesięć tysięcy talarów, funduje nowy balet, szklarnię z egzotycznymi zwierzętami dla panny Sonsfeld oraz akademię sztuki dla Tischbeina! To nie jest człowiek, u którego podjąłem służbę. Nie mam już sił łątać dziur, które on wrywa na każdym kroku! Haynau znał Schlieffena dość długo i w podobnym nastroju widywał go już nie raz. - Ja w każdym razie nie potrafię sobie wyobrazić deficytu, którego nie byłbym w stanie pokryć - rzekł. - Bądź ostrożny, Haynau, i proszę posłuchać mojej rady, by wszystko, co cenne, zabezpieczyć w złocie i srebrze. Wkrótce będziemy tu mieć równie podły pieniądz jak w Prusach. Nie wiem, kto podsunął księciu ten pomysł, ale nie ma sposobu, by wybić mu go z głowy. Słowo "trzeciak" działa na niego jak zaklęcie. Ma tych fałszywych monet cały trzos, a gdy wysypał je przede mną na stół, oczy błyszczały mu jak w transie. Przez chwilę Haynau zastanawiał się, czy Schlieffen nie chce spłatać mu figła, jednakże jego oburzenie wyglądało na autentyczne. - Mam oczywiście plan, jak uzdrowić heską gospodarkę i finanse, lecz książę nie chce o tym słuchać. Dla niego ważniejsze są dziki, które ma od niego odkupić Veitl Lesser, i gonty na dachach chłopskich chat, które trzeba zastąpić dachówkami. Jest tych chat dokładnie pięćdziesiąt, ale książę musi z ich powodu wydać osobny dekret! W Ziegenhain również pod groźbą kary do grudnia mają zniknąć wszystkie gonty. Czasami książę przypomina mi wodza murzyńskiego plemienia, którego jedyną zaletą jest potęga: im więcej ma żon i potomstwa, tym większą cieszy się władzą. - Sam jestem ciekaw, jak wypadnie dzisiejszy wieczór - zmienił temat Haynau. - Nigdy nie widziałem księcia w czasie zalotów. Sonsfeldowie pewnie też będą? Notabene, ten klejnot z Frankfurtu już przyszedł, więc nie zapomnij go zabrać ode mnie. - Gdybym to ja był ojcem, nigdy bym mu córki nie oddał. Ktoś wreszcie powinien powiedzieć księciu "nie!", może to by go otrzeźwiło. Wszyscy mu tylko przytakują, nawet jeśli wygaduje brednie. Ja zresztą też. Drzewo, którego nikt nie przycina, puszcza potem wyłącznie dzikie i jałowe pędy. - Oj, byłoby co ciąć, i to nie tylko w Hesji-Kassel! - Proszę raczej nie porównywać naszego księcia z innymi! Margrabia von Anspach strzelał do pracującego na dachu kominiarza, gdyż jego kochanka chciała zobaczyć, jak człowiek ze strachu narobi w spodnie. Później się tłumaczył, że na chwilę stracił rozum... Wielu arystokratów udaje kretynów, ale niestety wielu nie musi udawać - mówił Schlieffen z coraz większym zapałem. - My dwaj tego nie dożyjemy, ale to się skończy. Pewnego dnia zwykli ludzie zaczną domagać się sprawiedliwości na tej ziemi, dziś jest na to jeszcze za wcześnie, bo zbyt wielka jest liczba takich jak pan i ja, którzy mają za dużo do stracenia, by wzniecać rebelie. Jestem ciekaw, jak za pięćdziesiąt lat będą wyglądały dwory. - Ja na pewno nie dożyję, ale pan masz szansę! Powinniśmy za to wypić. Wyciągnąłem przednie białe gondorferskie; doktor Crusius mówił mi, że z pańskim żołądkiem już wszystko w porządku. - Nie sądzisz, że po śmierci żony doktor wyraźnie odmłodził? - Pańska stara teoria! - zaśmiał się Haynau. - Nie jedziemy przypadkiem dłuższą drogą niż zwykle? - Długi Hoym ze swoją bandą znów grasuje po okolicy, więc w

ciemnościach wolę unikać drogi przez las. Na odkrytej przestrzeni zawsze jest bezpieczniej.

- Tej wioski tam też nie pamiętam. - Rzeczywiście dawno nie byłeś w tych stronach, Schlieffen. Przecież to Czapla Wyspa! Ludzie landgraфа przygotowują polowanie i dlatego palą światła aż do tej pory. Za chwilę zobaczysz most. - Co? Z powodu jednodniowego polowania zbudowano nowy most? Droga wznosiła się dość ostro, po chwili ukazały się łąki nisko położone nad Schwalmem. Jedną z nich przecinała szeroka na pięć kroków, wysypana żwirem droga prowadząca do nowego mostu. Po obu jego stronach paliły się ogniska, na wyciętej polanie ludzie wznosili namioty, ustawiali pawilony i kolorowe baraki. - Całą wyspę tak zdewastowano? - zmartwił się Schlieffen. - Sam jeszcze nie wiem. Zdziwiłbym się, gdyby choć jedna czapla została tu przy takim hałasie. Ciekawe, jak Stein wybrnie z tej sytuacji? Przygotuje balet wodnych nimf? - Słowo "balet" jest obecnie święte, więc lepiej tak nie żartuj. Co mnie podkusiło, że sprowadziłem tego Steina? Mógłbym się go pozbyć, ale kto wie, czy na jego miejsce nie przyjdzie ktoś jeszcze gorszy. Pomiedzy pniami olch zamajaczyły oświetlone okna domku przewoźnika. Nagle jedno ze światel zaczęło się poruszać - ktoś biegł ku nim z pochodnią wzdłuż brzegu. - Jeśli cię interesuje, jaka jutro będzie pogoda, to idzie ktoś, kto się na tym zna - rzekł Haynau. - Co się dzieje, Ludolfie? Kłopoty z robotnikami? - spytał, gdy przewoźnik znalazł się na drodze. - To wasza wyspa, panie baronie, nie moja. Jeżeli wam nie przeszkadza, że urządzają tu cyrk... Po chwili dołączył Schlieffen. - Pan minister chciałby wiedzieć, jaka jutro będzie pogoda - rzekł Gottfried do Ludolfa. Spadnie śnieg - odpowiedział przewoźnik bez namysłu. - Sokoły nie będą miały łatwo. - A mróz? - spytał Schlieffen. - Niewielki. Ta zima w ogóle będzie ciepła. - Skąd o tym wie? - Schlieffen zwracał się do niego w trzeciej osobie. - Jeże i świerszcze nie zagrzebały się zbyt głęboko. - Czy to jego ojciec lub dziad uratował księcia Karola przed utonięciem? - Mój dziad. Jako jedyni przeżyliśmy zarazę w 1718 roku. Wychowałem się przy nim. - A nie przejąłby posady nadwornego rybaka? - Mam własny dom i własne dochody, nikogo nie muszę o nic prosić ani nikomu dziękować. - A wie, że jego łódka jest jedynym nie opodatkowanym przedsięwzięciem w Hesji? - Schlieffen stwierdził tylko fakt, lecz Ludolf zrozumiał to jako groźbę. - Możecie kazać mi zamknąć przewozy, kiedy chcecie. - Podniósł lampę wyżej i dodał: - Jest u mnie ktoś, kto na was czeka. Schlieffen i Haynau popatrzyli na siebie. - Na mnie czy na ministra? - spytał Haynau. - Na was obu. 14 Neithart hrabia von Sonsfeld, czekając pod drzwiami domku przewoźnika, głęboko zaciągnął się cygarem. Wolno wypuściwszy dym, rzucił niedopałek na ziemię i zgniółł końcem buta. Znowu poczuł ostry zapach swego munduru, w czasie palenia stłumiony aromatem cygara. Zapach ów nie sprawiał mu przykrości, wręcz przeciwnie, przywodził bowiem na myśl nie wiszące w szafach zioła przeciwko molom, lecz pałac Buckingham i króla Jerzego III, który dekorował hrabiego Orderem Podwiązki. Sonsfeld miał wtedy na sobie ten generalski mundur po raz ostatni. Minęło prawie piętnaście lat, jednakże hrabia pamiętał ów dzień, jakby to było wczoraj. Nie czuł się ani o rok starszy. Po audiencji u króla poznał pewną zameżną damę, hrabinę. Ją też zapamiętał. Nie była ani młoda, ani zbyt urodziwa, ale w jej towarzystwie bardzo szybko upłynął mu czas i z jej osobą wiązały się jego najpiękniejsze wspomnienia dotyczące kobiet. Hrabina uwzięła się, że musi poznać dokładne wymiary jego ciała, które skrupulatnie zapisała czerwonym atramentem na fioletowej jedwabnej wstążce. Wyglądało to jak czarodziejski rytuał. Na koniec oświadczyła, że jego ciało na zawsze pozostanie takie jak owego dnia, że nie zmieni się do późnej starości. Gdy Schlieffen i Haynau byli już blisko, Neithart szybko cofnął się w mrok. Na pewno nie spodziewają się zastać tutaj akurat jego. Nie zawsze załatwiają interesy godne pióra i fioletowego atramentu jego książęcej mości. Zsiadli z koni. Ludolf, przyświecając latarnią, poprowadził ich w stronę domu. Nie czuł się zbyt pewnie. - Ludolfie, proszę podnieść lampę, aby panowie mogli mnie widzieć i przekonać się, że chodzi o przyjacielskie spotkanie. - Hrabia Sonsfeld! - Haynau i Schlieffen nie kryli zdziwienia. - Sprawa nie była prosta, droga do panów daleka,

poza tym chodzi o honor. Z tych samych względów panom byłoby jeszcze trudniej skontaktować się ze mną, a sądzę, że problem wart jest omówienia, więc zdecydowałem się czekać na panów tutaj, kilka kroków od drogi. Gottfried von Haynau wciąż nie mógł ochłonąć. W jego świadomości hrabia Sonsfeld właściwie nie istniał, co najwyżej wyobrażał go sobie jako starca nie wstającego z fotela. Aptekarz w Ziegenhain pokazywał mu kiedyś listę długów, których hrabia nie płacił. Nic poza tym o nim nie wiedział. - A więc, moi panowie... - ciągnął dalej Neithart. - Jeżeli chodzi o Czaplą Wyspę - przerwał mu Haynau - to termin upłynął dziesięć dni temu. Sprawa jest zakończona. - Drogi panie Haynau, wracasz do przeszłości, a ja wolałbym porozmawiać o przyszłości! Tak się złożyło, że wbrew mojej woli, co pragnę mocno podkreślić, zostaniemy wkrótce poniekąd krewnymi i chcąc nie chcąc będziemy się spotykać, jak chociażby dziś wieczorem na myśliwskiej kolacji. Proponuję próbę generalną naszego spotkania, tyle że bez publiczności. - Chcę przypomnieć, że to pan przestałeś wychodzić do ludzi. - Nikt jednak nie fatygował się do mnie. Kiedy byłeś tak uprzejmy i odebrałeś mi pracę, zresztą wraz z kłopotami, pozostało mi zapaść w coś w rodzaju zimowego snu. Ale czy można spać, gdy ma się córkę na wydaniu? Nie tylko trzeba wstawać na śniadanie, gdy przychodzą pretendenci do jej ręki, ale też pilnować, by komuś nie przyszło do głowy pomylić się na naszą niekorzyść. Pieniądze są przeliczane, nawet gdy nie ma się ich jeszcze w garści. Proszę uważać na synów, baronie. Claus podporządkuje się pańskiej woli, ale pasierb? - Co z Robertem? - nie wytrzymał Haynau. - A co ma być? Jego ojcu nie udało się stworzyć szlachetnego kruszcu, za to syna spłodził jak złoto! Zdaje się, że moja córka też to dostrzegła. Jego bratu książę oficjalnie będzie przyprawiał rogi, a ja nie mam nic przeciwko temu, aby równocześnie Robert potajemnie robił to samo księciu. Nie chcę prorokować, ale Roberta stać na to, a moja córka na pewno nie będzie się sprzeciwiać. - Fatygowałeś się aż tu, żeby o tym powiedzieć? - Uchowaj Boże! - Sonsfeld zasłonił twarz rękoma. - Mam znacznie poważniejszą sprawę. Jeżeli pozwolicie panowie, proszę za mną. - Sonsfeld mówił z pewnością siebie, krok miał sprężysty i młodzieńczy. Czy kpi sobie z nich? Zabiera im czas dla jakiegoś drobiazgu, który w jego oczach nabrał wagi państwowej, czy też rzeczywiście ma coś ważnego do przekazania? Ani Schlieffen, ani Haynau nie znali go na tyle, by na to pytanie odpowiedzieć. Dla nich obu hrabia Sonsfeld był dotąd rekwizytem pozostawionym w podupadającym zamku, a teraz nagle się okazało, że jest człowiekiem z krwi i kości. Schlieffen założył, że sprawę córki Sonsfeldów będzie załatwiał wyłącznie z matką. Czyżby czegoś nie dopatrzył? Byłby to poważny kłopot. Ludolf włożył nowe świece do mosiężnych lichtarzy i wyszedł. Z pieca, który w tym pomieszczeniu wystawał ze ściany tylko na szerokość dłoni, gdyż palenisko miał w drugim, doleciał hałas zaciąganej kłapy i potrząsania rusztem. Sonsfeld odsunął świecę. - Jak już powiedziałem, obudziłem się z zimowego snu w odpowiednim momencie i mam zamiar skorzystać z tego wszystkiego, co z taką pilnością przygotowuje się dla mojej córki. Schlieffen po cichu odetchnął z ulgą. A więc wszystko jest w porządku, nie stanie się nic nieprzewidzianego i groźnego. Hrabia chce po prostu uszczknąć coś dla siebie. - Proszę się zdeklarować, hrabio - rzekł Schlieffen. - Na co liczysz? - Perspektywa odzyskania gruntów, które baron Haynau ode mnie wykupił, jest zachęcająca, lecz ja nie nadaję się na ziemskiego zarządcę. Pola interesują mnie, dopiero gdy rozbija się na nich żołnierskie namioty, a woły pociągają mnie jedynie w zaprzęgach odwozów - mówił Sonsfeld, zapatrzony w migocący płomień świecy, a jego szare oczy błyszczały jak u młodego kadeta. - Z natury jestem niespokojnym duchem, panowie, i obecna sytuacja nie jest moim żywiołem. Najpiękniejszy zamek czy najwspanialszy pałac w mieście nie dorównują obozowi w polu, nocnym ogniskom, patrolom, planom walk. Jednym słowem, interesuje mnie komenda w stopniu generała. Teraz Schlieffen oniemiał ze zdumienia, jak zawsze gdy miał do czynienia z kimś wielce oryginalnym. - O ile nie zażadasz regularnej wojny, hrabio, komendę mogę ci zaręczyć. - Mnie interesuje jedynie czynna służba w polu, a jeśli chodzi o wojnę, to znajdę ją sobie sam i

nie będę nikogo fatygować. - Sonsfeld wstał, podszedł do drzwi, za którymi zniknął przewoźnik, i uchyliwszy je nieco, zawołał: - Roworth, możesz wejść! W progu pojawił się młody rudowłosy oficer. Hrabia wziął go pod rękę i podprowadził do stołu. - Panowie, to jest porucznik Roworth, oficer korony angielskiej i tajny kurier lorda Suffolka, ministra spraw zagranicznych jego królewskiej wysokości Jerzego III, najlepszego z królów. Roworth zaszalutował, Sonsfeld wskazał mu miejsce przy stole. Schlieffen zauważył po sposobie siadania, że Anglik musiał ostatnie czterdzieści osiem godzin spędzić na koniu. Jego misja była więc nie tylko tajna, ale też bardzo pilna. Ponadto wysłano go wprost do Sonsfelda! Od lat było wiadomo, że dwór św. Jakuba utrzymuje ściśle kontakty z Sonsfeldem. Wymieniano często listy, o czym jednak pisano, Schlieffen nie wiedział, przypuszczał, że chodzi o dawne wzajemne zobowiązania. Hrabia przysunął się bliżej stołu. - Zanim porucznik Roworth wyjaśni szczegóły, chciałbym przedstawić sytuację ogólną. Zakładam, panowie, że o rebelii w Ameryce już słyszeliście. - Schlieffen i Haynau wymienili porozumiewawcze spojrzenia. - W Anglii początkowo zbagatelizowano "herbacianą wojnę" i nie przejęto się wcale, gdy na czele buntowników stanął niejaki generał Waszyngton. Jak więc widzisz, drogi panie Schlieffen, jeden generał jeszcze nie czyni wojny, zwłaszcza zwycięskiej. - Mógłbyś wrócić do sedna sprawy, hrabio? - przerwał mu zniecierpliwiony Schlieffen, co zdarzało mu się rzadko, po czym zwrócił się do Haynaua: - Nie zdążyłem jeszcze powiedzieć ci o tym Waszyngtonie. Doskonale wykorzystał swoją pozycję i wygrał kilka potyczek, z których ta pod Lexington nie była może najważniejsza, ale za to tak rozślawiona, że w Londynie wywołała szok. Ceny tytoniu znów pójdą w górę - dodał z uśmiechem. Sonsfeld nie zamierzał oddawać inicjatywy Schlieffenowi i ciągnął dalej: - Wojna jest już wypowiedziana. Obecnie wojska są na zimowych kwaterach, a wymarsz planowany jest na lato 76. Problem w tym, że tych wojsk jest za mało. Zapewne słyszeliście, że angielscy wysłannicy zabiegają w Moskwie u carycy Katarzyny o wsparcie? - Mam szczegółowe informacje - odpowiedział Schlieffen z powagą. - Chodzi o kontyngent dwudziestu tysięcy żołnierzy po siedem funtów od głowy plus subsydia, połowa płatna gotówką po podpisaniu kontraktu, a połowa po załadunku wojsk na okręty. Umowa zostanie podpisana w najbliższych dniach. - Twoje służby wywiadowcze działają znakomicie, panie Schlieffen, ale muszę cię rozczarować: caryca nie podpisze kontraktu! Odmówiła, choć próbowano zachować to w ścisłej tajemnicy. Rozumiesz więc, że Anglicy w tej sytuacji nie mają czasu do stracenia. Szukają posiłków tam, gdzie w przeszłości nigdy im nie odmawiano. Schlieffen zerwał się, jakby nagle zrobiło mu się za ciasno. Znał plotki krążące po niemieckich dworach i wiedział, że drobni książęta, jak Waldeck, Zerbst, Anspach i Hanau nie będą wahać się ani chwili, by swoje puste kasy wypełnić pieniędzmi za najemników. Nie mieli zbyt nadziei, dopóki Anglicy pertraktowali z Moskwą, jeśli jednak jest prawdą to, co mówi Sonsfeld, sytuacja zmieniła się diametralnie. Jego informatorzy wyraźnie przegapili tę ważną informację. - Jesteś pewien, hrabio? - spytał Sonsfelda. - Proszę potwierdzić, poruczniku. Możesz mówić otwarcie, tu wszystko pozostanie między nami. Roworth z trudem szukał właściwych słów. - Nie musisz się męczyć po francusku - wtrącił Sonsfeld. - Wszyscy znamy angielski. Porucznik odetchnął z ulgą i poprawił mundur. - Hrabia Sonsfeld objaśnił już panom sytuację. Rząd jego królewskiej wysokości zdecydował rozpocząć natychmiastowe negocjacje z niemieckimi dworami i wyznaczył pełnomocnika: majora Williama Faucitta. Schlieffen podniósł rękę. - Czy major Faucitt zamierza oficjalnie spotkać się z landgrafem Hesji-Kassel? - Odmowa carycy Katarzyny bardziej dotknęła Anglię niż przegrana potyczka z rebeliantami, dlatego też, by uniknąć ponownej porażki, major Faucitt podróżuje incognito. Oficjalne działania podejmie dopiero wtedy, gdy będzie miał pewność, że uzyska wsparcie. Stąd moja misja skontaktowania się najpierw z hrabią Sonsfeldem. Schlieffen słuchał uważnie każdego słowa. Od niego teraz zależy, jak ta sprawa z werbunkiem się zakończy. - Czy chodzi o tego

majora - zaczął swoim monotonnym głosem, doprowadzającym wielu negocjatorów do szewskiej pasji - który w czasie wojny siedmioletniej należał do osobistego sztabu angielskiego następcy tronu? - Oczywiście, sir. Misję tę powierzono jemu, gdyż dobrze zna Niemcy, a na wielu dworach ma osobistych przyjaciół. Schlieffen ucieszył się. Faucitt był najmniej angielski z Anglików, których znał. Pracowity jak mrówka, niezmordowany, pilny, odpowiedzialny. Każda z tych cech z osobna już wystarczała, żeby traktować go jak poważnego negocjatora. Miał tylko jedną wadę: święcie wierzył, że wszyscy, którzy traktują go uprzejmie, są tak samo uczciwi i szczerzy jak on. Można go więc urabiać niczym wosk. - Cieszę się, że król Jerzy oddał tę sprawę w tak dobre ręce - rzekł, a Sonsfeld pochylił się ku niemu nad stołem i rzekł po niemiecku: - Przede mną nie musisz udawać nie zainteresowanego. Doskonale wiem, co ta wiadomość dla ciebie oznacza, Schlieffen, ty zaś, panie Haynau, przepraszam, baronie Haynau, nie udawaj, że jako dostawca dla wojsk nic nie zarobisz. Ktoś musi zapewnić prowiant, paszę dla koni, uprząż, wierzchowce, broń i amunicję. O ile wiem, na koniec wojny siedmioletniej zostałeś pan z hałdą sucharów i materiału na mundury. Jest teraz okazja zamienić ją znów na pieniądze! Haynau roześmiał się. - Król angielski ma w tobie znakomitego rzecznika, hrabio, a o moje interesy dbasz pewnie jako przyszły spowinowacony. - O jakiego rzędu oddziały chodzi? - wtrącił się Schlieffen. - Żaden limit z góry nie został określony - rzekł Roworth. - Jak widzicie, nie obiecywałem wam zbyt wiele. - Sonsfeld rozzłościł się, że Schlieffen wciąż odnosi się do niego z rezerwą. - Jeśli chodzi o liczebność wojsk, które landgraf może oddać angielskiemu królowi do dyspozycji, to w tej chwili nie można niczego obiecywać. Mam nadzieję, hrabio Sonsfeld, że nie podjąłeś żadnych zobowiązań, których nie moglibyśmy dotrzymać. Anglicy przeważnie stawiają wygórowane żądania i nie dziwię się carycy, że się wycofała. Dotychczas nikt nie wysyłał wojsk za morze, na obcy kontynent, gdzie żołnierze tracą kontakt z ojczystym krajem. Będzie trudno dokonywać uzupełnień i utrzymywać stan. Ta sprawa wymaga głębokiego namysłu. Pochlebca! - miał na końcu języka Sonsfeld, lecz się powstrzymał. Po co sobie zrażać Schlieffena? Nie lepiej uczyć się od niego? Schlieffen dostrzegł jego rozterkę i poczuł do niego rosnącą sympatię. Nie znosił ludzi przebiegłych, jeśli wszakże ktoś potrafił się opanować z rozsądku, zawsze zyskiwał w jego oczach. Spojrzał na porucznika Rowortha i spytał: - Kiedy możemy oczekiwać majora Faucitta? - Major wyjechał ze Stade 24 listopada i prawdopodobnie teraz jest już w Brunszwiku. - A więc rozmawia także z księciem brunszwickim? - spytał Schlieffen cierpko. - To komplikuje sprawę, bo nasz landgraf na pewno nie będzie zachwycony, że nie zwrócono się o pomoc najpierw do niego. - Tamte rozmowy są ściśle tajne - pośpieszył z wyjaśnieniem porucznik. - A z kim jeszcze prowadzi się takie rozmowy? - O ile wiem, w tej chwili z nikim. - Proszę powiadomić Faucitta, aby odwołał następne negocjacje. - Czy mam zatem mu przekazać, że w Kassel może podjąć oficjalne rozmowy? Schlieffen zwrócił się do Sonsfelda. - Domyślam się, że porucznik Roworth jest twoim prywatnym gościem, hrabio? Sonsfeld przytaknął. - W ciągu czterdziestu ośmiu godzin dam wam znać, czy książę jest gotów przyjąć majora Faucitta. Wszyscy czterej wstali, Sonsfeld zawołał Ludolfa, by przyprowadził konie. Gottfried von Haynau wyszedł pierwszy, Sonsfeld i Schlieffen przystanęli w progu. - Czterdzieści osiem godzin to trochę długo - odezwał się Sonsfeld. - Proszę bardzo, nic nie stoi na przeszkodzie, abyś poszedł z tym wprost do księcia, hrabio - odrzekł chłodno Schlieffen. - Chcę jedynie wiedzieć, czy w tej sprawie działamy wspólnie, czy też przeciwko sobie. Sonsfeld zmierzył Schlieffena wzrokiem starca, który chce sprawdzić, czy inni popełniają takie same błędy, jakie jemu przytrafiały się w młodości. - Na szczęście jestem o całe dwadzieścia lat starszy od pana - rzekł. - Pozostaje mi pozostać pańskim współnikiem. Schlieffen zdążył pożałować swoich słów. W głębi duszy zazdrościł Sonsfeldowi swobody, której sam się wyrzekł. Hrabia nie musiał intrygować, jego myśli mogły być tak proste jak dwie przecinające mu czoło zmarszczki. - Do zobaczenia przy kolacji - rzekł uprzejmie

Schlieffen. Różniący się temperamentami Schlieffen i Haynau mieli jednak wspólną cechę: potrafili milczeć. Nie zdarzyło się, by jeden miał ochotę na rozmowę, a drugi akurat chciał się pograżać w zadumie. Tak było i dziś, gdy z domku przewoźnika jechali do dworu w Haynau. Nie odezwali się do siebie ani słowem. Zresztą o czym tu mówić, gdy obaj myśleli dokładnie o tym samym. Schlieffen próbował policzyć stan heskich wojsk. Pięć tysięcy można by powołać pod broń natychmiast, dalszych siedem dałoby się zebrać w ciągu dwóch miesięcy. Innymi słowy, trzeba by opróżnić więzienia i domy dla biedoty, zmobilizować werbowników i na cały kraj wysłać patrole, aby nikt z rekrutów się nie wywinął. Moskiewski brytyjski rząd zaproponował po siedem funtów od głowy, to stanowczo za mało. Anglia potrzebuje żołnierzy, i to natychmiast. Oba te czynniki dają Schlieffenowi pewną przewagę w negocjacjach. Znał treść wszystkich dotychczasowych kontraktów na dostawę żołnierzy. Od czasu gdy rozpoczęły się zamieszki w Ameryce, czytał te kontrakty ni to z nadzieją, ni to z obowiązku i przygotowywał się na każdą okazję. Zdecydował już, że zapłaty nie przyjmie w niemieckiej walucie. Najlepsze będą korony - na każdym talarze zyska się dwadzieścia jeden i pół srebrnego grosza. Płatności każe przysyłać do londyńskiego lub amsterdamskiego banku. W ten sposób landgraf nie będzie miał do nich bezpośredniego dostępu, a na dodatek przyniosą zyski, co wszakże wcale nie oznacza, że będą całkiem bezpieczne, bo któż powstrzyma księcia przed wyrzucaniem ich pełnymi garściami na lewo i prawo. Nocne niebo było dla Schlieffena niczym wielka tablica, na której niewidzialna ręka pisała świecące liczby. Sześćdziesiąt koron za każdego zwerbowanego żołnierza, w tym również oficera. Trzeba przechwycić żołd, który zazwyczaj Anglicy wypłacają żołnierzom do ręki, dzięki czemu przynajmniej połowę będzie można zatrzymać. Na czas trwania wojny zażądać podwojenia subsydiów. Gdyby udało się wystawić dwanaście tysięcy żołnierzy, trzydzieści siedem i pół korony od głowy daje czterysta pięćdziesiąt tysięcy koron, a po przeliczeniu - siedemset siedemdziesiąt dwa tysiące sześćset talarów rocznie plus odsetki. Anglicy będą obstawać przy swoich warunkach, lecz nie mają wyboru. Pozostaje im liczyć, że wojna nie potrwa długo, na co wszakże Schlieffen nie miał wpływu i musiał zdać się na szczęście i własną intuicję. Gdyby wojna miała trwać tylko rok, podwójne subsydia w czasie jej trwania i rezygnacja z płatności w okresie pokoju okazałyby się błędem. Gdyby jednak się przeciągała, rocznie zarobiłby cztery miliony talarów. Ogarnęła go chłodna ekstaza. Już widział kontrakt w ręku, już czuł pióro, którym złoży ostateczny podpis. Chłopi w jego pomorskiej ojczyźnie wierzyli, że są takie noce przy nowiu księżycy, gdy wschodzi cały zasiew. Dla Schlieffena nastąpiła taka właśnie noc, a zniwem, które dzięki niej zbierze, będzie złoto!

15 Anna von Haynau na ten wieczór zwolniła całą służbę, była więc pewna, że nikt nie będzie jej przeszkadzać. Jeszcze raz rozejrzała się po pokoju i stwierdziła, że nie ma powodu, by zwlekać. Na manekinie wisiała nowa suknia, w której pójdzie wieczorem na kolację do zamku myśliwskiego. W słabym świetle latarni, którą trzymała w ręku, brązoworóżowy jedwab wyglądał jak czerwone złoto. Na stole leżały rękawiczki - jedna z dwudziestu par, które kupiła u austriackiego kupca Baltazara Plötza, oraz pootwierane szkatułki z biżuterią. Pokojówka przygotowała wszystko już po południu, teraz pokój przypominał ładę w luksusowym kantorze. Anna zamknęła za sobą drzwi. Idąc korytarzem, osłaniała świeczkę, aby nie zgasła. Na ostatnim stopniu schodów przystanęła, jakby się zawahała. W ciemnym holu rozległo się bicie stojącego zegara. Lewą ręką uniosła lekko spódnicę i zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie. Oświetliła zegar: dochodziła dziewiąta. Już? Ależ ten czas szybko minął! Dawniej nie zwracała nań uwagi, od kilku tygodni natomiast czas dla niej nie liczył się w godzinach i dniach, lecz zlał się w jeden nieprzerwany ciąg. Między "wczoraj" a "jutro", podobnie jak między przeszłością, teraźniejszością a przyszłością nie było żadnych przedziałów, wszystko stało się jednakowo bliskie lub jednakowo dalekie. Drzwi do kancelarii męża nie były zamknięte. Na stole przy ścianie leżały pisma przygotowane do wysyłki, obok stały trzy napełnione kałamarze i

pojemniki z naostrzonymi piórami. Anna wyjęła klucz z fartucha i weszła do sąsiedniego pokoju. Tu także wszystko było gotowe do pracy następnego dnia. Kominek wymieciono, w mosiężnym stojaku leżały bukowe polana. Postawiła świecę na biurku i uklękawszy obok kominka, zapaliła w nim ogień. Podpałka trysnęła jasnym, żywym ogniem. Ostatnio siadywała tu często, właściwie co wieczór, gdy męża nie było w domu. Próbowała uporządkować myśli i rozprawić się z duchami, które wśliznęły się do jej domu wraz z pojawieniem się Fredery Soermana. Teraz też czuła ich obecność. Klucz do tajnej ogniodpornej szafy leżał w skrytce, składającej się z dwudziestu czterech szuflad; Anna wyjęła trzecią od lewej w dolnym rzędzie. Leżały w niej obok siebie trzy paczki listów. Podeszła do kominka. Przynęła sobie taboret i usiadła, a szufladę z listami postawiła na podłodze. Siedziała tak, nie licząc czasu, nie wiedząc właściwie, gdzie jest. Później wyjęła pierwszy plik listów. Leżąca na wierzchu koperta nosiła jej nazwisko: Anna Skelnik. Mogłoby to być pismo jej syna. W lewym górnym rogu ktoś dopisał datę: 1752. Niewątpliwie uczynił to Gottfried. Rzuciła listy do kominka. Sądziła, że buchnie jasny płomień, tymczasem przez dłuższą chwilę nie działo się nic. Paczka leżała na palącym się polanie, lecz ogień jakby się jej nie miał. Zwinął się róg koperty na wierzchu, pismo zmieniło barwę na rdzawobrazową i pokryło żółtawym, słabym płomyczkiem. Słowa zaadresowane do niej, których nigdy nie przeczytała, zniknęły na zawsze. A wystarczyło wziąć pogrzebacz i wygarnąć listy z ognia... Anna przestraszyła się tej myśli i w pośpiechu wrzuciła pozostałe dwie paczki. One też nie zapaliły się od razu, ale i nie rozpadły jak pierwsza, tylko zamieniły w szaroczerwone kostki żaru. Ruszyła je pogrzebaczem. Białe kartki z opalonymi brzegami wyglądały jak bukiet jesiennych liści, linijki pisma układały się w żyłki. Patrzyła, jak poszczególne kartki zapalają się i zamieniają w popiół. Ciszę przerwał tętent końskich kopyt. To mógł być tylko Gottfried wracający ze Schlieffenem. Byli już w alei wjazdowej, skąd nie widać okien gabinetu, Anna miała więc czas, by zgasić świecę, przysypać ogień piaskiem i zamknąć szafę. Po ciemku trafiłaby do swojego pokoju bez trudu. Pozostała jednak przy kominku. Siedząc na twardym taborecie, z rękoma skrzyżowanymi na kolanach, wpatrywała się w ogień. Stał w drzwiach. Nie odezwała się. Na jego twarzy, z której nawet w czasie snu nie zniknął energiczny wyraz, malowała się absolutna bezradność. Rzucił okiem na otwartą szafę, na szufladę leżącą na ziemi obok żony. - Od kiedy o tym wiesz? - spytał niezdecydowanie. - Pamiętasz tego młodzieńca, który uciekł ze złotnikiem? - Fredery Soermana? - Gdy dowiedziałam się, że Freder Soerman żyje, mogłam przypuszczać, że wiadomość o śmierci Skelnika również jest nieprawdziwa. Zastanawiał się, dlaczego jest taka spokojna, dlaczego na niego nie krzyczy. - Kto ci powiedział o Soermanie? - spytał, choć znał już odpowiedź. - On sam. Był tutaj, w tym domu. To on zdezerterował niedawno z twierdzy. - I ty przez trzy tygodnie milczałaś? - Trzy tygodnie to dużo, lecz ty potrafiłeś milczeć aż dwadzieścia jeden lat. Potrafiłeś żyć ze świadomością, że mój mąż żyje, codziennie przebywałeś w tym pomieszczeniu, gdzie leżały jego listy. - Patrzyła na niego niezwykłym wzrokiem. - Nie rozumiem tylko, dlaczego ty, taki przezorny, nie zniszczyłeś ich od razu? - Czy to ma teraz jakieś znaczenie? - Bezradnie rozłożył ręce. - Nie ma, ale wolałabym, abyś to ty je spalił - rzekła, patrząc na kominek. - Przeczytałaś je? - Nie - odparła zdecydowanie. - Po tylu latach jaki byłby sens? Spaliłam je, jak leżały, i to nie ze względu na mnie, lecz Roberta. Chciałam mu przynajmniej tego oszczędzić. - To znaczy, że on wie także? - Wie. - Ty mu powiedziałaś? - Nie dało się tego uniknąć... a może jednak? Sama nie wiem. Robert przeprowadził Soermana przez granicę. Spodziewałam się, że zaraz potem jak zwykle opowie mi o wszystkim, tym razem wszakże tego nie zrobił. Od tego czasu Robert bardzo się zmienił i martwię się o niego. Gottfried podniósł pustą szufladę z ziemi i zaniósł do szafy. Przypomniał sobie słowa hrabiego Sonsfelda: "Z pieniędzy można się rozliczyć, nawet z tych, których się nie posiada, ale z ludźmi nigdy nic nie wiadomo..." Anna siedziała przy ogniu na niskim taborecie, w jej ciemnych włosach połyskiwały

miedziane odcienie. Wyglądała tak samo, jak tamtego dnia gdy w imieniu księcia spisywał przy tym biurku jej majątek. Wówczas też miał przecucie, że podjęła już jakieś ważne decyzje, nie wiedział tylko, czy będą dla niego korzystne. On, który zawsze znajdował właściwe słowa, zaczął się jąkać. - To nie jest żadne usprawiedliwienie, może tylko wyjaśnienie, jedyne, jakie mam... Tak bardzo mi na tobie zależało. W przededniu naszego ślubu byłem już gotów oddać ci te listy, ale się bałem, że stracę cię na zawsze. Strach ten prześladowuje mnie do dziś. Ilekroć wracam do domu, boję się, czy jeszcze cię tu zastanę. Tak było też przed chwilą. Miłość i strach towarzyszą mi od dnia, gdy cię poznałem. - Nie prosiłam, abys się przede mną tłumaczył. - Co zatem powinienem zrobić? Z prawnego punktu widzenia nasze małżeństwo zostało zawarte na podstawie oficjalnego aktu zgonu twojego męża, jednak ja w tym czasie przechwyciłem już z pół tuzina jego listów i wiedziałem, że żyje. Tak więc de iure nasze małżeństwo jest nieważne od samego początku. De facto jesteś żoną Roberta Skelnika. Wyprostowała się, ale nie odwróciła ku niemu. - Zareagowałeś dokładnie tak, jak się spodziewałam. Chciał zobaczyć jej twarz, lecz nie miał dość odwagi. - Masz rację - ciągnęła dalej. - Gdybyś mi wtedy pokazał te listy, godzinę później już by mnie tu nie było. Nie miałeś nic, co mogłoby mnie zatrzymać. Nie próbowałeś nawet mnie zrozumieć, pocieszyć. Nie wspominałeś ani słowem o ucieczce Roberta, o tym, co po nim zostało na wyspie, nie pytałeś o moje plany wyjazdu do Ameryki. Ty po prostu milczałeś, a przecież wiedziałeś, że go kochałam. Nie rozumiem, dlaczego w tej sytuacji poprosiłeś mnie o rękę. Nie rozumiem też, jak mogłeś wziąć na siebie tak ogromną winę. Na co liczyłeś? Widzę jednak, że znałeś mnie lepiej niż ja samą siebie, bo do dziś nigdy przez te dwadzieścia z górą lat nie poruszałam tego tematu. Milczał, wciąż nie wiedział, co Anna postanowiła. Bał się myśli, że może od niego odejść, a równocześnie nie wyobrażał sobie, że z nim zostanie. - Potrzebowałam aż trzech tygodni, by zdecydować się na spalenie listów. Nie przyszło mi to łatwo, lecz to był tylko papier, została po nim kupka popiołu, niewarta dwudziestu lat życia z tobą. Nie wiem, jak wyglądałoby życie, które mi odebrałeś. Nie był pewien, czy dobrze zrozumiał, ale dłużej już nie mógł czekać w niepewności. Czy w tak zawiły sposób chcesz mi powiedzieć, że mi wybaczyłaś? - spytał, a czekanie na odpowiedź dłużyło mu się jak wieczność. Był przekonany, że teraz stracił ją na zawsze. Gdy się odezwała, zamknął ze strachu oczy. Sytuację komplikuje twoje oświadczenie, że nie jesteśmy małżeństwem. Nie patrzył jej w twarz, czuł jednak, że w jej oczach pojawił się ten smutny uśmiech, w którym zakochał się przed laty. Chciała podejść, lecz w ostatniej chwili jakby się zawahała. Podszedł więc on, wziął ją w ramiona i szepnął do ucha, nie zastanawiając się, co mówi. - To było też w listopadzie, w tym pokoju. Wyglądałaś jak po ciężkiej chorobie. Poprosiłem, abys pokazała mi park, bo zauważyłem, że w tym domu wszystko przypomina ci Roberta. Już traktowałem go jak rywala i dręczyła mnie myśl, że nie popełni żadnego więcej błędu. W gruncie rzeczy nie wątpiłem, że będziesz moja, zorientowałem się, że masz twardą naturę, a tacy ludzie nie potrafią żyć przeszłością, wspomnieniami wczorajszego dnia. Tego się uchwyciłem, dopiero gdy Robert dorósł, zrozumiałem, jakie wspomnienia naprawdę mam przeciwko sobie. Słuchała ze spuszczoną głową, raz tylko przelotnie na niego spojrzała. Gdyby teraz była sama, na pewno wybuchnęłaby płaczem. Zapłakałaby za mężczyzną, z którym przeżyła krótkie chwile prawdziwego szczęścia, i za tym, z którym przeżyła długich dwadzieścia lat. - Jestem straszliwie głodna - uśmiechnęła się. - Co byś powiedział na kanapki ze szczypiorkiem i świeże mleko? - To o szczypiorku też wiesz? - Po spacerze w parku poszłam do kuchni i ze zdumienia przetarłam oczy. Nie mogłam uwierzyć, że w królestwie naszego Gilberta znajduje się tak pospolite warzywo jak szczypiorek. - Wiele się zmieniło, kuchnia już nie jest taka jak dawniej. - My też jesteśmy inni. - Czy mam rozumieć, że pozbyłem się rywala? - Pozostają nim twoi synowie. Miał ochotę przytulić ją z całej siły, wiedział jednak, że byłby to gest nie na miejscu. Była to ważna chwila w ich życiu, kto wie, czy nie najważniejsza, w której uzmysłowili sobie, że nie liczy się żar uczuć, lecz ich

trwałość. Kiedy w kuchni Gottfried przyglądał się, jak Anna smaruje chleb masłem, posypuje solą i drobno pokrojonym szczypiorkiem, przypomniał sobie nagle uwagę Sonsfelda na temat Roberta. - Nie wiesz przypadkiem, czy między Robertem a Christine Sonsfeld coś zaszło? Anna położyła gotową kanapkę na drewnianej tacy. Ucieszyła się, że tak łatwo przechodzą do codzienności. - Jedynym dłuższym romanssem, o którym wiem, jest ten ze szkocką guwernantką na dworze w Kassel. Ciągnie się od lat, choć Robert wcale nie traktuje go poważnie. Kobiety trochę Roberta rozpieszczają, a on, jak się zdaje, ma wyjątkowy dar do bezbolesnych rozstań. Z dziewczynami w rodzaju Christine von Sonsfeld do tej pory raczej nie zaczynał. Skąd przyszło ci do głowy, że coś ich łączy? O ile wierzyć plotkom, to ta młoda dama celuje znacznie wyżej. - Powiedzmy raczej, że to mamuśka celuje. - Wszystko jedno. W Sonsfeld zawsze się dzieje tak, jak ona chce. A wracając do twojego pytania, to prędzej podejrzewałabym Clausa. Nie rozmawia ze mną tak otwarcie jak Robert, ale to on zauważył, że ta mała wyrosła na bardzo urodziwą dziewczynę. Jako mieszczanin trzymał się od niej z daleka, za to teraz, gdy droga stoi przed nim otworem, pewnie się nią zainteresuje. - Nic na to nie wskazywało, gdy ostatnio z nim rozmawiałem - rzekł Gottfried z niepewnością w głosie. - A sprawy nabierają tempa. Mała Sonsfeld ma wkrótce przenieść się do Kassel i zostać oficjalną metresą księcia, wcześniej jednak musi zawrzeć małżeństwo sytuacyjne. Schlieffen upatrzył dla niej Clausa i stąd moje pytanie o Roberta. - Ach, to dlatego z tą baronią poszło tak gładko! - Mógł to być jeden z powodów, przynajmniej. - Czy Claus już o tym wie? - Rozmawiałem z nim w wielkiej tajemnicy. Schlieffen chce, aby sam księżę mu to zaproponował. Dlatego między innymi kazał mi dziś przyjść do myśliwskiego zamku, ale zamiast z księciem rozmawiałem tylko z pisarzem dworskim Vossem i przez dwie godziny w antyszambrze wysłuchiwałem jego narzekań. Gdy pomyślę, że kiedyś sam byłem takim nadwornym gryziopiórkiem... - Claus chyba szybko by awansował, gdyby zgodził się na to fikcyjne małżeństwo, nie sądzisz? W czasach pokojowych oznaczałoby to i tak zaledwie posadę na dworze. A co ty o tym wszystkim myślisz? - Jeśli mam być szczerą, to w pierwszym rzędzie zyskałbym dodatkową gwarancję, że księżę zwróci mi pieniądze, które ode mnie pożyczył. Jakiegoś tam Haynaua może zignorować i w ogóle nie przyjmować, jak zrobił to dziś. Mało prawdopodobne, żeby tak mnie potraktował po ślubie Clausa. - Obawiam się, że Claus nie podejdzie do tego tak rzeczowo jak ty. Ma charakter Haynauów, a wy, jak na czymś położycie rękę, chcecie brać całość. Jak zareagował, gdy przedstawiłeś mu plan? - Po tym, co przed chwilą mi powiedziałaś, nie dziwię się, że przyjął to tak spokojnie. Rzekłbym nawet, że był zachwycony, choć to jeszcze nie znaczy, że dziewczyna wpadła mu w oko i ma względem niej poważne zamiary... - To może oznaczać komplikacje, prawda? - Poradzę się Schlieffena. Przypuszczam, że jakaś możliwość wycofania się istnieje. - Między brwiami Gottfrieda pojawiła się głęboka zmarszczka. - Mimo to spróbuj się dowiedzieć, czy Roberta coś łączy z tą małą. Plotka zawsze ma w sobie ziarenko prawdy i nie chciałbym kłopotów ani z powodu Roberta, ani Clausa. - Od kogo konkretnie słyszałeś o Robercie? - Od samego Sonsfelda. - To on naprawdę istnieje? Też antyszambrował u księcia? - Nie, ale wkrótce obejmie komendę w randze generała. - Za darmo księciu córki nie odda. Ta jego posada to też sprawa żony? - Przypuszczam, że ona nawet o tym nie wie. Załatwił to sam jakąś godzinę temu, gdy wracaliśmy z zamku. Czekał na nas u przewoźnika nad Schwalmem, już w generalskim mundurze! Nie widać po nim upływu lat, mówię ci. O komendę poprosił Schlieffena bez żadnej żenady. - I jak zareagował Schlieffen? - To stary oficer i woli otwarty atak niż dworskie podchody. Oczywiście obiecał Sonsfeldowi tę komendę. - Gottfried sięgnął po ostatnią kanapkę ze szczypiorkiem. - Musimy sobie częściej urządzać takie kolacje we dwoje - rzekł. - Czekają nas częste wizyty na dworze, obawiam się więc, że będziemy mieć dla siebie niewiele czasu. - Anna wypila resztę mleka, które jeszcze pozostało w dzbanie. - Ubierzesz się dziś w tę nową suknię? - Oczywiście! - Uśmiechnęła się nieco zaskoczona, nie

przypuszczała bowiem, że mąż zwraca uwagę na jej stroje. Wziął ją za rękę. - Wiesz, przed chwilą w gabinecie, kiedy byłem przekonany, że z nami koniec, stanął mi przed oczyma manekin z nową suknią, której, jak myślałem, już nigdy nie włożysz. W milczeniu patrzyła mu głęboko w oczy. - Karety podjadą o wpół do jedenastej - rzekł. - Jeśli chcesz, ja pojedę z Clausem i Schlieffenem moim powozem, a ty z Robertem twoim. - Nie wiem, czy to ma sens. Robert będzie się dziwił, że jego matka nagle zrobiła się taka ciekawska. 16 Płatki śniegu powoli spadały w błękitnym powietrzu. Robert stał w otwartym oknie swojego pokoju i przyglądał się krążącej nad łąkami czapli. Zauważył ją przed południem. Nadleciała nisko znad rzeki, zatoczyła wielkie koło w kierunku północnym, jakby czegoś szukała. Pół godziny później pojawiła się znowu, to opadając, to się wznosząc. Robert wiedział, co te loty oznaczają. Wziął leżącą na parapecie flintę i wyszedł. Na dziedzińcu hofmajster Lange przekonywał swoim nosowym głosem: - Powinniśmy raczej zaprzęgać sanie! - Nie! - przerwał mu Gottfried. - Ale jeśli będzie dalej tak padać... - Powozy! - krzyknął Haynau zdenerwowany. - Wyjeżdżamy za chwilę, a sanie każę wyprowadzić, jak śnieg utrzyma się przez kilka dni, jasne? Adrian podszedł do Roberta z wielkim wiklinowym kufrem w rękę. - Które ubrania pojedą do Kassel? - spytał. - Sam zdecyduj. Resztę, co zostanie w szafie, możesz sobie zabrać. Adrian patrzył zdziwiony. - Ależ ta szafa jest pełna! Robert nie słuchał. Drzwi wejściowe stały otworem, wiał nieprzyjemny chłodny przeciąg. W holu piętrzyły się kufry i skrzynie, a pani Retz z drabiny obwiązywała kinkiety cienką lnianą taśmą. Lange w długim do kostek płaszczu chodził tam i z powrotem i poganiał parobków przenoszących bagaże do powozów. Na widok Roberta przystanął. - Naprawdę, paniczku, chcecie całą drogę do Kassel odbyć konno? To chyba lekkomyślność, przecież jest zima! - Za kilka minut znów zaświeci słońce - odrzekł Robert i wyszedł na dziedziniec. Chłopiec zdjął koc z grzbietu wierzchowca i mrugnąwszy porozumiewawczo, stwierdził: - Pan hofmajster nie jest zadowolony... - Niech się wypcha! Z domu wybiegł lokaj. - Pański płaszcz, panie Robercie! Robert rzucił płaszcz na siodło przed siebie i odjechał. Przez pozbawione liści korony drzew w alei wypatrywał czapli, lecz gęsty śnieg dokładnie zasłonił niebo. Wielkie płatki zamieniały się w krople, spadając na koński grzbiet. Jak co roku, pierwszy śnieg wprowadził Roberta w wesoły nastrój. Nastąpiło "białe lato" - jako trzylatek tak nazwał zimę; odkąd sięga pamięcią, zawsze z wielkim podnieceniem wyczekiwał na ten dzień. Był już za bramą, gdy zobaczył zbliżającego się ku niemu jeźdźca. Postać otulona w płaszcze mogła być tylko jego bratem. Konie, które znały się doskonale ze stajni, odruchowo zatrzymały się i poparskując radośnie, zaczęły się obwąchiwać. Claus odsunął rogatywkę z czoła i rzekł: - Jeszcze wczoraj gorączkowałeś, a dziś już na koniu, i to w rozpiętej bluzie pomimo śnieżycy! - Wczoraj było polowanie. - Tak właśnie myślałem. Twoja nieobecność była wielkim nietaktem wobec księcia, ponadto zmusiła matkę do kłamstwa. - Dziwne, że to cię denerwuje. Przynajmniej nie musiałeś się martwić, że palnę jakąś gafę przy księciu. - O tę wyspę zawsze robiłeś zbędne ceregiele. Robert najwyraźniej nie miał ochoty na kłótnię. Pociągnął cugle, lecz Claus zdążył spytać: - A dokąd dziś zmierzasz z tą flintą? - Po wczorajszej rzezi ocalały dwie osamotnione czaple. - Wrócisz jeszcze do Haynau? - Robert potrząsnął tylko głową. - Chcesz jechać w tym, co masz na sobie? Na pewno jutro dostaniesz tej gorączki, którą wczoraj symulowałeś. - Czułbyś wtedy satysfakcję? Nie mogę ci obiecać, że się rozchoruję - odrzekł Robert i spał konia ostrogami. Po spędzonym w domu dniu czuł wielką potrzebę ruchu, podobnie jak jego gniady. Niebo przejaśniało, przez szczelinę pomiędzy chmurami wyjrzało słońce, śnieg przestał padać. Kontury twierdzy Ziegenhain i lasu u jej stóp były obwiedzione na biało, a kominy, gzymsy nad oknami wyglądały jakby podkreślone cienką białą kredką. Na południowym zboczu przesunął się cień. Czapla! Robert włożył dwa palce do ust i gwizdnął, próbując zwabić ptaka. Nie zareagował natychmiast. Szybował przez chwilę, nie poruszając skrzydłami, potem nagle zmienił kierunek, obniżył lot i zaczął zataczać krąg. Pogwizdując raz po raz, Robert prowadził czaplę w stronę Schwalmu.

Poznał ją od razu. Była to trzyletnia silna samiczka, która w ostatnim roku dwukrotnie wysiadywała jaja. Koń szedł znajomą ścieżką wzdłuż brzegu, nie przejmując się cienką warstwą lodu, która pękała mu pod kopytami. Trzask jednak spłoszył czaplę - trzepnęła mocno skrzydłami i zniknęła za kępą drzew. Robert przeszedł na drugi brzeg. Koń się przestraszył, poklepał go więc uspokajająco po karku. On też nie poznał swojej wyspy. Przypominała porzucone targowisko. Pomiedzy ośnieżonymi trzciniami stały kolorowe budy i pawilony, podobne do teatralnych dekoracji, chociaż tutaj zasłony z brokatów, pokryte szczerym złotem tarcze herbowe, jedwabne girlandy i ozdoby z czystego srebra były prawdziwe. Wiatr łopotał cytrynową markizą na jednej z bud. Spod niej wychyliła się nagle postać odziana w błękitny płaszcz i wymachując rękoma, pobiegła w kierunku Roberta. Kaptur zsunął się, ukazując twarz Christine von Sonsfeld. Wyglądała ślicznie, słońce, które akurat wyrzało zza chmur, rzuciło na nią różową poświatę. - Wiedziałam, że tu przyjdiesz. Dlaczego nie byłeś wczoraj na polowaniu? - Na polowaniu, mówisz? Wygląda tu tak, jakby wystawiano teatr. - To był wspaniały dzień, żałuj, żeś tego nie widział. Robert skrzywił się. Wolałby teraz być sam, nie zamierzał odkładać na później tego, co chciał zrobić. Musi pozbyć się Christine. Gdy jednak zauważył, że dziewczyna trzęsie się na całym ciele, przytulił ją i spytał: - Dlaczego nie ubrałaś się cieplej? - Ubrałam, ale czekam tu już dobrą godzinę. Nie wiedział, co odpowiedzieć, mocno więc roztarł jej zziębnięte dłonie. Na prawej ręce zauważył małą ranę. - Przy gotowaniu czy przy szyciu? - spytał. - Sama nie wiem - rzekła. Dawniej uznałaby to za zwykłą pogawędkę, jednakże od czasu gdy na tej wyspie Robert pocałował ją po raz pierwszy, nie potrafiła już z nim rozmawiać obojętnie. Nocami nie mogła spać, całymi dniami myślała tylko o nim, jakby oczekując na coś, czego jeszcze nie znała. Przytuliła się do jego piersi i poczuła, jak robi się jej gorąco. - Nie pomyliłaś się? Nie jestem prawdziwym Haynauem. Roześmiała się, pewna swoich uczuć. - Zgodziłam się na wszystko, byleby tylko nie wzbudzać podejrzeń matki. Ślub wyznaczono za dziesięć dni, mamy więc dość czasu. Kiedy uciekniemy? Wymyśliłeś już jakiś plan? Ależ oni zrobią wielkie oczy! Robert nie potrafiłby skrzywdzić kobiety. Otwartość Christine imponowała mu, a jednocześnie go obezwładniała. Zaciśnął zęby. Do licha, pewnego dnia ożeni się z pierwszą lepszą kobietą, tylko dlatego że nie będzie miał serca powiedzieć, iż jej nie kocha. Dostrzegła, że spoważniał, nie czekając więc na odpowiedź, rzekła: - Robertcie, pamiętasz, co ostatnio mi powiedziałeś? Kobieta ma tylko jedno życie do stracenia. Zastanawiałam się długo nad tymi słowami, nie miej mi więc za złe, że się do nich stosuję. To, co teraz zrobię, będzie miało decydujący wpływ na całe moje życie. Znasz matkę, jak ona wbija sobie coś do głowy, musi się spełnić. Dla mnie wymyśliła landgrafa i nie ma sensu jej tłumaczyć, że się nie zgadzam. Ojciec dla świętego spokoju też nie stanie po mojej stronie. Im jest wszystko jedno, traktują mnie jak obcą. Tylko ty jeden możesz mi pomóc. - Robert wypuścił z uścisku jej dłonie. Schowała je głęboko w rękawach, próbując rozgrzać się sama. - Zawsze myślałam, że kiedy dorosnę, wszystko stanie się prostsze. Wyjdę za męża i na zawsze uwolnię się od rodziców. Chyba wyszłabym za pierwszego lepszego! - Nie jesteś wyjątkiem. Znam wiele dziewcząt, które myślą wyłącznie o zamążpójściu, lecz kiedy stają przed tą możliwością, zaczynają się zastanawiać, czy aby nie popełniają błędu. Gdyby twoi rodzice przypadkiem wybrali mnie, z pewnością pobiegłabyś do Clausa i jego prosiła o pomoc. - Proszę cię, ja nie mam ochoty do żartów. - A kto powiedział, że żartuję? - Schylił się i urwał źdźbło trawy. - Znasz mnie od dawna. Byłem dla ciebie jak starszy brat i to rozumiałe, że mi się zwierzasz, ale potrzeba ci męża, który by cię kochał. Ja na pewno nie jestem odpowiednim kandydatem. - Mówisz tak ze względu na Clausa? "Muszę teraz odejść - pomyślał. - Każde następne słowo może tylko skomplikować sytuację." - Kiedy ostatnio pytałem cię, czy jakiś mężczyzna złamał ci serce, miałem na myśli to, czy przeprowadził cię już przez czyściec. - Chyba nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć... - Coś, o czym z pewnością nie wiesz. - Żeby zrozumieć, czym jest miłość, trzeba sporo wycierpieć? - Skoro

tak to ujęłaś... A także, że z miłości się nie umiera, o czym kobiety na ogół nie pamiętają. Niektóre się buntują, inne przyjmują tę prawdę bez sprzeciwu. Opuszczone zamczysko nie jest odpowiednim miejscem dla młodej dziewczyny. Gdybyś dorastała w mieście, wiele rzeczy wydałoby ci się prostsze. Byłabyś już kilka razy zakochana i potrafiła cieszyć się zalotami. Spochmurniała; Robert pomyślał, że tak pewnie będzie wyglądała za dziesięć lat.

- Mogłeś przyjść tu wczoraj, to byś zobaczył, ilu miałam wielbicieli. Wszyscy kręcili się koło mnie! - W Kassel tak będzie codziennie. Masz wszelkie atuty w ręku i możesz myśleć, że jesteś jedynym ulem na świecie, do którego zlatują się wszystkie pszczoły. Była zła, chciała mu dokuczyć, lecz zabrakło jej sił. Od tamtego ranka na wyspie była taka szczęśliwa, życie wydawało jej się niezmiernie proste. Przed matką udawała posłuszną córkę, to, co się wokół niej działo, także wczorajsze polowanie, traktowała jak zabawę. Cieszyła się swoją tajemnicą, ogarnięta tryumfującym wrażeniem, że wszystkich wodzi za nos, że naprawdę potrafi wybrnąć z każdej sytuacji. Największą satysfakcją sprawiała jej myśl, że razem z Robertem wystrychną na dudka księcia, matkę i wszystkie te ważne osoby na dworze.

- Powinnaś już wracać - z zadumy wyrwał ją głos Roberta. - Zaczną cię szukać i jeśli znajdą tutaj, będziesz mieć kłopoty. Zadrzała, choć tym razem nie z zimna. - Powiedz mi, co mam robić! Nie musisz się ze mną żenić, ale pomóż mi! Pojadę z tobą do Ameryki, zrobię, co zechcesz... Czemu cały czas wpatrujesz się w niebo? Wskazał kępę olch. - Widzisz tę czapłę? Od początku nie spuszczam jej z oczu - rzekł i załadował strzelbę. - Co zamierzasz zrobić? - Poczekaj, to zobaczysz. - Ach, więc to tak! Myślałam, że lubisz tę wyspę i czaple, a ty po prostu nie chcesz się z nikim dzielić. Wcale nie jesteś lepszy od innych! Znasz wszystkie czaple, od chwili gdy się wykluły, a teraz... - Sokoły landgraфа zabiły jej partnera i ona teraz go szuka. Nie będzie jeść ani spać, tylko krążyć i szukać go, aż padnie z wycieńczenia. - Zwierzęciu, jak widzę, potrafisz współczuć. Podniósł strzelbę, zaraz ją jednak opuścił. - Nie, nie zrobię tego przy tobie - rzekł i nie spuszczać czapli z oka, pobiął przed siebie. Christine nie mogła ruszyć się z miejsca. Gdyby teraz odeszła, załamałaby się zupełnie. Wierzyła, że dopóki tu będzie stała, jest jeszcze szansa, że Robert się rozmyśli. Nagle on rzeczywiście zaczął się ku niej zbliżać, zaraz wszakże zniknął w wysokich zaroślach i padł strzał. Christine skuliła się, patrząc w niebo. Czapła zawisła w powietrzu z szeroko rozpostartymi, srebrnymi skrzydłami, które chwilę potem zatrzepotały bezwładnie, i ptak zaczął powoli spadać. Christine zamknęła oczy i uciekła. Wskoczyła na konia, przeprawiła się na drugi brzeg Schwalmu i przez całą drogę do zamku nie odwróciła ani razu.

Werbownicy Podoficer musi mieć w czasie transportu sprawną broń u pasa oraz króciwą. Rekrutów powinien mieć na oku, nie dopuszczać zbyt blisko siebie i ostrzegać, że każdy fałszywy krok przypłaca życiem, na nocleg zaś wybierać taką kwaterę, gdzie on i pozostali werbownicy będą w stanie panować nad sytuacją, a gospodarz będzie im sprzyjać. Lepiej zawsze postępować zgodnie z regulaminem, niż przesadnie karać rekrutów. Bardzo przydatny jest posłuszny pies, tak wytresowany, żeby reagował na kij w ręku rekruta, nie pozwolił nikomu w nocy wstać, w czasie marszu pilnował, aby nikt nie wylamywał się z szeregu, rzucał się w pogoń i puszczał schwytanego tylko na rozkaz swojego pana...

Każdemu podejrzanie zachowującemu się rekrutowi na rozkaz podoficera należy odebrać pasek od spodni albo obciąć guziki, aby musiał trzymać spodnie w rękach. Z regulaminu Pruskiej Królewskiej Piechoty, obowiązującego na terenie garnizonu w czasie werbunku i w polu. Berlin, 1805 r. 17

Wśród dziwnie wyglądających istot zamieszkujących książęcy pałac w Kassel ona jedna wyglądała naturalnie. Miała ciemne włosy, piegowaną twarz i bursztynowe, żywo połyskujące oczy. Wbrew obowiązującej modzie nie farbowała włosów i nie ukrywała piegów pod grubą warstwą pudru. Nikt nawet nie podejrzewał, że szkocka guwernantka Ruth Connors ma ambitniejsze plany niż uczenie książęcych bękartów angielskiego. Na co dzień nosiła kretonowe suknie, w pałacu na jej temat nie krążyły żadne plotki. Jeżeli dostawała jakąś pocztę, to zawsze były to książki z Francji lub z Lipska.

Przezwisko "Niebieska Pończocha" wcale do niej nie pasowało. W Kassel tak nazywano kobiety, które na angielską modę nosiły pończochy we wspomnianym kolorze i starały się udowodnić mężczyznom, że są tak samo zdolne jak oni. Panna Connors oczywiście do takich nie należała, jednakże damy na heskim dworze od początku jej nie cierpiały i w końcu postanowiły wykluczyć z życia towarzyskiego, chwając jednocześnie jako znakomitą guwernantkę. Ruth nie przejmowała się ani jednym, ani drugim. To że jej podopieczni, dziewięcioletni chłopiec i sześciolatnia dziewczynka, rzeczywiście lepiej mówią po angielsku niż po niemiecku i francusku, przypisywała nie swoim pedagogicznym talentom, lecz ich brakowi u pozostałych guwernerów, którzy o inteligencji książęcego potomstwa wyrażali się raczej niepoehlebie. Także dziś w czasie lekcji nie usiłowała zrazić dzieci do nauki, tylko z przyjemnością liczyła, ile też nowych słówek potrafią sobie przyswoić w ciągu godziny. Do pokoju wpadało bladawe światło zimowego słońca. Przed chwilą pogaszono świece i w powietrzu unosił się duszący swąd dymu z knotów. Dzieci siedziały przy osobnych stolikach, przy wspólnym ciągle sobie przeszkadzały; od dawna już sprzysięgły się przeciwko wszystkim wychowawcom, z wyjątkiem Ruth Connors, przy której były grzeczne i zawsze chętne do nauki. Ze wzrokiem utkwionym w nauczycielkę dziewczynka recytowała wiersz, trzymając końce szarfy zawiązanej wokół szyi tak ciasno, że nie mogła ruszyć głową. Panna Connors przytakiwała, choć właściwie nie zwracała uwagi ani na słowa, ani na wymowę, z niecierpliwością czekając, aż wskazówka na kominkowym zegarze dojdzie do dwunastej. Przy pierwszym uderzeniu zegara zamknęła zeszyt. Dziewczynka zająknęła się i chcąc przekrzyknąć bicie zegara, recytowała jeszcze głośnie. Ruth zachowała się inaczej niż zwykle i wstała, zanim dziewczynka skończyła wiersz. Zimą Szkotka marzła w zamku okropnie i prócz kuchni, do której chodziła niechętnie, wszędzie było jej zimno, dlatego też bardzo sobie ceniła te sześćdziesiąt minut w pokoju do nauki, gdzie dwa porcelanowe piece rozsiewały przyjemne ciepło. Chętnie też przyjmowała zaproszenie maestra Albertiego, który zaraz po niej miał z dziećmi lekcję tańca. Nie zastanawiała się, czy Włoch popisuje się przed nią galanterią, czy też wie, że w jej pokoju na poddaszu jest straszliwie zimno. Cieszyło ją, że ostatnio coraz częściej prosi o krytyczną ocenę postępów jego podopiecznych. Dziewczynka, skończywszy deklamację, czekała na pochwałę. Chłopiec w mundurze gwardii przybocznej ze złotymi epoletami podniósł rękę. - Miss Connors, when do we learn a new soldier song? Jego angielski trącił nowością jak uniform, w którym raz w tygodniu miał prawo komenderować zmianą warty. - Some other time - odpowiedziała Ruth. Oboje popatrzyli na nauczycielkę z tęsknotą i najchętniej pobiegliby za nią, żeby sprawdzić, co robi po opuszczeniu tego pokoju. Wraz z nią świat w oczach dzieci tracił i ciepło, i blask. Dla nich nie były ważne suknie z lichego kretonu ani dziury w wytartych butach. Panna Connors była po prostu dobrą wróżką, która przybyła z daleka i umiała tak wiele rzeczy, że przejście przez ścianę nie stanowiłoby dla niej pewnie problemu. W niczym nie przypominała innych kobiet, które w krynolinach wyglądały jak ozdobne beczki. Gdy wychodziła z pokoju do nauki, bez wątpienia robiła coś niezwykłego, czarodziejskiego. Maestro Alberti tłumaczył sobie pośpiech Szkotki mniej fantazyjnie niż dzieci. Zauważył, że od kilku dni ma dla niego tylko krótkie pozdrowienie, i gdy dzisiaj też przeszła obok niego, zaledwie się uśmiechnąwszy, zatrzymał ją. - Co się z tobą dzieje, pani? Masz jakieś kłopoty, a może gniewasz się na mnie? Martwię się, bo bardzo się zmieniłaś. Alberti był jedynym guwernerem, którego opłacano jak urzędnika i zakwaterowano razem z paziami. Nigdy do żadnych szkół nie chodził, od dziecka zajmował się zwierzętami w wędrownym cyrku swojego wuja. Obecne życie wydawało mu się workiem cukierków, o którym marzył jako mały chłopiec. Najszczęśliwszy był wówczas, gdy mógł się z kimś czymś podzielić. - Może mógłbym ci pomóc? Mam dostęp do księcia podczas gry w karty. Mógłbym w twoim imieniu go o coś poprosić. Zna twe nazwisko. Ostatnio, gdy bawił tu ten major z Anglii, dzieci wzbudziły powszechny zachwyty wierszykami na powitanie. - Przesada - rzekła oschle

Ruth. Grad pytań ją zaniepokoił. Na dworze była to czasami jedyna możliwość, by kogoś ostrzec. - Proszę mi wierzyć, wszystko w porządku. Maestro uniósł rękę, jakby trzymał w niej czarodziejską różdżkę. - Wiele dam w tym pałacu nie ma dumy za grosz, ty zaś masz jej w nadmiarze - rzekł. Już dawno by się Ruth oświadczył, gdyby się nie obawiał odmowy. Nie tracił wszakże nadziei, że pewnego dnia Szkotka zostanie jego żoną. Snuł plany, że razem otworzą szkołę, nie w Kassel, ale we Frankfurcie, Hamburgu, może nawet w Londynie. - Jesteś, pani, coraz ładniejsza - dodał. - W tej nowej fryzurze jest ci bardzo do twarzy. Nie taka surowa, jak dotychczas, bardzo urocza! Przesunęła dłonią po luźno związanych włosach. - Zaspalam i nie zdążyłam się uczesać. - Jeżeli chciał ją ostrzec, to powinien teraz zmienić temat, ale na szczęście tego nie zrobił. - To dlatego że po nocach potajemnie tłumaczysz pani, listy dla sekretariatu? Może to i lepiej, bo z ortografią nasz książę pan nie radzi sobie najlepiej i po co ma się kompromitować... Rozumiem, że dziś nie pomożesz mi w tresurze moich diabełków? - Być może jutro - odrzekła i wyszła. Zza drzwi natychmiast zabrzmiały akordy cymbałów, na których Alberti przygrywał do tańca. Przez wysokie okna galerii wpadało słońce. Marmurowe figury w parku osłonięto deskami, wielką fontannę nakryto, na rabatach z różami leżały świerkowe gałęzie. Aż trudno uwierzyć, że gdzieś na świecie o tej porze jest lato. Świat jest tak wielki, a Ruth znała zaledwie jego cząstkę. W szkole jej ojca w Leadshill, gdzie był tylko jeden pokój i stały dwie ławki, na ścianach były namalowane mapy. Co roku na wiosnę ojciec odświeżał kolory. Najpierw przyglądała się tej pracy, później wykonywała ją wraz z ojcem. Gdy inne dziewczęta w jej wieku marzyły o wyjściu za mąż i wychowywaniu dzieci, ona śniła o odwiedzeniu tych wszystkich krajów i oceanów, które kolorową kredą zaznaczała na białej ścianie. Pragnęła uciec z Leadshill, i co właściwie zyskała? Najpierw była w Londynie, potem w Spaa, teraz jest na dworze w Kassel - ciągle prowizorka... Zerknęła na konsolę, na której stała taca ze śniadaniem i koszyk nakryty różową lnianą ściereczką - prawdopodobnie waniliowe rożki, które tak lubi Robert. Pachniały aż tu. Nie weźmie ich. Musi przejść galerię jeszcze dziesięć kroków, a nuż kogoś spotka... W ciemnym i wąskim korytarzu dla służby pożałowała, że nie zabrała koszyka z rożkami. Minęła stół na kółkach z resztkami po śniadaniu. Popatrzyła nań ze wstrętem. Wiele potraw z książęcego stołu było nie tkniętych, lecz bez wątpienia obwachały je psy. Na pewno znajdzie jakiś sposób, by również dziś zdobyć trochę gorącej kawy, mleka, kawałek chleba z masłem i miodem. Podeszła do wnęki w ścianie, gdzie za zasłoną trzymała zeszyty i książki, a na najwyższej półce stojaki na mankiety i kołnierze. Od szarej sukni odpięła koronkowy kołnierz i kosztowne mankiety. Dostała je od Roberta, gdy wrócił z Holandii. W szybkiej kuchennej windy coś zaszemrało, doleciał zapach cebuli i tymianku. Ruth nasłuchiwała, czy rozlegną się kroki na spiralnych schodach. Betty do tej pory dotrzymywała słowa, lecz nie była już najmłodsza i często zapadała na zdrowiu. Najgorzej czuła się w czasie mgły i chłódów. Poprzedniego dnia dostała takiego ataku astmy, że omal nie zemdląca. Wreszcie ktoś ciężko zaczął się wspinać po schodach. Ruth wybiegła i odebrała starej służącej koszyk z rąk. - Ostrożnie - rzekła staruszka, łapiąc oddech. - Musiałam trochę poczekać, ale się opłaciło. - Rąbkiem fartucha wytarła pot z czoła. - Prowiant czekał na kowala, ale on nie przyszedł. Pokój dostawców pusty. Wszyscy omijają Kassel z daleka, żeby nie wpłatać się w nowe długi i nie wpaść w ręce werbowników. Biorą, kogo popadnie, byleby tylko zapewnić angielskiemu królowi posiłki. Ruth interesowała wyłącznie zawartość koszyka. Dzbanek kawy, mleko, rożki waniliowe, bułeczki maślane, chleb z kolendrą, masło, ser, szynka... - Dziękuję, Betty! Bardzo dziękuję! Służąca machnęła ręką. - Szynek, ser i czarny chleb podzielcie oszczędnie. Nie wiem, kiedy znowu będę miała tyle szczęścia. - Obawiam się, że nie będzie co odkładać. Nie miałam pojęcia, ile dorosły mężczyzna potrafi zjeść! Betty poprawiła fartuch. - Jest tu już chyba z tydzień, co? Tylko nie przesadzajcie, pani Ruth! To niebezpieczne, a dla chłopca nie opłaca się za wiele ryzykować. Chętnie pomogę, bo wiem, jak to bywa, gdy się jest młodym, alebym nie chciała, żebyście wpadli w tarapaty.

Pamiętacie, jak skończyła ta Burchard? Zamknęli biedaczkę w domu dla obłąkanych! Książę jest bardzo surowy, jeśli chodzi o prowadzenie się swoich poddanych. No, idźcie już! Kosz był ciężki, schody do mansardowych pokoi wąskie, Ruth musiała więc nieść go przed sobą. Nie spotkała nikogo, ale przed drzwiami jej izdebki leżał stosik czystej pościeli. A więc dziś jest piątek. Tydzień minął jak jeden dzień! Piątek. Coś miało się dziś zdarzyć, coś ważnego, lecz Ruth nie mogła sobie przypomnieć co. Wreszcie ją olśniło: spotkanie z kobietą roznoszącą wiadomości. Robert na pewno spyta o nią najpierw. Betty mówiła prawdę: w pokoju dla dostawców było pusto, jedynie kilka wieśniaczek w ciemnych strojach siedziało przy swoich koszykach i czekało z półprzymkniętymi oczyma, aż podejdzie szef kuchni, który jeszcze pertraktował z dostawczynią jaj. Ruth bez trudu rozpoznała kobietę, którą opisał jej Robert. Była tak chuda, że nawet w potrójnej spódnicy wyglądała jak tyczka. Jadła suchary i popijała kawą z mlekiem z wielkiego kubka. Obok niej stał kosz z lawendą. Ruth podeszła do kosza i zaczęła przeglądać woreczki. - Macie dziś tylko zieloną i żółtą? Zielarka podniosła głowę. - A jaką chcecie? - Zamówiłam niebieską. - Ruth powtórzyła hasło, które przekazał jej Robert. Stara kobieta się ożywiła. - A zdarzyło się, że Koppina zapomniała o zamówieniu? - roześmiała się i sięgnęła ręką pomiędzy fałdy granatowej spódnicy. - To woreczki dla was! Gdybym je włożyła do koszyka, wszyscy chcieliby tylko niebieską lawendę. Zanim powiesicie woreczki w szafie, proszę potrzymać je kilka minut nad wrzącą wodą. Przez cały miesiąc lawenda będzie pachnieć jak świeża. Nie powinnam wam zdradzać tego sekretu, bo psuję sobie interes, ale was polubiłam. Gdybyście jeszcze czegoś potrzebowali, to wiecie, kiedy przychodzę. Na łóżku postawili "stół" - ławę wyrzuconą z pokoi paziów, która mieściła się pod łóżkiem Ruth. Usiedli na stosie poduszek i pościeli. Robert podniósł filiżankę dymiącej kawy do ust. - Kuchnia chyba specjalnie robi wszystko pod mój gust. Tak dobrej i mocnej kawy nie piłem już dawno - rzekł, przekazując filiżankę Ruth. Zwykle kosz Betty krył więcej naczyń niż jedzenia, dziś na odwrót: naczynia były pojedyncze, ale Robertowi i Ruth to nie przeszkadzało. - Nie powiem, żeby takie życie mi nie odpowiadało - roześmiał się Robert. - Jak długo tu już właściwie jestem? - Zabrzmiało to jak deklaracja miłości - uśmiechnęła się Ruth. - Kto wie, może właśnie nią jest! Mija chyba tydzień, jak nie wychodzę z łóżka kobiety. Nie uwierzyłbym, gdyby ktoś mi to przepowiedział! - Zwłaszcza że jest tu zimno jak w psiarni i masz mnóstwo relacji z podróży mojego ojca. Prawie jestem zazdrosna, bo więcej czasu poświęcasz im niż mnie. Odślonił kawałek jej szyi, pocałował i szybko zasłonił ze względu na ziąb. - Domyślam się, że twój ojciec z ciężkim sercem pozbył się rękopisów. Mówiłaś, że następna paczka jest w drodze? - Tym razem przesyła opis podróży po Ameryce Południowej i Północnej. Prawdopodobnie dyliżans wiezie już te zapiski z Hamburga. Sama się zdziwiłam, że przysyła je tutaj. Jesteś ich pierwszym czytelnikiem. Matka zawsze miała nadzieję, że zainteresuje się nimi któryś z wydawców. - Na pewno tak się stanie, a ja osobiście zwrócę się do Richmonda i Barkera w Filadelfii. Wiesz, moja droga, dzięki twojemu ojcu poznałem Amerykę i między Nowym Jorkiem a Filadelfią nie będę musiał nikogo pytać o drogę. - I pomyśleć, że on nigdy nie ruszył się z Leadhill! Chodzi tylko na pocztę i pyta, czy nie przysłano dla niego książek. Cały dom już jest nimi zapchany. Ma chyba największą bibliotekę geograficzną w całej Szkocji. Wydaje na książki każdego pensa. Swoje relacje z podróży pisze wieczorami przy kuchennym stoliku, a matka musi obok robić na drutach, bo ich cichy szczełk pozwala mu się skoncentrować. - Ruth zadumała się. - Tak sobie myślę, że fantazja ojca ukształtowała całe moje życie. Inne dziewczęta bawiły się lalkami, ja bawiłam się w Robinsona. Wiezorami, kiedy uczniów nie było w szkole, przenosiłam się do klasy. Katedra ojca była moim szałasem, nie raz pod nią zasypiałam do rana. Gdybym była chłopcem, na pewno zostałabym marynarzem. - Zawsze mogłaś zostać żoną kapitana. - Co najwyżej pirackiego statku, ale piraci raczej nie przychodzili do górniczego miasteczka Leadhill szukać kandydatki na żonę. Aż dziw, że trafiła tam lady Menton. Szukała dla męża prezentu i dowiedziała się, że niejaki

mister Connors ma bogaty zbiór map. Widać w Londynie o moim ojcu wiedzą więcej niż w Leadshill... Lady gotowa była zapłacić każdą cenę, ojciec jednak nie zamierzał rozstawać się z żadną ze swoich map. To jej zaimponowało, a ponieważ nie chciała wracać z dalekiej podróży z pustymi rękoma, zabrała ze sobą mnie. Taką miała zasadę: nic nie robić bez celu. W swoim powozie kazała zamontować lampę jak w kabinie na statku, by móc czytać w trakcie podróży. Mówiono, że czasami oddawała się lekturze nawet w teatralnej łoży, a na drugi dzień tę książkę czytał cały Londyn. To była prawdziwa Blue Lady, choć wcale nie zamierzała nią być. Jak architekci razem opracowują projekt nowego domu, tak ona z przyjaciółmi projektowała nowe czasy, w których kobiety będą rozwijać swoje talenty na równi z mężczyznami, będą uczyć się zawodu, studiować na uniwersytetach i oczywiście samodzielnie decydować o swoim prywatnym życiu. Nowe porządki zaczęła wprowadzać we własnym domu. Każda pokojówka, pomoc kuchenna i służąca miała prawo, a nawet obowiązek uczyć się pisać i czytać. Lady często sama udzielała im lekcji i wołała z pokojówką dyskutować o prawidłach ortografii niż z damą z towarzystwa o modzie. Była zachwycona, gdy jej powiedziałam, że chciałabym poznać Niemcy, i znalazła mi tę posadę w Kassel. Myślę, że chyba trochę mi zazdrościła, gdy wyjeżdżałam. - Wie, że mieszkasz tu w mansardowym pokoju? - Nikt mnie nie zatrzymywał. Po kilku tygodniach mogłam spokojnie wrócić do Londynu. - Tylko że zjawiłem się ja i zdecydowałaś się dobrowolnie pozostać w klatce. I co da wam, kobietom, wiedza, skoro... Zatkła mu usta. - Do tego też nikt mnie nie zmuszał. Popatrzył jej w oczy i już był gotów powiedzieć "kocham cię", lecz słowa dla niego nie miały większego znaczenia. Gdy ją poznał, zwrócił uwagę na jej obcy akcent i ostrożność, z jaką dobierała każde słowo. To mu zaimponowało. Sięgnął po woreczki z lawendą, które położyła na tacy. - A więc przyszła. Na niej zawsze można polegać - rzekł, obmacując dokładnie oba woreczki. Jeden z nich odłożył na bok, z drugiego wyjął kawałek papieru i podał Ruth. - Przeczytaj! - Myślałam, że to tajna wiadomość. - Między nami nie ma tajemnic. Powoli odwijala papier. Wiedziała, że pewnego dnia będą musieli się rozstać, i od dawna się na to przygotowywała, teraz wszakże wyglądała na zaskoczoną. Półgłosem przeczytała: - "Dziś po południu o piątej, w domu posterunkowego w Altenbaunie. Freder Soerman". Odłożyła kartkę. Robert wziął ją i spalił nad świeczką. - Co to za człowiek ten Freder Soerman? - spytała, by cokolwiek powiedzieć. - Ciągłe nie mogę uwierzyć, że chcesz wszystko rzucić, swoją Czaplą Wyspę, rodzinę... Co na to twoja matka? Pragnął, by mówiła dalej. Czuł się jak ktoś, kto po długiej chorobie staje przed lustrem i jest ciekaw, co o nim powiedzą inni. - Gdyby choć przez chwilę było mi w domu jak u ciebie, może bym się zastanawiał. Ale decyzja zapadła, mam wrażenie, jakbym jedną nogą stał na statku. Otuliła ramiona szalem. - Prawdę mówiąc, dziwię się. Zawsze uważałam, że jesteś jednym z tych ludzi, którym życie płynie gładko, którzy nie załamują się, nie rozpoczynają ciągle od nowa. Są jak statki trzymające się obranego kursu... - Tak jakoś się układało, właściwie bez mojego udziału. To prawda, nie szukałem kłopotów jak mój brat Claus. On nie może żyć, jeśli wokół nie grzmi i nie szaleje burza. Mnie wystarczy spokojny wiatr wiejący w stronę Ameryki. - A ja? Wyznaczyłeś mi jakąś rolę w swoim życiu? Nie bój się, nie mam do ciebie pretensji. Zawsze staram się zrozumieć postępowanie innych, zwłaszcza twoje. Chodzi tylko o wyspę, twojego rodzionego ojca czy może jeszcze o coś innego? Nieszczęśliwa miłość? - Odgarnęła włosy z czoła. - Nie rób sobie żadnych złudzeń co do mojej osoby. Ja nie mam ich już dawno. Dla ciebie wyzbyłam się nawet dumy, ale nie umiałabym się oszukiwać. W młodości kierowałam się zasadą "wszystko albo nic" i byłam bardzo nieszczęśliwa. Teraz biorę to, co daje mi życie, nawet jeśli jest to tylko część tego, czego pragnę. Patrzył jej w twarz i zastanawiał się, czy odbija się w niej rezygnacja czy rozsądek. Ani jedno, ani drugie do niej nie pasowało. - Mężczyźni, za których mogłabym wyjść, byli dla mnie nieosiągalni - ciągnęła dalej. - Dla tych zaś, którzy chcieli się ze mną żenić, ja byłam nieosiągalna. Byłam na najlepszej drodze, by zamknąć się w sobie, lecz wtedy zjawiłeś się ty ze swoją

ciekawością. Co by się ze mną stało, gdybym się uniosła dumą i wypędziła cię? Zapadła cisza. Byli sobie tak bliscy, że niemal bali się spojrzeć na siebie. - A może twoja decyzja ma coś wspólnego z rebelią, która wybuchła w Ameryce? - spytała nagle. - Skąd przyszło ci to do głowy? - Cały poprzedni tydzień spędziłam w biurze tajnego sekretarza. Chodziło o kontrakty króla Jerzego III z landgrafem Hesji-Kassel na dostarczenie żołnierzy na wojnę w Ameryce. - Biedacy rekruci! Ja na szczęście przeprawę za ocean opłaciłem sobie sam. - Wybrałeś już statek? - W ciągu najbliższych trzech tygodni z Rotterdamu odpływają dwa - rzekł, odruchowo zerkając na swoje kufry ustawione pod oknem. Od jak dawna Ruth wie, że ją opuści? A może ma nadzieję, że zabierze ją ze sobą? Jeżeli rzeczywiście czekała, aż on wypowie decydujące słowa, i tak by mu o tym nie powiedziała. Dlaczego nie sprawić jej przyjemności i przynajmniej o to nie spytać? Słowo nic nie kosztuje, a jeśli nie będzie chciał się z nią więcej spotkać, po prostu się nie odezwie. - Chciałabyś pojechać ze mną? Popatrzyła na niego z niezwykłą powagą. - Nie powinieneś rzucać słów na wiatr. - A może naprawdę tego chcesz? - Tak, teraz. A jutro? Pewnie bym się zgodziła. Mam już dwadzieścia osiem lat i nie mam na co czekać. Lecz my, kobiety, nie potrafimy zrezygnować z czekania na cud - uśmiechnęła się lekko. - Zawsze, gdy bardzo czegoś pragnę, nie dostaję nic. Dlatego zdaję się na łaskę losu i tak jest najlepiej. - To jest twoja odpowiedź? Kiwnęła głową i przytuliła go mocno. - Mam tylko jedną prośbę do ciebie: nigdy do mnie nie pisz! W żadnym wypadku! 18

Gdyby wojna siedmioletnia trwała trochę dłużej, Willibald Manz, posterunkowy z Altenbauny, z całą pewnością awansowałby na oficera. Był już na liście kandydatów ze specjalnego nadania; wystarczyło tylko podpisać patenty. Jednakże Prusacy porozumieli się z Austriakami i Willibald Manz mógł się cieszyć, że nie został z pustymi rękoma, gdyż heski landgraf mianował go posterunkowym straży konnej. Minęło już dwanaście lat, a stary żołnierz nie mógł sobie darować, że tak to się skończyło. Właściwie nie miał szczęścia już od urodzenia, bo matka, córka bogatego młynarza, choć mogła wyjść za kogoś możniejszego, uciekła z biednym jak mysz kościelna Imkerem Manzem, i to z jakiejś tam Altenbauny! W markotnym nastroju wyszedł przed swój dom na północnym skraju wsi. Natychmiast z budy wyczołgał się owczarek, ciągnąc za sobą długi łańcuch. Manz zdjął mu obrożę i puścił psa wolno. Kiedy ktoś próbował zbliżyć się do jego pana, pies natychmiast groźnie warczał i szczyrzył kły, nawet gdy byli to wieśniacy, których znał. Ci wszakże, odkąd w okolicy pojawili się werbownicy, omijali dom posterunkowego z daleka, podejrzewając, że to przez niego ich synowie trafiają do wojska. Dwóch podrostków pędziło wioskowe stado owiec na pastwisko, położone na wzgórzu za wsią. Za ledwie połowa zwierząt była ostrzyżona, gdyż werbownicy zabrali owczarzy podczas strzyży. Nie oszczędzili też robotników z tartaku Weibrechta. Plac zarzucony jest długimi pniami i jeśli nie zostaną szybko ułożone, niczym lawina stoczą się po zboczu. Tylko kto ma to zrobić? Potrzeba wielu chłopów, a Weibrechtowi zostawiono tylko starego parobka i najmłodszego syna... - I co ja na to poradzę? - rzekł Willibald Manz do siebie. - Nie mogę im pomóc. Sam też nie poszedłem dobrowolnie do wojska... Oj, a teraz to bym poszedł! Mam dość użerania się z chłopstwem. Gdybym się zgłosił w Kassel, może by mnie przyjęli. Trzeba pogadać z werbownikami. Może w kwatermistrzostwie? W pole to już nie pójdę, na oficera raczej za późno. - Otrząsnął się. Jak dalej mróz będzie tak trzymać, oziminy wymarzną, lecz wieśniacy wcale się tym nie przejmują. Co za różnica, skoro na żniwa nie będzie komu zebrać zboża z pól? Wyciągnął przed siebie ręce. - Nigdy nie przestaną drzeć - mruknął pod nosem. - Ale na wojnie nie tylko wyborowych strzelców potrzeba! Na drodze z Kassel do Fitzlar, przebiegającej przez Altenbaunę, było pusto. Dachy domów, pokryte niedawno dachówką, cieszyły świeżą czerwienią, lecz Willibald Manz patrzył na wieś oczami pamięci i widział to, co dwanaście lat wcześniej zostawili tu wycofujący się z Kassel Francuzi: wypalone domostwa, spustoszone pola, poprzewracane płoty, ogołocone drzewa. Były to tylko wspomnienia, czy może wizja niedalekiej przyszłości? Wojna zawsze zaczyna się tak,

że gdzieś tam daleko ktoś z kimś się pokłóci, a ty nie przypuszczasz, że pożoga dojdzie aż pod twój próg. - Siedem tłustych lat minęło - mruknął Manz. - Nikt nie chce mi wierzyć, ale tak będzie. Pies z ujadaniem rzucił się ku płotowi. Do wsi zbliżał się powóz. Posterunkowy pozapinał guziki, odwinął mankiety. - Panowie werbownicy - rzekł głośno, jakby chciał przeciwżyć powitanie. - Pracują jak mrówki. A w powozie to im wygodnie, co za życie! Musi zaraz z nimi porozmawiać. Pięćdziesiątka to znowu nie taki wiek, biorą i starszych, wystarczy sfalszować metrykę urodzenia. Znał dobrze te sztuczki. Wielki elegancki powóz, zaprzężony w cztery siwki, był już blisko. Na koźle siedział woźnica ubrany w mundur, lecz nie był to uniform heski. Za powozem w tumanie kurzu podążał oddział umundurowanych jeźdźców, z których każdy nosił inne barwy. Pies przestał szczekać i pobiegł za panem, idącym otworzyć główny wjazd na dziedziniec. W pełnym biegu karetka pokonała zakręt i wjechała w obejście, wyskoczyło z niej kilku mężczyzn, którzy bez słowa zniknęli w domu, stodole, stajni, drewni. Przy powozie pozostało dwóch; zachowywali się tak, jakby z tamtymi nie mieli nic wspólnego i tylko przypadkowo zajechali tą samą karetką. Młodszy miał z siedem stóp wzrostu, białą perukę z czarnym warkoczem i order w kształcie gwiazdy na niebieskim mundurze. Starszy był nieco niższy, nie miał upudrowanych włosów i nosił brązową pelerynę. Wysoki przywołał Manza ruchem ręki. Posterunkowy nie zareagował. Jeźdźców było znacznie więcej, niż wydawało się w pierwszej chwili. Nie ulegało wątpliwości, że głośny wjazd byłby im bardziej na rękę, mimo to bezszelestnie rozeszli się po podwórku, gdy wysoki rozkazał: - Konie wstawić do stajni! Macie kilka godzin odpoczynku, potem rozejść się po wsi, ale niech mi który tknie choćby kromkę chleba! Trzymać się z daleka od kobiet. Nie jesteśmy bandą marudzących żołnierzy, jasne? Wy, Soerman, zostaniecie ze mną - polecił towarzyszącemu mu mężczyźnie, po czym zwrócił się do posterunkowego: - Mógłbyś nas przywitać z większym entuzjazmem, nie sądzisz? Manz zmierzył mężczyznę w brązowej pelerynie. - A ten to kto? Wasz nowy adiutant? - Co cię obchodzą nasze sprawy? - burknął wysoki, którego żandarmi nazwali Długim Hoymem, nie mogąc się w żaden sposób dowiedzieć, jakie naprawdę nosi nazwisko. - I nie zadawaj głupich pytań - dodał. - Widzę, że jednak coś się u was zmieniło. Zjawiacie się w biały dzień, i to nie sami, lecz z całą trupą, jakbyście już byli władcą w tym kraju. W lasach to inna sprawa, ale tutaj? Naprawdę chcecie, aby was skrócono o głowę? - Większe ryzyko, większy zysk. Swój udział, jak zawsze, dostaniesz, więc się nie martw. - Tylko że w każdej chwili może zjawić się tu oddział werbowników. - Zostaw ich mnie. Ostatnio się zaprzyjaźniliśmy, można by rzec, nawiązaliśmy stosunki dyplomatyczne! Najchętniej zwerbowałiby cały mój zastęp, raptem trzydziestu chłopów. Gotowi ich żywić i ubierać, wyobrażasz to sobie? Leßberg obiecał mi nawet patent rotmistrza i całkiem legalne papiery na nowe nazwisko! - Długi Hoym poklepał się po kieszeni. - O, tu mam jego list. Do ciebie zaś przybywam w konkretnej sprawie - rzekł i zwracając się do Soermana, dodał: - Dajcie mu ten płaszcz. Soerman zdjął pelerynę, przez chwilę mignęło podszycie z wilczego futra. - Coś takiego chciałeś mieć już dawno, prawda? - roześmiał się Długi Hoym. Manz zerknął na płaszcz. Na dziedzińcu panował spokój, konie, karetka, jeźdźcy zniknęli, jakby pochłonęła ich ziemia. Jedyne ślady na piasku świadczyły, że byli tu naprawdę. - Chodźcie do domu - rzekł. - Nie przekonacie mnie ani podarkami, ani słowem. Igracie z ogniem. W domu Manz nie odzyskał humoru. Usiedli na narożnej ławie, futro wisiało beładnie na oparciu krzesła. - Nie podoba mi się, że przychodzicie w środku dnia - odezwał się pierwszy. - A w to pismo od Leßberga to chyba sami nie wierzycie. To przecież pułapka! Oni was powieszają. Żołnierz z dnia na dzień może zostać zbójnikiem, za to zbójnik już żołnierzem nie będzie. Długi Hoym wybuchnął śmiechem. - Spowiednik landgrafa musi być wyjątkowo wyrozumiały, bo w przeciwnym razie nasz książę musiałby jutro zamknąć w więzieniu połowę swoich żołnierzy. Werbownicy zresztą nie mają wielkiego wyboru. - Dlaczego opuściliście las? - Nawet lisia nora przestaje kiedyś być bezpieczna. - Lisia nora zwykle ma kilka wyjść, ale wy ładujecie

się prosto w pułapkę. Na wieśniaków już nie liczcie, oni nawet na siebie patrzą wilkiem. Z tartaku Weibrechtowi zabrano dwóch synów i czterech robotników. Zostawili mu tylko starego parobka i najmłodszego syna. Stary zresztą zawsze był strachliwy i gotów donieść, bylebyście do niego więcej nie przychodzili. Co zamierzacie? Jak długo chcecie tu zostać? - Nastaw wody. Bardziej wolę twoją kawę niż kazania. Syp dużo, w karecie jest worek dla ciebie. Na przyszłość będziesz musiał znaleźć sobie innego dostawcę. Dziś przyjechałem się pożegnać, wyjeżdżamy. Tutaj uczciwy zbójnik nic już nie działa. - Długi Hoym wyciągnął nogi i przysunął krzesło, na którym wisiało wilcze futro. Poglaskał je i rzekł: - Nie znosisz go do śmierci. Ma więcej lat niż my obaj razem. Cisza w Altenbaunie była tak zaskakująca, że gdyby nagle na drogę wyjechał wózek do wywożenia trupów po epidemii, Robert wcale by się nie zdziwił. Domki pod nową czerwoną dachówką wyglądały jak wymarłe, choć przed jednym na przyzbie stygły świeżo wyjęte z pieca bochenki chleba, a przed innym łopotało na wietrze zmarznęte na kość pranie. Jedynymi oznakami życia były unoszące się z kominów dymy i dochodzące z tartaku hałasy, lecz to tylko potęgowało wrażenie spustoszenia. Ślady wozu w piaszczystej drodze znikwały raz po raz pod odciskami końskich podków, Robert wszakże nie miał wątpliwości, że prowadzą do domu posterunkowego Manza. Wjechał na dziedziniec, trzymając mocno cugle. Czuł, że jest obserwowany, mimo że nikogo nie było widać. Niezdecydowanie zsiadł z konia. Gdzieś z tyłu skrzypnął zawias. Robert błyskawicznie się odwrócił i w drzwiach zobaczył Soermana. Uścisnęli sobie dłonie bez słowa. Robert ze zdziwieniem stwierdził, że Soerman ma szare oczy, i uświadomił sobie, że po raz pierwszy widzi go w świetle dnia. Przyjrzał mu się dokładnie, gdyż do tej pory mimo wysiłków nie umiał sobie przypomnieć rysów jego twarzy. Widział tylko te pozbawione strachu oczy, które towarzyszyły mu i dziś, gdy pędził do Altenbauny. Teraz zobaczył twarz człowieka, który chyba nie miał czasu być młodym. Pozostało w niej coś niespełnionego, coś z dzieciennych snów, których nigdy nie wyśniono do końca. Hałas tartacznych pił, który na chwilę ucichł, znów się nasilił. - Ostatnią osobą, która tak długo i tak dokładnie mi się przyglądała, był chyba mój ojciec - odezwał się Soerman. - Cieszę się, że was widzę - rzekł Robert. - Jesteście teraz pomocnikiem posterunkowego? - Odstawmy najpierw konia - odparł Soerman i wzięwszy ogiera za uzdę, zaprowadził do stajni. Na widok pełnych boksów Robert stanął jak wryty. - Jest ich tu ze dwa tuziny! I to nie wysłużone szkapy, jakimi zazwyczaj dysponuje posterunkowy, ale rasowe wierzchowce! Coś mi to wygląda na zbójców z dębowego lasu, gdzie oni są? - Gdzie zawsze! Nikt ich nie widzi, a każdy może zobaczyć. - W lesie zrobiło się za zimno? - Raczej za gorąco. - Chcecie urządzić sobie zimową kwaterę przy głównej drodze do Kassel, po której codziennie przejeżdżają patrole? A wy siedzicie już w tym po uszy, co? Soerman przywiązał konia i nasypał mu owsa. - Dawno już planowałem odejść. Najwyższy czas wynieść się gdzieś daleko i zacząć jeszcze raz od nowa, tym razem na poważnie. - Domyślam się, że moją wiadomość potraktowaliście serio. - Byłem zaskoczony, bo prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że jeszcze o was usłyszę. O co więc chodzi? Karteczki z lawendowego woreczka Koppiny wyglądały mi na krzyk rozpacz, Robert najwyraźniej nie wiedział, od czego zacząć. - Nie byliśmy już na ty? - spytał. - Z twoim ojcem byliśmy po imieniu już w pierwszej sekundzie. - Otworzyłeś mi oczy na wiele spraw. Niełatwo to wszystko wytłumaczyć. Przypomnij sobie naszą rozmowę w dębowym lesie. Mówiliśmy o tobie i moim ojcu. Jednym słowem, postanowiłem stąd odejść i pojechać do Ameryki. Powiedz mi, proszę, musisz koniecznie tu zostać? - Twój wyjazd wiąże się z ojcem czy też z amerykańską wojną? - Przede wszystkim ze mną samym. Ty znasz dobrze tamten kraj i mógłbyś mi pomóc odnaleźć ojca. Dlatego pytam wprost: pojedziesz ze mną? Właściwie byłem pewien, że bez wahania wsiądziesz na najbliższy statek. Wyszli na zewnątrz. - No, jak? - spytał jeszcze raz Robert. Soerman zamknął drzwi stajni na skobel i strzepnął źdźbło słomy z ubrania. Jadę - odezwał się wreszcie. - O ile nie zamierzasz wyjechać już dziś. Mam tu jeszcze do załatwienia jedną drobną sprawę. To i

dobrze, bo przed daleką wyprawą warto trochę zasilić kasę. - Masz zamiar zdobyć pieniądze tutaj? W Altenbaunie? - Niezupełnie. Czekamy do zmięzchu i wyruszamy do Kassel. Znasz fabrykę galonów Latour w Oberneustadt? Poszukują pilnie pracowników, gdyż dostali ogromne zlecenie na srebrne galony do dziesięciu tysięcy mundurów. Biedacy, trzeba im ulżyć. Masz pojęcie, ile na to trzeba srebra? Sam nie wierzyłem, ale czeka tam już sęta poręcznych sztabek, i warto zużyć je do lepszych celów niż... Robert wybuchnął śmiechem. - Ja też na początku się śmiałem - ciągnął Soerman - ale informacje się potwierdziły. Srebra jest tyle, że każdy dostanie działkę rządu... Wiem, wiem! - Robert z trudem odzyskiwał powagę. - Informacje rzeczywiście są prawdziwe, z jednym wyjątkiem: nie wiecie, komu naprawdę chcecie zrabować to srebro. - Co masz na myśli? Mówisz o wyrzutach sumienia, że okradamy biedną wdowę? - Nie o nią chodzi. Kilka tygodni temu pani Latour za bezcen sprzedała cały kram mojemu ojczymowi, baronowi Haynauowi, a dwadzieścia cztery godziny później minister Schlieffen złożył zamówienie na dziesięć tysięcy galonów, rozumiesz? Soerman jakoś nie potrafił cieszyć się wraz z Robertem. - Twój ojczym ma chyba więcej niż jednego anioła stróża! Do licha, czułem, że coś wyjdzie nie tak! Już widziałem to srebro w garści... Chodź, powinieneś o tym powiedzieć Długiemu Hoymowi sam, bo... - Soerman zamilkł i przytrzymał Roberta za ramię. W monotonny dźwięk tartacznej piły wchodziły się obce hałasy, coś jakby stuk podków, turkot wozu, a może bicie werbli? Piła wżerała się w dębowy pień, wyrzucając w powietrze strugi trocin. Ojciec i syn Weibrechtowie przygotowywali kolejny bal, gdy na plac wpadł stary parobek. - Werbownicy - krzyczał, biegnąc do piły, by ją wyłączyć. - Nie rusz! - powstrzymał go Jost Weibrecht. - Pracujemy dalej! Z domu wyszła żona drwała w białym fartuchu na jasnozielonej sukni. Ręką oblepioną ciastem nerwowo przywoływała syna. - Nie będzie się chował! - sprzeciwił się Jost. Żona podeszła bliżej i ciągnąc chłopca za rękę, rzekła: - Po co ich prowokować? Chodź, Witusiu, idziemy do domu. - Nigdzie nie pójdzie! Mam pismo od starosty, jego nie mogą mi zabrać! Takie papiery mieli też inni, a dziś już służą. U piwowara w Kirchditmold podarli dokument na jego oczach i zabrali mu syna. Tak sobie cenią prawo! Nie zostawię tu Witusia ani chwili dłużej. Ucieknie za granicę! Żałuję, że na czas nie wysłałam starszych. Parobek nie wytrzymał: - Wasza żona ma rację, Jost. Po co ich kusić? Wiecie przecie, jak oni nas traktują. Jak mają zły dzień, to żadne prawo dla nich się nie liczy! - Witusiu zostaje, a ty, kobieto, wracaj do kuchni. - To po co wczoraj zakładałeś drugi zamek do drzwi w piwnicy? - upierała się drwalowa, ze zwieszoną głową wracając do domu. Gdy zamknęła za sobą drzwi, chłopiec rzekł: - Dziękuję, tato! Stary skinał głową. Pień był przecięty, piła kręciła się bezużytecznie, ale nikt nie zamierzał jej wyłączać. Patrol przechodził już przez środek wsi. Dwie wychudzone szkapy ciągnęły rozklekotany wóz, na którym siedzieli rekruci. Towarzyszyły im dwie okryte kocem kobiety, mężczyźni natomiast mieli na sobie tylko koszule, choć mróz trzymał od rana, w rękach trzymali obcięte szelki. W ten najprostszy sposób werbownicy zniechęcali swoje ofiary do uciezki... Za woźnicą na wysokim koźle stał wielki bęben, a przy nim żołnierz ze strzelbą gotową do strzału. Drugi stał na końcu wozu. - Koniom, dranie, dają koce, ludzie muszą marznąć! - mruknął pod nosem Jost. - Rzygać się chce! Nie będę dzień w dzień patrzeć na to obojętnie. Twoja matka ma rację: jeszcze tej nocy przeprowadzę cię za granicę. Kuzyn w Munden się ucieszy, gdy dostanie tak zręcznego stolarza jak ty, Witusiu, a my przynajmniej będziemy spać spokojnie. Chłopiec jednak patrzył na siedzących na wozie. Nie znał nikogo ani z cotygodniowych targów, ani z potańcówek. - Jest ich ponad dwudziestu, a pilnujących tylko czterech. Mnie żywego nikt nie wsadziłby na ten wóz - rzekł zadziornie. Ojciec zafrasował się, wśród rekrutów dostrzegając jedyne go syna starego Röderhafa. Zaprzęg zбочzył z drogi i zmierzał wprost do tartaku. Dwaj Jeźdźcy prowadzący wóz przyspieszyli kroku. Wystrojeni byli jak na paradę: białe pióropusze przy kapeluszach, błyszczące spinki przy błękitnych płaszczach, ozdobiona srebrem uprząż. - Leßberg! - jęknął Jost i aż poczerwieniał z wściekłości. - Ten szcur! To

dlatego dziś wzięli aż tylu! To on zabrał męża twojej siostry - zwrócił się do parobka. - Zapomnij o tym i spokojnie zaprowadź ich konie do wodopoju. Leßberg pierwszy zeskoczył z konia, za nim Scholl. Mieli za sobą długą drogę, jak zawsze gdy dowodził Leßberg. Nie ominęli najmniejszego przysiółka, żadnej odosobnionej chaty. Drań, miał węż gończego psa i nienasyconą żądzę upolowania ofiary. Scholl wolał "pracować" w karczmie. Wystarczyło postawić szklanę wina, coś tam obiecać, czasami postraszyć, by gość przy stole, ratując własną skórę, zdradził, gdzie ukrywa się brat czy przyjaciel. Uśmiechnięty od ucha do ucha Leßberg podszedł do Josta. - Twoi synowie mają się znakomicie, w mundurach jest im do twarzy i strzelają najlepiej w całej kompanii. Pewnie uczyłeś ich na polowaniu, co? Zrobią w wojsku fortunę, zobaczysz. Za rok wrócą jako oficerowie i będziesz żałował, że nie dałeś nam też najmłodszego. Weibrecht miał wrażenie, że wciąż kręcąca się piła przecina go wpół. Parobek tymczasem wziął oba konie, by zaprowadzić je do wodopoju. - Co to ma znaczyć? Chce zatruć nasze konie brudną wodą? Niech napoi je w studni! Mówią, że Weibrecht ma najlepszą wodę w całej okolicy, a my mamy najlepsze konie, więc należy im się dobra woda. Chyba że masz coś przeciwko temu? - A mam! Z wodą w tym roku jest krucho i bydłat ze studni nie poimy. - Bydłat?! Słyszałeś, Scholl? Ten wieśniak obraził nasze konie! - Daj spokój, Leßberg, chodźmy już! Dzień i tak wlecze się niemiłosiernie i czas... - Woda jest zatem tylko dla ludzi, powiadasz? - wrzeszczał tamten, nie słuchając Scholla. - W takim razie musisz się napić! Przynieś mi tu wiadro wody ze studni! Skoro nie życzy jej naszym koniom, niech ją sam wyżłopie! Wokół zrobiło się cicho. - Bierz wiadro! - ryknął Leßberg na parobka. - I nabierz po samą krawędź! - dodał i machnął szpicrutą, aż zaświszczało. Parobek ze spuszczoną głową przyniósł napelnione wiadro. - Postaw je przed nim. Weibrecht, zaczynaj! - rozkazywał Leßberg. - Zagram mu do taktu, szybciej się uwinie! - ucieszył się dobosz. Scholl chciał coś powiedzieć, lecz Leßberg odsunął go zdecydowanie. - Niech pokaże, co umie! Słuchaj, Weibrecht, jak zostawisz choć jedną kroplę, zabieram twojego syna. Mówię poważnie! Albo wypijesz wiadro wody, albo twój najmłodszy syn idzie z nami. Jost Weibrecht schylił się i podniósł wiadro tak ostrożnie, że nie uronił ani kropelki. Kiedy trzymał je już na wysokości ust, zrobił krok do przodu i chlusnął wodą w twarz Leßberga. - Wnocha z mojego obejścia! - wrzasnął, chwytając zakrzywiony długi nóż do korowania pni. - I wara od mojego syna! Dość już tego poniżania i deptania w błoto! Wiele cierpliwie zniosłem, ale dłużej nie pozwolę... Strażnik na wozie zobaczył błysk ostrego narzędzia w ręku drwała, bez zastanowienia podniósł strzelbę i wypalił. Dobosz przestał bić w bęben, wszyscy patrzyli na Weibrechta. Stał na rozkraczonych nogach niczym potężne drzewo. Opuścił rękę, w której trzymał nóż, i powoli, bezgłośnie i miękko upadł na ziemię, wzniecając obłok jasnego kurzu. Nie wypuścił noża, umierając, zaciskał go w dłoni jeszcze mocniej. Rozpętało się piekło. Nagle, jak spod ziemi, zjawili się mnóstwo mężczyzn. Jedni wybiegli zza sterty pni, inni ze stajni, ze stodół - byli to ludzie Długiego Hoyma. Za nimi biegła cała wieś. Na twarzach wieśniaków nie było ani strachu, ani nienawiści, jedynie ślepa zawziętość. Nie byli uzbrojeni. Na dziedzińcu zakotłowało, podniósł się dziki wrzask. Leßberg patrzył na zacieśniający się wokół niego krąg zbitych ciał i wyciągniętych rąk, które raz przygniatały go do ziemi, raz podrzucały w powietrze. - Związać ich! - ryknął przeraźliwym głosem. Potem wszystko potoczyło się szybciej, niż Leßberg mógł się spodziewać. Słyszając jeszcze echo swojego krzyku, wiedział już, że tym razem się nie wywinie. Pierwsze wieczorne cienie słały się ukośnie po pokrytym trocinami dziedzińcu. Krótki cień rzucał leżący twarzą do ziemi Jost Weibrecht, dłuższy wiszący na żurawiu do podnoszenia pni Leßberg. Koniec powroza miał na plecach, prawa ręka, dziwnie wykręcona, odstawała od ciała. Sprawiał wrażenie, jakby lada chwila miał zeskoczyć na ziemię. Wydawało się, że zebrani czekają, aż to zrobi, a jednocześnie panicznie się tego boją. Gdy Robert i Soerman przyszli na miejsce, było już po wszystkim. Stłoczeni pod murem wieśniacy stali w milczeniu jak porażeni, nie rozumieli, co naprawdę się zdarzyło.

Werbownicy zachowywali się identycznie. Wcześniej nie pomogli Leßbergowi, teraz nie mieli odwagi uciekać. Gdyby rekruci zeskoczyli z wozu, nie użyliby broni, lecz ci siedzieli jak sparaliżowani. Robert podszedł do stojącego przy wozie Scholla. Austriak go nie poznał. Był szary na twarzy, patrzył półprzytomnym wzrokiem. Dopiero po chwili spytał: - Co tu robisz, panie Haynau? Robert miał wrażenie, że Scholl mówi do siebie, a nie do niego. Nagle werbownik wskoczył na siodło i szpicrutą uderzył konie zaprzęgnięte do wozu. W szaleńczym pędzie wóz wyjechał z dziedzińca. Wieśniacy nawet nie spojrzeli za nim, nikt nie próbował uwolnić rekrutów. W rozgardiaszu rozluźnił się krąg wokół wisielca. Wieśniacy rozglądali się trwożliwie, jakby bali się go bardziej niż za życia, omijali nawet jego cień. Parobek i syn zanieśli Weibrechta do domu. Plac opustoszał, zostali tylko zbójnicy z dębowego lasu. Po chwili zjawiał się sam herszt. Ręce miał założone za zdobiony srebrem pas, płaszcz rozpięty. Bez trójgraniastej czapki jego głowa na masywnym karku i szerokich ramionach wydawała się zbyt mała. Obszedł łukiem plamę krwi na ziemi, na wisielca nawet nie spojrzął. Zatrzymajcie tę piłę! - rozkazał. Ktoś natychmiast podbiegł do potoku i otworzył służbę. Zapadła cisza, oczy obecnych skierowały się na Długiego Hoyma z nadzieją, że jego obecność wystarczy, by znów zapanował porządek. - Nie oczekujcie na długie kazanie. Wiecie dobrze, że najbardziej nie lubię bezmyślności. - Spokój, z jakim mówił, przerażał jego ludzi bardziej niż najsurowsze wyroki. - Dlaczego pozwoliliście im uciec? Za dwie godziny najpóźniej będzie tu milicja, radzę więc, abyście natychmiast opuścili to miejsce. - Podniósł rękę na znak, że jeszcze nie skończył. - Na mnie nie liczcie. Nie mogę dla was nic zrobić, więc nie traćcie czasu. - A nasz plan? Nasze pieniądze? Obiecałeś nam... - Na razie ja jestem szefem i obowiązują ustalone przeze mnie prawa. Zgodnie z nimi to ja wydaję rozkazy. Skoro potrafilicie powiesić tego człowieka, pomyślcie teraz, jak wybrnąć z tej sytuacji. Kontynuowanie naszego planu byłoby głupotą. Chłopi nie wiedzą, co zrobili, za to doskonale wiedzą, co ich czeka. Jeżeli nie chcecie zawisnąć obok tamtego, to bierzcie konie i zmykajcie stąd jak najdalej. I nie trzymajcie się kupa, bo w pojedynkę łatwiej się wymknąć. Życzę powodzenia! Stał, zaciskając w ręku szpicrutę, i czekał, aż jego ludzie się rozejdą. Skinął potem na Soermana i Roberta. Razem wrócili do domu posterunkowego. Jeźdźcy zniknęli równie cicho i karnie, jak się pojawili, niczym nieznanymi, których konie przypadkiem znalazły się w tej samej stajni. Ktoś przyprowadził wierzchowca Dłугоmu Hoymowi, ale podał mu lejce, dopiero gdy szef nałożył trójgraniasty kapelusz i pozapinał guziki bluzy. Nie odrywając oczu od wiejskiej drogi, olbrzym pokiwał głową. - Zawsze myślałem, że uda mi się zrobić z nich coś więcej niż bandę rozbójników - mruknął z rozgoryczeniem, po czym zwrócił się do Soermana: - Wam też radzę zniknąć, przedtem jednak dobrze by było związać posterunkowego i rozwalić drzwi jego domu. Przy odrobinie szczęścia mu to pomoże. Na szubienicę sobie mimo wszystko nie zasłużył. Willibald Manz nie czekał, aż ktoś zdemoluje mu dom, zrobił to sam, niszcząc dokładnie wszystko. Jedno okno wybił, drugie wyważył z zawiasów, rozsypał zawartość szuflad na podłogę i podeptał ubłoconymi buciorami. W poprzek czoła miał krwawiącą ranę - stara brzytwa na szczęście nie była zbyt ostra - i spokojnie czekał, aż Robert i Soerman przywiążą go do krzesła. - Mocniej, do jasnej cholery! - kłął. - No, wreszcie! - mruknął, a na jego twarzy, mimo paniki, było już widać zadowolenie. Ostatecznie nie jest najgorzej, jakoś się wykaraska. - No, teraz jeszcze nogi! Soerman jeden koniec powroza rzucił Robertowi, a na drugim zręcznym ruchem zawiązał węzeł. - Widzę, że dla was to nie pierwszozna. Służyliście na morzu? - zainteresował się Manz, nagle jednak jego uwagę przykuło coś innego. Lustrował Roberta i z niedowierzaniem coraz mocniej kręcił głową. Chyba się myli! Im dłużej wszakże się przyglądał, tym mniej miał wątpliwości. Przymrużył oczy, jakby raziło go światło, i spytał: - To wy jesteście Robert Haynau? Co macie z tym wszystkim wspólnego? - Nic! - uprzedził Roberta Soerman. - Szczerze radzę, abyś o tym czym prędzej zapomniał. - Och, na pewno zapomnę, jeśli tylko puścicie mnie żywego. Bardzo wam dziękuję i weźcie to futro, bo może

mnie zdradzić. - A nie będzie wam zimno? Powybijaliście szyby. - Im w gorszym znajdą mnie stanie, tym lepiej. Wybijcie jeszcze parę okien przed odjazdem i zakneblujcie mi usta. Chusteczki są w szufladzie. Wy to zróbcie - zwrócił się do Soermana - zacie się na tym. I wpuście psa. Zostawcie pootwierane drzwi i znikajcie stąd jak najprędzej! - Sądziś, że ktoś go znajdzie? - spytał Robert, gdy chwilę później wyprowadzali konie. - Osobiście bardzo mu tego życzę - odparł Soerman. Przyglądając się uważnie Robertowi, spytał: - O czym tak głęboko myślisz? - A o doskonale przygotowanym planie Długiego Hoyma, tak dobrym, że aż szkoda, iż nie zostanie zrealizowany. Na ilu musielibyście podzielić srebro, gdyby udało się je ukraść? - Każdy dostałby tyle samo. Do licha, nie mam teraz za co wyjechać! - Teraz można by srebro podzielić na dwóch... Soerman, szamocąc się z uprzężą, stanął jak wryty. - Daj spokój, na żarty akurat nie mam ochoty! - burknął. - Wcale nie żartuję. Im dłużej się zastanawiam, tym bardziej wasz plan mi się podoba. Ojciec uciekł ze złotem landgrafa, dlaczego ja nie miałbym uciec ze srebrem ojczyma? - To robota dla zorganizowanego oddziału. - Albo kogoś, kto bez podejrzeń może wejść i wyjść z fabryki. Masz jeszcze jakieś wątpliwości? Soerman, przytroczywszy siodło, stanął przed Robertem z trudną do rozszyfrowania miną. - Nie chodzi o mnie - rzekł powoli. - Nie wiem, jak ci to wyjaśnić. Nie zapominaj, kim jesteś ty, a kim ja. Ty urodziłeś się w złotym hełmie - tak w mojej ojczyźnie mówią o kimś, któremu wszystko w życiu się udaje. Ze mną jest dokładnie na odwrót... Kiedy w tartaku zobaczyłem tego wisielca, uświadomiłem sobie, jak prawdziwe jest powiedzenie, że jakie życie, taka śmierć. Nie chcę, abyś kiedyś zawisł na szubienicy obok mnie. Zaczynało zmierzchać, gdy wyszli ze stajni. Niebo zaciągnęło się chmurami. - Pachnie mi to śniegiem - mruknął Robert. - Tak samo niebo wyglądało wtedy, gdy twój ojciec opuszczał Czaplą Wyspę. Oby to nie był zły znak! Choć na ten temat nie zamienili już ani słowa, doskonale się wzajemnie rozumieli. - Lepiej omińmy wieś - rzekł Soerman, gdy wsiedli na konie. - Ogrodem dojedziemy aż do lasu. - Spiąwszy wierzchowca ostrogami, przeskoczył niski płot. Gęsta murawa tłumiała stukot końskich kopyt. Szpalery jabłoni, grusz i śliw rzedły, by pod lasem zniknąć zupełnie pomiędzy dzikimi chaszczami. Czerwona plama dachów Altenbauny pozostała daleko za nimi. Na ogołoconej z liści leszczynie wisiało jeszcze kilka orzechów. Spoglądając na nie, dwaj jeźdźcy zobaczyli pierwsze płatki padającego śniegu. 19 Zawsze, kiedy w koszarach przy Młyńskiej Bramie w Kassel stało się coś złego, z meldunkiem do majora Ralla wysyłano podoficera Erazma Sonntaga. Wychowany w koszarach traktował je jak rodzinny dom, major zaś zastępował mu ojca. Wszyscy bali się despotycznego dowódcy jak ognia, Erazm natomiast patrzył na wybuchy furii niczym na burze czy inne zjawiska atmosferyczne, które po prostu należy przeczekać. Korytarze w koszarach nie były najlepiej oświetlone. Co dziesięć metrów zwisała z sufitu oliwna lampa, ale tylko co druga świeciła normalnie. Pozostałe, niemiłosiernie zakopcone, rzucały zaledwie zielonkawą poświatę. Erazm słuchał, jak w ciszy dudnią jego kroki, i z dumą przytupywał jeszcze mocniej. O tej porze on był władcą koszar, tego wielkiego ponurego gmaszyska, które pokochał ponad wszystko. Sam podziw dla majora Ralla z pewnością nie był jedynym powodem, który zatrzymał młodego Sonntaga w koszarach i doprowadził do podoficerskich szlifów. Ważniejszym było chyba żołnierskie powołanie. Erazm nie mógł zrozumieć, że jakiś mężczyzna nie chce służyć w wojsku. Życie bez munduru wydawało mu się tak niemożliwe, jak poruszanie się w ciele bez kości. Przed drzwiami gabinetu majora wygładził mundur, poprawił mankiety. Meldunek, który miał przekazać, nie był najweselszy i z pewnością wywoła istną burzę, a gdy Rall podnosi głos, w oknach dźwięczą szyby, gdy zaś wrzaśnie, słyhać go daleko, aż na wałach twierdzy. Prace papierkowe były dla majora Ralla prawdziwą udawką, jednakże z przekazaniem ministrowi Schlieffenowi sprawozdania nie można już było dłużej zwlekać. Goniec z sekretariatu ministra poprzedniego dnia był tu trzy razy... Stary sierżant Luib, sekretarz majora, nałożył binokle i rzekł: - Zestawienie już mamy, trzeba tylko podsumować. - To się pośpiesz! -

burknął Rall i podszedł do okna. Padał śnieg, światło pochodni na dziedzińcu zabarwiało płatki na różowo. Żołnierze ćwiczący na placu mieli głowy przyprószone białym puchem. Jak zawsze przy karnej musztrze, byli rozebrani do pasa i boso. Rall uśmiechnął się zadowolony. - Wardein, kto dziś prowadzi musztrę? - spytał adiutanta. - Kapitan Beck. - Nie słyszę jego komend! Proszę wziąć zegar i policzyć, ile zwrotów wykonują w ciągu minuty. - Nie więcej niż dwa... - Ten Beck, jak nie potrafi krzyczeć, niech sobie weźmie bęben! Proszę zejść na dół. Albo Beck zwiększy tempo, albo będzie ćwiczył z nimi! Żołnierzy trzeba hartować, bo połowa mi się pokładzie na zapalenie płuc. Proszę powiedzieć Beckowi, że odpowie za każdego, kto zachoruje! W drzwiach, salutując, stanął Erazm Sonntag. - O co chodzi? - Szyby ledwo zadźwięczały. - Spocznij! Rozpromieniony Erazm podszedł do Ralla. - Widzę po twarzy, że masz dla mnie dobrą nowinę. Znowu coś z rekrutami? Mam nadzieję, że nie w moim oddziale. - Za pozwoleniem, u Żółtych Dragonów. Chodzi o parobka Wenzela Terratha. - Uciekł? Sonntag wiedział, że zaraz rozpęta burzę. Wciągnął głęboko powietrze, jak gospodarz obserwujący zakradającego się złodzieja. - Ten Terrath przestrzelił sobie nogę - rzekł, patrząc dumnie w oczy Rallowi, jakby spotkał go wielki zaszczyt. W tej chwili w całych koszarach życie zamiera, milkną rozmowy, nawet w kantynie nikt nie je, i wszyscy drżą ze strachu, tylko on jeden, Erazm Sonntag, nie boi się ani trochę. On uwielbia burze i czuje się w swoim żywiole! - Ogłuchłeś? Przyprowadź mi tu tego człowieka! - Były to pierwsze słowa, jakie z wrzasku Ralla dało się zrozumieć. - Biegiem! Jak sobie mógł przestrzelić stopę, to może tu przyjść. Wardein, ta sprawa z Beckiem może poczekać. Proszę zostać! Za Sonntagiem zamknęły się drzwi. Rall obrzucił Wardeina pogardliwym spojrzeniem. - Ten prostak ma więcej klasy niż dziesięciu szlachetnie urodzonych. Płakać się chce, gdy patrzę na tych bawidamków. Widziałeś kiedyś, jak Sonntag prowadzi musztrę? Niejeden z was powinien brać z niego przykład! Wardein stał z zaciśniętymi ustami, ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Rall złapał go za ramiona i potrząsnął. - Co tak stoisz jak kół? Przecież nie o tobie mówię! - Podoficera Sonntaga cenisz bardziej niż adiutanta, panie komendancie. Śmiech Ralla zabrzmiał złowieszczo. - Tamtego szkoda do sprząwania pokoi! Idź już, Wardein, i dopilnuj tego postrzelonego. Jak będzie trzeba, to przywleczcie go pod drzwi, ale do gabinetu musi wejść na własnych nogach! Wardein rzucił się do drzwi. - Nie każcie mi długo czekać! - usłyszał za sobą krzyk Ralla. Po chwili wszedł Sonntag i zameldował: - Wenzel Terrath z oddziału Żółtych Dragonów! - Bliżej! - Głos majora brzmiał jak skrzypiący zawias. Mężczyzna z trudem zrobił krok do przodu. Ranną stopę miał owiniętą przesiąkniętym krwią łachmanem. Chwiejąc się, wyjąkał: - Za pozwoleniem, chciałem wyczyścić broń i... Nie zrobiłem tego naumyślnie! - Zaczyna się bać, co? Niech pokaże, jak celnie wymierzył! Żadnego krzesła, Wardein! Mężczyzna pochylił się, by zdjąć opatrunek, lecz stracił równowagę i upadł. Erazm Sonntag błyskawicznie chwycił go pod pachy i postawił na nogi. - Do felczera z nim! Niech go poskłada - wrzasnął Rall. - Wkrótce będę zdrow - wymamrotał rekrut. - Po przejściu przez "uliczkę" wyzdrowieje szybciej, niż myślisz - rzekł Rall, po czym zwrócił się do sierżanta Luiba: - Zdążyłeś zanotować? Wenzel Terrath z Żółtych Dragonów, trzy razy "uliczka". Odmaszerować! Sonntag wyprowadził rannego, ordynans majora natychmiast wytarł ślady krwi z podłogi. - Skończyłeś już wreszcie tę listę? - spytał ostro Rall, podchodząc do biurka Luiba. - Gdyby pan minister Schlieffen nie miał tak dobrej pamięci do liczb, poszłoby nam łatwiej. - Luib podał majorowi plik pozszywanych kartek. - Poprawki wzbudziłyby podejrzenia, wolałem przepisać ostatni zeszyt w całości. Jeśli Schlieffen zechce sprawdzić poprzednie lata, będę musiał zrobić to samo. Rall rzucił zeszyt na stół i wielkimi krokami zaczął przemierzać pokój. - Jak mam utrzymywać regiment w pełnym stanie, kiedy żołnierze zaczynają strzelać sami do siebie?! Tak po prostu drań przestrzelił sobie stopę! Jutro ktoś inny obetnie dłoń, a pojutrze? Chłosta do dla nich stanowczo zbyt łagodna kara. Już się nie boją! Po kilku tygodniach wyliże się taki i jakby nigdy nic wraca do oddziału. Tak dalej być nie może! Muszę kogoś ukarać dla

przykładu, w przeciwnym razie za dwa tygodnie zamiast koszar będę tu mieć lazaret! - Mimo wszystko trzeba mieć odwagę, by do siebie strzelić - rzekł Wardein swoim cichym, trochę wyniosłym głosem. Rall aż przystanął. - Odwagę?! Chyba nie zamierzasz go bronić, człowieku? Wstąpiłeś do wojska czy do franciszkańskiego zakonu?! - Próbuję tylko zrozumieć, skąd tyle desperacji u tego żołnierza. - Wardein nie ukrywał, że nie podziela poglądów przełożonego. - Nikt o zdrowych zmysłach nie targnie się na własne zdrowie. - Mamy więc do czynienia z wariatem, a wariat w koszarach jest gorszy od trędowatego! Ten Terrath zarazi mi cały nowy batalion. Powiesimy go i będzie spokój. Podsunąłeś mi rozwiązanie, Wardein! Z tej bandy niewolników można zrobić regiment tylko przemocą i strachem. - Rall położył rękę na ramieniu młodego oficera. - Nie gniewaj się, Wardein, jestem tylko żołnierzem i nic na to nie poradzę. Lubię cię, ale służba przy mnie to nie jest zajęcie dla ciebie. To nie jest nagana, lecz raczej pochwała. Do jutra proszę się zastanowić, co ci najbardziej odpowiada. Mogę spełnić każde życzenie, poza tym uważam, że jak mało kto zasłużyłeś na awans. Możesz odejść. I proszę powiedzieć kucharzowi, że może już wstawić szczupaka... Codziennie o szóstej major Rall wyjmował z szafy czerwonego burgunda i nalewał sobie kieliszek. Pił sam, nigdy nie zapraszał oficerów, co najwyżej częstował starych wiarusów w rodzaju Luiba. Postawił sierzantowi kieliszek. Koścista twarz Luiba wydłużyła się z zadowolenia. - Takie lekarstwo mogę pić codziennie. Ciekawe, czy tam też będą nam je podawać? - Lepiej pokaż te nie sfalszowane listy. Aż tak dużych braków to chyba nie mieliśmy? Luib sięgnął po papierową teczkę i wyjął z niej luźne kartki. Rall przysunął sobie krzesło, przerzucił kilka kartek i nagle zawołał: - Pięćdziesięciu chłopca! Ten regiment to beczka bez dna! - Ostatnimi laty mieliśmy dwustu, panie majorze. - A dziś mam wszystkie pieniądze rzucić werbownikom! Jak to się mogło stać? Co za czasy! W dodatku jak już kogoś przyprowadzą, to te dranie umyślnie się kaleczą! - O ile wiem, ten Terrath ma jeszcze brata czy kuzyna. - Luib, dostaniesz za to premię! Każę przyprowadzić zdrowego, a wariata wychłostać. W końcu musi tu być porządek! - Z egzekucją lepiej nie czekać, bo jak dostanie gangreny, to szybko się zwinie na tamten świat. Błąd był taki, jakby nie miał w żyłach kropelki krwi. - Kontrakty łatwo podpisać. - Rall rozsiadł się wygodnie. - Panowie szastają pieniędzmi i nikt się nie martwi, skąd wziąć rekruta. Gdyby chociaż Schlieffen zataił, że chodzi o wojnę w amerykańskich koloniach! Ludzie boją się morza jak zarazy. Przed wyjazdem do Turcji czy Rosji wielu by się nie zastanawiało, ale za ocean? - Byleby ich wsadzić na okręty, potem będzie im wszystko jedno. Najważniejsze jest jedzenie, a tego w bogatej Ameryce chyba nie zabraknie. Aż trudno uwierzyć, że tam tytoniowe pola złocą się po sam horyzont. - Widzę, że Ameryka już ci uderzyła do głowy? - Bardziej angielski żołd. Ta wojna jest dla mnie ostatnią szansą zabezpieczenia sobie wygodnej starości. - Za to ja na tej wojnie mogę tylko stracić. - Rall wstał, nie mogąc usiedzieć w miejscu. Ponownie napełnił kieliszki i zaczął krążyć po pokoju. - Zaraz to wyliczę, Luib. Według starej listy regiment Ralla liczy siedemset dusz. Dwieście z nich istnieje tylko na papierze i za nie dostają żołd. Oni cieszą się, że mogą siedzieć w domu, ja się cieszę, że biore za nich pieniądze. Wszyscy komendanci tak robią, a niektórzy wychodzą na tym jeszcze lepiej ode mnie. Tylko że ja muszę teraz z dnia na dzień nie tylko skompletować mój regiment, ale jeszcze podwoić jego stan. A co to oznacza? W Hesji mieszka trzysta tysięcy ludzi, z czego połowa to kobiety. Gdy odliczyć chłopców i starców, to zostanie najwyżej pięćdziesiąt tysięcy chłopca. Na gospodarstwie trzeba zostawić dwóch, w warsztacie rzemieślniczym po jednym, do tego dochodzą szlachcice, klechy i studenci... Jak Schlieffen zamierza zgarnąć dwanaście tysięcy, nie mam pojęcia! Na każdym chce dobrze zarobić, więc mu zależy, a co z tego będzie miał taki major Rall? Dotychczas za regiment pięciusetosobowy dostawał żołd dla siedmiuset, a teraz za tysiąc pięćset dusz dostanie żołd dla tysiąca pięciuset żoładków! Nawet na mundurach nic nie zarobię! - Wydawało mi się, że wczoraj był tu dostawca tkanin? - Dziw, że chociaż pozwolili wybrać tkaninę. Mundury ma

dostarczyć Haynau, i basta! Cena już ustalona, o targowaniu się nie ma mowy. Zamówiłem najdroższą tkaninę i życzę temu Haynauowi, aby landgraf kazał mu czekać na pieniądze jak zwykłemu Żydkowi. Epolety też oczywiście dostarczy Haynau. Wszystko! Luib, dziś nie warto być oficerem, tylko kupcem! Wczoraj przyszło pismo z kancelarii pana Schlieffena. Wszyscy oficerowie muszą nauczyć się komend po angielsku! Do czego to doszło? - Chciałbym zobaczyć ten kontrakt, co Schlieffen podpisał z Anglikami. Ciekawe, co tam jest naprawdę? - Schlieffen jest sprytny, a landgraf też musi wyjść na swoje - roześmiał się Rall. - Wiesz, co najbardziej mnie śmieszy? Landgraf wreszcie dostanie pieniądze, ale zabiorą mu ludzi i nie będzie komu budować tych jego zamków! - Ale żółd wypłacą nam Anglicy do ręki? - Akurat! - Czyli będzie jak dawniej: połowę sprzątnie nam landgraf! - Wygląda na to, że ten rekrut miał rację, gdy przestrzelił sobie stopę. To my jesteśmy głupcy, bo sprzedajemy się za pół darmo. Ktoś zapukał do drzwi. Sierżant Luib otworzył i wpuścił mężczyznę z wielkim pudłem. Jego czarny kapelusz był jeszcze zaśnieżony. - Czego chce? - Nazywam się Vohdin, złotnik Vohdin. Panowie oficerowie raczyli zamówić u mnie srebrną tacę na ślub majora Haynaua. Miałem ją dzisiaj dostarczyć. - Rozpakować! - Rall wskazał na stół. - Ile to waży? - Dwa funty i siedemnaście uncji, wasza łaskawość. - Złotnik nareszcie znalazł odpowiedni zwrot, bo od wejścia do koszar głowił się, jak powinien zwracać się do komendanta. Na cyzelowanym obrzeżu tacy wygrawerował podpisy wszystkich oficerów. - A ten jest waszej łaskawości! - Ile ludzi zatrudnia w warsztacie? - zainteresował się komendant, nie spojrzawszy nawet na tacę. - To było ostatnie zamówienie, które przyjąłem - odparł Vohdin zmieszany. - Jutro odchodzi mój najstarszy czeladnik, a sam nie mogę pracować. Jubiler poradzi sobie sam, złotnik bez pomocnika się nie obejdzie. - To co będzie robił? Służył już kiedyś w wojsku? - Całą wojnę siedmioletnią, w regimencie księcia Karola. - A nie chciałby służyć w regimencie majora Ralla? - Chciałbym, ale już się zgłosiłem do batalionu grenadierów Linsinga. Rall zniecierpliwiony machnął ręką i Luib wyprowadził złotnika. Później stanął przy stole i rzekł: - Ten Claus Haynau wie, co robi. W jednej kieszeni ma pieniądze ojca, a w drugiej landgrafa. Na majorowski żółd może spokojnie splunąć. - Stukając palcem po tacy, dodał: - Powinien zmienić swój herb: brakuje na nim rogów! - Lepiej ugryźć się w język, Luib. Arystokracja ma długie ręce, a panna von Sonsfeld to nie jakaś tam aktoreczka. Haynauowie potrafią liczyć, zresztą ja też wolałbym nosić rogi, niż użerać się ze ślubną przez całe życie. - Spojrzał na zegarek. - Pora coś zjeść. Schowaj wszystko, zwłaszcza papiery. To wyłącznie sprawa między nami. - Sięgnął po monetę i wręczył Luibowi. Już miał wyjść, gdy jak burza wpadł do pokoju oficer werbunkowy Scholl. Bez pozdrowienia stanął na środku, rozglądając się półprzytomnym wzrokiem jak ktoś, kto na plecach czuje jeszcze oddech prześladowców. Poły jego błękitnej bluzy były oberwane, kołnierz rozpięty, na ciemnych włosach topniał śnieg. Po twarzy i karku spływał mu pot. - Buchasz parą jak zajeżdżony koń! - zdziwił się Rall. - Co się z tobą dzieje? Zobaczyłeś ducha? Scholl spojrzął na majora i zaraz się uspokoił. W obecności tego mocnego człowieka poczuł się wreszcie bezpieczny. - No, mów, do diabła, co ci się przydarzyło! Werbownik wyciągnął rękę, jakby chciał się czegoś przytrzymać, i wyjąkał: - Wieśniacy powiesili Leßberga. Wjechaliśmy do Altenbauny tylko napić konie... Nie mam pojęcia, jak udało mi się stamtąd uciec, pędziłem jak szalony. Sam nie wiem, jakim cudem nie zawisłem obok Leßberga. To wszystko stało się w okamgnieniu... Jak ja stamtąd się wyrwałem? Wciąż widzę, jak on tam dynda... - Uspokój się, usiądź, łyknij sobie i opowiedz po kolei, co tam się działo. 20 Przyjaciele namówili Clausa na bilard, całe popołudnie spędził więc w kasynie, a choć nie mógł się skoncentrować, kilka razy udało mu się wygrać. Nie był zaskoczony: ostatnio wiodło mu się nie najgorzej. Po szlacheckim tytule dostał patent majora i propozycję poślubienia Christine von Sonsfeld. Wreszcie życie układało się tak, jak sobie życzył. Kiedy w kasynie zjawił się ordynans majora Ralla z wezwaniem, by stawił się u komendanta, Claus był przekonany, że czeka go kolejne wyróżnienie. Nie podejrzewając niczego, spokojnie

ślu­chał opowieści wer­bow­nika Scholla o za­jściu w Alten­baunie. Ocknął się, do­pie­ro gdy padło imię Roberta. Zbity z tro­pu, pra­gnął zro­bić na Rallu jak naj­le­p­sze wra­że­nie i za­sy­pał Scholla gra­dem szcze­gó­ło­wych py­tań. W re­zultacie Scholl, który w grun­cie rze­czy nie­wiele wie­dział, za­czął się pła­tać w ze­znaniach i by nie wy­jść na dur­nia, ca­łą his­to­rię ubar­wił tak, że Robert stał się ni­e­mal głów­ną postaćią wy­darzeń w tartaku. Claus, nie czu­jąc się ani trochę od­po­wie­dzialny za brata, oś­wiadczył stanow­czym to­nem, że postara się wy­ja­śnić tę sprawę na wła­sną rękę. Gdy wszak­że po wy­jściu od Ralla zo­stał sam w mrocznym ko­rytarzu, nie bar­dzo wie­dział, od czego za­cząć. Z par­te­ru do­bie­gał gwar pod­nie­sio­nych gło­sów. Ko­le­dzy opusz­cza­li kan­ty­nę po ko­lacji. Ktoś wcho­dził na górę po schodach, po­brzęki­wa­ły ostrogi. Mógł to być oficer albo szeregowy żoł­nie­rz, lecz Claus nie miał ochoty spotkać ani jed­nego, ani drugiego. Naci­snął na czoło trój­graniasty ka­pelusz, owinął się płaszc­zem i ruszył przed sie­bie, choć nie miał po­ję­cia, dokąd pójść. Płatki śniegu top­nie­ją­ce na twar­zy uświado­miły mu, że wyszedł już z koszar. Na dzie­dzińcu pa­liły się latarnie - nie­bie­skawe wyspy świa­tła w za­pa­da­ją­cej ciem­no­ści. Z cienia przed staj­nia­mi wy­łoniła się czy­jaś sylwetka. Urbanek, jego ordynans, wy­pro­wad­zał ko­nia. Claus uwiel­biał jeździć konno, a jed­nak teraz na sa­mą myśl, że ma do­siąść rumaka, za­dr­żał ze strachu. Czuł, że nie jest w stanie ni­ko­mu spojrzeć w oczy. Przed sobą zo­ba­czył ka­re­te­wę wer­bow­ni­ków. Ko­nie już wy­prze­żono, dyszel le­żał na ziemi, dwóch żoł­nie­rzy zdejmowa­ło z wo­zu wielki bęben. Clausowi wy­dawało się, że na jego widok odwró­ci­li się plecami. Urbanek przy­trzy­mał strze­mie­cie, są­dząc, że Claus chce wsiąść. - To nie jest po­goda do jazdy - usły­sział. - Po­jadę ka­re­te­wą. Koń pot­rza­ś­nął gło­wą i pou­fa­le trącił pyskiem ramię swojego pa­na. Za­zwyczaj gest ten us­po­ka­jał Clau­sa, dziś wręcz prze­ciw­nie - z­de­ner­wo­wał i obudził jakieś dalekie, bolesne wspom­nie­nie. Ból wów­czas rze­czy­wi­ście był dotkliwy i tak mocny, że Claus my­ślał, iż go nie prze­ży­je. Wcze­snym rankiem na po­ta­jemnym parkurze spadł z ko­nia przy przeszkodzie, którą wła­so­rę­cznie z­bu­do­wał, by ćwi­czyć i zo­stać lep­szym jeźdź­cem od Roberta... Zapamiętał na całe ży­cie ten upadek, zdumienie i ból, który nie ustę­po­wał... Koń z gęstą grzywą i wilgotnymi noz­drza­mi po­chy­lał się nad nim, lejce zwi­sały bez­władnie i Claus pró­bo­wał się ich chwycić, lecz nie był w stanie podnieść ręki. Bez ruchu czekał, aż ból ustanie, spa­ra­li­zo­wany strachem, że ni­gdy w ży­ciu nie będzie już mógł cho­dzić o wła­snych si­łach. - O której mam jutro sta­wić się w mieście, pa­nie ma­jor­ze? - za­py­tał Urbanek. - Pr­zy­ś­ła­no nowe siodło, nie chce­cie go zo­ba­czyć? - Ordynans poklepał rumaka po karku. - Tak go jutro wy­pu­cuję, że aż będzie błysz­czał. To musi być najład­niejszy koń w orszaku weselnym. Claus naj­chę­tniej by uciekł, gdy­by nie czuł, że jest obser­wo­wany. Powozy stały przy bramie, śnieg padał coraz moc­nie­j, zaci­nał w twarz. Claus miał wra­że­nie, że pa­try na świat przez ro­ze­drgane zwierciadło. Nagle wszy­stko wy­dało mu się dziwnie małe, brama i powozy odsu­nęły się strasznie daleko, stały się od­ległe, jak jut­rzejszy ślub z Christine von Sonsfeld. Niczym śle­piec otworzył drzwiczki powozu, rzucił się do wnętrza i krzyk­nął: - Do miasta, naj­krótszą drogą! - Za po­zwo­leniem, pa­nie baronie, dziś wieczór zamknięto wały koło starego portu. Nie prze­je­dziemy. - Jechać i nie dys­ku­to­wać! - Ja­dę, ale jak pan baron bar­dzo się spieszy, to na ko­niu był­by w domu szybciej. - Gdy­by ruszył, już by­li­by­śmy w po­łowie drogi - burk­nął Claus, za­su­wa­jąc firanki. Cienka jedwabna tkanina przy­mar­zła do szyb i przy szarpnię­ciu pozostala mu w rękę, zie­lon­ka­wo­bura, brudna. Na podłodze powozu widniały plamy po roz­la­nym czer­wo­nym winie, z ta­picerki unosił się przy­kry zapach pleś­nie­ją­cej morskiej trawy. Był to jeden z powozów, w którym pa­nowie oficerowie urzą­dzali sobie mi­łosne schadzki. "Powóz pod­nieca mnie bar­dziej niż łóżko" - mawiał Scholl, ile­kroć za­bie­rał głos na temat kobiet. Claus zamknął oczy. Chciał za­po­mieć głos Scholla, lecz jego austriacki akcent wciąż brzmiał mu w uszach, gdy cicho opo­wiadał o wy­darzeniach w Alten­baunie. - A tymu wszy­stki­mu przy­glądał się pan baron Robert von Haa­aynau - zna­czą­co pod­kre­ślił pierw­szą sylabę nazwiska. W ostatecznym rachunku po za­jściu w Alten­baunie pozostanie jed­ynie wieść, że gdy wieszano Leßberga, był tam ktoś z Haynauów. Co też Scholl robi teraz? Na

pewno siedzi już w oficerskiej kantine, otoczony tuzinem słuchaczy, i po raz setny opowiada swoją historię. Do capstrzyku wszyscy w koszarach, a rano już całe miasto będzie wiedziało, że Robert ma coś wspólnego z powieszeniem przez wieśniaków werbownika. Nagle karetę szarpnęła i zatrzymała się. Ekwipaże landgrafa tarasowały nadbrzeżną drogę, która wzdłuż Fuldy prowadziła do miasta. Konie nakryto derkami, okutani w płaszcze woźnicy i lokaje stali obok karet i przytupując z zimna, obserwowali łyżwiarzy na zamrożonej rzece. Na skarpie zatknięto zapalone pochodnie, lecz błękitniejące o zmierzchu niebo wciąż było jaśniejsze od ich słabego żółtawego światła. Tafla lodu połyskiwała srebrzyście, padały już tylko pojedyncze płatki śniegu, a w zatoczce, gdzie latem cumowały łodzie, usadowiła się orkiestra. Nieco na uboczu trzymała się grupka kobiet. Wzdłuż Fuldy do miasta było już niedaleko. Claus zapłacił woźnicy i z brzękiem ostróg zszedł po skarpie na lód. Hałas wydał mu się przeraźliwie donośny. Chętnie poszedłby wałem przy twierdzy, tam jednak stały rzędem księżące powozy. łyżwiarze zajęci są sobą i nie będą na niego zwracać uwagi, natomiast lokaje i woźnicy z braku innego zajęcia zaczną pożerać go wzrokiem. Tymczasem kobiety już go dostrzegły. Chciał jakoś się wymknąć, ale zawirował wokół niego krąg szerokich kapeluszy, szalów, mufek, zapachniało perfumami. Kilkanaście par rąk przytrzymało go ze wszystkich stron. Dziewczęta były znajomymi Christine; gdy zamieszkała w domu przy Haldenstein, utworzyły coś w rodzaju jej dworu. Claus pocieszał się, że akurat Christine z nimi nie było. Teraz nie potrafiłby spojrzeć jej w oczy... Kobiety mówiły wszystkie naraz. Ciągnęły Clausa w stronę brzegu, gdy nagle pod ich stopami złowieszczo zatrzeszczał lód. Z piskiem rozpieczęły się na wszystkie strony, rysując łyżwami na lodzie ślady przypominające pajęczynę. Claus szedł dalej, ostrożnie stawiając stopy. Muzyka nagle ucichła, lodowisko opustoszało. Kobiety wspinały się po nasypie, wspomagane przez lokai. Na lodzie tylko jedna osoba dalej kręciła swoje figury. Wysoki futrzany kołnier wokół jej szyi ułożył się na kształt kielicha, spod białej czapki powiewały gęste blond włosy. To była Christine. Nie zwracając uwagi na wołania ze skarpy, tańczyła w rytm własnej, niesłyszalnej melodii. Latarnie na moście też już zapalono. W witrażowych oknach kościoła Św. Marcina tajemniczo połyskiwało różnymi barwami światło świec - odbywało się wieczorne nabożeństwo. Nieco powyżej, za skrzyżowaniem, znajdowała się Szkoła Łacińska, do której Claus chodził przez wiele lat. W pamięci wciąż miał długą klasę, zakończone ostrym łukiem okna i krzyż na frontowej ścianie, który pewnego dnia spadł i utracił kawałek muru. Cały rok Claus uczył się jak szalony pod kierunkiem guwernera, by z Robertem pójść do jednej klasy. Udało się, ale rektor nie pozwolił im siedzieć w tej samej ławce. Clausa posadzono w pierwszej, Roberta w ostatniej, mimo to i tak w czasie sprawdzianów kartka od brata trafiała do rąk Clausa w odpowiednim momencie. Nigdy nie odmówił mu pomocy ani w nauce, ani w codziennych drobnych kłopotach. Claus przypomniał sobie historię z braćmi Grandidier, z którymi w latach szkolnych ustawicznie rywalizowali. Kiedy pewnego dnia wyłowiono z Fuldy ciało młodszego Grandidiera, akurat w miejscu gdzie cumowała stara łódź Roberta i Clausa, ich nazwisko było na ustach całego Kassel, choć nikt nie wątpił, że był to wypadek i Haynauowie nie mają z tym nic wspólnego. Czy aby dziś nie jest tak samo? Dlaczego w ogóle wdał się w dyskusję z tym Schollem? Dlaczego nie zaprotestował? Stchórzył, ustąpił pola, nie zapanował nad sytuacją. Nagle zrobiło mu się wstyd. Nie potępiał Roberta, że wpakował go w kłopotliwą sytuację, lecz siebie, że nie próbował go bronić. Przy kamiennej kolumnie u wejścia do Szkoły Łacińskiej leżała czerwona wełniana rękawiczka, tak zniszczona i brudna, jakby bawiły się nią uliczne koty. Claus, czując pod palcami zwietrzałe mury, odzyskał pewność siebie. Właściwie czego się tak przestraszył? Gdyby nagle przed nim zaczęła palić się ziemia, z pewnością zdjąłby płaszcz i szybko ugasił płomień. Tak samo musi potraktować incydent z Robertem - szybko zgasić go w zarodku, aby się nie rozprzestrzenił. Wyszedł z cienia pod murem na środek ulicy. Przecież nie musi się ukrywać. Kiedy z Robertem chodzili do szkoły, żadna z ulic nie

była wybrukowana, nie licząc kawałka w pobliżu zamku. Dziś bruki są wszędzie, co pięćdziesiąt kroków pali się latarnia. Szerokie ulice i place zmieniły charakter sennego, małego miasteczka, bogaci mieszczenie prześcigają się w budowaniu nowych eleganckich kamienic. Pewnego dnia Kassel rzeczywiście będzie wyglądało tak, jak sobie landgraf wymarzył, i Robert przestanie drwić po powrocie z podróży. Clausowi daleki świat nie imponuje. Tu się urodził i tu pewnego dnia zostanie najważniejszym człowiekiem. Przed chwilą, gdy opuszczał koszary, był pewien, że jego marzenia runęły, że wszystko przegrał, teraz przyszłość znów stanęła przed nim otworem. Nawet jeśli kiedyś będzie pierwszym po landgrafie człowiekiem w Hesji, jak dziś minister Schlieffen, swojego stylu życia nie zmieni. Będzie żyć jak ojciec: ani jednego zbytecznego lokaja w domu czy konia w stajni. W domu też pozostawi wszystko jak dziś, choć ciemne rzeźbione okna i wykusze przestały być modne. W kamienicach pozaciągano zasłony, pozamykano okiennice, jedynie dom Haynauów pysznił się światłami we wszystkich oknach. Matka i pani Retz, jak co dzień, pozapalały je po kolei. To był przyjemny widok. Claus przystanął i zaglądając w okna, szukał cienia matki. W pokoju z wykuszem go urodziła, w tym wielkim łożu z baldachimem, w którym nigdy nie było zimno, gdyż stało przy kominie odprowadzającym dym z kuchennego pieca na parterze. Bardzo by chciał, aby jego dzieci także przyszły na świat w tym pokoju. Anna von Haynau recytowała angielską formułkę, którą na powitanie majora Faucitta przygotowała jej Ruth Connors. Mówiła płynnie, nie zaglądając do notatek, lecz wciąż nie była z siebie zadowolona. - W twoich ustach brzmi to jakoś inaczej. Proszę jeszcze raz powtórzyć powoli, słowo po słowie. - Ależ było dobrze, naprawdę! Jedynie to "th". Uczniom daję zawsze lusterko. - Ruth Connors podeszła do toaletki i podała pani Haynau lusterko w srebrnej oprawie. - Najlepiej samej zobaczyć, czy nie robi się błędu. O, proszę: język między zęby i wymówić "s". Anna pokręciła głową. - Śmieszne, ktoś pomyśli, że seplenię. Po co się wygłupiać, skoro major mówi doskonale po niemiecku? Tylko się ośmieszę. - Gdyby major Faucitt był Francuzem, nie byłoby problemu, ale jest Anglikiem i na dźwięk ojczystej mowy od razu zmienia stosunek do rozmówcy. Jesteśmy sentymentalnym narodem. Poprawię ostatnie zdanie, tak by nie było w nim tych "th". - Myślałam, że to już wszystko. - Jeszcze tylko sześć słów: How do you like our Hessian soldiers? Anna popatrzyła na Ruth zdziwiona. - Gdybyś nie była Angielką, miss Connors, powiedziałabym, że to zdanie brzmi nazbyt krytycznie. - Jestem Szkotką, a nam, Szkotom, dano przywilej krytykowania wszystkich poczynań angielskiego króla. Proszę, na tej kartce jest cały tekst, a w nawiasach napisałam wymowę. - Że też zostawiłam to sobie na ostatnią chwilę! - uśmiechnęła się Anna tak serdecznie, że mimo dystansu jej rozmówczyni od razu poczuła się swobodniej. - Od dawna już chciałam cię poprosić o pomoc, ale zawsze wypadało coś nieprzewidzianego. Ruth, poprawiając mankiety, nie patrzyła w jej stronę. - Prawdę mówiąc, zdziwiłam się, że zaprosiłaś mnie pani do siebie z powodu kilku angielskich zdań, zwłaszcza że obaj pani synowie mówią tym językiem znakomicie. Chodzi o Roberta, prawda? Popatrzyły na siebie badawczo. Role odwróciły się radykalnie, gdy z ust Ruth Connors padło zdanie, na które Anna Haynau nie mogła się zdobyć. Obracała nerwowo obrączkę na palcu, jak zawsze, gdy nie potrafiła szybko znaleźć odpowiedzi. - Chcę cię zapewnić - zaczęła wreszcie - że nie wypytyuję synów ani ich nie szpieguję. Kiedy jednak cię poznałam, pomyślałam sobie... Rozumiem, że Robert... - Najwyraźniej znów brakowało jej odpowiedniego słowa. - To chyba lepiej, że matka nie zna kobiet, z którymi jej synowie romansują. - Poniewczasie ugryzła się w język, gdyż słowa te wydały jej się zbyt ostre, skoro jednak już je wypowiedziała, musiała brnąć dalej. - Dawno już chciałam cię poznać, panno Connors, bo jak sądzę, Robert wiele ci zawdzięcza. Ostatni tydzień spędził u ciebie, nie myłę się? Ruth zawahała się, aczkolwiek nie zamierzała zaprzeczać. Zastanawiała się tylko, jak najlepiej pokierować tą rozmową. - To prawda. Od rana do wieczora zaczytywał się w książkach o Ameryce. Anna podeszła do stolika i odruchowo przesunęła talerz ze

słodyczami. Teraz już nie może się wycofać. - A więc powiedział ci o wszystkim? - W ogólnym zarysie - uśmiechnęła się Ruth nieco smutno. - Zawsze zjawiał się u mnie, gdy potrzebował rady. Nie wiem, czy dla kobiety to komplement. Czasami myślę, że tak, czasami, że nie. Anna знаła tę kobietę ledwo od godziny, a już obdarzyła ją wielkim zaufaniem. Rozumiała, dlaczego Roberta z jego awanturniczą naturą ciągnęło akurat do niej. - To się zdarza - rzekła cicho, jakby do siebie. - Musiałam gdzieś popełnić błąd, w przeciwnym razie by do tego nie doszło. I ciągle sobie wypominam, że nie jestem taka jak inne matki. Zamilkły obie. Po dłuższej chwili Anna spojrzała na Ruth, wyraźnie się wahając, czy zadać kolejne pytanie. Nagle chwyciła ją za rękę. - Przecież jak on wyjedzie, ty także go stracisz - rzekła. - Chciałabym, żebyś dalej uczyła mnie angielskiego. Wkrótce angielskie gazety będą dla mnie ciekawsze niż niemieckie. Poproszę landgrafa, aby pozwolił mi je pożyczyć. - Angielski jest prosty - roześmiała się Ruth. - Wystarczy zacząć czytać, a rozumie się coraz więcej. Chcesz pani jeszcze raz przeciwiczyć zapisane zdania? Anna nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż z hukiem otworzyły się drzwi i jak burza wpadł do pokoju Gottfried Haynau. - Szukam cię po całym domu. Musimy porozmawiać... - urwał nagle, gdy zauważył, że żona nie jest sama. - To panna Connors - przedstawiła ją Anna. - Uczy mnie angielskiego. - Ta Szkotka z zamku? - spytał Haynau, ignorując obecność Ruth. - Chodzi o drobny gest wobec majora Faucitta... Gottfried najwyraźniej nie słuchał. - Ta Szkotka - powtórzył. - Czy to o niej wspominałaś, gdy ostatnio rozmawialiśmy o Robercie? Ruth wzięła płaszcz. - Muszę już iść - rzekła. - Panno Connors, sama nie wiem, jak wytłumaczyć zachowanie męża... Ruth skinęła tylko głową i chciała wyjść, lecz Haynau zastąpił jej drogę. - Chwileczkę! Kiedy po raz ostatni widziałas pani Roberta? - Gottfriedzie, opamiętaj się! Jak ty się zachowujesz? Robert jest dorosły, a panna Connors nie ma obowiązku ci się spowiadać! Gottfried nie zamierzał bawić się w uprzejmości, miał na głowie znacznie ważniejsze sprawy. - Czy Robert odwiedził cię dzisiaj, miss Connors? - Owszem, był u mnie dzisiaj. A teraz proszę pozwolić mi wyjść. Twarz Gottfrieda trochę pojaśniała. - Obawiam się, że zachowałem się jak grubianin - rzekł, uśmiechając się bardziej ironicznie niż przepaszająco. - Wyglądasz mi pani na rozsądną kobietę i gdybyś zechciała zostać, wyświadczyłabyś mi wielką przysługę. Nie mogę teraz powiedzieć, dlaczego mi na tym zależy, ale zapewniam, że jest to ważna sprawa. - Zwracając się do żony, dodał: - Poproś ją, aby została. Anna bezradnie rozłożyła ręce. - Wiem dokładnie tyle co ty, panno Connors. Proszę zostać - rzekła cicho. Zachowanie Gottfrieda wytrąciło ją z równowagi, nie zażądała nawet wyjaśnień. Była zresztą przekonana, że chodzi mu o jakiś drobiazg, prawdopodobnie związany z dzisiejszym przyjęciem, na przykład o to że w świecznikach są zbyt krótkie świece albo przywiednięte kwiaty w wazonach. Jej podejrzenia zaczynały się potwierdzać, gdy poprowadził ją do narożnego korytarza, przechodzącego tuż za jadalnią, w którym podczas remontu dziesięć lat temu zamontowano dwie windy do przewożenia posiłków z kuchni. Gdy były już gotowe, okazało się, że stoły obok wind są za małe. Przy codziennych posiłkach nie było problemu, za to w czasie przyjęć na zapleczu jadalni działy się isticie dantejskie sceny, głównie zresztą prowokowane przez Langego. Pan domu, zazwyczaj nie wtrącający się do spraw domowych, tracił wówczas głowę i denerwował się byle drobiazgiem, na przykład ustawionym zbyt blisko talerza kieliszkiem do wina. Cokolwiek dziś wymyślił, Anna gotowa była mu przyznać rację, gdyż tylko w ten sposób mogła go uspokoić. Gottfried rozejrzał się i podszedł do drzwi prowadzących na estradę dla muzyków. - Tu chyba nikt nie będzie nam przeszkadzać. Uważaj, proszę, na schody. Kotara oddzielająca estradę od jadalni była zaciągnięta, trochę światła padało przez owalne okna w drugim końcu pomieszczenia. Pulpity i krzesła muzyków stały pod ścianą, na jednym siedział Claus w płaszczu, z trójgraniastym kapeluszem w ręku. Anna popatrzyła na jego niezwykle bladą twarz i miała wrażenie, że lodowaty cień wbija się jej w serce. Zrobiła krok do przodu, przytrzymując się liny służącej za poręcz. A więc nie chodzi o błahostkę związaną z

dzisiejszym przyjęciem... Musiało się zdarzyć coś znacznie poważniejszego, coś straszego, zaczajonego w brunatnym półmroku, w miejscu gdzie siedzi Claus. - Co się stało? - spytała cicho. - Powiedźcie mi, co się stało! - Na szczęście, Claus, wszystko się wyjaśniło - usłyszała głos Gottfrieda. - Jest ktoś, kto może poświadczyć, że Roberta tam nie było. Jego amory wreszcie się na coś przydały. Sprawa jest wyjaśniona. - Nie byłbym wcale pewien - burknął Claus. - Świadectwo tej kobiety wobec... - Powieście mi wreszcie, o czym rozmawiacie? - Anna zdecydowanie wkroczyła między nich. Z korytarza dobiegły kroki i ciche pogwizdywanie. - Czy w tym domu naprawdę nie ma miejsca, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać? - zdenerwował się Haynau. Szarpnąwszy kotarę, zeskoczył z estrady i pomógł zejść żonie. Przy okazji strącił wielką donicę z drzewkiem laurowym. Na parkiet wysypała się kupka ziemi. - Lange! - wrzasnął na całe gardło, aż poniosło echo. - Lange! Po chwili w drzwiach jadalni zjawili się lokaje, za nimi ochmistrz Lange. - Zabrać mi stąd natychmiast te wawrzyny! - krzyczał Haynau. - Co to ma być, kaplica? Za pół godziny ma to stąd zniknąć i biada wam, jak jeszcze coś tu znajdę! Ruszył przed siebie tak szybko, że Anna ledwo za nim nadążała. Wyglądało, jakby przed czymś uciekali, gdy więc mąż usiadł za biurkiem w swoim gabinecie, odetchnęła z ulgą, spojrzawszy wszakże na Clausa stojącego w drzwiach, zrozumiała, że było to tylko pobożne życzenie. Oparta o krzesło czekała, co będzie dalej. Za chwilę wszystkiego się dowie, więc nawet się nie denerwowała. - Dziś po południu w Altenbaunie chłopci powiesili oficera - zaczął Gottfried, obserwując reakcję żony. - Myślę, że go znałaś, to major Leßberg. Miał kwaterę "Pod Czarnym Niedźwiedziem" w Ziegenhain... - Urwał, gdyż Claus wyraźnie się zniecierpliwił. - W takim razie mów ty - rzekł do syna. - Uważam, że mamy te szczegóły nie interesują. - Tylko się nie sprzecajcie! - Anna podniosła rękę. Gottfried wyjął z etui sprężynowy nóż i bawiąc się jego ostrzem, mówił dalej: - Stało się to w tartaku Josta Weibrechta. Konie werbowników miały za sobą szmat drogi, wóz był załadowany rekrutami. Ilu ich zwerbowano? - Czy to ma jakieś znaczenie, ojczu? - Co się dzieje z Robertem? - spytała Anna. - Myślałam, że ma jakieś kłopoty. Dlaczego napędziliście mi tyle strachu? - Bo Robert był w tym tartaku, gdy to się stało! - nie wytrzymał Claus. - Posłuchaj mnie do końca. Leßbergowi towarzyszył rotmistrz Scholl, i to on widział tam Roberta. Mało tego, był z nim ten poszukiwany dezertor Soerman, który zbiegł z twierdzy Ziegenhain. Nawet gdyby Leßbergowi nic się nie stało, za pomoc dezertorowi Robert już trafiłby na szubienicę! Anna popatrzyła na Clausa zdziwiona. - Skąd ty o tym wszystkim wiesz? - W całych koszarach aż huczy. Byłem w kasynie, gdy wezwał mnie Rall. To jemu Scholl opowiedział o zdarzeniu w Altenbaunie, a major stwierdził, słusznie zresztą, że ja również powinienem o tym wiedzieć. - Można przypuszczać, że było tam wielu ludzi, pracowników tartaku, pewnie też chłopów z całej wsi - rzekła Anna jakby do siebie. - Cała wieś się zleciała - potwierdził Claus. - Prawdopodobnie byli tam też ludzie Długiego Hoyma... - Na jakiej podstawie Scholl twierdzi, że w tym tłumie ludzi akurat Robert pomagał dezertorowi, że przyszedł z nim? W jej głosie słychać było wyrzut, który Claus wziął do siebie. - Faktem jest, że powieszono człowieka, oficera, a każdy, kto przy tym był, jest winien chociażby tego, że nie udzielił Leßbergowi pomocy. Anna rzuciła na syna krótkie spojrzenie. - Patrole są przecież uzbrojone, prawda? Dlaczego Leßbergowi nie pomogli jego ludzie? - To wszystko działo się błyskawicznie... - A mimo to Scholl miał dość czasu, by wśród tłumu rozpoznać dezertera i jeszcze stwierdzić, że Robert mu pomaga? Nie uważasz, że Scholl próbuje zatuszować swoją nieporadność w chwili zagrożenia i gotów jest wymyślić Bóg wie jakie kłamstwa, żeby się bronić? Claus zaczerwienił się, słuchając chłodnego wywodu matki. Po raz pierwszy słyszał z jej ust tak przekonujące słowa. Dlaczego on nie użył tych argumentów w czasie rozmowy u komendanta Ralla? Po prostu zawiódł, lecz nie mógł tego przyznać ani przed sobą, ani przed innymi. - Leßberg nie żyje, i tego już nie da się zmienić. Rall wysłał z pewnością do Altenbauny patrol i wieś stoi w płomieniach. Jutro trumnę Leßberga wystawią w kaplicy Św. Marcina, a całe miasto się dowie, jak zginął. -

Wielu powie, że dostał to, na co zasłużył. - Lepiej już nie powtarzaj tych słów, mamó! - Ja nie będę milczeć jak ty, Claus. Mówię ci, że Robert nie ma z tą sprawą nic wspólnego, i nie wiem, dlaczego nie powiedziałaś tego Rallowi, gdy Scholl opowiadał mu swoje brednie. - Rany boskie, zrozum, że Robert jest w to wplątany. Powieszono oficera, a jutro całe miasto się dowie, że był przy tym Haynau. - Przypadkowo mógł się tam znaleźć każdy, także ty. Gdyby tak było, Robert na pewno nie stałby teraz tutaj i nie martwił się, co jutro powiedzą ludzie. Przede wszystkim myślałby, jak można ci pomóc. Claus zbladł jak ściana. - No właśnie! Nic się nie zmieniło: w twoich oczach on jest zawsze ten najlepszy Cokolwiek zrobi, zawsze go bronisz, zawsze stajesz po jego stronie, i tak było od początku. Macocha lepiej by mnie traktowała! Ja się nigdy nie liczyłem! Po upadku z konia - och, do śmierci tego nie zapomnę - oddałaś mnie pod opiekę pielęgniarce, a gdy chorowałem na szkarlatynę, najbardziej się martwiłaś, czy nie zarazę Roberta. A kiedy on miał lekką gorączkę, siedziałaś przy jego łóżku dniami i nocami. Robert, Robert i Robert! Gottfried z nieprzeniknioną twarzą siedział przy biurku i bawił się sprężynowym nożem. Ostra wymiana słów między matką a synem zmartwiła go bardziej niż sprawa, dla której się tu spotkali. Z nią jakoś się upora, tu nie miał wątpliwości, natomiast tego, co stało się w tym pokoju, już nigdy nie da się naprawić. Zobaczył nagle dwoje obcych kłócących się ludzi. Na jego oczach rozpadła się rodzina, której jednoś zawsze uważał za rzecz najważniejszą. - Już skończyliście? - spytał obojętnie, jakby chodziło o zwykłą rozmowę. - Musimy się zastanowić, co trzeba zrobić z zeznaniem tej szkockiej guwernantki. Sądziysz, Anno, że pod przysięgą miss Connors je potwierdzi? - Też mi świadek! - zachnął się Claus. - Kobiet, które potwierdzą, że Robert był u nich, jest na pęczki i sędziowie też to wiedzą. Ta w dodatku jako cudzoziemka nie może zeznawać pod przysięgą. Jej świadectwo przeciwko słowom Scholla! To jeszcze bardziej obciąży Roberta... Jest tylko jedno wyjście: on musi zniknąć, musi wyjechać za granicę. Będą oczywiście kłopoty, ale przynajmniej on będzie bezpieczny. Anna walczyła z myślami. Spojrzenie męża kazało jej milczeć, lecz nie mogła. - Pomóc mu w ucieczce oznacza przyznać, że jest winien, nie uważasz? - Przestań, mamó! Masz rację i nie masz, nie rozumiesz? Leßberg nie żyje i trzeba kogoś ukarać, a tymczasem banda Długiego Hoyma rozpierzchła się na cztery strony świata, Altenbauna spalona, został im tylko Robert. Zrobią z niego kozła ofiarnego, i nie tylko z niego, bo choćby nawet sądzono go pod nazwiskiem Skelnik, to i tak wszyscy kojarzyć go będą z nami. Myślicie, że wtedy mój ślub w ogóle się odbędzie? Myślicie, że wpuszczą mnie do koszar? Obedrą mnie z munduru przy pierwszej lepszej okazji! Tak to wygląda. On musi wyjechać, bo jeśli jest jakaś szansa na ratunek, to tylko po jego zniknięciu. Gottfried podparł się na łokciu. - Sądziłem, że słowa Clausa to tylko strach, teraz widzę, że jest w nich sporo prawdy, niestety. Wielu czeka tylko, aż powinie nam się noga, i tym razem mogą wykorzystać okazję. - A skąd wiecie, czy Robert już nie jest gdzieś za granicą? - spytała Anna, podchodząc do okna. Przyłożyła dłonie do szyby, jak często robią to dzieci, i patrzyła w ciemność. Po chwili odwróciła się i rzekła stanowczo: - Myślę, że niepotrzebnie martwicie się tym wszystkim. - Obawiam się, że już zamknięto szczelnie granice odezwał się Gottfried. - Rozkaz musi wydać ktoś wysoki ranga, zapewne Schlieffen. Mógł zrobić to natychmiast, ale mógł też odłożyć decyzję do rana. W tym przypadku czasu byłoby dość... - Obawiam się, że tego typu sprawy policja kieruje wprost do landgrafa - wtrącił Claus. - Jeżeli księżę dowie się o tym przed Schlieffenem, sam wyda rozkaz zamknięcia granic. - Na pewno przekaże sprawę Schlieffenowi, a czy rozkaz opuści biuro ministra, już go nie interesuje. - Nie za bardzo ufasz temu Schlieffenowi? - spytała Anna. - Wolałabym, abyś go w to nie wciągał. Chcę wam przypomnieć, że dziś wieczorem mamy tu przyjęcie, a jutro wesele. Musimy udawać, że nic się nie stało, a jeśli się nam powiedzie, to nikt w Kassel nie uwierzy w brednie tego Scholla. Gottfried, patrząc na żonę z podziwem, dostrzegł w jej zachowaniu coś tajemniczego. - Nie powinniśmy więc niczego podejmować? - zdziwił się Claus, wyraźnie spokojniejszy. Strach bynajmniej go nie

opuścił, lecz nie miał już sił z nim walczyć. - A jeśli Robert nie uciekł i nagle zjawi się na przyjęciu? - Najwyższy czas, panowie, przygotować się na to przyjęcie - rzekła zdecydowanie Anna. - Za godzinę mamy tu pierwszych gości, a ty, Claus, nie zapomnij, że obiecałeś Sonsfeldom, iż po nich wyjedziesz. Claus stał, szary na twarzy. Anna miała ochotę go uściskać, pocałować w czoło, lecz byłby to tylko gest współczucia i Claus na pewno tak by go odczytał, więc zrezygnowała. Spojrzał na ojca i wyszedł. Gottfried schował nóż do futerału. Obok leżały przybory do pisania i zalakowane w trzech miejscach koperty, które następnego dnia miał zabrać pocztylion. Błyszczący czerwony lak z odcisniętym herbem kłuł boleśnie oczy, Gottfried czuł się zmęczony i nie miał nawet ochoty sprawdzać, czy przed przyjęciem wszystko jest w porządku. Nie wyobrażał sobie, jak będzie mógł rozmawiać z gośćmi, udając, że nic się nie stało. On, który mocno wierzył w swoje niespożyte siły, zaprzagnął zgasić lampę i zostać sam w ciemnościach. Odsunął jednak krzesło i rzekł do żony: - Masz rację, czas już się przebrać. Najemnicy Cztery regimenty już zaokrętowano, jutro dołączą grenadierzy i strzelcy, jeśli tylko nadejdą dalsze transporty. Wszystkie oddziały prezentują się nadzwyczajnie: kompletne umundurowanie i uzbrojenie, nastrój bojowy. Widać drobne różnice, jeśli chodzi o wzrost poszczególnych oddziałów, aczkolwiek w żadnym nie ma nikogo, kto mierzyłby mniej niż pięć stóp osiem cali wzrostu, i wszystkie składają się wyłącznie z młodych, zdrowych i dobrze odżywionych chłopców. Zdezerterowało tylko siedmiu, jeden zmarł, trzech się rozchorowało... Najgorzej z tych, które widziałem, prezentuje się regiment Ralla, zwłaszcza jeśli chodzi o posturę żołnierzy, muszę wszakże zaznaczyć, że kompletowano go w wielkim pośpiechu. Sądzę jednak, że tak energiczny i doświadczony dowódca jak major Rall w krótkim czasie zrobi ze swoich podwładnych znakomitych żołnierzy. Major Faucitt do lorda Suffolk, ministra spraw zagranicznych angielskiego króla Jerzego III, listy z 25 marca i 12 kwietnia 1776 r. 21 Fabryka epoletów, najnowszy nabytek Gottfrieda von Haynau, położona była na wzgórzu, na terenie dawnej plantacji drzew morwowych, skąd widać było jak na dłoni całe Kassel i dolinę Fuldy. Otulający ziemię śnieg sprawił, że choć zapadła noc, było jasno i z okien magazynu srebra Robert mógł policzyć wszystkie kominy i okna domów w mieście. Na wałach twierdzy poniżej zamku wciąż wrzała praca, nad rzeką mężczyźni rąbali lód i ładowali do beczek. Spomiędzy morwowych drzew, gdzie zostawili konie, sprężystym krokiem wyszedł Soerman, nucąc jakąś melodię. Zatrzymał się pod oknem. - Czy prócz srebra nie ma w magazynie skórzanych pasów albo powrozów? Obawiam się, że juki nie wytrzymają. - Zabierzemy powóz. - Ciekawe, skąd chcesz go wziąć? - Własne srebro wypada wieść własnym powozem, nie? Wezmę jeden sprzed domu! W całym Kassel nie znajdziesz lepiej resorowanych powozów niż nasze. - Do waszej wozowni jest stąd kawał drogi... - A kto mówił o wozowni? Wszystkie karety są w Kassel. Przecież jutro żeni się mój brat! Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Dla nich najważniejsze było to, że we dwóch poważyli się na coś, co wydawało się niemożliwe, i w gruncie rzeczy wciąż nie dowierzali, że wszystko idzie jak po maśle. - Rektor w Szkole Łacińskiej zawsze nam powtarzał: "Logicznie myśląc, rozwiążecie każdy problem!" - Czego uczyłeś się najchętniej? - podchwycił temat Soerman. - Wszystkiego, co wiązało się z przyrodą: botaniki, geografii, ale na świadectwie końcowym pan rektor napisał, że pociąga mnie filozofia. Byłem już nawet skłonny pojechać na studia do Paryża. Wyobrazasz mnie sobie w roli belfra? - Amerykanie w swoich uniwersytetach wypiekają doktorów jak świeże bułeczki... Czas chyba kończyć i zniknąć stąd, nie sądzisz? Ile tam tego jeszcze zostało? - Trzy sztabki. - Gdyby było więcej, musielibyśmy je zostawić. - Księżę Buckingham, jak nie wiedział, co zrobić ze srebrem, to kazał nim pokryć podkowy swoich koni. - Robert wychylił się przez okno. - Coś nie gra? - spytał, lecz zamiast odpowiedzi dostał pełną garścią puszystego śniegu w twarz. Otrząsnął się, ni to klnąc, ni to się śmiejąc. Gdy wyskoczył z okna, spadła na niego cała lawina śniegu. Pomiedzy morwowymi drzewami puścił się w pogoń za Soermanem. Kiedy wydawało się, że

już go złapie, Soerman pociągnął najniższą gałąź, a czapa osiadłego na drzewie śniegu lądowała na głowie Roberta. W końcu go dogonił i zaczęli się szamotać w śniegu. Śmiali się i tarzali jak dzieci. Gdy zdyszani wreszcie usiedli, Robert rozejrzał się dookoła. - Pomyślał, że buchtowały tu dziki! - Popatrz, to chyba jeżyny? - rzekł Soerman, pokazując ułamaną gałązkę. - *Morus nigra* - sprostował Robert. - Jesteś dziś filozoficznie nastrojony. Wcale bym się nie zdziwił, gdybyś ukradzione srebro przeznaczył na jakieś chemiczne eksperymenty. - Raczej fizyczne, mój drogi. Przemieszczanie mas to dziedzina fizyki, to zaś nie są jeżyny, tylko owoce morwy. Niektórzy oszuści dodają je do czerwonego wina, aby miało intensywny kolor. Soerman pokręcił głową. - Co za fantasta posadził tu te egzotyczne drzewa? - Nas wtedy jeszcze nie było na świecie. Ojciec naszego landgrafa sprowadził z Włoch guwenera dla paziów, niejakiego Felice Oleatiego, który opowiedział mu, jak hoduje się jedwabniki. Następnego dnia Włoch został intendentem. Polecono mu znaleźć sadzonki morwowych drzew. Na dwudziestu czterech akrach zasadzono tysiąc pięćset morw i Kassel miało szansę zostać jedwabną metropolią Niemiec, mój drogi! - Bardzo wiele wiesz o swojej ojczyźnie - rzekł Soerman, poważniejąc nagle. - Wkrótce o niej zapomnę. Chyba nie martwisz się o stan mojego ducha? - Nie masz pojęcia, jak to jest, gdy trzeba żyć ze wspomnieniami. - Masz na myśli wyrzuty sumienia? - Mówię po prostu o tęsknocie. Odzywa się w zupełnie nieoczekiwanych momentach. Raz jest to bicie zegara, kiedy indziej smak jakiejś potrawy lub rzecz, na którą w domu nawet nie zwracało się uwagi, a której nagle zaczyna brakować. A grzechy? Te ciążyą tylko nieznacznie. - Dajmy sobie teraz z tym spokój. Jedziemy do granicy w kierunku Hannoveru, a dalej wzdłuż blezery. - Zgodnie z zasadami logiki! Wstali, otrzepali się ze śniegu. - Powinieneś chyba zostawić ojcu wiadomość, aby nie szukał winnych? - Pozamykałem wszystkie drzwi, a klucze zostawiłem na stole w magazynie. Są tylko trzy komplety i ojciec od razu domyśli się, który z nich był tutaj w użyciu. - Właściwie to wzięłeś tylko należną ci część spadku... - Znów troszczysz się o moje sumienie? Jest czyste jak ten śnieg. Nie podoba mi się, że wszystko tak gładko poszło: otworzyliśmy i wynieśli, co chcieli. Zamknęli okno w magazynie i z ostatnimi trzema sztabami srebra wrócili do koni. Robert sprawdził juki. - Przydałby się trzeci koń - rzekł Soerman. - Chyba nie. Wkrótce będziemy siedzieć w wygodnej miękkiej karecie. Ruszyli. Na szczycie wzgórza Robert zatrzymał się i popatrzył na miasto. - Widzisz tę ostrą wieżę i dom z łukowatymi oknami? Tam mieszka moja pierwsza. Szwaczka. - Przecież miałeś w domu z pół tuzina pokojówek! - Zostawiłem je bratu. Ale popatrz, co tam się dzieje? - Robert wskazał na wały za Fuldą, gdzie przy czerwonym świetle pochodni pracowało mnóstwo ludzi. - To żołnierze! Przed załadowaniem na statek muszą landgrafowi wyremontować wały, sprytne, co? Harują dzień i noc na trzy zmiany, a w księgach regimentu nazywa się to "ćwiczeniami w terenie"! Jedyną zapłatą jest dodatkowa porcja mięsa raz w tygodniu... Popatrz tam w lewo, ten jasno oświetlony dom z wieżyczkami nad wykuszami to nasza miejska rezydencja. Z komina unosi się dym, znak, że Gilbert nie próżnuje. Zapach pieczonych bażantów i przepiórek czuję aż tutaj. - Żal ci wyjeżdżać? - Powtarzasz się. Myślę tylko, jak urozmaicić nasz prowiant na drogę. Szkoda wyjeżdżać z Kassel i nie spróbować pasztetu z trufli... - Co to było? Błyska się? - Soerman pokazał na wschód. Robert wspiął się w strzemionach, lecz niczego nie zobaczył. Po chwili jednak niebo rozbłysło i już nie pociemniało jak przedtem. - To chyba Altenbauna - rzekł obojętnym tonem Robert. Luna pojaśniała, siejąc aż po horyzont żółtawą poświatę. Soerman dopiero teraz pojął, dlaczego Robertowi tak bardzo zależało na tym srebrze. Na pewno miał wiele powodów, aby wyjechać z Hesji, jednakże ci wieśniacy, których domy teraz płoną, ci żołnierze pracujący nocą na wałach z pewnością stanowią dla niego ostrzeżenie, że nie powinien już dłużej zwlekać. Wyprawę do Ameryki zaczął bez wątplenia planować, gdy dowiedział się, że jego ojciec żyje; być może ciągnęła go tam chęć przeżycia przygody, lecz to nie było najważniejsze. Soerman to rozumiał, mimo iż sam nie kierował się żadnymi zasadami. Robert miał w sobie

coś, co jak ołowiowy balast na statku utrzymywało go na właściwym kursie mimo burz. W tym też jest podobny do ojca. A choć porusza się w starym skorumpowanym świecie, gdzie każdy okrada każdego, to przecież nie jest podobny do ludzi w rodzaju Długiego Hoyma. Skelnikowie biorą swoją część, jakby odbierali należny im spadek, lecz nie zamierzają tu niczego zmieniać. Po prostu uciekają za Wielką Wodę... - Jedźmy już - ponaglał Soerman. - Robi się późno. Robert rozejrzał się, jakby nie wiedział dokładnie, gdzie jest. Usiadł w siodle i chwycił lejce. - Pojadę pierwszy - oznajmił. Okrążał każdą nierówność, jakby widział, co jest pod śniegiem. Minęli budynek opery od tyłu. Przez okno jednej z garderob Robert zobaczył wiszącą na stojaku tiulową suknię. - Kiedy opowiadasz o Ameryce, zawsze powtarzasz, że jest tam mało kobiet. Przypomniałem sobie, że i pod tym względem landgraf jest mi coś winien. - Tylko nie przesadzaj! Mamy przed sobą długą drogę. - Jak zaczną nas szukać, to na pewno nie w mieście. Objuczone sztabami srebra konie szły ociężale, stanowczo za wolno dla coraz bardziej zaniepokojonego Soermana. Próbował opanować nerwy, ale bez skutku, zwłaszcza że Robert zamiast przyśpieszyć, zatrzymał się pod najbliższą latarnią, stanął w strzemionach i po prostu ją zgasił. Dla zabawy! Soerman był wściekły, lecz musiał się roześmiać. - Pewnie już jako uczeń marzyłeś, żeby to zrobić? - Oczywiście! Po lewej są twoje, po prawej moje - odparł Robert i ruszył do następnej latarni. Zaczęli się ścigać, kto pierwszy zgasi swoją, a ulica szybko pogrążyła się w ciemnościach. Następna miała latarnie tylko po lewej stronie. Jeźdźcy, nie zważając na objuczone konie, pędzili od jednej latarni do drugiej. Konie ocierały się bokami, srebrne sztaby pobrzękiwały w jukach przy siodle. Zatrzymali się, gdy z bocznej uliczki dobiegł turkot nadjeżdżającej karety. Chwilę później zobaczyli zapalone latarnie i siedzącego między nimi woźnicę, który strzelając z bata, domagał się, by zeszli mu z drogi. Oni jednak stanęli na środku, nie zamierzając ustąpić. Przez moment wydawało się, że kareta ich stratuje, lecz woźnica w ostatniej chwili wstrzymał zaprzęg. - Psiamać, mało macie miejsca?! W oknie powozu ukazała się twarz pasażera i odezwał się męski głos: - Co jest? Czemu stoimy? Robert w pierwszym odruchu chciał się odsunąć i przepuścić karete. Sam nie pojmował, dlaczego tego nie zrobił, a gdy rozpoznał głos Clausa, uświadomił sobie, że popełnił wielki błąd. Brat patrzył na niego jak na zjawę. Otworzył usta, jakby chciał krzyknąć, ale wydał tylko rozkaz woźnicy, by jechał dalej. Ku zaskoczeniu Roberta na placu przy końcu ulicy kareta zatrzymała się pod wielką dwupienną akacją. Claus wyskoczył, wydał woźnicy jakieś polecenie i szybkim krokiem ruszył w ich stronę. Soerman zakreślił się nerwowo. - Nic się nie martw - rzekł Robert, nie patrząc na niego. - Zdaje się, że nie musimy szukać karety, bo właśnie nadjechała. - Umówiłeś się z kimś - zaniepokoił się Soerman. Siedź i nie odzywaj się, to mój przyrodni brat - zdążył tylko odpowiedzieć, bo Claus był już blisko. Przytrzymał za uzdę konia Roberta i zaczął mamrotać coś, co przypominało magiczne zaklęcia. - Musicie czym prędzej zniknąć... Gdyby was ktoś zobaczył... Zejdźcie z tego konia... Lepiej nie, jedźcie obaj za mną... Wsiądziemy do karety... Nie czekając na odpowiedź, Claus szarpnął za uzdę i oba konie ruszyły za nim. Przy powozie dosłownie ściągnął brata na ziemię. Robert nie bronił się, milczał. Claus nie wiedział, co robić dalej. Zerkał raz po raz na Soermana z bezsilną złością w oczach. - Chcę z tobą porozmawiać w cztery oczy - odezwał się wreszcie do brata. Soerman, przełóż nasze bagaże do karety - rzekł Robert. - Nie śpiesz się. Opanowanie brata doprowadziło Clausa do szału. - Wpakujesz nas wszystkich w nieszczęście! - syknął, łapiąc go za kłapy płaszcza. - Jesteś albo głupi, albo zarozumiały, jeżeli po tym wszystkim masz chęć pokazywać się w mieście. Pewnie jeszcze uważasz się za niezwykle odważnego... - zająknął się, gdyż ze złości czy ze strachu zabrakło mu nagle tchu. Robert spokojnie uwolnił się z jego uścisku. - A więc już wiesz? Matka i ojciec też? Zapewniam cię, nie mam z tą sprawą nic wspólnego. - Całe miasto wie! - Claus zrobił ruch, jakby zdejmował pętlę z szyi. - W ogóle nie powinieneś się tu pokazywać. I do tego z nim! - burknął, wskazując na Soermana, który odwiązywał juki od siodeł i przenosił je do

karety. Przez chwilę Robert chciał powiedzieć Clausowi, kim jest Soerman i jak ważną wiadomość mu przywiózł, lecz zastanowił się i kładąc rękę na ramieniu brata, rzekł: - Wracaj do domu, bo twoja nieobecność na przyjęciu od razu rzuci się w oczy. My tu sobie poradzimy. - Dokąd chcecie jechać? - W stronę Hannoveru i dalej wzdłuż blezery aż do Bremy. Widział, że Claus szamocze się z myślami, sam zresztą też nie umiał się zdecydować, czy lepiej bratu poradzić, by zapomniał o tym spotkaniu, czy też poprosić go o pomoc. - Odwiozę was kareta aż do granicy - usłyszał nagle głos Clausa. - We dwóch łatwiej się przemknąć niż we trzech. - Tak ci się wydaje! A patrole, pościgi? Co zrobisz, jak cię zatrzymają? Co powiesz straży na rogatkach miasta? - Rozchylił poły płaszcza. - Każdy, kto zobaczy ten mundur, nie odważy się zajrzeć do wnętrza powozu ani nawet zadać jednego pytania. Tym razem jestem ci potrzebny, Robercie, tylko ja mogę przeprowadzić cię za granicę. A może mi nie ufasz? - Nie chcę cię wciągać w niepotrzebne kłopoty. - Przecież już tkwię w nich po szyję! - Claus podszedł bliżej i spytał szeptem: - A on? Koniecznie chcesz z nim jechać? - Albo obaj, albo żaden. Claus spuścił bezradnie głowę. Nie był w stanie pozbierać myśli. Jedno wiedział na pewno: wycofać się już nie może. - Bagaże są w powozie, co zrobimy z końmi? - usłyszał za plecami pytanie Soermana. - Zabierzemy je. Przywiąż je z tyłu karety - odparł Robert, wymieniając z Soermanem porozumiewawcze spojrzenie. To im wystarczyło. Od czasu gdy spotkali się w domu posterunkowego w Altenbaunie, nie mieli wątpliwości, że skazani są na siebie na dobre i złe. Claus zauważył to spojrzenie i zrozumiał, że ten obcy jest Robertowi bliższy niż on, że jest kimś, kogo Claus zawsze pragnął mieć: brata, który traktowałby go jak równego sobie. Wpatrywał się w jego twarz, lecz Soerman nie zwracał na niego uwagi. - Niech wsiada - rzucił krótko Claus i Soerman bez słowa zniknął we wnętrzu karety. Bracia w milczeniu przywiązywali konie. - Zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz? - spytał nagle Robert. - Możesz się jeszcze wycofać. - Nie myślisz chyba, że robię to dla ciebie. Myślę przede wszystkim o sobie i rodzicach. Chcę mieć pewność, że wyjechałeś z miasta, że nigdy cię już nie zobaczą. Mam nadzieję, że uświadamiasz sobie, iż na zawsze zatrzaskujesz za sobą drzwi?, Wsiadaj i zasuń firanki. I choćby działo się Bóg wie co, nie ruszajcie się z karety, dopóki nie dam znać. Claus wdrapał się na kozioł, Roberta ogarnęła niepewność. Jakiś wewnętrzny głos przestrzegał go, by nie wsiadał, radził, by wskoczył na konia i uciekł. Gdy jednak Claus zwolnił hamulce, otrzepał buty ze śniegu i wsiadł. Kareta natychmiast ruszyła. W ciemnościach słychać było tylko głębokie oddechy obu pasażerów. - Czym się niepokoisz? - spytał Soermana. - Trafilo nam się dobrze resorowane więzienie. Czuję się jak w kibitce. Jedziemy, ale to nie ja decyduję o kierunku. Robert wyczuł, że jego towarzysz siedzi spięty na skraju tapicerowanej ławy. - Jak się między wami układa? - zapytał nagle Soerman. Po chwili wahania Robert odpowiedział: - Dla niego zrobiłbym to samo. - Brat zawsze starał ci się dorównać, prawda? Znam to, tylko że w odwrotnym sensie: nigdy nie chciałem być taki jak ojciec. To rzadko kończy się pomyślnie. - Claus ma na sobie mundur majora heskich strzelców i nawet jeśli zawiodą go nerwy, żaden patrol nie będzie miał odwagi zajrzeć do jego powozu. Mamy szczęście! - Robert wyciągnął wygodnie nogi. - Gdzie jest nasze srebro? - Siedzisz na nim. - Radzę ci wykorzystać okazję, że ktoś inny powozi. Usiądź wygodnie i zdrzemnij się. Przed granicą mnie obudź. Robert na drugiej ławie ułożył się do snu. Soerman podał mu poduszkę. - Koców niestety nie ma; owinąłem nimi srebro - rzekł. - Nie szkodzi. Nie rozmawiali więcej. Po chwili słychać tylko tylko miarowy oddech Roberta. Zасыpiając, wymamrotał jeszcze: W Gimte musimy się zatrzymać. W tamtejszej gospodzie mają wyśmienitą potrawkę z zająca, czegoś równie pysznego jeszcze nie jadłeś. Soerman nie odpowiedział. Gimte to była miejscowość po drugiej stronie blezery, za granicą. Od czasu gdy rozpoczęto werbunek żołnierzy dla angielskiego króla i Kassel stało się wielkimi koszarami, służbę przy miejskich bramach pełniła nie straż miejska, lecz wojsko, jak w czasie wojny. Przy Lipskiej Bramie w tym tygodniu trzymali straż żołnierze Pierwszego Heskiego Oddziału Strzelców,

którym dowodził Claus von Haynau. W pierwszej chwili uznał to za szczęśliwy zbieg okoliczności, im bliżej wszakże był bramy, tym większe ogarniały go wątpliwości, czy akurat tędy powinien wyjeżdżać z miasta. Żołnierze na pewno już wiedzą, co stało się w Altenbaunie, a może nie? Ostatnia odprawa odbyła się o czwartej po południu, więc Scholla jeszcze nie było w mieście, a zmiana nastąpi dopiero o jedenastej... Z wysokiego komina budki strażniczej buchał dym, mimo to na blaszanej osłonie wisały sople lodu. Z daleka wyglądało to jak profil brodatego mężczyzny. Strażnicy wyszli niechętnie. Claus zatrzymał powóz i zawołał: - Ruszajcie się, bo nie mam czasu! Na widok dowódcy strażnicy szybko odsunęły ciężkie skrzydło bramy i salutując, weisnęli się pod ścianę. Claus zobaczył swoje ręce trzymające cugle i nagle wydało mu się, że nie należą do niego, że ktoś inny prowadzi zaprzęg. Turkot kół stał się niewiarygodnie głośny, aż drażniący. Na dodatek po drugiej stronie bramy na drodze widniał świeży ślad kół... Pocztylion do Karlshafen odjeżdżał wczesnym popołudniem, ślad był z całą pewnością późniejszy, i do tego wyraźnie szerszy. Zostawił go jakiś prywatny powóz albo... patrol werbowników! Wszystkie patrole na pewno wysłano do Altenbauny, pomyślał Claus i uspokoił się. Na pewno się uda, Robert zawsze ma szczęście, dlaczego tym razem miałoby być inaczej? Zmiana przy Lipskiej Bramie nastąpi o jedenastej i żołnierze, którzy obejmą służbę, będą już wiedzieć o wydarzeniach w Altenbaunie. Do tego czasu musi wrócić do miasta, ale ma jeszcze trzy godziny, na pewno zdąży. Był przekonany, że postąpił właściwie, że nie mógł zrobić nic innego, a równocześnie czuł się nieswojo. Uczucie to sączyło się Powoli, jak woda gruntowa podchodząca do piwnic. Nie był to strach, z nim już się uporał, lecz bezlitosne, uporczywe przekonanie, iż oto bierze udział w jakimś spisku. Co zrobi, jeśli teraz zatrzyma go patrol? Jak zajrzą do karety, to zawiśnie razem z Robertem i Soermanem... Znów popatrzył na swoje ręce. Dlaczego nie zawraca? Rozejrzał się: ziemia była jaśniejsza niż niebo, pokryte śniegiem łąki tworzyły rozległą białą płaszczyznę, prawie nie różniącą się od nieco ciemniejszych, obsianych ozimną pól. Na drodze wyraźnie widniał ślad kół. Do granicy tylko pół godziny jazdy... Musi się udać! A jeśli coś stanie się z wozem? Powóz jest nowy. Może paść koń... Mamy dwa na zmianę. W Speele zawrócę! Ten kawałek ze wsi do granicy mogą jechać konno. Tak, w Speele ich wysadzę, i tak już im dużo pomogłem... Latarnie po obu stronach migotały, rzucając smugi i cienie, które biegały wokół powozu niczym sfera psów. Na płaskim jak stół terenie światła na pewno widać z daleka... Ciekawe, jak daleko niesie się turkot kół? Claus rozejrzał się z niepokojem. Wydawało mu się, że w skibach zaoranych pól coś się czai, ktoś przemyka pomiędzy drzewami... Nagle zobaczył na niebie lunę. To płonie Altenbauna, patrole pewnie wracają już do Kassel. Wiozą do miasta ciało Leßberga, muszą przejść przez Lipską Bramę... Przyjęcie! Co pomyśli Christine, jeśli Claus po nią nie przyjedzie? Wszyscy zauważą, że go nie ma, w kłamstwa ojca nikt nie uwierzy... Muszę wracać, i to natychmiast! Już za późno, nie mogę tam wrócić! Jechał przed siebie, nie wiedząc, którego z głosów posłuchać. Robertowi musi pomóc. Jeśli teraz zawróci, Robert ucieknie za granicę, a jego powieszają... Nagle zobaczył przed sobą światła wsi. To Speele. Nie zatrzymał się, wręcz przeciwnie, popędził konie i gnał tak, że rozpięte poły płaszczka łopotały jak chorągwie na wietrze. Nawet nie czuł zimna, nie zmieniał skostniałej ręki, w której trzymał lejce. Naprzód, przed siebie, byle nie myśleć, nie stawiać sobie żadnych pytań! Teren zaczął opadać - wjechał w dolinę Wezery. Na białej powierzchni rzeka wyglądała jak szeroka ciemna wstęga oświetlona gdzieś po drodze pochodniami, przepływający prom przypominał rzuconą na wodę kartkę papieru. Przed strażnicą na punkcie granicznym stał wóz, który Claus już dziś po wyjściu z koszar gdzieś widział. Tak, to ten, z którego dwaj żołnierze zdejmowali wielki bęben... Pochodnie na brzegu rzeki poruszyły się, ze strażnicy ktoś wyszedł, wypuszczając na śnieg długą smugę światła, przez plac przebiegło kilku mężczyzn. Claus nie musiał zatrzymać koni, stanęły same. Połyskujące metalicznie strzelby oznaczały, że do karety zbliżają się żołnierze. W ciemnościach nie było widać ich twarzy, lecz Claus bez trudu

rozpoznał głos Scholla: - To pan, majorze Haynau? Oczekujesz gości z Hanoweru? Claus otulił się płaszczem i nie odpowiedział. - O, prowadzisz zapasowe konie! Wybierasz się dalej? Claus zobaczył krąg pochodni i skierowane ku sobie lufy. Wystarczy jeden rozkaz, a żołnierze wrócą do strażnicy. Jedno słowo i może jechać dalej, jednakże Clausowi zabrakło sił, by je wypowiedzieć. Jeżeli wyda Roberta, to nie dlatego że chce to zrobić, lecz dlatego że zbyt jest wyczerpany, by go bronić... - Jedziesz sam czy kogoś wiesz? - usłyszał głos Scholla i zobaczył jego rękę sięgającą do klamki powozu... - Są w środku - odrzekł. - Robert i ten dezertor. Możesz ich zabrać... 22 "On nie ma ani przyjaciół, ani wrogów" - mówiono o ministrze Schlieffenie, najgłośniejszemu zaś powtarzali to ci, którzy uważali się albo za jednych, albo za drugich, nie mieli natomiast pojęcia, do której kategorii zalicza ich sam Schlieffen. Naprawdę niełatwo rozgryźć człowieka, który jako wróg wcale nie nienawidzi, a jako przyjaciel wcale nie jest sympatyczny. Można by rzec, że nie kieruje się sercem, lecz wyłącznie rozumem. Schlieffen cieszył się, że ludzie nie potrafią go rozszyfrować, a jednocześnie miał do nich żal, że nie doceniają tego, co dla nich robi. W przeciwieństwie do landgrafa, który traktował ludzi w zależności od humoru, Schlieffen zawsze trzymał się prawa i sprawiedliwości, jednakże nikt tego nie doceniał i nie okazywał wdzięczności. Nie mieć wrogów ani przyjaciół to na pozór wygoda, ale tylko Schlieffen wiedział, ile mu przyszło za nią zapłacić. Wciąż liczył, że nadejdzie taka chwila, gdy będzie mógł służyć wyłącznie sprawiedliwości, wówczas opinia bezstronnego rozjemcy, dla której się poświęcał, zacznie przynosić spodziewane owoce. Chwila ta, jak się zdaje, właśnie nadeszła. Najpierw wszakże czeka go udział w uroczystościach pogrzebowych najmłodszego członka loży masońskiej, którą kierował landgraf. Podczas posiedzeń loży Schlieffenowi przychodziły do głowy najznakomitsze pomysły, może i tym razem uda się znaleźć odpowiednie rozstrzygnięcie? Ściany sali pogrzebowej były pokryte błękitnym jedwabiem, w narożnikach paliły się świece w wysokich kandelabrach, przy ustawionej na katafalku trumnie stali na warcie czterej sokolnicy. Każdy z nich na wyciągniętej ręce trzymał sokoła. Schlieffen próbował znaleźć stały punkt, na którym mógłby zatrzymać wzrok - wybór padł na czarny krąg w mozaikowej posadzce. Dzięki niemu może zbierze myśli. Niestety, ulatywały w różne strony, i nic dziwnego, skoro kilka rzędów dalej siedzi Gottfried von Haynau... Zachowanie innych Schlieffen mógł sobie jakoś wytłumaczyć, swojego nie potrafił. Jak to się stało, że członkowie loży, wśród nich i on, znaleźli się w gronie bojkotujących rodzinę Haynauów? Nikt już nawet nie pytał dlaczego. To tak jak po trzęsieniu ziemi: nikt się nie zastanawia, co je spowodowało, wszyscy ratują się, jak mogą. Wykorzystywano każdą okazję, żeby zademonstrować przed sobą i innymi, że nigdy nie miało się nic wspólnego z Haynauami... Gottfried wszedł do sali pogrzebowej jako jeden z ostatnich. Schlieffen z przykrością zauważył, że nikt z obecnych nawet nie próbuje się z nim przywitać, a przecież zgodnie z prawem cywilnym i zasadami loży ten człowiek jest absolutnie niewinny. Zawsze mu się wydawało, że loża masońska jest prawdziwą ostoją sprawiedliwości, braterstwa, lojalności... Sprzeciw i wstyd - te dwa słowa wciskały się w jego myśli i uświadamiały mu, że sam też nie jest bez winy. Uplłynął już miesiąc od zatrzymania Roberta i tego dezertera, a on nie zrobił nic. Czekał, aż Gottfried von Haynau przyjdzie do niego i poprosi o pomoc. Nadaremnie. Haynau nie próbował nawiązać z nim kontaktu nawet potajemnie... Siedzi teraz na uboczu, wokół niego ostentacyjnie opuszczone krzesła, jest spokojny i zamyślony, jakby odcięty od doczesnego świata i skupiony na wieczności, do której nawiązuje dzisiejsza ceremonia. Salę wypełniła cicha muzyka, dwa chóry na przemian śpiewały żałobne pieśni i psalmy, odmawiano modlitwy za spokój duszy zmarłego, syna nadwornego sokolnika Wittunga, który utonął w Fuldzie, kiedy w czasie ślizgawki załamał się lód. Z ukrytą w dłoniach twarzą Schlieffen próbował włączyć się do modłów, lecz nie mógł oderwać myśli od Haynaua i raz po raz ukradkiem na niego zerkał. W jego rysach dostrzegł ślady ostatnich wydarzeń. By uciszyć wyrzuty sumienia, Schlieffen od początku powtarzał sobie, że Haynau ma dość sił,

by przetrzymać także tę burzę, teraz wszakże widział, że chyba się pomylił. Przyglądał się profilowi Haynaua, jakby chciał rozszyfrować go jak liczbową zagadkę, prócz załamania jednak niczego więcej nie odczytał. "Czy Haynau wie, że o dziesiątej w zamku odbędzie się tajne posiedzenie, w czasie którego landgraf ma podpisać wyrok śmierci na Roberta?" - zastanawiał się Schlieffen. Odruchowo spojrzął na księcia, który z lekko odchyłoną w tył głową słuchał śpiewów chóru. Dokładnie taką samą pozę przybierał w teatrze, gdy wsłuchiwał się w arię jakiejś znanej śpiewaczki, a także na posiedzeniach łoży, gdy odgrywał rolę wyrozumiałego i wybaczonego władcy. Prawdziwy serenissimus! Śpiewy umilkły, jeden z zaniepokojonych ptaków rozpostarł skrzydła i przez chwilę w wielkiej sali słychać było tylko ich trzepot. Landgraf wstał i podszedł do katafalku, pozostali ruszyli za nim, dotykając po kolei srebrnych okuć trumny. Schlieffen miał ochotę wymknąć się niepostrzeżenie, pobiec do zamku i jeszcze raz przejrzeć dokumenty przygotowane na dzisiejszą radę, sprawdzić, czy nie ma w nich czegoś, co wprawiłoby księcia w zły humor, zanim zostanie mu przedstawiona sprawa Haynauów. Nie mógł się doczekać końca ceremonii, a jednocześnie sam nie wiedział, czy rzeczywiście chce pomóc Gottfriedowi von Haynau, czy też uległ atmosferze tego miejsca, tej chwili i zmieni decyzję, gdy tylko stąd wyjdzie. Wśród urzędników dworskich niewielu było takich, którzy bez względu na dochody nie daliby się skusić złotą monetą ofiarowaną za drobne przysługi. Kancelarie w zbrojowni, skarbcu, a nawet u zarządcy stajni stały się ważnymi punktami wymiany informacji, gromadzonych w Tajnej Księżęcej Kancelarii, którą traktowano jak źródło łatwych intratnych dochodów także dla lokaja, mającego za zadanie zmieniać gęsie pióra. Tak było, aż do dnia gdy pierwszym sekretarzem kancelarii został Jakub Hanslin. Pomysł Schlieffena, by utajnić kontrakty zawarte z angielskim królem w sprawie zaciągu wojsk, okazał się niezwykle trafny, gdyż wyposażony we wszystkie pełnomocnictwa Hanslin gruntownie przeorganizował całą kancelarię. Na początek podzielił ją na trzy oddziały i polecił, by w dokumentach pozostawiać puste rubryki; później sam wpisywał dane, które uznano za tajne, a ponieważ potrafił podrobić pismo każdego z pisarzy, kompletnie wypełniony dokument widzieli jedynie landgraf i Schlieffen. Nie wszystkie jednak dokumenty natychmiast trafiały do księcia. Schlieffen i Hanslin szybko opracowali drugi system, który pozwalał im prowadzić pewne sprawy tak długo, aż ewentualna interwencja księcia już im nie mogła zaszkodzić. Była to ryzykowna gra i Schlieffen nie wciągnąłby do niej byle kogo. Na Hanslina zwrócił uwagę, gdy ten syn pończoszника zdobył sobie sławę niesympatycznego człowieka i zaczęto mu rzucać kłody pod nogi. Okazało się, że wadą uniemożliwiającą mu karierę na dworze jest nieprzekupność. Schlieffen obserwował go czas jakiś, a wciąż nie będąc całkowicie przekonany, zaproponował mu prowadzenie zapisów na audiencje u księcia, czyli posadę, o jakiej każdy łapownik mógł tylko marzyć. Założył się sam ze sobą, że Hanslin da się skusić, gdy wszakże całe Kassel zaczęło huczeć, że u nowego sekretarza można zapisać się na audiencję zupełnie za darmo, musiał przyznać z radością, że przegrał. Wracając do zamku, Schlieffen myślał, jakie meandry zatacza życie. Przed laty tajną kancelarią kierował Gottfried Haynau i wpływał na losy wielu ludzi, tymczasem dziś jego następcą zadecyduje o przyszłości. Hanslin był w swoim gabinecie sam, jak zawsze gdy przed posiedzeniem rady czekał na Schlieffena, by przedstawić mu dokumenty. Papiery, które jego zdaniem minister powinien przejrzeć, leżały osobno, na pulpicie pod oknem. Przerwał pisanie i odłożył pióro. - Myślałem, że dziś przyjdziecie wcześniej, panie ministrze. Schlieffen sięgnął po przygotowaną teczkę i bez szukania wyjął interesujący go dokument. - Widzę, że formularz wyroku śmierci wypisałeś własnoręcznie - zdziwił się. - Nie chciałem, aby jutro po Kassel krążył tuzin jego kopii. - I tak rozpuści je pisarz sądowy. - Nie będzie miał okazji, akta procesowe są w moim ręku. - Wiem, bo sam je wykupiłem. Początkowo chciałem powołać się na bezprecedensowość przypadku, ale to by za długo trwało, więc wolałem zapłacić. I co, warto było? Znalazłeś coś, co przemawiałoby za uniewinnieniem ich

obu? - Nic! W protokołach sądowych z reguły nie wymienia się okoliczności podważających wyrok. Znalazłem za to coś innego. - Podał Schlieffenowi złożoną na pół kartkę. - Formularz werbunkowy? - Proszę mu się przyjrzeć, potwierdza stanowisko oskarżyciela: umyślne zabójstwo. Schlieffen położył kartkę na pulpicie. "Zwerbowany do Pierwszego Heskiego Regimentu Strzelców" - brzmiał nadruk, a dalej ktoś wpisał odręcznie: "Robert baron von Haynau, wiek 24 lata, wzrost 6 stóp 2 cale. Ziegenhain, dnia 2 listopada 1775 roku". Pod spodem dwa czytelne podpisy: Leßberga i... Schlieffen ze zdziwieniem spojrzął na Hanslina. - Podpisał się jako Robert Skelnik? - Co w oczach sędziego stanowiło okoliczność obciążającą Haynaua: najpierw umyślnie oszukał Leßberga, a potem umyślnie zabił. Schlieffen pokręcił głową. - Pierwszy raz słyszę o tym dokumencie. - Ja również. Sądzę, że znaleziono go pośród rzeczy majora Leßberga i w trakcie procesu podrzucano sędziemu, tak że nikt tego nie zauważył - rzekł Hanslin i podeszedłszy do drzwi, wyjrzał na korytarz. - Co znowu wymyśliłeś, że trzeba aż takiej konspiracji? - spytał Schlieffen. - Chodzi o ten formularz. Gdy wczoraj wieczorem odnalazłem go w aktach, natychmiast wsiałem na konia i pojechałem do Ziegenhain. Nie bardzo wierzyłem, że w gospodzie "Pod Czarnym Niedźwiedziem" ktoś mi powie, co działo się drugiego listopada, ale się pomyliłem, bo w tym dniu z twierdzy uciekł Soerman i córka gospodarza pamięta wszystko dokładnie. Robert grał w kości z werbownikami, przegrywając po kolei wszystkie partie. Gdy zabrakło mu pieniędzy, zagrał o własną wolność i przegrał. Oddał się w ręce Leßberga, ale chyba nie traktował tego angażu poważnie, podobnie zresztą jak Leßberg, który jak twierdzi córka karczmarza, nawet nie wziął wypełnionego formularza ze stołu. Ktoś go jednak zabrał, skoro odnalazł się w sądzie... Wszystkich mężczyzn zaciągnięto do pościgu za dezertorem i w karczmie zostali tylko trzej werbownicy i Haynau, a także jedyny gość, który przyjechał pod wieczór i poprosił o nocleg. Córka karczmarza opisała mi jego wygląd i zapewniała, że nieznajomy cały czas z boku przyglądał się grze. Schlieffen przerwał mu ruchem ręki. - Rankiem trzeciego listopada podkomorzy Stein był z wizytą w zamku Sonsfeld - rzekł. Obaj przez chwilę patrzyli na siebie, jakby czytając wzajem swoje myśli. - On i tak powie, że widzi ten dokument po raz pierwszy, a my nie udowodnimy mu, że kłamie - pierwszy odezwał się Hanslin i schował formularz do teczki z aktami. - Nie rozumiem, dlaczego akurat Steinowi miałoby zależeć na skazaniu młodego Haynaua? - Ja też się zastanawiam. Katastrofy tej miary na ogół rządzą się jakąś logiką, w tym przypadku natomiast wszystko się dzieje żywiołowo. Chyba nie doceniłem Steina, a on, jak się wydaje, jest ważnym trybikiem w tej maszynie. Młody Haynau to tylko element gry, której celem jest zrujnowanie jego ojca. - Nie sądzicie, że uczestniczy w niej ktoś z rodziny? Robert i Claus są przyrodnimi braćmi, a jak dowodzi historia Kaina i Abla, nawet rodzeni bracia potrafią nienawidzić się na śmierć. - Jeśli ktoś nienawidzi, nie podejmuje aż tak skomplikowanych działań, uderza wprost. - Ta historia nie trzyma się kupy, i to nie daje mi spokoju. Przecież to Claus wydał Roberta. Próbuję sobie wyobrazić, co działo się tamtej nocy na granicy, i kilku spraw po prostu nie rozumiem. Najbardziej zaskoczony musiał być Scholl. Dlaczego Robert i Soerman nie stawiali oporu? Mało tego, milczą do dziś, a w czasie procesu nie odezwali się ani słowem! Przecież mogli wyjaśnić, co naprawdę zdarzyło się w Altenbaunie. Co to milczenie oznacza? Schlieffen nie odpowiedział. Zamyślony zapatrzył się w białą okienną framugę i nagle poczuł się zmęczony i stary. Zawsze był dumny, że potrafi panować nad swoimi myślami i uczuciami, tymczasem dziś wymykają się one całkowicie jego woli. - Kiedy ostatni raz landgraf podpisał wyrok śmierci? - spytał od niechcenia. - Kazałem sporządzić wypis z ksiąg z ostatnich pięciu lat. - Interesuje mnie tylko rok 1775. - W maju stracono dzieciobójczynię, w czerwcu znaczorkę handlującą truciznami, w październiku podpalacza. Skazano też kilku za rabunki na drogach i namawianie do dezercji, ale od listopada na mężczyznach nie wykonuje się wyroku, lecz wywozi do twierdzy i po ułaskawieniu rekrutuje do wojska. - Ile było takich wyroków? - Dziewiętnaście, z czego trzech ułaskawiono i wypuszczono, a trzech

zglądano. Zastanawiałem się, czy nie przeciągnąć sprawy Haynaua do wyjazdu księcia do Włoch. Nastąpi to zaraz po wymarszu oddziałów. Hanslin zamiast odpowiedzi usłyszał głośny śmiech Schlieffena. Było w nim sporo ironii, ale też serdecznego ciepła. - A już myślałem, że rozważa to tylko symptom zbliżającej się starości! Zaskoczony Hanslin, choć nie rozumiał zachowania Schlieffena, uspokoił się, bo z tonu wypowiedzi wywnioskował, że nie tylko nie stracił zaufania wszechwładnego ministra, lecz je pogłębił. Chętnie by się dowiedział, czym sobie na to zasłużył. Sala posiedzeń rady była jedynym zrealizowanym zamierzeniem landgrafa. Wzorowana na sali przyjęć Palazzo Medici we Florencji, z kolumnadą i marmurowymi ścianami, symbolizowała sny o potędze Hesji, które nigdy się nie spełnią. Schlieffen nazwał ją mauzoleum, aczkolwiek ilekroć tu wchodził, ogarniało go coś na kształt melancholii. Landgraf i Stein już czekali, rozmawiali przy oknie i popijali wino. Kilka tygodni wcześniej podkomorzy dostąpił zaszczytu jądania z księciem drugiego śniadania; Schlieffen wyrzucał sobie, że w zamieszaniu na chwilę spuścił Steina z oka, a ten natychmiast wykorzystał okazję i wkradł się w łaski landgrafa. Zawsze intrygował, jednakże dotąd chodziło o drobiazgi, teraz natomiast poczuł się tak pewny, że zaczyna mieszać się do spraw poważniejszych. Schlieffen od razu zauważył, że księżę jest w dobrym nastroju, obecność lokaja świadczyła o tym, że rozmowa ze Steinem obraca się wokół mało istotnych tematów... - Po kieliszku porto! - zawołał księżę na widok ministra i sekretarza, po czym rozsiadł się wygodnie w fotelu, który lokaje dyskretnie przytrzymywali, by przypadkiem nie rozleciał się pod ciężarem władcy. Wskazując na stos dokumentów leżących na stole, księżę się skrzywił. - A mówiłeś, że chodzi o kilka drobnych spraw. - Wasza wysokość obiecał, że poświęci im godzinę. Landgraf zerknął na zegar. - Siedem i pół minuty możemy już odpisać. Gdyby pan Stein nie wciągnął mnie w miłą pogawędkę, byłoby już po posiedzeniu. Jak ja nie cierpię tych papierzysk! - "... które w tej sali nabierają czarodziejskiej mocy władzy!" To słowa waszej wysokości. Księżę rozmarzonym wzrokiem powiódł po marmurowych ścianach i pomyślał, że wreszcie będzie miał dość pieniędzy na urządzenie w tym samym stylu pozostałych sal w zamku. - Wracając do sprawy kontraktów z Anglikami - rzekł - chciałbym, aby w przyszłości całą zagraniczną korespondencję prowadzono inaczej: najpierw ustne uzgodnienia, potem opracowanie koncepcji, przygotowanie dla mnie tłumaczenia, a dopiero potem wysyłka. I nie mówcie mi, że to niepotrzebna strata czasu. Pierwsze kontakty z Anglią tak przeprowadzono i wszystko poszło jak z płatka. - Wtedy mieliśmy tu jeszcze pannę Connors, która... - To w całym Kassel nie ma nikogo, kto znałby angielski?! Wychodzi na to, że sprowadzamy z Anglii guwernantki jedynie po to, by dobrze wydać je za mąż i niepotrzebnie karmić. W przyszłości trzeba będzie angażować wyłącznie stare, po pięćdziesiątce! A skoro już mówimy o Anglii, to przypadła mi do gustu tamtejsza kuchnia i parę potraw... Odbiegamy chyba od tematu naszego spotkania - zreflektował się księżę, mimo że Schlieffen nie protestował. Minister cieszył się w duchu, bo lepszego początku posiedzenia nie mógł sobie wymarzyć. Landgraf był wielkim entuzjastą wszystkiego, co angielskie i patrzył na Anglię oczyma człowieka, który zobaczył cud. - Ten Faucitt - ciągnął księżę - na audyencji stwarzał wrażenie, jakbyśmy byli jedynym dworem, z którym Anglia podpisała umowy, a przecież wiem, że rozmawiał także z innymi. - Czy wasza wysokość przyjrzał się kiedyś mapie Ameryki? Aby utrzymać tylko porty na wschodnim wybrzeżu, potrzeba trzy razy więcej wojska, niż jesteśmy w stanie dostarczyć Anglikom. Z ich punktu widzenia kontakty z innymi dworami są więc koniecznością i tak trzeba je traktować. Dla nas liczy się to, że za jednego żołnierza z Hesji król Jerzy płaci trzy razy tyle co za najemnika z Brunszwiku. - Nie wiedziałem, że pan minister jest tak znakomitym impresariem - wtrącił Stein. - Dobrze, żeś mi przypomniał tę umowę z Brunszwikiem. Za każdego zabitego żołnierza Anglicy wypłacą im trzydzieści koron, a w naszej umowie w ogóle nie ma takiego warunku. Czy zabity Hes nie jest już nic wart? - spytał księżę. - Ten punkt, wasza wysokość, skreślono na moje żądanie. Zostawmy Brunszwikowi ich zabitych, zwłaszcza że nasze

warunki i tak są najlepsze. Żadne księstwo nie dostało od angielskiej korony podwójnych subsydiów, nigdzie nie płaci się oficerom, nikomu Anglicy nie przekażą zapłaty w koronach! Skoro już jesteśmy przy tym temacie, to pragnę przypomnieć waszej wysokości, że Anglia była nam jeszcze winna subsydia z czasów wojny siedmioletniej. Innym zresztą też, ale tylko nam angielski król wypłaci całą należność w wysokości dwustu dwudziestu tysięcy talarów. Jak by nie liczyć, za każdego żołnierza Hesja-Kassel dostanie trzy razy więcej niż pozostałe niemieckie księstwa. To są finansowe korzyści, a trzeba pamiętać, że przy każdym punkcie wynegocjowaliśmy warunki, które będą obowiązywać, gdy nas obu nie będzie już na tym świecie! Schlieffen z zadowoleniem stwierdził, że policzki landgrafa poczerwieniały. Nastrój porannej uroczystości żałobnej, sute drugie śniadanie, portwajn, zapowiedź strumienia pieniędzy, a teraz jeszcze obietnica nieśmiertelnej sławy - czy wszystko to mogło zepsuć księciu humor? Chyba najwyższy czas poruszyć sprawę Haynaua. Landgraf położył rękę na ramieniu Schlieffena. - A jednak o czymś zapomniałeś, ministrze: do Ameryki z naszym wojskiem musi pojechać kronikarz! - Wyśmienity pomysł! - zawołał Stein. - Ale trzeba wysłać kogoś z talentem, nie jakąś miernotę. - Chciałbyś pojechać? - spytał ironicznie Schlieffen, a widząc, że postawił Steina w kłopotliwej sytuacji, od razu zadał drugi cios. - O ile wiem, podkomorzy innych dworów bardzo często bywają za granicą z różnymi misjami. Landgraf zmierzył Steina pytającym wzrokiem. - Co ty na to? Wydałem na ciebie tyle pieniędzy i dobrze byłoby odzyskać choćby drobną część! Był to najważniejszy moment, by podsunąć księciu dokumenty do podpisu. Gdy Schlieffen podjął tę decyzję, Hanslin już wyjmował z teczek pierwszy dokument. - Dekret o zamknięciu granic, wasza wysokość. Kamerdyner podał księciu pióro i przyniósł świecę, nad którą topił się lak. Landgraf, odciskając pieczęć, zauważył: - To przynajmniej zatrzyma ludzi w kraju, ale co będzie z werbunkiem poza granicami? Na następne posiedzenie przygotujcie mi konkretny plan, jak to rozwiązać, bo z Hesji więcej żołnierzy już nie wyciśniemy i trzeba się rozejrzeć gdzie indziej. Tylko mi nie mów, że to niezgodne z prawem, Schlieffen! Trzeba brać przykład z króla Prus, który urósł w siłę dzięki fałszowanym pieniądзом i podkradającym żołnierzom! Co tam mamy dalej, Hanslin? - Propozycje kazań, wasza wysokość. - Proszę pokazać! Kto je przygotował? - Pastor Moralt. - Tak myślałem! Wy, protestanci, najchętniej powiedzielibyście ludziom, że w piekle nie będzie żadnego ognia, a to źle! Niech jezuita przygotują kazania, na przykład ojciec Erlafried. Ten jak huknie z ambony, to słuchaczom robi się na przemian gorąco i zimno. Po co bawić się w jakieś tam wywody? Ksiądz musi mówić ludziom, że dla nich najważniejsze są: miłość do ojczyzstego kraju, do osoby panującej, posłuszeństwo, wierność i odwaga. Musi im przypominać, że spędzanie płodu jest śmiertelnym grzechem, bo wyobraźcie sobie, panowie - tu landgraf zniżył głos, a lokaje odruchowo cofnęli się od stołu - ktoś rozpowszechnia ulotkę: "Jak w naturalny sposób każda kobieta może określić swoje płodne i niepłodne dni". Ojciec Erlafried przyniósł mi jeden egzemplarz. Straszne rzeczy, moi panowie! Trzeba te ulotki wszystkie odnaleźć i zniszczyć, bo nie może być tak, że kobiety będą rodzić dzieci tylko wtedy, kiedy im się zachce! - Wiadomo już, gdzie wydrukowano tę ulotkę? - spytał Schlieffen. - To ty masz się dowiedzieć! Trzeba sprawdzić wszystkie drukarnie, dokładnie badać bagaże na granicy i zabronić gazetom pisanie na ten temat, bo w Hesji liczba urodzeń nie może spaść! Zapisaleś, Hanslin? W czasie mojego pobytu we Włoszech chcę mieć co miesiąc sprawozdanie, ile noworodków i jakiej płci przyszło na świat, jasne? Jak myślisz, Schlieffen, może warto przyznać premię za każde dziecko w rodzinie? Minister nie był zachwycony propozycją. - Myślę, wasza wysokość, że bardziej interesująca byłaby statystyka zgonów. Kobiet nie trzeba zachęcać do rodzenia dzieci, problem w tym, że nasi lekarze nie potrafią ich potem utrzymać przy życiu. - Och, chyba nie chcesz, abym przy śniadaniu, tu czy we Włoszech, studiował statystyki zgonów? A z lekarzami musisz rozprawić się sam, ja nie mam ochoty się do tego mieszać. Jak zawsze, gdy księcia coś nie interesowało, błyskawicznie zmieniał temat. - Du

Ry przedstawił mi plany muzeum i oświadczył, że budowę można rozpocząć natychmiast. Chciałbym, aby antyczne posągi, które już jadą do Włoch, znalazły w Kassel godne miejsce. - A o kosztach budowy też coś wspomniał? Po jego ostatnich rachunkach... - Przestańże się wreszcie czepiać tego Du Ry'a! Jeżeli koniecznie musisz komuś obcinać wydatki, to wyzywaj się na kuchni, mój drogi ministrze. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, gdy pokazano mi rachunki z ostatniego polowania na czaple: na jednym z postojów kuchmistrz zużył wiśni za trzysta talarów! Wyobrażasz sobie, ile by tego musiało być? Kilka cetnarów! W normalnych czasach wtrąciłbym tego kucharza do lochu, więc niech się cieszy, że wylądował w karnej kompanii. Jeszcze coś tam mamy? - Ostatni już podpis, wasza wysokość - rzekł Schlieffen takim tonem, jakby też miał już wszystkiego dość. - Wyrok na Roberta von Haynau i dezertera. Landgraf teatralnym gestem przetarł dłonią oczy. - Mój drogi, zdaję się całkowicie na ciebie. Proszę mi powiedzieć, co mam zrobić, a ja się podporządkuję. - Obejmując tron, wasza wysokość obrał sobie motto "Prawo i Sprawiedliwość"... - To wymijająca odpowiedź. Co zatem byś zrobił na moim miejscu? Schlieffen w ostatniej chwili ugryzł się w język. Albo przestraszył się, że jego odpowiedź zabrzmiała jak przygotowana zawczasu, albo też zirykowało go wyczekujące spojrzenie Steina. - Oj, gdybym to ja miał decydować, ze skazanymi byłoby krucho - zaczął ostrożnie. - Kiedyś wasza wysokość nazwał mnie surowym krytykiem, i to prawda, bo wielokrotnie złapałem się na tym, że oceniam ludzi surowiej, niż na to zasługują. Nie mam tej wyrozumiałości, która wam, wasza wysokość, pozwala podejmować wyważone decyzje. Landgraf słuchał z zadumaną miną. Prawą rękę położył na aktach przyniesionych przez Hanslina i nie podnosząc wzroku, rzekł: - A jednak wyższa sprawiedliwość istnieje. Pamiętacie sprawę złotnika Roberta Skelnika, który przed dwudziestu czterema laty wyrządził krajowi wielką szkodę? Mój ojciec odstąpił wtedy od wymierzenia sprawiedliwości, nie skonfiskował majątku odziedziczonego przez jego żonę. Nie krytykuję decyzji ojca, wszelako mam wrażenie, że nie spodobała się ona tam na górze i Opatrzność sprawiła, że po latach sprawiedliwości staje się zadość. Ten młody człowiek jest tylko narzędziem w jej rękach - mówił coraz głośniejszym głosem landgraf. - Ojcu udało się wywieźć złoto aż za ocean, synowi zaś Opatrzność pozwoliła dojechać z ukradzionym srebrem tylko do hanowerskiej granicy. Schlieffen miał wrażenie, że słyszy słowa księżęcego spowiednika, i nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. - Wygląda na to, że za czyny swojego adoptowanego syna zapłaci Gottfried von Haynau... - Jest to szczególnie rodzaj winy, więc i kara musi być szczególna. Moja decyzja brzmi tak: cały majątek Haynaua zostanie skonfiskowany; mam na myśli nieruchomości i dobra ruchome, posiadłości ziemskie, domy i składy towarów. Gotówki nie można zająć, bo zdeponowano ją za granicą, ale odzyskamy ją, każąc zapłacić Gottfriedowi za możliwość opuszczenia kraju. Wolność kosztować go będzie pięćset tysięcy talarów. Schlieffen wpatrywał się w księcia wstrząśnięty. - W ten sposób człowiek, który wyświadczył nam nieocenione przysługi, zostanie zrujnowany - zauważył nieśmiało. - Przygotowania do egzekucji nie będą wstrzymane - ciągnął landgraf, nie zwracając na niego uwagi. - Zostanie wykonana jutro o szóstej rano i od tej chwili rozpocznie się postępowanie konfiskacyjne. Proszę tę informację zachować w największej tajemnicy. Rozważyłem propozycję, by zdegradować Clausa Haynaua, lecz ją odrzucam, w końcu to jemu zawdzięczamy ujęcie przestępców. No i jak, Schlieffen, na moim miejscu wydałbyś łagodniejszy wyrok? - Nie byłbym w stanie wziąć na siebie tak wielkiej odpowiedzialności - odparł minister, nie podnosząc wzroku. - Jak zawsze, udzieliłeś mi kilka odpowiedzi naraz. Doskonale cię znam, Schlieffen. Ty po prostu nie rozumiesz postępowania takich ludzi jak Haynau. W przeciwnym razie byłbyś bogatszy od niego, bo jesteś niezwykle oszczędnym człowiekiem, tyle że oszczędzając, w ogóle nie myślisz o sobie. Od dawna zastanawiałem się, jak ci to wynagrodzić, i zdecydowałem, że podaruję ci posiadłość Haynauów. To nie jest moje życzenie, Schlieffen, to rozkaz! Minister odsunął krzesło i wstał. Na poranną uroczystość żałobną ubrał się w szary jedwabny strój, tak prosty, że

przypominał mundur pozbawiony ozdób i orderów. Jego szczupła postać nabierała w nim dostojeństwa i godności. - Raz tylko odmówiłem wykonania rozkazu sprzecznego z moimi przekonaniem, teraz uczynię to po raz drugi. Wasza wysokość, proszę o zwolnienie mnie ze służby - rzekł mocnym głosem. Mierzyl się wzrokiem. Landgraf czuł narastającą złość, jak zawsze gdy napotykał chłodne przenikliwe oczy Schlieffena. Ten pomorski szlachetka, który na jego dworze zrobił karierę, mógł sobie pozwolić na więcej niż ktokolwiek inny, zwłaszcza że nie dawał się traktować jak lokaj, za co książę nienawidził go i lubił jednocześnie. - Tak łatwo mi nie uciekniesz! Popełniłeś błąd, odmawiając wykonania rozkazu królowi Prus, a on zrobił błąd jeszcze większy, gdy pozwolił ci odejść. Ja proponuję inne wyjście: ty zapomnisz, że taki rozkaz wydałem, a ja zapomnę, żeś mi odmówił. Schlieffen lekko skinął głową. - Jeśli wasza wysokość pozwoli, odejdę do własnych zajęć. Właśnie minęła godzina, którą... - Chwileczkę, panie ministrze! Zawsze byłeś większym realistą niż ja, zarzucałeś mi, że marnotrawię państwowe pieniądze, a gdy wreszcie próbuję coś zmienić, też nie jesteś zadowolony. Jednym pociągnięciem pióra możesz skreślić nasze długi u tego pasożyta, a są one niemałe! Ponadto tuzin podobnych jemu tak się przestraszy, że długo jeszcze żaden nie odważy się pisać, że cokolwiek jesteśmy im winni. Likwidujemy na dodatek ważne źródło wydatków: od tej pory panna von Sonsfeld nie dostanie z państwowej kasy ani grajcara. - Jak to, wasza wysokość? - spytał zaskoczony Schlieffen. - Gdyż dwór Haynauów, którego nie chcesz, przekażę panie Sonsfeld wraz z wszystkimi dzierżawionymi posiadłościami. Zapisaleś, Hanslin? - upewnił się książę, po czym zwrócił się do Schlieffena: - Teraz zadowolony? Nie padła odpowiedź, pojednawczy ton landgrafa został skwitowany ironicznym uśmiechem, który jeszcze bardziej podkreślił różnice dzielące obu mężów stanu. Dla Schlieffena sprawa przybrała nieoczekiwany obrót i niczego już nie można było zmienić. Za późno na dociekania, dlaczego tak się stało, ale czym prędzej trzeba unieszkodliwić Steina, który bez żadnej wątpliwości maczał w tym palce, licząc, że coś zyska. I nie przeliczył się! - Jestem pełen uznania dla waszej wysokości - rzekł po chwili. - Jednakże nie mogę się oprzeć wrażeniu, że pewien szczegół uszedł pańskiej uwagi. Chodzi o fikcyjne małżeństwo panny Sonsfeld. Skoro Claus von Haynau nie wchodzi w rachubę, proponowałbym innego kandydata. - No właśnie! Że też nie pomyślałem o tobie! - Gdybym w ciągu jednej godziny musiał odmówić waszej wysokości powtórnie, to byłaby już katastrofa, dlatego pozwolę sobie wskazać na podkomorzego Steina. On do tej delikatnej roli nadaje się w sam raz. - Nareszcie wróciłeś do formy, Schlieffeni - zawołał książę i spojrzął na zegar. - Mamy jeszcze dwie minuty, a to chyba wystarczy, by z podkomorzego Steina zrobić barona von Sonsfeld. Zapisaleś, Hanslin? - Landgraf z łobuzerskim uśmieszkiem zatarł ręce. - Za dużo dobrego naraz - wymamrotał Stein. Choć otrzymał coś, o czym nie marzył w najśmielszych snach, przestraszony nie potrafił cieszyć się swoim tryumfem. - Czyżby strach? - zauważył książę. - Przyznaję, dwie minuty to trochę mało, ale jak sam widziałeś, wystarczająco dużo, by znaleźć się na dnie lub na samym szczycie. Proszę o tym pamiętać na przyszłość! Możesz te słowa wypisać na swoim herbie, baronie Stein. 23 Soerman podszedł z lojowym kagankiem do zwróconego twarzą do ściany Roberta. - Śpisz i w nocy, i w dzień. Posuń się trochę - rzekł, przysiadając na pryczy. - Słyszysz, jak pada? Tak bębni po dachu, że można oszaleć, a ty potrafisz spać? - Nigdy nie miałem kłopotów ze snem - mruknął Robert półprzytomny. Soerman zapatrzył się w płomień kaganka. - Domyślasz się, dlaczego dziś zdjęto nam łańcuchy z nóg? Szykują nam ostatni posiłek... - Nie dziwię się, że z takimi myślami nie możesz zasnąć. Przestań spekulować i nie zastanawiaj się, co będzie dalej. Soerman postawił lojówkę na stole pośrodku celi, na którym leżały karty do gry i dwa złożone ręczniki. Robert nie odwrócił się, najwyraźniej nie miał ochoty na rozmowę. Soerman nie mógł znieść okropnie dokuczliwej ciszy. - Naprawdę wierzysz, że po śmierci życie trwa nadal? - spytał. Robert usiadł i objął podkurczone kolana. - Musi trwać. W przyrodzie nic nie ginie, więc dlaczego ja miałbym być wyjątkiem? Soerman pokręcił

głową. - Ale według praw tej przyrody człowiek trafiony dwunastoma kulami pada i już się nie podniesie. Tych kul na pewno będzie dwanaście, bo strzelcy potrafią celować. - Zaczął tasować karty. - Zawsze wiedziałem, że nie umrę w łóżku, i mogę się tylko cieszyć, że nie trafiłem na szubienicę. Gdyby chodziło o samą śmierć, to spałbym spokojnie. - Więc śpij! Przez chwilę było słychać tylko szmer tasowanych kart. - Przepowiedziałem ci to - odezwał się Soerman. - Byłoby lepiej, gdybyś mnie nie spotkał. Od tamtego czasu masz same kłopoty. - Jeśli gryzie cię sumienie, to każ wezwać spowiednika. - Nie próbuj przede mną udawać, bo sam też miałbyś się z czego spowiadać. Tak sobie myślę, że jeśli na tamtym świecie rzeczywiście czeka nas sąd, to największą moją winą będzie to, że, cię stąd nie wyciągnąłem. Ucieczka z normalnego więzienia byłaby dla mnie dziecinną zabawą, ale tu jest kwatery główna... Dzwony w mieście zwoływały wiernych na wieczorną modlitwę. Gdy Soerman rozpoczynał rozmowę, Robert miał ochotę prosić go, by zamilkł, lecz gdy teraz przerwał, z niecierpliwością czekał, aż znowu przemówi. Nie wiedzieli, ile dni upłynęło od wydania wyroku przez sąd, gdyż ich nie zaznaczali na ścianie, jak inni więźniowie. Dla nich czas się zatrzymał, zamienił w stałą masę, która ciążyła im jak głaz, i choć z dnia na dzień stawała się cięższa, musieli ją dźwigać do końca. Robert przypomniał sobie, jak wówczas w wozowni zobaczył Soermana po raz pierwszy. Dziedzieniec obstawiło czterdziestu uzbrojonych ludzi, a on sobie siedział w powozie jak podróżny oczekujący na wyjazd. Teraz też zachowywał się jak niecierpliwy, zdenerwowany pasażer... Próbował sobie wyobrazić leżącego z bladą twarzą Soermana, lecz nie potrafił. Oparł głowę o podciągnięte pod brodę kolana, zamknął oczy i wstrzymał oddech, jakby chciał sprawdzić, co będzie czuł w momencie śmierci, ale nic nadzwyczajnego się nie działo: serce miarowo biło dalej ... Dzwony z wolna milkły, jeszcze przez chwilę w powietrzu unosił się ich ton, później znów było słychać tylko monotony szum deszczu. Gdyby teraz Robert zamknął oczy i zaczął liczyć kroki chodzącego korytarzem strażnika, zasnąłby prawie natychmiast. - Mamy gościa - usłyszał głos Soermana i szcęk otwieranych zamków. Było ich tyle, że zanim otworzyła się żelazna krata celi, miało się wrażenie, że mija wieczność. Wszedł kapitan Glaser, za nim ksiądz w czarnej sutannie. Dwóch strażników natychmiast ustawiło się w drzwiach. Robert unikał spojrzenia Soermana, nie odpowiedział też na pozdrowienie księdza. - A więc już pora? - spytał spokojnie. - Jutro rano o szóstej. - Na śniadanie proszę tylko kawy, gorącej i bardzo mocnej. Chciałbym też się ogolić. Macie tu balwierza? - A ty? - spytał kapitan Soermana. - To samo... golić się nie będę. Oficer wyjął spod mankieta jakiś papier i podał księdzu. - Proszę, ta sprawa to nie mój resort! - rzekł cierpko, nie kryjąc niezadowolenia, że skazanych przysłano mu do głównej kwatery straży. Zamierzał wyjść z celi, gdy Robert zawołał: - Ksiądz też może iść. Nie prosiliśmy, by przyszedł! - To rozkaz. Spędzi z wami noc, czy wam się to podoba, czy nie. Ksiądz bezradnie rozłożył ręce i podszedł do kaganka, by przeczytać dokument. Ledwo rzucił nań okiem, zaraz chciał go schować. - Pozwoli ksiądz? - Robert, nie czekając na odpowiedź, wyrwał mu z rąk kartkę, wyglądającą na rachunek. - To rzeczywiście resort księdza! - Wybuchnął serdecznym śmiechem. - Co to jest? - zapytał Soerman. - Rachunek na dwanaście talarów i siedemnaście grajcarów za dwie sosnowe trumny oraz cztery talary za grabarza. - Robert odłożył kartkę. - Dziwię się, że zapomnieli o prochu i kulach dla plutonu egzekucyjnego. Może to wchodzi w zakres opieki duszpasterskiej, która jest za darmo, prawda, proszę księdza? Kto kazał księdzu przyjść? My w każdym razie nie prosiliśmy. Ksiądz zdjął czarną pelerynę, rozejrzał się po celi. Na widok kart spytał: - Nie potrzebujecie trzeciego? - Musiałby ksiądz grać za pieniądze, ćwierć grajcara za przegraną. Stać księdza na taki wydatek? - Jako student grał w karty dorabiałem do skromnego wikt. Robert mrugnął do Soermana. - Wygląda na to, że możemy spróbować - roześmiał się i szybko uprzątnął stół. Soerman przysunął koszyk z wiktuałami i dostawił trzeci stołek. - Jak ksiądz się nazywa? - spytał Robert, gdy zasiedli. - Wittaler. - Od niedawna w Kassel? - Widzę, że dawno nie byłeś w kościele... Robert i Soerman wymienili znaczące spojrzenia. -

Daj mu karty. Rozdaje ten, kto przyszedł ostatni. O piątej nad ranem Robert, Soerman i ksiądz Wittaler wciąż siedzieli przy stole, nie zwracając uwagi na ziąb ciągnący od kamiennej posadzki. Wiktuały skończyły się, butelki z winem opróżniono, na rachunku za trumny i grabarza nie było już miejsca do zapisywania wygranych. Ksiądz położył dwadzieścia grajcarów przed Robertem i rzekł: - Zawsze sądziłem, że w karty nie można mnie ograć. Zdradzisz mi swój sekret? - Nie, choć mogę powiedzieć, gdzie ksiądz robi błąd: przy niskich kartach też trzeba ryzykować. Za żelaznymi drzwiami rozległo się szuranie. Na początku ciche i odległe, wkrótce zmieniło się w wyraźne głosy. Zazgrzytały klucze w zamkach. Soerman przeciągnął się i rzekł: - Akurat teraz bym się zdrzemnął. Robert zgarnął wszystkie monety ze stołu i podał księdzu. - Będzie ksiądz miał na zapłacenie trumien i grabarza. Resztę proszę zatrzymać. Nic więcej od księdza nie chcę, żadnych modlitw, żadnych słów pocieszenia. I jeszcze jedno: niech ksiądz nie jedzie z nami na miejsce egzekucji. - Nie interesowałem się procesem i nie chcę wiedzieć, za co was skazano - rzekł Wittaler. - Nigdy o to nie pytam, gdyż i tak, wiercie mi, dla mnie ta posługa nie jest łatwa. Lecz po nocy spędzonej w waszym towarzystwie nie mam wątpliwości, że jesteście niewinni. Robert wybuchnął szczerym, niewymuszonym śmiechem. - Oto i powód, dla którego ksiądz przegrał! Następnym razem radzę skoncentrować się na grze, bo do każdej egzekucji dopłaci ksiądz z własnej kieszeni. - Ten żart jedynie potwierdza, że... Zgrzytnęły żelazne drzwi. Robert uściśnął księdzu dłoń. - Na nas czas. Proszę wracać na plebanię i wyspać się porządnie. Ksiądz włożył płaszcz. - Mam tu coś jeszcze. Proszono mnie, abym ci to przekazał - rzekł i pośpiesznie wcisnął Robertowi złoty medalion. - Nie dotykaj! - zawołał Soerman i stanął między Robertem a księdzem. - Nie bierz niczego do ręki! - To jakiś przesąd? - Roberta zaskoczyło jego wzburzenie. - Przyjmowanie w takiej chwili talizmanów od obcych przynosi nieszczęście. Uwierz mi, proszę. - Jakie jeszcze nieszczęście może spotkać kogoś, kto idzie na stracenie? Kto księdzu to dał? - Panna von Sonsfeld... - wyjąkał ksiądz. - Rozumiem - odrzekł Robert i nie otwierając medalionu, wsunął do kieszeni. Soerman odwrócił się plecami. Ksiądz wymamrotał coś na pożegnanie i wyszedł. W celi zrobiło się nagle tłoczno: czterech wartowników stanęło w drzwiach, jeden z pomocników napelniał miednice gorącą wodą, drugi ustawiał na stole kubki, rozlewał kawę i mleko, balwierz rozkładał przybory do golenia. - Wyglądacie, jakbyście nie zmrużyli oka całą noc, kapitanie - przywitał Robert kapitana Glasera. Zacerwienione oczy oficera zwęziły się jeszcze bardziej. - Wasz spokój działa mi na nerwy. Rzeczywiście nie spałem, i mogę wam powiedzieć dlaczego. Czekałem na gońca z ułaskawieniem od landgraфа, bo jako pierwszy chciałem wam o tym powiedzieć. Do stu piorunów, nie mówcie mi tylko, że też na to nie czekaliście! Wiem, że jeszcze czekacie i będziecie czekać, do chwili gdy... - Urwał i podszedł do okna. - A niech to szlag! - zaklął, potem odwrócił się i przez chwilę stał z bezradnie opuszczonymi rękoma. - Chciałem się pożegnać - rzekł oficjalnym tonem. - Pluton egzekucyjny wystawił Pierwszy Regiment Strzelców. Podał dłoń Soermanowi. Gdy zegnał się z Robertem, sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, szybko jednak się odwrócił i wyszedł z celi. Przed główną komendą straży podjechał szwadron strzelców. Deszcz przestał padać, lecz zielony brezent okrywający wóz był jeszcze mokry. W eskorcie dwóch wartowników Robert i Soerman weszli pod plandekę, pod którą stały dwie sosnowe trumny. Robert usiadł na jednej, Soerman stał. Na zewnątrz słychać było tylko stuk kopyt przegrupowujących się strzelców. Robert czekał na bicie w werble, sygnał do odmarszu, ale nie nastąpiło. W ogóle nie padła żadna komenda, gdy ruszyli. Robert nawet się nie zastanawiał, dokąd jadą. Próbował nie myśleć o niczym. Popatrzył z wyrzutem na Soermana, gdy ten usiadł obok i szepnął mu do ucha: Stracą nas potajemnie. Na ulicy żywej duszy; pewnie się boją zamieszek... Robert położył mu rękę na ramieniu. Soerman zrozumiał ten gest i zwiesił głowę. Po chwili położył na dłoni Roberta swoją i nie odezwał się już ani razu. Łąkę otaczały bezlistne topole. Szwadron uformował półkole, dwunastu strzelców zsiadło z

koni i ustawiło się w szeregu. Roberta i Soermana przeprowadzono przed nimi, by każdy kolejno wyrecytował przepisową formułkę prośby o wybaczenie. Robert przed jednym się zatrzymał. - Nie domknąłeś zamka. Jak chcesz do mnie strzelać, skoro nie masz prochu? - szepnął, a cały szereg poruszył się nerwowo. Dowodzący major Wesels dał znak dobozom. Nad łąką rozległy się trzy serie krótkich uderzeń, wyszedł audytor i odczytał sentencję wyroku. Gdy skończył, major Wesels spytał: - Chciałbyś coś powiedzieć, Robercie Haynau? - Nie. - A ty, Frederze Soerman? - Nie. Szare chmury zasnuły niebo. Przy smukłych topolach gdzieś tam bielily się jeszcze płaty śniegu, nie zmytego przez padający nocą ulewny deszcz. Na brunatnej łące jaśniały dwie sosnowe trumny. Major Wesels odliczył krokami odległość między plutonem strzelców a skazańcami - przepisy mówiły o sześciu, lecz on chyba celowo dodał jeszcze jeden. Zza szybko przesuających się chmur nagle wyjrzało słońce i na kilka sekund rozproszyło półmrok zalegający okolicę. Ciszę przerwał głośny warkot werbli. Robert nie opierał się, gdy nakładano mu opaskę na oczy. Przez huk werbli wyraźnie słyszał, że strzelcy odbezpieczają broń. Oczekiwanie trwało wiecznie; Robert zastanawiał się, czy najpierw usłyszy salwę, czy też poczuje uderzenie kul. Przez chwilę wyobrażał sobie, że kule odbijają się od ciała jak od pancerza, tymczasem nic, czego się spodziewał, nie nastąpiło. Podniósł się niebywały wrzask, ktoś dotknął jego ramienia. Robert zdrzął, jakby został trafiony. Zdjęto mu opaskę z oczu. W oślepiającym świetle nie potrafił rozróżnić twarzy ludzi, którzy pod ręce prowadzili go do wozu. Przejrzał, dopiero gdy znów siedział na sosnowej trumnie obok Soermana. Patrzył obojętnie na przesuujące się obok drzewa, chłopskie chaty, pokazującą się tu i ówdzie Fuldę. Nic już nie miało dla niego znaczenia, gdy wszakże przejeżdżali przez most, wyjął z kieszeni medalion i wrzucił do rzeki. 24 Papierkowa robota była dla komendanta Ralla koszmarem. Na jego biurku piętrzyły się stosy korespondencji, którą major zajmował się, gdy nie miał już gdzie postawić butelki wina. Traktował wówczas listy tak, jakby przetrzymanie na biurku starczało za odpowiedź; siadał w taki deszczowy dzień jak dziś, dwudziestego ósmego lutego, przed kominkiem i z zapasem herbaty mocno zaprawionej rumem bez żadnego pośpiechu zabierał się do pracy. Najpierw szukał nazwiska nadawcy, potem sprawdzał, czy w adresie nie pominięto żadnego z tytułów, i wrzucał kopertę do ognia. Drobną różnicą było to, że jedne miał wcześniej ze złością, a inne darł na strzepy. Gdy ostatnia zamieniła się w kupkę popiołu, major z zadowoloną miną wyciągał nogi, kładąc je na kamiennym progu kominka w zagłębieniach, które w ciągu kilkunastu zim wyżłobiły ostrogi jego butów. Oparcia fotela też nosiły ślady długoletniego użytkowania, a ściślej mówiąc zamiłowań Ralla do rzeźbienia nożem służącym do otwierania listów. Tego ranka ornament na drewnianym oparciu wzbogacił się o faliste linie, przypominające grzebieniaste fale wzburzonego morza. Przygodny obserwator wziąłby teraz Ralla za najspokojniejszego z ludzi, poczciwca nigdy nie podnoszącego głosu, lecz sierżant Luib dobrze wiedział, z kim naprawdę ma do czynienia. By ukryć swój przybierający brzuszek, sierżant nosił ciasne gorsety i nie mógł swobodnie złapać tchu. Na dodatek strasznie sepleniał, gdyż niedawno musiał usunąć psujące się dwa przednie zęby. - Jesteście tu, majorze? - zaświszczał w drzwiach. Rall tylko kiwnął ręką. - Zaprowadziłem ich do magazynu po umundurowanie - zameldował Luib. - Za starego księcia coś takiego by się nie zdarzyło - rzekł major, bawiąc się nożem do listów. - Jak ktoś zawinił, płacił głową. Po kiego licha te ciągnące się miesiącami rozprawy, skoro po wyroku ogłasza się ułaskawienie? To nie moja sprawa, choć strach pomyśleć, co będzie się działo, kiedy oddziały wyruszą z koszar. Kradzieże i rabunki, ale tych na dworze to nie interesuje, im się płaci od głowy. I co? Powstał zamęt, gdy tych dwóch przyprowadzono? - Byli tylko wartownicy. Przy tej pogodzie... Rall otrząsnął się, mimo że od kominka było przyjemne ciepło. - Stawiają ich przed plutonem egzekucyjnym, zawiązują oczy, a potem nazywają to ułaskawieniem! Dam głowę, że to pomysł ksiązęcego spowiednika. Ci katolicy! By skruszyć grzesznika, gotowi są na wszystko. Jak oni to znieśli? Luib wzruszył ramionami. - A bo to

można zajrzeć komuś do duszy? W kwaterze głównej chyba traktowano ich jak honorowych gości, bo w naszych koszarach nikt nie ma tak wypucowanych butów jak oni. Nie chcę przeszkadzać, panie majorze, chciałem się tylko upewnić, czy rzeczywiście zakwaterować ich w namiocie 18? - Czemu pytasz? - Rall opuścił nogi, aż zadźwięczały ostrogi. - Jeśli wolno się wtrącić, każdy inny namiot byłby lepszy. - O ile wiem, namiot 18 nie figuruje na liście karnych kompanii. - No nie, ale kłopoty są podobne. Inne oddziały trzymają się razem, ludzie dzielą się ostatnią kromką chleba. Tamtej nocy w czasie ulewy wszyscy się uwijali, by nie lało się do namiotów, i nikt nie czekał na rozkazy. A w osiemnastce żaden się nie ruszył! Tam jakby każdy się bał, że zrobi coś dla drugiego. Do dziś nie gotują wspólnie obiadów, tylko jedzą na osobności, co kto jeszcze ma. O nic nie proszą, nawet ze sobą nie rozmawiają, nie grają w karty. Jest spokój, ale wcale mnie to nie cieszy. Rall nie miał ochoty zajmować się tak skomplikowanym problemem i szybko zmienił temat: - Przysłano wreszcie te psy? - Wczoraj po południu. Sto pięćdziesiąt sztuk. - Przecież zamówiłem trzysta! - Podobno więcej nie mieli... - Jak zamawiam trzysta, to tyle mi potrzeba! Jak niby mam zapędzić tę bandę na barki?! Nie będzie psów, to przy załadunku połowa zdezerteruje razem z wartownikami. Pse kły są dla nich groźniejsze niż strzelba. Musi być trzysta i koniec! A niby po co od kilku dni obżerają się jak wieprze? Każdy myśli tylko, jak zwiać, a potem z pełnym brzuchem przetrwać jak najdłużej w lesie! - Przypuszczam, że dziś po południu dostaniemy resztę psów. Rall dorzucił do kominka dębowe polano. Wciąż czuł zimno przenikające aż do kości. - Chcę widzieć całe stado tu, w koszarach. Niech ta banda wie, co ich czeka, a przy okazji pozbędę się z remizy muzykantów. Przecież rozkazałem, aby ćwiczyli w piwnicach! - Od wczoraj piwnice są zalane. Zawsze, jak poziom Fuldy się podniesie, woda gruntowa przesiąka do piwnic. Rall grzał ręce nad płomieniem. - Najwyższy czas stąd odpłynąć. Można stracić zdrowie w tych koszarach i osiwieć. Na wojnie wszystko będzie inaczej. Proszę dać mi znać, kiedy przywiozą te psy, i zwołać apel. - Tych dwóch ułaskawionych pozostawić w osiemnastce? Nie wiem dlaczego, ale mam jakieś złe przeczucie. - Przeniesiono już tam posterunkowego Willibalda Manza? - spytał Rall, ignorując uwagę Luiba. - Zgodnie z rozkazem, majorze. Jeśli mam być szczery, to nie rozumiem tej decyzji. Po tej historii w Altenbaunie między Manzem a Niklasem na pewno dojdzie do jakiejś rozróby. - Niklasa zostawić w spokoju! - roześmiał się Rall. - Dość się natrudziłem, zanim wyrwałem go z batalionu grenadierów Linsinga, gdzie go wcześniej zwerbowano. Ktoś, kto ma odwagę okradać skarbonki w kościołach, bardzo nam się w Ameryce przyda, żebyśmy nie pozdychali z głodu. Taki to nawet na pustyni znajdzie gniazdo królików! Ten Manz ma już papiery w porządku? Nie przypominam sobie, by mi powtórnie pokazano... - Odmłodziliśmy go o pięć lat. W ufarbowanych włosach nawet byście go nie poznali, majorze. Pierwszy gatunek! - Szelmy! Gdyby Anglicy wiedzieli, jakich żołnierzy dostaną... Jest chociaż jeden prawdziwy żołnierz w tej osiemnastce? - Ten Ślżak, rotmistrz Kunkel. Patent ma prawdziwy, choć i tak zawiodłem się na nim. Liczyłem, że zrobi z tą bandą jaki taki porządek, ale on na wszystko gwizdże. Lata za spódniczkami, noc w noc. Chudy jak patyk, a siły ma za dwóch. Wczoraj uganiał się za tą rudą markietanką; dwa razy w ciągu nocy ją obkoczył, a dziewczucha waży co najmniej dwa centnary! - Traugott Kunkel, tak? Proszę mi go tu przysłać. - Major przestał krążyć po gabinecie. - Powiesz mi wreszcie, dlaczego boisz się o tę osiemnastkę? - Nie wiem, czy taki był zamiar pana majora, ale w tym namiocie znaleźli się sami znajomi obu ułaskawionych. Jest tam ten Austriak, sprzedawca rękawic Baltazar Plötz, jest koźlarz Louis z wozowni Haynauów, najmita Klemm z Ziegenhain, co zawsze dostarczał świeże leszczynowe różgi, no i młody Weibrecht, jedyny, który w czasie procesu świadczył na korzyść oskarżonych. Jeżeli to pana majora nie niepokoi... - Przeciwnie, jestem spokojny, mając ich wszystkich razem! Będą wzajemnie się pilnować, a ja będę wiedział, co tam się dzieje. - Rozumiem, że macie w osiemnastce szpicla? Rall pokiwał głową. - Luib, u ciebie myśli idą do głowy przez ten wielki brzuch i

dlatego trwa to tak długo. Masz jeszcze jakieś wątpliwości? - Tylko że... Rall machnął zniecierpliwioną ręką. - Czy z tymi dwoma mamy wreszcie komplet? Za dwa dni wymarsz. - Ze Skelnikiem i Soermanem jest tysiąc czterystu dziewięćdziesięciu siedmiu, a więc brakuje jeszcze trzech. Gorzej z końmi: mamy tylko dwieście. - W Ameryce jest ich dość. Pomyśl, ile musielibyśmy zabrać paszy? Te bestie by nas zrujnowały! Będę szczęśliwy, jeśli uda mi się zgromadzić dość prowiantu dla ludzi, bo wyżywienie jest warunkiem zwycięstwa, jasne? - Przejrzałem mapy. To jednak kawał drogi. - Jak to?! Jeszcze miesiąc temu gotów byłś płynąć do Ameryki na tratwie! Luib nerwowo obciągał mankiety. - Jest mały problem, osobisty, że tak powiem. Chodzi o pewną wdowę... Ma domek i trochę oszczędności. Spadła mi jak z nieba... - Ożeń się z nią, ale pod warunkiem że pojedzie z tobą. Luib zwiesił głowę. Rall potrząsnął go za ramiona. - No, pokaż jej namioty dla kobiet! Luib chwilę się zastanawiał, potem spojrzął na przełożonego z zachwytem w oczach. - U niej jest tak czysto, że można jeść na podłodze, ale jak zobaczy, to na pewno się zgodzi... - Musisz się liczyć z tym, że gdy wyjedziesz, ktoś na pewno chętnie ją pocieszy. Luib zaczerwienił się jak podłotek. - Właściwie o to się nie martwię - wymamrotał. - Jest we mnie zakochana do szaleństwa, sam nie wiem dlaczego. - Tym bardziej nie możesz zostawiać jej samej - roześmiał się Rall. - Przemyśl to sobie jeszcze raz, a teraz zajmij się tymi nowymi. Przez półtora dnia mężczyźni w namiocie 18 patrzyli, jak pod dziurą w plandece powiększa się kałuża wody, i nikt nawet palcem nie ruszył. Przysłane przez sierżanta Luiba łąty i przybory do szycia nietknięte leżały na wielkim bębnie przed wejściem do namiotu. Nikomu nie chciało się wykopać rowka, którym woda wypłynęłaby na zewnątrz. Gdyby sierżant nie zmusił ich, żeby się trochę ścięsnili, Plötz, Weibrecht i Manz musieliby spędzić noc w strugach wody, za co wszakże ani jeden z całej trójki nie okazał wdzięczności. Rankiem, gdy w pozostałych namiotach tętniło obozowe życie, w osiemnastce było cicho i spokojnie. Z pryczy przy wejściu Baltazar Plötz obserwował przez szczelinę, co dzieje się na zewnątrz. Obok sześciu żołnierzy szykowało śniadanie. Dwaj nosili chrust i drewno na ogień, jeden obierał kartofle, inny czyścił z sadzy wielką poćć słoniny. Zapłonęło ognisko, nad nim zawieszono kociołek z wodą. Ludzi przybywało; czekali, aż zagrzeje się woda do porannej toalety. Jeszcze niedawno Plötz by się do nich przyłączył, dziś wcale nie miał na to ochoty. Gdy jednak na ogromnej patelni zaskwierczał tłuszcz, Austriak nie wytrzymał i odwrócił się. Przez drugą szczelinę widział namioty kobiet. Stały nieco oddalone i prawie zawsze zasłaniała je rozwieszona na długim sznurze bielizna, nawet gdy padał deszcz lub trzymał mróz. Z dwóch rur wychodzących z dachu namiotów dniem i nocą snuł się dym. Najdłużej wzrok Plötza zatrzymał się na namiocie markietanek. Wybrał miejsce przy wejściu nie bez powodu. Po pierwsze zawsze wiedział, co dzieje się w obozowisku, a po drugie stąd można najszybciej uciec. Od samego początku Baltazar zdecydował, że zanim zacznie się załadunek na łódzie, on ucieknie w kobiecym przebraniu. Zaplanował nawet strój: biała bluzka, zielona spódnica, czarna peleryna, na głowie czerwona chustka i wielki słomkowy kapelusz. Będzie wyglądał jak wieśniaczka handlująca jajami na targowisku w Kassel. Nie musiał czekać, aż upatrzoną garderobę zobaczy na sznurze, mógł ją po prostu odkupić, lecz musiałby przy tym ujawnić, gdzie trzyma pieniądze, a miał ich przy sobie dość dużo. Ze strachu o swoich planach z nikim nie rozmawiał, choć zdawał sobie sprawę, że ucieczka we dwóch miałaby większe szanse powodzenia, tym bardziej że on zupełnie nie zna okolicy. Tutejszym jednak za grosz nie ufał. Zapach jedzenia dotarł aż do namiotu 18 i przypomniał jego lokatorom o pustych żołądkach. Nikt wszakże nie miał zamiaru zabrać się za gotowanie. Każdy ukradkiem wyciągnął, co tam miał: kromkę chleba, jabłko, kawałek kielbasy. Odwróćni do siebie plecami jedli i spod oka podejrzliwie spoglądali jeden na drugiego. Na pryczy obok Plötza leżał owinięty w koc Willibald Manz. Nagle zerwał się, wsunął bosc stopy do butów i rozpoczął swoją poranną gimnastykę od przysiadów. Czujny Baltazar Plötz zauważył ironiczne spojrzenia pozostałych, ale nikt nie zdobył się na uśmiech, ba, nawet się nie

skrzywił. Manz skończył ćwiczyć, okrył się długą do kostek peleryną i z koszyka na prowiant wyjął wielką blaszaną miskę. - Przynieść ci porcję kaszy? - spytał Plötz - Ale jak dasz grajcara. Plötz potrząsnął głową. Nie było sensu zaprzeczać, że ma pieniądze, bo i tak wszyscy się domyślali, nie wiedzieli tylko, gdzie je trzyma. Dla głupiej miski kaszy Plötz nie zamierzał zdradzać swojej kryjówki. Wychodząc, Manz podniósł zasłonę u wejścia namiotu i zaczepił ją o tyczkę. Do wnętrza wdarła się wilgoć, po namiocie rozeszła się woń charakterystyczna dla zalanych piwnic. Siedząc w przeciagu, Plötz pierwszy zaczął marznąć, mimo że miał na sobie trzy komplety bielizny. Głód doskwierał mu coraz bardziej, wyjął więc ze skórzanego wora chleb, sól i ser. Zaraz jednak pożałował, że odrzucił propozycję Manza, gdyż chleb trącił pleśnią, a ser był zjełczały. Jadł, bo jakie miał wyjście? Aż go ścisnęło w dołku, gdy do namiotu wszedł koźlarz Louis z koszem na ramieniu, w którym niósł śniadanie dla Niklasa. Zapachniało mocną kawą i świeżym pieczywem. Wszyscy przestali jeść. Niklas siedział na pryczy z podwiniętymi nogami. Nikt nie wiedział, jak naprawdę się nazywa. Od lat zresztą nie używał swojego nazwiska, bo i po co, skoro parął się okradaniem skarbonek. Był czeladnikiem u szewca, lecz jako dwunastolatek uciekł w świat. Zawsze wymykał się żandarmom, aż tu w Nowy Rok 1776 złapali go w Marburgu. Dostał wyrok śmierci, lecz go uniewinniono i wcielono do wojska. Od lat oszczędzał każdy grosz, nie ze skąpstwa, ale ze strachu, że czymś się zdradzi, i odłożył niezłą sumkę, którą teraz, jako ucziwy żołnierz, mógł wreszcie wykorzystać. Plötz musiał odwrócić głowę, gdy Louis podszedł do niego z preclen w rękę i rzekł: - Dam ci go, jak mi w końcu narysujesz tę mapę. Austriakowi z żalu aż łzy zakręciły się w oczach. - Przecież nie mam czym! Louis wcisnął Plötzowi do ręki kawałek węgla drzewnego i przytaszczył wielki bęben stojący przed namiotem. - Rysuj na tym! - Pokazał tryumfalnie napiętą skórę instrumentu. Rotmistrz Traugott Kunkel podniósł się ze swej pryczy. - Umiesz rysować mapy? - zdziwił się. Baltazar wziął bęben między nogi, a Louis stanął mu za plecami i zaglądał przez ramię. - Tu jest wybrzeże, Brema, Morze Północne, a tu Grenlandia - objaśniał Plötz. - Mogłeś najpierw naszkicować zarys kontynentów. Byłoby prościej - wtrącił Kunkel. - A Morze Północne nie wyszłoby tak wąskie jak Fulda. - Musiałbym mieć dużo więcej miejsca - mruknął Plötz i dodał ze złością: - Jak pan rotmistrz zna drogę do Ameryki lepiej, to niech rysuje sam! Ja studiowałem mapę tak wielką jak cały ten namiot, gdy czekałem na audiencje u księcia w Würzburgu. Zapamiętałem nawet szlaki morskie do Indii, jeśli to was interesuje! - Nie przejmuj się! - zawołał Louis. - Nie musi być wcale dokładnie, ja chcę tylko wiedzieć, gdzie leży ta Ameryka i czy jest duża. W różnych zakątkach namiotu raz po raz ktoś wstawał i podchodził do rysującego. Nocami, gdy Baltazar nie mógł zasnąć i nasłuchiwał, co dzieje się w innych namiotach, marzył, że pewnego dnia zbierze wszystkich i będą się bawić razem pod jego przywództwem. Taki był teraz szczęśliwy, że nie mógł się skupić na rysowaniu. - To jest Atlantyk - zaczął nieśmiało, nagle jednak wróciła mu pewność siebie i jednym ruchem narysował faliste amerykańskie wschodnie wybrzeże. - A tu jest Nowy Jork, gdzie mamy wylądować! - Postawił wielką kropkę. - A dalej? - spytał Louis. - Mówiłeś jeszcze o innym dużym mieście, co ma taką ładną nazwę... Chodzi ci o Filadelfię? To tu, bardziej na południe. - Plötz zaznaczył następną kropkę; kreśląc w pobliżu falistą linię, dodał: - A tu gdzieś płynie rzeka Delaware, o której... Przerwał, bo z głębi namiotu rozległ się krzyk: - Mój zegarek! Zniknął! Wstałem tylko na chwilę, by popatrzeć... O, tu leżał! Mężczyźni zgromadzeni wokół Plötza rozstąpili się i podejrzliwie, wręcz wrogo patrzyli po sobie. W końcu oczy wszystkich zwróciły się ku siedzącemu na pryczy Niklasowi, wciąż zajętemu przyniesionym z miasta śniadaniem. Z wypchanymi policzkami uśmiechał się niewyraźnie. - To on! - zawołał ktoś. - Wykorzystał to, że się odwróciliśmy! Niklas przełknął i skrzywił się pogardliwie. - Pocałujcie mnie gdzieś! - burknął. Okradziony złapał stojący przed wejściem szpadel i przepychając się przez tłum, podszedł do Niklasa, który zdążył wstać. - Lepiej pomyśl, zanim kogoś posądzisz - rzekł, po czym sięgnął do kieszeni przeciwnika, wyjął z

niej zegarek i tryumfalnie rzucił na pryczę. - No i co? Nie pilnuje swoich rzeczy, a posądza niewinnego człowieka! Nikt oczywiście mu nie uwierzył, ale wszyscy podziwiali jego zręczność i czekali na reakcję oskarżającego. W tym momencie podniosła się zasłona przy wejściu i padł gromki rozkaz: - Baczość! Jak wymieceni przeciagiem, rozbiegli się po namiocie i spod oka spoglądali na sierżanta Luiba, który w ubłoconych butach stanął pośrodku, pieśczośliwie obejmując swój ogromny brzuch. - Zróbcie miejsce dla dwóch nowych! - krzyknął. - Świeżego powietrza to wy się boicie jak zarazy - dodał i odwrócił się do stojących za nim żołnierzy: - Wejdźcie, to was przedstawię. W ciągu ostatnich tygodni Robert odzwyczaił się od ludzi, najchętniej wróciłby do celi w komendanturze. Z mundurem przewieszonym przez ramię stał przed wejściem do namiotu i czekał, aż jemu i Soermanowi ktoś wskaże miejsce. Obojętnym wzrokiem patrzył na dwa wypchane słomą sienniki, które jeden z żołnierzy rzucił na posypaną trocinami mokrą ziemię. Sierżant Luib odetchnął z ulgą, bo spodziewał się trudności, a tymczasem wszystko poszło gładko. Żałował po cichu, że nie zobaczy, co tu się będzie działo dalej. Już miał na końcu języka jakieś ostrzeżenie, lecz zrezygnował, by się zbytnio nie spoufalać. Louis przytrzymał kotarę przy wejściu i poczekał, aż sierżant zniknie pomiędzy namiotami, potem powoli, jakby zwlekając, podszedł do Roberta i delikatnie go dotknął. - To wy? Chyba się nie mylę! Nie pamiętacie mnie? W wozowni... Przynieśliście mi króliki, a ja wam pokazałem kocięta, które urodziły się w powozie. Wiedziałem i wszystkim to mówiłem, że was kule się nie mają! - Zniżając głos, spytał: - Pozbieraliście je na pamiątkę? Nikt się nie śmiał, ani teraz, ani chwilę później, gdy człowiek, o którego procesie wszyscy słyszeli, rzeczywiście wyjął z kieszeni garść kul i wsypał je Louisowi do ręki. Chłopiec ruszył po namiocie, by wszystkim je pokazać, a oni wpatrywali się w czarne kulki, jakby były zaczarowane. Nikt się nie odezwał, nikt nie zadał żadnego pytania, nie chcąc burzyć tajemniczego nastroju, jaki się nagle wytworzył. Niklas był też pod wrażeniem, lecz nie przygody nieznanego, a jego sztuczki. Żeby przypadkiem nie znaleźć się nagle na drugim planie, postanowił rozprawić się z nim natychmiast. Wyjął talię kart, które zawsze nosił przy sobie, i tasując je ostentacyjnie, podszedł do Roberta. - Słyszałem o was prawdziwe cuda - zaczął, zerkając na Soermana. - Nie macie ochoty na partyjkę? - Karty były nowe i przy tasowaniu wydawały szelest podobny do stada lecących wróbli. Robert nie reagował, Niklas tasował więc coraz głośniej. Plötz nagle sobie coś przypomniał. - A mnie pamiętacie? Na drodze do Kassel wyprzęgliście mi konia. I od tego czasu zaczęły się moje kłopoty - Zbliżył się do Roberta i szepnął mu do ucha: - Na Fuldzie stoją już tratwy, jutro lub pojutrze się zaczną. Wiem to z pewnego źródła. Pozostali stłoczyli się obok Plötza. - Zrobimy wszystko, co każecie - szept młodego Wita Weibrechta zabrzmiał jak zaklęcie. - Ufamy wam, proszę powiedzieć, co mamy robić. Przesunęli się jeszcze bliżej, patrząc błagalnie Robertowi w oczy. - Dajcie sobie spokój! - zawołał Niklas. - On wam nie wierzy. Nikt z was nie stał na placu straceń, naprzeciw plutonu egzekucyjnego, ja też nie, ale mogę sobie wyobrazić, że po takim przeżyciu człowiek nieprędko dojdzie do siebie. - Trzeba dać mu czas - rzekł Wit Weibrecht, lecz Baltazar Plötz był innego zdania. Złapał Roberta za ramię i zawołał: - Mnie musicie pomóc! Ja nie wyjadę do Ameryki, prędzej rzucę się do Fuldy. Chcę wrócić do domu! Żona straci koncesję na pędzenie gorzałki, z czego będzie żyć? Musicie mi pomóc! - Plötzy nie zauważył, że Robert go nie słucha, i przekonywał dalej: - Was zna całe Kassel, proszę, wezwijcie tego doktora, co bywa u was w domu. Jak on powie, że jestem chory, że nie nadaję się na żołnierza... Rotmistrz Kunkel machnął ręką. - Róbcie, co chcecie, ale beze mnie! - rzekł i wyszedł przed namiot. - I beze mnie też! - dodał ktoś. Był to Willibald Manz. Mężczyźni rozstąpili się i nawet nie spojrzeli za nim. - Nie stójcie tak, bo się przeiębicie - rzekł Robert, a były to pierwsze słowa, wypowiedziane od czasu gdy wyprowadzono go z celi. Milczał, gdy z pola straceń wieziono go do koszar, gdy w magazynie wydawano mu mundur i gdy sierżant Luib prowadził go przez cały obóz do namiotu. Stwierdził, że jego głos brzmi jak dawniej. Słowa, podobnie jak niektóre twarze

otaczających go mężczyzn, były znajome. Ci ludzie mówili do niego, o coś go prosili, a on im nie odpowiedział. Teraz zniknęli w półmroku, bez wątpienia rozczarowani. Podszedł do pryczy, którą mu przygotowano, i położył się na wznak z rękoma pod głową. Po kilku minutach już spał. Ordynans Thurn zastanawiał się, czy wejść do namiotu i zdjąć wielki kapelusz, wystawiając na widok publiczny kiepsko upudrowaną perukę, czy też schylić się nisko i podrażnić dokuczającą mu wątrobę. Zdecydował się na to drugie. - Robert Skelnik! - wrzasnął. - Zameldować się! Robert poczuł, że ktoś delikatnie trąca go w ramię. Usiadł. - Zapnij guziki! - usłyszał szept. Zapiął, przeczesał ręką włosy i wstał. - Kapelusz! - powtórzył ten sam głos. Robert wsadził kapelusz i między pryczami ruszył do wyjścia. - Do licha, dlaczego nie meldujesz się natychmiast, jak należy! - Ordynans Thurn skrzywił się, gdyż po raz drugi poczuł ukłucie w okolicy wątroby. Chciał zajrzeć do namiotu i zapomniał o kapeluszu, który spadłby na ziemię, gdyby Robert nie złapał go w locie. Zamiast się ucieszyć, Thurn się zdenerwował. - Szeregowy idzie po lewej stronie oficera i pół kroku za nim, nie znasz regulaminu? - warknął. Minąwszy namiot markietanek, opuścili obóz, przeszli przez przypominający bagno parkur dla koni i zatrzymali się na wysypanym popiołem placu ćwiczeń. Stał tam odwrócony plecami mężczyzna. W szarym świetle dnia widać było srebrne naszywki na kołnierzu i mankietach. Ordynans zameldował: - Robert Skelnik, zgodnie z rozkazem! Mężczyzna nie zareagował. Był niezwykle szczupły, zielona peleryna wisiała na nim jak na wieszaku - żadnej fałdki świadczącej, że znajduje się pod nią żywe ciało. Odwrócił się. Zapadnięta twarz, wyblakła, błyszcząca jak wypolerowany kamień skóra, resztki życia tliły się jedynie w ciemnych oczach. Robert czuł, że w tym spojrzeniu kryje się jakiś przekaz dla niego, lecz nie potrafił go odczytać. Dla niego wciąż trwała ta noc, którą spędził w celi, ta chwila, gdy zawiązywano mu oczy, gdy czekał na strzał z dwunastu luf. Jeszcze nie odebrał życia, które mu darowano. Nie miał na nie miejsca, bez reszty wypełniało go bowiem oczekiwanie na śmierć. W celi nie mógł sobie wyobrazić śmierci na twarzy Soermana, teraz jej ślad zobaczył w bladych rysach brata. Wszystko, co sam przeżył, znalazło w nich odbicie, jakby Claus przeszedł dokładnie to co on. Na dany znak oficer cofnął się kilka kroków i stanął ze strzelbą gotową do strzału. - Musi tu stać? - spytał Robert. - Nie możemy porozmawiać bez świadków? Na czole Clausa pojawiła się głęboka pionowa bruzda. - Ścisłe zarządzenie komendanta. Przy rozmowie z szeregowcami ordynans musi stać jak najbliżej oficera. - Czego tak się boją? Armii ochotników? Bo chyba to są ochotnicy, a może nie? Też pewnie zgłosili się dobrowolnie, jak ja! - Błada twarz Clausa nawet nie drgnęła. - O co chodzi? Rozmawiamy prywatnie czy służbowo? - Nic się nie zmieniłeś - odezwał się Claus. - A przecież od śmierci dzielił cię krok. - Byłeś tam? Stałeś z tyłu i teraz żalujesz, że do tego nie doszło? - Widzę, że od początku nie traktowałeś tego wyroku poważnie. - To prawda. - A jednak sprawa była poważna. Niewiele brakowało, a ułaskawienie księcia przyszłoby za późno, bo ani w komendanturze, ani na placu straceń nikt nie wiedział, że zostało wydane. Claus ledwo nad sobą panował, na skroniach pulsowały mu nabrzmiałe niebieskie żyły. - Zmieńmy temat, Claus. Po co do tego wracać? Zapomnijmy o wydarzeniach na granicy, to zresztą było tak dawno. Nie mam do ciebie żalu i właściwie cię rozumiem. Popełniłem błąd, nie powinienem był cię w to angażować... - Chciał podejść do Clausa, lecz się cofnął, gdy zobaczył, że ordynans podnosi broń. Claus też zrobił krok do tyłu. - Wcale nie zamierzałem roztrząsać tamtej sprawy - rzekł matowym głosem. - To, że przybrałeś nazwisko Skelnik, jest dla mnie ułatwieniem, bo jak już wiesz, wraz z Soermanem przydzielono cię do mojego batalionu. Nie oznacza to dla was żadnej taryfy ulgowej, chodzi o to, by mieć was na oku. Przez was dość już wycierpiałem i nie mam zamiaru pokutować po raz drugi. Nie chcę też zostać zdegradowany, więc cię ostrzegam, abyś nie próbował uciekać ani tutaj, ani w Ameryce. Będę cię uważnie obserwował, a jeśli mimo to spróbujesz, zastrzelę przy najbliższej okazji. Chciałbym, abyś zapamiętał te słowa i nie zapominał, kim jestem. Od tej chwili ja jestem major Haynau, a ty strzelec Robert Skelnik. Wszyscy dalej będą uważać

cię za mojego brata, dla mnie jednak nim już nie jesteś. Robert słuchał ze wzrokiem wbitym w ziemię. Czuł się jak tego ranka, gdy z zawiązanymi oczami stał na placu straceń i czekał. Dopiero gdy Claus skończył mówić, Robert zrozumiał, o co mu chodziło. Brat chciał przedstawić mu reguły gry, nie wiadomo tylko, czy dla nich samych, czy też dla innych. - Rozumiemy się? - usłyszał matowy głos Clausa, jakby trochę spokojniejszy. - W każdym razie cię ostrzegłem. Nie pozwolę, abyś zrujnował mi życie, jasne? Robert popatrzył mu w oczy i wyciągnął rękę. Czy naprawdę liczył, że Claus ją uściśnie? Wiedział, że pytanie, które chce zadać, nie ma sensu, a jednak je postawił: - Za co mnie tak nienawidzisz? Claus milczał, jakby chciał tym milczeniem przypieczętować swoją nienawiść. - Odprowadzić go! - rzekł, lecz te słowa były skierowane do ordynansa. 25 Patrzyła na swoją rękę sięgającą po sznur dzwonka jak dziecko, które w ostatniej chwili przypomina sobie o zakazie. Palcami dotykała już brokatowej taśmy, potem bezradnie opuściła dłoń. Wciąż była jeszcze w swoim domu, termin wyznaczony przez landgrafa upływał za kilka dni, mogła więc zawołać służbę, kazać napalić w kominku i przynieść jedzenie. Formalnie była tu jeszcze panią, lecz pomiędzy na pół spakowanymi skrzyniami i walizkami już się nią nie czuła. Zastanawiała się, czy zabrać wieczorowe suknie z jedwabiu, brokatu i koronek. Warte były majątek, zwłaszcza że większość z nich miała na sobie tylko raz, niektórych w ogóle. Czy będą jej teraz potrzebne? Bardziej chyba przydadzą się suknie domowe. Wzięła jednak cztery i położyła na wierzchu drewnianej skrzyni. Skrzypnęła cicho podłoga, ktoś wszedł do pokoju. Anna odwróciła się i zobaczyła panią Retz. Była w płaszczu, czarno-zielony szal zarzucony na głowę wyglądał jak kaptur. - Sama pani pakuje? - zdziwiła się oburzona. Anna zdjęła z krzesła pęk związanych rękawiczek. - Proszę, siadaj. Od rana biegasz po mieście... - Trwało to dłużej, niż myślałam - rzekła klucznica i rozpiąwszy płaszcz, potarła dłoń. - Nikt nawet się nie pofatygował, by tu napalić - westchnęła i ze złością odrzuciła szal. - Niewdzięcznicy Gdzie mieliby tak dobrze jak u pani, a teraz? Patrzą na panią jak na cień! Ledwo udało mi się zagonić dwie służące do posprzątania w szafach z pościelą. - Bielizna stołowa i pościelowa podlegają konfiskacie, przecież mówiłam. - A pokojówki Sonsfeldów już na drugi dzień powycinają monogramy! Chyba nie dosłyszałam, kiedy pani mówiła, i kazałam już wysłać całą bieliznę do hotelu. - Zwinęła szal i położyła sobie na kolanach. - Prawdę mówiąc, po pani pokojówce spodziewałam się czegoś więcej. Gdy jej płaciłam, obiecała, że pomoże przy pakowaniu. - Może to i lepiej, bo nie wiem, kiedy będę rozpakowywała te bagaże, a tak przynajmniej orientuję się, gdzie co włożyłam. - Tylko Gilbert z całej służby spisał się na medal, nie zostawił w spiżarni nawet uncji mąki! Spakował dwa kosze wiktuałów. Są już w hotelu, więc przynajmniej na dwa tygodnie ma pani zapasy. Kazałam też wynieść resztę win z naszej piwnicy. Karczmarz zżymał się trochę, ale sama znalazłam suche i przewiewne miejsce w jego spiżarni, gdzie trzyma owoce. Znajdzie pani wszystko w jednym miejscu. - Pani Retz urwała nagle, widząc na ustach Anny uśmiech, pierwszy od wielu tygodni, gdy jej ściągnięta twarz wyglądała jak z kamienia, a ciemne oczy straciły wszelki blask. Od aresztowania Roberta schudła znacznie, zwłaszcza na twarzy, lecz, o dziwo, wyglądała młodziej niż przedtem. W zbyt luźnych sukniach sprawiała wrażenie jeszcze bardziej delikatnej i kruchej. - Pewnie pani nie jadła cały dzień? - spytała pani Retz. - Zaraz coś przygotuję. - Nie, proszę! - Anna dotknęła jej ramienia, jakby chciała się upewnić, że naprawdę jest jeszcze ktoś, kto się o nią troszczy. Pani Retz po prostu nie potrafiła usiąść z założonymi rękoma i choćby niebo waliło jej się na głowę, myślała, co podać na następny posiłek albo w co ubrać wieczorem łóżko. Anna ucieszyła się, że pani Retz jest teraz z nią. - Wzięłam od rzeźnika Karla gotowaną szynkę, taką jak pani lubi - przekonywała klucznica. - Nie, nie! Lepiej pomóż mi przy pakowaniu, bo wyjadę z półpustymi kuframi. Niewiele pozwolono mi zabrać, a ja nachętniej nie wzięłabym nic... Pamiętasz, jak mówiłam? Zostawię im wszystko, niech mi tylko oddadzą Roberta, no i darowali mu życie... Patrzyły sobie długo w oczy. Od chwili gdy przyniesiono rozkaz landgrafa o konfiskacie mienia,

unikwały takich spojrzeń, rozmawiały wyłącznie o tym, co było do zrobienia: o wypłacie dla służby, o wywiezieniu nielicznych mebli, które landgraf pozwolił zabrać. Kilka razy pani Retz była już gotowa przerwać milczenie, jednakże przy każdej próbie Anna patrzyła na nią tak, że wolała zrezygnować. Wszyscy snuli się po domu bez słowa, ze spuszczonej oczami. Nikt nie myślał o przygotowaniu obiadu czy kolacji, żaden dostawca nie zapukał do drzwi, nie zajechała żadna karetka. - To może zaniósę coś do zjedzenia panu baronowi? Anna znowu się uśmiechnęła. - Landgraf zapomniał odebrać nam tytuł, więc mąż odesłał mu go w zalakowanej kopercie... - Urwała i po chwili zastanowienia rzekła poważnie: Jeśli rodzina trzyma się razem, to przetrwa najgorsze nawet chwile. - Jakby powątpiewając w swoje słowa, westchnęła cicho i dodała: - Weźmy się do pracy, bo chcę to wreszcie mieć za sobą. Pani Retz zdjęła płaszcz. - Proszę mi tylko dać trochę papieru - rzekła, podwijając mankiety. - Sądzisz, że powinnam wziąć suknie wizytowe? Przecież nigdy już ich nie włożę - Wziąć! Hrabina Wardein po śmierci męża ze sprzedaży używanych sukien utrzymuje cały dom - rzekła ostrym tonem pani Retz. - Niech pan baron powie, ile warte są same koronki. W razie potrzeby wystarczy je odpruć i sprzedać. Mogę jeszcze trochę papieru? Suknie trzeba dobrze wypchać, bo jak długo leżą, to materiał się zbiegnie. Pół godziny później były już gotowe. Idąc przez pokoje, pani Retz zatrzymała się przy wnęcie, w której wisały dwa pastelowe portrety Roberta i Clausa. - Nie spakowała ich pani? - zdziwiła się. - W rozkazie wyraźnie napisano, że niczego nie wolno zdejmować, i dołączono wykaz tych kilku przedmiotów, z których książe zrezygnował. - To proszę się odwrócić, a ja te obrazy zdejmę. Pani wie, co tu się będzie działo, jak tylko zamkniemy za sobą drzwi? - A co się ma dziać? Służba pozostaje na miejscu, a Sonsfeldowie są przecież normalnymi ludźmi, nie żadnymi potworami... Nie rozmawialiśmy o tym, ale nie będę miała ci za złe, jeśli zostaniesz u Sonsfeldów... - Anna zająknęła się. - Na pewno cię poproszą i z pewnością zaproponują dobre warunki... - Moje walizki stoją już spakowane u kuzynki. - Znalazłaś inną posadę? - Godzinę temu. - Mogłabym wiedzieć u kogo? - Zdecydowałam błyskawicznie. Pewnie bym coś znalazła, ale postanowiłam wyjechać z Kassel i kiedy zaniósłam wiadomość Clausowi do koszar, wiedziałam już, co robić. Poszłam do komendanta Ralla i od jutra będę w jego regimencie zarządzać lazaretem. - Ty? I to u Ralla! Myślałam, że nie cierpisz mundurów... - Ci biedacy, których w nie ubierają, też ich nie cierpią. Przez chwilę patrzyły na siebie bez słowa, nagle Anna coś sobie przypomniała. - Ale przecież mówiłaś, że nie chcesz zostać w Kassel! Czy to znaczy, że wyjedziesz z oddziałami? Pani Retz przytaknęła. - Jadę z nimi. Jadę do Ameryki. - Jej niski donośny głos, z powodu którego całe życie czuła się nieszczęśliwa, zabrzmiał wyjątkowo miękko. - Będę towarzyszyć pani synom i przy każdej okazji dam pani znać, co się z nimi dzieje. - Poszła do drzwi. - Wiem doskonale, jak to jest, gdy się czeka, ludzi nadzieją, a żadna wiadomość nie przychodzi... - Nacisnęła klamkę i dodała: - Powiem na dole, że już jesteśmy gotowe. Anna skinęła głową. Chciała coś powiedzieć, podziękować, lecz czuła, że tylko pogorszyłaby sytuację, gdyż obie były bliskie płaczu. Poczekała, aż pani Retz zejdzie, i także wyszła z pokoju. O tej porze razem zapalały w całym domu świece i nakręcały zegary. Ciszę mącił tylko odgłos jej kroków. W ostatnich tygodniach, kiedy nocami nie mogła zasnąć i czytała w bibliotece, w domu nie było tak cicho jak teraz, jakby i on odwrócił się od Anny. Miała wrażenie, że podobnie jak służba, także przedmioty, obrazy, zegary, szafy spuszczały wzrok, gdy przechodzi. Na schodach zakręciło jej się w głowie. Podłoga zawirowała przed oczyma, ściany się zakołysały, w holu błysnęło światło i zaraz zgasło. - Gottfried! - zawołała, wyężdżając wszystkie siły, by nie zdradzić przed mężem, jak trudne są dla niej te ostatnie chwile. W półmroku dostrzegła zbliżającą się postać. Był to Lange. Na widok Anny podniósł wyżej lampę. - Och, łaskawa pani już wychodzi? - zdziwił się. Nie miał na sobie prostej ciemnej bluzy, którą z pogardą nosił od pierwszego dnia służby u Haynauów, lecz paradował w jedwabnych spodniach, kwiecistej brokatowej kamizelce i w peruce z lokami. - Szukam męża - odezwała się. - Niedawno widziałem jaśnie pana w

pokoju myśliwskim. - Dziękuję, Lange. Pewnie by nie uwierzył, gdyby mu powiedziała, jak bardzo się cieszy, że już się przystosował do nowej sytuacji. W gabinecie myśliwskim drzwi były otwarte na oścież, na stole stał wypalony niemal do końca ogarek, z kominka buchało przyjemne ciepło, mimo że żar dogasał, rzucając resztki czerwonej poświaty na oszkloną szafę z bronią. Klucz z zielonym chwostem tkwił w zamku. Zanim otworzyła drzwiczki, wiedziała, że jeden ze stojaków jest pusty, i wcale nie z ciekawości sprawdziła, czego brakuje. Gottfried wziął wysadzaną srebrem dwururkę, którą zamówił u rusznikarza Huberta Lernerera w Monachium, gdy zorganizował w Haynau pierwsze polowanie. Znow ten zawrót głowy, tym razem silniejszy niż na schodach. Pociemniało jej przed oczami. Gdy odzyskała przytomność, stała oparta o ścianę przy oknie i tak mocno trzymała się zasłony, że bolały ją stawy palców. Knot świecy utonął w roztopionym wosku, chwilę tlił się niebieskawym światłem i zgasł. Anna wyszła na korytarz. Wiedziała, że w gabinecie męża też zostanie tylko nie dopalona świeca i tłący się żar w kominku. Przy schodach zawróciła do swojego pokoju. Otworzyła szafę i drżącymi palcami przesuwiała pozostawione tam suknie. Wybrała dwie czarne, po czym wrzuciła je do jedynej otwartej jeszcze walizki. Włożywszy płaszcz i szal, pociągnęła za dzwonek. Dwa kandelabry przy schodach jasno rozbliły, hol wypełnił się służbą. W odświętnych strojach stali ze spuszczoneymi głowami. Anna postawiła walizkę i poprawiła kosmyk włosów opadający jej na czoło. Nie przygotowała się do pożegnania i nie wiedziała, co ma tym ludziom powiedzieć. Odetchnęła z ulgą, gdy Gilbert, przebrany już do podróży, zbliżył się i uklonił nisko. Podając jej przewiazaną tasiemką paczuszkę, rzekł: - Prosiłaś mnie pani, abym kiedyś spisał swoje przepisy. Niestety, nie zdążyłem zszyć luźnych kartek. - Dziękuję, Gilberte - odparła cicho. - Wracasz do Strasburga? - Jeszcze nie wiem. Chętnie widziano by mnie na dworze, ale odmówiłem. Gdybyś pani chciała, pozostanę na służbie. Co prawda w hotelu nie musiałbym gotować, ale... - Urwał, bo nagle wszyscy podnieśli głowy. Z dziedzińca dobiegł turkot zajeżdżającej karety. Gilbert wyjrzał przez wąskie okno przy drzwiach. - Już nie mogli się doczekać! - mruknął ze złością. W pierwszej chwili Anna chciała uciec, by nie spotkać się z nową właścicielką miejskiej rezydencji Haynauów. Wystarczyło tylko wziąć walizkę i bez pośpiechu skierować się do tylnych drzwi. Powóz dopiero się zatrzymał, lokaje muszą jeszcze spuścić schody, dama będzie poprawiać garderobę, czasu więc jest dość, a nikt ze służby, poza Gilbertem, nawet nie zauważy jej nieobecności. Lecz Anna nie była w stanie się poruszyć. Miała wrażenie, że patrzą na nią oczy tego domu i dziwią się, że ona, Anna von Haynau, chce z niego uciec. Nagle chwyciła walizkę, podbiegła do głównego wejścia i stanąwszy na najwyższym stopniu, czekała na Katharinę von Sonsfeld. W zbytnio jak na porę roku i wiek wydekoltowanej sukni, z narzuconą na ramiona etolą i z dziwacznym pieskiem na ręku, Katharina von Sonsfeld podchodziła do schodów miejskiego domu Haynauów. Nie spodziewała się, że zostanie tu jeszcze poprzednią właścicielką, i zdenerwowała się, widząc ją w drzwiach. Tryumfalny nastrój prysł. Ktoś postronny mógłby pomyśleć, że spotkały się dwie przyjaciółki. - Mam nadzieję, że nie sprawiłam kłopotu? - uśmiechnęła się Katharina. - Przyszłam trochę wcześniej, ale nie mogę nauczyć mojej pokojówki, aby prawidłowo nastawiała zegar. - Obie ręce miała zajęte: prawą przytrzymała etolę, lewą pieska, mimo to zrobiła ruch, jakby chciała rzucić się Annie w ramiona. - Ależ proszę wejść! - rzekła Anna. - Wszystko jest gotowe, służba czeka na panią. - Prawdę mówiąc, po cichu liczyłam, że jeszcze cię zastanę. Pani najlepiej znasz cały dom i byłabym wdzięczna, gdybyś zechciała mnie oprowadzić. - Monsieur Lange zrobi to z przyjemnością, a dom zna chyba lepiej ode mnie. - Gdyby bardzo ci na jakiejś rzeczy zależało, to mogłybyśmy... My, kobiety, jesteśmy bardziej wyrozumiałe. Nie wyobrażam sobie, że musiałabym decydować, co komuś zabrać, a co pozostawić. - Na tym domu akurat mi nie zależy. Zawsze traktowałam go jak hotel. Katharina von Sonsfeld lustrowała swoją przeciwniczkę spod przymrużonych powiek. Spotkanie nie przebiegało po jej myśli. Anna wcale nie zachowywała się jak ktoś, kto stracił cały majątek. Jedynie

skromny podróżny płaszcz potwierdzał jej sytuację, lecz nawet on podkreślał dumę Anny i co najbardziej Katharinę rozzłościło - jej młodzieńczy wygląd. Do wejścia tymczasem zbliżał się Lange z dwoma lokajami niosącymi walizki. Ochmistrz uklonił się nisko Katharinie, lecz go nie zauważyła, gdyż pod dom zajeżdżała karetą, znacznie ładniejszą od jej powozu. - To karetę i konie pani zostawiono? - zająknęła się, bynajmniej nie ze wstydu, ale z oburzenia, że książę potraktował Haynauów nazbyt łagodnie. - Mój zięć dysponuje listą skonfiskowanych rzeczy, więc gdyby wystąpiły jakieś nieprawidłowości, to znajdę panią w hotelu, prawda? Lokaje wynieśli następne walizki, a towarzyszący im Lange za każdym razem kłaniał się nisko Katharinie, przeklinając w duchu, że przy pierwszej wizycie nowej pani on musi jeszcze usługiwać starej. Próbował przynajmniej wzrokiem dać jej znać, jak bardzo jest mu przykro, jednakże Katharinę interesowały wyłącznie wynoszone z domu bagaże. Wyobrażała sobie, że po konfiskacie majątku Haynauowie znajdą się na bruku z jednym węzełkiem w ręku, tymczasem ledwo można doliczyć się wynoszonych skrzyń. Najchętniej kazałaby wszystkie pootwierać. - Myślałam, że bagaże są już wraz z meblami w hotelu? Anna nie odpowiedziała. Wzięła podręczny sakwojaż i po raz ostatni popatrzyła na Katharinę, która gorączkowo, acz nadaremnie szukała słów podsumowujących ich krótkie spotkanie. Spojrzenie Anny dosłownie ją sparaliżowało. Nie było w nim nienawiści, dumy, nawet rozpaczy, za to krył się uśmiech. Lange po raz kolejny uklonił się pani Sonsfeld. - Mogę już wejść? - spytała, a on usłużnie wprowadził ją do holu. Oba skrzydła drzwi otworzyły się na oścież. Służba stała półkolem, mężczyźni z pochylonymi głowami, kobiety w niskim pokłonie. Wyglądali, jakby w ogóle nie mieli twarzy. Anna patrzyła obojętnie, jak ktoś, kto przypadkiem z ulicy zajrzał do obcego domu. Lekkim krokiem zbiegła po schodach i wsiadła do powozu. Woźnica służył u Haynauów od lat, wiedział, dokąd po raz ostatni ma zawieźć swoją panią, mimo to Anna podała mu nazwę hotelu, jakby był doróżkarzem. Domy, ulice, place - wszystko nagle wydało jej się nieznanym. Czuła się jak podróżny, z okna karety z zaciekawieniem, ale i obojętnością oglądający obce miasto, w którym znalazł się tylko przejazdem. Dom, który opuściła, był już przeszłością, Kassel było przeszłością, ona sama była przeszłością. Zdarza się to podobno ludziom, którzy długie lata podróżują po świecie i z czasem ich własne nazwisko, ich życie, kojarzy im się wyłącznie z miejscami, gdzie na krótko zamieszkiwali. Odkąd Boromeusz Guffler, zachęcony zwolnieniem z podatków na dziesięć lat, przebudował swój zajazd na elegancki hotel, nie wychodził już, jak dawniej, na powitanie każdego nowego gościa. Kiedy jednak przybywał ktoś, kto zasługiwał na takie wyróżnienie, portier dawał mu znak i gospodarz zjawiał się w holu. Guffler nie był jedynym mężczyzną w Kassel, który przyznawał się, że jest nieślubnym synem starego księcia, a więc przyrodnim bratem panującego landgraфа. Nikt zresztą nie próbował tego negować, gdyż podobieństwo aż nadto rzucało się w oczy: masywna sylwetka, ciężki chód i niebieskie wodniste oczy. Obwieszczanego gościa Guffler widział najpierw w dużym lustrze wiszącym w jego kantorze. Wstawał, poprawiał ubranie, przybierał odpowiednią minę i dopiero wówczas wychodził. Nowymi gośćmi nie był zachwycony i chyba wolałby widzieć w hotelu kwaterę nieprzyjacielskich wojsk, niż przyjmować pod swoim dachem tych Haynauów... Przemyślał dokładnie, za ile może od nich odkupić meble. Nie będzie się targował, byleby wyjechali jak najprędzej. Na wszelki wypadek zamówił już duży wygodny powóz do dalekich podróży. Zgodził się ich przyjąć, ale niech sobie nie myślą, że zasiądą przy honorowym stole! Oni zresztą chyba na to nie liczą, bo po cóż by sprowadzali do hotelu tyle zapasów żywności. Pani Retz przywiozła tego dwa wielkie pełne kosze... Hersztbabsko! Tak go przycisnęła, że musiał w piwnicy zrobić miejsce na te jej wiktuały! Wolałby wszystkie kwestie omówić z Gottfriedem von Haynau, lecz on przysłał najpierw tę babę, a teraz żonę. Kobiety w takich sytuacjach jakoś łatwo zapominają o wrodzonej dumie i z nieugiętą wolą potrafią postawić na swoim. Zamknął księgę wydatków, która zawsze leżała na jego biurku, i wybiegł z kantoru, jakby miał coś strasznie ważnego do załatwienia. - Nie chcę wam

zabierać czasu - rzekła spokojnie Anna von Haynau. - Klucze przecież mógł mi wydać portier. Na takie powitanie Boromeusz Guffler nie był przygotowany. Jego plany wisiały na włosku. - Klucze? - powtórzył zmieszany. - Oczywiście... Ale pokoje nie są jeszcze gotowe. - Jak to nie gotowe? Proszę dać mi klucze i natychmiast przysłać kogoś, kto je przygotowuje. Portier przezornie zniknął, zostawiając Gufflera sam na sam z Anną w holu, który bardziej przypominał egzotyczną palmiarnię niż westybul hotelu. W przewiązanych zielonymi szarfami porcelanowych donicach rosły krzaki i drzewka, które dzięki dwóm wielkim piecom tak wybuchały, że ich liście niemal zasłaniały krzesła i stoliki. Guffler oparł się o kontuar, zaraz wszakże uznał, że jest to nazbyt poufała postawa, i wyprostował się. - Sądziłem, że chodzi tylko o pozostawienie mebli, i do głowy mi nie przyszło, że zamierzacie państwo tu zamieszkać. Zaraz każę napalić w pokojach. Anna obrzuciła go obojętnym wzrokiem, lekko zniecierpliwiona. Wyjęła z kieszeni płaszcz pełną sakiewkę i położyła na ladzie. - Za czterdzieści minut chcę widzieć nakryty stół dla czterech osób - rzekła i wręczyła Gufflerowi kartkę. - Tu jest menu. Jeśli trzeba coś zmienić, proszę to wcześniej ze mną uzgodnić. Boromeusz przytaknął, nie odrywając wzroku od sakiewki. Przez cienką skórę wyraźnie było widać same duże monety, a gości, którzy kiedykolwiek mu takimi płacili, mógł policzyć na palcach jednej ręki. Kassel nie było miastem, gdzie bogaci podróżni zatrzymywali się dłużej niż na kilka dni. Co prawda cudzoziemców trochę przybywało, za to ubywało niemieckich podróżnych, dla których jego hotel stał się zbyt luksusowy i przez to zbyt drogi. Na domiar złego już za dwa dni wyjadą z Kassel żołnierze, a wraz z nimi oficerowie, co wieczór grywający w hotelowym kasynie w karty. Jak każdy dusigrosz, Guffler nie potrafił cieszyć się zarobionymi pieniędzmi, lecz żył w ciągłym strachu przed wymyślanym bankructwem. Wziął sakiewkę do ręki i zważył z wyczuciem, zastanawiając się, jak opróżnić ją do ostatniego grajcara. Odchylił głowę lekko w tył i przybrał zmęczoną minę. Podejrzał ten gest u angielskiego majora Faucitta, który niedawno u niego nocował. - Połowę personelu zabrano mi do wojska. Właściwie powinienem ten hotel zamknąć, ale jeśli łaskawa pani da mi godzinę...? Anna wzięła klucz i odwróciła się. Wchodząc po schodach na pierwsze piętro, usłyszała dzwonek zwołujący hotelową służbę. Płyty, na których podgrzewano półmiski, zmieniono już dwa razy. Dwaj kelnerzy stali obok wózka z potrawami, i patrzyli przed siebie obojętnym wzrokiem, jakby spali na stojąco. Ich obecność działała Annie von Haynau na nerwy. - Odnieście to wszystko do kuchni. Jak będę potrzebowała, to po was zadzwonię. Zanim sztywne figury nabrały życia, minęło z pół minuty. Ukłonili się, jeden otworzył drzwi, drugi wypchnął wózek. Anna odetchnęła z ulgą. Spokoju nie zakłócał jej już żaden obcy zapach, obce milczenie, jednakże siedząc z założonymi rękoma, przestała także myśleć o sobie i bliskich. Raz po raz niczym zeschnięte liście szeleściła jej suknia. Tylko na to miała jeszcze wpływ. Uwolniona od myśli i uczuć, zapomniała nawet, że na kogoś czeka. Zobaczyła, że mosiężna klamka, w której odbijają się płomienie świec, poruszyła się, widziała, że wszedł Claus, lecz nie zareagowała. Dopiero gdy zamknął za sobą drzwi, spytała: - A gdzie pozostali? Ostrogi zabrzączały o posadzkę, powietrze wypełnił zapach wilgotnej skórzanej odzieży. Claus stanął po przeciwnej stronie stołu. - Podejdz, proszę, i usiądź. Każecie mi strasznie długo na siebie czekać - rzekła cicho. Twarz Clausa była bielsza niż jego gładko przyczesana peruka. Stał nieruchomo, nerwowo ściskając pod pachą złożony trójgraniasty kapelusz. Albo jej się zdawało, albo rzeczywiście unikał jej spojrzenia. - Że wy dwaj się wiecznie spóźniacie, to rozumiem, ale nie wiem, dlaczego jeszcze nie ma ojca? Zawsze razem czekaliśmy na was przy nakrytym stole... Dostałeś moją wiadomość? - Jej głos brzmiał, jakby dochodził z oddali, skądś gdzie błędził także jej wzrok. - Dlaczego milczysz i nie odpowiadasz? Nie pozwolono Robertowi opuścić koszar? Przecież go ulaskawiono! W końcu jesteśmy jeszcze rodziną, czy już nie? Claus rzucił kapelusz na krzesło, oparł się o nie i z utkwionym w palącą się na stole świecę wzrokiem rzekł: - Mamo, przynoszę złe wieści. Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć. Anna

uniosła głowę. Claus miał wrażenie, że zrzuciła zasłonę, która do tej pory przykrywała jej twarz. - Spójrz mi w oczy! - rzekła. - Wiesz chyba dobrze, że po tym wszystkim żadna zła wiadomość już mnie nie zaskoczy. Straciliśmy cały majątek, jak siedzę w hotelowym pokoju na kilku walizkach, więc co jeszcze mogą nam zabrać? Gdyby matka wpadła w rozpacz, Claus czułby się lepiej. Jej obojętność i spokój wręcz go paraliżowały, choć rozumiał, że są dla niej jedyną deską ratunku. Jeżeli po tym, co jej powie, załamie się, nie pozostanie jej już rzeczywiście nic. - Dlaczego nie mówisz? Czekam! - Dwóch giermków landgrafa objężdża codziennie książęce ogrody na błoniach. Wracali około piątej, gdy już zmierzchało, i usłyszeli strzał. To oni go znaleźli, w przeciwnym razie leżałby tam do jutra. Upadł na brzegu niedawno wykopanego stawu, dwururka wypadła mu z rąk... - O kim ty mówisz? Co stało się Robertowi? - Ojcu, mam! Zastrzelił się z myśliwskiej strzelby. Lekarz był zaraz na miejscu... Nie rozróżniała poszczególnych słów, domyślała się tylko ich sensu. Miała wrażenie, że oblewa ją fala ognistych płomieni. Nie broniła się. Chciała spłonąć, zniknąć i o niczym już nie myśleć, z nikim nie rozmawiać. Podniosła się, lecz zważyła nagle, czy nogi nie odmówią jej posłuszeństwa. - On zawsze był silniejszy niż my wszyscy razem - szepnęła, patrząc wyczekująco na Clausa. - Dlaczego teraz zabrakło mu siły? Czy strata majątku aż tak go załamała? Chyba nie... Musiał stracić coś, co było dla niego ważniejsze niż pieniądze... Gdzie on jest teraz? - Lekarz nie mógł już nic pomóc... - Przecież wiem, że nie żyje - przerwała. - Twój ojciec nigdy nie robił niczego połowicznie. Podaj mi płaszcz, proszę. - Ciało zabrali do koszar. Nie wiedzą, gdzie go pochować. - Za życia odmówiono mu miejsca w Kassel, ale pochówku odmówić nie mogą. Z łoży można wykluczyć tylko żywych, zmarłych już nie! - Nie dość mamy kłopotów, mam? Po co jeszcze podburzać ludzi? Popatrzyła na niego z wyrzutem i podeszła do okna. Claus na początku gotów był współczuć matce, lecz jej chłodne opanowanie sprawiło mu taki ból, że zawiodły go nerwy. Nie mógł dłużej milczeć, musiał wyrzucić z siebie wszystko, co nie dawało mu spokoju. Przed oczyma stanęła mu otwarta rana w głowie ojca, biała przepaska na czole i ciemnobrązowe plamy zaschniętej krwi. Wyraźnie zobaczył woskową twarz i sine zamknięte powieki, a potem przypomniał mu się Robert, jego zachowanie na placu ćwiczeń dziś rano. - Nie doszłoby do tego, gdyby nie bezmyślność Roberta. Nie siedziałabyś tutaj, ojciec by żył i wszystko byłoby jak dawniej - rzekł zdławionym głosem. - Ale on odpowie mi za to! Odpokutuje za nieszczęścia, które na nas ściągnął Anna odwróciła się. - Milcz! I ani słowa więcej! Lepiej zapomnij, co przed chwilą powiedziałeś! - Tym razem nie zmusisz mnie do milczenia! - Nakazuję ci! - Nie będziesz mi rozkazywać! Musisz mnie wysłuchać! Nienawidzę Roberta, rozumiesz? Jak mocno ty go kochasz, tak mocno ja go nienawidzę! Musi mi za to zapłacić, nie daruję mu! - Sam nie wiesz, co mówisz - rzekła spokojnie. - Nie będę milczała! Za długo dusiłem wszystko w sobie. Gdybym wtedy, nad Wezerą zdobył się na więcej odwagi... Zamiast go wydać, powinienem był go zabić! Anna popatrzyła na syna uważnie, choć bez cienia wyrzutu. - A więc wydałeś Roberta z pełną premedytacją? Sądziłam, że tylko ogarnął cię strach... - No powiedz wreszcie, co miałeś na myśli! Tak, to był strach, ale nie tchórzostwo! Straciłem głowę i nie wiedziałem, co robię. Bałem się, lecz żeby kogoś zabić ze strachu, trzeba mieć sporo odwagi. Rozumiesz? - Chwycił ją za ramiona. - Ty nie chcesz zrozumieć! Gdyby Roberta dziś rano stracono, też powiedziałabyś, że to moja wina. Przestałabyś mnie nienawidzić? Cofnęła się, ręce opadły jej bezwładnie. - Obaj jesteście moimi synami, i on, i ty - szepnęła. - Tylko że Robert zawsze był ci bliższy, zawsze kochałaś tylko jego! - To straszne! Najgorsze, co mogło mnie spotkać, a byłam pewna, że nic więcej już stracić nie mogę. Claus miał ochotę wziąć matkę w ramiona, a jednocześnie bał się, że ona zrobi to pierwsza. Lecz Anna stała ze spuszczonej oczami, nie poruszyła się nawet, a Claus czuł, jak traci nad sobą panowanie, jak jakaś wewnętrzna siła każe mu zadać matce ból, zemścić się także na niej. - I co? Myślisz wyłącznie o nim, o twoim Robercie! Ojciec i ja byliśmy dla ciebie obcy, przyznaj to wreszcie! Zamilkł, bo po jej policzkach popłynęły łzy.

Czyżby rzeczywiście spełniło się jego życzenie, by skłócić matkę z Robertem i mieć ją tylko dla siebie? Objął ją, czując bijący od niej chłód. - Jeżeli którąkolwiek rodzinę spotyka coś takiego jak nas - rzekła powoli - winni są wszyscy albo nikt. Claus trzymał ją w ramionach i miał nadzieję, że zacznie mówić inaczej. - Nie wiem, jak możesz żyć ze świadomością, że wydałeś brata - ciągnęła tym samym monotonnym głosem. - Dla Roberta nic zrobić nie mogę, bo tylko pogorszyłabym jego sytuację. Nie mogę też prosić ciebie, abys przestał go nienawidzić, bo nic tak nie zaślepia człowieka jak nienawiść. Ona potrafi zniszczyć do cna. Boję się ciebie, Claus. Jak szybko i niepowstrzymanie potrafi ludzi połączyć miłość i nienawiść, tak szybko między matką i synem wyrósł mur słów, wypowiedzianych i nie wypowiedzianych. Claus czuł, że jakaś potężna siła odsuwa go od matki, że powiększa się dystans dzielący go od jej sylwetki, od bladej, coraz bledszej twarzy. - Gdzie znajdę ojca? - Jej głos doszedł go z oddali. - Ja wszystkim się zajmę - odpowiedział. - Gdzie on jest? - W koszarach. Proszę cię, ja to załatwię. Zrozum, dla ciebie jest to za trudne. Wyszła bez słowa, po chwili wróciła w płaszczu, z szalem przewieszonym przez ramię. Spojrzała na Clausa. W jej oczach nie było nienawiści ani wyrzutu, jak się spodziewał, a jedynie nieopisany ból. Obiema rękoma nakryła czarnym szalem głowę i twarz. Zaszeleściła suknią, zgrzytnęła klamka. Odeszła. 26 W ciągu dwunastu dni podróży Anna von Haynau opuszczała powóz tylko wtedy, gdy zmieniano konie i gdy wieczorami zatrzymywali się przed gospodarzami na nocleg. Rozpoznawała już każdy zgrzyt kół i resorów karety i wcale nie musiała patrzeć, by wiedzieć, czy jadą po bruku, piaszczystym lub gliniastym traktem, albo przez drewniany most. Sama w wynajętym dyliżansie, z nikim nie rozmawiała, nie wyglądała nawet przez okno, które dokładnie zasłoniła. Wsłuchiwała się w odgłosy z zewnątrz. Pierwszego dnia wydały jej się nieznośne do bólu, później przywykła i dzięki nim szybko uporządkowała swoje myśli. Od pewnego czasu odgłos kół brzmiał jakoś inaczej. Konie szły coraz wolniej, wreszcie dyliżans stanął. Anna szybko odsunęła zasłonkę i nie mogła uwierzyć własnym oczom: powóz stał aż po osie w wodzie! Gdyby nie ciągnące się po obu stronach zabudowania, pomyślałaby, że jadą korytem rzeki. Woźnica wychylił się z kozła. - Chyba będzie trzeba zawrócić! - zawołał. - Mowy nie ma! - odpowiedziała bez wahania. - Czy po to zapłaciłam podwójną taryfę? Proszę natychmiast ruszać! Sami mówiliście, że nie mamy czasu do stracenia, jeśli chcemy zdażyć na statek. To wyście radzili, by nie płynąć rzeką, a jechać. Woźnica, młody mężczyzna w drelichowym płaszczu i szarozielonym kapturze, który wyglądał na marynarza, skrzywił się. - Kto mógł przewidzieć, że rzeka drugi raz w tym roku wystąpi z brzegów? Przecież od kilku dni w ogóle nie padało. Prawdopodobnie wiatr cofnął wodę z morza i stąd ta powódź. - Cokolwiek by to było - przerwała Anna - musimy jechać dalej. Nie mogę się spóźnić na zaokrętowanie. - Jeżeli nie zawrócimy, stracimy nie tylko czas, łaskawa pani - rzekł, czekając na jej zgodę, lecz ona sprawiała wrażenie, jakby lada moment miała wsiąść i dalej iść piechotą. Tak to jest z kobietami podróżującymi samotnie wynajętym dyliżansem: trzeba liczyć się z niespodziankami. Na jednym postoju wsiadają do powozu jako zakonnice, by na drugim wsiąść w męskim stroju i po posiłku w gospodzie wrócić z dzieckiem na rękę... Z tą wcale nie jest łatwiej. - Jak nie chcecie zawracać, łaskawa pani, to widzę tylko jedno wyjście. Musicie usiąść na kozle obok mnie. Jakoś dojedziemy, a później łodzią ktoś podwiezie was na redę. - Czemu od razu tak nie mówicie? Proszę mi pomóc! Zeskoczył z kozła, uważając, aby woda nie wlała mu się za cholewy. Przeniósł Annę, a gdy usiadła na kozle, owinał jej nogi kocem. - Proszę otulić się szalem - rzekł z troską i spoglądając ze skruczą w oczach, dodał: - Naprawdę myślałem, że przejedziemy. W przeciwnym razie nie wyruszyłbym w drogę. Anna skinęła tylko głową. Wsunęła dłonie głęboko w rękawy i zapatrzyła się przed siebie. Błada, poważna. Trudno powiedzieć, w jakim jest wieku. Gdy ją niósł, zdawało mu się, że niesie młodą dziewczynę. Miała delikatną cerę, gdyby się uśmiechnęła, byłaby naprawdę śliczna, ale ani jej oczy, ani usta nie miały ochoty się uśmiechać. Z obejścia jednego z podtopionych domów wypłynęła

Łódź. Kobieta z dzieckiem w beciku siedziała, mężczyzna stał i manewrował długą żerdzią. Przy kilku domach przystawiono do okien drabiny, na ryneczku mężczyźni w skórzanych szarawarach budowali wzdłuż domów pomosty z drewnianych kozłów i desek. Woda z bulgotem wdzierała się do piwnicznych okien, wymywając owoce, drewno na opał, dziecięce zabawki. - Co roku to samo - odezwał się woźnica. - Ludzie tutaj przywykli do powodzi, ale żeby zalało ich dwa razy pod rząd, to zdarza się rzadko. Tydzień temu było tu jeszcze gorzej, a akurat maszerowały tędy heskie oddziały. Cała armia po kolana w wodzie! Woda potrafi się podnieść w mig, z godziny na godzinę. Anna milczała, nie miała ochoty na rozmowę. Przed tygodniem, powiedział? To może statki są już w morzu? Rybak, który przewiózł ją z kilkoma pakunkami na redę do portu, prawdopodobnie wiedział, lecz nie odważyła się zadać mu tego pytania. W gruncie rzeczy nie było to ważne. Wracać nie miała po co, a prędzej czy później na jakiś statek wsiądzie. Od chwili gdy zasłoniła twarz czarnym welonem, żyła jak w transie. Całą energię wyczerpała przekonując loże, by pochowano jej męża z należnymi honorami. Później siadywała przed wygasłym kominkiem, wpatrzona w popiół, lub chodziła bez celu po łące, na której zastrzelił się Gottfried. Raz doszła pod dom kuzynki pani Retz, ale swojej dawnej klucznicy już nie zastała - opuściła Kassel wraz z heskimi żołnierzami. A więc pani Retz postawiła na swoim? Claus przyszedł się pożegnać i nie wspomniał o pani Retz ani słowem, a przecież chyba wiedział... Robert i Claus, jej synowie. Zapomniała o nich, zajęta zmarłym mężem, a powinna być razem z nimi! Pobiegnęła do hotelu, zrzuciła żałobny welon. Miała wrażenie, że ocknęła się ze snu. Wysypała na podłogę zawartość skrzyń i kufrów, wybrała rzeczy, które mogła sprzedać, i spakowała tylko niewielką walizkę i sakwojaż. Łodzią nagle zachybotano, fale na rzece wydłużyły się, głośno chlupocząc o burty. Rybak przestał wiosłować, łódka unoszona przez nurt płynęła coraz szybciej. Nad ich głowami mewa poszybowała w szare niebo, odbierające światu kolory, a nawet kształty. Annie zdawało się, że także jej przeszłość ulega wymazaniu. Czuła się lekka jak ta niesiona nurtem łódka, jak ta mewa porwana przez wiatr nad otwarte morze. Na horyzoncie pokazało się nabrzeże, maszty statków, dachy zabudowań i Anna dopiero teraz uświadomiła sobie, że jest u celu swojej wyprawy. Statki na redzie wyglądały niczym wykute z kamienia, niezdolne do wypłynięcia w morze, a służące jedynie do powstrzymywania fal. - Gdybyśmy kawałek nie płynęli pod prąd, byłoby szybciej - odezwał się rybak. Anna przytaknęła, jakby jego słowa miały dla niej duże znaczenie. Wzięła walizkę, sakwojaż i wstała. Kamienne schodki były śliskie, lecz Anna pokonała je pewnie i lekko, jakby ktoś niewidzialny prowadził ją za rękę. Czuła ciężar bagaży, ale nie narzekała, gdyż był to dowód, iż nie śni. Ten port był rzeczywistością, podobnie jak głośny krzyk tłumu, który nagle zerwał się gdzieś w pobliżu. - Niech żyje król! Poszła w tamtym kierunku. Na końcu schodów zawahała się, chociaż nie ze strachu, że popełnia błąd. Było to wahanie kogoś, kto wracając z krainy samotności, stawia pierwszy krok ku życiu. Szła zapatrzona w bruk, gdy nagle przed jej oczami stanął mur czarnych butów i żółtych kamaszy, przywołujący wspomnienie z dzieciństwa. Rodzice zabrali ją na paradę wojskową. Hałas, kurz, dwie ciągnące ją ręce i podobny mur z czarnych cholew. Potem ojciec wziął ją na ramiona i zobaczyła, że to żołnierze, ale zapamiętała tylko widok ich butów. Błękitne sylwetki zbite w oddziały stały nieruchomo, w świetle połyskiwały srebrne epolety. Anna starała się rozpoznać twarze, ale wszyscy żołnierze wyglądali jak umundurowane marionetki. Wzniesli okrzyk, rzucili w powietrze rogatki czapki, na powrót je włożyli, opuścili ręce. Regiment stał na placu opadającym ku nabrzeżu, przy którym wznosiły się wąskie domy z ostrymi dachami. Przypominały teatralną dekorację: namalowane kominy, gzymsy i ludzie z okien przyglądający się musztrze i przysiędze heskich najemników. Pierwszy szereg posunął się o krok, grupa angielskich oficerów rozpoczęła inspekcję. Liczyli, szacowali wygląd, coś sprawdzali. Jednego Anna chyba знаła. To dla niego uczyła się kilku angielskich zdań na powitanie, gdy na jego cześć w ich domu w Kassel odbyło się przyjęcie. Widzów przybywało i Anna, nie wiedząc jakim sposobem,

znalazła się przy rybackich domach, za plecami żołnierzy. Wędrowni kupcy rozłożyli tam swoje kramy. Na wietrze powiewały kolorowe tkaniny, unosił się mocny zapach śledzi smażonych na ruszcie. Ktoś głośno zachwalał świeże bułeczki, ktoś inny miedziane sztychy z miniaturami niemieckich miast. Zjawił się nawet złotnik, który na kopertach zegarków i na medalionach grawerował datę i miejsce: 20 marca 1776, Bremerlehe. - Zydelek za grajcara! - zawołała za plecami Anny skromnie ubrana kobieta, oferując widzom miejsce do siedzenia. W kramie pod zielonym parasolem zostawiła piramidę wiklinowych koszyków. Kramarka wyłowiła wzrokiem skórzaną walizkę Anny, coś chciała powiedzieć, lecz powstrzymało ją warczenie werbli. Błękitne szeregi wykonały zwrot w prawo i pomaszerowały w kierunku żaglowca, z którego na linach zwiślał drewniany trap. Hescy żołnierze wchodzili na pokład. Wyraźny, mocny stukot ich butów o bruk mieszał się ze stłumionym odgłosem kroków na trapie, po którym wchodzili ciasnym szeregiem. Gdy byli na górze, miało się wrażenie, że błękitne postaci poruszają się w powietrzu. Potem nagle znikali, jak ustrzelone blaszane figurki w odpustowej strzelnicy. Trap na chwilę opustoszał. Mewy obniżyły lot, zaraz wszakże poszybowały w górę, gdy na plac wyległy kobiety z koszykami, węzełkami i w bezładzie rzuciły się na trap. Z rozwianymi włosami i szalami, w nadętych wiatrem spódnicach przesuwwały się po pokładzie i zapadały w przepastną czeluść statku. Wśród gmatwaniny lin wokół masztów, gdzie do tej pory widać było kolorowe plamki małych żagli, zaczęto rozwijać wielkie białe płótna. Ich biel aż raziła w oczy i Anna musiała odwrócić głowę. Na opustoszałym placu zostali tylko angielscy oficerowie w czerwonych mundurach. Spacerowali, rozmawiali, palili cygara, spokojni i zrównoważeni. Annie przypomniał się koński targ w Ziegenhain: ceny ustalono, parobcy odprowadzili zakupione konie, a gospodarze wciąż stoją i dyskutują o dokonanych transakcjach. Jeden z oficerów odłączył się, przeszedł wzdłuż kei, podniósł coś szpicrutą z ziemi i szczerząc białe zęby pod rudym wąsem, roześmiał się na całe gardło. Trzymał podeptany trójgraniasty kapelusz. - Nie wiem, czy was też, ale mnie ci w czerwonych mundurach denerwują. Od razu wpadam w złość! - odezwała się handlarka koszyków do Anny. - No, weźcie, gorąca herbata dobrze wam zrobi, ino uważajcie, bo ucho się urwało. Anna wzięła gorący kubek w obie dłonie i dopiero teraz zauważyła, że ma palce zziębnięte jak lód. Mocną i słodką herbatę piła powoli. - Dobra, prawda? - spytała handlarka. - Dałam mężowi pełną puszkę, po prawdzie to mu ją przeszmuglowałam, bo mówię wam, od tego, co powiadają o warunkach na statku, to człowiekowi włosy się jeżą. Dwunastu chłopów wtłaczają do jednej koi! - Skąd o tym wszystkim wiecie? - Już trzy dni ładują ludzi na statki i szybko je odstawiają na redę, boby im połowa pouciekała. Paru wyskoczyło za burłę, choć grozi za to wysoka kara. - A nie wiecie, które regimenty już zaokrętowano? - spytała Anna, zerkając na maszt, na którym rozwijano brytyjską flagę, czerwono-niebiesko-białą z potrójnym krzyżem w prawym rogu. Na pokładzie wykrzykiwano komendy. Kolos drgnął, gdy zrzuciono liny, żagle nabrały powietrza i rufa zaczęła z wolna oddalać się od przystani. Anna zaniepokoiła się. Na co czeka? Dlaczego nic jeszcze nie zrobiła? Dlaczego ta kobieta milczy? Chciała zabrać bagaże i odejść, lecz runął na nią tłum gapiów, który nagle wypłynął z uliczek zbiegających się na placu. Strach, że zostanie stratowana, dodał jej siły i Anna przedzierała się przez tłum, aż do chwili gdy strażnicy z wyciągniętymi bagnetami zagrodzili jej drogę. Krzyki gapiów zagłuszyła marszowa muzyka. U wylotu jednej z uliczek pojawił się tamburmajor i werbliści, za nimi oddział wojska maszerujący defiladowym krokiem. Bębny huczały, jakby chciały zmusić stojące przy placu domy do usunięcia się i zrobienia miejsca nadchodzącym żołnierzom. W tłumie zapadło milczenie. Anna przyjrzała się twarzom stojących obok niej ludzi. Zaledwie kilku starych mężczyzn, reszta to wyłącznie kobiety w różnym wieku. Poważne, ściągnięte twarze z niemym wyrazem bezsilnego buntu, dziwnie wszystkie do siebie podobne, jak ziarna zboża z tego samego pokosu. Wygaszone oczy, wysmagane wiatrem policzki, jakby wyrzeźbiła je jedna ręka. Skazane na ten sam los - stanie na uboczu z

pochyloną głową, bez prawa sprzeciwu. Protestować mogły tylko milczeniem. Anna szczerzej otuliła się płaszczem. Kolumny żołnierzy przechodziły tuż obok niej, przesuwali się potok falujących niczym odbicie w wodzie twarzy. Ilekroć Anna próbowała przywołać twarz Gottfrieda, za każdym razem widziała ją jakby odbitą w wodzie, drżącą z niecierpliwości, nawet wówczas gdy leżał w trumnie. Sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się doczekać, kiedy się obudzi. Patrząc na niego, Anna gotowa była usprawiedliwić jego czyn. Zadając sobie śmierć, chciał chyba po raz ostatni zaprotestować przeciw nieuchronności losu... Po bruku wciąż dudniły kroki żołnierzy, huczały bębny. Za wojskiem na plac wyla się tłumek kobiet i szybko wmieszał pomiędzy gapiów. Rozpoczęła się paradna musztra i przygotowania do przysięgi. W odróżnieniu od poprzedniego oddziału, ten nie miał błękitnych mundurów, lecz zielone, jak strzelcy majora Ralla... Anna czuła, że ktoś klepie ją po ramieniu, nie zwróciła wszakże na to uwagi. Wpatrzona w zielone szeregi, próbowała rozpoznać twarze, lecz z tej odległości widziała jedynie jasne plamy pomiędzy mundurem a czapką. - To naprawdę pani? - usłyszała kobiecy głos za swoimi plecami. - Co pani tu robi? Jak się tu znalazła? Anna obrzuciła niechętnym spojrzeniem stojącą za nią kobietę w kapturze, spod którego wiatr wywiewał kosmyki siwych włosów. Na ramiona miała zarzucony szal, na plecach skórzany wór, jaki noszą wędrowni czeladnicy. - To regiment majora Ralla, prawda? - spytała Anna. - Pani mnie nie poznaje? Aż tak chyba się nie zmieniałam?! Prawda, nie pachnę już wykrochmaloną bielizną i lawendą... To przecież ja, stara Retzowa! - Moi synowie tam są? - spytała Anna krótko. - Przejechała pani taki szmat drogi, żeby ich jeszcze raz zobaczyć? Stąd nie można ich rozpoznać, ale na pewno obaj gdzieś tam stoją, cali i zdrowi. Właściwie na mnie już czas... Gdzie pani mieszka? - Przyjechałam dosłownie przed chwilą. Pani Retz dopiero teraz dostrzegła walizki Anny. Popatrzyły na siebie bez słowa, rozumiejąc się doskonale, jak za dawnych czasów, gdy ufały sobie bezgranicznie. - Proszę mi dać te walizki - rzekła pani Retz. - Musimy znaleźć miejsce, skąd zobaczy pani swoich synów, gdy będą wsiadali na statek. Gdyby jednak nie udało się przyciągnąć ich uwagi, to powiem im później, że pani tu była. Mogę też przekazać jakąś wiadomość... Anna przerwała jej ruchem ręki. - Czy Anglicy kontrolują również kobiety wsiadające na pokład? - Co? - Pani Retz badawczo spojrzała na Annę. - Chyba nie chce pani...? Proszę to sobie wybić z głowy! Naprawdę ryzykowałyby pani wejście na pokład? - Boisz się, że dostanę choroby morskiej? - Pani sobie nie wyobraża, co tam panią czeka! - To samo co moich synów. - Ale pani jest kobietą! Nie płynęła pani z nami Wezerą, więc nie wie, co to ciasnota, zimno, marne jedzenie, przeklinający mężczyźni, ciągle ponížanie. Niech pani popatrzy na kobiety odprowadzające swoich mężów; one przywykły do tego, a zobaczy pani, co będzie się działo na pokładzie! Proszę pamiętać, kim pani jest. - A ty? - spytała Anna ze spokojem. - Kim ty jesteś i dlaczego znalazłaś się tutaj? Tylko proszę odpowiedzieć mi szczerze. Pani Retz machnęła ręką. - Jestem za młoda, by siedzieć w fotelu, cerować pończochy i karmić kanarki, ale nie tak stara, by nie móc bandażować i obmywać rannych. - Mogę robić to samo. Pani Retz nie protestowała, w głębi duszy nawet nie zamierzała. Nad placem zabrzmiały słowa przysięgi, momenty ciszy przeplatały się z głośnymi okrzykami. Pięćset rąk wyrzuciło wysoko pięćset trójganiastych kapeluszy. Jeden na pewno należy do Clausa, drugi do Roberta. Jedna z upudrowanych peruk z czarną szarfą z tyłu bez wątplenia zdobi głowę Soermana. - Niech żyje król! - zabrzmiało nad placem i portem. Anna była przekonana, że jeden z ubranych na zielono mężczyzn w tej chwili milczy. Zobaczyła przed sobą twarz Roberta - ma otwarte usta, lecz nie wydaje głosu. Nie przysięga obcemu królowi, że będzie bronił obcej ziemi... Zielone szeregi rozdzieliły się i pojedynczymi kolumnami przesunęły ku kładce wiodącej na statek. Gdy ostatni żołnierz zniknął pod pokładem, do trupu rzuciły się kobiety i jak poprzednio z krzykiem przepychały się jedna przez drugą. Wkrótce Anna także będzie walczyć, by przypadkiem nie zostać na kei. Od morza powiał silniejszy wiatr, niosąc przesycone solą podmuchy. Gryzł w oczy.

Przez płataninę lin Anna patrzyła na las połyskujących na placu bagnetów. W ich oślepiającym świetle starała się nie myśleć, co przyniesie przyszłość. Księga druga Pan z Redford Ja..., uznając Stany Zjednoczone Ameryki za wolne, niezawisłe i suwerenne państwo, oświadczam, że zamieszkujący je naród nie ma żadnego obowiązku posłuszeństwa królowi Wielkiej Brytanii, Jerzemu III, i przysięgam zerwać z koroną wszelkie związki, do ostatniej kropli krwi bronić kraju przed atakami króla, jego sprzymierzeńców i popleczników, oraz służyć Zjednoczonym Stanom wiernie i zgodnie z posiadaną wiedzą jako... Tak mi dopomóż Bóg! Tekst przysięgi oficerów Armii Kontynentalnej 27 Kilka godzin konnej jazdy od Trenton, w samym środku wielkiej posiadłości ziemskiej, położonej na drugim brzegu rzeki Delaware, stał dworek właściciela Redford. Tam, gdzie dziś ciągną się pola i pastwiska, gdzie pobudowano domy i drogi, jeszcze dwadzieścia trzy lata wcześniej rósł dziki las, który najstarsi ludzie w okolicy nazywali "Red forest" i wspominając okrutne wydarzenia z czasów walk z Indianami, straszili, by tam nie wchodzić. Choć od pokoleń nikt Indian tu nie widział, las pozostał bezpieczny. Sprawily to tajemnicze czerwone znaki na drzewach z czasów indiańskich, od których wzięła się nazwa "Czerwony las", oraz krążące po okolicy niewiarygodne opowieści. Pewnego dnia brzegiem rzeki przybył tu z północy pewien obcy, który o tajemniczym lesie wiedział tylko tyle, że nikt go nie chce kupić. Wszystkie drogi kończyły się na jego skraju. Przybysz wciągnął głęboko rześkie powietrze i zapuścił się w głąb kniei. Zatrzymał się na niewielkiej polanie, gdzie na trzech polnych kamieniach leżał żelazny, porzewiały ruszt. Rozpalił ognisko, upiekł na ruszcie dwie kuropatwy, a gdy nadeszła noc, ułożył się do snu pod potężną sosną, na której pniu widniał wypalony dziwny znak w kolorze rdzy. Z założonymi pod głowę rękoma zastanawiał się, czy wreszcie nie znalazł upragnionego kawałka ziemi, na którym mógłby osiedlić się na zawsze. Żelazny ruszt i trzy kamienie, na których przygotował swój pierwszy posiłek, znalazły się później w holu nowego domu, wbudowane w kominek, w którym ogień rozpałał zawsze sam właściciel. Nie pozwolił ściąć sosny z indiańskimi znakami - do dziś rosła w pobliżu dworku i widoczna z daleka, obcym wskazywała drogę do posiadłości Redford, dla domowników zaś była czymś w rodzaju świątyni. W ciągu lat drzewo otoczone opieką wybijało, a przyciągając roje pszczół, zapewniało obfite zbiory w ciągnących się opodal sadach. Dla kucharki, półkrwi Indianki o szkockim nazwisku McGill, służyło ponadto do przepowiadania pogody. Jeśli po roztarciu świeżych przyrostów z samego wierzchołka pojawiał się zielony sok, zapowiadał się mokry rok, gdy zaś sok zabarwiał się na czerwono, nadchodziły upały. Do ryb i dziczyzny pani McGill zawsze dodawała coś, co zebrała z potężnej sosny, nikt jednak nie wiedział co, gdyż nie zdradziła swoich tajemnic ani gospodarzowi, ani drugiej kucharce, a gościom, którzy prosili ją czasami o przepis, wykrętnie odpowiadała, że wyjątkowy smak potraw to nie jej zasługa, gdyż w Redford pstrągi, kuropatwy i zające po prostu mają lepsze mięso niż gdzie indziej. O dziwo, opinię tę podzielano na targowiskach w bardzo nieraz odległych miejscowościach i ceniono wyżej nie tylko ryby i zwierzyne z Redford, ale też zboże, ziemniaki, kukurydzę, szynki, sery i owoce. Obładowane wozy docierały z towarami zarówno w dół rzeki, do Filadelfii, jak i w górę - do Easton i Phillipsburga. Dworek w Redford miał parter z czerwonej cegły i piętro z masywnych belek, które wraz z werandą okalającą dom od zachodu i południa malowano co roku na biało. Stajnie i zabudowania gospodarcze stały nieco z boku, oddzielone od dworku sadem ogrodzonym malinami. Płot ten był dla gospodarza sentymentalną pamiątką dziecięcych lat spędzonych w dalekiej Polsce, w szlacheckim dworku, gdzie ojciec był łowczym. Początkowo zapach malin kojarzył mu się głównie z ojczyzną, z czasem jednak pachnące owoce stały się źródłem sporego dochodu, wyrabiano z nich bowiem smakowitą esencję, lecz o tym dowiedział się, dopiero gdy kucharka McGill poprosiła, aby posadził więcej malinowych krzaków. Dworek w Redford zasłynął też z kwiatów, zwłaszcza klematisów, którymi najpierw bujnie obrosły obie kolumny werandy, a potem część ogrodu,

gdzie posadzono je z myślą o sprzedaży. Tym razem pomysłodawcą dochodowego przedsięwzięcia był ogrodnik. Tego roku jesień była wyjątkowo pogodna i nawet teraz, pod koniec listopada, na krzakach klematisa rozwijały się nowe, ciemnobłękitne kwiaty. W porannych godzinach na horyzoncie unosił się świetlisty welon wilgoci, niżej niż zazwyczaj chmury, ale wyżej niż mgła, a gdy koło południa słońce w końcu go rozpraszało, powietrze stawało się tak ciepłe, że wszyscy chodzili w lekkich bawełnianych koszulach, jak w środku lata. Także tych dwoje, którzy wczesnym popołudniem wyjechali z Redford na konną przejażdżkę. Na głowach mieli słomkowe kapelusze, mężczyzna ciemnobrązowy, kobieta jasnożółty. Nie jechali drogą prowadzącą z dworku Redford do brzegu Delaware, lecz krótszą, przez pola. Na bezchmurnym niebie świeciło jasne słońce, nocny deszczyk spłukał kurz z bujnie rosnącej oziminy, która zieleniła się jak okiem sięgnąć, aż po skraj lasów okalających posiadłość od północy i zachodu i tworzących zaporę przeciwko wiatrom i burzom. Konie same zmieniły galop na stępa, gdy zobaczyły potężną sosnę z pniem pokrytym indiańskimi znakami, jakby chciały dać obu jeźdźcom czas na pokłonienie się świętemu drzewu. - Nie za szybko? Nadażasz? - spytał mężczyzna jadącą obok dziewczynę. Z jego głosu przebijała radość, że są razem, choć nie było w nim śladu czułości, którą można by opacznie zrozumieć. Spod ronda słomkowego kapelusza odpowiedziało mu ciepłe spojrzenie, potem dziewczyna pociągnęła cugle i spięła konia ostrogami. Mężczyzna już chciał zrobić to samo, lecz się powstrzymał. Niech Mary będzie dumna, że pierwsza dobiegła do brzegu rzeki... Delaware zataczała w tym miejscu wielkie zakole, płynąc leniwie ze wschodu na zachód. Czasami wydawało się, że woda stoi, wystarczyło jednak popatrzeć na środek rzeki, by przekonać się, jak silny jest nurt. Pan z Redford zatrzymał się obok dziewczyny. - Jak sięgam pamięcią, tylko raz rzeka nie zamarzła przez całą zimę, było to dwadzieścia lat temu. Aż trudno uwierzyć, że wtedy jeszcze nie było cię na świecie... Przed rokiem o tej porze całe koryto skuwał już lód. W tym miejscu zawsze zamarza najpierw. Dziewczyna zsunęła kapelusz na plecy. Bujne brązoworude włosy rozwiął wiatr. - Chociaż raz ja wiem coś lepiej od ciebie! - zawołała tryumfalnie. - Trzy dni różnicy, ale zawsze coś! - Prowadzisz dziennik? - zażartował. - Nie zgadłeś! Takich rzeczy nie muszę zapisywać. W zeszłym roku rzeka zamarzła dokładnie dwudziestego piątego listopada. Abigail urodziła w tym dniu szóste dziecko i Kyllogs zdażył przywieźć lekarza z Princeton dosłownie ostatnim promem. Kiedyś będę miała tak dobrą pamięć jak ty, zobaczysz! - Naprawdę ci na tym zależy? Wcale nie jestem pewien, Mary, czy to zaleta, czy raczej wada. - Czasami mówił po angielsku bez obcego akcentu, a czasami, jak w tej chwili, jego słowa brzmiały dziwnie, jakby wypowiadał je obcokrajowiec. Dziewczyna wahała się, w końcu jednak spytała: - Jak sądzisz, czy Abigail zaplanowała, że kolejne dziecko też urodzi w listopadzie? - Niekoniecznie. Po prostu w marcu mężowie służący w wojsku przyjeżdżają na urlop. A od kiedy to interesujesz się takimi rzeczami? - Zapominasz, że wkrótce skończę dziewiętnaście lat? Wiele dziewcząt w moim wieku to już mężatki - odparła, przyglądając się promowi, który odbijał z przeciwległego brzegu. Zasłoniła oczy przed oślepiającym słońcem. - Popatrz no, doktor Banks płynie małym promem, a przecież nigdy do niego nie wsiada! - Następnym razem pojedziesz ze mną do Filadelfii, bo widzę, że masz kłopoty z odróżnianiem przedmiotów nie tylko z bliska. Przecież odpływa duży prom! - No tak, brakuje mi tylko okularów, a wtedy na pewno zostanę starą panną! O to ci chodzi? Mężczyzna zeskoczył z konia i poprawiając uprząż, rzekł obojętnym tonem: - A czy to ja przepędzam młodych mężczyzn z Redford, czy ty? Nie miałbym nic przeciwko, gdyby John ci się oświadczył. To poważny chłopiec i byłoby mu łatwiej pójść na wojnę. - A co ma jedno do drugiego? Sam się zgłosił, bo chce być wierny własnym przekonaniom - rzekła poważnie, jak zawsze gdy broniła swojego stanowiska, a okazji ku temu miała sporo, bo wciąż jeszcze zachowywała się trochę jak podlotek. - Kiedy John przybiegł do nas z Deklaracją Niepodległości ogłoszoną w Filadelfii i tobie pierwszej ją pokazał, byłem przekonany, że ci się oświadczy, a ty go

przyjmiesz, nie żądając nawet zaręczynowego pierścionka. Choć jeszcze młody, zna się na ludziach. Tak sobie myślę, że będzie z niego dobry adwokat, niech tylko ta wojna skończy się jak najprędzej. - Nie kocham go i wyraźnie mu to powiedziałam. Podziwiam, ale żeby od razu kochać? Dlaczego się go uczepliłeś? Chcesz się mnie pozbyć? Mężczyzna nie odpowiedział. Pomógł jej zejść z konia. Zanim postawił ją na ziemi, chwilę trzymał w ramionach. Z całą pewnością nie była już dziewczynką, którą przed sześciu laty przywiózł do Redford. Miała wówczas trzynaście lat. Przyjaźnił się z jej ojcem, pastorem Haverillem z Bostonu, synem angielskiego emigranta i żarliwym propagatorem niezależności Ameryki od brytyjskiej korony. Ze swojej ambony częściej niż na szatana pomstował na króla Jerzego, nazywając go antychrystem. Czynił tak do dnia piątego marca 1770, który zapisał się w historii jako "bostoński bunt". Była wiosna, ale leżał jeszcze śnieg. Nikt właściwie nie potrafił później powiedzieć, jak w ogóle doszło do zamieszek. Jedni twierdzili, że zaczęli żołnierze trzymający straż przed ratuszem, inni że ludzie, którzy z pastorem Haverillem wyszli z kościoła. Nie wiadomo też, czy zamieszki wybuchły, gdy jakiś chłopiec rzucił śniegową kulą w żołnierzy, czy dopiero wtedy, gdy zdenerwowany wartownik wystrzelił w tłum jeszcze spokojnych ludzi. Faktem jest, że pastor Haverill, całe życie walczący z przemocą, padł ofiarą pierwszych strzałów. Skelnik był na pogrzebie pastora, gdy chowano go obok żony, która umarła przy urodzeniu Mary. Zgłosił się jako opiekun osieroconej dziewczynki i zabrał ją do Redford. Mary była jeszcze dzieckiem, bardziej chłopcem niż dziewczynką, i chętniej chodziła w spodniach niż w sukienkach. Częściej przebywała na dworze niż w domu i nigdy nie nosiła długich włosów. Ostrzyżona na pazia, wniosła do domu Skelnika młodość, której w Redford tak bardzo brakowało. Razem siadali do stołu, wieczory spędzali przy kominku, w ciągu dnia odbywali długie konne przejażdżki. Gdy Mary skończyła szesnaście lat, oznajmił jej, że musi wyjechać do Filadelfii, do madame Söderstrom, gdzie nauczy się wszystkiego, co młoda dama umieć powinna. Mary pokiwała głową, zaraz wszakże w jej ciemnych oczach pojawiły się łzy. Do tej pory nigdy nie płakała. Robert wzruszył się i wziął ją w ramiona. To wówczas sobie uświadomił, że ona nie jest już dzieckiem, natomiast on wciąż jeszcze nie uporał się ze swoją samotnością. Owa chwila niczego nie zmieniła, nigdy nikomu o niej nie wspomniał. Był dumny, że nad sobą zapanował. Nie upierał się, by wysłać Mary do Filadelfii, skoro tego nie chciała, i postanowił nauczyć ją wszystkiego sam. Lekcje sprawiały im wielką radość, a Mary uczyła się chętnie każdego przedmiotu. Zaczęli od francuskiego, gdyż połowa książek w domowej bibliotece była właśnie w tym języku. Szło jak po maśle, a Robert cieszył się, że zajęta nauką Mary nie interesuje się chłopcami. - Wybacz, że wracam do tematu - odezwał się - ale pomyślałaś choć raz, że John jest jednym z najbogatszych ludzi między Nowym Jorkiem a Filadelfią? Jako jedynak odziedziczył kiedyś cały majątek Compsonów, a ty dorzuciłabyś do tego Redford. Wyobrażasz to sobie? - A ja zawsze myślałam, że twardo stąpasz po ziemi! Zapomniałeś, że ojciec Johna jest zagorzałym rojalistą i wydziedziczył syna, gdy ten przyłączył się do rebeliantów? Czy ty naprawdę musisz przy każdej okazji martwić się, komu zostawisz swój majątek? Robert obserwował prom, przybijający wolno do brzegu. Konie sięgały po zwisające im nad głowami gałązki. - A poza tym John jest dla mnie za młody - dodała Mary mimochodem. - Za młody? - Tak jest! - odparła zdecydowanie, korzystając z tego, że Robert nie patrzy jej w oczy. - Jeśli się kiedyś zakocham, to tylko w mężczyźnie tak doświadczonym jak ty. Młodzi wiedzą o życiu tyle co ja, może nawet mniej. Dla mnie mąż powinien być jak statek, co już przepłynął wielkie morze i oparł się burzom i nawałnicom. W Bostonie jako dziecko często chodziłam do portu i zawsze stare odrapane okręty podobały mi się bardziej niż nowiutkie żaglowce, które kursowały wzdłuż wybrzeża i nigdy nie zapuszczały się na pełne morze. Nie boję się tego, co mężczyzna przeżył, bardziej lękam się tego, że nie przeżył nic. Prom, mieszczący cztery powozy, wiozł tylko dwóch pasażerów. Jeden, w farmerskim ubraniu, trzymał na postronku dwa konie, drugi, w jasnym kraciastym

płaszczu, siedział na bocznej ławce i niespokojnym wzrokiem patrzył, jak prom przybija do brzegu. Cokolwiek się ruszało, od razu budziło podejrzenie doktora Noaha Banksa, a skutek był taki, że doktor z Trenton żył w ustawicznym konflikcie z samym sobą. Pacjentów, którzy byli w stanie poruszać się o własnych siłach i zjawiali się w jego gabinecie, traktował jak intruzów zakłócających mu spokój, z kolei do tych, którzy na jego pomoc czekali w domu, miał pretensje, że zmuszają go do podróży. Dziś wpadł w jeszcze gorszy humor niż zwykle, gdy posłaniec z Redford oderwał go od obiadu. Małomówny Jan Kyllogs nie nadawał się na ofiarę, na której mógłby wyładować złość, widząc więc na brzegu samego właściciela Redford, po cichu zatarł ręce. Prom zacumowano. Doktor wstał, zanim jeszcze Kyllogs wyprowadził konie na ląd. Minął bez słowa przewoźnika, wcisnął Janowi lekarską torbę i wczuł się - tak chyba należałoby określić jego ruchy - na konia. - Dziękuję, żeś się pofatygował, doktorze - rzekł Robert. Noah Banks starannie układał cugle, poprawiał się w siodle, guzdrał niemilosiernie, jak zawsze, gdy chciał okazać swoje niezadowolenie. - Chyba czort mnie skusił, mister Skelnik, że dałem się namówić na ten wyjazd. Mój rewir leży po tamtej stronie Delaware i jest stanowczo za duży jak na moje możliwości. - Abigail Hancock potrzebuje pomocy, a nasz doktor poszedł do armii. - Nie wiem, za jakie grzechy muszę wlec się taki kawał drogi. Gdyby to chociaż o pana chodziło! Przy porodzie to nawet godzina spóźnienia nie gra roli, za to z sercem nie ma żartów i byłem pewien, że znów ci wysiadło... - Lekarze w Filadelfii powiedzieli, że wszystko jest w porządku. - Ach tak?! I tyś im uwierzył? Mnie tam twój zdrowy wygląd nie zmyli, mister Skelnik, i nie widzę powodu, żeby przed tobą ukrywać prawdę. Zresztą doktor Wyngard też zabronił ci jeździć konno, a więcej się u niego nie pokazałeś, bo bierzesz te indiańskie mikstury swojej kucharki. Ostrzegam, że za kilka lat zatrujesz pan sobie cały organizm, tylko wtedy proszę do mnie nie przychodzić! - Lepiej już jedźmy. - Jak chcesz, ale zapowiadam, że więcej na tę stronę rzeki mnie nie zwabisz. Jak można jedyne go lekarza wysłać do armii?! Sam pan widzisz, do czego ta cała polityka doprowadziła. Poleciałeś do Filadelfii, przysięgałeś na tę nową konstytucję, to trzeba teraz wypić piwo, którego się nawarzyło. Kto to widział, żeby buntować się przeciwko koronie! Nic dobrego z tego nie wyniknie, oj nie! I do tego ta wojna... Po co to wszystko? Po co rwać się do bijatyki, skoro można nas policzyć na palcach jednej ręki? Nie lepiej brać przykład z Abigail Hancock? Co rok jedno dziecko, a za parę lat Anglicy zobaczą, że nas jest więcej niż ich i sami odejdą. Moim zdaniem, lepszej metody dochodzenia swoich praw nikt jeszcze nie wymyślił. Mary po ostatnim stwierdzeniu doktora bez słowa ruszyła przed siebie. - Biedne dziecko! - skomentował Noah Banks. - Ją także otumanieś tymi rewolucyjnymi mrzonkami! - Sądzę, że przede mną zrobili to angielscy żołnierze, którzy zabili jej ojca. Doktor Banks wzruszył ramionami. - Cóż, zawsze znajdzie się ktoś, kto koniecznie chce umrzeć jako męczennik. Mary pomknęła przed siebie. Skelnik miał wrażenie, że lada chwila dziewczyna oderwie się od ziemi i uniesie w powietrze, które w południowym słońcu nabierało niebieskawej poświaty. Jej malejąca sylwetka uświadomiła mu, jak ogromna jest jego posiadłość, a przecież tak niedawno wykarczował tu pierwsze drzewo. Zapamiętał ten dzień, jakby to było wczoraj. W uszach dźwięczały mu jeszcze uderzenia topora, w nozdrzach czuł zapach świeżego drewna i obdzieranej kory, w rękach uchwyt pługa, którym w dziewiczej ziemi wyorał pierwsze skiby, by posiać pierwsze ziarna. To była jego ziemia, stworzona jego rękoma, czy raczej sercem, które tęskniło do własnego kawałka ziemi. Własnego, czyli nie tkniętego ludzką ręką od stworzenia świata, na którym, prócz praw przyrody, nie obowiązywały żadne inne prawa. Serce rzeczywiście miał słabe, lecz jakie to ma znaczenie, skoro spełniły się wszystkie jego marzenia? Mógł umrzeć w każdej chwili, wiedział o tym doskonale i dlatego nauczył się z chorobą żyć, podobnie jak oswoił się z myślą, że w jego domu są trzy pokoje, do których nie wchodzi od dwudziestu lat, mimo że klucze stale nosi przy sobie. Mary zniknęła za drzewami porastającymi wzgórze, za którym w dolinie znajdowały się zabudowania; nad kominami snuł się dym, w

zagrodzie pasła się para koni z rocznym źrebięciem. Klacz, której dosiadał doktor, rozpoznała chyba miejsce swojego urodzenia, gdyż śpiesznie podeszła do ogrodzenia. - Tylko tyle ci zostało? - spytał Banks tonem człowieka, któremu sprawdziła się najczarniejsza przepowiednia i nie może powstrzymać się, by nie wyrazić z tego powodu satysfakcji. - W zeszłym roku miałeś chyba pięćset, i co? Wysłałeś je do wojska, jak doktora! A zastanowiłeś się, jak obrabiać pola bez koni i mężczyzn? - Przez rok ziemia może leżeć ugięta, dobrze jej to zrobi. - Przez rok? Sam w to nie wierzysz! A przecież wojna może dotrzeć aż tutaj. Przez dwadzieścia lat harowałeś jak wół, a teraz będziesz spokojnie patrzeć, jak ci w czerwonych mundurach wszystko to stratuja? Skelnik przysunął się do Banksa. - Kiedyś mi powiedziałeś, doktorze, że ojciec twój nie umiał się nawet podpisać, miał za to odwagę wsiąść na statek i wyjechać za ocean. Dzięki niemu nie jesteś dziś niewolnikiem szkockiego hrabiego, lecz szanowanym doktorem z Trenton. Mój ojciec z kolei był poddanym polskiego szlachcica i kiedy się ożenił, jego pan zażądał, aby zgodnie z prawem młoda żona spędziła poślubną noc w jego łóżnicy. A tutaj - Skelnik zatoczył szeroki łuk ręką - nie ma ani hrabiów, ani poddanych. Tu każdy jest wolny, i aby tak pozostało, musimy walczyć! - Akurat! Kilku chciwych handlarzy nie chce płacić podatków, kilku ambitnych prawników i pastorów rwie się do władzy, i stąd ta cała wojna. Wystarczy nie dać im broni i koni, a już jutro będzie spokój. - Nie chodzi o tych kilka centnarów herbaty, które wyrzucono do morza, a o to, że od czterdziestu lat angielski król odbiera nam jedno prawo po drugim. - O co my się spieramy? Ty uważasz mnie za zwolennika króla, a ja mam go w nosie! Chcę tylko, aby był spokój. Dla mnie wojna oznacza setki mężczyzn bez rąk i nóg, którym nie będę w stanie pomóc. Widziałeś kiedyś człowieka z wyklutymi oczami albo z rozciętym bagnetem brzuchem? Ja tam wolę wyjmować stolarzom drzazgi z palców albo usuwać dzieciom krosty. To ma jakiś sens, ale wojna? Anglia jest daleko, niech sobie ich król ustanawia prawa, jakie chce, co nas to obchodzi! Pewnego dnia, jak nie Jerzy, to inny koronowany dureń przestanie się liczyć zupełnie. To ostatnie zdanie usłyszała Mary, która czekała na nich przy bramie; tym razem nie mogła powstrzymać się od kąśliwej uwagi. - Czyżbym się przesłyszała? Anglia bez króla! Jesteś rebeliantem, doktorze Banks! Noah Banks zmarszczył brwi, ale na jego twarzy pojawił się pełen satysfakcji uśmiech. Trzy małżeństwa z rezolutnymi kobietami nauczyły go, jak reagować na damskie docinki. - Ostatecznie w Egipcie nie ma już faraonów, a w Rzymie cesarzy - roześmiał się. - Szkoda, że nie jesteśmy rojalistami, bo mielibyśmy w doktorze Banksie najgorliwszego obrońcę rebeliantów - zawołała Mary. - Jest najszcześliwszy, gdy może się z kimś nie zgadzać! Wjechali na podwórze zagrody Hancocków. Ze stodoły wypadła z krzykiem horda dzieciaków, prowadzona przez wyrostka ciągnącego na sznurze papierowy latawiec z długim ogonem. Dzieci Abigail, trzech chłopców i dwie dziewczynki, wyróżniały się ciemnorudymi czuprynymi. Hałas spotęgowało jeszcze głośnie ujadanie czarnego owczarka, szarpiącego się na łańcuchu przy budzie, i krzyki Dawida, koniuszego, który próbował go uciszyć. Kuśtykając - na lewej stopie zamiast buta miał gruby opatrunek owinięty kawałkiem skóry i przywiązany sznurem - szedł na powitanie gości. Na werandzie przy domu siedziała przy krośnie stara kobieta. Wstała i wypędziła rozkrzyczaną dzieciarnię na pola za domem. Troje przybyłych zsiadło z koni, doktor szybkim krokiem skierował się wprost do domu; przechodząc obok werandy, z obrzydzeniem spojrzął na brzuchate butle z fermentującym winem. - Powiedzcie mi tylko, że u Hancocków pędzi się teraz wyłącznie to wino dla starych bab, bo całą gorzałkę odstawiono dla armii! Prawdę mówiąc, w ogóle bym nie przyjechał, gdyby nie pokusa, że napiję się trunku, z którego słynie Abigail... Mary wzięła doktora pod rękę i zaprowadziła do stojącego na werandzie krosna. Pokazała mu zwisający kawałek wełnianej tkaniny i rzekła: - Widzisz, doktorze, co teraz Abigail robi najlepiej? W każdym domu jest jedno albo i dwa takie krosna. Naszej armii potrzebne są płaszcze na zimę, szyjemy je w Redford. Doktor spochmurniał. - Z tym szyciem to radziłbym się wstrzymać - mruknął. - Do zimy będzie po

wojnie. - Chciałabym pójść z tobą - poprosiła Mary. - Gdybyś rzeczywiście nie mógł przyjechać na ten brzeg Delaware, chciałabym umieć cię zastąpić - dodała nieśmiało, licząc się z energicznym protestem doktora. Ten jednak zareagował obojętnie. - Widziałem już nie raz, jak przy pierwszym porodzie młodzi lekarze po prostu mdleli, ale jeśli chcesz, panienko... Doktor i Mary zniknęli za drzwiami. Krzyki dzieci biegających po polu ucichły, stara kobieta wróciła do krosna. Rytmicznie stukano czółenka, nad gąsiorami brzęczały pszczoły. Okna stały otworem, najłżejszy podmuch wiatru nie poruszał jasnyniebieskich firanek. Przy drzwiach stała miotła, na piasku przed wejściem widniały jej ślady. Panował absolutny spokój, jak zawsze gdy sprzątnięto już zbiory i czekano na nadejście zimy. Skelnik miał wrażenie, że jest niedzielne przedpołudnie i wszyscy poszli do kościoła, zaraz wszakże przypomniały mu się słowa doktora i pomyślał, że rzeczywiście wielu z tych, których dziś tu nie ma, nigdy już do domu nie powróci. Jan Kyllogs zdjął siodła i wycierał do sucha końskie grzbiety. Zjawił się tu przed pięciu laty z zamówionymi na północy końmi i już pozostał. Prócz tego, jak się nazywa i że z zawodu jest kowalem, Skelnik nic o nim nie wiedział. Tutaj zresztą nikt nikogo nie wypytywał o przeszłość, a jeśli nawet takie pytanie padało, nikt się nie dziwił, gdy nie słyszał odpowiedzi. Przez pięć lat nie zdarzyło się ani razu, aby Jan Kyllogs sam rozpoczął rozmowę. - Co tam nowego w Trenton? - spytał Skelnik. Jan dwa razy przeciągnął szczotką po grzbiecie konia, zanim z jego ust padło jedno tylko słowo: - Plotki. - Dobrze czy złe? - Złe, skoro pytacie. - Dla niego rozmowa była skończona. Zabrał się za szczotkowanie następnego konia. - A nie mówili, jaka jest sytuacja na froncie? Od wielu dni nie ma żadnych wieści, jakby nasza armia zapadła się pod ziemię. To niezły znak, generałowie często zatajają informacje, żeby Anglicy nie wiedzieli, gdzie ich szukać. Między Nowym Jorkiem a Bostonem trzymają dwadzieścia tysięcy wojska i ciągle mają nadzieję, że do zimy zakończą tę wojnę. - Plotki - burknął Kyllogs. - Kłamstwa i plotki, w tym są najmocniejsi, a to Trenton to istne gniazdo rojalistów. Dawid przyniósł dwa wiadra wody ze studni, by napoić konie. Robert nie mógł się powstrzymać, by nie ochłodzić się w zimnej źródlanej wodzie. Pochylił się nad wiadrem, zanurzył głowę raz i drugi, otrzepał. - Coś ciekawego się zdarzyło w okolicy? - spytał Dawida. - Przy doktorze nie chciałem wam mówić - zaczął chłopak ściszym głosem. Był najmłodszym parobkiem w gospodarstwie Hancocków, nawet nie wyrosła mu jeszcze broda, mimo to zgłosił się do wojska. Wkrótce jednak wrócił, gdyż w czasie bitwy pod Whiteplains odłamek angielskiego kartacza zranił mu stopę. Felczer niezbyt dokładnie oczyścił ranę, bo zaczęła ropieć. - Dziś w nocy znów mieliśmy nieproszonych gości; dwóch przenocowało w stodole. - Coś ukradli? - Jak zawsze: ubrania robocze parobków. - Sądziś, że byli to żołnierze? - Dezerterzy. To nie wiecie? Ostatnim razem było tak samo, przyszli trzej, przenocowali, ukradli parobkom ubrania i rano zniknęli. Kilka dni temu przyszła wiadomość o klęsce naszych wojsk pod Chattertonhill. - Jesteś absolutnie pewien? - Mam wam pokazać uniformy, które porzucili? Sam je znalazłem, a także strzelby i czapki. To byli ochotnicy z wirgińskiej milicji. Uciekli, dranie! - Poczerwieniał ze złości. - Niedawno samiście mówili, że to jest taktyka generała: musi się cofać, bo podjęcie rozstrzygającej bitwy byłoby jeszcze zbyt ryzykowne, ale jak mamy tę wojnę wygrać, skoro nasze oddziały wciąż są w odwrocie? Jak długo można się cofać?! Ci dezerterzy oznaczają, że już... Robert Skelnik nigdy nie unikał odpowiedzi na trudne pytania, tym razem wszakże pożałował, że w ogóle zaczął tę rozmowę. - Innego wyboru nie mamy, przynajmniej w tej chwili - rzekł. - Podejmując teraz rozstrzygające starcie, sprawilibyśmy Anglikom największą radość. Jesteśmy jeszcze za słabi, więc trzeba się cofać. Masz rację, że wygląda to tak, jakbyśmy uciekali, ale w ten sposób odciągamy Anglików od wschodniego wybrzeża, gdzie w swoich fortecach czują się najpewniej. Wygrywają i jakiś czas jeszcze będą wygrywać, ale ostateczne zwycięstwo należy do nas. Dawid słuchał z uwagą, dumny, że Skelnik rozmawia z nim jak równy z równym. - Obyście tylko mieli rację! Mówię wam, jak zobaczyłem te mundury, to chciało mi się wyc z

wściekłości, ale potem przyjrzałem im się dokładnie i zobaczyłem, że to łachmany. Jak może czuć się w takim mundurze człowiek, który na dodatek przeżywa jedną klęskę po drugiej? Oj, przydałoby się coś, co by nas wszystkich podniosło teraz na duchu! - Na pewno coś takiego nastąpi - odparł Skelnik i spojrzał na dom, który nagle wydał mu się oazą spokoju. Choć gorące powietrze w kuchni zatykało Mary dech, trzęsła się jak na mrozie. Garnki z wodą stały już z boku, z paleni buchały płomienie. Trzymając się za brzuch, próbowała opanować drżące kolana. Przez otwarte drzwi zaglądała do pokoju rodzącej, skąd od kilku minut dochodził jedynie szelest przewracanych stron gazety. Gdyby nie wstydziła się doktora, dawno już by uciekła, ale skoro sama zaproponowała mu pomoc, musi wytrzymać do końca. Na stole, przy którym przed chwilą służące jadły obiad, zostały nie pozmywane talerze, dziewczyny przeniosły się do sąsiedniego pokoju i gwarząc wesoło, zasiadły do kołowrotek. Położnica jęknęła cicho, rzucając głową po poduszce. Nagle zaczęła coś mamrotać, potem Mary usłyszała wyraźne słowa: - Cholera, poszczuję psami drania, wyrwę mu kutasa, bo nie będę co rok chodzić z bębniem... Doktor nie zwracał na nią uwagi. Po chwili odłożył gazetę i mruknął: - Nic więcej ciekawego. Przecież nie będę czytać porad, jak z żołądki ugotować herbatę i gdzie zanieść buty lub ubrania dla wojska! Abigail tymczasem wybuchnęła spazmatycznym szlochem, na co służące w pokoju obok odpowiedziały dwuznacznym chichotem. Mary zatkała sobie uszy, zamknęła oczy. Czy złorzecząca na łóżku kobieta jest rzeczywiście tą zawsze uśmiechniętą Abigail, która nosi wyłącznie rozpinane bluzki, by móc w każdej chwili nakarmić piersią najmłodsze dziecko? Skelnik z trudem zmieścił się w niskich drzwiach. - Jak daleko jesteście? - spytał i zdjął kapelusz. Mary uśmiechnęła się. Jeszcze nigdy nie wydawał jej się tak młody. Abigail jęczała, rzucała się i mamrotała przekleństwa. - I tak cały czas - szepnęła Mary Robertowi do ucha. - A ja myślałam, że ona jest szczęśliwa i dumna, że ma tyle dzieci! - Chciała go zająć rozmową, by nie słuchał, co mówi Abigail. Było jej wstyd. Noah Banks westchnął i podniósłszy się ciężko z bujanego fotela, zajrzał do kuchni. - Mogłabyś nastawić wody, panienko? - rzekł. Mary zdjęła pogrzebaczem żelazne kręgi i zawiesiła kociołek z wodą nad paleniskiem. Dołożyła dREW i ociągając się, poszła zobaczyć, co robi doktor. Robert namoczonym w zimnej wodzie ręcznikiem obmył najpierw czoło i policzki rodzącej, potem dłonie i ramiona. Nagle oblepiona włosami twarz Abigail zagłębiła się w poduszce, brzuch uniósł wysoko, i kobieta przestała jęczeć. Skelnik trzymał ją za rękę, dopóki bóle nie ustąpiły. Później wziął jedną z leżących na komodzie poduszek i podłożył jej pod głowę. Doktor, który obserwował każdy jego ruch, pokiwał głową i ze śmiechem oznajmił: - Widzę, że niepotrzebnie mnie wzywałeś, mister Skelnik, ale ostrzegam: jeśli mam być tylko twoim asystentem, zażadam podwójnego honorarium! Abigail odprężyła się i spokojnie patrzyła Robertowi w oczy. Gdy kolejny raz chwycił ją bóle, zacisnęła tylko mocniej rękę. Robert pochylił się nad nią i przytrzymał za ramię. Mary zauważyła, że trzyma coś w dłoni, chyba złotą monetę. Abigail po chwili wahania otworzyła usta, a on szybko włożył jej monetę między zęby. Próbowała się uśmiechnąć. Mary poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Robert zachowywał się przy łóżku tej kobiety tak swobodnie i naturalnie, że samo nasuwało się pytanie, czy nie nauczył się tego wszystkiego, gdy rodziło się jego dziecko?... Co ona właściwie wie o tym człowieku, którego traktuje niemal jak ojca? Jeżeli wspominał o przeszłości, to zawsze mówił tylko o Redford, jakby jego życie zaczęło się, w momencie gdy znalazł to drzewo z indiańskimi znakami na pniu. A przecież musiał mieć pieniądze, skoro płacił robotnikom i kupował konie. Z pewnością nie był zwykłym imigrantem, jak większość tych, co w Ameryce zaczynali od zera. On przybył tu z pieniędzmi, i to chyba niemałymi. Do dziś nosił przy sobie złote monety i czasami dawał je komuś, jakby wręczał talizman. Nikt poza nim takich monet tu nie ma. - Teraz twoja kolej, doktorze - usłyszała jego głos, czuła, jak bierze ją za ramię i wyprowadza z pokoju. O pytaniach, które sobie przed chwilą stawiała, zapomniała natychmiast. Jasne słoneczne światło, zimna woda, w której zanurzyła ręce po łokcie,

postawiły ją na nogi. Wokół panowała cisza. Stara kobieta przestała tkąć, dwie kilkunastoletnie dziewczynki szeptały coś sobie na ucho, z pewnością ciekawe, co teraz dzieje się w domu. Mary usłyszała za plecami śmiech Skelnika. - To, co cię tak przeraziło, to prawda stara jak świat: im bardziej kobieta przeklina swojego męża, tym szybciej rodzi. Gdybyś kiedyś przypomniała Abigail, co teraz mówiła, stanowczo wszystkiemu zaprzeczy. - Być może. Jak wszedłeś, od razu przestałam się bać. Zastanawiałam się, dlaczego się nie ożenisz. Nie jest to chyba niedyskretne pytanie? - Spojrzała mu w oczy, gdy skończyła mówić. Niespodziewanie się roześmiała. - Wiesz, ile ja mam lat? Albo inaczej, wiesz, o ile jestem od ciebie starszy? Trzydzieści pięć lat! - Myślisz, że nie widzę, jak kobiety za tobą wodzą oczami? - W takim razie widzisz więcej ode mnie. - Pokiwał głową i srebrzyste kosmyki włosów opadły mu na czoło. Cały czas się uśmiechał, co zachęciło Mary do kontynuowania tematu. - Może i tutejsze kobiety ci się nie podobają, ale jeździsz przecież do Filadelfii i nigdy nie mówisz, z kim tam się spotykasz, a za każdym razem każesz sobie zapakować najlepsze ubrania! Podszedł bliżej i obiema rękoma objął jej głowę. - Jak jesteś taka ciekawa, to czemu nigdy nie chcesz jechać ze mną? - Bo chcesz mi sprawić okulary! Wciąż trzymał jej głowę, jak co wieczór, gdy całując ją w czoło, życzył dobrej nocy. Odbierała to jako ojcowski gest, a on starał się go nie przedłużać, nie chciał bowiem żałować, że nie jest młodszy, że czuje się tak osamotniony. Tak było i teraz. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył doktora wychodzącego z domu i Kyllogsa prowadzącego konie. Dociągnął popręg i wskoczył na siodło. Z domu wybiegła ku nim stara kobieta. Podała doktorowi butelkę. - Z podziękowaniem od Abigail! - Ja wina nie piję! - odburknął Banks. - A wyście myśleli, żeśmy zapomnieli? To jest gorzałka, najlepsza, jaką Abigail robi! Prosiła, abym nie dawała jej wam przed porodem. Jak widzicie, doktorze, znamy was bardzo dobrze, choć mieszkacie w Trenton! - To znaczy, że teraz mogę się już upić, spaść z konia i skręcić sobie kark, co? Staruszka, pakując butelkę do torby Banksa, roześmiała się. - Och, tak nie myślałam! Jednego rojalisty mniej czy więcej, co za różnica! Kylloggs przytrzymał Banksowi strzemień. - I całe popołudnie stracone! - mruknął doktor zerknąwszy na zegarek. - Niepotrzebnie zabrałeś mi czas, mister Skelnik. Ta kobieta urodziłaby sama, bez mojej pomocy. - Wiedziałem o tym od początku - roześmiała się Robert. - Teraz to już zupełnie nie pojmuję! - Naprawdę? To proszę się rozejrzeć dookoła: idealny spokój, prawda? Pomyślałem sobie, niech doktor przyjedzie, niech ludzie go zobaczą, niech odbierze butelkę swojej gorzałki i honorarium w złocie, bo jak ludzie widzą doktora Banksa przepływającego promem Delaware, nikt nie pomyśli, że może zdarzyć się coś złego. Robert wychylił się z siodła, a Mary zauważyła, że w jego dłoni błysnęła złota moneta, którą wcisnął do ręki doktorowi. Słońce już zachodziło, gdy na horyzoncie załśniła wstęga Delaware. Niebo przybierało zielonkawy odcień, na wschodzie pojawił się biały, niemal przejrzysty księżyc. Wszyscy troje milczeli, nie popędzali koni, a gdy próbowały przyspieszać kroku, wręcz je powstrzymywali. Napawali się widokami, oddychali świeżym powietrzem, jakby chcieli dokładnie zapamiętać każdą chwilę mijającego dnia, wykorzystać ją w pełni. Jednocześnie podnieśli głowy, gdy nad nimi bezszelestnie przeleciał klucz ptaków. - Dzikie gęsi o tej porze! - odezwał się Noah Banks. - Nie pamiętam, aby kiedykolwiek tak późno odlatywały na południe. Byli już tak blisko rzeki, że wyraźnie słyszeli szmer fal. Nagle jadący na czele Jan Kylloggs zatrzymał swoją klacz. W tafli wody, jak w pomarszczonym lustrze, odbijało się zachodzące słońce i Jan przysłonił sobie dłonią oczy. - Co tam? - zaniepokoił się Banks. - Pod światło nic nie widzę. - Prom - mruknął Kylloggs. - Odplywa na tamten brzeg. Robert stanął obok kowala, który bez słowa pokazał mu ręką niewyraźne sylwetki żołnierzy, uwijających się na przeciwległym brzegu. Skelnik patrzył jak sparaliżowany, miał wrażenie, że jeśli się poruszy, stanie się coś strasznego. Od rzeki powiał chłodniejszy wiatr, podnosząc szerokie rondo jego kapelusza. - Coś się stało? - zapytała Mary. - Czemu się denerwujesz? Robert przyciągnął cugle i zjechał po skarpie do przystani. Pozostali ruszyli za nim. Prom

rzeczywiście znajdował się na środku rzeki, lecz w oślepiającym świetle trudno było się zorientować, w którą stronę płynie. Dopiero po kilku minutach Robert zyskał pewność, że łódź zmierza na drugi brzeg, gdzie niespokojnie kręciły się konie, najwyraźniej nie szykując się do odjazdu. - Jednakowe ubrania - odezwał się Kyllogs. - Na pewno mundury. Widzę połyskującą broń. Będzie ich z tuzin, niebieskie bluzy, białe spodnie. - To może być nasza milicja z New Jersey - powiedział Robert. Noah Banks uniósł się w strzemionach. - Skąd taka pewność? A nuż to Anglicy... Zdziwiłbyś się, mister Skelnik? Pewnego dnia i tak zobaczysz ich na tamtym brzegu, a Delaware ich nie powstrzyma, choćby była dwa razy szersza. - Błękitne bluzy, białe spodnie - powtórzył spokojnie Kyllogs. - Pan doktor może mieć rację. Jeden trzyma proporzec, ale nie widzę, w jakich barwach. - To na pewno nasi ludzie. Być może kurierzy do Kongresu w Filadelfii. Przynajmniej będziemy mieć najświeższe wiadomości - rzekł Skelnik, zsiadając z konia. Mary zrobiła to samo. Puszczone luzem konie ciągnęły za sobą cugle, skubiąc zielone kępki trawy. - Patrz, jak trzymają się razem! - zawołała Mary. - Zazwyczaj odpędzały się wzajemnie, a dziś pasą się zgodnie jak owieczki. Szybko zapadał zmierzch, powietrze stało nieruchomo, ciszę mącił jedynie szum fali i konie skubiące trawę. Urokowi chwili poddali się wszyscy czworo. Prom tymczasem przybił do brzegu. Wprowadzono nań dwa konie, weszło dwóch mężczyzn. Ledwo prom ruszył, pozostali na sygnał wskoczyli na siodła i wspięli się na stromą skarpe, po czym uformowali szereg i odjechali na wschód. Z daleka przypominali ołowianych żołnierzyków, poruszanych przez bawiącego się nimi chłopca. - Chyba masz rację - odezwała się Mary. - To nasza milicja, widać wyraźnie barwy na proporcu... Tylko dlaczego tamci odjechali? - Z raportem wystarczy wysłać dwóch - wyjaśnił Skelnik. - Jednak odwagi, by we dwóch przedzierać się przez całe New Jersey, członkom milicji chyba nie wystarczy - burknął Banks. - Co to się porobiło! Słowo daję, choćby mi tysiącami znoszono rannych pod próg, ja do tej wojny ręki nie przyłożę! Robert gestem powstrzymał Mary, która zamierzała stanowczo zaprotestować. U ich stóp kładły się coraz dłuższe cienie, wciąż jasno połyskujący nurt rzeki stawał się jakby węższy. Prom zbliżał się z wolna, wyraźnie słychać było chlupanie wiosel i pojękiwanie krządków prowadzących cumę. Jan Kyllogs stanął na rampie. Prom pokonywał ostatni odcinek, gdzie nie było już nurtu i mógł wiosłować tylko jeden człowiek. Drugi wstał i z bosakiem w rękę wyszedł na przedni pomost. Doktor zapiął swój kraciasty płaszcz aż pod szyję, wywinął kołnierz i chwycił lekarską torbę. - Dziękuję, żeś przyjechał, doktorze - rzekł Skelnik. - Gdybyśmy się już nie widzieli, życzę wesołych świąt. - Dalej w to nie wierzysz, prawda, mister Skelnik? - spytał Banks. - W co nie wierzę, doktorze? - Że nic się nie stanie. Już myślisz o świętach. Wyzbyłeś się koni, ale wyhodujesz sobie nowe, odeszli robotnicy, ale oziminę posiałeś, a tymczasem Nowy Jork płonie, w Connecticut Anglicy podpalają domy, hescy żołnierze wyrznęli stada. Ty zaś zachowujesz się tak, jakby do Redford wojna miała nie dotrzeć. Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo stałeś się pan Amerykaninem? Przeklętym optymistą! - Tak myślisz, doktorze? - Właśnie tak! I życzę panu tych wesołych świąt, a gdybyś był w Trenton to proszę do mnie wpaść. Może wreszcie skończymy tę partię szachów. Figury stoją na swoich miejscach, a jak pamiętasz, miałem przewagę, więc jeśli... - Urwał, gdyż z głośnym skrzypieniem na rampę przystani opadł trap promu. Jan Kyllogs, zręcznie przywiązawszy cumy do słupka, odebrał od przewoźnika konie i wyprowadził na ląd. Miały wojskowe siodła, na żółtym czapraku jednego z nich widniały ciemne, brązowe plamy. Oficer ubrany był w mundur pensylwańskiej milicji, na rogatywce nosił insygnia gwardii przybocznej generała Waszyngtona. Mimo iż barczysty, w idealnie skrojonym mundurze, nie wyglądał imponująco. Na bluzie i spodniach widniały ślady zaschniętej gliny, skórzane buty były przemoczone. Skelnik nie mógł oprzeć się wrażeniu, że już gdzieś tego oficera spotkał. Próbował wyobrazić go sobie w cywilnym ubraniu, lecz to nie pomagało. Dopiero gdy mężczyzna zdjął rogatywkę, Robert go rozpoznał. - Porucznik Blyth! Tak się cieszę Co tam słychać u generała? A co z panem? Nie jesteś chory? Andrew

Blyth przeczesał palcami perukę. - Od dziesięciu godzin w siodle, już nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz zdjąłem mundur - rzekł matowym głosem. Skelnik zwrócił się do Mary. - Nie poznałaś porucznika Blytha z gwardii przybocznej generała Waszyngtona? Dziewczyna wyciągnęła rękę. - Mam nadzieję, że zatrzymasz się u nas, poruczniku, a przede wszystkim że podzielisz się dobrymi wiadomościami. Twarz Blytha spochmurniała, zatoczył się lekko. Nie odrywając wzroku od dłoni Mary, którą wciąż ścisnął, rzekł cicho: - Musisz być silna. Jest ciężko i wszyscy musimy być silni. Nagle doktor zerwał się i pobiegł na prom. Najpierw słychać było jego kroki na drewnianym pomoście, a chwilę później głośne wołanie: - Szybko moją torbę, Kyllogs! Andrew Blyth powstrzymał Mary, która chciała pójść na prom. - Proszę zostać - rzekł. - To John Compson. Doktor już mu nie pomoże. - Dajmy jej spokój, panie poruczniku - rzekł Skelnik i powoli wszedł z nią na prom. Zmarły leżał na pokładzie, doktor klęczał przy nim. Gdy Kyllogs przybiegł z jego torbą, machnął tylko ręką i wstał. - Nic tu po mnie, wykrwawił się na śmierć - powiedział. - To chyba stało się niedaleko stąd, poruczniku? Blyth skinął i nie patrząc na doktora, rzekł: - Gdy wsiadaliśmy na prom, jeszcze żył. Zmarł pośrodku rzeki, choć wszystko wskazywało na to, że dowiozę go na drugi brzeg. - Dlaczego rannego przywiozłeś aż tutaj? - oburzył się doktor. - Taka była jego wola. Przekonywałem go całą drogę, od Fort Washington do Delaware mijaliśmy co najmniej kilka punktów medycznych, a on nic, tylko do Redford, do pani... Wszyscy spojrzeli na Mary, lecz ona nie zwracała na nikogo uwagi. Wiatr zakotłosał promem, fale rozbijały się z szumem o burtę. Skelnik i Kyllogs równocześnie podeszli do leżącego. - Chcecie go zabrać? - zdziwił się Noah Banks, jedyny, który jeszcze miał ochotę do rozmów. - Co na to jego ojciec? Niech Kyllogs jedzie ze mną i zawieziemy zwłoki do Trenton. Niechętnie, bo w końcu jestem lekarzem, a nie przedsiębiorcą pogrzebowym, ale zrobię to. - Słyszałeś, doktorze: on chciał do Redford. - To go sobie weźcie! - zdenerwował się Banks. - Będziecie mieć pierwszego trupa po tej stronie rzeki, choć z pewnością nie ostatniego! Pomyśl już teraz, panie Skelnik, jak poszerzyć cmentarz. Zabierzcie go! Albo lepiej przywiążcie do konia i pokażcie na ulicach w Filadelfii, zwłaszcza tym panom z Kongresu! Niech zobaczą, co ich niepodległość przyniosła takim jak John Compson! - Zniecierpliwiony machnął na przewoźnika. - Ruszaj! Skelnik i Kyllogs wynieśli zmarłego na brzeg. Mary przytrzymała jego zwisającą rękę, dopóki nie położono go na ziemi. Przewoźnik odwiązał cumy, woda zabulgotała pod pokładem i prom wolno odpłynął. Z pobliskiej szopy Kyllogs przyniósł zielone płótno żaglowe i rozłożył na ziemi. Mary drgnęła przerażona, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że John nie żyje, po czym pobiegła do swojego konia, wskoczyła na grzbiet i zapatrzyła się na rzekę. W krzakach niepokojąco zaszeleścił wiatr. Mary zamyśliła się. Coś nagle się zmieniło. Do tej pory Delaware była granicą oddzielającą dwa światy: tam toczyła się wojna, tu panował spokój, teraz wszakże wraz z martwym Johnem wojna pokonała tę granicę. 28 Księżyc, który późnym popołudniem wydawał się błądy i niewyraźny, teraz świecił pełnym blaskiem na granatowym niebie, pośród gwiazd tak wyraźnych, jakby zawieszonych tuż nad ziemią. Wiał chłodny wiatr, zwiastujący nadejście mrozów. Mary usiadła przy biurku pod oknem. Był to jedyny mebel, jaki po śmierci ojca przywiozła do Redford z Bostonu. Liczne plamy na jasnym blacie były pamiątką po płomiennych kazaniach, które przy tym biurku pisał. Teraz pomiędzy nimi stała szkatułka, w której Mary przechowywała listy od Johna Compsona. Było ich sporo, zważywszy, że John zaczął pisać dopiero pół roku wcześniej. Nie były to w żadnym wypadku listy miłosne. O ile Mary dobrze pamiętała, słowo "miłość" nie padło z jego ust ani razu, a z treści listów ktoś postronny mógłby wywnioskować, że pisał je do przyjaciela, nie do dziewczyny, którą kochał. Pierwsze z nich wysyłał z Filadelfii. Mary nie pamiętała dnia, kiedy po raz pierwszy spotkała Johna. Było to chyba w maju. Wyraźnie natomiast stał jej w pamięci dzień piątego lipca, gdy John wpadł do Redford ze świeżo wydrukowaną Deklaracją Niepodległości i jej pierwszej tłumaczył, co oznacza ostateczne zerwanie związków Ameryki z angielską koroną. W

pierwszym liście z Filadelfii dziękował za czerwono-białą flagę. Mary osobiście wycięła ze starej potrójny angielski krzyż i na jego miejsce wszyła błękitny prostokąt z gwiazdami skonfederowanych stanów. Późniejsze listy zawierały mnóstwo szczegółowych informacji o wydarzeniach w Kongresie, z czego Mary była niezwykle dumna, gdyż nawet Robert nie wiedział tyle co ona. A były to informacje o ruchach wojsk, uzbrojeniu, przygotowaniach do bitew. Czytając je teraz ponownie, Mary miała wrażenie, że były one tylko pretekstem do napisania do niej. Skelnik miał rację: John bardzo dobrze znał się na ludziach. Szkoda, że tak rzadko odpowiadała na jego listy... Z każdego słowa dowiadywała się teraz, jak bardzo John ją kochał. Raz po raz wymieniał jej imię i choć pisał dość niedbale, słowo "Mary" było zawsze starannie wykaligrafowane, każda litera jak wymalowana. Ostatni list nosił datę sprzed trzech tygodni, drugiego listopada, i był wysłany z obozu pod Whiteplains. Zawierał zaledwie kilka zdań: "Od kiedy oddaliśmy Anglikom Nowy Jork, walczymy częściej kilofami i łopatami niż bronią. Okopy, szańce i przemarsz to nasza codzienność. Pod Chattertonhill zginęło 160 naszych; już prawie pokonaliśmy Anglików, gdy uderzyły na nas z boku heskie oddziały pod wodzą majora Ralla. Ten Niemiec stał się prawdziwym postrachem naszych generałów. Właśnie się dowiaduję, że zwijamy obóz i przenosimy na drugi brzeg rzeki Hudson. Będę bliżej Ciebie, ale to oznacza też, że Waszyngton musi się zastanowić, jak nieprzyjacielowi zagrozić drogę do Filadelfii. 3000 żołnierzy broni się na wyspie koło Nowego Jorku, na wycofanie ich chyba nie ma już czasu..." Doczytała do tego miejsca i jej wzrok przeniósł się na wymalowane poniżej imię Mary. W świetle księżyca kartka nabrała srebrzystego blasku, atramentowe pismo połyskiwało metalicznym błękitem. Odłożyła list. Chcąc powstrzymać cisnące się do oczu łzy, rozejrzała się po pokoju. Przez te sześć lat, odkąd tu zamieszkała, nic się w nim nie zmieniło. Nie było żadnego zbędnego mebla, a wszystkie, prócz biurka po ojcu, zostały wykonane w stolarni w Redford. Jej rówieśnice w okolicznych dworkach miały lepiej urządzone pokoje, choć tapetą w kwiaty i zasłonami z falbankami szczyliła się tylko Sara, jedyna córka sadownika Joshuaa Derwenta, któremu wcześniej żona urodziła ośmiu synów. Po wizycie u Sary Mary zamówiła w Filadelfii tapetę w kwiatki i ptaszki, lecz kiedy przesyłka nadeszła, nawet jej nie rozpakowała. Do dziś paczka leży gdzieś w skrzyni na strychu. Ale taka już Mary była: ciekawiło ją, co inni ludzie myślą i czują, nad sobą natomiast się nie zastanawiała. Dlaczego John ją kochał, a ona jego nie? Czy to znaczy, że nie odwzajemniona miłość istnieje? Pytanie to zaniepokoiło ją, wzbudziło wątpliwości. Jakaś nieznama siła odebrała jej pewność siebie, zmieniła świat. Lniane zasłony nagle straciły żywe kolory i nabrały srebrzystego połysku, gołe białe ściany pokryły się delikatną płataniną cieni, zwyczajne przedmioty przybrały dziwne, tajemnicze kształty. Była to tylko sprawka księżycowej poświaty, czy może coś innego? Ucieszyła się, gdy za drzwiami rozległy się kroki. Sądząc po ich sprężystym rytmie, mogła to być tylko pani McGill. Zwykle kucharka energicznie pukała, dzisiaj tylko cicho zawołała ją po imieniu. - Chodź, chodź, jeszcze nie śpię. - Mary otworzyła drzwi. - Przyszłam w sprawie tych gęsi. Betsy Potter pokazała mi, jak się robi ten tucz. - Pani McGill machnęła ze złością ręką. - Musisz mi pomóc przekonać Skelnika, żebyśmy z tego zrezygnowali, nawet jeśli gęsi miałyby być większe i tłuszcjsze od wieprzy! Najpierw Betsy zrobiła z mąki kielbasę dwa razy grubszą i dłuższą niż palec, a potem wielką chochlą wepchała ją gęsi do gardła. Okropność! Zrobię wszystko, aby dostarczyć armii jak najwięcej żywności, ale ptaków dręczyć nie będę! - Po swoim szkockim ojcu McGill odziedziczyła nie tylko nazwisko, ale też jasną, mocno piegowatą cerę. Poza tym była typową Indianką z gładko przyczesanymi, kruczoczarnymi włosami, wyrazistymi rysami i wąskimi ciemnymi oczami. Nagle zmieniła temat: - Czytałaś jego listy? Mary przytaknęła. - Chcesz posłuchać mojej rady? - spytała kucharka, a gdy Mary nie odpowiedziała, rzekła: - Spal je, i to natychmiast! Jak chcesz, zrobię to za ciebie. Ogień jest lepszy niż kurz i pleśń - mówiła powoli, lecz zdecydowanie, jak zawsze, gdy była przekonana, że wie coś lepiej od innych. -

Widziałaś dziś po południu księżyc? Ja od razu wiedziałam, że do domu przyniosą nam nieboszczyka... - Ty i twoje wróżby! Czemu nie ostrzegłaś Johna, jak szedł na tę wojnę? - A myślisz, że by mnie posłuchał? - Godzinę temu jeszcze żył. Tak mówił porucznik Blyth. Umarł dopiero na promie, pośrodku rzeki. - Mary czuła się tak, jakby dopiero teraz zrozumiała, co się stało, jakby ktoś przed chwilą pokazał jej bladą twarz Johna. Pozlepiane potem włosy na czole, ciemny zarost na policzkach, półotwarte usta, jakby chciał odetchnąć, przemówić. - Nie był ci przeznaczony - rzekła McGill. - Do tej pory Delaware przynosiła do Redford szczęście. W czasie suszy dawała nam wodę, zaopatrywała obficie w ryby, przewoziła nasze towary i przede wszystkim broniła nas... Ma też przynieść tobie szczęście, choć nie bardzo rozumiem jak? Ze znaków odczytałam, że nurt przyniesie zmarłego, a jednocześnie ma to być szczęście dla ciebie. I nie chodzi o prom. To szczęście ma ci przynieść sam nurt, woda... Muszę to sobie jeszcze przemyśleć. McGill podeszła do biurka, wzięła szkatułkę z listami i zamierzała podejść do kominka, lecz Mary ją powstrzymała. - Dlaczego nie mogłam go pokochać? Pamiętasz, ostatniego dnia pojechaliśmy sami do barci w lesie. Była piękna pogoda, wokół żywej duszy... Sprawiałam mu chyba wielki zawód. Pani McGill kręciła głową. - Uwierz mi, John Compson był najszczęśliwszym człowiekiem na tamtym brzegu rzeki. W przeciwnym razie nie kazałby przywieźć się tutaj. Mary opuściła wzrok. Zgadzała się z McGill, a jednocześnie buntowała, wciąż bowiem czuła się winna, że nie kochała Johna. - Czy z miłością zawsze są takie kłopoty? - spytała cicho. - Dopóki się stawia takie pytania. Pewnego dnia przestaniesz się zastanawiać i nie spytasz o zdanie nikogo, a wtedy możesz być pewna, że się zakochałaś. Pani McGill wrzucała listy po jednym do ognia, a Mary patrzyła, jak pochłaniają je płomienie i zamieniają w popiół. - Mówimy o miłości, a on nie żyje - odezwała się, jakby pogodzona z czymś, czego nie mogła zrozumieć. Przez chwilę obie stały w milczeniu przed kominkiem. - Słyszałaś, jakie wiadomości przywiózł porucznik Blyth? - spytała Mary. - Nic nie wiem. Siedzą obaj ze Skelnikiem w bibliotece, głowa przy głowie, i szepczą. Na pewno nic dobrego. Pan kazał obwieścić, że za godzinę wszyscy mają stawić się w holu. O, byłabym zapomniała! Trzeba ustalić jadłospis na przyszły tydzień; omówimy go jutro? - A czemu nie teraz? - Usiadły przy okrągłym stoliku w pobliżu kominka. - Cały czas liczyłam, że Daniel upoluje bażanty - skarżyła się pani McGill. - A widzę, że z pasztetu trzeba będzie zrezygnować. Targowały się jak zwykle: pani McGill upierała się przy wyszukanych potrawach i wielkiej różnorodności, Mary wołała dania proste i wszystkim znane. Choć kucharka w końcu ustępowała, za każdym razem jednak robiła coś po swojemu. Wyszły z pokoju. Zazwyczaj już na schodach było słycać gwar dochodzący z kuchennych pomieszczeń, dziś w domu panowała idealna cisza. Zeszły do pustego holu. Mary poczuła się lepiej. Ten dom zawsze działał na nią uspokajająco. Na zewnątrz mogły szaleć wichury, śnieżyce, gradobicia lub upały, wewnątrz natomiast zawsze było cicho i bezpiecznie. Pozamykane okiennice, grube dywany na drewnianej posadzce. Nagle Mary stanęła koło drzwi, które jak sięgała pamięcią, zawsze były zamknięte. Choć przechodziła obok nich wiele razy, nigdy nie zwracała na nie uwagi. Dziś przyjrzała im się dokładnie. Były inne niż pozostałe drzwi w domu, podobnych nie widziała nigdzie w całej okolicy. Tak misternie zdobionego skrzydła i futryny nie potrafiłby wykonać żaden miejscowy stolarz. - Poczekaj - chwyciła panią McGill za rękę. - Otwórz mi te drzwi. - Co ci przyszło do głowy? Teraz? Wiesz przecież, że klucz do tych pokoi ma tylko pan Skelnik. - Ty jednak je sprzątasz. - On zawsze jest przy tym. - Znałaś kobietę, która zajmowała te pokoje? Opowiedz mi o niej. Umarła czy odeszła od niego? Jaka ona była? - Myślisz, że jakaś kobieta mogła po prostu rzucić Skelnika? Potrafiłabyś odejść od niego? Do tej pory ani ciebie, ani nikogo z domowników te pokoje nie interesowały, ale kiedyś było inaczej. Dawno temu Skelnik spędzał tu prawie każdy wieczór, a dziś muszę mu przypominać, że trzeba otworzyć okna i odkurzyć. - Co to była za kobieta? - Nie było żadnej kobiety, w każdym razie nigdy tu nie mieszkała. - Chcesz coś przede mną ukryć.

Powiedz mi prawdę, nie boję się jej usłyszeć, nawet jeśli to coś straszego. - Te drzwi zostaną otwarte. Widzę pootwierane okiennice, pokoje rozświetlone zimowym słońcem - a więc to już niedługo - i zapanuje wielka radość, ale też wielki ból... - Przestań! Nie mogę słuchać tych twoich wróżb - zawołała Mary. Ogarnął ją dziwny smutek, niepodobny do tego, jaki czuła po śmierci Johna, ale jakoś tajemniczo z nim się kojarzący. - Jak ty coś powiesz, to człowiek od razu dostaje gęsiej skórki. Idę się przejść. Chciała być teraz zupełnie sama. Chwyciła wiszący na wieszaku płaszcz, określiła się szalem. Przechodząc obok drzwi biblioteki, zobaczyła, że są uchylone. Robert Skelnik i porucznik Blyth stali przy stole, pochyleni nad rozłożoną mapą. Jeszcze dziś rano Mary natychmiast przyłączyłaby się do nich, teraz odeszła na palcach, by przypadkiem jej nie zawołali. Na werandzie odetchnęła głęboko. Ogród skąpany był w chłodnym świetle księżycy, na wietrze szeleściły suszące się wiązki nieśmiertelników. Przydadzą się na święta, gdy wraz z gałązkami świerku i sosny Mary wplecie je w girlandy, którymi ozdobi dom. Ruszyła przez ogród. Oto jej ulubione miejsce - schody przy drewnianej kolumnie porośniętej klematisem. Tu najchętniej czytała, snuła marzenia i najszybciej odzyskiwała spokój, ilekroć wpadała w konflikt ze sobą lub otoczeniem. Teraz jednak nie zatrzymała się, przeszła obojętnie obok stajni, i nie wiedząc dlaczego, stanęła przed wejściem na niewielki cmentarz, ukryty za drzewami i otoczony murem z kamieni, które wydobyto z ziemi podczas karczowania lasu pod budowę dworku. Mary zawsze miała wrażenie, że w tym miejscu inaczej się oddycha, inaczej tu pachnie, inna panuje cisza. Nie dziwiąc się, że o tej porze kuta brama jest otwarta, Mary weszła na kamienną ścieżkę pomiędzy grobami, porośniętą podobnie jak płyty grobowców mchem i pnączami. Nigdy nie bała się tu przychodzić. W końcu leżeli tu ludzie, których w ogóle nie знаła. Drwal McRead zginął przygnieciony przez pień wielkiej sosny, cieśla Keller spadł z kalenicy dworku, parobek Callaghana ukąsił jadowity wąż, dwoje dzieci utonęło w Delaware; dla Mary były to tylko nazwiska z legendy opowiadającej o powstawaniu Redford. Pod rozłożystym orzechem w północnej części cmentarza stał nagrobek z wykutym napisem, ale bez dat. Zbudował go dla siebie Robert Skelnik, zanim jeszcze Mary znalazła się w Redford. Pani McGill powiedziała jej kiedyś, że zamówił go po pierwszym zawale serca. Wiadomość tę Mary traktowała wyłącznie jak jeden z faktów z przeszłości Skelnika, teraz nagle zdała sobie sprawę, że choroba jest częścią jego terażniejszości. Nigdy nie widziała, aby Robert galopował na koniu. Zawsze mocno trzymał cugle; miało się przy tym wrażenie, że powstrzymuje nie konia, lecz samego siebie. W całym jego zachowaniu była jakaś powściągliwość, jakby krępowała go obca jego naturze siła. Wyglądało to tak, jakby cały czas nosił przy sobie coś bardzo cennego i kruchego. Stojąc przed nagrobkiem z wypisanym nazwiskiem Skelnika, Mary uświadomiła sobie, że pewnego dnia to on będzie leżał w domu na marach, jak teraz John Compson. Co wówczas stanie się z nią? Swojego ojca kochała, lecz był dla niej zawsze kimś dalekim i niedostępnym, Skelnik zaś stał się kimś bliskim i serdecznym. Był człowiekiem, który na własne oczy widział wszystkie cuda świata, którego ręce dotykały najcenniejszych skarbów, a serce doświadczyło wszystkich namiętności i cierpień. Jak żyć, gdy go zabraknie? Jej życie kręciło się wokół niego, razem zaczynali dzień, razem go kończyli. Nie mogła oderwać oczu od kamienia, na którym widniało nazwisko Roberta. Czyżby to pod nim kryła się ostateczna i jedyna odpowiedź na wątpliwości, które dręczyły ją tego wieczora? Była młoda i śmierć dla niej jakby nie istniała. Gdy o niej wspomiano, Mary żartowała, że z powodu jej młodości śmierć woli omijać Redford. Może tak było w rzeczywistości? Nagle uspokoiła się i życie, w które zwątpiła, znowu nabrało sensu. Nie była na cmentarzu sama. Pod krzakami bzu po przeciwnej stronie ktoś kopał grób - odgłosom wbijanej w ziemię łopaty towarzyszyły szept rozsypanych się grudy. Mary rozpoznała stojącego po pas w dole Jana Kyllogsa. Podeszła. Z usypanego pod murem kopca unosił się mocny korzenny zapach. Mężczyzna nie zwracał na nią uwagi, kopał rytmicznie, jakby w pośpiechu. Obojętne, czy wykuwał podkowę, czy dosiadał konia, czy też zimą

pracował w stolarni, Jan Kyllogs sprawiał wrażenie, że robi coś, co najbardziej lubi, stanowczo natomiast sprzeciwiał się czynnościom mającym cokolwiek wspólnego z wojskiem. Aż dziw brał, że milczący zazwyczaj Jan potrafił tak zdecydowanie protestować.

- Nie mogłeś z tym poczekać do rana? - odezwała się Mary. Jan wytarł ręce o wełnianą bluzę.

- A on mógł poczekać z tym umieraniem? - rzekł, wspierając się o wbity w ziemię łopatę. - Idzie ochłodzenie, do rana ziemia może zamrznąć na kość, a jemu zachciało się tam - wskazał głową ku górze. - Jak możesz mieć pretensje do zmarłego! - Powiedziałem mu to samo, kiedy żył, ale nie posłuchał nikogo, musiał walczyć! - Mówiąc tak, krzywdzisz jego i wszystkich, którzy bronią naszej ziemi. - Nie wiem, kto kogo krzywdzi, wiem tylko, że rozpętała się zawierucha i tak szybko się nie skończy, a ja wykopię tu jeszcze niejednego grób. Mary wolała zmienić temat, zresztą myślami była przy tamtym grobie. - Wiesz, kiedy pan Skelnik postawił sobie nagrobek? - spytała. - A po co panience to wiedzieć i w tym wieku myśleć o śmierci? - Chcę tylko zrozumieć, dlaczego to zrobił. - Każdy stara się robić wszystko jak najlepiej. Ja umiem sklecić trumnę i wykopać grób, więc to robię. Po mojemu, nasz pan postępuje tak samo, a jak ktoś nie boi się życia, to nie boi się też śmierci. - Masz na myśli także mnie? - Oczywiście. Panienska ma jego oczy i nie widać w nich lęku przed tym, co może przynieść przyszłość. Zerwał się chłodny wicher, gałęzie pobliskich krzaków ugięły się, jakby usiadło na nich stado niewidocznych nocnych ptaków. Zaraz potem rozległo się dudnienie przypominające rytmiczne uderzenia bębna. Jan wyskoczył z dołu. Hałas nasilał się, przechodząc w coraz wyraźniejszy tętent końskich kopyt. Pomiedzy pniami cedrów porastających aleję wiodącą do dworku pokazały się cienie jeźdźców nisko pochylonych nad końskimi grzbietami. - Niech panienska biegnie co sił w nogach i uprzedzi pana Skelnika! Ja przyprowadzę psy. To Jakub Eliphath Compson i jego ludzie. Szybko! Robert Skelnik zareagował ze spokojem, jakby się spodziewał tej wiadomości. Stał w otwartych drzwiach, jak zawsze gdy oczekiwał gości. W świetle pozapalanych pośpiesznie pochodni Mary próbowała dostrzec na twarzy Roberta strach czy zdenerwowanie, lecz zobaczyła tylko, że wymłodził i z zadziorną miną oczekuje przeciwnika. Jak spod ziemi zjawili się uzbrojeni ludzie na czele z Janem Kyllogsem prowadzącym na długiej smyczy cztery potężne czarne dogi. Tłum na dziedzińcu zgęstniał, mimo to panowała niezmacona cisza. Ludzie zajmowali umówione miejsca, tętent końskich kopyt dudnił coraz bliżej. Rozległ się zdecydowany głos Roberta: - Żadnych głupstw, jasne? Myślę, że mogę na was polegać. - Tyle powiedział, i więcej nie było trzeba. Oddział wjechał za bramę, a Skelnik z uśmiechem zwrócił się do porucznika Blytha stojącego pół kroku za nim. - Wiem, że chętnie się zakładasz, panie poruczniku, i do tego jesteś wielkim znawcą koni. Założysz się ze mną, że jeden z tych koni ma obluźowaną podkowę? - Chcesz ukryć strach, czy też podkreślić swoją odwagę? - odburknął Blyth niezbyt grzecznie. Był u kresu sił, miał za sobą przegraną bitwę i nie mógł uwolnić się od wrażenia, że ten spokojny dworek zaraz zamieni się w pole walki. Jeźdźcy tymczasem ustawili się półkolem przy schodach, na których czekał Skelnik. Było ich sześciu, pięciu dosiadało karych koni, jeden siwka. W świetle księżyca wydawał się bielszy niż stroje nocnych gości. - Compson - szepnęła Mary. - Co teraz będzie? Robert ścisnął jej rękę i zrozumiała, że czuje to samo co ona. W domu leży ciało Johna, na cmentarzu czeka na niego świeżo wykopany grób, palą się pogrzebowe świece, lecz przecież nie po to kazał się przywieźć do Redford. Mógł umrzeć w pierwszym lepszym domu, wiedział wszakże na pewno, że tutaj nawet po śmierci ktoś stanie w obronie nie tylko jego, ale i sprawy, o którą walczył. Myśl ta przyniosła Mary spokój, którego nie mogła znaleźć od kilku godzin. Spojrzała na Roberta. - Mam nadzieję, że pamiętasz, kim jest Jakob Compson i jak nas traktował, gdy Anglicy byli tu jeszcze panami? Ludzie z Redford otoczyli jeźdźców ciasnym kręgiem. Kare konie stały spokojnie, siwy kręcił się i poparskiwał. Wszyscy czekali, co zrobi Skelnik. - Dawno nie byłeś po tej stronie rzeki, panie Compson - przemówił donośnie. - Zapraszam do domu, tak będzie lepiej, ale najpierw proszę odesłać strażę. Wszystkie oczy

skierowały się na Compsona, który jak się zdaje, właśnie na to czekał. - Nie mam ochoty z tobą pertraktować, panie Skelnik. Proszę mi oddać Johna, a moja noga nie postanie tu ani chwili dłużej. - Słysząc go było w najdalszym zakątku dziedzińca. Wielu obecnych pamiętało jego głos z aukcji w porcie w Filadelfii, gdy przez ręce Compsona przechodziła każda paczka tytoniu Oxhofs, każda beła herbaty, zanim załadowano je na statek. Wówczas głos ten budził strach, teraz miejsce strachu zajęła nienawiść, gdyż uosabiał nie tylko braci Compson - Ebenezera w Filadelfii i Samuela w Bostonie - ale też wszystkie krzywdy, przeciwko którym ludzie chwycili za broń. - Czekam! Gdzie jest John? Gdzie jest mój syn? Mary chciała coś powiedzieć, lecz Robert mocniej ścisnął jej rękę. - Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, mister Compson - rzekł - tłumaczyłeś mi, że nie masz już syna. Jakob Eliphath Compson zacisnął dłonie na pałaku siodła i uniósł się w strzemionach. - W moim domu nie ma miejsca dla nikogo, kto przywdział mundur rebelianckiej armii. - John wciąż ma ten mundur na sobie! - zawołał porucznik Blyth. - I na pewno go już nie zdejmie, bo zostanie w nim pochowany. - Kim jesteś, oficerze? - Andrew Blyth, ochotnik z Pensylwanii, porucznik kawalerii. - Robercie Skelnik - zaczął Compson ostrym tonem. - Ilu ojcom jeszcze zabierzesz synów, by posłać ich na niechybną śmierć? - Mam ci przypomnieć, z czyjego powodu ci chłopcy giną? Tę wojnę zaczęli tacy ludzie jak ty, mister Compson. - Mam dość tych bzdur, Skelnik! Za dużo pan sobie pozwalasz. Compsonowie walczyli o te ziemie, zanim jeszcze zagnieździli się tu awanturnicy twojego pokroju. Z pomocą króla pozbedziemy się was! Kim jesteś, Skelnik, skąd przybyłeś i jakim prawem przywłaszczyłeś sobie ziemię? W dodatku ośmielasz się występować w imieniu prawowitych mieszkańców tego kraju! Ludzie wokół Jana Kyllogsa poruszyli się, psy szarpały się na uwięzi. Robert uniósł rękę. Przez chwilę wyraźnie walczył z sobą, lecz gdy się odezwał, jego głos brzmiał tak samo spokojnie jak przedtem. - Na szczęście to nie ty ustanawiasz tu prawo. Pragnę przypomnieć, że pański syn zbuntował się najpierw przeciw tobie, dopiero później przeciwko królowi. - Nie liczysz się ze słowami, Skelnik, a mówisz przy świadkach. Wkrótce zapanuje tu porządek i sądy wymierzą sprawiedliwość wszystkim, którzy podzegli do wojny. Postaram się, aby ciebie nie pominięto. Teraz proszę wydać mi ciało syna, bo nie chciałbym odbierać go przemocą. Tym razem uścisk dłoni był tak silny, że Mary zasyczała z bólu. - Jak chcesz je transportować? - usłyszała spokojne pytanie Roberta i groźny pomruk ludzi otaczających jeźdźców Compsona. Jakob milczał. - Moi ludzie zaraz go wyniosą - oznajmił Skelnik, po czym polecił: - Wynieście zmarłego przed dom! Mary szarpnięciem uwolniła rękę. - Nie możesz tego zrobić! Czy po to John kazał się przywieźć do Redford? Chciał tu pozostać! - Bo myślał, że przeżyje. Potrzebny ci jego grób, by o nim pamiętać? - spytał Robert, kładąc jej rękę na ramieniu. Po chwili pani McGill, oświetlając drogę, wyprowadziła z domu mężczyzn dźwigających Mary. Po schodach zeszli ostrożnie, ułożyli ciało zmarłego na koniu i przywiązali je. Nikt nie odezwał się ani słowem. Niespodziewany rozwój wypadków zaskoczył dosłownie wszystkich. Pani McGill opuściła pochodnię, oddział Compsona uformował się do wymarszu. Jakob nawet nie spojrzął na swojego syna, stanął na czele, za nim dwaj jeźdźcy prowadzący pośrodku konia z nieboszczykiem. Błady jak płótno porucznik Blyth podszedł do Skelnika, otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz się zatoczył i byłby upadł, gdyby w ostatniej chwili Robert nie przytrzymał go pod ramię. Blyth szarpnął się, nie miał jednak siły. Na czoło wystąpił mu pot, oczy błyszczały półprzytomnie. - Masz gorączkę, poruczniku - rzekł Skelnik. - Natychmiast do łóżka! McGill zaraz pościele. Od kiedy już nie śpisz? - Sam nie wiem, trzy, może cztery dni, nieważne. Proszę natychmiast dać mi konia! Robert pokręcił głową. - Daj spokój Compsonowi, poruczniku, stracił jedynego syna... W nocnej ciszy słysząc było oddalający się stukot końskich kopyt, znów przypominający dalekie bicie w werble. 29 Robert Skelnik pewnie sam nie wiedział, dlaczego w nowym, urządzonym z prostotą domu kazał zbudować przesadnie ogromny salon. Być może kierował się wspomnieniami z dzieciństwa, gdy spędzał dużo czasu w

salonie myśliwskim szlachcica, u którego pracował ojciec, albo też chciał zachować atmosferę pierwszych dni w Redford, kiedy nocował pod gołym niebem na dużej polanie, którą salon miał mu przypominać. Jedno było pewne: pomieszczenie powstawało stopniowo i nabierało kształtów jak las rosnący przez wiele lat. Na początku były tam tylko surowe, z grubsza otynkowane ściany, kominek z indiańskim rusztem, kilka wilczych i niedźwiedziach skór na posadzce i myśliwskie strzelby na hakach wbitych w mur. Przez jedenaście lat suszył Skelnik dębowe pnie, by zrobić z nich belki pod sufit, jedenaście lat czekały ścięte cedry, zanim pozwolili stolarzowi zrobić z nich boazerie. Po zakończeniu stolarki kazał utkać z surowego lnu grube płótno na zasłony, a później stopniowo kompletował meble. Najpierw pojawił się dębowy stół, przy którym mogło zasiąść trzydziestu sześciu gości, potem wysokie krzesła obciążone jelenią skórą i w końcu kredensy na szkło i srebra. Dziś miało się wrażenie, że salon nie zmienił się co najmniej od stu lat, że nie jest dziełem człowieka, lecz tworem samej natury. Kiedy teraz Robert rozpałił w kominku ogień, zapachniało najprawdziwszym lasem. Mary obserwowała go zadowolona, że może być z nim sama, zanim za chwilę zrobi się tu tłoczno. Usiadła na taborecie przy kominku i czekała, aż Robert zajmie miejsce obok niej. - Dlaczego? - odezwała się. - Dlaczego się zgodziłeś? - W końcu był jego synem - rzekł, wyciągając nogi w stronę paleniska. - Wyobraź sobie, że to mój syn by się zakochał w córce rojalisty i dla niej przywdział czerwony angielski mundur. - Co ty mówisz?! John walczył dla idei, a nie dla dziewczyny! - Źle mnie zrozumiałaś, nie chodzi mi o Johna. Chciałem tylko powiedzieć, że są rzeczy nie poddające się prawom wojny. Do takich należy chociażby miłość. - Ale chyba nie nienawiść, a Jakob Compson nienawidzi i ciebie, i swojego syna. - To prawda, choć teraz to już nie ma znaczenia. Miał syna i stracił go bezpowrotnie. Dopóki John żył, Compson miał przynajmniej nadzieję, że go odzyska, teraz ją stracił. Może się pojednać tylko ze zmarłym. - Próbujesz go usprawiedliwiać? - Tylko zrozumieć. Wyobrażam sobie, jak bym się czuł, gdybym stracił syna. Syn to przyszłość, a mężczyzna nie potrafi żyć, nie myśląc o przyszłości. Na starość synowie są jego dumą, jeśli umierają wcześniej, dla ojca musi to być tragedia. Mary słuchała, wstrzymując oddech. Gdy Robert zamilkł, odruchowo zadała mu pytanie: - Dlaczego ty nie masz syna? Patrzył nieruchomo w ogień. - Mam za to córkę - rzekł. - Mam ciebie. - Nie chcesz o tym rozmawiać? - spytała, zaraz jednak uświadomiła sobie, że Robert błądzi myślami gdzie indziej. - I nie martwię się o przyszłość - odezwał się, jakby nie słyszał jej pytania. - Jesteś moją córką i cieszę się, że mam komu zostawić Redford. Już teraz wszyscy mówią o tobie "córka Skelnika". Nie pamiętam, kto pierwszy tak powiedział, ale bardzo się wtedy ucieszyłem. Moje nazwisko nie zaginie. - Uważasz, że wraz ze śmiercią wszystko się kończy? - Na to pytanie nie znam odpowiedzi, ale wiem na pewno, że skoro dla ludzi pozostaniesz "córka Skelnika", to tak jakbym żył dalej. - Wierzysz tylko w to, czego możesz dotknąć ręką. Tak chyba powinnam zrozumieć twoją odpowiedź? - Tego akurat nie miałem na myśli, choć przyznaję, że masz rację. Bez oczu prawdopodobnie mógłbym się obejść, bez rąk nigdy... - Urwał i odwrócił się w stronę drzwi, w których stanęła pani McGill. - Ludzie już czekają - rzekła krótko. Skelnik wstał. - W takim razie nie traćmy czasu. Zebrania w dworku Redford odbywały się często i dotyczyły różnych spraw: posiania nowych odmian kukurydzy, budowy drogi, zgody na wydzierżawienie gruntów, mimo to za każdym razem Robert czuł się dziwnie nieswojo i przypominał sobie strach ojca, gdy przychodziło wezwanie do dworu. Zazwyczaj pogodny i opanowany ojciec wpadał w panikę, wyjmował z szafy najlepsze ubranie, a zdenerwowana matka w pośpiechu polerowała jego skórzane buty. Robert zapamiętał tę atmosferę i mimo upływu lat wciąż wspominał ją z niechęcią. Na myśl, że jego wezwania mogą wywoływać podobny skutek, ogarniało go wrażenie, że zrobił coś złego. Uspokajał się, dopiero gdy widział ludzi wchodzących do holu. Mężczyźni zdejmowali kapelusze, chłopcy stajenni z podwiniętymi nogawkami wchodzili w skarpetach, dziewczki po wydojeniu krów zdążyły się przebrać i paradowały w nieskazitelnie białych

fartuchach i chustkach. Pomocnice kucharki wyróżniały się rumieńcami na policzkach. Każdy wnosił do holu swój charakterystyczny zapach: jedni końskiej sierści, inni świeżego mleka, a jeszcze inni chleba lub ziemi. Zajmowano miejsca. Starsi szukali krzeseł, młodszy stawali pod ścianą, a wszyscy zachowywali się swobodnie, jak we własnym domu. Jako ostatni zjawili się Jan Kyllogs i pani McGill. Metyska miała gładko uczesane włosy, niebieską kretonową suknię przepasała wyhaftowanym przez swoją indiańską matkę pasem. Jan zamknął drzwi - był to znak, że można rozpocząć zebranie, lecz Skelnik popatrzył po zebranych i rzekł: - Nie widzę Jeana Daniela. - Od dwóch dni się nie pokazuje - odpowiedział Jan. - Lis porwał dwadzieścia kur i Jean poszedł jego tropem, a wiecie, panie, jak on sobie coś wbije do głowy... - A co z twoją żoną, Henry Lee? Lee, chłopisko siedmiu stóp wzrostu, był w Redford serowarem. - Prosi o usprawiedliwienie, sir, bo napaliła w wędzarni i upiera się, że szynki i kielbasy są ważniejsze niż gadanie mężczyzn o wojnie. Próbowałem ją przekonać, ale akurat w gębie to ona jest mocniejsza ode mnie. Nikt nawet się nie uśmiechnął. Wojna. To słowo padło może trochę przypadkowo, aczkolwiek wszyscy się domyślali, że wojna musi być blisko, skoro obok Skelnika stoi porucznik Blyth, a na ścianie wisi wielka mapa. - No to zaczynajmy - rzekł Robert. - Twoja żona, Henry, nie ma racji, bo wojna nie jest wyłącznie sprawą mężczyzn. Przyznaję, że szynki i kielbasy są ważne, wkrótce będą jeszcze ważniejsze, ale o wojnie musimy zacząć rozmawiać bardzo poważnie. Mam nadzieję, że zachowacie zimną krew, jak podczas wizyty Compsona. Wiem, że trudno wam było się powstrzymać, uwierzcie mi jednak, że inaczej postąpić nie mogłem. - Naprawdę warto ustępować takim ludziom jak Compson? - odezwał się Paul, jeden z parobków. - On gotów pomyśleć, że przyznajemy mu rację. - Zrozumcie mnie, proszę. Są sytuacje, w których nie można ustępować, ale są też takie, gdy trzeba wykazać rozwagę. Właśnie o tym musimy porozmawiać. W lipcu tego roku składaliśmy przysięgę na nową konstytucję, to był wielki dzień, gdy cały kontynent ogłaszał niepodległość. Byliśmy bardzo wzruszeni i wielu wśród nas sądziło, że osiągnęliśmy już cel. Tych paru angielskich żołnierzy w pośpiechu ucieknę na statki, a król na amerykańskie kolonie po prostu machnie ręką. Tymczasem już dwa tygodnie później w pobliżu Nowego Jorku zeszły na ląd z okrętów brytyjskie i niemieckie oddziały - około trzydziestu tysięcy żołnierzy! Wiadomość o tym przywiózł nam John Compson. Wciąż słyszę jego słowa, gdy opisywał przybycie brytyjskiej floty: "I podpływały, jeden po drugim, jak wielka groźna chmura nadciągająca znad oceanu". Nie wiem, co czuliście wy, ale mnie po tych słowach dosłownie zmroziło. Skelnikowi załamał się głos. W holu zapanowała cisza, twarze zastygły, spoważniały, ludzie wstrzymali oddech. Tylko Andrew Blyth oddychał głośno i ciężko. Robert spojrzął na niego i przeraził się - oczy porucznika płonęły od gorączki. - Nie będę wam przypominać, co działo się potem - ciągnął poważnym tonem. - Nie dotarła do nas ani jedna dobra wiadomość. Pod Flatbush padło wielu naszych, a była to pierwsza bitwa stoczona z Niemcami, na drugi dzień po ich lądowaniu. Straciliśmy Nowy Jork, później Whiteplains, a przed chwilą porucznik Blyth przywiózł wiadomość o następnej porażce. - Robert spojrzął na wiszącą na ścianie mapę, lecz nie podszedł do niej. Wielu z obecnych nigdy nie było na drugim brzegu rzeki, ale nazwy leżących tam miejscowości wszyscy znali już na pamięć, jakby osobiście brali udział w stoczonych bitwach i potyczkach, szturmowali wzgórza, wynosili zabitych i rannych z pola walki, zwiłali i rozwijali sztandary. Teraz z niecierpliwością czekali na nową nazwę. - Upadł Fort Washington nad rzeką Hudson - rzekł Skelnik z trudem. - Prawie trzy tysiące naszych dostało się do niewoli, reszta rozproszyła się po lasach. W rękach nieprzyjaciela jest już nie tylko Nowy Jork, ale całe New Jersey i można się spodziewać, że wkrótce wrogie wojska zobaczymy nad Delaware. Zapadła głucha cisza. Dopiero po długiej chwili ktoś spytał: - Jak to się skończy, skoro ciągle się cofamy? Robert nie spojrzął na pytającego, nie próbował nawet rozpoznać go po głosie. To samo pytanie na pewno stawiali sobie teraz wszyscy. - Jak to się skończy? - powtórzył. - Trudno przewidzieć, co jeszcze się zdarzy. Nie

wiem, jak długo będzie trzeba się cofać, ilu naszych musi jeszcze zginąć, za to wiem, jaki będzie koniec. Odbierzemy nieprzyjacielowi każdą utraconą piędź naszej ziemi i wygnamy go! Wiem, że tak będzie. Już widzę, jak odpływają ostatnie okręty, podnoszą kotwice, rozwijają żagle. Widzę, jak na zawsze nikną za horyzontem! To będzie piękny, wspaniały dzień, tak piękny, jak w chwili gdy Bóg stworzył świat! - Robert spuścił głowę. Przestraszył się własnych słów. Nigdy w ten sposób nie przemawiał, nigdy nie pozwalał ponosić się emocjom, teraz zaś ogarnęło go wrażenie, że to nie on mówił, lecz ktoś obcy. Zakasłał, by sprawdzić, czy to rzeczywiście był jego głos. - Nie przyszliśmy tu jednak, by rozmawiać o przyszłości - rzekł spokojniejszym tonem. - Przedstawiłem wam sytuację na froncie. Można się spodziewać, że generał podda całe New Jersey i przerzuci wojska na naszą stronę Delaware, by bronić Filadelfii, a to oznacza, że wkrótce Anglicy staną na tamtym brzegu. Porucznik Blyth zaklina, abyśmy zostawili wszystko i czym prędzej schronili się w Filadelfii. Dotąd Mary z uwagą słuchała słów Roberta, teraz jednak nie wytrzymała. - Mamy opuścić Redford? Chyba nie mówisz poważnie! Nigdy się stąd nie ruszymy! Robert skarcił ją wzrokiem. Był wzburzony. Zebrani poruszyli się, mężczyźni przestępowali z nogi na nogę, przekładali kapelusze do drugiej ręki, kobiety poprawiały grzebienie we włosach albo zapaski na biodrach. - Wezwałem was, abyśmy się razem zastanowili - rzekł Skelnik. - Niech każdy się wypowie, a później będziemy głosować. Jak zawsze wszystkie głosy są jednakowo ważne. - Znam odpowiedź i bez głosowania - przerwała mu Mary. - Nikt nie chce opuszczać Redford i nikt nie uwierzy, że ty chciałeś to zrobić. - Powtórzyłem wam tylko radę porucznika, a on jest oficerem i na sprawach wojskowych zna się lepiej niż my. - A zapomniał już, za jaką sprawę zginął John Compson? - zawołała Mary, wspinając się na kamienną przybudówkę koło kominka. Robertowi przypominała teraz jej ojca wygłaszającego z ambony płomienne kazania. - Jakież to powód miał John Compson, by stanąć do walki i w niej polec? Bronił swoich poglądów, swojej wiary w niepodległość, złożonego pod przysięgą słowa, ale nie bronił swojej ziemi, bo jej nie miał. My zaś mamy Redford! Tu jest nasza ziemia, stoją nasze domy, tu żyją nasze rodziny, pasą się nasze krowy i rośnie nasza ozimina... Czy nie mamy dość powodów, by chwycić za broń i bronić naszego Redford? Wśród obecnych przeszedł pomruk aprobaty. - To są dokładnie moje słowa! - zawołał ktoś z końca, a Henry Lee poprosił o głos. - Hm, no cóż - zaczął. - Jak by to powiedzieć? Przecież nie musimy od razu chwytać za broń. Może tędy wojska nie przejdą, a jeśli nawet, to dłaczego miałyby nas atakować? Redford to nie żaden Fort Washington, tylko zwyczajna farma. Co nam mogą zrobić? Najwyżej trzeba ich będzie poić i karmić. - A ty gotów jesteś zaprosić ich na ucztę, co? - przerwała mu pani McGill. - Mnie zaś każesz opatrywać im rany! - Jak cię znamy, w nocy potajemnie byś ich wszystkich oskalpowała! - zawołał ktoś żartem, co oznaczało, że atmosfera się rozluźniła. W tym momencie porucznik wskoczył na krzesło, ale jakoś tak nieszczęśliwie, że przewrócił się razem z nim. - Wy nie wiecie, o czym mówicie! - wołał wzburzony, podnosząc się z trudem. - Macie na myśli Anglików, a przecież to nie oni z nami walczą, lecz ich poplecznicy, najemni żołnierze, wśród nich dwadzieścia tysięcy z Hesji. Ci nie znają litości, wierzcie mi, bo ja ich widziałem! Pod Flatbush dosłownie nas zgnetli i gdyby Anglicy ich nie powstrzymali, wycięliby nas do nogi. Pod Whiteplains byliśmy bliscy zwycięstwa, Anglicy już chcieli pertraktować, a wtedy z odsieczą przyszły im heskie oddziały. Gdyby nie oni, Fort Washington nigdy by się nie poddał. Wy ich nie znacie i życzę wam, abyście nigdy nie poznali... - Głos mu się załamał. - To dzikie bestie! John i ja spędziliśmy dwa dni w ich niewoli. Jak woły ciągnęliśmy armaty przez dwanaście godzin dziennie, mogę wam pokazać pręgi na ramionach. Za sobą pozostawiają zmasakrowane zwierzęta i wypalone domostwa. Wśród naszych, gdy tylko padnie słowo "Hesja", nawet najodważniejsi milkną. Drwal Bechtle podniósł rękę. - Pan o nich mówi, jakby to były diabły, a ja powiadam, że to nieszczęśnicy - cedził słowa powoli z cudzoziemskim akcentem. - Ja nie znam wielkie słowa, wy wszyscy dłużej w Redford niż ja,

ale chcę tylko powiedzieć, że ja taki heski żołnierz też mógłbym być i gwarantuję, że żaden z nich nie szedł do wojska dobrowolnie, a musi walczyć, bo boi się oficera, boi się strasznych kar. Porucznik Blyth wytarł spocone czoło. - To diabły! Zabijają za pieniądze i sprawia im to przyjemność. Nie miałem pojęcia, jak można zmasakrować człowieka bagnietem, dopóki nie pokazali mi tego hescy żołnierze. Oni uznają tylko śmierć. Gdybyście widzieli, jak maszerują, słyszeli bicie w werble! Kto raz usłyszał ten warkot, będzie miał go w uszach do końca życia... - Blyth zatoczył się, ktoś chciał go podtrzymać, lecz porucznik zdecydowanie go odepchnął. - Ja nie zmienię zdania. - Drwal Bechtle nie dał się przekonać. - To nieszczęśnicy! Jak tu przyjdą, pozwólcie mi porozmawiać z nimi po niemiecku. Poczestujemy ich tłustym rosołem z cielęciny, pokażemy nasze pastwiska, nasze bydło i obiecamy kawałek ziemi, a zobaczycie, że zdezerterują stadami. Zapadło milczenie. - Wszyscy gadacie, jakby wróg stał już za progiem - odezwał się w końcu ogrodnik, nie wyjmując fajki z ust. - A ja powiem tylko jedno: nie wolno ich przepuścić przez rzekę - wtrąciła Mary. Jej proste słowa wyraziły wszystko, co każdy czuł w głębi serca. Rzeka, ich Delaware, okalająca szerokim szarozielonym łukiem Redford, jakby obejmująca ich ziemię opiekuńczym ramieniem. Nagle wszyscy jakby się obudzili. - Ona ma zupełną rację: za rzekę ich nie puścimy! - zawołał ktoś. - Ja się stąd nie ruszę ani na krok! - dodał inny. - Takim ludziom jak Jakob Compson byłoby na rękę, gdybyśmy im oddali naszą ziemię - zauważył jeden z parobków. - Proponuję rozpocząć głosowanie - przerwał Skelnik. - Kto jest za opuszczeniem Redford, niech podniesie rękę. Do góry uniosła się jedynie dłoń porucznika Blytha. - Rozumiem, że reszta zdecydowała się pozostać - podsumował Skelnik. - Należy zatem niezwłocznie przystąpić do działania. Po pierwsze, wzdłuż Delaware musimy wystawić warty. Wykorzystamy istniejące przy brodach szalasy i wybudujemy dwa nowe, potem ustalimy kolejność wart. Jakoś nikt się nie zdziwił, że Skelnik przedstawił im już gotowy plan. Właściwie go narzucił, nikt jednak nie czuł się urażony, Robert bowiem rozmawiał z nimi jak z równymi sobie. Tylko tyran wymusza posłuch u poddanych strachem. - Co zrobimy z promem? - spytał Henry Lee. - Nie powinniśmy go raczej zdemontować? Robert zawahał się. Pomyślał o doktorze Banksie, którego wezwał specjalnie, by pokazać wszystkim, że nic złego się nie dzieje. Dopóki prom pływał, ludzie nie wierzyli, że wojna jest blisko. - Racja - rzekł. - Prom odstawiamy. Trzeba wyciągnąć na nasz brzeg wszystkie łodzie. Koniec z połowami, czas więc pomyśleć o zapasach i policzyć, co mamy. Musimy zaprzestać sprzedaży naszych produktów. - Proponuję natychmiast wysłać kogoś do aptekarza w Princeton - odezwała się McGill. - Jego mazidła na nic się zdadzą i szkoda je kupować, przydadzą się natomiast lancety, szarpie, turecki rabarbar i indyjskie figi. Z tego potrafię zrobić lepsze medykamenty niż on. - Ja zajmę się bronią - zgłosił się kowal Jonathan Whitecombe. - Nie trzeba robić żadnego spisu, bo znam na pamięć, kto w Redford ma strzelbę myśliwską, kto muszkiet, a kto pistolet. Nagle wszyscy wysuwali jakieś pomysły, oferowali pomoc. Skelnik zakończył zebranie, a oni rozchodzili się, dyskutując zawzięcie. Było jasne, że na dziedzińcu ustawią się grupkami i jeszcze raz omówią wszystko, co już ustalono. W holu zostali tylko Skelnik, porucznik Blyth i Mary. Robert zdjął ze ściany mapę i starannie ją zwijając, podszedł do kominka. Mary ruchem głowy wskazała mu porucznika. Blyth w rozpiętej bluzie siedział okrakiem na taborecie i szeptał coś niewyraźnie. - Wy ich nie znacie... Nie słyszeliście warkotu ich werbli - rzekł głośniejszym głosem i odrzuciwszy w tył głowę, popatrzył półprzytomnym wzrokiem. - Idą! Słyszę ich! - zawołał. Jego wargi poruszały się, nie wydając głosu, potem jednak coraz wyraźniej wydobywał się głuchy, rytmiczny dźwięk: tam-tam-taram, tam-tam-taram... Mary chwyciła się ramienia Roberta. - On ich rzeczywiście słyszy - szepnęła. - Rany boskie! On ich słyszy! - Majaczy w gorączce - rzekł Skelnik ze spokojem. - Idź, zawołaj McGill. - Przyznaj, ani przez chwilę nie miałeś zamiaru opuszczać Redford, prawda? - Nie miałem - rzekł. Za jego plecami dudniło to straszne tam-tam-taram. - Silny mężczyzna, a się boi - szepnęła Mary. - To okropne... - Zaraz zaśnie. Jutro poczuje się

lepiej - uspokajał ją Skelnik. Jutro? Ile jeszcze takich "jutro" ich czeka?, pomyślała Mary, lecz nie odważyła się zadać mu tego pytania, nie potrafiła nawet spojrzeć na niego. Położyła głowę na jego ramieniu, zamknęła oczy i wyszeptala: - Przytul mnie mocno chociaż przez chwilę. 30 Było to w drugą niedzielę grudnia. Ludzie z Redford zasiedli do wspólnego posiłku i nikt prócz pani McGill nie zauważył, że miejsce Jeana Daniela jest puste, leśniczego bowiem prawie nigdy nie widywano we dworze. Miał swój barak w lesie i między ludźmi pokazywał się rzadko: albo przynosił dziczyznę zamówioną przez McGill, albo uzupełniał zapasy potrzebne mu w leśniczówce. Poprzednicy Jeana Daniela zachowywali się podobnie i nikt się nimi specjalnie nie przejmował, zwłaszcza że mieszkali w "lesie". Redford było otoczone wielkimi połaciami lasu od północy i od zachodu, lecz dla mieszkańców "lasem" od początku był tylko pas dzikiej puszczy oddzielającej dwór od Delaware, nietknięty od czasów, gdy mieszkali tu Indianie. Przez środek wiodła co prawda dawna indiańska ścieżka do brodu, jednakże nikt z niej nie korzystał. Mężczyźni woleli objeżdżać las okrężną drogą, kobiety zaś straszyły nim dzieci, gdy zbyt blisko dokazywały. Jedyną osobą, której "las" w ogóle nie przerażał, była pani McGill. Przynosiła stamtąd różne zioła, kwiaty i korzonki, z których według starych indiańskich receptur wyrabiała medykamenty. Nikt w Redford się nie dziwił, gdy wieczorem po skończonej pracy pani McGill wymykała się z domu i z wiklinowym koszem na plecach wyprowadzała ze stajni swoją niską czarną klacz. Widywano ją potem o świcie, gdy z koszem pełnym ziół wracała na oklep do dworu. Czasami przywoziła różne niezwykle przedmioty: to miedziane sprzączki, to grzebienie z bawolich rogów, to znowu cienkie złote bransolety. Tej niedzieli wszakże pani McGill nie czekała do wieczora, tylko zaraz po posiłku wymknęła się z kuchni i w pośpiechu, nie zabierając kosza, pojechała do lasu. Miała na sobie świąteczną suknię z żółtej wełny, włosy gładko spięła grzebieniami. Ich niebieskawoczarny połysk tak bardzo kontrastował z wyjątkowo jasną cerą, że nawet mężczyźni, którzy znali panią McGill od wielu lat, oglądali się za nią, gdy pokazywała się bez kapelusza. McGill wiedziała, że ktoś się za nią obejrzy, i biegła coraz szybciej. Na szczęście przy stajni nie było nikogo. Wędzidła założyła klaczy jeszcze przed obiadem, mogła więc od razu wskoczyć na jej grzbiet. Całe szczęście, że się przygotowała, bo właśnie w kierunku stajni wielkimi krokami zbliżał się kowal Jonathan Whitecombe. Słyszała za plecami jego głos, zdawało jej się, że widzi jego twarz, zdziwioną i trochę urażoną. Liczył zapewne, że pani McGill wybierze się z nim na tańce na farmę Saundersów. Przez chwilę nawet miała ochotę z nim pójść, bo jak wszyscy przeczuwała, że będzie to już ostatnia zabawa. Jak to powiedziała Rosa, jedna ze służących? "Jak już w kapeli zostanie tylko stary skrzypek Farnborough, a do tańca dziewczyny będą prosić dziewczyny, to możesz być pewna, że mamy wojnę." Wjechała do lasu i natychmiast zapomniała o tańcach. Żaden dom nie zapewniłby jej takiego poczucia bezpieczeństwa, jak te zacieśniające się wokół niej pnie drzew, zamykające się nad głową korony. Minęła miejsca, gdzie niedawno zebrała mech do ocieplenia okien - zazieleniły się ponownie. Albo sprawiły to wyjątkowo łagodna jesień, albo też od ostatniego pobytu w lesie upłynęło sporo czasu, a ona tego nie zauważyła. Zatrzymała konia i zeskoczyła na ziemię. Z wyjazdem z Redford strasznie się śpieszyła, teraz wydawało jej się, że na wszystko ma czas, i postanowiła obejrzeć wnyki pozastawiane przez Daniela. O dziwo, w zwykłych miejscach nie znalazła ani jednego. Może to też skutek tej niezwykle ciepłej zimy, pomyślała i nagle stanęła jak wryta, bo na jedynej większej polanie w tym lesie zakwitły całe kępy zawilców. Nie mogła się powstrzymać, by nie narwać bukiecika tych delikatnych, lekko różowawych kwiatków. Klacz tymczasem szła dalej dobrze jej znaną, leśną ścieżką. Drzewa przeredziły się i z daleka widać już było sylwetkę drewnianego szałas. Pani McGill podeszła od strony, z której nie było okien. Poprzedni leśniczy miał psa, ale i tak zawsze go zaskakiwała swoim przybyciem. Dziś też nikt nie wyszedł jej na powitanie. Zaprowadziła klacz do drewnianej stajni; gniady koń Daniela był wewnątrz, a to znaczyło, że jego pan jest gdzieś blisko. Kiedy

leśniczym był Kenneth, w stajni unosił się gryzący zapach ługu i garbowanych skór. Daniel, choć był lepszym myśliwym, futer i skór nie tykał, a wielki kocioł w stajni służył mu wyłącznie do moczenia bielizny. Nigdy nie miał na sobie brudnego ubrania, nawet gdy pani McGill zjawiała się w leśniczówce bez uprzedzenia. Kiedy chciała mu sprawić szczególną radość, przynosiła kawałek mydła. Kenneth miał ręce szorstkie i brązowe od ługu, Daniel zawsze wkładał rękawiczki, nawet gdy tylko pomagał jej zrywać zioła. "Kogo ty właściwie kochasz? - pomyślała McGill. Kennetha, Daniela, obu, czy żadnego z nich? A może kochasz jedynie las, w którym ci dwaj mieszkali?" Uśmiechnęła się i wyszła ze stajni. Rzadko bywała tu za dnia i pewnie dlatego całe otoczenie wydało jej się trochę obce. Czegoś tu jakby brakowało. Może dymu nad kominem, a może zapachów dochodzących z kuchni? Przy drzwiach leżały powiązane w pęczki wnyki, których bezskutecznie szukała w lesie. Dlaczego Daniel ich nie pozakładał? Po cichu uchyliła drzwi i ostrożnie stanęła na drewnianym progu. Kominek był wygaszony. Podłoga, która zazwyczaj mieniła się barwami odbijających się w niej płomieni, dziś była dziwnie wyblakła. Pachniała mydłem i woskiem, choć leżał na niej świeży piasek. Myśliwskie strzelby wisiały na swoim miejscu, przy drzwiach, obok futrzanej czapki i płaszcza, w cynowej czaszy na stole leżała fajka, tym razem wszakże schowana w skórzanej sakiewce. Pani McGill przystanęła przy łóżku w głębi pokoju. Nie było w nim kraciastej pościeli, na gołym sienniku leżał niebieski wełniany koc, który Danielowi wyhaftowała. Ucieszyła się, że może być teraz sama. Gdy nagle usłyszała zbliżające się kroki, nie była pewna, czy już się oswoiła ze zmianami, które tu zastała. Odłożyła bukietik zawilców i z zamkniętymi oczami czekała, aż poczuje ręce Jeana na swoich ramionach. - Nie sądziłem, że dziś przyjdiesz - usłyszała jego głos, brzmiący tak samo jak dawniej. Odwróciła się i wtuliła w jego objęcia. - Nie mogłam się wyrwać. W ostatnich dniach miałam mnóstwo pracy: cały ciąg zabudowań gospodarczych przerobiliśmy na lazaret. Szykowaaliśmy łóżka, cięły bandażę. A co dzieje się z tobą? - Odsunęła się, ze zdziwieniem widząc na stoliku przy drzwiach dwa ledwo żywe węgorze. - Byłeś nad rzeką? - spytała. Skinął głową. - Myślałem, że sprawię ci radość... - A nie słyszałeś, że pan zakazał wypływania na rzekę? - To czemu od razu nie zakazał też polowania? - Nie udawaj, że nie rozumiesz. A co do polowania, to chyba sam go sobie zakazałeś, bo od tygodnia czekam na bażanty, które mi obiecałeś. - W rzece aż roi się od ryb, a nie wolno łowić! Po diabła nam taka rzeka? W lesie co krok to patrol, zwierzyna się płoszy, co tu się dzieje? Ukradli nam rzekę i las, kazali schować łodzie, za chwilę odbiorą nam broń, bo jest potrzebna dla armii! - mówił ze złością, oparty o krawędź stołu. McGill usiadła obok niego, pomiędzy nimi leżał bukietik zawilców. Delikatne kwiatki bez wody szybko więdną, lecz ani Jean, ani ona nie mieli ochoty iść po naczynie. - Muszę z tobą porozmawiać - rzekł Daniel poważnym tonem. - Porozmawiać? - spytała zdziwiona, zerkając na rozebrane z pościeli łóżko. - Najlepsze między nami było zawsze to, że nie musieliśmy rozmawiać, a może się myliłam? Popatrzył na nią tak, jakby to on oczekiwał odpowiedzi. - Nie mylisz się. Byłem zdecydowany odejść i wcale ci o tym nie mówić. W Redford nie chciałem się pokazywać, a ty nie przychodziłaś. Jakby nie usłyszała jego słów. Podeszła do półki, nalała do kubka wody i włożyła do niego bukietik. - Już po drodze wydało mi się dziwne, że do tej pory nie nastawiłeś jeszcze wnyków. - Naprawdę chciałem tu zostać na stałe - rzekł. - Zanim znalazłem się w Ameryce, przeprowadzałem się dwa razy. W Redford jestem trzy lata i chętnie bym został jeszcze ze trzydzieści, ale doprawdy nie mogę. Nie spojrzała na niego, gdy zamilkł, tylko spokojnie układała kwiatki. - Doskonale cię rozumiem - rzekła z uśmiechem. - Oni tu przyjdą - odezwał się grobowym głosem. - Wojska już są w drodze i mogę ci udowodnić, że wcale nie zmyślam. - Podeszedł do skrzyni i uchylił wieko. - Zobacz! Pasy, nabojnice: wszystko wyrzucają! - Zatrzasnął skrzynię. - O tym wam wartownicy nie mówią, bo im zakazano, ale niedługo, jak zaczną dezertować oficerowie, prawdy nie da się ukryć. Już teraz na nasz brzeg przedostają się wyłącznie ci, których stać na kupno nowych koni. Korzystają z brodu,

choć na szczęście nie wiedzą o moim baraku, bo w przeciwnym razie miałbym tu co noc lokatora. Tak, moja droga, wygląda ta nasza armia. Na razie mamy pojedynczych dezertersów, lecz wkrótce znajdą się tu wszyscy, a wtedy będzie to koniec i rzeki, i lasu. - Czasami nachodzą mnie identyczne myśli i też mam ochotę uciekać jak najdalej stąd. Sam wiesz, ile dla mnie znaczy ten kraj. Tu żyli Delawarowie, moi przodkowie, i tak kochali tę rzekę, żenazwali ją tak samo jak swoje plemię. Rzekę i las szanuję i kocham jak własnych rodziców. Boję się, że je stracę, jeśli przyjdzie tu wojsko, ale wiem też, że nie można stracić czegoś, co bardzo się kocha, i że od nas samych zależy, czy jesteśmy szczęśliwi. Daniel podszedł bliżej i popatrzył jej w oczy. Zawsze były ogromnie poważne, choć niekiedy potrafiły uśmiechać się tak cudownie, że Danielowi robiło się gorąco. Gdyby nie ona, odszedłby z Redford już dawno. - Świat jest wielki, McGill! - rzekł zamyślony. - A takie lasy i rzeki można znaleźć gdzie indziej. Popeniłem błąd, że nie poszedłem dalej. Stąd jest zbyt blisko do morza, a na wybrzeżu rzadko kiedy panuje spokój. Gdzieś na pewno znajdę rzekę dwa razy szerszą od Delaware i las stukrotnie większy od tego. Chodź ze mną, McGill! Przysięgam sobie, że tym razem ucieknę bardzo daleko. - Wiesz już dokąd? - spytała. - Pokażesz mi na mapie? Roześmiał się. - Myślałem, że Indianie nie posługują się mapami i kompasem. Mamy konie, broń, ty masz swój szósty zmysł, co nam więcej trzeba? - Czegoś tam zawsze zabraknie. - Uśmiechnęła się i uniosła rękę, powoli rozpuszczała włosy, wyjmując po kolei spinające je grzebienie. Ciężkie okienne krzyża na podłodze wydłużył się znacznie, a McGill powróciła w myślach do pytań, o których na chwilę zapomniała. Odpowiedź na nie była teraz znacznie trudniejsza niż przedtem. Co ma zrobić? Zostać, czy może pójść z Jeanem? Podniosła suknię, usiadła na krawędzi łóżka i zaczęła się ubierać. - Nie upolowałeś tego lisa - rzekła, zapinając guziki. - A może nie miałeś ochoty pokazywać go w Redford? - Nora była pusta, to znaczy, że lis znalazł sobie nowy rewir. Borsuki zresztą też się wyprowadziły. Zwierzęta mają dziwnie wyczulony instynkt. Pomogła mu zebrać rzeczy, które pakował do skórzanej torby. Przerzucił ją przez ramię, zdjął ze ściany dwie myśliwskie strzelby, sprawdził zamki i mniejszą z nich, ozdobioną miedzią dwururkę, podał dziewczynie. Wytarła ją rękawem. Zawsze z niej strzelała, gdy razem polowali. - Weź ją ze sobą. Nie chcę niczego, co by mi przypominało ciebie. Już i tak będzie mi ciężko, gdy wejść do lasu i w leśniczówce nikogo nie zastanę. - Długo pusta stać nie będzie - odparł, prowadząc panią McGill do drzwi. Zamknął je za sobą, a klucz powiesił na gwoździu pod parapetem. Uniósł głowę jak pies wietrzący trop i rzekł. - Godzinę temu powietrze było ciepłe jak wiosną, teraz wyraźnie się ochłodziło. Wkrótce spadnie śnieg. Kawałek nieba, widoczny pomiędzy koronami drzew, przybrał szarą barwę, słońca nie było widać. - Chyba masz rację - odparła McGill i z uśmiechem zerknęła na Jeana. - Zamówiłeś go specjalnie, abym zapamiętała dzisiejszy dzień jak najdłużej? Nie odpowiedział. W milczeniu podeszli do koni. Pomogła mu przytroczyć do siodeł obie skórzane torby, włożyła strzelbę do juchtowego pokrowca i zasnurowała. Wyprowadzili konie, a Daniel zaryglował drzwi stajni. Wsiadli i nie oglądając się za siebie, odjechali w pośpiechu, on na wysokonogim kasztanku, ona na swojej niskiej czarnej klaczy. - Którędy pojedziesz? - spytała. - Wzdłuż Delaware? Skinął tylko. - Pojadę z tobą kawałek - rzekła. - Do rzeki. Jedź pierwszy, a gdy nie usłyszysz kroków mojego konia, nie oglądaj się. Odstęp między nimi powiększał się zadziwiająco szybko. Kiedy Jean Daniel wyjechał z lasu i skręcił ku łąkom ciągnącym się aż do rzeki, McGill zamierzała zawrócić, lecz urzeczona widokiem, jaki się przed nią roztaczał, jechała dalej. Dawno nie była nad rzeką i niemal zapomniała, jak tu ślicznie. Za plecami miała czarny las, przed sobą połyskujące w przymglonym świetle słońca lekko fioletowe łąki i zielonkawe wody rzeki. Nie wytrzymała, czarna klacz po chwili stała obok kasztanka Daniela. - Popatrz, co za dzień! Zapamiętaj ten widok, bo tak prędko nic równie pięknego nie zobaczysz. Spadły pierwsze wielkie płatki śniegu, jakby światło rozpuszczone w zielononiebieskim powietrzu nagle przybrało materialny kształt. Pani McGill na chwilę

zamknęła oczy, a gdy je otworzyła, przeraziła się... Obraz, który zobaczyła, widywała czasami we śnie, i to tak wyraźnie, że długo po przebudzeniu nie mogła się od niego uwolnić. Sprawdzające się wizje początkowo ją przerażały, z czasem wszakże oswoiła się z tym niezwykle darem i ani się nim nie chwaliła, ani też nie próbowała go ukrywać. Po drugiej stronie rzeki za zasłoną oślepiającego światła poruszały się jakieś cienie. W pierwszej chwili McGill wzięła je za przywidzenie, kiedy jednak stawały się coraz wyraźniejsze, mocniej wyteżyła wzrok. Rozróżniała mundury, konie, ostrza bagnatów, lufy strzelb. Jak okiem sięgnąć, na całym przeciwnym brzegu stali żołnierze i ciągle ich przybywało. Wyłaniali się z krzaków rosnących wzdłuż nadrzecznej drogi, z wozów i zatrzymywali na spadzistym brzegu nad wodą. Jean Daniel podniósł się w strzemionach i osłonił oczy dłonią. - To nasi. Nasze wojsko! - rzekł, a opadłszy bezwładnie na siodło, szepnął: - Mon Dieu! - Swojej ojczyznej mowy nie używał od lat, gdy opuścił rodzinne La Rochelle. - Co oni wyprawiają? Poginie więcej ludzi niż w najkrwawszej bitwie! McGill patrzyła jak porażona. Całymi oddziałami piechurzy zsuwali się po stromym brzegu ku rzece, po drodze odrzucając broń, torby, plecaki. Za nimi jechali kawalerzyści. Konie potykały się na stromiźnie, jeźdźcy spadali, tratowani przez następne szeregi. Droga ciągnęła długa kolumna dział i wozów, która jakby zgarniała rozproszone wojska i spychała je ku rzece. Gdy pierwsi żołnierze weszli do wody, McGill krzyknęła z przerażenia. Wartki nurt natychmiast podcinał im nogi. Znikali jeden po drugim. Ktoś zdążył jeszcze dramatycznie machnąć ręką, ktoś na chwilę wynurzył głowę, lecz lodowata zielonkawa woda nikomu nie dawała szans, a przecież zdesperowanym ludziom musiała wydawać się ostatnią deską ratunku. Ginęli po cichu, nie próbując walczyć z żywiołem. Ciszę przerwały głośnie strzały po tej stronie rzeki. To wartownicy z Redford. Las odpowiedział echem, na drugim brzegu wybuchła wrzawa. Po kolejnych wystrzałach tamci chyba zrozumieli, co oznaczają, bo oficerowie na koniach próbowali odsunąć żołnierzy od brzegu i zaprowadzić jakiś porządek. McGill czuła, jak z bezsilności cisną jej się do oczu łzy. Ze złości gotowa była zbić swoją klacz, zrobić coś absolutnie bezsensownego. Popatrzyła na Jeana i nie mogła się powstrzymać, by nie zrobić mu przykrości, nie zadać bólu samej sobie. - Co tu jeszcze robisz? - krzyknęła. - No jedź, skoro przed tym właśnie chciałeś uciec! Zabierają ci twoją rzekę, zaraz zabiorą las, więc na co czekasz? A może cieszysz się, że rzeka kolejno ich pożera? Śnieg padał coraz gęściejszy. Na głowie Daniela, na jego ramionach połyskiwały wielkie białe płatki. Odezwał się cichym, stłumionym głosem: - Musimy szybko wyprowadzić łodzie. To, co do nocy działo się po obu stronach Delaware, przypominało nierealistyczne sceny z najstraszniejszych snów. W gęstniejącym śniegu z lasu wynurzyły się łodzie i jakby o własnych siłach sunęły szybko ku rzece. Po drugiej stronie rozbiegany tłum nagle uformował się w regularne czworoboki, które po przybyciu łodzi rozpadały się, by zaraz na powrót się sformować. McGill wiedziała, że jej miejsce jest teraz w Redford: trzeba napalić w piecach, zabrać się do gotowania, wiedziała, że tutaj przeszkadza, wszyscy ją popychają, a mimo to nie potrafiła odejść. Najpierw patrzyła na desperacko skaczących do rzeki, teraz przyglądała się bladym twarzom rannych, których przewożono łodziami w pierwszej kolejności. Potem zjawili się zdrowi. Wynędziali, szli ociężale, zapatrzeni przed siebie, jakby nie dotarło jeszcze do nich, że znaleźli się na bezpiecznym brzegu. Przewieziono konie, wozy i działa, wokół wyrosły namioty, rozpalono pierwsze ogniska, a McGill stała wciąż w tym samym miejscu. Ona pierwsza zobaczyła żołnierzy na tamtym brzegu, a teraz miała wrażenie, że nie wolno jej odejść, dopóki ostatni z nich nie znajdzie się po tej stronie Delaware. Wyrwała do końca, cały czas ludząc się nadzieją, że to tylko kolejna jej wizja, z której zaraz się ocknie i wróci do rzeczywistości. 31 Mary dałaby wszystko, byleby nie słyszeć wołającego ją głosu i pukającej do drzwi dłoni. Przecież dopiero przed chwilą zasnęła! Zacisnęła mocno powieki: chce spać, niczego nie widzieć, nie słyszeć... - Mary! - Głos przybrał na sile, pukanie zamieniło się w łomot. - Już czas! Chciała naciągnąć koc na głowę, lecz ze

zdziwieniem stwierdziła, że wcale nie jest nakryta, ba! nie leży w łóżku, tylko śpi w fotelu. Przez mansardowe okno sączy się słabe wieczorne światło, otaczają ją jakieś obce przedmioty, a te, które rozpoznaje, nie stoją na swoim miejscu. Minęło już sześć dni, a Mary wciąż nie przyzwyczała się do pokoiku na poddaszu, gdzie zamieszkała, swoją sypialnię odstąpiwszy dwom oficerom przybyłym z tamtej strony rzeki. - Mary! Co się z tobą dzieje? - wołała Sara Derwent. - Otwórz, przyniosłam ci kawy. Mary wstała i od razu potknęła się o koc leżący na podłodze. Kopnęła go ze złością i powlokła się do drzwi. Wypoczęta, z opaską we włosach, jakby wybierała się na bal, weszła Sara. Z uśmiechem postawiła tacę na stole. Zapach kawy, który zazwyczaj wprawiał Mary w dobry nastrój, dziś nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Zamiast nalać sobie pełną filiżankę czarnego gorącego płynu, skulona z zimna usiadła w fotelu. - A ty co? - Sara popatrzyła na zasłane łóżko. - W ogóle nie spałaś? To dlaczego kazałaś mi tak długo czekać? - Która godzina? Sara nalała pełny kubek kawy i sięgnęła po mleko. - Dokładnie piąta. Musimy zmienić dziewczęta Saundersów. - Piąta po południu? - Mary podkuiliła nogi i objęła kolana rękoma. - W takim razie przespałam cztery godziny, a chciałam tylko trochę odpocząć w fotelu, zanim się rozbiore. Wiesz, Saro, kiedy już będzie po wszystkim, prześpię całą zimę, jak nasze borsuki. Znajdę sobie wydrążony pień drzewa, zwinę się w kłębek i na cztery miesiące przestanę jeść i oddychać. - Ty to zawsze coś wymyślisz! - Sara odwróciła się do lustra i poprawiła zwisające wzdłuż policzków loki. Prawdę mówiąc, do jej szerokiego czoła i perkatego nosa te loki wcale nie pasowały, aczkolwiek nie można wykluczyć, że właśnie one przyciągały uwagę mężczyzn, którzy zawsze kręcili się koło Sary. Zobaczyła, że Mary nie wypila swojej kawy. - Pośpiesz się. Dziewczyny Saundersów mają kawał drogi do domu, a teraz kiedy w okolicy pełno jest milicji, ich rodzice bardzo się denerwują, jeśli przed zmrokiem nie wracają. Wczoraj na dodatek dwóch wartowników zgwałciło służącą Saundersów... Wybacz, że ci o tym mówię, ale naprawdę jestem wściekła. My urabiamy sobie ręce po łokcie, ledwo trzymamy się na nogach, a porucznik Blyth nie może się zdecydować, by wreszcie posłać nam kogoś do pomocy w lazarecie. Wypij tę kawę, zanim wystygnie, i chodźmy już. Mary wzięła od niej kubek, nie ruszając się z fotela. - Chyba nie będę zamykała drzwi na klucz, to prędzej mnie dobudzisz... - rzekła półprzymkniętymi oczami. - Nie wiem, czy to dobry pomysł: dwudziestu obcych mężczyzn w domu, a ty chcesz spać przy otwartych drzwiach? Ktoś może tu wejść choćby przez pomyłkę. - Niechby nawet położył się obok mnie, to nie zauważę, taka jestem zmęczona! - zaśmiała się Mary i wielkimi haustami wypila kawę. Zrobiło jej się niedobrze. Nie miała sił ani ochoty walczyć ze zmęczeniem. Najchętniej odesłałaby Sarę do domu, zamknęła drzwi na klucz i nie odpowiadała na żadne pukanie, tylko spała, spała i jeszcze raz spała. Nagle przypomniała sobie Randalla, siodlarza i szewca, u którego piętrzą się stopy uprząży i żołnierskich butów. W jego warsztacie światło pali się całą noc, a McGill musi mu zanosić posiłki, bo inaczej wcale by nie jadł. Jan Kylloggs nie nadaje ze zbijaniem trumien i kopaniem grobów, kowal Jonathan Whitecombe z zaczerwienionymi oczami stoi bez przerwy przy kowadle i kuje albo podkowy, albo części zapasowe do armatnich lawet. - Nie wiesz, czy mój ojciec jest w domu? - Podobno z kilkoma mężczyznami pojechał do starej kopalni cyny. - Po co aż tam? - Możesz nie wierzyć, ale udało się sprowadzić z Filadelfii dwa wozy pełne siarki i saletry, dziś trudniej o te surowce niż o złoto i srebro. Zamierzają w starej kopalni wyrabiać proch. Mary wstała ociężale. - Ja nie wiem, jak mężczyźni całymi dniami wytrzymują bez spania. - Podeszła do ukośnego okna w dachu i otworzyła je na oścież. - Chcesz się zaziębić na śmierć? - zawołała Sara. - Mróz taki, że człowiekowi w nosie zamarza! Mary jednak myślami była w starej kopalni cyny. Dlaczego Skelnik nie mówi jej o swoich planach? Dlaczego o wielu jego ważnych decyzjach musi dowiadywać się od obcych ludzi? Przenikliwy ziąb sprawił, że zadrżała. Na tle błękitniejącego nieba widać było szeregi namiotów. Kilka dni temu, przysypane puszystym śniegiem, wyglądały bardzo dostojnie, jednakże biały puch szybko zniknął i odsłonił opłakany stan obozowiska. Nie dało

się ukryć, że do Redford przybyła pobita armia. Ci ludzie nie rwali się do walki, oni myśleli o ucieczce. Za każdym razem, gdy Mary z góry patrzyła na namioty, miała wrażenie, że głębiej się zapadły w torfiastą ziemię, a pewnego dnia pograżą się w niej zupełnie. Zamknęła szybko okno i odwróciła się, by przypadkiem Sara nie odczytała z jej twarzy, o czym myśli.

- Mógłby wreszcie spać śnieg. Tym na dworze byłoby cieplej - rzekła, podchodząc do drzwi. - Czemu nie każesz wstawić tu sobie kociołka z węglem drzewnym? - spytała Sara. - Ty i McGill oszczędzacie, a panowie oficerowie palą w piecach do czerwoności. Jak tak dalej pójdzie, to przepuszczą przez komin cały las wokół Redford. - Od kiedy to jesteś taka cięta na oficerów? Myślałam, że jak to wszystko się skończy, to Sara Derwent zostanie co najmniej panią majorową. - Też tak myślałam, ale się wyleczyłam, jak poznałam tych ludzi bliżej. Ciekawe, co by powiedział mój ojciec, gdyby ci panowie zachowywali się w jego domu tak jak tutaj? Zeszły z poddasza do holu. Jeden z oficerów minął je bez słowa i zniknął za drzwiami biblioteki, w której znajdowało się teraz biuro generała. Na białej posadzce pozostały ślady jego brudnych butów. - Widziałaś kiedyś, żeby zwykły parobek odważył się wejść do domu w ubłoconych buciorach? - burknęła Sara. Mary zatrzymała się przy wieszakach. Pomiędzy szarymi, niebieskimi i brązowymi okryciami nie było zielonego płaszcza Skelnika; szkoda, pomyślała, tylko rozmowa z Robertem przywróciłaby jej teraz siły. - Chodź szybciej, dziewczyny Saundersów nie mogą dłużej czekać. Przekroczenie progu sali chorych wiele Mary kosztowało, zawsze szukała więc jakiegoś zajęcia w salach przyległych, byleby je odwlec. Wynoszenie koszy z pokrwawionymi bandażami i przebywanie w gorącym, przesyconym medykamentami powietrzu przy rozpalonym piecu z gotującą się wodą też nie było przyjemne, lecz i tak wydawało się jej azylem. Weszła za Sarą do sali chorych. Duszne powietrze zatkało jej płuca, ludzie leżący na niskich pryczach poruszyli się, zwracając oczy w jej stronę. Sztywny z krochmalu biały fartuch, pachnący mydłem i świeżością, był dla Mary swoistym płaszczem ochronnym, odgradzającym ją od otoczenia. Zgłosiła się do pomocy w lazarecie dobrowolnie, nie zdając sobie sprawy z wyrzeczeń, do których będzie zmuszona. Za to zmuszanie się karciała samą siebie i często podejmowała się jeszcze bardziej nieprzyjemnych zajęć, dziś wszakże była wdzięczna Sarze, gdy ta bez szemrania ją wyręczała. Mary nie miała siły patrzeć, jak jej towarzyszka zdejmuje bandaż, czyści rany, cierpliwie podaje chorym lekarstwa. Stojąc tyłem do sali, zajęła się czynnościami nie wymagającymi zbliżania się do pacjentów: przygotowywała medykamenty, cięła szarpie, gotowała herbatę. Na końcu sali, oddzieleni od pozostałych, leżeli najciężej ranni. Ilekroć tam szła, kolejne łóżko było puste. Wiedziała o każdym nowym grobie wykopanym przez Jana Kyllogsa, los wszakże oszczędził jej widoku umierającego człowieka. Do tej pory chorzy umierali, gdy nie miała służby, jednakże myśl, że prędzej czy później zdarzy się to w jej obecności, prześladowała ją codziennie. Przy jednej z prycz za parawanem stał lekarz. Dienne światło prawie już nie docierało do tej części sali, lecz Mary wyraźnie zobaczyła odrzucony koc i obciążoną powyżej kolana nogę rannego żołnierza, właściwie chłopca, gdyż mógł mieć co najwyżej piętnaście lat. Z gorączkowymi wypiekami na wychudłej twarzy wyglądał wręcz dziecinnie. Chyba nie zdawał sobie sprawy, że stracił nogę, nie rozumiał, co znaczy ostry zapach octu i psującego się ciała unoszący się nad jego pryczą. Leżał spokojnie, lewą ręką wybijając rytm o krawędź łóżka. Dopiero po chwili Mary dostrzegła stojący opodal bęben. Wzięła z tacy szklanekę ze środkiem uśmierzającym ból, ale gdy pochyliła się nad chorym, lekarz odsunął ją delikatnie. - Niech pani zostawi ten lek tym, którzy bardziej go potrzebują. Młody dobosz poruszył ustami, wymówił chyba czyjeś imię. - Ależ on cierpi! - szepnęła Mary. - Nie można mu jakoś pomóc? William Dunlop był lekarzem wojskowym. Mary go nie lubiła, choć właściwie nie wiedziała dlaczego, najmniej ze wszystkich bowiem się oszczędzał i walczył o życie każdego, dopóki tylko istniała jakaś szansa. - Zrobiłem to, co było możliwe - odpowiedział spokojnie. - Przecież nie mogłem go kroić po kawałku. - Niech pan nie mówi tego przy nim! - szepnęła przestraszona. - Nie

słyszysz. O niczym nie wie, i lepiej by było, gdyby nigdy się nie dowiedział. Wyobraża pani sobie, jakie czeka go życie bez obu nóg? - Lekarz położył luźny opatrunek na jątrzącą ranę po amputacji i nakrył chłopca kocem. Mary zadrżała. Odstawiwszy szklankę na tacę, odruchowo chwyciła rannego za rękę. Była gorąca. On umrze, pomyślała. Dlaczego pierwszym umierającym w jej obecności człowiekiem musi być akurat ten chłopiec? Ranny nagle otworzył oczy, jego usta poruszyły się i wypowiedziały bardzo wyraźnie: - Coś kłuje mnie w kolanie, doktorze. Niech mi pan wyjmie tę kulę, nie będę krzyczał, obiecuję. Niech mi pan poda pałkę od werbla... Przerażona Mary popatrzyła na lekarza. - To on nic nie wie? - A chce mu pani powiedzieć? Proszę bardzo! Nie wie, bo czuje ból w nodze, której już nie ma. Może mu pani powiedzieć prawdę - dodał i odszedł. Ranny zamknął oczy, wciąż coś cicho mamrocząc. Na jego twarzy malowało się cierpienie, z bólu zaciskał dłonie, choć z wolna zaczął się uspokajać. Ciało odprężyło się, lecz nie puścił dłoni Mary. Gdy próbowała się uwolnić, mocniej ją ścisnął. Mary ogarnął paniczny strach, że chłopiec umrze, a ona nie wyzwoli się z jego śmiertelnego uścisku. - Zostaw go, mamy jeszcze mnóstwo roboty. - Spokojny głos Sary zabrzmiał jak wybawienie. Niespodziewanie chłopiec rozprostował skurczone palce. - Jak myślisz, on umrze? - spytała. - Myślę, że więcej dla niego nie można było zrobić. W drugim końcu sali, gdzie łóżka oddzielały jedynie skrzynie, na których stawiano jedzenie i pochodnie, było mniej duszno i panowała nieco luźniejsza atmosfera. Kilku mężczyzn grało w karty. Ktoś sięgnął po własnoręcznie wystruganą piszczałkę, lecz widząc karcące spojrzenie Mary, zrezygnował z grania. Szły pomiędzy łóżkami, Sara zmieniała opatrunki, Mary podawała lekarstwa i rozwieszała w pobliżu pieców ręczniki nasączone octem. W ten sposób odświeżano powietrze. Na razie nie miały nic więcej do roboty. Wracowały do niewielkiej salki obok, by trochę odpocząć. Nagle jeden z chorych zerwał się z pryczy i objął Mary w pasie. - Może zatańczymy, malutka? Z nudów można tu zdechnąć! Hej ty, z piszczałką, zagraj coś skoczniejszego! Mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Z ust żołnierza buchnął kwaśny zapach gorzałki i Mary zrobiło się niedobrze. Z całej siły odepchnęła napastnika. Zatoczył się, lecz nie zrezygnował, arogancko się uśmiechając. - No, nareszcie coś tu się dzieje! - wybełkotał. Kiedy ponownie próbował objąć Mary, zdążyła się odsunąć. Pijany wpadł pomiędzy prycze, a w tym czasie Sara jednym ruchem rozrzuciła jego posłanie. Znalazłszy pod poduszką butelkę, zawołała: - Proszę pakować manatki! Chciałeś pan zostać sierżantem, a taki przykład dajesz ludziom? W tę chorobę to od początku nie wierzyłam, i miałam rację! Lekarstwo do kibla, a do gardła gorzałkę, tak? I jeszcze pewnie liczył, że doktor zwolni cię do domu? Nic z tego, bratku! To łóżko przyda się innym, a ty się stąd zbieraj. Idziemy, Mary! Mężczyzna pozbierał się i zagroził im przejście. - Proszę się usunąć! - Głos Sary zabrzmiał mniej zdecydowanie. Zapadła cisza, niektórzy podnieśli się na pryczach. Pijak, chwiejąc się na nogach, wrzasnął: - Grać! Dlaczego nie grasz, baranie? Z głębi sali rozległy się nieśmiałe tony piszczałki. Nikt się nie śmiał, Mary czuła chodzące jej po plecach ciarki. W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Robert Skelnik. Mary słyszała jego głos, zbliżające się kroki, lecz odetchnęła swobodnie, dopiero gdy poczuła na policzku chłód jego płaszcza. Spojrzała na jego zaczerwienioną od mrozu i konnej jazdy twarz. Futrzaną czapkę miał nasuniętą nisko na czoło, w oczach było widać zmęczenie, i Mary nagle zrozumiała, że jej problemy są właściwie mało istotną błahostką. Wieczorny chłód przygniatał do ziemi snujące się z kominów dymy. Na Mary i Roberta to zimne, pachnące spalenizną powietrze działało jak narkotyk. - Możesz już iść, poradzę sobie sama - rzekła Sara, a Mary za te słowa była jej ogromnie wdzięczna. Po przyjściu Skelnika sprawa pijanego sierżanta została załatwiona od ręki: doktor Dunlop ponownie go zbadał i musiał przyznać, że miał do czynienia z wyjątkowo sprytnym symulantem. Pod strażą rzekomy chory powędrował do obozowiska. Na dziedzińcu panowała cisza. Okna na parterze dworku były rzęsiście oświetlone, od czasu do czasu za szybą przesuwiał się czyjś cień. - Czasami mam wrażenie, że w naszym domu jesteśmy tylko gośćmi - rzekła Mary. - Po co właściwie ci

ludzie tu się kręcą? Rozkładają i zwijają te swoje mapy, a nic konkretnego z tego nie wynika. Robert milczał. Z ciemności nadbiegły dogi i głośno sapiąc, wykonały kilka okrążeń wokół nich. Niebo usiane gwiazdami pojaśniało, na wschodzie czerniała ściana lasu. - Co za dziwna zima! - odezwała się Mary. - Jak myślisz, czy w ogóle spadnie śnieg? - Tak bardzo ci na nim zależy? - No wiesz, w zimie zwykle jest biało, a w tym roku śnieg poleżał tylko jeden dzień. Wszystko jest jakieś inne. Na przykład skończyły się nasze wieczorne przejażdżki... - A chciałabyś pojechać? - zainteresował się. - O ile nie jesteś zmęczony. Do starej kopalni cyny jest szmat drogi; ma w ogóle sens to, co tam robicie? Wątpię, czy ci ludzie zechcą jeszcze walczyć, nawet gdyby dostali mnóstwo broni i amunicji. W ciągu tygodnia zdezerterowało ponad stu. Tym razem także się nie odezwał. W kuźni paliło się światło, otwarte skrzydło drzwi kołysało się na wietrze. Jonathan Whitecombe wyszedł po coś, wracając, zatrzasnął je. - Chodź - odezwał się wreszcie Robert. - Na mrozie zapomnisz o dręczących cię wątpliwościach. To wszystko z powodu tej pracy w lazarecie, widok rannych nastraja cię pesymistycznie - dodał. W towarzystwie dogów ruszyli do stajni, skąd dochodziły przyjazne poparskiwania koni. Robert wyszukał po omacku lampę, zapalił i w świetle jasnego płomienia zobaczył przed sobą dwóch mężczyzn. Serowar Henry Lee i drwal Bechtle trzymali wycelowane w niego strzelby i mieli równie zdziwione miny jak on. - Co to ma znaczyć? Skąd się tu wzięliście? - spytał łagodnie. - Cóż to, odebrało wam mowę? Mężczyźni opuścili broń. - Trzymamy tu straż - odezwał się Lee - i jak usłyszeliśmy, że ktoś idzie... - Przecież nie kazałem wam pilnować stajni! - Ale oni nas okradają! - nie ustępował Lee. - Jak jacyś złodzieje! Najpierw brali tylko ubrania i prowiant, teraz już i konie. Wczoraj ukradli następną klacz, sami zobaczcie! Przeszli wzdłuż boksów, w których kręciły się niespokojnie konie. Gdy Lee oświetlił latarnią opróżnioną przez złodziei zagrodę, Mary jęknęła: - Ukradli moją Norę! - Zgadza się, do tego razem z siodłem, tym nowym czerwonym z Filadelfii. Przymierzali się też do waszego gniadego, panie Skelnik, ale się nie dał. O, widzicie, cała ściana obtłuczona kopytami, tak się bronił... Upilnujemy bandytów! Skurczybyki, najpierw się u nas podkarmią, potem zabierają nam konie i znikają jak kamfora! - złoślił się Lee, szybko wszakże zamilkł pod karcącym wzrokiem Skelnika. - Osiodłajcie tego - rzekł Robert wskazując na spokojnego siwka. Lee odłożył latarnię. W stajni rozlegały się zwyczajne dla tego miejsca odgłosy: szelest wyciąganego ze żłobu siana, szuranie uprząży, stukot kopyt wyprowadzanych koni o kamienną posadzkę. Mary i Robert odebrali osiodłane wierzchowce. Drzwi stajni natychmiast się za nimi zamknęły. Robert przytrzymał Mary strzemię. - Nie rozumiem, jak mogło dojść aż tak daleko? - odezwała się jakby do siebie. - Niedawno, gdy ktoś wspominał o naszej armii, robił to z dumą, wręcz z nabożeństwem, a dziś? Słyszałeś, co mówią nasi ludzie. McGill od razu czerwienieje z wściekłości, a Sara, której marzeniem było poślubienie oficera, teraz nawet myśleć o tym nie chce. Czasami mam wrażenie, że gościmy w Redford wrogą armię. Powiedz coś, Robercie! Może jestem niesprawiedliwa, ale jak nasz żołnierz może wejść do stajni, zabrać mojego konia i zostawić towarzyszy na pastwę losu? Słuchał ze spuszczoną głową. Najwyraźniej chciał czym prędzej znaleźć się daleko od domu. Miarowym krokiem przejechali cedrową aleję, a kiedy światła dworku zniknęły za szpalerem drzew, Robert wreszcie się odezwał: - Ludzie są tylko ludźmi. Może ten, który wziął twojego konia, mieszka w naszym stanie albo sąsiednim, w Wirginii czy Pensylwanii. Za dziesięć dni Boże Narodzenie, wiesz, co taki człowiek myśli? Wezmę konia i za kilka dni będę w domu, z żoną i dziećmi albo z rodzicami, którzy może nie wiedzą, czy żyję. Większość z tych, co leżą teraz na mrozie pod namiotami, marzy tylko o jednym: znaleźć się w domu. Nie chcę oczywiście nikogo usprawiedliwiać, próbuję jedynie wczuć się w położenie tych ludzi. - Przecież to żołnierze! Anglicy dezercerów od razu wieszają, bo co to za wojsko, z którego ludzie uciekają. Powiedz mi prawdę, Robercie, co stało się z naszą armią? - Cóż, w wojsku bywa różnie. Anglicy wieszają nie tylko za dezercję, Hesi karzą chłostą za najdrobniejsze nieposłuszeństwo, a w

polskim wojsku za zgiętą lufę strzelby można było zapłacić głową. Sądysz, że takie drakońskie metody należy wprowadzić w naszej armii? Przecież nie o to walczyliśmy! Przypomnij sobie, kim są ci ludzie pod namiotami: jeszcze pół roku temu byli farmerami, kupcami, adwokatami, studentami, rzemieślnikami. Przyjechali tutaj, by pracować, a do wojska zgłosili się dobrowolnie. Zamknęli swoje warsztaty, porzucili uniwersytety. Nikt ich nie przymuszał, pamiętaj! Na tym polega wolność, o którą walczą. Mają dosyć słuchania rozkazów i nie dowierzają tym, którzy je wydają, ale gotowi są bronić Kongresu, Stanów Zjednoczonych i swojej armii. - A jednak z niej uciekają! Jak taką armią ma dowodzić generał? - Nie ma łatwego zadania. Pytałaś, czy rozkładanie i składanie map ma jakiś sens; nie wiem, ale szczerze mówiąc, nie chciałbym być w skórze generała. Na głowie ma same kłopoty: żołd wypłacany w papierowych pieniądzech z dnia na dzień traci wartość, nie ma za co kupić mundurów i amunicji. Ochotnicy przychodzą do armii, kiedy chcą i kiedy chcą, odchodzą, takie mają prawo. Jeśli do końca roku Kongres nie spełni prośby generała, by ustanowić regularną armię, to z resztek Armii Kontynentalnej, czyli ośmiu tysięcy żołnierzy, zostaną mu co najwyżej trzy. - Sądysz, że pięć tysięcy... - Nie, nie zdezerteruje. Po prostu 31 grudnia ochotnikom kończy się półroczny angaż do milicji. To, że generał straci naraz pięć tysięcy żołnierzy, nie jest jeszcze katastrofą, najgorsze jest to, że ci zdesperowani żołnierze rozjadą się po kraju, siejąc wszędzie zwątpienie i podważając sens walki o niepodległość. - Robert ściszył głos, jakby mówił do siebie. - Przed Nowym Rokiem coś koniecznie musi się zdarzyć - dodał szeptem. Na końcu cedrowej alei konie same przyspieszyły i zboczyły w stronę starych sosen. Na lewo od drogi ciągnęły się szeregi oświetlonych ogniskami namiotów, na prawo stał ciemny, milczący las. Jechali obok siebie, nie przejmując się gęstniejącymi ciemnościami. Nie musieli widzieć, by się orientować, dokąd idą - wystarczyło posłuchać odgłosu końskich kopyt, nawoływań nocnych zwierząt, rozpoznać nadlatujące zapachy. Chłodniejsze i wilgotniejsze powietrze oznaczało, że zbliżają się do rzeki, wkrótce też usłyszeli charakterystyczny szmer fal. W domu przewoźnika nie paliło się światło, oba promy stały pod krzewami bzu, wyciągnięte na ląd. Nakryte żaglowym płótnem połyskiwały z daleka, jakby były zrobione ze skóry. Pod ścianą obok leżały łodzie, pomiędzy nimi wiatr z szelestem przesuwiał zeschnięte liście. Skelnik i Mary zsiadli z koni. Na łuku rzeki, gdzie płytka woda wydawała się stać w bezruchu, przy brzegu utworzył się cienki lodowy jezior, upstrzony wielkimi pęcherzami powietrza. Zapatrzeni, nie zareagowali, gdy za ich plecami ktoś głośno zawołał: - Nie ruszać się! - Był to Scotty, chłopiec stajenny, którego ojciec trzymał dziś straż na przystani. Z wysoko uniesioną latarnią wyszedł z domku przewoźnika. - Ach, to pan i panienska! - krzyknął w głąb sieni do ojca. - Powiem im, że wszystko w porządku. Jednakże Robert i Mary wsiedli już na konie i odjechali. Nie chodziło im przecież o to, by z kimkolwiek się spotykać. Chcieli być sami. Wracali już do dworku, gdy nagle usłyszeli tętent galopującego konia. - Któż tak pędzi po nocy? - zdziwiła się Mary, zjeżdżając na skraj drogi. - Przecież po ciemku może sobie skrócić kark! Z ciemności wyłonił się pierwszy koń - nikt na nim nie siedział. Tuż za nim biegł drugi, a na jego grzbiecie z trudem można było dostrzec wyciągniętego jak struna jeźdźca. - Nie był to porucznik Blyth? - spytała Mary, gdy jeździec przemknął obok, nie zwróciwszy na nich uwagi. - On nie on, postąpił mądrze, puszczając przodem luzaka. A swoją drogą, masz chyba kocie oczy, skoro w ciemnościach potrafisz rozpoznać człowieka. - To ty się uparłeś, by założyć mi okulary, bo ja moim oczom nie mam nic do zarzucenia. - Mary najwyraźniej odzyskała już formę i zapomniała i o zmęczeniu, i o wątpliwościach, które ją dręczyły. Bez pośpiechu jechali dalej. Gdy znaleźli się na dziedzińcu, oficer wchodził już do domu, a jeden z ordynansów generała zajmował się jego końmi. Błyszczały od potu, z ich nozdrzy buchały obłoki pary. W holu prócz dwóch wartowników przy drzwiach biblioteki nie było nikogo, a jednak coś się zmieniło, w powietrzu wyczuwało się niepokój. Zza ciężkich dębowych drzwi dochodziły zniżone głosy i szelest rozkładanych map. - Muszę wracać - odezwała się Mary. -

Nie mogę dłużej zostawiać Sary samej. - Nie śpiesz się. Może w salonie pali się jeszcze ogień, a McGill poda nam coś ciepłego. Dlaczego właściwie przestaliśmy jadać razem? To błąd. Powiem McGill, aby od jutra nakrywała dla nas w pokoiku obok kuchni. Pomógł jej zdjąć płaszcz i weszli do salonu. W kominku paliło się jeszcze tylko jedno dębowe polano. Było świeże i mocno dymiło. Usiedli w skórzanych fotelach, lecz nie zadzwonili po panią McGill, nie dołożyli suchych szczap do ognia, nie rozmawiali, jakby czekali, aż stanie się coś, czemu nie byli w stanie zapobiec. Nie odwrócili się nawet, gdy za ich plecami otworzyły się drzwi, a o posadzkę zadźwięczały ostrogi. - Usiądziesz na chwilkę z nami, poruczniku? - odezwał się Skelnik. - Zaraz każę przynieść coś ciepłego. Blyth przysunął sobie trójnogi skórzany taboret, na którym siadywała wyłącznie pani McGill. Po chorobie, która na tydzień przykuła go do łóżka, porucznik zmienił się nie do poznania. Przybrał na wadze, tryskał energią, jednakże jego oczy na wciąż wychudzonej twarzy czasami traciły zupełnie blask, a czasami błyszczały jak w gorączce. - Nie zauważyłeś nas po drodze? - uśmiechnął się Skelnik. - Ja nie odważyłbym się tak pędzić po ciemku, choć znam tu każdy kamień, każdy dołek od dwudziestu pięciu z górą lat! Andrew Blyth chyba go nie słuchał. - Dlaczego akurat ja muszę ciągle przynosić najgorsze wieści? - odezwał się rozgoryczony. - Generał chyba nie ma do ciebie żalu? - Nie, ale sytuacja jest poważna. Wracam z Filadelfii. Kongres wycofał się i przeniósł do Baltimore. Powiniennem raczej powiedzieć: uciekł! Na łeb, na szyję... Skelnik pochylił się i pogrzbaczem poruszył tłące się polano. Posypały się iskry. - Dlaczego? Czyżby Anglicy zamierzali opuścić zimowe kwatery w Nowym Jorku i wpłynąć jeszcze tej zimy do zatoki Delaware? Kto o tej porze prowadzi wojnę! Blyth spojrzał na Skelnika, lecz najwyraźniej nie potrafił skoncentrować się dłużej. - Jutro rano Hesi zajmą Trenton - rzekł, wstrzymując oddech. - I co z tego? Mam rozumieć, że Kongres tak przestraszył się Hesów, że poddał Filadelfię, miasto wolności? Przecież nic się nie zmieniło! Anglicy i ich najemnicy zajęli całe New Jersey w czasie letniej kampanii, a teraz plądrują tę ziemię i umacniają swoje pozycje. Już się z tym oswoiliśmy i zakładamy, że dłużej niż tę jedną zimę tam nie posiedzą. Może nie wszystko rozumiem, poruczniku, ale jestem przekonany, że tej zimy nieprzyjacielskie wojska pozostaną na tamtym brzegu Delaware i nie przekroczą rzeki. Generał chyba podziela moje zdanie? - Porucznik nie dyskutuje z generałami, tylko przekazuje wiadomości. Z tobą mogę rozmawiać otwarcie, panie Skelnik, i powtarzam z największą troską: jutro Hesi znajdą się w Trenton! Nie Anglicy, którzy będą zimować w Princeton, Brunswicku i Burlington. Najbardziej wysunięty na zachód garnizon zostawili Hesom, a to oznacza, że jutro lub pojutrze zobaczysz ich niebieskie lub zielone mundury na drugim brzegu rzeki! - Znajdę trochę czasu i rzeczywiście przejadę się nad rzekę. - To nie jest człowiek, który pędzi swoje oddziały pięćdziesiąt mil bez odpoczynku tylko po to, by osiąść na zimową kwaterę. Delaware go nie powstrzyma, wręcz przeciwnie, sprowokuje do dalszego marszu. - O kim mówisz, poruczniku? Andrew Blyth, nie odrywając wzroku od ognia, rzekł matowym głosem: - O majorze Rallu! - Obco brzmiące nazwisko wymówił z wyraźnym trudem, potem jednak powtórzył je kilkakrotnie, z coraz większą nienawiścią. - Dał mi się osobiście we znaki. Najpierw pod Flatbush. Pod Chattertonhill byliśmy o krok od zwycięstwa, gdy zjawił się Rall z dwoma regimentami. Żeby nas zaatakować, musiał pokonać strome skaliste zbocze, i zrobił to. Przy dźwiękach werbli, trąb i piszczałek szedł jak na paradę, bez żadnej osłony, i ani się spostrzeżliśmy, a Chattertonhill znalazło się w jego rękach. Równie gładko poszło mu z Fort Washington. To o nim mówię, Skelnik! Jego ludzie nazywają go "heskim lwem", a nasi na dźwięk tego nazwiska dostają gęsiej skórki. Wiesz, co tu się będzie działo, jak usłyszą, że Rall jest w Trenton? - Blyth przerwał na chwilę, zaraz wszakże ciągnął dalej: - Rall nie zatrzyma się nad Delaware, wiedząc, że od Filadelfii dzieli go zaledwie trzydzieści mil. Nawet jeśli dostał rozkaz, by przezimować w Trenton nie posłucha, zwłaszcza że ma okazję zdobyć "stolicę rebeliantów". Gdybym tak mógł przejrzeć jego zamiary! Chciałbym poznać myśli tego człowieka, spotkać

się z nim twarzą w twarz. Mam przecucie, że kiedyś staniemy naprzeciwko siebie, tylko on i ja! - Blyth wstał, zadzwieczyły jego ostrogi. Odszedł bez pożegnania, jakby zawstydzony, że zdradził swoje najskrytsze marzenia. Mary sięgnęła po swój płaszcz. - Aż trudno uwierzyć, że to ten sam Andrew Blyth, którego poznałam przed laty. Wtedy nie bał się niczego. Pamiętasz, jak niedługo po moim przyjeździe do Redford zabrałeś mnie na festyn do Filadelfii? Kiedy bokser Jim Holston powalił na ring szóstego przeciwnika, nikt nie chciał z nim walczyć, a wtedy zgłosił się Blyth. Miał szesnaście lat, wyglądał na jeszcze mniej, a jednak odważnie wdrapał się na ring... Urwała, czekając, aż Robert skończy przesuwając pogrzebaczem dymiące w kominku polano. Gdy się wyprostował, podeszła i stanawszy na palcach, pocałowała go w czoło. - Zawołam McGill, chcesz coś zjeść? - Nie chcę - odpowiedział. - Ty też uciekaj do łóżka i wyspij się wreszcie. - A ty? - Pokręcę się trochę i pójdę spać. W progu odwróciła się ku niemu. Ich spojrzenia spotkały się, lecz Robert jej nie zatrzymał. Wychodząc z domu, jeszcze miała nadzieję, że ją zawoła. Na dworze mżyło, powietrze było przesycone wilgocią i dymem. Mary otuliła się płaszczem. W budynkach gospodarczych pogaszono już światła, jedynie z okien lazaretu padała na drogę słaba poświata. Nagle otworzyły się drzwi, jasny strumień przeciął mgłę. Mary rozpoznała Jana Kyllogsa. Za nim szło dwóch mężczyzn, niosąc coś ciężkiego. Drzwi zamknęły się i znów zapadła ciemność. Mary przystanąła. Najchętniej pobiegłaby do domu, do mężczyzny, który w mrocznym salonie czeka na nią przy kominku, lecz się przemogła. Drążki noszy w rękach tragarzy wyglądały niczym gotowa do strzału broń. Zmarły był nakryty białym prześcieradłem. Drżącą dłonią Mary uniosła róg i przez chwilę przyglądała się twarzy. To był ten młodziutki dobosz. Błady, wychudzony, jego półotwarte usta jakby wypowiadały jakieś niedokończone słowo. Cofnęła się, mężczyźni z noszami ruszyli. Jan Kyllogś niósł bęben, który uderzając o jego nogi, wydawał głuche, ponure dźwięki. Mogę pana zapewnić, że tę część Ameryki, przez którą maszerujemy, można by z czystym sumieniem nazwać rajem na ziemi, gdyby i tu diabeł nie zasiał ziaren nienawiści i podejrzeń. W Brunswicku ani jeden dom nie ma całej szyby w oknach. Po ulicach walają się meble oraz piękne porcelanowe, cynowe i miedziane naczynia. Pierze z poprutej pościeli fruwa jak śnieg. Żołnierze wyrznęli bagnetami ponad dwieście świń i zostawili je w błocie. Brakuje nam wozów i dlatego niewiele możemy zabrać ze sobą. Niektórzy wzięli po pozytywce, inni srebrne łyżeczki albo ozdobne dzbanuszki. Domy są tu bardzo bogate, zbudowane w holenderskim stylu, na ścianach przepiękne tapety. Tak sobie myślę, że ci ludzie zaczęli się buntować, bo wszystkiego już mieli w nadmiarze. Fragment listu nieznanego najemnika z dnia 4 lipca 1777 r. Ze zbioru rękopisów w Ansbach. 32 W Trenton nigdy nie było wojny i nikt z mieszkańców miasta nie słyszał bicia werbli maszerujących wojsk. Ktoś o tym opowiadał, ktoś inny znał kogoś, kto przeżył najazd obcej armii, teraz więc każdy chciał to zobaczyć na własne oczy. Ludzie zaczęli się gromadzić, gdy tylko do miasta dotarła wieść o nadchodzących oddziałach, a niektórzy twierdzili, że już słyszą bicie werbli, choć w okolicy nic się nie działo. Aż pewnego słonecznego dnia wiatr wiejący od wzgórz po wschodniej stronie miasta rzeczywiście przyniósł wyraźny rytmiczny warkot, który chwilami ucichał, by wrócić z większą jakby mocą. Jakob Eliphath Compson jechał akurat swoim nowym, niedawno sprowadzonym z Anglii powozem. Kazał woźnicy zatrzymać się i nasłuchiwał. Doktor Noah Banks wyszedł do przepelnionej jak zwykle poczekalni i poprosił ludzi, aby się rozeszli, choć pewnie i tak nikt by nie został. Ulice zapełniły się gapiami, przyjmowano zakłady, kto pierwszy zobaczy nadchodzących żołnierzy. Nikt w Trenton nie musiał się Hesów bać. Ostatecznie nikt tutaj nie buntował się przeciwko angielskiej koronie, wręcz przeciwnie, ludzie w czerwonych mundurach cieszyli się powszechnym szacunkiem. Maszerowali czwórkami, trzy regimenty po pięćset żołnierzy każdy, w każdym po dziesięć dział. Oficerowie jechali konno z przodu, za nimi dobosze. Pochód posuwał się dość szybko, wzniesiony butami, kopytami i kołami wozów tuman kurzu ciągnął się aż po horyzont. Kto

obserwował oddziały po raz pierwszy i z daleka, musiał być zachwycony. Zwarte oddziały żołnierzy wykonujących identyczne ruchy robiły wrażenie. Tysiąc pięciuset chłopów w tej samej chwili unosiło prawą nogę, zginało ją i stawiało na ziemi. Tysiąc pięćset strzelb sterczało prosto nad głowami, na tej samej wysokości, jakby wyrastały z ramion jednakowo ubranych ludzi. Strzelcy nosili zielone bluzy z jaskrawoczerwonymi wyłogami, grenadierzy błękitne bluzy i białe spodnie. Z bliska wszakże obraz tracił wiele na uroku. Nic dziwnego, skoro w ciągu trzech dni żołnierze przemierzali pieszo pięćdziesiąt mil, objuczeni ważącą piętnaście funtów strzelbą, plecakiem, torbą z nabojami oraz bagnetem i szablą. Bluzy i spodnie były pokryte plamami, w wielu miejscach połatane, kolory spłowiały. Skórzane torby od upału i deszczów popękały, najbardziej jednak ucierpiały buty. Wielu miało na nogach coś w rodzaju sandałów, które gdy im się dobrze przyjrzeć, okazywały się naprędce zszytymi paskami wołowej skóry. Zniszczone, nie ogolone twarze żołnierzy świadczyły o tym, że od chwili wylądowania w Ameryce byli w bezustannym boju. Dziś maszerowali od świtu, ze zmęczenia ślania się na nogach, i mimo to szli pobudzani bezlitosnym biciem w werble. Gdy tylko ich warkot trochę ucichł, pierwszy odzywał się Rall. - Ludzie! - krzyczał na doboszów. - Nie zasypiać mi tam! - I werbliści ożywali. - Raz, raz i raz! - przekrzykiwał ich Rall. - No, nareszcie! Myślicie, że ja nie jestem zmęczony, bo siedzę na tej szkapie? Też mam dosyć, ale się nie poddam! Pokażcie, co potraficie, niech wiedzą, że idzie heskie wojsko! Przejechał wzdłuż kolumny na czoło, gdzie jechali oficerowie jego sztabu. Bez kapelusza i płaszcza, w rozpiętej bluzie, popijał z zawieszzonego na szyi bukłaka rum rozcieńczony wodą. Łyknął i skrzywiwszy się, wypluł mdławą ciepłą lurę na ziemię. - Co za kraj! - burknął. - W nocy można skostnieć z zimna, a w dzień upał jak diabli - narzekał, choć z jego głosu przebijało zadowolenie. Czuł się w swoim żywiole. Zmienił się nie do poznania: swobodny, beztroski, pewny siebie i co tu dużo mówić, szczęśliwy, bo od przyjazdu do Ameryki idzie od zwycięstwa do zwycięstwa. Kapral Luib też chętnie rozpiąłby bluzę, ale nie miał odwagi. - Kiedy wreszcie dojdziemy do tego Trenton! - westchnął. - W tym upale zamiast jaj dowieziemy żółciutkie pisklęta! Przeżyliście kiedyś tak ciepły grudzień, panie pułkowniku? Wcale się nie czuje, że za tydzień będą święta. Rall popatrzył na Luiba i pokiwał głową. - Rozepnij wreszcie tę bluzę, bo dostaniesz zawału! Przed Trenton się pozapinasz. Coś mi się przypomniało: oficerowie powinni przyszyć z powrotem srebrne galony i wstęgi. W czasie walk te błyskotki stanowiły idealny cel dla amerykańskich strzelców, ale teraz można sobie pozwolić na pełną galę. Luib natychmiast rozpiął kołnierzyk i starannie wytarł spocony kark. Poczuł chłodzący powiew wiatru i od razu poprawił mu się humor. Jego wdzięczność dla komendanta nie miała granic. Rall jakby odgadł jego myśli i podał mu naczynie. - Nie przesadzaj z tym postem, bo jeszcze pewnego dnia spadniesz mi z konia, a ja potrzebuję każdego żołnierza. Luib wypluł pestkę śliwki, którą ssał od rana, i dumny, że stać go na wielkie wyrzeczenia, uśmiechnął się. - Jeszcze tydzień i trzeci raz każę zwęzić mundur, a w Kassel musiałem go ciągle poszerzać. Szkoda, że moja bogata wdówka mnie teraz nie widzi! Już myślałem, że skierują nas do Nowego Jorku na świętowanie zwycięstwa, a na tym angielskim wikcie... - Nie psuj mi humoru tymi Anglikami! Od razu przed oczyma robi mi się czerwono. Gdyby nie oni, już dawno byśmy tych rebeliantów... - Urwał, dostrzegłszy zbliżającego się adiutanta. - Co tam, Wardein? Adiutant zasalutował. - Jesteśmy na miejscu. Trenton przed nami, panie pułkowniku! - zawołał radośnie. On także się zmienił i nie przypominał salonowego bawidamka z Kassel. Na opalonym czole różowiła się ledwo zagojona ukośna blizna, dzięki której Rall nabrał do swojego adiutanta szczególnego respektu, zwłaszcza że przestał on przebierać w słowach i kłął jak wszyscy. Rall spał ostrogami konia i zjechał z drogi na łąkę pokrywającą dość strome wzgórze. Z jego wierzchołka jak na dłoni widać było miasto opasane wstęgą połyskującej w słońcu rzeki. - I jak tu wierzyć tym przeklętym mapom! - mruknął Luib, stając obok pułkownika. - Według nich do Trenton mamy jeszcze godzinę drogi. - Po prostu szybciej maszerowaliśmy - wtrącił

Wardein. Rall stanął w strzemiach, przyglądając się uważnie rzece. - Cholernie trudne miejsce do obrony, prawda, panie pułkowniku? - spytał Wardein i nie czekając na potwierdzenie, ciągnął dalej: - Gdyby te wzgórza leżały bliżej Delaware, można by na nich ustawić działa. Sama rzeka nie stanowi obrony, będziemy musieli się okopać. Oby tylko nie przyszły silne mrozy! Zaczniemy od północno-zachodniej flanki. Proszę o mapę, Luib! Rall machnął ręką. - Dajcie mi spokój z mapami! I wybijcie sobie okopy z głowy. Naprawdę myślicie, że ta banda rebeliantów w łachmanach i bez broni zaatakuje trzy regimenty heskich wojsk? A gdyby nawet zaryzykowali, to rozniesiemy ich na bagnietach. - Usiadł w siodle. - Lornetę, Luib! A więc tak wygląda Delaware? Dlaczego ta cholerna rzeka nie zamarzała? Wszyscy mnie zapewniali, że będzie skuta lodem... Wardein, to pan jesteś ekspertem? - Znów popatrzył przez lornetę. - Nie sądziłem, że jest tak szeroka. Czy któryś z was widzi jakiś prom albo bród? Ani śladu przystani... Gdzie właściwie podział się Haynau? Przecież wysłałem go na zwiad... Mam nadzieję, że właśnie wraca... Na drodze prowadzącej od Trenton podniósł się tuman kurzu, z którego wyłonił się jeździec w zielonym mundurze, a za nim oddział ubranych na czerwono żołnierzy z angielskim proporcem. - Patrzcie go, nasz major pędzi galopem! - zawołał Luib. - Tylko po co ciągnie za sobą tych czerwonych? Niepotrzebnie wzbijają kurz! Claus von Haynau na swojej złocistej Izabelli szybko pokonywał zboczę. Rall zacisnął usta. W całym regimencie nie miał wyższego rangą oficera, na dodatek Haynau był jedynym, którego nie pozbawiono szlacheckiego tytułu, a jednak komendant go nie lubił i w Kassel wcale tego nie ukrywał. Po przybyciu do Ameryki zaprzestał szykan, potrzebował bowiem każdego, nawet tak antypatycznego jak pyszałkowaty major żołnierza. Claus wstrzymał rumaka, zdjął z głowy trójgłaniasty kapelusz i co zdarzało mu się rzadko, uśmiechnął się. - Przywiozłeś pan do Trenton lato, pułkowniku. Ludzie szepczą, że wszystko nam sprzyja, nawet pogoda. Rall słuchał z kamienną twarzą. - W takim razie proszę sprawić, aby nastąpiła prawdziwa zima, ze śniegiem i silnymi mrozami. Dołączyli angielscy dragoni; było ich ze dwudziestu. Jeden wysunął się na czoło i salutując, złożył meldunek. Na skroniach Ralla pojawiły się grube, tętniące żyły. - Czego ten Anglik chce? - zwrócił się do Clausa. - To major Marrimen i jego dwudziestu dragonów. Stacjonują w Trenton w charakterze królewskiej straży... Pułkownik przerwał mu gwałtownym gestem. - Po cholere mi oni? Za godzinę nie chcę widzieć w Trenton żadnego Anglika. Jak się ich pozbędziesz, to już twoja sprawa, majorze Haynau. Claus był pewien, że żaden z Anglików nie zna niemieckiego, ale się bał, że z gestów i tonu domyśli się, o co pułkownikowi chodzi. Jak zawsze w takich sytuacjach, stawał się arogancki. - Możesz się nie martwić, pułkowniku, angielscy dragoni podlegają pańskim rozkazom. - To dobrze - burknął Rall. - Widzę, że mają znakomite konie, na jakich żaden z naszych oficerów nigdy w życiu nie siedział. A oto mój pierwszy rozkaz: do wieczora chcę te konie widzieć u siebie. Do tego czasu zastanowię się, w jaki sposób wykorzystać dragonów. Tymczasem na drodze pokazała się kolumna maszerujących wojsk. Na widok Ralla doboże mocniej uderzyli w bębny, kawalerzyści zaczęli głośniejsze wydawać komendy. Nikt nie chciał narazić się na zarzut, że opóźnia tempo marszu, lecz pułkownik i tak nie był zadowolony. Nie spojrzawszy nawet na wozy z rannymi, podjechał do przodu, krzycząc: - Wyżej nogi! Ten dzień w Trenton będą wspominać latami, więc nie przynieście mi wstydu! Raz, raz, raz! - Odwrócił się, podniósł rękę. - Jedziemy przodem! - zawołał do oficerów. - A ty, majorze Haynau, pokażesz nam drogę do Delaware! Im bliżej rzeki, tym powietrze stawało się przejrzystsze. Nad nurtem wibrowało powietrze jak nad rozgrzаныmi latem polami, z tym że tutaj miało wyraźny metaliczny połysk. Poza tym panował absolutny bezruch. Na rzece nie było najmniejszej fali, ani jednego pęcherzyka pękającego na powierzchni, pod taflą nie przemknął choćby cień ryby. Nawet dwie kurki wodne, które z pluskiem wylądowały w rzece na wodzie, nie zmąciły dziwnego wrażenia, że życie tu zamarło. Jak okiem sięgnąć, nigdzie śladu przystani, odcisku stopy na nadbrzeżnym piasku, żadnego dźwięku. Rall jechał powoli nad samym brzegiem.

Mimo iż zasłonił dłonią oczy od słońca, i tak nie widział, co dzieje się po drugiej stronie. Dopiero teraz nadjeżdżali oficerowie, których pozostawił z tyłu, pędząc na złamanie karku przez miasto, ale o dziwo, hałas, który zazwyczaj towarzyszył zbliżającemu się oddziałowi, nie nasilał się, lecz cichł, by ustać całkowicie, w chwili gdy wszyscy znaleźli się obok pułkownika. Stanęli półkolem za jego plecami. Milczeli, choć nie rozumieli jego zachowania. Nikt jeszcze nie widział go tak głęboko zamyślonego. - To więcej niż mila - rzekł, nie odrywając wzroku od rzeki. - Trzeba by siarczystego mrozu przez kilka tygodni, żeby zamarzła. Jak właściwie ludzie z Trenton dostają się na tamten brzeg? Nie ma tu żadnego promu, żadnego brodu? - pytał, podjeżdżając bliżej wody. Nagle pochylił się i odgarnął rosnące na brzegu krzaki, w których dostrzegł niedawno obcięte pale pomostu. - Wardein! Do mnie! Tutaj był prom albo przystań łodzi, proszę się dowiedzieć, gdzie to się podziało! Wardein już chciał zeskoczyć z konia, lecz powstrzymał go głośny huk eksplozji, po którym nastąpiły dwa kolejne. Nad oddziałem przeleciały pociski kartaczy. Jeden z koni upadł, jeździec z potwornym krzykiem wyleciał w powietrze. Rall ledwo przyciągnął cugle, nie zwracając uwagi na rozbiegające się konie swoich oficerów. - Luib, lornetę! - zawołał. Kapral, uśmiechając się głupkowato, podał mu przyrząd. - Przynajmniej wiedzą, jak należy nas powitać! - Gdzie oni do diabła postawili swoje pieprzone armaty? Nic nie widzę! Ta cholerna rzeka... Wyczyść no mi szkła, nie, zostaw! - Na drugim brzegu pojawiła się następna chmura białego dymu, widoczna gołym okiem nawet w oślepiającym słońcu. Ani Rall, ani Luib nie mieli zamiaru chować się przed wycelowaną w nich salwą. Ziemia zdrząła, wokół posypały się grudy, a gdy kurz opadł, po oficerach sztabowych nie było śladu. - Wracać! - wrzasnął Rall. Po nadbrzeżnej łące jak oszalały biegał koń, raz po raz przystając przy nieruchomo leżącym na ziemi żołnierzu. Obok niebiesko-białego munduru wznosił się brunatny kopczyk ziemi. - To doprawdy sztuka polec w czasie strzelaniny na oślep - burknął Rall. - Zobacz, kogo trafiło, a ja zajmę się koniem - rzekł do Luiba i poklepał swojego ogiera po karku. Zaczęła się trzecia kanonada, jednakże Rall, nie przejmując się nią, pędził po łące za uciekającym w popłochu koniem. Złapał go za cugle i rumak uspokoił się natychmiast. Z tryumfalnym uśmiechem prowadził go ku ogrodzeniu przy wyludnionym nabrzeżu. Kilka metrów dalej leżał twarzą do ziemi zabity żołnierz. Kiedy stało się jasne, że następnej salwy nie będzie, z ukrycia wyszli oficerowie. Spięci, trzymając mocno cugle, ze strachem spoglądali na przeciwny brzeg. Rall siedział jak posąg. - To Manz - rzekł Luib. - Nie nacieszył się długo tym awansem na sierżanta. Przysłać kogoś po ciało? Pułkownik nie odpowiedział, jego uwagę bowiem przykuł stojący opodal dom z szarego kamienia, przypominający utraconą wieżę twierdzy. Przed wejściem Murzyn zaprzęgał konia do dziwnego wehikułu: dwukołowego wózka z daszkiem przypominającym sklepową markizę. - Czyj to dom? - spytał Haynau. - Mam nadzieję, żeś już rozejrzał się trochę po mieście? - Nazywają go "doktorówka". - Co to znaczy? Interesuje mnie, czy tam ktoś mieszka - zdenerwował się pułkownik i poderwawszy konia, podjechał pod dom. Oficerowie popatrzyli po sobie, nie wiedząc, co zrobić z leżącym na ziemi zabitym, później jeden po drugim pośpieszyli za pułkownikiem. Murzyn uporał się z zaprzęgiem, a gdy z domu wyszedł mężczyzna w płaszczu w czarno-żółtą kratę, wziął od niego wielką skórzaną torbę i pomógł mu wsiąść do powozu, który z bliska wyglądał jak wiklinowy fotel na kółkach albo ogrodowa huśtawka z kolorowym daszkiem. Murzyn wszedł do domu; Rall, zbliżywszy się ze swoją świtą do powozu, zobaczył, że siedzący na koźle mężczyzna zwalnia już hamulce. Pewnym ruchem pociągnął lejce i bezbłędnie odgadując, kto dowodzi oddziałem, powiedział coś po angielsku do Ralla. - Co on gada? - zwrócił się do Clausa Rall. - Że jest wprawdzie lekarzem, ale nie ma najmniejszej ochoty zająć się rannym. - Claus starał się delikatnie dobierać słowa, lecz ku jego zdziwieniu odpowiedź doktora przypadła pułkownikowi do gustu. - Byłoby przesadą wołać lekarza do zabitego! Proszę mu to powiedzieć i spytać o nazwisko. Haynau spełnił polecenie. - Nazywa się Noah Banks i mówi, że się bardzo śpieszy

- przetłumaczył odpowiedź doktora. - Trochę może się spóźnić. Spytaj go pan, jak szeroka i głęboka jest tutaj rzeka. Dlaczego, choć jest grudzień, nie zamarzła? I co najważniejsze: gdzie podział się prom i co zrobiono z łodziami? - Nie byłoby lepiej... - zaczął Claus, lecz zrezygnował i zwrócił się do Banksa. - Doktor mówi, że na dziesięć mil w obie strony nie znajdziemy nawet dziurawej łódki. Rebelianci przeciągnęli wszystko na tamten brzeg. Rall zaklął szpetnie. - I co dalej? - Jest zima i doktor ma pełne ręce roboty, bo farmerzy zwlekają z chorobami, aż pokończą prace na polach... - Claus zająknął się. - Poza tym mówi, że niepotrzebnie marnuje pan swój czas i jego. Wszyscy wstrzymali oddech, tymczasem Rall uśmiechnął się i rzekł: - Może rzeczywiście ma rację? Doktor podrzucił leżce, mlasnął językiem i chuda szkapę ruszyła żwawym krokiem. Rall z pogodną miną kiwał głową. Oddalający się pojazd coraz bardziej przypominał mu parasol na kółkach. - Mam nadzieję, majorze, że znalazłeś już kwaterę dla mnie? - zwrócił się do Clausa. - Oczywiście, panie pułkowniku. W domu Jakoba Eliphata Compsona będziesz się czuł jak w Londynie: meble od Heppelwhite'a i obrazy Wilsona. Compson jest tu najważniejszą osobistością, a do tego zdeklarowanym rojalistą. Gdybyś zgodnie z planem wjechał do miasta na czele oddziałów, przesiadłbyś się do najlepszej karety Compsona, ale skoro pojechałeś prosto nad Delaware... Tak czy inaczej, kareta wraz z zaprzęgiem jest do pańskiej dyspozycji. - Brzmi to tak, jakbym miał tu pozostać na zawsze - mruknął Rall; wskazując na dom doktora, dodał: - Moje namioty proszę rozbić tutaj. - Tu? Nad samą rzeką i z dala od reszty oddziału? Pan zawsze musisz igrać ze śmiercią! Jużes zapomniał, co się tu działo przed chwilą? - A cóż to się działo? - Rall skrzywił się. - Rebelianci wysadzili w powietrze resztki prochu, które im zostały. W domu doktora jest chyba najbezpieczniej, nie sądzicie? Poza tym mi się tu podoba, a rojalistów mam już po dziurki w nosie. Pozwólcie, że o swoich sprawach zdecyduję sam - rzekł spoglądając ku rzece. - A co z pozostałymi kwaterami? Claus zastanawiał się, czy nie zaprotestować przeciwko decyzji Ralla, wiedział wszakże, że i tak nikt go nie poprze. Zaczął więc inaczej: - Nie wiem, dlaczego nagle Anglicy nam sprzyjają, ale lepszego miejsca niż Trenton na kwaterę zimową dać nam nie mogli. Tutaj wreszcie nasze oddziały wypoczną i nabiorą sił. W mieście jest tyle pierzyn, że można nimi przykryć cały regiment, poza tym wiele domów jest pustych, bo rodziny popierające rebeliantów poszły z Armią Kontynentalną na tamten brzeg. Ci, co zostali, są do nas przychylnie nastawieni, a o aprowizację możemy się nie martwić... - Wystarczy! - przerwał mu Rall. - Nigdy się nie zgodzę na zakwaterowanie żołnierzy w domach! Może im jeszcze pozwolić na sen zimowy, co? Zakładamy obóz, który w każdej chwili można zwinąć i ruszyć dalej. - Ludzie są już wykończeni - sprzeciwił się Claus. - Ocena należy do mnie, majorze, prawda? - Przy budowie szańców będą mieli sporo pracy, bo to miejsce wyjątkowo nie nadaje się do obrony - żadnych naturalnych punktów, o które można by się oprzeć. Każdemu innemu Rall przerwałby już dawno, dziś jednak był wyjątkowo cierpliwy, a może tylko zbyt zajęty własnymi myślami. - Dajże pan spokój! Nie chcę słyszeć o żadnych szańcach, ale ludzie muszą coś zrobić, więc codziennie będą ćwiczyć. Po pięć godzin. To im się przyda, a na tutejszych gapiach też zrobi wrażenie. - Może jednak poczekamy, aż przyjdą obiecane buty z Nowego Jorku? Ludzie dosłownie... - Cholera! Buty... Te trzydzieści mil chyba jeszcze wytrzymają, a jak będzie trzeba, to przepędzę ich przez rzekę na bosaka! - Umilkł jak ktoś, kto powiedział więcej, niż zamierzał. - Mówiłem już, że trzeba zarekwirować wszystkie konie w okolicy? Zaczniście od Anglików i rojalistów w promieniu dziesięciu mil. - Rall myślałmi był już chyba gdzie indziej, bo nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem. - Jak mogli pozwolić, by zabrano im wszystkie łodzie? Coś mi się nie chce wierzyć. Wyślij pan kogoś na zwiady, Haynau, i dowiedz się, jak to było naprawdę. I jeszcze jedno: dwa domy w centrum opróżnić od piwnic po dach i upchać słomą lub innym łatwo palnym materiałem. Postawić strażę z pochodniami i ogłosić w mieście, że w razie najmniejszych oznak buntu oba domy każę puścić z dymem. - Ci, co zostali, są wierni angielskiej koronie - przekonywał Claus. -

Czekali na nasze przyjście, są do nas przyjaźnie usposobieni, więc nie rozumieją dlaczego... - Rojalistom nie wierzę i wolę, żeby się mnie bali. Rozkazu nie zmienię - oznajmił stanowczo pułkownik i odwróciwszy się na pięcie, ruszył w stronę domu doktora. Nagle stanął. - Byłbym zapomniiał: znajdźcie mi kogoś z tutejszych, kto zna niemiecki. Cały czas mnie przekonywano, że tu aż roi się od Niemców, a tymczasem... - Machnął ręką, a wszyscy spojrzeli na Clausa, domyślając się, że pułkownik nie jest zadowolony z jego tłumaczeń. Stary wyga natychmiast naprawił swoje niedopatrzenie. - Nie chodzi mi o ciebie, majorze. Potrzebuję kogoś, kto dobrze zna okolicę, a z kim mógłbym swobodnie porozmawiać. - Chyba nie musimy daleko szukać, panie pułkowniku - wtrącił Wardein. - U naszych strzelców jest jeden, co już tu kiedyś był. Nazywa się Soerman. Pamięta pan ten proces w Kassel, w który był zamieszany... - Wardein zerknął na Clausa, lecz już się nie mógł wycofać. - Więc mi go przyślijcie - rzekł Rall i sztywnym krokiem ruszył do domu doktora. Długa jazda na koniu jemu też dała się we znaki. 33 Rynek w Trenton powstał w miejscu, gdzie główna ulica rozszerzała się nieco pomiędzy domem modlitwy a stojącym naprzeciw budynkiem poczty. Tu skupiało się życie towarzyskie mieszkańców, a kolejni burmistrzowie starali się upiększyć to miejsce tak, aby zyskać sobie jak najwięcej zwolenników i jak najdłużej pozostać na urzędzie. Choć całe miasto bardziej przypominało wieś, samo centrum zaskakiwało wielkomięską elegancją. Przy rynku mieściły się szkoła, dom sędziego pokoju, kancelarie adwokata i notariusza oraz warsztaty rzemieślnicze i sklepiki pamiętające jeszcze czasy, gdy kwitł handel wymienny z Indianami. Wokół placu posadzono akacje, promenadę wybrukowano. Przed każdym z dwupiętrowych domów był mały ogródek z kwiatami i stała latarnia, której zapalanie należało do obowiązków właściciela. Długo zastanawiano się, co powinno stanąć na środku rynku, aż w końcu po wieloletnich sporach zdecydowano się na sześciokątny pawilon ufundowany przez Jakoba Eliphata Compsona. W czasie wielkich świąt, na przykład w dniu urodzin angielskiego króla, grała w nim orkiestra. Na co dzień pawilon służył głównie bawiącym się dzieciom, kotom, wróblom i gołębiami. Po wkroczeniu do miasta wojsk Ralla gołębie, przestraszone biciem w werble i podniesionymi głosami gapiów, obsiadły ciasno dach pawilonu; gdy tylko któryś się zapominał i wzbijał w górę, natychmiast wracał na miejsce, jak lądowy ptak, który nieopatrznie znajdzie się nad otwartym morzem. Wojsko przybyło przed godziną, a na rynku wciąż panował wielki ruch. Sędzia wraz z pomocnikami prznosił swoje akta do szkoły, bo w jego domu urządzano główną kwaterę heskich wojsk. Pierwszą czynnością nowych lokatorów było ustawienie w ogródku przed domem potężnej armaty. Nie miała przed sobą żadnego ważnego celu, lecz z całą pewnością budziła respekt, a o to głównie chodziło majorowi von Haynau, który swoje urzędowanie rozpoczął od przydziału kwater. Pod akacjami piętrzyły się stosy toreb z nabojami, obok jedna przy drugiej wznosiły się piramidy strzelb, a pomiędzy tym wszystkim siedzieli żołnierze z workami z prowiantem na kolanach. Czasu na jedzenie nie mieli zbyt wiele, zwłaszcza że major Haynau ponaglał, a oni też chcieli jak najprędzej zabrać się za rozbijanie namiotów. Trąbka sygnalisty raz po raz wzywała kolejne oddziały do wymarszu. Zaraz zjawiali się oficerowie na koniach i poganiali maruderów, jednym grożąc, drugich wyśmiewając, a innych dzielając szpicrutami. Zdaniem Clausa, wszystko to ciągnęło się zbyt wolno. Miał przed sobą listy oddziałów sporządzone wyraźnym okrągłym pismem kaprala Luiba. Przy wielu nazwiskach widniał krzyżyk, data, nazwa miejscowości albo krótka wzmianka: zmarł wskutek choroby. Claus przejrzał listę pierwszej kompanii swojego regimentu. Pierwszy krzyżyk stał przy nazwisku Klemma, najemnego robotnika z Ziegenhain, który zmarł w czasie podróży. Przyczyny śmierci nie zapisano. Obok nazwiska Wita Weibrechta, syna właściciela tartaku z Altenbauny, zapisano nazwę Flatbush i datę 27 sierpnia. To była pierwsza bitwa, jaką stoczyli po wylądowaniu na Long Island. Przy nazwisku Willibalda Manza nie zaznaczono jeszcze, że nie żyje, podobnie jak przy nazwiskach dwóch żołnierzy, którzy zmarli w czasie marszu do Trenton. Widocznie Luib nie

znalazł czasu, by uaktualnić listy. Claus jednak nie po to je przeglądał. Chodziło mu o dwa nazwiska, które na czwartej stronie zapisano nie tylko jaśniejszym atramentem, ale też inną ręką. Jego ręką, bo to on wpisał Roberta Skelnika i Fredera Soermana. - Co z pierwszą kompanią? - usłyszał za plecami głos kaprała Luiba. - Może odmaszerować? Claus podniósł głowę znad akt. Oddział rzeczywiście był gotów, a wśród przygotowujących się do wymarszu Claus bez trudu rozpoznał brata. Poprawiwszy paski plecaka, Robert brał strzelbę, swobodny, najwyraźniej zadowolony. Obok niego Soerman. Nierozłączni w czasie walki i na apelu, gdy wyzywająco meldowali, że udało im się wyjść cało. Claus przypomniał sobie, że Rall chce wykorzystać Soermana jako tłumacza, lecz ta sprawa może poczekać. - Pierwsza kompania - przypomniał się Luib. - Zmieniłem zdanie. Pierwsza kompania rozbija obóz nad Assanpinkiem, to jeden z dopływów Delaware na południe od miasta. - Jechaliśmy tamtędy. To bagnista okolica i niezbyt nadaje się na obozowisko - zdziwił się Luib. - Chyba nie prosiłem cię o zdanie? Mostu nad Assanpinkiem ktoś musi pilnować, a ja zdecydowałem, że zrobi to pierwsza kompania. Po dwunastu ludzi, zmiana co cztery godziny. No, na co jeszcze czeka? Niech ruszają, a ja przejrzę stan drugiej kompanii. Grudniowy upał wraz z zapadnięciem zmroku natychmiast przechodził w przenikliwy chłód. Wokół rynku w Trenton pozapalano latarnie, lecz ich żółtawe światło z trudem mogło konkurować z jasnym blaskiem smołowych pochodni, które Rall kazał umieścić przed wejściem do kwatery wojsk i przy stojącej opodal armacie. Dwa domy zgodnie z rozkazem opróżniono i po dach wypełniono sianem. W jednym z nich znajdowała się sala modlitw. Kapelan wojskowy zwrócił się do majora Haynaua, by wybrano inny budynek, Claus jednak nie zmienił rozkazu. Siedział teraz w dawnym gabinecie sędziego pokoju, za jego plecami wisiała chorągiew regimentu, dwa węglowe kociołki rozsiewały przyjemne ciepło. Najpierw długo rozmawiał z kapelanem, potem porozdzielał warty i przejrzał listy żołdu. Co godzinę któryś z oficerów proponował, że go zastąpi, ale on uparcie odmawiał i odsyłał ich do innych zajęć. A przecież w domu Jakoba Compsona czekały na niego wygodne pokoje i kolacja przygotowana zgodnie z jego życzeniem. Nie ruszył się z miejsca, dopóki miał co robić. Wreszcie zgarnął księgi, zapisał, co ma do zrobienia jutro, i wstał od biurka. Kazał przyprowadzić konia, po czym wyszedł na opustoszały rynek i czekał oparty o słup pawilonu. Pod dachem gruchały gołębie, szurając ogonami i skrzydłami o belki, wiatr poruszał suchymi gałęziami akacji, kroki wartowników odbijały się echem od domów, w których pozamykano okiennice i pozaciągano story. Nikt nie wyglądał przez okno, jakby cała ciekawość mieszkańców została nasycona za dnia. Claus nie wiedział, dlaczego akurat teraz i tutaj ogarnął go przygnębiający nastrój i powróciły wspomnienia, które obudziły dawno uśpione cierpienia. Przed oczyma stanął mu dworek w Haynau. Wyraźnie widział wydłużoną fasadę, kandelabry przed wejściem i oświetlone okna w pokojach matki, do których zawsze zaglądał, gdy późną nocą wracał do domu. Biegł radośnie po schodach, szedł korytarzem, lecz słysząc dochodzący zza drzwi głos Roberta, zawiedziony wycofywał się na palcach. Dlaczego przypomniał sobie o tym teraz, gdy wszystko przepadło, gdy nigdy już tam nie wróci? Myśl ta przywołała natychmiast drugą, która ostatnio często go nawiedzała, choć nigdy nie była tak jasna jak dzisiaj: nie może dopuścić, by kiedykolwiek znów znaleźć się wśród przegranych! Odetchnął z ulgą na widok chłopca prowadzącego osiodłanego konia. Za nim, pobrzękując ostrogami, szedł wysoki mężczyzna w rozwianej pelerynie. Claus rozpoznał rotmistrza Kunkela. Kiedy Rall włączył Ślązaka do swojej przybocznej gwardii, wszyscy myśleli, że chodziło mu o kompania do kieliszka, i choć potem w walce olbrzym radził sobie z granatami i kartaczami równie dobrze jak z gorzalką i kobietami, sława pijaka przyłgnęła do niego na zawsze. - Ktoś przesadził, twierdząc, że zima tu nie trwa długo - odezwał się chrapliwym głosem Kunkel. - Na szczęście nie powiedziano pułkownikowi, ile tu ślicznych dziewcząt. Sam poczmistrz ma trzy córki, a mówię panu, że w całych Katowicach takiego tria się nie znajdzie. To już coś znaczy, bo przecież wiadomo, że najpiękniejsze na świecie są nasze śląskie dziewczyny, no

nie? - Ugryzł się w język, był bowiem na tyle trzeźwy, by pamiętać, że Claus jest jego przełożonym i nie znosi spoufalania. - W sali na poczcie stoi stół bilardowy; nie masz pan ochoty na partyjkę? - raptownie zmienił ton. - Zobaczę - odrzekł Claus, wskakując na kręcącego się konia. - Sprawdź warty i być może przyjdę. - Masz pan na myśli wszystkie warty, czy tylko tę jedną, przy moście nad Assanpinkiem? Tam raczej niech pan nie jedzie, bo znów zaczną się plotki. Wszyscy o tym gadają za pana plecami, ale ja nie boję się powiedzieć panu wprost. - O czym niby gadają? Rotmistrz nie należał do ludzi, którzy coś powiedzą, a później ze strachu próbują się wycofać. - Skoro pan pytasz, odpowiem wprost: "Niech wreszcie zostawi brata w spokoju! Dlaczego tak się na niego zawziął?" - Ja się zawziąłem? - Prześladujesz go pan na każdym kroku i ciągle się nim interesujesz. Proszę mi wybaczyć, ale czasami wygląda to tak, jakby w pańskim batalionie służył tylko on! Naprawdę myślisz, że on chce uciec? Miał już okazji do diabła i trochę, a wciąż tu jest! Przecież nawet gdyby zwiął, to nikt do pana nie będzie miał pretensji. Po co go pilnować? Lepiej stań ze mną przy zielonym stoliku. Czeka tam kilku "czerwonych". W bilard grają fatalnie, za to płacą za przegrane prawdziwymi angielskimi monetami. Zarobisz, a ja chętnie odstąpię jedną z tych trzech ślicznotek. Przez chwilę Claus zastanawiał się, czy nie przyjąć propozycji Ślązaka. Zaciszny pokój, ogień w kominku, wino, śmiech dziewcząt - to brzmiało kusząco, ale... - Idź, rotmistrzu. Być może zagłędę tam później - rzekł, zawrócił konia i popędził go do galopu. Assanpink był wąskim potokiem uchodzącym do Delaware, most zaś, o którym wspomniał Claus, właściwie kładką, kilkoma luźno rzuconymi belkami, po których mógł swobodnie przejechać dyliżans. Kroki wartowników głucho dudniły. Obozowisko pierwszej kompanii znajdowało się na bagnistej łące od strony miasta, na której rosło kilka pokrzywionych jabłoni. Pomarszczone owoce wciąż wisiały na gałęziach, widocznie urodzaj był tak duży, że dzikim sadem nikt się nie interesował. Wizyta każdego innego oficera ze sztabu Ralla byłaby przez żołnierzy przyjęta z entuzjazmem, lecz nie majora von Haynau. Nim na pewno nie kierowała troska o warunki, w jakich mieszkają żołnierze. Bano się go bardziej niż komendanta. Rall był wymagający podczas walki, ale w czasie odpoczynku na wiele rzeczy przymykał oko, natomiast Haynau czepiał się wszystkiego. Za najdrobniejsze uchybienia sypał drakońskimi karami, a potrafił wpaść nawet nocą. Gdy teraz zjawił się na swojej Izabelli, od namiotu do namiotu przekazywano sobie ostrzegawcze sygnały. W pierwszej chwili Claus odniósł wrażenie, że rozbito już wszystkie namioty, gdy się potem rozejrzał dokładnie, stwierdził, że stoi zaledwie połowa. - Gdzie są pozostałe? - zawołał z daleka. - Nie można znaleźć kawałka suchego miejsca, wszędzie błoto albo bagna. Podjechał bliżej i zobaczył, że żołnierze rozebrali wóz i ustawiają namiot na rozłożonych na ziemi deskach. Szukał wzrokiem Roberta i Soermana, już chciał o nich spytać, ale przypomniał sobie ostrzeżenie rotmistrza Kunkela. - Kto wam pozwolił zdemolować wóz? - spytał. - Pierwsza kompania musi zawsze coś zbroić, hm? - To był mój pomysł - odezwał się zadziorny młody żołnierz. - Skoro mamy tu zostać całą zimą... - W porządku - przerwał Claus. - Widzę tu tylko starszych wiekiem; gdzie podzieli się młodsi? Oficer dyżurny spuścił głowę. Wiedział, że to pytanie padnie, a jednak musiał zebrać całą odwagę, by na nie odpowiedzieć. - Czekam! - rzekł z naciskiem Claus. - Biorę odpowiedzialność na siebie. - Oficer wyprostował się i westchnął ciężko. - Jeszcze nie wiem za co! Może wreszcie powiecie, coście jeszcze zmalowali? - Był rozkaz, żeby rozbić namioty tutaj, a w pobliżu jest opuszczony dom. Cały oddział by się nie pomieścił, więc się zgodziłem, żeby rzucano losy. Dlatego biorę odpowiedzialność na siebie. Ludzie przestali pracować, czekając na karę wyznaczoną przez majora, tymczasem Claus uśmiechnął się i rzekł: - Oczywiście przypadkiem wszystkie losy wyciągnęli ci z drugiej drużyny, co? No cóż, jeszcze o tym porozmawiamy, a teraz pokażcie mi ten dom. Oficer wskazał szpaler jabłoni. - To tam. Dawniej była to garbarnia. Chciałem o tym napisać w raporcie, kiedy... Claus spiął konia i pomiędzy namiotami przemknął na drogę porytą koleinami ciężkich

wozów, która prowadziła do otwartej na oścież bramy garbarni. Przed wejściem do piętrowego budynku, usytuowanego na lewo od parterowej hali garbarni, stał jeden z wojskowych wozów. We wszystkich oknach płonęły światła, z komina snuł się dym, a gwar rozmów i śmiech dochodził aż do bramy. Claus zeskokczył z konia i zarzucił cugle na kłonicę wozu. Był już przy drzwiach, gdy zza węgła wyszedł mężczyzna. Zamierzał się cofnąć, ale Claus był szybszy: złapał go za ramię i odwrócił twarzą do siebie. Był to Niklas. Twarz znanego wszystkim złodzieja skazanego za okradanie kościelnych skarbonek wydłużyła się, wokół ust pojawił się ironiczny wyzywający uśmiech. - Co tam ma? - wycedził Claus, z trudem hamując złość. Niklas podniósł ręce, trzymając w każdej odartego ze skóry zająca. Krew dość obficie kapiała na ziemię. - Ostrożnie, panie majorze, bo się pobrudzicie! - rzekł Niklas spokojnie. - Zapomniałem im obciąć głowy przed oskórowaniem. - Niech idzie pierwszy! - burknął Claus i popchnął go przed siebie. Przy studni stała latarnia, a obok kobieta prała w balii bieliznę. - Retzowa, mamy gościa! - zawołał do niej Niklas. Pani Retz wzięła latarnię i zbliżyła się do Clausa. W tym momencie otworzyły się drzwi. - Co tu się dzieje? - Na podwórze wyszła wyprostowana jak struna kobieta w długiej sukni. Rozpoznawszy Clausa, skuliła się. - Wejdźcie do domu, ja z nim porozmawiam - rzekła drżącym głosem. - Niklas, zostań! - rozkazał Claus. - Rób, jak kazałam - rzekła stanowczym tonem Anna i stanęła między nim a synem. Światło latarni rzucało na jej twarz pofałdowane cienie. Nie ruszyła się, dopóki Niklas i pani Retz nie zamknęli za sobą drzwi. - Po co przyjechałeś? - spytała. - O co tym razem chodzi? - O te dwa zające - rzekł. - Za to mogę kazać go powiesić. Milczała, lecz z jej postawy było widać, że nie zamierza ustępować. Z prób przywołania Clausa do rozsądku zrezygnowała już dawno. - Chyba nie zrozumiałaś, co powiedziałem? Za grabież w czasie wojny karze się stryczkiem. - Rzeczywiście nie rozumiem, o co ci chodzi. Czyżbyś nie wiedział, z czego od pół roku ci ludzie się utrzymują? Przecież nie z ochłapów, które rzucają im Anglicy! Całymi nocami każecie palić ogniska, niby czym? Sam Rall wydał wczoraj rozkaz, aby rozebrać wszystkie płoty w Monmouth, to nie była grabież? A ty za dwa upolowane zające chcesz powiesić człowieka! Nie bądź śmieszny, Claus! - Dawniej w takiej sytuacji skręcałaby się z bólu, teraz czuła tylko złość. - Zresztą jak udowodnisz, że Niklas te zające ukradł? - Chyba nie sądzisz, że je kupił! Złodziej, który okradał skarbonki, miałby nie ukraść zająca? - Zapomniałeś, że kiedy felczer miał już lekarstwa tylko dla oficerów, Niklas za własne pieniądze kupił u aptekarza w Princeton całą skrzynię medykamentów? - Anioł miłosierdzia! Zaraz mi powiesz, że za ten dom opłacił czynsz! Popatrzyła mu w oczy. Także teraz, w skromnej wełnianej sukni, była wciąż piękną kobietą, a na jej twarzy nie było śladu zmęczenia czy wycieńczenia głodem. Ilekroć ją spotykał, liczył po cichu, że zobaczy w jej oczach łzy, że usłyszy skargi. Widząc stojącą w drzwiach, miał ochotę porwać ją w ramiona, przytulić się jak dziecko, w jej wzroku jednak dostrzegał tylko odpychający chłód i odrazę. - Skończmy tę rozmowę - rzekła. - Jest bezsensowna, jak wszystkie poprzednie. Po co naprawdę przyjechałeś? Znowu coś ci się nie podoba? Słowa te padły nie pierwszy raz, dotychczas zadowalał się nimi i czuł pewną satysfakcję, tym razem wszakże zabrzmiały jakoś inaczej - zimno i obojętnie. Patrzył na matkę, jakby dawno jej nie widział. W jej włosach było więcej siwych pasm, wokół oczu pojawiło się więcej zmarszczek, brwi, o które zawsze szczególnie dbała, były rozwichrzone, w uszach brakowało perłowych kolczyków. Kiedy w Bremerlehe niespodziewanie stanęli naprzeciwko siebie, Claus najpierw zauważył brak owych kolczyków. Odkąd ją pamiętał, zawsze je nosiła. Wolno się ku niemu zbliżała. Był pewien, że nadeszła jedna z tych rzadkich chwil, kiedy będzie miał matkę tylko dla siebie. Zapomniała o Robercie, on zapomniał o zazdrości o brata, będą żyli tylko dla siebie. - Chodź, Claus, musimy porozmawiać z Robertem! - mawiała wówczas, a teraz on niemal dosłownie powtórzył te słowa. - Poproś Roberta, aby do mnie wyszedł. Przypuszczam, że z tym domem to był jego pomysł, i muszę z nim porozmawiać. Nagle się załamała. - Czy ty nigdy nie przestaniesz? Co on ci zrobił, że

prześladujesz go swoją nienawiścią? - Idź i spójrz w lustro, a zobaczysz, co zrobił tobie, mnie i ojcu. Przyznasz wreszcie, że to wszystko jego wina?! Odwróciła się i rzekła prawie szeptem: - Nie zmuszaj mnie do wypowiedzenia czegoś, przed czym się wzbraniam. W końcu jesteś moim synem, a ja jestem gotowa zapomnieć, że żyje ktoś, kto Roberta wydał i byłby jego mordercą, gdyby wykonano wyrok. - Nie powtarzaj tych słów nigdy więcej! - krzyknął zdławionym głosem i szarpnął sztywny wysoki kołnierz munduru, jakby przeszkadzał mu swobodnie oddychać. - Nie muszę, wszyscy o tym wiedzą - mówiła dalej szeptem. - Sam robisz wszystko, aby sprawa nabierała rozgłosu. Nikt nie ma wątpliwości, dlaczego akurat pierwsza kompania dostaje spleśniały chleb, dlaczego wysyła się ją do najtrudniejszych zadań. Mam wyliczać dalej? Rall też o wszystkim wie, bo już u niego interweniowałam, a gdy będzie trzeba, zrobię to jeszcze raz. - Lekko uniosła suknię i otworzyła drzwi, w których nagle ukazał się Robert. Podmuch wiatru szarpnął płomieniami pochodni, zapachniało smołą i łojem, wielkie płaty sadzy zawirowały w powietrzu i powoli opadły na ziemię. Robert zamknął za sobą drzwi. Miał na sobie białą koszulę i wełnianą kamizelkę, ale nie było mu zimno. Spięty, szybko ogarnął wzrokiem całe podwórze, wyteżył słuch. Uwagę skupił na brzęku ostróg Clausa i uciskach gładkiego ostrza noża za pasem, które czuł przy każdym kroku. Najważniejsze, aby nie dać się sprowokować, by zapanować nad sobą. Jak zawsze czekał, aż brat odezwie się pierwszy. - Powinienem ci pogratulować. Jesteś zadowolony ze swojej kwatery, czy też masz jeszcze jakieś zastrzeżenia? Chyba nie sądzisz, że będę tolerować twoje wybryki? Rozkaz był wyraźny, a jeśli masz wątpliwości, to informuję cię, że wydał go Rall. Robert milczał. Zastanawiał się, jak nazwać to, co teraz odczuwa. Nie była to nienawiść ani wrogość, chyba tylko wyostrzona czujność. Kilka miesięcy temu uzmysłowił sobie, że przepaści, która ich dzieli, nie da się już zasypać, a rozpoczętą przez nich walkę może zakończyć tylko śmierć. Ciekawe, czy Claus doszedł do podobnego wniosku? Teraz Robert uznał, że ma pewną przewagę, i zaryzykował: - Wiesz, czasami sobie myślę, że o coś się założyliśmy - rzekł spokojnie, bez cienia agresji. - Nie wiem już o co, ale o ile pamiętam, to zawsze wszystkie zakłady wygrywałem ja. Claus chyba nie słuchał. - W domu są kobiety - rzekł. - Jest to niezgodne z regulaminem. Dlaczego zabrałeś je z obozu? - Bo prawie od pół roku nie miały dachu nad głową i zapomniały już, jak się śpi w prawdziwym łóżku... - Przerwał i niespodziewanie dla samego siebie rzekł: - Rozwiążmy wreszcie nasze sprawy, Claus! - Nie chciał rozmawiać, lecz definitywnie zakończyć spór. Kiedyś do decydującego starcia między nimi musiało dojść, dlaczego nie miałyby stać się to teraz? Wyjął zza pasa nóż i podrzucił go w dłoń. Czerwonawe światło pochodni odbiło się od ostrza. Claus zacisnął usta. - To był błąd - wycedził. - Nie muszę chyba mówić, co ci grozi za zaatakowanie oficera? - Nie musisz - odparł Robert, robiąc krok do przodu. - Nikt ci nie uwierzy, bo wszyscy wiedzą, że chcesz się na mnie zemścić. Poza tym nie masz świadków, a ja znajdę co najmniej sześciu, którzy zeznają, że to ty mnie zaatakowałeś. Mam ich zawołać? - spytał, wskazując nożem na szopę obok. - Tam są, a także tam - zatoczył łukiem w stronę garbarni. Claus uniosł wysoko głowę. Milczał. Robert musiał teraz coś zrobić, lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Podniósł rękę i rzucił nożem w dopalającą się przy drzwiach pochodnię. Zgasła, ostrze utkwiło w futrynie, a resztki płonącej smoły posypały się na ziemię. Robert podszedł, by je przydeptać. Claus nie ruszył się z miejsca. - No dobrze, przynajmniej wiem, co chcesz zrobić! - rzekł chłodno. - Nic nie wiesz! - roześmiał się Robert i zawołał: - Wy tam, pokażcie się! - Drewniane drzwi szopy zaskrzypiały i w ciemnościach zamajaczyły sylwetki kilkunastu mężczyzn. - Dotychczas to ty mnie ostrzegałeś, pora więc, abym ci się zrewanżował. Posłuchaj: powiem jedno słowo, a ci ludzie wbiją ci nóż w plecy, i to bez świadków! Każdy z nich od dawna czeka na taką okazję, wierz mi, bo twoje szykany na równi ze mną ich dotykają. Oni pamiętają, dlaczego zawsze ich wysyłasz na pierwszą linię. Jeżeli mnie zabijesz, to możesz być pewien, że przy najbliższej okazji, podczas następnej bitwy czy na postoju jakaś zabłąkana kula trafi prosto w

twoją głowę. Ostrzegłem cię, więc raczej nie pokazuj się nigdzie sam! Claus skierował się ku bramie, nagle jednak odwrócił się i rzekł spokojnie: - Pułkownik chce widzieć u siebie Frederę Soermana. Ma się natychmiast zgłosić! - Odszedł sztywnym krokiem, powłócząc lekko lewą nogą. Wszyscy stali w miejscu, bez słowa, dopóki odgłos końskich kopyt nie ucichł w oddali. Robert podszedł do drzwi i wyjął tkwiący w futrynie nóż. Niklas odetchnął z ulgą. - Już myślałem, że stanie się to dziś! Skąd wiedziałeś, że schowaliśmy się w szopie? Robert nie odpowiedział, wciąż trzymał w ręku nóż i był spięty jak sprężyna. Niklas miał rację: był gotów skończyć z tym czekaniem, milczeniem, nadzieją. Co go powstrzymało? Nie potrafił odpowiedzieć. Nie wiedział też, czy postąpił właściwie, czy popełnił błąd. - A co byśmy z nim zrobili? - zaniepokoił się koźlarz Louis. - Przestańcie już o tym mówić - skarcił go Niklas. - Mamy dach nad głową, pieczeń czeka w piekarniku... O rany! Chyba Plötz nie przypalił tych zajęcy! Jak myślisz? - zwrócił się do Roberta. - Będziemy czekać, aż Soerman wróci? Wszyscy popatrzyli na Szweda. - On chyba nie bujał? - spytał Soerman, podchodząc do Roberta. - Nie przypuszczam. Nie masz zresztą wyboru, to był rozkaz. - Co też Rall może chcieć akurat ode mnie? - Może cię awansuje? - rzucił wesoło Niklas. - Wypijemy na twoją cześć poncz po szwedzku! Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a atmosfera rozluźniła się. Dom, do którego wprowadzili się z pewnymi oporami, nagle wydał im się własnym, skoro tak dzielnie wspólnymi siłami go obronili. - Im prędzej, tym lepiej - rzekł Soerman. - Chcę mieć to już za sobą - dodał i skreślił do stajni. Robert złapał go za rękaw. - Idź piechotą - rzekł. - Po co mają wiedzieć, że schwytaliśmy dwa zbłąkane konie? Robert już trochę ochłonął, a gdy wszedł do ciepłej kuchni, gdzie pachniało pieczeniem, całkiem zapomniał o tym, co zdarzyło się na podwórzu. Louis skrobał kartofle, rzucając obierki do wiadra, które trzymał między nogami jak bęben. Wyrósł nie do poznania. Gdy wsiadał na statek, miał na sobie mundur o trzy numery za duży, teraz ledwo się w nim mieścił. Niklas zrzucił bluzę i koszulę i klęknął przy palenisku rozgrzanego do czerwoności pieca. Baltazar Plötz stał przy stole w kącie kuchni i przygotowywał deser. Na białym płótnie miał rozłożone pasy cienko rozwałkowanego ciasta i pieczołowicie owijał w nie plastry jabłek i przyrumienione skórki od chleba. - Gdzie to podziewaliście się tak długo? - spytał. Zajęty swoją austriacką struclą, nie zauważył, kiedy został w kuchni sam. Zamiast jednak wyjść na poszukiwanie towarzyszy, wykorzystał okazję i mocno nadwerzęzył przechowywany w kuchni zapas rumu. Robert zabrał mu stojącą na stole butelkę. - Czemu? - protestował Plötz. - Bez rumu strucla straci smak; zostaw mi przynajmniej szklaneczkę! - Co robi moja matka? - Robert udał, że nie słyszy. - Zaniósłem jej rzeczy do pokoju na piętrze. Wyobraźcie sobie, że tam jest prawdziwa jadalnia! Możemy wszyscy usiąść przy prawdziwym stole i zjeść kolację przy świecach na prawdziwym adamaszkowym obrusie, prawdziwych porcelanowych talerzach i prawdziwymi srebrnymi sztucami! - Ostatnie słowo Niklas rozciągnął na sylaby. - Chodź, Robercie, pokażę ci naszą zastawę na dwanaście osób! - Podszedł do ławy w rogu i podniósłszy deskę, wyjął kilka srebrnych widelców z wygrawerowanym stemplem londyńskiej wytwórni. - Sześćdziesiąt cztery sztuki! To draństwo waży ponad pięćdziesiąt funtów. Długo nie musiałem szukać. Nie uwierzycie, ale jak ludzie chcą ukryć coś cennego, to wszyscy wybierają identyczne miejsce! - Przestań, Niklas! - przerwał mu Robert. - Lepiej zanieś te rzeczy tam, skąd je wzięłeś. - Mogę ci nawet powiedzieć, jacy ludzie mieszkali w tym domu. - Niklas nie dał się zbić z tropu. - Bo sposób, w jaki chowają cenne rzeczy, świadczy o ich charakterze. Ci tutaj to chytrusy, myśleli, że jak wybiorą najbardziej nie podpadające miejsce... Robert nie słuchał. Odwoływanie się do sumienia Niklasa nie miało najmniejszego sensu, poza tym był zmęczony, a na dodatek z góry doleciał go odgłos nerwowych kroków matki. 34 W obozie dla kobiet Anna Haynau zawsze pierwsza rozpakowywała rzeczy, by jak najlepiej zagospodarować kącik dla siebie. Tutaj nie musiała walczyć o miejsce - cały pokój należał do niej! Torba z dobytkiem stała przy drzwiach, jak postawił ją Niklas. W kominku leżały poukładane szczapy, wystarczyło je tylko podpalić,

lecz tego nie zrobiła. Ciepła, którego tak pragnęła, ten kominek jej nie da. To nie był jej dom, nie było tu jej rzeczy, nawet obecność Roberta nie stanowiła dla niej pocieszenia. Syn nie jest w stanie zastąpić męża. Nigdy przedtem o tym nie myślała, bo nigdy nie czuła się opuszczona, nawet wówczas gdy miesiącami czekała na znak od pierwszego męża, złotnika Roberta Skelnika. Nosila wtedy jego syna i zanim tak naprawdę doznała goryczy samotności, zjawił się ten drugi, a choć nie otoczył jej żarem namiętności, zapewnił przynajmniej poczucie bezpieczeństwa. W świetle płonącej na kominku świecy pokój wydawał się większy niż w rzeczywistości. Oprócz łóżka w alkowie, fotela i wiklinowej kołyski, w której leżało kilka połamanych zabawek, uciekający właściciele nie zostawili tu żadnych mebli. Ślady na tapecie wskazywały, że były tu jeszcze szafa, sekretera z wysoką nadstawką, stojący zegar, regał z książkami i wisiały dwa owalne obrazy. Patrzyła na ten ogołocony pokój i myślała, jak bardzo jest teraz do niego podobna: pustka i aż mroczno od wspomnień, rozmywających się jak zamglony obraz, od których nie potrafiła się uwolnić, choć bardzo tego pragnęła. Odpędzała z uporem powracający obraz wnętrza apteki w Princeton i stojących tam skrzyń, na których wielkimi literami kopiającym ołówkiem ktoś napisał "Mr. Skelnik". Jakże obiecująco wyglądał ten napis! Budził tyle nadziei, a ona nie miała już sił marzyć. Mogła jedynie walczyć, o wyzbycie się marzeń i strachu. Pograżona w myślach nie słyszała kroków na schodach, nie odpowiedziała na pukanie do drzwi. Drgnęła przestraszona, gdy do pokoju wszedł Robert, choć właściwie jego obecność bardziej odczuła sercem niż zobaczyła. Podszedł i przytulił ją. Przez wełnianą suknię czuł jej kobiece kształty. Jest jeszcze za młoda, by nie pragnąć męskich pieszczot, pomyślał i uświadomił sobie, jak wielkim wyrzeczeniem dla niej było poświęcenie się tylko synom i jak mało on mógł dla niej zrobić. Podszedł do kominka, otworzył klapę i rozpałił ogień. Błysnęły jasne płomienie.

- Tu będziesz miała spokój - rzekł. - Wreszcie porządnie się wyśpisz i zaraz poczujesz się lepiej. - Przyniósł fotel bliżej kominka. - Chodź, usiądź tu sobie. Zawahała się. - Pojechał już? - spytała po chwili. Chciał popatrzeć jej w oczy, lecz się odwróciła. - Nie musisz się o mnie bać, mamu. Pojechał i coś mi się wydaje, że wreszcie zostawi nas w spokoju. Usiądź, proszę. W ostatnim czasie zbyt wiele się wydarzyło, ale teraz będzie lepiej. Zima jest długa, a zanim się skończy... - Urwał. Właściwie co może jej obiecać? Przypomniał sobie o nożu, spojrzał w okno - nie wychodziło na podwórze, więc chyba nie widziała, co tam się stało, mimo to miał wrażenie, że o wszystkim wiedziała, jakby była obecna przy jego rozmowie z Clausem, jakby to ona powstrzymała jego zaciskającą rękę. Usiadła. Płomień się uspokoił, ustały trzaski płonących szczap, przez moment oboje poczuli się jak w Haynau, gdy ich rozmowy przy kominku zawsze zaczynały się kilkuminutowym milczeniem. - Urządzimy ten pokój tak, jak będziesz chciała - rzekł. - Przywykniesz i zechcesz tu zostać na zawsze. Anna wygładziła fałdy sukni, a Robert od razu zrozumiał ten gest. - Nic tu nie ruszymy, niczego nie zmienimy. Zostanie wszystko tak, jak jest, aby ci ludzie, kiedy tu wrócą, nie mieli do nas żadnych pretensji - rzekła stanowczo, z trudem powstrzymując łzy. - Strasznie się bałam, Robercie, potwornie! Powiedz mi, po co przyjechał Claus? Chcę znać prawdę. Chodziło mu tylko o ten dom? - Przyjechał po Soermana; ma się zgłosić u Ralla. - A po co? - przestraszyła się. - Też chciałbym wiedzieć, ale przypuszczam, że nic złego się nie stanie. Jak wróci, to się dowiemy, a teraz chodź, bo kolacja już czeka. - Nie będę jadła. Chcę zostać tu sama, proszę cię. - Nie ma mowy! - pokręcił głową. - Musisz zjeść. Wiesz, jak oni się starali? Przygotowali prawdziwą ucztę! Nie uwierzysz własnym oczom, gdy zobaczysz, jak nakryli do stołu. Daję ci dziesięć minut na przebranie się. Wraz z Anną i panią Retz w domu garbarza było siedem osób, a ponieważ przy stole w jadalni po rozłożeniu mogło usiąść dwanaście, zaproszono pięciu z obozujących pod namiotami. Honorowe miejsca zajęły obie panie, puste krzesło czekało na Frederę Soermana. Choć wszyscy byli głodni jak wilki, nikt nie rzucił się na jedzenie, lecz z namaszczeniem nakładał sobie po kawałku, jak na przyjęciu w najbardziej eleganckim domu, tak więc gdy przyszedł spóźniony Soerman, ze

stołu mało co ubyło. Nikt nie pytał, po co wezwał go Rall. Może chodziło o pięciu obcych przy stole, a może nie chciano psuć sobie uroczystego nastroju. Soerman po prostu usiadł i bez słowa zajął się opróżnianiem talerzy i kieliszków. Z jego miny trudno było odgadnąć, jak poszło mu z Rallem; Robert nawet nie próbował - za dobrze znał Soermana. Zaraz po kolacji dał mu dyskretnie znak i gdy pozostali raczyli się jeszcze gorzalką, oni dwaj opuścili jadalnię. Anna widać obserwowała ich uważnie, bo także wstała. - Chodźcie do mojego pokoju - rzekła, wchodząc pomiędzy nich. - Tam nikt nie będzie wam przeszkadzać. Przynieśli z zewnątrz dwa drewniane krzesła, Anna usiadła w fotelu. - Rzeczywiście Rall kazał mnie wezwać - zaczął Soerman. - I nie była to żadna zasadzka. Pułkownik zakwaterował się u doktora i jak się wydaje, obaj przypadli sobie do gustu. Nie rozumieją się ani w ząb, za to uwielbiają francuskie wino i szachy, a do tego nie trzeba znać żadnych języków. Rall miał w sobie z beczulkę bordo, ale po nim, jak wiesz, za bardzo tego nie widać. - Czego chciał? - Ktoś mu powiedział, że znam okolicę. Na początku zadawał dziwne pytania: jak tutaj wygląda zima, kiedy zazwyczaj zamarza rzeka, jak długo trzeba czekać, aż zamarznie całkowicie. Cały czas kręcił się koło tej rzeki. Pytał o promy i brody, przez które można przejechać konno. Początkowo myślałem, że bredzi po pijanemu, ale szybko się zorientowałem, że zmierza do dokładnie przemyślanego celu. Wiecie, co on kombinuje? Sam wpadłem na to dopiero w drodze powrotnej: on chce się przeprawić na drugą stronę! Bliskość Filadelfii nie daje mu spokoju. Od "stolicy rebeliantów" dzieli go zaledwie trzydzieści mil, a w pobliżu nie ma Anglików, którzy zmieniliby jego rozkazy Stary lis, ani razu nie wspomniał o mieście, słówkiem się nie zdradził, ale ja i tak rozszyfrowałem jego zamiary. Robert podszedł do kominka. Matka nie spuszczała go z oczu, wiedział więc, że jakoś musi ją uspokoić. - Czegoś jeszcze się dowiedziałeś? - spytał Soermana. - Owszem. Armia Kontynentalna niedawno przeprowała się na tamten brzeg i podobno w promieniu dziesięciu mil nie ma na rzece ani jednego promu, ba, nawet jednej łódki. Ponieważ znam okolicę, Rall kazał mi zmontować oddział i sprawdzić, czy to prawda, a jeśli znajdzie jakąś łódź, natychmiast zarekwirować. Wyczułem, że najchętniej wysłałby mnie już dziś. - To przecież jest ta okazja, na którą czekaliśmy już od dawna - rzekł Robert. - I chyba warto było czekać aż tak długo! - dodał i obaj wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Anna zacisnęła obie dłonie na oparciu fotela. - Muszę ci coś powiedzieć, mamo - zwrócił się do niej Robert. - Nie zrobiłem tego do tej pory, bo nie byłem... Anna zerwała się i stanęła przy oknie. - Wiem, czego mi nie powiedziałaś. Od pierwszego dnia wiedziałam, że chcesz zdezerterować. Claus też oczywiście wie. Nie uciekłeś ze względu na mnie? - Nie, mamo! Nasz plan od początku przewidywał, że uciekniemy dopiero w ściśle określonym miejscu... - Urwał i podszedł do drzwi. Z dołu dochodziły głośne śmiechy bawiących się przy stole. - Nie spodziewaliśmy się jednak, że los rzuci nas aż tak blisko. - O tym też wiedziałam - rzekła spokojnie. - Naprawdę? Od kiedy? - Od wczorajszego wieczora. Obozowaliśmy w Princeton i poszłam z Niklasem do apteki po lekarstwa. Niklas miał wprawdzie angielskie pieniądze, ale nawet za złote monety trudno tu cokolwiek kupić. Aptekarz długo się targował, zabrał nas na zaplecze, gdzie stało kilka skrzyń, których nie zdążył wysłać na tamten brzeg. Były już zaadresowane... - Podeszła do kominka i poruszyła tłące się polana. - Do tej chwili nie mogę ochłonać - rzekła. - Trudno uwierzyć, ale widniało na nich nazwisko twojego ojca. Zapadło długie milczenie. Nie mieli odwagi na siebie spojrzeć. - W takim razie wiesz więcej niż ja - Robert odezwał się pierwszy. - My z Soermanem mieliśmy nikłą nadzieję, że się stąd nie wyprowadził. Na pewno był tu przed trzynastu laty, a to przecież szmat czasu. Co o tym myślisz? - zwrócił się do Soermana. - Sam nie wiem. Za dużo szczęścia naraz. Stanowczo za dużo! - Pokręcił głową. - Zaczynam się bać. - Rall mówił, ilu ludzi masz zabrać? - spytał Robert. - Ilu chcę. Ponadto dostanę konie. Jemu zależy tylko na łodziach. Anna odwróciła się. Na jej twarzy malowało się zniecierpliwienie. - To na co jeszcze czekacie? - spytała. - Soerman boi się nadmiaru szczęścia, a dla mnie to dobry znak. Uciekajmy stąd, i to

natychmiast! Robertowi ciężko było się sprzeciwić, lecz nie miał innego wyboru. - Nie teraz, mam. Nie mam zamiaru zawisnąć jako dezert, będąc tak blisko celu. Tę ucieczkę trzeba dobrze przygotować. - Nie ma czasu na żadne przygotowania - zaprotestowała. - O tym, co wiemy tylko my troje, za chwilę będą wiedzieli inni, i to wcale nie od nas. Nazwisko Skelnik jest w Trenton znane i prędzej czy później padnie w obecności Clausa, a kiedy Claus się dowie, że posiadłość twojego ojca leży jakieś dziesięć mil stąd, reszty domyśli się sam i nie będzie czekać, aż znikniesz mu z oczu. Albo raczej poczeka! Złapią cię na gorącym uczynku, a wtedy już nic nie uratuje cię przed szubienicą. Błagam, Robercie, ucieknijmy jeszcze tej nocy! - Mamo, nic się nie stanie, jeśli poczekamy do jutra. Soerman pojedzie z oddziałem w górę rzeki i znajdzie najdogodniejsze miejsce do przeprawy. Mamy dokładnie taki sam problem jak Rall, musimy znaleźć przynajmniej jedną łódź. Jeśli się uda, to być może uciekniemy już jutro w nocy. Anna milczała. Usiadła przy kominku, lecz odniosła wrażenie, że jest jej coraz chłodniej. Robert miał rację: nie można działać pochopnie, dla niej jednak rozsądek nie był teraz lekarstwem ani na potworny strach, który ją dręczył, ani na nadzieję, którą w niej obudził napis na skrzyniach w aptece w Princeton. 35 Dom przy Queenstreet I był największy i najokazalszy w Trenton. Jacob Eliphath Compson już w planach przewidział możliwość przebudowy. Dom rozrastał się, w miarę jak wielokrotnie majątek Compsonów. Niestety, zamiast zapelnąć się pół tuzinem dorodnych synów i uroczych córek, opustoszał zupełnie. John dorastał jako jedynak, a Compson pocieszał się myślą, że pewnego dnia w domu pojawią się wnuki, lecz i ta nadzieja prysła, gdy odwoził trumnę syna na cmentarz. Do końca życia będzie mieszkał w pustym domu, jadał przy stole, przy którym stoi o dziesięć krzeseł za dużo, na jednym końcu on, na drugim żona - za daleko, by porozmawiać i by się pokłócić. Codziennie będzie sobie zadawać pytanie, czy takie życie w ogóle ma jakiś sens, skoro po śmierci nie zostanie po nim żaden ślad. A przecież nazwisko Compsonów liczyło się w Trenton od dawna. Jego dziad nabył ziemię nad Delaware od Indian za dwa angielskie wierzchowce, a ponieważ była ona nadzwyczaj urodzajna, odsprzedał ją potem po kawałku za ogromne pieniądze. Po tragedii, jaką była utrata jedyne go syna, Jakob Compson popadł w zadumę bliską obłądu, zwłaszcza że stracił również to, co dotychczas pochłaniało go bez reszty, a mianowicie handel herbatą. Na czarnych listkach zarobił znacznie więcej niż jego przodkowie na sprzedaży ziemi, od kiedy jednak Anglicy zablokowali amerykańskie porty, z wywozu herbaty trzeba było zrezygnować. Jego statki woziły teraz najemników, a ogromne magazyny w Bostonie i Filadelfii świeciły pustkami. Małą pociechą było dla niego to, że majątek mimo to rósł. Wszystkie operacje przechodziły przez ręce notariuszy w Filadelfii, a on stał z boku i nie miał nic do roboty. To oni pośredniczyli w transakcjach, pożyczali jego pieniądze, nawet go o tym nie informując. Pożyczka udzielona Kongresowi przyniosła mu zyski, o jakich nie mógł marzyć przy sprzedaży herbaty. Jego statki wynajmowali nie tylko Anglikom, ale także rebeliantom, których nienawidził z całego serca. Dla ludzi jego pokroju taka sprzeczność sumienia i interesów nie miała znaczenia, jedyny problem stanowiła beczynność, na jaką został skazany. Nie znajdując zajęcia w kantorze, szukał go sobie gdzie indziej. Dawniej dom nie interesował go wcale, teraz zaś przejął jego prowadzenie wraz z najdrobniejszymi detalami. Pertraktował z dostawcami prowiantu. Ważył w dłoni każde przyniesione do domu jajko, oglądał drób i dziczyznę, sprawdzał świeżość masła i sporządzał listę zapasów. Później zajął się winami, a w końcu zaczął spisywać zawartość kredensów. Przy okazji odkrył, że od trzydziestu lat jada na starych zniszczonych talerzach, podczas gdy na półce kurcz coraz grubsza warstwa pokrywa piękną, kosztowną porcelanową zastawę, której nawet jeszcze nie rozpakowano. Szukanie zajęcia stało się jego manią, lecz zamiast przynieść mu pociechę, umacniało go w przekonaniu, że życie w domu, w którym wszystkiego jest w nadmiarze, a brakuje ludzi, pozbawione jest sensu. Nic dziwnego, że nadejście heskich wojsk Jakob Eliphath Compson powitał z radością. Gdy tylko usłyszał odległe bicie w bębny, kazał zaprząć powóz, by wyjechać na spotkanie z

pułkownikiem Rallem i zaproponować mu kwaterę w swoim domu. Żona ostro się sprzeciwiła, tłumacząc, że przecież każdy z heskich żołnierzy może być tym, który zastrzelił ich syna. Betty Compson była ostatnią, której rodzinne sprzeczki sprawiłyby przyjemność, w tym przypadku wszakże nie zamierzała ustąpić. Skończyło się tym, że wyniosła się do swoich pokoi, a gdy mąż wrócił, zamknęła się na klucz. Zły i zawiedziony, że Rall nie przyjął jego propozycji, Jakob szukał kogoś, na kim mógłby wyładować swoją złość. Stanowczo zażądał, aby otworzyła, a gdy w końcu stanęła w progu w ciasnej czarnej sukni, mocno uwypuklającej jej obfite kształty, dosłownie wpadł w furję i wygarnął jej wszystkie żale, nagromadzone w ciągu dwudziestu kilku lat małżeństwa, poczynając od bezpłodności, która ją dotknęła po urodzeniu pierwszego dziecka. Nie odezwała się ani słowem. Patrzyła tylko przed siebie melancholijnym wzrokiem człowieka, który prędzej sam siebie zrani, niż obrazi kogoś innego. Jakob oniemiał. Nie poczuł żadnej ulgi, wręcz przeciwnie, jeszcze większe upokorzenie. - Będziemy mieli gościa - rzekł szorstkim tonem. - Heski major. Życzę sobie, aby przygotowano mu dwa pokoje. Ponadto zje z nami kolację. Żeby nie było nieporozumień: to nie jest prośba, lecz rozkaz, jasne? Betty odwróciła się na pięcie i podeszła do okna, z którego widać było cmentarz. Wieczorem oba pokoje dla heskiego majora były jednak przygotowane, stół uroczyście nakryto dla trzech osób, ale Betty Compson przy nim nie zasiadła. Gdy Jakob kazał ją przyprowadzić, pokojówka oświadczyła, że pani wyszła na cmentarz na grób panicza Johna. Następnego dnia sytuacja się powtórzyła i chcąc nie chcąc, Jakob musiał się z tym pogodzić. Dziś, trzeciego dnia po wejściu Hesów do Trenton, Jakob na próżno pukał do drzwi pokoju żony. Zaciskając ze złości pięści, schodził po schodach i obiecywał sobie, że teraz już na pewno wyrzuci ją z domu. Weźmie sobie młodą żonę, która co roku urodzi mu dziecko. Od dwudziestu lat nosi się z tą myślą i nie może się zdobyć na to, by ją urzeczywistnić. Teraz też tak będzie. Zdruzgotany i obrażony na cały świat, zszedł do jadalni i od razu zrugał służącą, że jeden z widelców położyła krzywo. Kiedy zajrzał do kuchni, by podano mu podwieczorek, ktoś zadzwonił do drzwi. Nie był to jednak heski major ani żaden z oficerów, których dla towarzystwa również zaprosił na kolację, lecz burmistrz Trenton niejaki Thomas Randolph Bratt. - Przyszedłem nie w porę? - spytał Bratt na widok skrzywionej miny Compsona, lecz nie czekając na odpowiedź, podeszedł prosto do stojącego pośrodku holu wielkiego kwietnika. - Och, jak pięknie zakwitła bugenwilla! - zawołał zachwycony. - Widać szczęśliwą rękę pańskiej małżonki, drogi sąsiedzie. Moja spojrz tylko na roślinę, a ta już więdnie! - Burmistrz był niskim korpulentnym mężczyzną, na głowie miał siwą perukę z lokami. Opuścił bezradnie ręce i czekał na reakcję Compsona. - Termin płatności kontrybucji przypada dopiero jutro - burknął niegrzecznie Jakob, jakby nie rozmawiał z burmistrzem, lecz ze zwykłym poborcą podatkowym. Bratt spuścił oczy. Był dumny ze swoich zbyt wielkich stóp i by zwrócić na nie uwagę, nosił przy butach wielkie srebrne zapinki. - Wiem, drogi sąsiedzie, ale przypominam wszystkim, więc do ciebie też zajrzałem. Obawiam się, że do jutra nie zbierzemy potrzebnej sumy, a tak nawiasem mówiąc, to nie spodziewałem się, że nasi sprzymierzeńcy tak nas potraktują. Zdenerwowali ludzi, wypychając te dwa budynki w rynku sianem, później zabrali wszystkim konie, a teraz żądają kontrybucji! - A czegoś się pan spodziewał? Jeszcze lepszych interesów? Jeden pański brat, piekarz, na czysto zarabia osiemset dolarów dziennie, a drugi, który ma gorzelnię, dwa razy tyle, nie mówiąc już o poczczie, gdzie wieczorem nie można zamknąć kasy, bo jest przepełniona. Naucz się liczyć, panie burmistrzu! Bratt machnął ręką. - Ludzie nie spodziewali się gwałtów i grabieży, ale raczej... - Urwał, uznając, że może powiedzieć coś niestosownego. - O moją część kontrybucji możesz być spokojny, na pewno zapłacę - rzekł Compson. Zapadła cisza. Burmistrz nerwowo przebierał palcami. - Pułkownik Rall nie chce wydawać pisemnych poświadczeń na kontrybucje - odezwał się, od czasu do czasu zerkając na Compsona. - Być może dla pana zrobi wyjątek. Liczy się z pańskim zdaniem, więc sobie pomyślałem, że może byś z nim porozmawiał, aby dał nam jeszcze kilka dni... - Masz

pewnie nadzieję, że w tym czasie Delaware zamarznie, a Rall nie weźmie naszych pieniędzy, bo w Filadelfii dostanie więcej? - Nic mi o tym nie wiadomo, może masz lepsze wiadomości - odparł burmistrz. - Słyszałeś, że pułkownik kazał ściąć drzewa nad rzeką? Podobno chce budować łodzie! - A ty żałujesz, że rebelianci zabrali nasze? Dlaczegoś nie zabrał się z nimi? - Ja zawsze wiernie służyłem Koronie i każdy wie, że zdania nie zmienię, ale czy naprawdę musi być tak jak w New Jersey? Represje i grabieże! Dlaczego za spokój i bezpieczeństwo musimy płacić aż tak wielką cenę? Dzisiaj znowu przywieźli z Nowego Jorku dwa dyliżanse ładacznic. Niby dla podniesienia morale żołnierzy, a skutek będzie taki, że nasze uczciwie zarobione pieniądze wyjadą stąd pod spódniczkami tych upadłych kobiet! Dopiero teraz Compson zauważył na wieszaku obok drzwi płaszcz z czerwonymi wyłogami i spiczasty kapelusz z zieloną heską kokardą. Spojrzał w stronę biblioteki, purpurowy ze złości, że nie uprzedzono go o przyjściu heskiego majora. Bardziej jeszcze rozgniewała go własna nieostrożność. Przez chwilę był gotów zaprosić burmistrza na kolację, lecz porzucił tę myśl z obawy, że jutro całe miasto będzie plotkować, co podano do stołu. Podszedł do Bratta. - Zapomniałeś chyba, że mamy wojnę i jakąś cenę każdy musi zapłacić. Radzę, żebyś jednak postarał się zebrać te kontrybucje w wyznaczonym terminie. - Poklepał go po ramieniu, jak zawsze, gdy chciał się kogoś szybko pozbyć z domu. - Już idę, drogi sąsiedzie, ale chciałem jeszcze spytać: gdyby się jednak nie udało, czy byłbyś gotów pożyczyć nam pieniądze? Oczywiście na krótki termin... - Przykro mi. Musisz przemówić do sumienia tym, którzy mają pieniądze, a nie chcą ich dać. Zanim Bratt się spostrzegł, stał już za drzwiami. Dziwny to był obrazek: amerykański handlarz herbatą i heski oficer jedli w milczeniu kolację, obsługiwani przez dwóch czarnych służących z półmisków, których zawartość starczyłaby dla dziesięciu. Pochodzili z różnych światów, a jednak coś ich łączyło. Siedząc po przeciwnych stronach stołu, wnosząc co chwilę toasty bez słów, przywodzili na myśl konspiratorów. Wrażenie to się potęgowało, gdy zaczynali rozmowę - zawsze dotyczyła ona pułkownika Ralla. Compson wciąż nie mógł przeboleć, że pułkownik wzgardził jego domem i zamieszkał u doktora Banksa, i wypytywał majora o różne szczegóły z życia heskiego komendanta, jakby od nich miała zależeć przyszłość Ameryki. Dowiedział się więc, że Rall prawie nie wychodzi z domu, chyba że na obchód ćwiczących oddziałów, a wieczorami pije na umór, przeważnie w samotności. Compson wcale nie odczuł ulgi. Claus przypadkowo też interesował się Rallem. Codziennie toczył z nim zacięte dyskusje na temat umocnień wokół Trenton. Pułkownik był przeciwny ich budowie, a gdy już wieczorem przy winie udało go się przekonać, rano odwoływał wszystkie uzgodnione szczegółowo plany. Poza tym Claus nie był pewien, po której stronie opowie się Rall, jeżeli w końcu dojdzie do ostatecznego starcia z Robertem. Od owego spotkania sprzed trzech dni nie podjął przeciwko bratu żadnych działań i martwił się, czy Robert nie uzna tego za oznakę tchórzostwa. Tymczasem on się nie bał, a jedynie czekał, choć nie bardzo wiedział na co. - Nie, dziękuję! - Zasłonił dłonią kieliszek, do którego służący w żółto-czarnej zamszowej kamizelce chciał nalać wina. Murzyn podszedł bezszelestnie, Claus nawet nie zauważył kiedy. Gdy zobaczył przed sobą czarną rękę, przestraszył się. W tym domu wszystko odbywało się po cichu. Nigdy nie widział pokojówki, a jego pokoje były zawsze uprzątnięte, nikt tutaj ani razu nie trzasnął drzwiami. Podobna cisza panowała w ich domu w Kassel, gdy Roberta trzymano w komendanturze i czekali na ogłoszenie wyroku. Wówczas też przy stole siadały tylko dwie osoby: on i ojciec. Matka jakby zniknęła. Natknął się na pełne zdziwienia spojrzenie Compsona. - Wino było znakomite - rzekł i szybko zmienił temat. - Teraz jest najlepszy czas na dzikie kaczki. Sam polujesz, mister Compson? - Niestety nie. Już nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz trzymałem w rękę strzelbę. W pańskim wieku całymi nocami uganiałem się za zwierzyną. - Jest tu na co polować? - Nieszczególnie. Na tamym brzegu Delaware jest lepiej. Tutaj zbyt pofolgowano toporom i piłom... A co tam u naszego pana pułkownika? Słyszałem, że sprowadził książki o naszej rzece i wysłał po nie do Princeton trzech oficerów i

pięćdziesięciu żołnierzy. - Zdecydował się rano, a kazał im do wieczora wrócić z powrotem. Jego zdaniem ludzie i konie muszą być w ciągłym ruchu. Compson sięgnął po kieliszek. Podobał mu się ten młody Niemiec, coś ich łączyło. Może to, że obaj byli nieszczęśliwi, bo ludzie szukający szczęścia bardziej się rozumieją niż ci, którzy już je znaleźli. - Te poszukiwania łodzi przyniosły jakiś rezultat? - Żadnego! - odparł ze złością Claus. Nie to jednak go zdenerwowało. Pułkownik zlecił to zadanie Soermanowi i pozwolił mu skompletować sobie oddział według własnego uznania. Claus był przekonany, że wybierze Roberta i ludzi mieszkających z nim w domu garbarza, tymczasem Szwed wyruszył z obcymi żołnierzami z innej kompanii. Była to oczywista prowokacja Roberta. - Ja chyba wiem, jak pułkownik mógłby zdobyć łodzie. - Compson powrócił do tematu, gdy usiedli przy okrągłym hebanowym stoliku w palarni. - Znam kilku kapitanów na wschodnim wybrzeżu, którzy mogą dostarczyć do Brunswicku każdą ilość łodzi, o jaką poproszę. Stamtąd, niestety, trzeba by je przetransportować łądem. - Uważnie czekał na reakcję gościa, który odmówił kieliszka gorzałki, jak przed chwilą odmówił wina. Zupełnie nie pasował do wizerunku oficera zwycięskiej armii pijącego na umór za zwycięstwo. W jego oczach widać było tęsknotę, jakieś ukryte marzenie. - Czy pańskie milczenie oznacza, że pułkownik Rall już rozważał taką możliwość? - spytał Compson. Claus odstawił filiżankę. - Widzę, że w Trenton trudno cokolwiek zachować w tajemnicy. Te łodzie to pomysł Ralla. Dowiedziałeś się o nich od burmistrza Bratta? Compson zawahał się. Czyżby major, czekając w bibliotece, słyszał jego rozmowę z burmistrzem? W końcu nie powiedział niczego, co mogłoby mu zaszkodzić, aczkolwiek wołał podkreślić to wyraźnie. - Burmistrz Bratt nie przyszedł w tej sprawie. Ma trudności z zebraniem kontrybucji, gdyż obowiązek ten, żeby tak rzec, nie spotkał się z życzliwością mieszkańców. Mają o to do pana pułkownika żal, podobnie jak o wycinanie drzew nad rzeką. - Musimy przesunąć nasze armaty. Z obecnego miejsca przeciwległy brzeg jest poza ich zasięgiem. - A po co tam strzelać? Chcecie robić dziury w piasku? Tam nie pokaże wam się ani jeden żołnierz tej rebelianckiej armii! - Tak samo uważa pułkownik Rall, ja jednak nie jestem przekonany. - Wystrzelili parę kartaczy na wasze powitanie, czy raczej puściły im nerwy, ale załóżę się, że na tym skończyły się ich zapasy pocisków i prochu. Armia Kontynentalna to już tylko słowa, majorze! Widziałem, jak przeprawiali się na tamten brzeg: horda bandytów, zapaleńców i wariatów! - Compson wstał. - Proszę wybaczyć, majorze, ale szlag mnie trafia, jak o tym pomyślę. Zawsze byłem lojalny wobec korony i na poczynania tych szaleńców patrzyłem z przymrużeniem oka, dopóki nie przyłączył się do nich mój syn... - Po chwili przerwy ciągnął dalej. - Mój syn zginął pod Fort Washington w rebelianckim mundurze. Mówiłem, że żona niedomaga i dlatego nie siada z nami do posiłków, ale to nieprawda, majorze. Ona po prostu w każdym żołnierzu królewskiej armii widzi zabójcę naszego Johna. - Compson nalał sobie kieliszek gorzałki i wychylił go duszkiem, otwartą butelkę stawiając na stole. - Najgorsze jest to, że on nigdy nie interesował się polityką, zgodnie zresztą z naszą rodzinną tradycją, ale poszedł na ten nieszczęsny festyn do Redford i tam to się zaczęło. - Redford? To ten indiański las? - Ludzie opowiadają różne bajki o Indianach, a prawdą jest tylko to, że na tamtym brzegu rzeki Delawarowie utrzymali się dłużej niż tu. Obecny właściciel Redford rzeczywiście kupił ziemię od Indian. - Compson nalał sobie kieliszek, Claus znowu odmówił, wypił więc duszkiem sam. Skrzywił się, jakby go coś zabolalo. - John zaczął przebywać w Redford częściej niż w domu. Ale ja o tym nie wiedziałem, dopiero kiedy przypadkiem spotkałem go w Filadelfii z tą dziewczyną i jej ojcem, przyznał się, że chodzą razem przysłuchiwać się obradom Kongresu! Ten człowiek zawrócił w głowie nie tylko mojemu Johnowi, potrafił zarazić każdego, kto zamienił z nim więcej niż dwa słowa! - Mówisz pan o ojcu tej dziewczyny, do której John chodził? Co to za człowiek? Tym razem Compson nie dał sobie przerwać. - John mógł przeżyć, bo nie dostał śmiertelnej rany, ale on kazał się zawieźć do Redford. Nie do Trenton, do rodziców, gdzie miałby opiekę, tylko akurat tam! - Compson skrzyżował ręce na piersi. - Majorze, widziałeś,

ile domów w Trenton stoi pustych? To także robota tamtego człowieka! Przyjeżdżał tu regularnie, zabierał ludzi do Filadelfii, a jak uchwalono tę bzdurną konstytucję, to kazał wszystkim przysięgać, że będą jej wierni. Rall szuka łodzi, a ja głowę dam, że oni co do jednej poprzeciągali na drugi brzeg! Wśród ludzi, co pozostali w Trenton, są tacy, którzy jeszcze dziś gotowi dla niego zrobić wszystko, a przecież to zwyczajny awanturник, przybłąda z Polski! Compsonowie przestali się liczyć, teraz tylko Skelnik i Skelnik! Jakob Eliphath Compson był zbyt zajęty swoimi myślami, by zauważyć, jak piorunujące wrażenie wywarło na jego gościu to nazwisko. Claus ostrożnie odstawił filiżankę i położył ręce na czarnym blacie stołu, dziwiąc się, że wcale mu nie drżą. - Co powiedziałaś? Jak ten człowiek się nazywa? - Skelnik, ale czort jeden wie, czy to prawda. Zjawił się tu pewnego dnia z garstką ludzi, na kilku wozach miał trochę broni, siekiery, piły i jeden pług. Nikt go nie pytał, skąd przybył i jak długo zamierza zostać. Claus wpatrywał się w swoje nieruchome ręce, w ustach mu zaschło i chętnie poprosiłby o kieliszek gorzałki, lecz się opanował. Musi wypytać Compsona, w taki jednak sposób, aby ten niczego się nie domyślił. - Od dawna tu jest? Nazwisko Skelnika jakoś nie przechodziło mu przez gardło. - Chcieli go wybrać do Kongresu - podążał za swoimi myślami Compson. - Ale on, któremu tak zależy na sławie, nie zgodził się! Na pewno ma na sumieniu coś, czego nie mógłby przed Kongresem zataić. - W którym roku kupił Rędford? - Kupił! Śmiechu warte! Wódz indiański zadowolili się wybijaną srebrem myśliwską flintą, fakt, że wtedy to była jeszcze dzika puszcza. W tamtych czasach bardziej się opłacało kupić zagospodarowany kawałek ziemi, niż utrzymywać robotników przy karczowaniu, ale ten Polak od początku wszystko robił inaczej niż inni. Zaraz, który to mógł być rok? Hm, już wiem! Późna jesień 1753. Pamiętam, bo wtedy też Delaware nie zamarzyła, a to się rzadko zdarza. Claus słuchał jak przez sen. Chwilami wydawało mu się, że biegnie przez trzęsawisko, że wciąga go masa czarnego błota, ciemnieje mu przed oczami. Głos Compsona dochodzi jakby z oddali, nie rozumie znaczenia jego słów, lecz w mroku, jakby przez mgłę pobłyskuje nagle światełko, które nagle czerwienieje, boleśnie kłuje w oczy, a potem powoli przybiera ludzką postać i krok po kroku się ku niemu zbliża... To Robert! Śmieje się. Szyderczym śmiechem zwycięzcy! Nagle Clausowi otworzyły się oczy: drugi brzeg Delaware, Redford, ojciec... Przecież Robert o tym wie! On tylko czeka na właściwy moment! Zerwał się, aż filiżanki i kieliszki przesunęły się po czarnym blacie. Mruknął coś na przeprosiny i wybiegł, wołając chłopca, by przyprowadził mu konia. Compson zastanawiał się gorączkowo, czym mógł swojego gościa urazić. Zbyt dumny, żeby go gonić, podszedł tylko do okna i rozsunał firany. Cztery latarnie przed głównym wejściem pięknie oświetlały całą fasadę, aby robiła wrażenie nie tylko za dnia, ale i po zmierzchu. Heski major siedział już w siodle i ostrogami zmuszał konia do szaleńczego galopu. Nie dziwił się ani nie czuł zawodu, że przybył za późno. Był to tylko dowód, że jego przeciwnik okazał się lepszy, że ich walka to już nie seria drobnych potyczek, o których po kilku dniach obaj zapominają. Nadszedł czas na ostateczne rozstrzygnięcie i Claus czuł to bardzo wyraźnie. Robert chyba też o tym wiedział i być może zdecydował się na ucieczkę w tym samym momencie, gdy w palarni Jakoba Compsona padło nazwisko Skelnik. Claus pomyślał, czy aby rzeczywiście nie łączą ich obu tajemnicze więzi, a walka, którą od lat toczą, jest tylko wynikiem ścierania się jakichś niezmiernych sił. Dom opuścili chyba niedawno, bo w kominku jeszcze palił się ogień, wokół balii przy studni widniały świeże ślady końskich kopyt - napoili zwierzęta przed wyjazdem. Łojowe pochodnie jeszcze kopciły, drzwi były otwarte, a zasłona z zielonego filcu, oddzielająca ganek od wnętrza domu, ściągnięta skórzanym paskiem. W słabym świetle oliwnego kaganka wydawała się czarna. W sieni leżały rozcięte wzdłuż szwów wojskowe buty. Prawdopodobnie żołnierze znaleźli w garbarni wyprawione skóry i wzorując się na zniszczonych butach, uszyli sobie nowe. Claus analizował każdy szczegół, ale zapamiętywał tylko te, które mogły mieć znaczenie w czasie pościgu. Mosiężne okucia bejcowanych na ciemno drzwi oraz poręcz

przy schodach były świeżo wypolerowane. Wyszorowana do białości podłoga pachniała woskiem i salmiakiem, w piecu płonął ogień, na stole stały talerze, koszyk z pokrojonym chlebem, karafka pełna wina... Może jednak Claus się myli? Może wyjechali na patrol i za chwilę wszyscy wrócą? Chwilami wydawało mu się, że słyszy z daleka ich głosy. Podeszedł do pieca i podniósł pokrywkę garnka, spod której wydobył się zapach gotowanego mięsa i fasoli. Na parterze oprócz kuchni była jeszcze spiżarnia, niewielki kantor i pokój do ręcznych robótek. Każde z pomieszczeń wyglądało tak, jakby lokator wyszedł tylko na chwilę. Na stole zamiast robótek leżały rozłożone karty do gry, w cynowym naczyniu ktoś odłożył fajkę. Na komodzie pod ścianą stała płaska taca z jabłkami obłożona wiankiem świerkowych gałązek. To dzieło jego matki. Miał wrażenie, że słyszy jej cichy krok, szelest sukni i wreszcie głos: - Po co znowu przyjechałeś? Nie możesz dać nam wreszcie spokoju? Niespodziewanie uwolnił się od napięcia, które paraliżowało go od chwili, gdy wszedł do tego opuszczonego domu. Jego miejsce zajął dokuczliwy ból. Czego właściwie jeszcze tu szuka? Dlaczego nie ogłosił alarmu, nie rozdał broni i amunicji, nie sprowadził psów gończych i nie ruszył w pościg za zbiegami? Wziął palącą się świeczkę ze stołu i powłókł się schodami na górę. Zjrzał do każdego pokoju. Rozłożone na ziemi sienniki, wyszorowane podłogi, zapach wosku. Kominki przygotowane - wystarczy podpalić podpałkę. W jednym pod sporą kupką szarego popiołu jeszcze tlił się żar. Przy kominku stał fotel, a obok łóżka w alkowie pleciona z wikliny kołyska. Pokój był pusty, a jednak Claus ociągał się z wyjściem. Usiadł w fotelu, przed oczami zaczęły mu się przesuwać obrazy z przeszłości: widział siebie jako dziecko, był w domu w Haynau, czuł ogarniające go ciepło i zapatrzony w kominek czekał, aż przyjdzie do niego matka. Nagle drgnął, jak obudzony z głębokiego snu. Na dole trzasnęły drzwi, rozległy się kroki, jakiś głuchy łomot i nastąpiła cisza. Wstał i na palcach zszedł po schodach. Gdy był już w sieni, usłyszał dochodzące z kuchni podśpiewywanie. Na drewnianej ławie siedział oparty o ścianę mężczyzna z butelką w ręku. W świetle świecy zobaczył jedynie sylwetkę wchodzącego i dłoń sięgającą po jego butelkę. - Pij bracie! Gówno to warte, ale wyrzucić szkoda... Jutro wypędzę porządną gorzałę i potrzebuję pustych butelek, a może już mam? - Sięgnął pod ławę i wyjął pełną. - Cholera, musisz mi, bratku, pomóc ją opróżnić. - Szarpał Clausa za rękaw, zmuszając, by ten usiadł obok niego. Zębami wyciągnął korek i wypłuł na ziemię. Claus odstawił świecę na stół. Rozpoznał sprzedawcę rękawiczek z Tyrolu, lecz nie mógł sobie przypomnieć nazwiska. - Gdzie są pozostali? - spytał ostrym tonem. Baltazar Plötz położył palec na ustach. - Nie tak głośno, bratku! Gorzałki nie ma za dużo, ledwo starczy dla nas dwóch. Nie wołaj nikogo, tylko zamknij drzwi i siadaj obok - mamrotał z trudem. Choć pijany, nie sprawiał odrażającego wrażenia. Bardziej przypominał chorego mającego w gorączce. Claus niemal mu zazdrościł. Potrząsając Austriakiem, tak naprawdę miał ochotę potrząsnąć sobą. - Mów, kiedy uciekli? - wrzasnął. Plötzowi butelka wypadła z rąk i potoczyła się po podłodze, rozlewając ciemną ciecz. Zapachniało czarnymi porzeczkami. - I co teraz będzie? - zmartwił się Baltazar. - Mów, gdzie są? - Claus złapał go za kołnierz i podniósł z ławy. - O której uciekli? Pijany próbował się oswobodzić. - Hej, ty nie jesteś Niklas! To co, u diabła, tu robisz? Zamiast odpowiedzieć, Claus wypchnął Plötza za drzwi i zaprowadził do balii przy studni. Puścił go, by nabrać do cebrzyka wody, a Baltazar zwałił się na ziemię jak kłoda. - Zgłupiałeś?! - wrzasnął, gdy Claus wylał mu kubel zimnej wody na głowę. - Chcesz mnie utopić, baranie? Czegoś się na mnie wziął? - Otarł ręką twarz i zdębiał. - Pan major! - wymamrotał, zerwał się i szybko poprawił mundur. - To pardon! - bąknął bez sensu. - Mam nadzieję, że teraz mnie posłuchasz. Co tu się stało? O której tamci uciekli i dokąd? Kto przygotował plan? No, słucham! Kubel zimnej wody obudził tylko ciało Plötza, jego mózg dopiero zaczynał się budzić. Patrzył raz na majora, raz na dom. - Mówicie, że uciekli? - zdziwił się. - Nie grać mi tu komedii! Dom jest pusty. Baltazar bez namysłu rzucił się w stronę domu, a Claus spokojnie czekał na jego powrót. Istotnie, po chwili wyszedł na chwiejnych nogach,

aczkolwiek tym razem nie był zamroczony alkoholem. - Uciekli, a mnie zostawili - rzekł matowym głosem. - A co mieli robić z pijakiem? Wszystko im zepsułem! Nie mogli czekać, aż wytrzeźwieję... - Od kiedy wiedziałeś, że szykuje się ucieczka? Przecież musieliście ją zaplanować i przygotować się, no nie? Zapadło długie milczenie. - Zróbcie ze mną, co chcecie: powieście na najbliższym drzewie, rozstrzelajcie, ale nie zmuszajcie, bym ich wydał - rzekł wreszcie jednym tchem Plötz. - Zrobiłem jeden błąd, gdy sięgnąłem po butelkę, drugiego nie zrobię na pewno... - Unikniesz szubienicy, jeśli zaczniesz mówić, rozumiesz? Dokąd uciekli? Jakie mieli plany? Chcieli przedostać się na drugi brzeg? Do Redford? - Pijaka... - mamrotał Plötz. - Kto zabierze ze sobą pijaka? A ich nie złapiecie! Nigdy, jasne? Po prostu przyszlście za późno, tak samo jak ja! - Wydawało się, że po każdym zdaniu Austriak rośnie i prostuje się jak struna. Stał tak, choć Claus już odjechał, a tętent kopyt jego konia dawno ucichł w oddali. Dopiero teraz pojął, że został zupełnie sam. Powoli ruszył do wejścia. Przyspieszył kroku, gdy przypomniał sobie schowaną pod ławą butelkę, lecz już w drzwiach się zawahał. Na haku obok wisiał tylko jeden płaszcz, jedna strzelba i jedna torba z nabojami. Bez namysłu, jak żołnierz wykonujący rozkaz, przepasał się, przerzucił strzelbę przez ramię i wybiegł na podwórze. W szopie czekał na niego osiodłany koń. A więc nie chcieli go zostawić, po prostu nie mogli dłużej czekać. Kto wie, czy gdyby zwlekali jeszcze chwilę, major nie zaskoczyłby ich na gorącym uczynku? Myśl ta poderwała Baltazara - wskoczył na konia i spiąwszy go ostrogami, szybko przyłgął do grzbietu, by nie uderzyć głową w poprzeczną belkę bramy wyjazdowej. Po chwili zatrzymał się i obejrzał: za plecami miał światła miasta, z boku sterczały wierzchołki namiotów, w świetle obozowych ognisk znacznie większe niż w rzeczywistości. Po moście na Assanpinku przechadzali się wartownicy; było tak cicho, że aż tu dolatywał odgłos ich kroków. Baltazar pochylił się do ziemi, nie zsiadając z konia - ślady podków, aż nadto wyraźne, prowadziły w stronę przeciwną, od miasta. Ich właśnie szukał. 36 Noc była jasna i chłodna, od Delaware wiał mroźny wiatr. Robert nie wyjeżdżał z Soermanem na zwiady, a bród znał tylko z jego opisu, lecz kiedy go odnalazł, od razu wiedział, że niedawno przeprowiała się tędy amerykańska Armia Kontynentalna. Ziemia była jeszcze zryta końskimi kopytami i kołami wozów, gdzieniegdzie w świetle księżyca majaczyły upiorne szkielety dobitych koni, co krok leżały porzucone torby po nabojach, połamane bagnety, podarte buty, zniszczone siodła lub kawałki kół. Robert kazał Louisowi zostać przy koniach i zaopiekować się kobietami, sam zaś poszedł obejrzeć z bliska brzeg, zanim Niklas z Soermanem przyniosą łódź, którą Szwed w czasie patrolu znalazł i ukrył gdzieś poniżej brodu. W swoich planach Robert zawsze widział Delaware jako ostatni, najłatwiejszy etap ucieczki, jakby liczył, że woda rozstąpi się przed nim i pozwoli suchą nogą przejść na drugi brzeg. Dopiero teraz, patrząc na ciemną szeroką rzekę, zdał sobie sprawę, jak potężną i niebezpieczną przeszkodę musi pokonać. Nurt nie wydawał się zbyt wartki, a jednak wrzucony do wody patyk natychmiast ginał z pola widzenia. Drugiego brzegu nie było widać, o tym że naprawdę istnieje, świadczył tylko bród - jaśniejsza nieco wstęga, biegnąca w poprzek rzeki, tak wąska, że dwóch jeźdźców na pewno na niej by się nie minęło. Soerman, który zbadał bród za dnia, orzekł, że skalista grobla przegradzająca dno rzeki jest bardzo śliska i miejscami opada tak głęboko, że woda sięga koniom po kark. Mimo to, gdyby nie kobiety, Robert zaryzykowałby przeprowę, byleby już nie odkładać tego na później. Znalazł płaski kamyk i rzucił go nisko nad wodą. Nie zdążył odbić się ani razu - ciszę przerwało tylko jedno pluśnięcie, potem gdzieś zarżał koń i znowu słychać było jedynie szum przepływającej rzeki i szelest gałęzi poruszanych silniejszymi porywami wiatru. Odwrócił się. Piaszczysta łacha kończyła się jakies piętnaście kroków od brzegu, przechodząc w dość stromą skarpe. Wszędzie leżały porzucone w popłochu rzeczy, na tle niskiego krzaka coś jasno błyszczało - była to klamra wojskowego płaszcza. Robert przyjrzał mu się i podniósł. Strzepnął. Krople rosy pokrywające grubą wełnianą tkaninę opadły wraz z piaskiem. Końce pasa włożył do kieszeni płaszcza i zarzucił

go sobie na ramiona. Obie kobiety siedziały na dyszlu porzuconego przez pasterzy wozu. Miał tylko jedno koło; oś drugiego, niczym kotwica, wbiła się głęboko w ziemię. Pochylony, z daleka wyglądał jak szalas z trzema rozlatującymi się ścianami, które przy byle powiewie przewrócą się na ziemię. Wiatr dął tu silniejszy niż nad samą rzeką. Konie ustawiły się tyłem i ze spętanymi kopytami przesuwały się powoli od jednej kępy zeschniętej trawy do drugiej. Dostrzegłszy zbliżającego się człowieka w jasnym obszernym płaszczu, Anna zerwała się, gdy wszakże podszedł bliżej, rozpoznała w nim Roberta. - Aleś mnie przestraszył! W coś ty się ubrał? Jeszcze nie ma Soermana? - Lada moment powinien tu być - odrzekł i zawołał Louisa pilnującego pasących się koni. - Idź na brzeg i poszukaj takich płaszczy. Jest nas sześcioro, więc dobrze by było, gdybyś znalazł jeszcze pięć. - Pójdę z nim - oznajmiła pani Retz. - Lepsze to, niż siedzieć tu i czekać. Robert usiadł obok matki i przyjrzał się zdjętemu z ramion płaszczowi. Po wewnętrznej stronie jasnozieloną nitką było wyhaftowane chyba nazwisko; w ciemności nie mógł go odczytać. - Wiesz, co to znaczy? - spytał matki. Pokiwała głową. - Kobiety tkają materiał i szyją z niego płaszcze. Aby było wiadomo, kto ofiarował odzież dla armii, podpisują się swoim nazwiskiem. Tutaj wszyscy się wspierają, inaczej dawno by już było po wojnie. - Gdy go znalazłem, na wierzchu był cały mokry, a wystarczyło strzepnąć... Wełna jest tak dobra, że nie wchłania wilgoci. Będzie ci ciepło. - Robert chciał zarzucić matce płaszcz na ramiona, lecz odepchnęła go. - Gdy pomyślę, że człowiek, który w nim chodził, może już nie żyje... Nie, nie mogę! Po co w ogóle go brałeś? - Jeżeli armia nie cofnęła się głębiej, to na tamtym brzegu są rozstawione stráže. Jak myślisz, co zrobią, gdy zobaczą podpływającą do nich łódź z żołnierzami w heskich mundurach? Nie mam zamiaru ginąć jako szpieg... Jeszcze tylko ta rzeka i będziemy bezpieczni. - Boję się. I tej rzeki, i tego, co czeka nas tam. Zmartwiły go nie tyle jej słowa, co ton, jakim je wypowiedziała. - Daj spokój, mam! Zawsze mi mówiłaś, że jestem szczęśliwcem w czepku urodzonym. Wczoraj sama nas ponaglałaś, Soerman i Niklas będą tu lada moment, a ty się wahasz? Chyba nie chodzi ci o Plötza? Bóg jeden wie, gdzie leży pijany, nie miało sensu czekać, aż wytrzeźwieje. - Nie myślę o tym, co było. Chodzi mi o przyszłość. - I co cię niepokoi? - Niepokój to nie jest właściwe słowo - rzekła wolno. - Chciałam z tobą porozmawiać już wcześniej. Wyobrażamy sobie wszystko w różowych kolorach, a nie wiemy, jak nas tam przyjmą. Upłynęło mnóstwo czasu, dwadzieścia trzy lata to kawał życia. Dlaczego sądzimy, że Robert Skelnik powita nas z otwartymi ramionami? Że nie założył nowej rodziny? Przecież on nawet nie wie o twoim istnieniu! - Dlaczego mówisz tylko o mnie? - Tak, dlaczego nie mówię o sobie... - Anna otuliła się mocniej wełnianym szalem. - Próbuję postawić się w jego sytuacji. Pojawienie się syna może dostatecznie skomplikować mu życie, a do tego jeszcze ja... - Nie dokończyła, lecz nie miała zamiaru przerwać monologu. - Kiedy pomyślę, że może już dziś stanę przed jego domem... Chyba nie starczy mi odwagi, by zapukać do drzwi. Cekał na mnie, pisał listy, a nie dostał żadnej odpowiedzi. Co ja mu powiem? Jak wytłumaczę człowiekowi, który tak długo na mnie czekał, co się stało? Za późno na wyjaśnienia, a czasu nie da się cofnąć jak wskazówek zegara. Postaraj się mnie zrozumieć, Robercie, a oboje oszczędzimy sobie rozczarowań. Z tego, co już o Redford słyszałam, wynika, że to wielka posiadłość. Czy ktoś gromadzi ogromny majątek tylko dla siebie? Mogę sobie wyobrazić, co bym czuła, gdybym była panią w Redford, a tu nagle pod moimi drzwiami zjawiała się obca kobieta. Robert bardziej nasłuchiwał odgłosów nocy, niż starał się nadażać za tokiem myśli matki. Na zastanawianie się będzie dość czasu, gdy znajdą się na tamtym brzegu. - Wszystko jest prostsze, niż myślisz, mam - rzekł. - Dla mnie najważniejsze teraz to zrzucić ten przeklęty mundur i żyć normalnie, oddychać swobodnie, samemu decydować o swoim losie. - Jesteś młodym mężczyzną i możesz rozpocząć życie od nowa, ale ja? Kobięcie trudniej zaczynać wszystko od początku, zwłaszcza gdy ma już swoje lata. Mężczyźni jak koty, mogą żyć siedem razy, kobiety tylko raz! Nagle konie poruszyły się niespokojnie, po chwili Anna usłyszała dochodzące znad rzeki szmery i odruchowo złapała

Roberta za ramię. - Teraz się boisz, jak będziesz żyć - rzekł. - A jeszcze niedawno wcale ci na życiu nie zależało. Kiedyś ci powiedziałem, że ja chcę żyć, i to za wszelką cenę. Jestem pewny, że ty powiesz to samo niezależnie od tego, gdzie w tym kraju się znajdziesz i od czego zaczniesz nowe życie. - Chwycił za broń; hałas wydawał się zbliżać, aczkolwiek trudno było rozpoznać, czy powodują go zwierzęta, czy też poruszane wiatrem suche gałęzie. Z ciemności wyłoniło się ogromne podłużne cielsko: to Soerman i Niklas nieśli łódź odwróconą do góry dnem. Spod burty było widać tylko ich nogi. Robert wypuścił strzelbę z rąk. - A więc mamy łódź! - szepnął drżącym głosem. Łódź leżała na brzegu, wewnątrz i z zewnątrz cała czarna od wielokrotnego smołowania. Wszyscy sześcioro stanęli wokół z poważnymi minami. Pierwszą radość mieli już za sobą. - Nie śpieszyliście się zbyt - odezwał się Robert, dziwnie nagle niespokojny. - Łatwo ci krytykować! Jest ciężka jak wół, a wlekiśmy ją ponad milę - burknął rozdrażniony Soerman. - Jest przynajmniej szczelna? Szwed spuścił głowę, włosy opadły mu na czoło. - Co cię ugryzło? Wiesz, jakie to szczęście, że ją znalazłem, i to z wiosłami?! Na dodatek musiałem ją farmerowi wykraść z szopy, bo dobrowolnie na pewno by nam jej nie dał. Przecieka, i co z tego? Na drugi brzeg przepłynię! - Proszę was, nie kłóćcie się teraz - wtrąciła Anna. Robert obszedł łódź dookoła. - Ilu twoim zdaniem uniesie? - Troje, może czworo. Wszyscy na pewno nie wsiądziemy. Robert podszedł do leżących opodal płaszczy, przyniesionych przez panią Retz i Louisa. - Ubierzcie się w nie. Lepiej, żeby rozpoznano nas jak najpóźniej - rzekł, po czym zwrócił się do Soermana: - Ty popłyniesz łodzią. Weźmiesz obie damy i Louisa, jest z nas najlżejszy. Niklas i ja poczekamy. - Włożył płaszcz, zapiął pas. - No, ruszajcie się! - ponaglił. - Dlaczego ja? Nie możesz ty przewieźć kobiet? - Znasz rzekę lepiej ode mnie. - Możliwe. Przewiozę obie panie i zaraz po was wrócę. - Zaczekamy, ale gdyby łódź nie nadawała się do ponownego przepłynięcia, nie ryzykuj, przepawimy się brodem. Przyrowadź konie, Niklas. Ale tylko mojego i Soermana, pozostałe puść wolno albo lepiej przepędź, żeby się tu nie kręciły. A teraz zepchnijmy łódź do rzeki. Zaskrzypiał piasek, po chwili łódź zakołysała się na falach. Robert podszedł do stojącej na uboczu matki i ujął jej dłoń, szukając w myślach stosownych słów. Gdy zobaczył jej bladą twarz, uśmiechnął się. - Wiesz, co mi przyszło do głowy? Nie spotkałem ani jednej kobiety, którą mógłbym porównać z tobą, żadna nie dorasta ci nawet do pięt, mamu. Jeśli mój ojciec jest choć trochę podobny do mnie, to na pewno podziela moje zdanie. - Podprowadził ją do łodzi i trzymał za rękę, dopóki wygodnie nie usiadła. Później pomógł pani Retz i poczekał, aż usadowi się Louis. Popatrzył Soermanowi w oczy. - Szczęśliwej drogi! Nigdy nie zapomnę, że dzięki tobie aż tu dotarliśmy. - Gdyby nie ja, z pewnością mieszkalibyście spokojnie w domu w Haynau. - Tylko znów nie zaczynaj! Kiedy wreszcie zrozumiesz, że i bez ciebie do tego by doszło? - Dlaczego nie płyniesz łodzią? - Soerman zignorował pytanie Roberta. - Twoja matka czułaby się pewniej przy tobie. - Płyn już. - Robert poklepał go po ramieniu. - Uważaj na nią, proszę cię. Zastanowiłem się, nie wracaj po nas. Idźcie prosto do Redford, ja i Niklas damy sobie radę. - Chwileczkę! - Soerman zmrugał oczami. - Co ty kombinujesz? Chyba nie przyszło ci do głowy, że masz po tej stronie jeszcze coś do załatwienia? - Pytasz o Clausa? - Jeśli o niego chodzi, to ja też mam z nim rachunki do wyrównania. Ostatecznie mnie też zaprowadził na plac straceń, nie? - Daj spokój! To nie jest moment, by wracać do przeszłości. Ruszaj. I powodzenia! W cienkich mokasynach, które Baltazar Plötz uszył ze skór znalezionych w garbarni, Robertowi zaczynało być zimno. Łódź zniknęła mu z oczu, lekko pofalowana powierzchnia wody szybko się wyrównała, nie było już słychać uderzeń wiosła. - Co z tymi końmi? - zawołał do Niklasa. - Przyrowadź je na brzeg. - Bestie, nie chcą się rozejść! - odparł Niklas, zaraz potem świsnęła szpicruta, którą rozpędzał konie. Robertowi przypomniało się pytanie Soermana. Ten Szwed miał rację, ale i nie miał. Celem był tamten brzeg, reszta przestała się liczyć. Spojrzał w niebo. Nocna cisza wprawiła go w nastrój, który pamiętał z Czaplej Wyspy, gdy pogrążony w myślach zasypiał na łodzi, zapominając o całym

świecie. Jak wówczas, zaczął szukać gwiazdozbioru Kasjopei, lecz go nie znalazł. Widocznie na tej półkuli firmament wygląda inaczej. Niklas przyprowadził dwa konie. Natychmiast wsiedli. - Pojadę pierwszy - rzekł Robert. - Trzymaj się blisko mnie i pozwól koniowi iść, jak chce. Zwierzęta mają szósty zmysł i wiedzą lepiej niż my, jak... - W pierwszej chwili nie pojął, że padł strzał i dlatego koń stanął dęba. Robert pociągnął cugle i szybko wsunął nogi w strzemiona. Wierzchowiec Niklasa też się spłoszył, lecz już stał spokojnie. Znowu było słyhać tylko cichy szum przepływającej o krok wody. Robert obejrzał się. Nasypem biegł ku nim koń, pewnie jeden z tych, które próbował odpędzić Niklas, ale nie - ktoś na nim siedział! Na szyi jeźdźca powiewała widoczna z daleka chustka. Huknął następny strzał, na krawędzi skarpy coś błysnęło, koń biegł dalej, natomiast jeździec zachowywał się dziwnie. Wyglądało, jakby chciał wyskoczyć z siodła. Rękę, w której trzymał strzelbę, uniósł wysoko nad głowę i przechylił się na bok. Przez chwilę jego prawa noga chyba utknęła w strzemieniu, bo zanim spadł na ziemię, zniknął na moment za końskim tułowiem. Robert zeskoczył na ziemię. Obok jego głowy ze świstem przeleciała kula i z głośnym kłaśnięciem wpadła do wody. Podbiegł do leżącego i zaciągnął go szybko w zarośla. Mężczyzna miał na sobie heski mundur, na szyi kolorową chustę. Robert przyjrzał mu się dokładnie: no tak! Ileż to razy widział go leżącego na ziemi, pijanego jak bela! - Coś ty znowu zmalował, do stu diabłów! - potrząsnął nim. Baltazar Plötz poruszał ustami, coś mamrotał, choć niektóre słowa brzmiały zrozumiale. - Jedzie za mną... Claus... Szybko... Musicie uciekać! Robert podniósł głowę. Strzelca na koniu nie widział, jedynie Niklasa, który pochylony nisko chronił się za pasterskim wozem. Chciał go zawołać, kiedy sobie przypomniał, że koło wozu zostawili strzelby. Był bez broni! Odruchowo sięgnął za plecy - niestety! - Wracaj! - krzyknął, lecz było za późno. Rozległ się strzał, Niklas zachwiał się, przebiegł kilka kroków i upadł na ziemię. Tego już Robert nie widział, w tym momencie bowiem zobaczył strzelającego: stał na krawędzi zbocza, wysoko nad jego głową. Sylwetka konia i siedzącego na nim człowieka rysowały się wyraźnie na tle nieba. - Uciekajże! - szepnął Plötz. Jego głos zabrzmiał dziwnie przytomnie. - Co się dzieje? Jesteś ranny? - Mocno zacisnął dłoń na strzelbie. - Uciekaj! Ze mną koniec. Od początku wiedziałem, że do domu nie wrócę. - Sprowadzę konie. Leż tu i nie ruszaj się. - Nie wracaj! Z dwoma dziurami w brzuchu mogę strzelać, ale na konia już nie wsiądę. - W kąciku jego ust pokazała się krew. - Uciekaj, błagam cię! Postaram się go zatrzymać. - Jęknął i z wysiłkiem włożył lufę strzelby w rozwidlenie gałęzi krzaka, pod którym leżał. - Jak wystrzelę, to zwiewaj! Robert skinął głową i czekał. Nie próbował się chować, kiedy chwilę później biegł w stronę wozu, nie schylił się nawet, jakby czekał, aż zostanie trafiony. Strzelby stały oparte o siebie, jak je zostawili. Wziął pierwszą z brzegu i załadował. Na zboczu nie było już jeźdźca, Robert jednak nie dowierzał oczom. Z wycelowaną bronią przeczesywał skarpe, posuwając się ostrożnie, krok po kroku, ku rzece. Teraz też szedł wyprostowany, nie mając zamiaru kryć się przed swoim prześladowcą. Potykał się raz po raz, lecz dopiero gdy natknął się na coś miękkiego, stanął. Niklas leżał twarzą do ziemi. Robert pochylił się, odwrócił go na plecy i zamknął szeroko otwarte oczy zabitego. Podbiegł kilka kroków bliżej rzeki. Baltazar Plötz leżał pod krzakiem, strzelba wysunęła mu się z rąk. Nie ruszał się, na ustach miał zastygłą krew. Robert uklęknął, zdjął chustę z szyi zmarłego i nakrył mu twarz. W tym momencie usłyszał kroki zbliżającego się konia i szelest ciągniętego po piasku rzemienia. Ochłonał, dopiero gdy poczuł na szyi ciepły oddech swojego wierzchowca. Wstał, podniósł z ziemi strzelbę. W oczach miał łzy, ogarnęła go bezsilna złość. Spojrzał w kierunku skarpy i zawołał: - Wychodź! Wiem, że tam jesteś! - Czekał, lecz odpowiedziało mu tylko echo. - I tak cię dostanę, prędzej czy później! Dostanę cię, słyszysz?! - krzyczał coraz głośniejszym głosem, a echo nie pozostawało mu dłużne. Ze złością odrzucił broń i wyprostował się, czekając na strzał. Na próżno. Wskoczył na konia, który instynktownie pobiegł prosto ku rzece. Robert miał wrażenie, że bezustannie śledzi go para oczu. Nagle zobaczył przed sobą szeroką ciemną wstęgę rzeki i jaśniejszy pasek

przecinającego ją brodu. Koń zatrzymał się, gdy stanął po pęczyny w wodzie. Odwrócił głowę, jakby czekając na decyzję swojego pana. Robert poklepał go po karku, poluzował cugle i mocniej ścisnął udami. Obok szyi rumaka próbował wypatrzeć jaśniejsze skaliste dno. Ujechał może dwadzieścia kroków, gdy poczuł ostry ból i usłyszał huk wystrzału. Odetchnął z ulgą - wiedział, że ten strzał padnie i wręcz się ucieszył, że to już. Jakimś cudem udało mu się opanować wystraszonego konia, który znów szedł miarowym krokiem. Nagle tylne kopyto omsknęło się na śliskim kamieniu i koń powoli zaczął pogrążyć się w rzece. Porwany przez prąd, wydał bolesny, pełen strachu jęk. Robert znalazł się w wodzie, ciągnięty przez konia i przez wartki nurt. Wciąż trzymał cugle i siedział w siodle. Ból w łopatce wzmagał się, odbierał energię potrzebną, by się ratować, a po głowie kołatała się myśl, że Claus jest blisko, że skradał się pod osłoną nocy z wycelowaną w brata bronią, lecz zdecydował się strzelić, dopiero gdy zobaczył go odwróconego plecami. To dodało Robertowi sił. Rzekła Jeżeli chcemy być wolni, musimy toczyć bitwy. Na litość boską, musimy walczyć!

Patrick Henry, delegat z Wirginii, w wystąpieniu przed Kongresem w Filadelfii w dniu 5 września 1774 r. Zwycięstwo albo śmierć. Z odezwy generała Waszyngtona do żołnierzy przed bitwą pod Trenton. Boże Narodzenie 1776 r. 37

W każdej wolnej od służby chwili Mary wołała omijać lazaret z daleka. Teraz też, idąc do stajni, wybrała okrężną drogę. Ranek był wyjątkowo jasny. Stanowczo za zimno, by mógł spaść śnieg, a jednak w powietrzu czuło się prawdziwą zimę. Z daleka, gdzieś zza namiotów, dochodziły regularne salwy. Od czasu gdy Armia Kontynentalna wznowiła ćwiczenia, odgłosy strzelaniny stały się w Redford czymś normalnym, dziś wszakże brzmiały sucho i krótko, jak trzask łamanych gałęzi. Przez dziedziniec maszerował oddział ochotników milicji. Ich niejednolite mundury były połatane i poplamione. Zarumienione od mrozu twarze żołnierzy wyglądały świeżo, choć po uważniejszym przyjrzeniu dostrzegało się rezygnację i brak pewności siebie. Mary musiała zaczekać, aż przejdzie cała kolumna. Henry Lee, który przysłał po nią służącą, stał przy wejściu do szopy z zapasami; sądząc po czerwonych wypiekach na policzkach, musiał czekać dość długo. Rozejrzał się przezornie i przytrzymał furtkę. - Do tej pory doliczyłem się czterech - rzekł. - Jeden brązowy, jeden czarny i dwa łaciate. Jak to dobrze, panienko, żeś mogła przyjść natychmiast! Pójdę pierwszy. Minęli drewniane skrzynie, wokół których podłoga bielila się od rozsypanej mąki. Pachniały poukładane na regałach sprasowane makuchy. Przy ścianie od podłogi po dach wznosiły się bele siana. W rogu zostały już tylko dwie najniższe warstwy i tam właśnie skręcił Lee. - Sam chciałbym wiedzieć, jak ta suka znalazła to miejsce, bo lepszego wybrać nie mogła. - Wyjął jedną belę i odłożył na sąsiedni stos. Jak spod ziemi wyskoczyła suka, warcząc groźnie. Mary przykucnęła. - Daj spokój, nikt ci ich przecież nie zabierze! - rzekła, głaszcząc zwierzę po głowie. Za matką spod siana wygramoliły się szczenięta. Dwuletnią spanielkę Mary dostała od Skelnika, gdy wrócił z jednej z częstych wypraw do Filadelfii. Podobno wygrał ją w karty, ale on zawsze wymyślał jakieś historie, byleby nie musiała dziękować mu za podarunek. Jakkolwiek było, sukę nazwano Pokerką. - Ależ ich jest pięć! - zawołała Mary. - Lepziej wiadomości już nie mogłeś mi przysłać - śmiała się, głaszcząc ciepłe aksamitne futerka. Do późna w nocy pracowała w lazarecie, potem nie mogła zasnąć, a gdy wreszcie zmrużyła oczy, zaczęły ją prześladować koszmarnie sny, w których pojawiali się Abigail i John, i doktor Banks, a także prom na Delaware. Odpłynęła nim Abigail, otoczona gromadką radośnie szczebiocących dzieci, wrócił obładowany jęczącymi z bólu rannymi i trupami. Mary krzyknęła przez sen, a gdy się zbudziła, potwornie bolała ją głowa. Teraz czuła się już trochę lepiej. Pokerka położyła się ze swoim potomstwem, nastawiła uszu i warknęła cicho, gdy ktoś w kłapiących pantoflach przeszedł przez podwórze. - Masz szczęście, suko, że to ja cię znalazłem, a nie moja żona! - pogroził jej Lee. - Miałabyś teraz jedno szczenię, a pozostałe dawno by już pływały w wiadrze z wodą! - Przynieś mi dwa koszyki. - Co panienka chce z nimi zrobić? Zabrać je do domu? McGill to dusza-człowiek, ale kociąt i szczeniąt potopiła już w życiu

więcej niż moja żona! - Zaniose je do leśniczówki, do Jeana Daniela. Wychodzi na to, że serce dla zwierząt ma tutaj tylko myśliwy. - Nie mają wiele życia w sobie, bo urodziły się zimą. Pokerka mogłaby wykarmić co najwyżej dwa... - Ja też urodziłam się zimą, i żyję! - przerwała mu Mary. - Dokładnie 26 grudnia, a w Bostonie był wtedy wyjątkowo ostry mróz. Przynies koszyki i nasyp do nich plew. Henry zniknął między regałami. Kiedy wrócił, niosąc koszyki, za jego plecami jak cień pojawiła się Betsy Lee. Rzuciła okiem na kłębiące się stadko i wzruszyła ramionami. - Maciorze to się tak nie poszczęści! - burknęła. - Aż mi się nie chce zaglądać do chlewa, miss Mary. Jak pan nie przestanie dogadzać naszej armii, to niedługo zostaną nam tylko te dwa stare knury, których nawet żołnierze się nie chwycą! Mary bez większego przekonania oznajmiła, że zanieśe szczenięta Danielowi do leśniczówki, kiedy wszakże pomysł ten spotkał się ze sprzeciwem, zaczęła go energicznie bronić. Chciała zatrzymać małe pieski, bo były urocze, teraz gotowa była zrobić wszystko, by nie musiały opuszczać świata zaraz po urodzeniu. - Daj mi te koszyki - zwróciła się do Henry'ego. Spulchniła plewy i włożyła po dwa szczenięta do każdego koszyka, jedno zostawiła z Pokerką. - I to w czasach, gdy ludzie padają jak muchy... - zaczęła Betsy, zaraz wszakże zamilkła, skarcona ostrym spojrzeniem Mary. Lee schylił się po koszyki, ale Mary odsunęła jego rękę. - Jak chcesz coś dla mnie zrobić, to osiodłaj mi gniadego, wiesz, tego jaśniejszego, i go tu przyprowadź. Jechała stępa, trzymając koszyki ze szczeniętami przed sobą. Nie śpieszyła się. Skelnik z samego rana wyruszył z Whitecombe'em i kilkoma jeszcze ludźmi do kopalni cyny; pod jego nieobecność Mary nie lubiła zostawać w domu, który przypominał jej kasyno, gdyż oficerowie panoszyli się wszędzie, a w kuchni niemal bez przerwy gotowano dla nich posiłki. W lesie czuła się lepiej, milczącego Jeana Daniela bardzo polubiła. Od pani McGill wiedziała o jego zamiarze ucieczki i zmianie decyzji, gdy rzekę przekroczyła Armia Kontynentalna. Mary doskonale rozumiała, dlaczego chciał uciec i dlaczego pozostał. Ciekawe, czy rzeka zamarza już chociaż przy brzegu? Podczas nocnej przejażdżki z Robertem nie zdążyła popatrzeć na wodę, bo przy domku przewoźnika zawrócili, dzisiaj więc nadłożyła drogi. Przy starej sośnie z indiańskimi znakami na pniu zawsze mocniej biło jej serce. Stąd słycać już było szum rzeki, zaczynał się inny świat, z innym powietrzem, innymi kolorami. Sosna i rzeka były dla Mary ważniejsze niż ludzie. Często zastanawiała się dlaczego. Może to śmierć ojca uświadomiła jej, że człowiek żyje krótko i odchodzi, a świat toczy się dalej? Kiedy ojca wyniesiono z domu w trumnie, usiadła przy jego biurku, dotknęła blatu, przyjrzała się czerwonej plamie po laku do pieczęci, rysom od noża do ostrzenia gęsich piór. Po ojcu, który pracował tu dzień w dzień, pozostały jedynie te ślady. Wyobrażała sobie, że pewnego dnia usiądzie przy tym biurku jej syn, a potem jego syn i tak dalej, dlatego zabrała je do Redford. Tu zresztą też nastąpi to, co nieuniknione: Skelnik, który je zbudował, odejdzie, a Redford pozostanie. To ona będzie musiała dbać o ten kawałek ziemi, kochać go i bronić. Nigdy nie przyjdzie jej nawet do głowy, aby stąd uciec. Nagle zrobiło się jej głupio, że jak Betsy Lee, krytykowała Skelnika za zbytnią hojność wobec żołnierzy. Wciągnęła głęboko rześkie powietrze. W oddali widać już było Delaware, wąski jaśniejszy pasek, przysłonięty lekką mgiełką. Wysoko na niebie szybowała czapla, nieco wyżej druga. O tej porze roku rzadko opuszczały swoje gniazda w zaroślach nad brzegiem Delaware i Mary ucieszyła się, że mogła je zobaczyć. Przecinały błękitne niebo niczym dwie srebrzyste strzały mknące do upatrzonego celu. Z prawej strony pojawił się oddział żołnierzy jadących znad rzeki. Wszyscy mieli niebieskie mundury, ale w świetle przedzierającym się przez drzewa jedne wydawały się bardziej zielone, inne fioletowe, a jeszcze inne brązowe. Chyba zauważyli Mary, bo jeden z jeźdźców oderwał się od grupy i ruszył w jej kierunku. Zawróciła konia i przyspieszyła kroku - nie miała ochoty na towarzystwo. Po chwili była nad rzeką. Niskie krzaki pokrywał jeszcze szron, a w zatoczkach, w których woda stała nieruchomo, utrzymywała się cieniutka warstwa lodu. Delaware zataczała w tym miejscu szeroki łuk, płynęła dość leniwie, pozostawiając

przedmioty przyniesione przez wartki nurt, głównie pnie drzew. Jeden z nich kształtem przypominał koński łeb. Mary przyjrzała mu się uważniej i ze zdumienia przetrzała oczy: to rzeczywiście był koń! Próbował wydostać się na stromy brzeg. Zaparł się przed nimi kopytami o grząski grunt, zaraz wszakże osunął się z powrotem do wody. Mary na widok doganiającego ją żołnierza odetchnęła z ulgą. Zasalutował, dotykając ręką kapelusza z białą niebieską przepaską. - Sierżant Haughton - przedstawił się. - Mam rozkaz ostrzec panią, aby nie zbliżała się do brzegu. Nieprzyjaciel podjął próbę przerzucenia na nasz brzeg zwiadowców. Zwierzę szamocące się w wodzie jęknęło boleśnie. - Proszę coś zrobić, sierzancie! - rzekła Mary. - On chyba ma złamaną nogę. Nie wydostanie się z wody, nie lepiej go zastrzelić? Sierżant Haughton, starszy mężczyzna z rudą kędzierzawą czupryną i brodą, mocno już poprząskanymi siwizną, dopiero teraz popatrzył na rzekę. Bez słowa wyjął z futerału strzelbę i załadował. Mary odwróciła się. Długo celował, bo upłynęło sporo czasu, zanim padł strzał, który echo kilkakrotnie powtórzyło. Mary spojrzała w górę. Czaple błyskawicznie zmieniły kierunek lotu i jak dwa spadające z nieba kamienie zniknęły w pobliskich szuwarach. - Panienka wybaczy - odezwał się sierżant - ale to nie jest najlepsze miejsce na spacer. Koński łeb zniknął pod wodą, przez chwilę było jeszcze widać tułów unoszony przez silny prąd. - Dziękuję, sierzancie - rzekła Mary. - Radzę panience wracać. Mogą ponowić próbę, choć w ciągu dnia to mało prawdopodobne. Mrużąc oczy przed słońcem, Mary popatrzyła na drugi brzeg. W zimie zwykle woda miała ciemnozieloną barwę, ale tylko wówczas, gdy leżał śnieg. Mary chwyciła cugle. Sierżant zasalutował. - Proszę wybaczyć, że panienki nie odprowadzę, ale muszę złożyć pilny raport - rzekł, chowając strzelbę do futerału. - Proszę mi jednak obiecać, że odejdzie panienka od brzegu. Trwa wojna, a Delaware wciąż jest rzeką graniczną. Mary patrzyła za nim, aż sylwetki konia i jeźdźca zamieniły się w ruchome świetliste linie, dopiero później ruszyła jego śladem. Jechała wzdłuż rzeki aż do miejsca, gdzie w zagajniku liściastych drzew i nadbrzeżnych zaroślach zazwyczaj gnieździły się czaple. Pomiędzy gałązkami ostrokrzewu dostrzegła kawałek szarobiałej wełnianej tkaniny. Uśmiechnęła się. Albo miała szczęście, albo też rzeczywiście jakiś szczególny talent, bo ilekroć w Redford coś zginęło, za każdym razem ona to znajdowała. Korzystał z tych jej zdolności głównie Skelnik, który zawsze czegoś szukał i nie potrafił znaleźć, nawet jeśli dany przedmiot leżał dosłownie przed nosem. Wychyliła się z siodła i zdjęła z krzaka tkaninę. Była wilgotna, pruła się. Taki charakterystyczny poczwórny splot robiono tylko na krosnach sprowadzonych do Redford, żeby szyć płaszcze dla armii. Czemuż to ktoś chodzi w podartym płaszczu? Zeskoczyła z siodła i przeszukała sąsiednie krzaki. Następnym kawałków tkaniny nie znalazła, natomiast w kilku miejscach gałązki były świeżo ułamane. Popatrzyła na ziemię - ktoś tędy szedł, lecz nie były to ślady ciężkich wojskowych butów. Zbyt płytkie. Na piaszczystym, słabo porośniętym trawą gruncie bliżej rzeki były lepiej widoczne - bez żadnej wątpliwości zaczynały się na brzegu. Mary wróciła do ostrokrzewu, gdzie zostawiła przywiązane do gałęzi konia, i weszła w głąb zagajnika. Po kilku krokach natknęła się na ułamaną koronę cisa, zwisającą na kawałku kory jak opuszczona na maszcie flaga. Przez zielone gałązki zobaczyła mężczyznę w jasnym wełnianym płaszczu. W tej części lasu rosły srebrnolistne osty - właściwie trzeba by je nazwać złotolistnymi, bo ich liście miały ciepły, żółtawy metaliczny połysk - jednakże to nie one błyszcząły pomiędzy gałązkami cisu. Mary bała się podejść bliżej, wolałaby, żeby to była wiązka ostów zapomnianych tu jesienią przez Jeana Daniela albo panią McGill, ale nie, to był mężczyzna, ubrany w wełniany płaszcz, jakich od jesieni w Redford uszyto setki, jednakże zamiast wojskowych butów miał na nogach mokasyny z jeleniej skóry! To dlatego ślady na piasku były takie płytkie! Mężczyzna nie ruszał się, czyżby nie żył? Niezdecydowanie zrobiła w jego stronę jeden, potem drugi krok. Odgłosy, na które przed chwilą w ogóle nie zwracała uwagi, nagle wydały jej się niesamowicie donośne. Nadepnięta sucha gałązka trzasnęła z hukiem, jakiś ptak przeleciał, hałasując skrzydłami, a sójka tak

skrzeczała, aż uszy bolały. Nagle Mary zobaczyła przed sobą nogi opartego o pień mężczyzny. Popatrzyła na jego twarz i zadrżała. Głowę miał lekko pochyloną na bok, oczy zamknięte, kosmyk jasnych długich włosów wysunął się spod tasiemki, którą związał je z tyłu. Przykucnęła. Płaszcz musiał być na niego za mały, ciasno przylegał do ciała. Żadnych śladów krwi, nie był więc ranny. Jeszcze raz spojrzała mu w twarz. Usta miał zamknięte, oczy też - żył na pewno. Przeraziła się na myśl, że zaraz się obudzi, rzuci na nią. Świat wydał jej się nagle niezwykle mały, nie większy niż ten kawałek lasu wokół cisu. Gdzie tu uciekać?! Mężczyzna poruszył prawą ręką, jakby czegoś szukał, zacisnął mocniej powieki i skrzywił się boleśnie. Zaczął szybciej oddychać, a Mary uzmysłowiła sobie, że ma do czynienia z rannym, który stracił przytomność. Przyłożyła mu rękę do czoła - było gorące. Trzeba coś zrobić, zanim jednak wezwie pomoc, musi się upewnić, o jakiego typu ranę chodzi. Przesiąknięty wilgocią płaszcz trudno było rozpiąć, ale jakoś się udało. Pod nim ranny miał zieloną, mocno podniszczoną bluzę z czerwonymi wyłogami i srebrnymi galonami. Mary nagle wyprostowała się i obiema rękoma złapała za głowę: przecież to heski mundur! Ranny jest żołnierzem wrogiej armii! Ogarnęła ją złość. Przed oczyma stanęły jej twarze Johna, Blytha, wreszcie chłopca umierającego w lazarecie. Przypomniała sobie mężczyzn wynoszących jego ciało na cmentarz i Jana Kyllogsa z bębniem. Hesi! To ich tak potwornie bał się porucznik Blyth, to przed nimi ostrzegał ją przed chwilą sierżant Haughton! Teraz dopiero pojęła sens jego słów: przepawili szpiegów! A ten jest jednym z nich... Wpatrywała się w niego z nienawiścią. Wiedziała już, z kim ma do czynienia, i poczuła ulgę. Pochyliła się nad rannym. Nie miał żadnej broni. Po lewej stronie dostrzegła ciemną plamę, prawdopodobnie strzelali do niego wartownicy, gdy zobaczyli go z brzegu. Czemu więc za nim nie szli? Być może przeprowił się nocą i zniknął im w ciemnościach, ale to by oznaczało, że leży tu dość długo, a nie widać, by stracił dużo krwi. Teraz odejdzie i go zostawi. Właściwie nie ma obowiązku mu pomóc. Może wsiąść na konia i zapomnieć, że kogokolwiek widziała. Tu nikt nie zagląda, zwłaszcza zimą, jeśli zaś na wiosnę ktoś przypadkiem odnajdzie zwłoki, nie będzie to żadna sensacja, a już na pewno nikomu nie wpadnie na myśl, że Mary może mieć z tym coś wspólnego. Ranny poruszył głową, próbował się dźwignąć. Na chwilę uniósł powieki, coś wymamrotał i znowu stracił przytomność. Mary zauważyła, że jego oczy miały taką samą ciemnozieloną barwę jak igły cisu, pod którym stała. Nagle uświadomiła sobie, że los tego człowieka leży w jej rękach. Pozostawienie go tutaj oznacza skazanie go na śmierć. Nie, tego zrobić nie może, nawet jeśli jest to wróg. - Sprowadzę pomoc - rzekła głośno, jakby mógł ją słyszeć i rozumieć. Woda szumiała, szukał ręką cugli, lecz wciąż trafiał w pustkę. Wokół siebie czuł chłodną ciemność, słyszał jakieś głosy, czyjeś kroki. Kto tu jest? Stłumione, obco brzmiące słowa coś mu przypominały. Tak, tę noc w komendanturze, gdy czekał na stracenie. Jednakże to już miał za sobą, poza tym tam nie było kobiet, a tu wyraźnie słyszy jasny dziewczęcy głos. Szum wody znowu wszystko zagłuszył. Chciał pozbierać myśli, one wszakże zatrzymywały się na wspomnieniach owej tragicznej nocy. Próbował otworzyć oczy, ale widział tylko ciemność. I ten ból! Gdy go podnoszono, czuł, jak ten ból przenika całe ciało. Ponownie usłyszał te same głosy i chyba zaczął krwawić... Claus! Zerwał się, a głosy natychmiast ucichły. A więc nie udało się przedostać na drugi brzeg, przegrał tę walkę, lecz to było do przewidzenia. Więc rzeczywiście znów trafił do celi, wyrok już wydano, a z jego wykonaniem czekają, aż będzie mógł stać o własnych siłach... To Claus! Z wysiłkiem podniósł powieki, przekonany, że zobaczy brata, tymczasem obok stała dziewczyna w jasnej wełnianej sukni; długie ciemne włosy opadały jej na plecy. Z drugiej strony ktoś chwycił go za ramię i przewrócił na brzuch. Usłyszał męski głos: - Niech panienka trzyma go z całej siły i nie puszcza, nawet gdyby krzyczał i wyrывał się. - Ręce się wymieniły, ale mocny uścisk nie zelżał. Odezwał się ten sam głos: - Teraz! Niech panienka trzyma! Robert poczuł oblewający go, piekący jak ogień ból, i zemdlał. Jean Daniel wyprostował się. W jednej ręce trzymał myśliwski nóż, którego

używał do zdejmowania skór z upolowanych zwierząt, w drugiej kulę wyjętą z łopatki rannego. Jego zarośnięta twarz rozpromieniła się. - Gdyby panienki tu nie było, chyba bym się nie odważył. Po raz pierwszy w życiu... Wbicie noża w żywe ludzkie ciało to jednak zupełnie coś innego niż zakłucie zwierzęcia - rzekł i podszedł do stojącej przy piecu miednicy, by w gorącej wodzie obmyć nóż i kulę wyjętą z rany. Mary dopiero teraz puściła ramiona leżącego. Podniosła zieloną tasiemkę, którą miał związane włosy, i położyła na ławie pod ścianą obok kuli i noża. - Nie powinniśmy zabandażować rany? - spytała. - Zaraz to zrobię, niech tylko rana jeszcze trochę się wykrwawi. Co prawda stracił już dość krwi, ale nie warto ryzykować zakażenia - odparł Daniel, wyjmując z komody białe prześcieradło, które podarł na wąskie pasy i wrzucił do kociołka z wrzącą wodą. - Zrobię mu prowizoryczny opatrunek, jak przyjdzie McGill, to się nim zajmie. - Będzie żył? - Miał ogromne szczęście, że kula trafiła w łuk żebra, odbiła się i straciła impet. Stracił sporo krwi, a poza tym był przemoczony i pewnie się zaziębił. Już chyba ma gorączkę, a rana nie wygląda za dobrze. Najlepiej będzie, jak zaraz panienka pojedzie po McGill. Mary podeszła do pieca. W izbie było gorąco, mimo to dołożyła dREW. Nie chciała patrzeć, jak Daniel zakłada szarpie. - Może mi panienka podać koc? - poprosił i obrócił chorego na bok, na zdrowe ramię, kocem zaś podparł tak, aby się nie przekręcił. Później podszedł do okna, obejrzał w świetle kulę i z powrotem położył na ławie. - Coś nie w porządku? - spytała Mary. Nie odpowiedział. Wyjął z szuflady fajkę, nabił ją tytoniem i odłożył. Sprawdził, czy nóż już wysechł, potem spokojnie schował go do pochwy. - Coś nie w porządku z tą kulą? - powtórzyła Mary. - W życiu takiej nie widziałem. - Ale przecież wiesz, jakich strzelb używają nasi żołnierze? - Może lepiej ja pojedę po McGill? - spytał, jakby chciał uniknąć odpowiedzi. Mary zobaczyła, że uważnie ogląda mundur schnący na drążku w pobliżu pieca. Gdy zaprowadziła go do leżącego w lesie rannego, nie stawiał żadnych pytań, mimo że z całą pewnością rozpoznał heski mundur. - Dziwisz się, że nie zawołałam straży? - A dlaczego miała panienka ich wołać? - Bo ten człowiek jest Hesem, naszym wrogiem. - Sądzi panienka, że przyszedł z tamtej strony? - Najpierw zobaczyłam konia tonącego w rzece, dopiero później znalazłam jego... - Może jest dezterem. Mówi się, że wielu heskich żołnierzy tylko czeka na dogodną okazję... - Dezter? To czemu przebrał się w płaszcz naszej armii? - spytała, choć nie chciała usłyszeć odpowiedzi. - Jedź do Redford, ale nikomu nic nie mów, tylko McGill. Ja tu zaczekam. - Postaram się szybko wrócić. - Jak się obudzi i poprosi o coś do picia, to co mogę mu podać? - Najlepiej poczekać na McGill. Niech ona obejrzy ranę - odpowiedział, zdejmując z wieszaka futro. Na chwilę zatrzymał się obok regału, na którym leżała broń. Być może chciał zostawić jej pistolet albo strzelbę, lecz się rozmyślił. - Za dwa, trzy kwadransy będę z powrotem. Wsłuchiwała się w jego oddalające się kroki i miała wielką ochotę pobiec za nim. Nagle izba wydała jej się strasznie ciasna, irytował ją każdy przedmiot, każdy szmer. Zdjęła z ognia kociołek z kipiącą wodą. Bulgotanie ucichło, za to wyraźniej było słychać ciężki oddech chorego. Zdenerwowana wyszła przed barak. Ochłodziło się czy też tak jej się zdaje po wyjściu z ciepłej izby? W szopie służącej za stajnię nakarmiła swojego konia i nagle przypomniała sobie o czterech szczeniętach Pokerki. Leżały przytulone do wyżlicy Jeana, która zaopiekowała się nimi bez sprzeciwu, choć karmiła jeszcze własną dwójkę. Trzeba będzie poprosić McGill, aby posyłała Danielowi więcej mleka, pomyślała, lecz w uszach zabrzmiało jej ostrzeżenie Henry'ego Lee i doszła do wniosku, że lepiej Indianki nie wtajemniczać, a mleko dla szceniąt codziennie przywozić samej. Było jej zimno, musiała wracać do baraku. Nie spojrziała nawet do kąta, gdzie stało łóżko, postanowiła zachowywać się tak, jakby była tu sama. Przy drzwiach wisiało duże metalowe lustro, zobaczyła w nim bladą dziewczęcą twarz z ciemnymi, nieco zbyt dużymi oczami. "Za każdym zwierciadłem chowa się diabeł" - tę przestrogę ojca usłyszała po raz pierwszy, gdy miała pięć lat, i tak się przestraszyła, że zapamiętała ją na całe życie. Z kieszeni sukni wyjęła kilka spinek i zwinęła włosy w kok,

nisko nad szyją. Zauważyła, że mają dziś bardziej czerwony odcień niż zwykle, lecz pewnie była to sprawa lustra... Odwróciła na lewą stronę schnący nad piecem mundur i usiadła przy stole. Jean Daniel powinien być już w Redford. Jego nabita fajka leżała na ławie obok noża, zielonej wstążki i kuli. Mary wyciągnęła po nią rękę, ale zrezygnowała. Spojrzała na chorego. Miał zaskakująco gęste długie włosy, tak jasne, że nawet na białej poduszce widać było ich złocisty odcień. W ciemnościach pewnie świecą, pomyślała. Do tej pory leżał spokojnie, teraz nagle się poruszył, przesunął dłońmi po kocu i otworzył oczy. Mary szybko przystawiła do łóżka krzesło. W lesie wydawało się jej, że Hes ma ciemnozielone oczy, teraz patrzył na nią niebieskimi. Rozglądał się dookoła, chociaż chyba niczego nie widział. Nie miał munduru, a Mary zdziwiła się, że może na niego patrzeć bez nienawiści. Zrobiło się jej nieswojo i nie wiadomo dlaczego, ponownie przypomniała sobie ostrzeżenie ojca. Chory znów zatrzymał wzrok na niej, a jego twarz wyraźnie się ożywiła. Chyba ma zamiar coś powiedzieć albo tylko się uśmiechnąć, pomyślała, on tymczasem wyciągnął ku niej rękę. Wyprostowała się i bacznie śledziła każdy jego ruch. Podparł się łokciem, i próbując usiąść, wymówił kilka niezrozumiałych słów. Obce dźwięki zabrzmiały twardo. Mary odsunęła krzesło, pobiegła do regału z bronią i wróciła na miejsce ze zdobioną srebrem strzelbą Daniela. Ledwo położyła ją sobie na kolanach, usłyszała tętent końskich kopyt. Po chwili do izby weszła pani McGill, a za nią Jean. 38 Sierżant Haughton służył w kontyngencie milicji z Marylandu. Pochodził z Frederick, gdzie miał hodowlę koni, nic więc dziwnego, że w wojsku najbardziej denerwowało go to, że nikt nie szanuje tych zwierząt. Gdy widział żołnierzy wpadających do obozu na zziębniętych i spoconych wierzchowcach, robiło mu się niedobrze. Po zmarzniętej gliniastej ziemi podkowy dudniły jak po kamieniach, jeźdźcy głośno wołali "Z drogi!", a okutani w koce żołnierze uskakiwali niechętnie od palących się przed namiotami ognisk. Właśnie jeden taki szaleniec wpadł galopem pomiędzy grzejących się przy ogniu. Z nozdrzy konia buchały obłoki pary, jeździec, okładając go szpicrutą i bodąc ostrogami, krzychał to swoje "Z drogi!". Haughton złapał się za głowę, gdy oficer mocno pociągnął cugle i zatrzymawszy konia, zeskoczył na ziemię. Gniady wałach przyklęknął na przednie nogi, ale szybko się podniósł i minął Haughtona. Sierżant podniósł wleczony po ziemi rzemień, poklepał zziębniętego rumaka po karku i zawołał wartownika, aby go odprowadził. Porucznik Andrew Blyth obrzucił sierżanta karcącym spojrzeniem. - Wy jesteście Haughton? - spytał ostrym tonem. - I byliście dowódcą patrolu? Gdzie jest ten zatrzymany? Haughtona nie obchodziły ani dystynkcje porucznika, ani insygnia oficera sztabowego dobrze widoczne na jego piersi. - Gdybym to ja był tym koniem - rzekł - przy najbliższej okazji połamałbym wam kark albo przygniótł do ściany w boksie. Zmaltretowaliście go ostrogami tak, że krwawi z obu stron! Blyth poprawił mundur i z naganą w głosie rzucił tylko: - Sierżancie! Sierżant zaszutował i posłusznie, jakby zapomniał o wypowiedzianych przed chwilą ostrych słowach, rzekł: - Rozkaz, panie poruczniku! Żołnierze, obserwujący tę scenę z daleka, czekali z zainteresowaniem na finał, lecz spotkał ich zawód, bo porucznik i sierżant weszli do namiotu. Blyth przeszedł wyprostowany, Haughton musiał się pochylić. Porucznik rozpiął zniszczoną i poplamioną pelerynę i rzucił ją pełniącemu dyżur żołnierzowi. Pod spodem miał nowiutki mundur. - Gdzie jest ten Hes? - powtórzył. - W namiocie majora, jest przesłuchiwany. - Tyle godzin? - Blyth ledwo panował nad sobą. - Dlaczego zawiadomiono generała dopiero teraz? Uznaliście pewnie, że to niepotrzebne, co? Jak z Marylandu, to od razu samolub: na nikogo się nie oglądać, robić po swojemu! Wiecie, kto go przesłuchuje? - Major Young. - Coś już jeniec zeznał? Sierżant wzruszył ramionami. - Nie! Nie odezwał się ani słowem. - Milczy! Dwie godziny go przesłuchują, a on milczy! Nieprawdopodobne! Jak go złapaliście? Z tego waszego meldunku za cholere nic nie można zrozumieć! - A co miałem pisać? Patrolowaliśmy brzeg rzeki od brodu do starej sosny. W nocy nic się nie działo, ja przejąłem wachtę o piątej. Zaczynało już dzień, kiedy zobaczyliśmy tych przepływających się na naszą stronę. - Posłaniec mówił coś

o koniach... - Był jeden koń. Może najpierw próbowali przepłynąć się przez bród, ale mógł to też być jeden z porzuconych na tamtym brzegu koni. Po prostu rzucił się za swoim panem do rzeki. Ci, których nakryliśmy, przyplłynęli łodzią. - Ilu ich było? - Dokładnie nie wiem. Jedni mówią, że trzech, inni czterech, a niektórzy nawet, że pięciu. Moim zdaniem było ich czterech. - No ładnie, a złapaliście zaledwie jednego! Sierżant spuścił głowę. Po upływie kilku godzin ciężko mu było wyjaśnić, co naprawdę stało się nad rzeką. Czuł się winny, bo mógł zapanować nad sytuacją, a dlaczego wszystko potoczyło się inaczej, nie wiedział do tej pory. - To ja byłem dowódcą i biorę odpowiedzialność na siebie - wymamrotał. - Gdy pokazała się łódź, dałem rozkaz, aby nikt nie strzelał. Chciałem pozwolić wyjść tamtym na brzeg i wyłapać ich spokojnie na lądzie. Było ich czterech, może pięciu, a nas dwudziestu, więc nie byłoby problemu. Ukryliśmy się w zaroślach przy brzegu i z wycelowanymi strzelbami czekali, a wtedy to się stało... - U nas tak zawsze: coś zaplanujemy, a wychodzi inaczej - odezwał się Blyth, jakby współczując sierżantowi. - Nawet nie wiem, kto strzelił pierwszy, i teraz nie da się tego ustalić. Nie sądzę, że zrobił to ktoś celowo. Ludzie po prostu panicznie boją się Hesów. Kogoś zawiodły nerwy, zadrżała mu ręka i bezwiednie nacisnął na spust, a potem posypała się cała seria... - Idiotyczna sytuacja! - mruknął Blyth. - Podziurawiona kulami łódź błyskawicznie poszła na dno. - Wyłowiliście ją? - Dwa patrole są nad rzeką, ale do tej pory nie odnaleziono ani łodzi, ani topielców. - A ten schwytany? - Dopłynął do brzegu, ale musieliśmy go wyciągać siłą. Potem już nie stawiał oporu. Obaj umilkli. Z dworu dochodziły typowe obozowe odgłosy: kroki wartowników, tętent końskich kopyt, skrzypienie kół przejeżdżających wozów, trąbienie sygnalisty. - Zaprowadźcie mnie do jeńca, sierżancie - rzekł spokojny już Blyth. W podwójnym namiocie zeszli się chyba wszyscy oficerowie. Do miedzianych mis dosypano węgla drzewnego, który dawał na razie więcej dymu niż ciepła, co jednak nikomu nie przeszkadzało. Ich interesował wyłącznie heski jeńiec. Siedział na taborecie z rękoma związanymi z tyłu, obok stali wartownicy. Pierwszym, co uderzyło Blytha, był szalony kontrast między stojącymi na baczność żołnierzami a skulonym pomiędzy nimi jeńcem. Porucznik wszedł do namiotu bez salutowania, mimo że niemal każdy z obecnych był od niego wyższy rangą. Gdy stanął naprzeciw pojmanego, zaskoczony stwierdził, że zamiast znienawidzonego zielonego munduru więźnia ma na sobie cywilne ubranie. Przez moment wątpił wręcz, czy rzeczywiście jest to heski żołnierz, zaraz wszakże dostrzegł leżący obok na skrzyni węzełek, a w nim zieloną bluzę z jaskrawoczerwonymi wyłogami, jaką zapamiętał z pierwszej potyczki z heskimi strzelcami pod Flatbush. Miał ochotę podejść i wziąć do ręki zawiniątko, wokół którego utworzyła się niewielka kałuża... Nagle zauważył, że jeńiec bacznie mu się przygląda. Odwracał za nim wychudłą twarz, wodził szarymi oczami. Miał gęste ciemne włosy, nie był młokosem, aczkolwiek jego wiek trudno było odgadnąć. Nie odzywał się, powodem jednak nie była ani charakterystyczna dla szpiegów duma, ani strach towarzyszący dezertantom. Mimo iż Blyth był przekonany, że nie uda się zmusić go do żadnych zeznań, nie zamierzał się poddawać. - Sierżant Haughton zameldował mi, że jeńiec odmawia zeznań. Znalezione przy nim jakieś dokumenty? - Nie miał przy sobie nic, choć tego należało się spodziewać. Sądząc po mundurze, należy do regimentu heskich strzelców, który od czternastego grudnia kwateruje w Trenton. - Regiment Ralla - rzekł Blyth głośno, aby było słychać w całym namiocie. Gwar prawie natychmiast ucichł, oczy wszystkich obecnych zwróciły się na porucznika. Niektórzy zacisnęli mocno usta, inni nerwowo zacisnęli palce na pasie munduru. Zнали Blytha i wiedzieli, że tak jak on nikt nie nienawidzi Ralla, pozostawili mu więc inicjatywę. Blyth podszedł do jeńca. Ciekawe, jak zareaguje, gdy położy mu rękę na ramieniu? - Pańskie milczenie nie ma sensu - zaczął. - Prędzej czy później i tak wszystkiego się dowiemy. Ilu was było? Tylko tych czterech w łodzi, czy ktoś jeszcze? Jakie mieliście zadanie? Co kazano wam sprawdzić? - Blyth zadawał pytania półgłosem, ale stanowczo i kategorycznie. Nie przyszło mu do głowy, że jeńiec może go nie rozumieć. Czekał, jakby

rzeczywiście spodziewał się odpowiedzi. Major Young także czekał. Zanim wstąpił do rebelianckiej armii, był sędzią pokoju we Frederick i z doświadczenia wiedział, że w beznadziejnych sytuacjach interwencja osoby trzeciej zwykle dawała pozytywny rezultat. W tym przypadku raczej na to nie liczył. - Szkoda wysiłku, poruczniku - odezwał się. - Proszę mi wierzyć. Z równym powodzeniem możesz pan przemawiać do kamienia. Blyth spojrział na niego zdumiony. - Dlaczego nie ma tu tłumacza? - spytał. - Niepotrzebny - pokręcił głową Young. - Ten człowiek rozumie każde słowo. Nie sądzisz chyba, że wysłano na nasz brzeg kogoś, kto nie zna angielskiego? Zna, ale mówić nie będzie! Andrew Blyth nie zamierzał łatwo ustępować. - Proszę posłuchać - zwrócił się do jeńca. - Jesteście w Ameryce, możecie tu dostać kawałek ziemi, a wojna dla was i tak się skończyła. Chcemy tylko wiedzieć, co dzieje się w Trenton i co planuje Rall? Czyżby jeniec rzeczywiście rozumiał? Poruszył się, jakby przeleciał go dreszcz. - Czy Rall zamierza przekroczyć rzekę? - nie poddawał się Blyth. - Jeszcze przed Nowym Rokiem? Kazał wam ustalić nasze pozycje, prawda? - Uważnie go obserwował. Major Young miał rację: on rozumie każde słowo. To widać, ale co myśli, trudno z jego twarzy odgadnąć. - Wiecie, jaka kara czeka u nas szpiegów? - spytał, akcentując mocno każde słowo. Skutek był wręcz zaskakujący: jeniec rozpromienił się, odetchnął z ulgą. Do licha, straszy tego Hesa śmiercią, a on zamiast się bać, jeszcze się cieszy? Blyth zacisnął pięści, cofnął się o krok i popatrzył na stojących półkolem oficerów. - Na co, panowie, czekacie? Jak nie chce mówić, to powieście go na najbliższym drzewie, i po sprawie! Wystąpił major Young. Dał strażnikom znak, aby wyprowadzili więźnia, a gdy to się stało, zwrócił się do Blytha. - Poruczniku, umówmy się, że nie słyszałem, coś powiedział i o coś pytał więźnia, jasne? Blyth poczerwieniał. - On jest szpiegiem, złapano go na gorącym uczynku, a wiesz równie dobrze jak ja, majorze, co oni robią z naszymi zwiadowcami... - Zostanie przeprowadzone dochodzenie - przerwał mu Young. - Zgodnie z prawem odbędzie się proces, a o wyroku zdecyduje sąd. Blyth odwrócił się na pięcie i wyszedł. Jakies sto kroków dalej pomiędzy namiotami zobaczył wartowników prowadzących jeńca. Soerman stawiał kroki, oddychał, patrzył jak ktoś, kto żyje, a przecież to nie była prawda. Jego życie skończyło się kilka godzin temu. Tam, nad rzeką, zabiły go wszystkie kule, które trafiły pozostałych. Pewność, że wkrótce umrze, przyniosła mu ulgę i spokój. Od chwili pojmania cały czas zadawano mu pytania, on jednak usłyszał i zapamiętał tylko to ostatnie zdanie: "Powieście go na najbliższym drzewie." Gdy Freder Soerman wyczołgał się na brzeg i uświadomił sobie, że jako jedyny spośród płynących łódką żyje, zaprzagnął umrzeć. To wszystko działo się zbyt szybko. W wodzie walczył o życie, mając nadzieję, że to samo czynią pozostali, potem, gdy się okazało, że tamci utonęli, na odebranie sobie życia było już za późno - nie miał przy sobie ani broni, ani noża. Myślał, że śmierć spotka na brzegu. Żołnierze rzucili się na niego z wściekłością i byliby go rozszarpali na kawałki, gdyby ktoś nie przywołał ich do rozsądku. Od tamtej chwili pilnowali go bez przerwy. To już nie miało znaczenia, niedługo go powieszą. Dopiero teraz przypomniał sobie o Robercie. Ciekawe, czy zdołał przejść rzekę? Może jest już w Redford? Jak spojrzalby mu w oczy? Nie, lepiej już umrzeć! Wartownicy zatrzymali się, Soerman poczuł na ramieniu czyjaś dłoń. Od dziecka nie lubił, gdy ktoś obcy go dotykał, a jednak teraz ten gest go nie zirytował. Jeszcze tylko kilka kroków. Za chwilę będzie po wszystkim, wystarczy poczekać. Rozejrzał się. Wokół stały namioty, ludzie w mundurach wpatrywali się w niego, ale jak okiem sięgnąć, nie było żadnego drzewa ani dość miejsca, by ustawić pluton egzekucyjny. Chciał zaprotestować, lecz jakaś ręka wepchnęła go do namiotu i pokazała nakryty kocem siennik. Zrozumiał, że ma usiąść. Wartownik pochylił się, wyjął z jego butów rzemyki i zabrał wstążkę, którą miał związane włosy. Z kieszeni bluzy, w którą go ubrano, żołnierz wyciągnął jakąś chustkę czy szal i schował do kieszeni, a potem nożem przeciął sznur krępujący mu ręce. Obaj wartownicy rozejrzeli się po namiocie i wyszli. Soerman podkulił nogi pod brodę, objął je i czekał, wlepiwszy wzrok w szczelinę przy wejściu, w

której widać było buty wartownika. 39 Miejsce, w Redford i okolicy nazywane kopalnią cyny, w rzeczywistości było leżącym w górze rzeki wąwozem, w którego ścianach wykuto dwie sztolnie prowadzące do podziemnych wyrobisk. Sposób ich wyźłobienia, a zwłaszcza rodzaj zastosowanych podpór świadczyły, że istotnie w czasach indiańskich wydobywano tu jakieś kruszce. Jedni twierdzili, że Indianie porzucili kopalnię, uciekając przed białymi, drudzy zaś uważali, że po prostu wyczerpało się złożo. Skelnik w każdym razie nie zamierzał eksploatować starej kopalni i w czasie budowy domu oraz pozostałych zabudowań właśnie tam kazał wywozić zawadające głazy i ziemię z wykopów pod fundamenty. Obecnie większa część wąwozu została już zasypana. Zaraz po przybyciu Skelnika po okolicy chodziła plotka, że z wydobywanej w wąwozie cyny wyrabia on złoto i srebro, zasypywanie zaś uznano za sprytny manewr, mający zmylić ewentualnych konkurentów. Pewnej nocy jeden z niedowiarków spadł do wąwozu i skręcił sobie kark, a ludzie zaczęli szeptać, że od tamtego czasu w kopalni straszy jego duch. Kiedy więc Skelnik szukał odpowiedniego miejsca, gdzie z dostarczonej z Filadelfii siarki i saletry można by wyrabiać proch, bez wahania wybrał starą kopalnię. Kazał odkopać wejście do jednej ze sztolni i wymienić zmurszałe podpory. Stał tam teraz nakryty plandeką wóz, a Jonathan Whitecombe wynosił na plecach kolejną beczkę prochu. Przez kilka ostatnich dni Skelnik osobiście je napełniał i teraz doglądał załadunku. - Może już wystarczy? - zaproponował. - Lepiej przyjechać jeszcze raz. Zaraz podstawimy drugi wóz i możesz zacząć nań ładować. Jak sądzisz, Whitecombe, ile jeszcze wozów będzie trzeba? . Kowal zdjął ostrożnie beczkę z pleców i położył na wozie, a podkładając z obu stron kliny, aby się nie przesuwiała, rzekł: - Na ten zmieszczą się jeszcze trzy beczki, ale będzie trzeba jechać ostrożnie. Jak na drugi wóz załaduję tyle samo, to już więcej nie trzeba. - Lepiej nie przeciążać wozów, a nuż pęknie oś? - Słyszeliście kiedyś, żeby pękła oś mojej roboty? - Wolałbym, aby ta nie była pierwsza, a nasz proch wybuchł raczej na tamtym brzegu Delaware. Whitecombe przyprowadził konie. Skelnik poczekał, aż zaprzęgnie je do wozu, po czym rzekł: - Tym razem niech oni rozładują wóz. - O, to na pewno! Drugi raz już nie dam się nabrać. Harowałem jak wół, a żołnierze stali sobie z rękoma w kieszeni i uśmiechali się głupkowato! Skelnik poprosił, aby przyprowadzono mu konia. - Tylko się nie śpiesz, do wieczora daleko. I dobrze zamknij sztolnię! - rzekł Robert i ruszył stromą ścieżką ku wyjściu z wąwozu. Spod końskich kopyt posypały się kamienie. Gdy wyjechał na wierzch, ruszył galopem. Mroźne powietrze szczypało go w policzki, zatykało nos. Chyba jeszcze się ochłodziło. Spojrzał na rzekę płynącą jakieś dwieście kroków na wschód od wejścia do wąwozu. Brzeg był tu płaski i nie zalesiony, patrząc z daleka miało się wrażenie, iż rzeka lada moment wyleje i zajmie całą szeroką równinę, która niegdyś była jej korytem. W połowie drogi do Redford Skelnik zobaczył nadjeżdżającego z naprzeciwka jeźdźca. Był to Kyllogs. Pędził galopem, dziwnie lekko, choć przecież z niego kawał chłopca. Od razu rzuciło się w oczy, że na koniu czuje się pewniej niż na własnych nogach. Robert był dumny z takich ludzi jak Jan Kyllogs czy Jonathan Whitecombe. Znał ich na wylot, ze wszystkimi wadami i zaletami, wiedział, czego może się po nich spodziewać. Znaleźli się w Redford przypadkowo, zostali na zawsze, lecz nie czuli się poddanymi Skelnika, wręcz przeciwnie, ostentacyjnie podkreślali swoją niezależność. Kyllogs zbliżył się. - Dokąd tak pędzisz na złamanie karku? - roześmiał się Robert. - Myślałem, że trzeba coś pomóc w kopalni. Wyjechaliście tak wcześniej rano... Chyba już nigdy nie uda mi się wstać przed wami - rzekł Kyllogs, drapiąc się po głowie. Ku utrapieniu podwładnych, pan z Redford należał do rannych ptaszków. - Coś nowego we dworze? - Z Doylestown przysłano buty. Sto par. - Sprawdziłeś je? - Co do jednej! Mówiłem, żeby nie płacić im z góry, bo zawsze są jakieś kłopoty. Potrąciłem za brakujące dziesięć par z poprzedniej dostawy i za te dwadzieścia, które trzeba było zszywać od nowa. Szewc pewnie będzie się skarżyć, więc wolę was uprzedzić. A jak w kopalni? - Będą jeszcze trzy fury, jedna jest już załadowana. Dziś skończymy - odrzekł Skelnik. - Widzę, że masz jeszcze jakąś wiadomość... Mów! - Dziś

rano coś się stało nad rzeką. - Kyllogs spuścił głowę. - Chyba złapali szpiega, ale to nie moja sprawa. Była strzelanina, oficerowie latają jak opętani, cały dom ich pełny... Tak sobie myślę, że to dobra okazja, żeby im powiedzieć, by nie niszczyli naszych lasów jak banda rabusiów. Dziś rano odkryliśmy, że znowu wycięli ze dwadzieścia sążni drewna! Niechby przynajmniej poszukali drzew przeznaczonych do wyrębu, brzoź i olch, ale nie: tną nawet młodnik, który z takim trudem udało nam się posadzić. Musicie kiedyś pojechać z nami - aż żał patrzeć! Jechali chwilę w milczeniu, ścieżka wiodła przez pola. Jan pokazał ręką zieleniejącą się dookoła oziminę. - Ten mróz narobi sporo szkód. Najpierw długo było bardzo ciepło, teraz nie ma śniegu, a patrzcie, jak zboże wyrosło. Wymarznie jak nic, jeśli w najbliższych dniach nie przykryje go śnieg. A, byłbym zapomniiał: czeka na was Saunders. - Ciągłe chodzi mu o tę służącą? Jeśli do tej pory nie rozpoznała żołnierza, który ją zgwałcił, to już mógłby sobie dać spokój. Jan Kyllogs milczał, dopiero po dłuższej chwili rzekł: - Saunders się wyprowadza. - Co?! Sprzedaje posiadłość? To niedobrze! - Dlaczego? Ziemia dobrze utrzymana, zwierzęta też, na pewno nie straci. - Nie o to chodzi, Janie! Niedobrze, jeśli człowiek pokroju Eda Saundersa załamuje się i rzuca wszystko, czego się dorobił. Skąd mają brać przykład jego ludzie? Czy będą mieli dość odwagi, aby bronić swojego, dużo skromniejszego przecież dobytku? - Wam mógłby sprzedać po korzystniejszej cenie. - Jan jakby nie słyszał pytań Skelnika. - Nawet coś o tym wspominał. Ziemia jest dobra, ludzie też, a większość na pewno zostanie... - Nie chcę teraz rozmawiać z Saundersem. Zrób coś, żeby przynajmniej do śniadania dał mi spokój. Jestem głodny jak wilk! Na dziedzińcu przed dworkiem rozstali się bez słowa. Pierwsze, co Skelnikowi rzuciło się w oczy, to długi rząd koni stojących przy głównym wejściu. W holu na ławach i komodach leżały stosy czapek i kapeluszy z biało-niebieskimi szarfami oficerów milicji. Z biblioteki dobiegał gwar podniesionych głosów. Skelnik nie miał ochoty rozmawiać ani z Saundersem, ani z żadnym z oficerów i szczerze żałował, że nie wszedł do domu tylnym wejściem. Narada widocznie zbliżała się do końca, bo gwar ucichł, ktoś wygłosił krótką mowę, po czym rozległo się szuranie krzeseł, kroki i otworzyły się drzwi. Oficerowie wyszli do holu i nie zwracając uwagi na stojącego z boku gospodarza, wylegli na podwórze. Powsiadali na konie i nagle w domu zrobiło się cicho. Robert zamierzał pójść do swojego gabinetu, lecz drzwi biblioteki nagle otworzyły się ponownie i stanął w nich porucznik Blyth. Za późno było, żeby się przed nim ukryć. Na twarzy porucznika malował się uroczysty ważny wyraz; podobny mieli wszyscy oficerowie. Blyth, zazwyczaj bardzo gadatliwy, teraz wypowiedział tylko jedno zdanie: - Mogę prosić o chwilę rozmowy? Skelnik bez słowa wprowadził go do gabinetu. Gdy tylko zamknęły się drzwi, Blyth rzekł: - Decyzja zapadła. - Jaka decyzja, poruczniku? - zdziwił się Skelnik. - O zwycięstwie lub klęsce, życiu lub śmierci. Gdyby te patetyczne słowa padły z ust kogoś innego, Robert zareagowałby jakąś ironiczną uwagą. Blytha potraktował poważnie i niecierpliwie czekał na jego wyjaśnienia. - Naprawdę przestałem w to wierzyć - zaczął porucznik, chodząc do okna i z powrotem. - Nie muszę mówić, w jakim stanie psychicznym i fizycznym jest nasza armia. Chyba żaden z generałów nie ma wojska mniej wierzącego we własne siły niż nasz. Dla wielu ta wojna już się skończyła: myślami byli w domu, z najbliższymi, a ja sam byłem przekonany, że po Nowym Roku zostanie nas tu zaledwie garstka oficerów i ani jeden szeregowy żołnierz. Skelnik w milczeniu stał przy kominku. Miał wrażenie, że porucznik rozmawia z samym sobą. - I nagle wszystko się zmieniło - podjął Blyth po krótkiej przerwie. - Wystarczyło jedno słowo, jedna decyzja! Rano byliśmy pokonanym wojskiem, nikt nie wierzył, że jeszcze będziemy walczyć. A żołnierze, jeśli będą musieli walczyć, to uwierzą, że mogą zwyciężyć. - Nie powiedziałeś, jaka decyzja zapadła, poruczniku - odezwał się Skelnik, korzystając z chwilowej przerwy w monologu. Blyth zatrzymał się. - Nie powiedziałem? Atakujemy! Zamieniamy się rolami: do tej pory uciekaliśmy, a oni nas gonili, teraz będzie na odwrót! Musimy wyrównać rachunki. Armii potrzebne jest zwycięstwo i będzie je miała jeszcze w tym roku. - Chcecie zaatakować

Hesów? - Oficerowie rozjechali się z rozkazami do swoich regimentów. Na tę decyzję Skelnik czekał od dawna, zrobił wszystko, aby do niej doszło, a teraz wcale nie czuł satysfakcji, lecz miał wrażenie, że spadł mu na ramiona ogromny ciężar. - Kiedy? - spytał tylko. - Daty jeszcze nie ustalono - zostanie podana w ostatniej chwili. Żadnych specjalnych przygotowań nie będzie: każdy żołnierz otrzyma prowiant na trzy dni i czterdzieści kul. Najlepiej byłoby zaatakować w czasie świąt, bo wtedy naszej wizyty będą się spodziewali najmniej. - Chcecie przepłynąć się przez rzekę łodziami? - Tak ustaliliśmy. Mróz według tej nowej skali ma z 5 kresk poniżej zera, więc Delaware zamarźnie dopiero za dziesięć dni, czyli dwudziestego siódmego grudnia. On musi czekać, aż lód osiągnie odpowiednią grubość, my zaś możemy zaatakować go wcześniej, bo mamy łodzie! - Mówisz oczywiście o tym heskim komendancie? Jesteś pewien, poruczniku, że Rall chce zimą przekroczyć rzekę? - Tak przypuszczamy. Wszystko wskazuje na to, że wbił sobie do głowy zdobycie Filadelfii jeszcze w tym roku. Dziś na przykład Hesi przepłynęli na nasz brzeg czterech szpiegów. Trzech naszemu patrolowi wymknęło się z rąk; żołnierze twierdzą, że utonęli, ale dopóki nie znajdą ciał, nie uwierzę, czwartego złapano. Milczy jak grób, choć i tak wiadomo, jakie dostał zadanie. W czasie narady był to jeden z argumentów, by dłużej nie zwlekać, i nawet najwięksi pesymiści głosowali za atakiem na Hesów. Generał prosił, aby tobie pierwszemu przekazać tę wiadomość, co właśnie uczyniłem. Teraz muszę się pożegnać, bo czeka mnie mnóstwo roboty! Blyth wyszedł. Upłynęło dziesięć minut, a może pół godziny? Skelnik, który nigdy nie posługiwał się zegarkiem, nagle stracił rachubę czasu. Było przed południem, czy już po? Obiady jeszcze nie jadł, to na pewno. W kominku w jego gabinecie napalono chyba niedawno, pokój nagrzewał się szybko, a jeszcze nie było zbyt ciepło i szyby w oknach pokrywała para. Na stoliku przy kominku stała taca z zastawą do podwieczorku. Została tu od wczoraj? Z popielniczki wysypywały się niedopałki, wyrzucił je do kominka, a przy okazji zerknął na leżącą na stole listę zapotrzebowanego przez wojsko prowiantu. W porównaniu z pierwszymi tygodniami raczej żywnościowe podniesiono dwukrotnie... Pociągnął za dzwonek. - Dlaczego nikt nie sprzątnął po jedzeniu? - spytał pokojówki, która zaraz się zjawiła. - Proszę mi przynieść śniadanie i nakryć dla miss Mary. Dziewczyna zrobiła wielkie oczy, bo jeszcze się nie zdarzyło, aby Skelnik nie wiedział, co dzieje się w domu. - Miss Mary wyjechała, i to z samego rana - rzekła i aby uprzedzić ewentualne dalsze pytania, dodała: - McGill także nie ma, a ponieważ zabrała klucz od spiżarni, nie mamy jak ugotować obiadu. Już najwyższy czas zaczynać! - Dajże mi spokój z obiadem, kiedy jeszcze nie jadłem śniadania! - ofuknął dziewczynę, choć zaraz zrobiło mu się jej żal. Podszedł do biurka. Nie, kolumny cyfr go teraz nie interesowały. Zerknął do okna i zobaczył Mary i McGill wjeżdżające na dziedziniec. Za chwilę powinien usłyszeć ich kroki w holu, pokojówka przyniesie w białej filizance mocną aromatyczną herbatę, świeżą śmietankę i chrupiące bułeczki. Usiądą z Mary i znów będzie tak jak zawsze. Na samą myśl o tym od razu poprawił mu się humor. Rzeczywiście rozległy się kroki, ale w progu stanęła pokojówka. - Miss Mary nie przyszła? - spytał zdumiony. - Udała się prosto do siebie. Po wyjściu dziewczyny Robert nalał sobie herbaty, lecz nie wypił nawet łyka, tylko wstał i zdecydowanie ruszył w kierunku pomieszczeń gospodarczych. Pierwszy raz chyba bez pukania wszedł do pokoju pani McGill. - Co tu się dzieje? - zawołał od progu. - W moim gabinecie zimno jak w psiarni, od wczoraj ze stołu nie sprzątnięte! Pokój pani McGill był pomalowany na białą i choć tej samej wysokości co pozostałe, zawsze wydawał się Skelnikowi ciemniejszy i niższy. Ręcznie tkane dywany na ścianach i skóry na podłodze nadawały mu wygląd indiańskiego wigwamu. McGill klęczała przed obitą miedzią indiańską kapliczką, odwrócona plecami do drzwi. Wstała i opuściła podwiązaną do jazdy niebieską spódnicę. - Proszę, siadajcie - rzekła. Wahał się, jednakże po chwili ze zdumieniem stwierdził, że minęła mu cała złość. Jak to się stało? Sprawił to nastrój tego pokoju, mocny zapach arniki czy też niezwykle spokojny tej kobiety? Pani McGill zamknęła za nim drzwi i

usiadła naprzeciwko. - Czekałam na was - rzekła, powoli i z uwagą lustrując czarnymi oczami jego twarz. - Wiedzieliście, że macie syna? - Co ty wygadujesz, McGill! Gdzie jest Mary i co dzieje się w tym domu? Wydawało się, że puściła mimo uszu jego pytania. - Miałam jedenaście lat, gdy pierwszy raz zobaczyłam was w Redford - mówiła nieśpiesznie, jakby przekonana, że jej nie przerwie. - Pamiętam, jakby to było dziś: przyjechaliście na gniadej klaczy, później ją od was dostałam, mieliście długie, sięgające ramion złociste włosy. Zauważyłam je już z daleka, pomiędzy drzewami. Dziś zobaczyłam je znowu, a także waszą twarz, taką jak wtedy! Skelnik chciał wyjść, lecz nie miał siły wstać z krzesła. - Zastanawiałam się tamtego dnia, jak przekroczyliście rzekę. Promu jeszcze nie było, a bród zniszczyli Indianie, uciekając z tamtego brzegu. Przejechaliście konno, prawda? - Myślałem, że potrafisz przepowiadać wyłącznie przyszłość, a tu nagle interesują cię stare dzieje. Skoro pytasz, to rzeczywiście przeprawiłem się konno. - Muszę o coś jeszcze zapytać: byliście sami czy z kobietą? - Byłem bardzo młody i zupełnie sam. Później już nigdy nie próbowałem przekraczać Delaware na koniu... Po chwili milczenia zadał pytanie, które nie dawało mu spokoju: - Co miałaś na myśli, mówiąc, że mam syna? - Sama nie wiem - odrzekła. - Przyniosła go wam rzeka, tak miało być. Zobaczyłam go tamtej nocy, zanim przynieśliście do domu Johna Compsona. Najpierw we śnie widziałam martwego Johna, potem pojawił się tamten, miał takie same włosy i twarz jak wy przed laty. - Przerwała, jakby się zastanawiała. - I jeszcze jedno widziałam: kobietę w tych pokojach, które są zawsze zamknięte. Okna były otwarte na oścież, do środka wpadało jasne zimowe słońce. Ta kobieta miała na sobie ciemną suknię, ale wokół niej jakby się paliła jasna zorza... Skelnik, choć bardzo chciał wyjść, siedział jak sparaliżowany. - To z Compsonem sprawdziło się nazajutrz, z tym drugim dopiero teraz. - Wstała, poprawiła suknię i odwróciła się plecami. - Jest w leśniczówce - rzekła wyraźnie. - Jean Daniel przyjechał po mnie i pewnie bym wam nic nie powiedziała, gdybym od razu nie zobaczyła tego zdumiewającego podobieństwa. Aż mnie zatkało, gdy stanęłam nad jego łóżem! - Mówisz, że przepłynął rzekę? - W nocy przeprawił się na koniu. - Powiedział ci, że jest moim synem? - Postrzelono go w łopatkę, stracił sporo krwi i gorączkuje. Jean Daniel wyjął mu kulę, a ja założyłam opatrunek. Gdy odchodziłam, gorączka już spadała. Wylizę się. Proszę zobaczyć - sięgnęła do kieszeni. - Tę kulę wyjął Jean z jego ramienia. - Wspomniałaś o jakiejś kobiecie... Nikomu nie mówiłem, ale miałem kiedyś żonę. Rzeczywiście, gdy się rozstawiliśmy, ona spodziewała się dziecka. Mój Boże, to było ponad dwadzieścia lat temu! - Teraz już nie mam żadnych wątpliwości: to jest wasz syn! - Jakim cudem znalazł się w chacie Daniela? - spytał Skelnik i nie wiadomo dlaczego, przypomniał sobie rozmowę z Blythem. - Kto go postrzelił? - Jest bardzo słaby, więc o nic nie pytałam. Znalazła go Mary. - Mary? A gdzie? - W zaroślach, tam, gdzie gnieźdzą się czaple. Miał szczęście, bo jak spadnie śnieg, nikt by go tam nie znalazł. Dziwne, ale ubrany był w płaszcz naszej armii i mundur wroga. - Był w heskim mundurze? - Tak jest. Daniel mi go pokazał. Przedtem, gdy McGill spokojnym głosem opowiadała o swoich widzeniach, ani przez chwilę nie wątpił, że mówi prawdę, teraz zaś, gdy relacjonowała fakty, zaczął niedowierzać. Wyczuła to jego wahanie i rzekła: - Proszę tam pojechać, a przekonacie się, że każde moje słowo to prawda. - Mary tam była? Widziałem, żeście razem wróciły. Dlaczego nie przyszła do mnie, tylko zamknęła się w swoim pokoju? - Zamknęła się? Byliście u niej? Proszę ją zrozumieć: ten mężczyzna miał na sobie mundur wroga i walczył po stronie angielskiego króla. W tej walce Mary straciła ojca, straciła niedawno Johna. Po moim przyjsciu zobaczyła, że nie potrafię nad sobą zapanować. Powiedziała mi o swoich odczuciach, a ja spytałam wprost: "Nie zauważyłaś, że jest to syn naszego pana?" Ona naprawdę wcześniej nie dostrzegła tego podobieństwa, ale jestem pewna, że gdyby nie ono, zostawiłaby tego człowieka w lesie. - Pani McGill zamyśliła się i po chwili dodała: - Dotychczas Mary miała was wyłącznie dla siebie, teraz będzie się musiała dzielić i nie może się z tym pogodzić. Skelnik wyszedł od pani McGill, wcale nie przekonany, czy uwierzył

jej słowom. Czuł się oszołomiony atmosferą tamtego pokoju, zachowaniem Indianki, a może mocnym zapachem arniki. Wracając do gabinetu, minął drzwi do trzech zamkniętych od lat pokoi. Przystanął, zaraz jednak przyśpieszył kroku, ale kiedy usiadł przy biurku, wyjął z ukrytej szufladki klucz, podrzucił go kilka razy w dłoni i wyszedł. Drzwi były zrobione z drewna lipowego i pochodziły z włoskiego statku handlowego, którego właściciel zbankrutował i został zlicytowany w Filadelfii. Prosta, lecz staranna snycerka wyróżniała je na pierwszy rzut oka od pozostałych drzwi, wykonanych z solidnego dębowego drewna. Właściwie nie pasowały do tego domu. Robert już kilka razy przymierzał się do ich wymiany, teraz też to sobie obiecał, gdy włożył klucz do zamka i z trudem go przekręcił. Od progu uderzył go mdły zapach, charakterystyczny dla nie zamieszkanego pomieszczenia. Miał ochotę zawrócić. Przez szczeliny w okiennicach wdzierały się pojedyncze smugi jasnego światła, rozpraszając panujący tu półmrok. Odsunął zasłony i otworzył na oścież podwójne okno i zewnętrzne okiennice. Huk chyba było słychać w całym domu. Przypomniawszy sobie słowa pani McGill i jej poważną minę. Pokój wypełnił się oślepiająco jasnym światłem. Robert poszedł przewietrzyć pozostałe dwa pokoje. Ogród kwiatowy pod oknami nie wyglądał o tej porze najładniej, fontannę okrywały deski, na kamiennych ławach leżały zeschnięte liście. Patrzył pod ostre słońce i być może to spowodowało, że nagle świat przysłoniła mu czerwona zasłona. Odwrócił się szybko od okna, ręce rozpaczliwie szukały ściany, nogi zrobiły się ciężkie jak z ołowiu, w głowie huczało niby w ulu. Na sercu poczuł stale nasilający się ucisk. Położył tam obie dłonie, jakby chciał powstrzymać zamykające się obcegi. Ból ustąpił, minął paraliżujący strach. Robert siedział na sofie i rozglądał się po pokoju. Nie wiedział, jak doszedł od okna do sofy. Przeciągnął dłonią po twarzy. Uderzył go ostry zapach esencji, której pani McGill używała do tępienia moli. Wstał, a z bładoczerwonego aksamitu uniósł się obłok kurzu. Zrobiło się zimno. Robert pozamykał okna, okiennice zostawił otwarte. Białą futrynę pokrywała gęsta siatka rys, miejscami farba oblażała całkowicie, zaczepiona guzikiem od rękawa koronkowa firanka rozdarła się jak pajęczyna. Spojrzał w wiszące obok kominka lustro - jego twarz odbijała się w nim jakby przez szarą zasłonę. Zapomniał o bólu i strachu, pozostało jedynie uczucie skrajnego wyczerpania. Usiadł przy sekreterze. Połączane pokrywki kałamarzy przybrały brązowoczerwony odcień, atrament wysechł, gęsie pióra pożółkły, a piasek pozlepił się w grudki. Robert wyciągnął szufladkę: papier listowy, koperty, notatnik do zapisywania wydatków, zeszyt do recept, wszystko leżało na miejscu. Mój Boże! Ileż to razy siadał tu i pisał listy, na które nigdy nie dostał odpowiedzi... Minęło dwadzieścia pięć lat! Po co jeszcze trzyma te pokoje? Nie wiedział, aczkolwiek podejrzewał, że z przeszłością trudno byłoby mu się rozstać. Na co właściwie czekał? Na co liczył? Naprawdę wierzył, że pewnego dnia ona przyjedzie i rozłoży swoje rzeczy na półkach i w komodach? Tak, na początku w to wierzył, dlaczego jednak nie zlikwidował tych pokoi później, po latach, gdy nie dostał od Anny żadnego znaku życia? Dwadzieścia pięć lat! Któż wraca po dwudziestu pięciu latach rozstania? Musiał przecież wiedzieć, że czeka na próżno. Może chciał tylko zachować wspomnienia, nie o niej, lecz o młodości, która bezpowrotnie minęła? Zasunął szufladkę i postawił krzesło przy sekreterze dokładnie w tym samym miejscu co przed dwudziestu pięciu laty. Wyszedł, ale tym razem nie wyjął klucza z drzwi. Gdy sobie o tym przypomniał, nie chciało mu się wracać. Na okrągłym stoliku w gabinecie czekała taca ze śniadaniem. Herbata całkiem wystygła, nalał więc sobie nowej do filiżanki, którą kazał przynieść dla Mary. Na szczęście herbata była jeszcze gorąca i aromatyczna. Robertowi przypomniawszy się rozmowa z Blythem, a zaraz potem słowa pani McGill o mężczyźnie w heskim mundurze, leżącym w leśniczówce. Odstawił tacę, otworzył okno, przywołał stajennego, który zamykał na podwórzu końskie odchody, i posłał go po Jana Kyllogsa. Czekając w otwartym oknie, a mroźne powietrze przenikało jego ubranie i zatykało oddech. Jan zmierzał do drzwi, Skelnik więc dał mu znak, aby podszedł do okna. - Osiodłaj mi gniadego, bo muszę jeszcze raz

wyjechać, najpierw do obozu, a potem do leśniczówki, więc nie wiem dokładnie, kiedy wrócę. Kilka godzin zajmie mi to na pewno. - Wyczuł pytanie, które Kyllogs miał na końcu języka, i uprzedził go: - Saunders jeszcze tu jest? - Jego kowal służy w armii, a Saunders nie wyjedzie z Redford, dopóki nie podkuje swoich koni. Czekaj i gra z drwalami w karty. Zastanowiliście się nad jego propozycją? Kupicie? Skelnik skinął głową. - Niech przyjdzie do mnie, jeżeli nie zmienił zdania. Przynajmniej porozmawiamy, ale niech się pośpieszy. 40 Ze wszystkich strzelb Jean Daniel najbardziej cenił sobie tę krótką, którą kupił u rusznikarza Malanda w La Rochelle i jako najcenniejszą z posiadanych rzeczy, przywiózł z ojczyzny do Nowego Świata. Wkrótce od tamtego czasu minie dziesięć lat, a strzelba wygląda tak samo, jak w dniu gdy rusznikarz położył ją przed nim na ladzie. W pierwszej chwili Jean myślał, że nie tylko ozdoby, lecz i lufa oraz cały mechanizm są ze srebra. Od dziesięciu lat ani razu nie zawiodła i Jean traktował ją niemal jak talizman. Wchodząc do leśniczówki, zawsze pierwsze spojrzenie rzucał na regał z bronią. Z przyzwyczajenia zerknął nań i teraz, gdy odprowadził Mary i McGill. Francuskiej strzelby nie było. Wpadł do pokoju i uspokoił się: leżała na komodzie pod oknem. Widocznie zapomniał odłożyć ją na miejsce, bo gdy wrócił z polowania na kaczki, zastał pod drzwiami Mary, która prosiła go o pomoc. Wziął ją do ręki, a czując pod palcami jedwabistą gładkość politory i srebrnych ornamentów, zapragnął natychmiast wyjść do lasu. Niestety, McGill, siedząc już na koniu, jeszcze raz powtórzyła, żeby pod żadnym pozorem ani na chwilę nie odchodził od rannego. Usiadł i rozkręcił kolbę strzelby - na panewce i w kanale widać było resztki prochu. Wyjął przybory do czyszczenia, na stole rozłożył kawałek płótna i zaczął starannie rozbierać broń na części. Sięgając po szmatę, szczotkę, proszek i olej, mruzczał do siebie, jak ktoś, kto całymi dniami przebywa sam i ma zwyczaj rozmawiać z przedmiotami, które najbardziej lubi. Ranny leżał z zamkniętymi oczami, oddychał powoli i spokojnie. Jean zdażył złożyć strzelbę z powrotem i z wielką pieczołowitością zabrał się za polerowanie lufy i srebrnych ozdób. Wreszcie wstał i podszedł do okna, by w świetle ocenić rezultat swoich starań. Gdy zadowolony się odwrócił, stwierdził, że chory nie śpi, lecz przygląda mu się z zainteresowaniem. McGill zapewniała, że gorączka ustąpi, lecz Jean nie spodziewał się, że tak szybko. Aż nie mógł uwierzyć, że jest to ten sam człowiek, którego rano przyniósł z lasu, nie wiedząc, czy niesie nieprzytomnego, czy trupa. Nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna przyszedł z tamtego brzegu, mimo to nie traktował go ani jako wroga, ani jako przyjaciela. Był człowiekiem potrzebującym pomocy i Jean nie zastanawiał się nad jego tożsamością. Teraz chętnie by z nim pogadał, ale o nic nie pytał, założywszy z góry, że Hes i tak go nie zrozumie. Uprzątnął stół, zwinął płótno i wytrząsał je przed domem. Polana wokół skąpiana już była w pełnym słońcu, korony drzew gięły się pod silniejszymi niż rano podmuchami mroźnego wiatru. Chory poprawił się na łóżku i uśmiechnął do wchodzącego Jeans. - Na co tu się poluje? - spytał. Jego angielski zabrzmiał czysto, bez obcego akcentu, którego Jean od dziesięciu lat nie potrafił się pozbyć. Głos był słaby, lecz bardzo wyraźny. Zaskoczony myśliwy podszedł do łóżka. - Teraz to na nic, bo jak przychodzi wojsko, to zwierzyna woli się wynieść. Normalnie sporo tu drobnego i grubego zwierzaka. Niedźwiedzi od dawna już nie ma - ostatni padł przed czterema laty - choć są jeszcze tacy, co opowiadają bajki, że jak zachce im się na obiad szynki, to wychodzą za dom i ustrzeliwują sobie niedźwiedzia. - Przyglądałem się wam. Piękna broń. Widzę, że jesteście koneserem. Daniel przysunął sobie krzesło. - A ja słyszę, że mówicie po angielsku lepiej ode mnie. Nie wolno wam tyle mówić. Kilka godzin temu byliście o włos od śmierci. - Wyście mnie znaleźli? - Znalazła miss Mary, ja was tylko przeniosłem. Mężczyzna rozejrzał się uważnie po pokoju, jakby próbował zgadnąć, gdzie się znajduje. - Miss Mary? - spytał. - Długie brązowe włosy? Poza tym pamiętam tylko, że mój koń się pośliznął. - W jego oczach nagle pojawił się strach. - Gdzie ja jestem? Na którym brzegu rzeki? Kim jesteście? - Jestem myśliwym, a to jest leśniczówka. Możecie się nie martwić, tutaj przypadkowo nikt nie zagląda. - Dobrze, tylko na którym brzegu Delaware jestem? - Na tym, który jest jeszcze w

rękach amerykańskiej armii, bo chyba o to pytacie... Głowa mężczyzny opadła na poduszkę, choć był to bardziej efekt odprężenia niż wyczerpania. - Sądząc po mundurze, jesteście Hesem, prawda? - spytał Daniel. - Wasze oddziały opuściły Trenton? Robert popatrzył po sobie, jakby sprawdzał, co ma na sobie. Czuł, że opuszczają go siły, jak wtedy, gdy w lesie zorientował się, że stracił mnóstwo krwi i nie da rady iść dalej. - Redford, to daleko stąd? - wyszeptał. - Odpoczywajcie. - Proszę kogoś posłać... do Redford. Daniel wstał, okrył chorego kocem i poprawił mu poduszki. - W Redford już wiedzą. Te kobiety były stamtąd. - Dziewczyna też? - Obie, McGill i córka Skelnika. Głos dochodził do Roberta jakby z oddali, sylwetka mówiącego jakby się rozmywała. - Córka Skelnika? - spytał i nagle pociemniało mu przed oczami. Leśniczy stał chwilę nad łóżkiem chorego i wpatrywał się w jego uśpioną twarz. Potem na palcach podszedł do pieca i dotknął munduru. Zielona bluza już wyschła, wilgotne były jedynie czerwone wyłogi, wokół których widniały zielonkawobrunatne zacieki. Białe spodnie też były miejscami zafarbowane na zielono. Daniel zwinął mundur w węzełek i wrzucił do komory obok kuchni, na ruszcie obok pieca zostawił jedynie skórzane mokasyny. Ogień w piecu przygasł, w izbie zrobiło się chłodno. Jean przesywał popiół i dorzucił dREW. Stojący na płycie kociołek z rosółem był jeszcze ciepły. Postawił obok brytfannę, z kredensu wyjął deskę do krojenia i przyprawy. Kaczki, które upolował dziś rano, muszą najpierw skruszeć, lecz pięć dni wcześniej ustrzelił bekasy. Przygotuje je jak za dawnych czasów w Camargue: z czosnkiem, tymiankiem, laurowymi liśćmi i w białym winie. Włożył wełnianą bluzę i wyszedł. Zajrzał do wyżlicy i czwórki szczeniaków, później zdjął z haków pod dachem drewnutni zmarznięte bekasy i usiadł na ławie przed domem, by je oskubać. Drzwi były uchylone, chorego miał więc cały czas na oku. Skubał czwartego bekasa, gdy usłyszał tętent końskich kopyt. Wyczulone ucho Jeana potrafiło rozpoznać najróżniejsze odgłosy, tym razem wszakże nie umiał powiedzieć, czy koń biegł galopem czy kłusem. Koń zatrzymał się obok stajni, w stronę domu zbliżał się mężczyzna. Daniel odłożył ptaka i czekał. Chwilę później stanął przed nim Robert Skelnik, trzymając czarny kapelusz w gołych dłoniach. Na sobie miał charakterystyczny, prawie czarny garnitur w delikatne prążki i czarne zamszowe buty. Nikt z okolicznych farmerów nie nosił się w ten sposób. - Widzę, że cię zaskoczyłem - rzekł Skelnik. - To prawda, rzadko tu bywam. - Od kiedy jestem leśniczym, jesteście tu pierwszy raz! Skelnik wpatrywał się w uchylone drzwi chaty. Choć nie podparte, nie zamykały się, bo też na polanie prawie wcale nie czuło się podmuchów wiatru. Pan z Redford strącił kilka ptasich piór z ławy i usiadł obok Daniela. Południowe słońce przygrzewało, od ławy i ściany też biło przyjemne ciepło. - Jak on się czuje? - spytał Skelnik, wskazując na drzwi. - Śpi. Rozmawiałem z nim trochę i to go zmęczyło. Najgorsze ma już za sobą. - Naprawdę jest bardzo do mnie podobny? Jean przez zmrużone powieki przyjrzał się Skelnikowi i bez słowa przytaknął. - Dla kogoś, kto lubi spokój, ten las to prawdziwy raj - westchnął Robert, oparłszy głowę o ścianę. Daniel strzepnął piórko uczone jego spodni, spadło na ziemię obok pozostałych. Milczał. - Nie lubisz ciszy? - zdziwił się Skelnik. - Lubię, poza tym jest tu sporo zwierzyny i mam nadzieję, że tak pozostanie. Was to chyba zbyt nie obchodzi, bo rzadko bywacie w lesie. Nigdy nie pytacie, co tu się dzieje, i ani razu nie widziałem was na polowaniu. Zapatrzone w korony drzew, nad którymi szybował myszołów, Robert nie odpowiedział, jakby myślami był gdzie indziej. Nagle zerwał się, stanął w progu chaty, lecz zawrócił. - Jako chłopiec spędzałem w lesie całe dnie - rzekł ze spiętą, poważną miną. - Pierwszą strzelbę dostałem w wieku dziesięciu lat i włóczyłem ją za ojcem, choć była większa ode mnie. W mojej ojczyźnie są wspaniałe lasy - tobie też by się spodobały - a mając strzelbę, czułem się ich władcą... - Urwał nagle, a Daniel nie wiedział, czy nie chce dalej mówić, czy nagle sobie o czymś przypomniał. - Mój ojciec był łowczym u polskiego magnata, a ja od dziecka byłem przekonany, że po nim ten urząd przejmę. Pewnego dnia jednak, było to zimą, ojciec wyruszył na polowanie sam. Poszedłem jego śladem. Koło paśnika, gdzie zawsze gromadziło

się stado jeleni, usłyszałem strzał... - Znowu zrobił przerwę, jakby próbował uporządkować dalekie wspomnienia. - Wiedziałem, że ojciec miał wrogów, którzy czyhali na jego stanowisko. Jeden z nich oczernił go przed księciem, że rozprowadza sfałszowane pruskie monety. Jakimś cudem kilka takich monet rzeczywiście znalazło się w naszym domu. Udało mi się ustalić, kto nimi ojcu zapłacił, ale było już za późno - zastrzelił się w lesie. Odnalazłem go z lufą w ustach i... lepiej nie mówić. Miałem wtedy czternaście lat i przysiągłem sobie, że nigdy już nie wezmę do ręki broni. Robert nie był tu od dnia, gdy po wybudowaniu uroczyste poświęcono leśniczówkę. Izba wydała mu się teraz dużo mniejsza, może wrażenie takie sprawiały świerkowe boazerie, niegdyś jasne, dziś niemal szerniałe, choć wciąż zachowały ciepły, czerwony odcień. Od drzwi do stojącego w głębi łóżka nie było więcej niż pięć kroków, dla Skelnika wszakże była to odległość trudna do pokonania. Jak potraktować tego młodego człowieka? Jak syna? Chory spał, co wcale nie ułatwiło Robertowi podjęcia decyzji. Nie wiedział, czy ma usiąść, czy też wyjść. Wreszcie rzucił kapelusz na krzesło, a sam usiadł na brzegu łóżka. "Wasz syn" - w uszach dźwięczały mu słowa McGill, a mimo to śpiący człowiek wydawał się kimś zupełnie obcym. Dopóki nie otworzył oczu. Skelnik szybko przytrzymał go za ramię, by chory przypadkiem nie zerwał się z łóżka. - Mój syn! - rzekł spokojnym tonem. - Mój syn! - powtórzył ciszej, jakby dla siebie. - A więc to prawda. - Młodzieniec opadł na poduszkę. - Inaczej to sobie wszystko wyobrażałem. Do Delaware wszystko szło zgodnie z planem. Przebyliśmy szmat drogi, mogło się to zdarzyć gdziekolwiek, dlaczego musiało stać się tutaj, dosłownie w ostatniej minucie... Skelnik patrzył na syna bez słowa. Cóż miał powiedzieć? Prawą ręką poprawiał koc, lewą rozpinął marynarkę. - Wyobrażałem sobie, że pod wasz dom podjadę konno - ciągnął Robert. - Ze sto razy przeżywałem tę chwilę w marzeniach, odkąd usłyszałem, że żyjecie. Droga do was była strasznie daleka, ojcze! - Robert odgarnął włosy z czoła. - Myślę sobie, że to spotkanie dla was też jest trudne, wczoraj jeszcze nic o mnie nie wiedzieliście. O to właśnie najbardziej martwiła się matka, gdy wczoraj w nocy szykowaliśmy się do przeprawy przez rzekę. Jeszcze brzmia mi w uszach jej słowa: "Czasu nie da się cofnąć jak wskazówek zegara". Skelnik spuścił nisko głowę, w głębi duszy wdzięczny Danielowi za to, że wszedł i zaczął się krzątać przy piecu. Leśniczy potrząsnął rusztem, postawił brytfannę, po chwili zaskwierczał tłuszcz. Odgłosy te upewniły Skelnika, że nie śni, że to wszystko dzieje się na jawie. Leśniczy pokręcił się chwilę po kuchni i jak bezszelestnie wszedł, tak po cichu zniknął. - Patrzyłem, jak pieczołowicie czyścił strzelbę. Jest chyba dobrym leśniczym? - zaczął Robert-syn. Ojciec skinął głową, wciąż nie był gotów do podjęcia rozmowy. - Powiedziała wam matka, że bardzo bała się tego spotkania? - spytał po chwili syn. - Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak przestraszonej jak wczoraj nad rzeką. Cała się trzęsła, a przecież zawsze jest taka opanowana! Podobnie chyba zareagowała tylko na wiadomość, żeście utonęli na statku "Thetis", ale o tym to już wam powie sama. - Poczekaj! - przerwał mu ojciec. - Coś ci muszę wyjaśnić: od rzeki do Redford można dojść krótszą drogą przez las i okrężną, którą ja przyjechałem. Zabrało mi to trochę czasu, ale wiem już na pewno, że twoja matka nie przyjdzie do Redford. - Popatrzył na Roberta, jakby jeszcze raz upewniając się, że jest jego synem. McGill miała rację: przed dwudziestu trzema laty rzeczywiście wyglądał tak jak on teraz. - Mogłem tu być w ciągu kwadransa, a jechałem całą godzinę. Musiałem się oswoić z tym wszystkim, co tu się zdarzyło. Zastanawiam się teraz, czy tobie nie będzie trudniej niż mnie. - Co się zdarzyło? - Zobaczyłem cię i powiedziałem sobie: mój Boże, jaki on młody! Kiedyś byłem taki sam, ale minęły lata, zestarzałem się i oduczyłem wielu rzeczy, z wielu zrezygnowałem, przestałem żyć pełnią życia. Na pierwszy rzut oka dużo straciłem, choć trudno nie przyznać, że dzięki temu życie stało się łatwiejsze. Kiedy się nie żyje w pełni, nie cierpi się też tak bardzo. Boję się, że ty jeszcze nie zrezygnowałeś z pełni życia, i wiem, że twój ból będzie większy niż mój. - Co się stało, ojcze? - powtórzył Robert, już zaniepokojony. - Kiedy pożyjesz tu trochę z nami - ciągnął Skelnik - zrozumiesz, czym dla

nas jest Delaware. Teraz dodatkowo rzeka stała się bezpieczną granicą, zapewniła Armii Kontynentalnej bezpieczne schronienie po długich miesiącach tułaczki i upokarzających klęsk. Na widok przyplływającej z tamtego brzegu łodzi żołnierze wpadli w szal... Robert wtulił się w poduszkę, zbladł jak chusta. - To była tylko jedna łódź - mówił monotonnym głosem Skelnik - ale oni się bali, a w rękach mieli broń... Ludzi na łodzi wzięli za szpiegów. Skoro przybywali z tamtej strony, byli wrogami, znieawidzonymi Hesami, a to w oczach strażników stanowiło wystarczający powód, żeby się z nimi rozprawić. Rano wiadomość o zajściu nad rzeką puściłem mimo uszu, dopiero gdy McGill opowiedziała mi o tobie, uświadomiłem sobie, co stało się naprawdę. - Co z matką? Gdzie ona jest? Miał się nią opiekować! - Do brzegu dotarł tylko Soerman. Zaprowadzono go na przesłuchania do obozu, ale już go wypuścili. Nie powiedział im ani słowa. Pojechałem najpierw tam i kiedy go zobaczyłem... - Skelnik urwał, jakby przestraszył się tego, co miał powiedzieć, choć w rzeczywistości szukał słów, które najlepiej wyraziłyby sytuację Soermana. - Ukręcił z koszuli powróż i chciał się powiesić. - Ona od początku wiedziała, że to się nie uda. - Robert zacisnął oczy, szepcząc jakby do siebie. - Wyruszyła w daleką drogę, zabrała ze sobą wszystko, a cały czas wiedziała, że nadaremnie. Tej nocy nad rzeką próbowała mi to powiedzieć, a ja ją wyśmiałem. Przed oczyma przesunęły mu się obrazy, które po wejściu na statek w Bremerlehe uznał za należące do przeszłości: wozownia w Haynau, karetka z nowym herbem, siedzący w niej Soerman, dziedziniec przed tartakiem Weibrechta w Altenbaunie, długi cień wisielca na jasnym piasku, noc w celi komendantury w Kassel, rozlane czerwone wino na stole i walet karo, którego wyciągał w każdym rozdaniu, gdy z księdzem grali w karty do rana. Dlaczego akurat te obrazy? Dlaczego nie inne? Może to jakiś znak? Nie, niepotrzebne mu żadne znaki, żadne wyjaśnienia; szukał tylko ujścia dla gniewu, rozczarowania i potwornego bólu. - Zostaliśmy przyjaciółmi, Soerman i ja - rzekł Robert cicho. - Zawsze byliśmy obok siebie, jedynie wczoraj... A ja mu zaufałem! - Zbyt pochopnie go osądziłeś, synu. Nic gorszego już nie mogło mu się przytrafić. Soermana trudno zrozumieć. Ludziom na ogół życie biegnie jakimś wyznaczonym torem, jak gwiazdom, które wschodzą i zachodzą, tymczasem jego życie przywodziło na myśl spadające gwiazdy. Gdy tylko poświeciło w jednym miejscu trochę dłużej, chwilę później spadało. Opuścił ojczyznę, zostawił mnie, a przecież nie musiał. On po prostu nie chciał mieć jednego życia, lecz kilka. I co mu zostało? To jedno własne, które uratował, podczas gdy tamci poginęli. Mogę mu jedynie współczuć. - Gdzie on jest teraz? - W Redford. Wygląda na to, że najbardziej boi się spojrzeć ci w oczy, ale czeka na to spotkanie. Chce wypowiedzieć się przed tobą, więc postaraj się nie utrudniać mu sytuacji. Zaskrzypiał kołowrót przy studni, chwilę potem Jean Daniel wszedł do izby z wiadrem wody. Coś pogrzebał przy piecu i zniknął. Robert leżał z oczami utkwionymi w sufit. - Znalezione jej ciało? - spytał. - Jeszcze nie. - Od tej pory wymieniali krótkie zdania, robiąc między nimi długie przerwy. - McGill jest waszą córką? - Nie mam córki. Mam syna, i to od dzisiaj. - Leśniczy wspominał o córce. Nie zapamiętałem imienia, wiem tylko, że ma długie ciemne włosy. - Mówisz o Mary. - Rzeczywiście, tak miała na imię. - Ludzie w Redford często mówią, że jest moją córką, bo tak im łatwiej. Mary jest sierotą, jej ojciec był najbardziej wojowniczym pastorem w Bostonie. Zginął w czasie starć ulicznych z angielskimi żołnierzami. Mary miała wtedy trzynaście lat, a ponieważ pastor był moim przyjacielem, zabrałem dziewczynkę do Redford jako jej prawnego opiekuna. Anglicy twierdzą, że ta wojna zaczęła się w zeszłym roku, sam jednak widzisz, że trwa ona znacznie dłużej, co najmniej od czterdziestu lat. Nie dziw się zatem ludziom, którzy atakują na oślep i bez zastanowienia. Wielu z nich o wojnę ociera się od urodzenia. - Leśniczy mówił, że ta dziewczyna znalazła mnie w zaroślach nad rzeką. - Robert spojrzął na ojca. - Czy to możliwe, że są tam czaple? - Co najwyżej kilka par. Na porośniętych krzakami wyspach na rzece mają lepsze warunki. - Tak sobie myślę, że gdyby nie one, nigdy bym się nie doczołgał do lasu. Najpierw usłyszałem ich krzyk, potem szum skrzydeł. Nie pamiętam,

jak długo leżałem na brzegu. Nie miałem sił iść dalej, poddałem się, gdy nagle usłyszałem ten krzyk, zobaczyłem srebrzyste sylwetki krążące nad głową i lądujące w pobliskich zaroślach. Myślałem, że to przywidzenie, majaczenie w gorączce. Nie byłem pewny i musiałem to sprawdzić. To było moje jedyne życzenie. - Męczysz się, nie mów tak długo. Wrócił Jean. Z półki na ścianie zdjął trzy gliniane talerze i postawił na stole obok pokrojonego bochenka chleba i karafki z winem. Położył sztucce, a gdy chwilę później otworzył piekarnik, pokój wypełnił się zapachem tymianku i wawrzynu. - Bekasy gotowe - oznajmił z wypiekami na twarzy. - Będzie mi bardzo miło, jeżeli zjecie z nami - uśmiechnął się do Skelnika. 41 Mało kto się tego spodziewał, lecz po wydarzeniach nad rzeką nastąpiła prawdziwa ostra zima z trzaskającym mrozem i lodowatym północnym wiatrem. Drzewa i krzaki pokryła gruba warstwa szadzi, na Delaware pojawiła się warstwa lodu, powiększająca się dosłownie w oczach, środkiem prąd niósł coraz więcej kry. Trzeciego dnia mróz nagle zelżał i koło południa sypnął gęsty śnieg. Padał bez przerwy czterdzieści cztery godziny. Redford i okolica zniknęły pod grubą warstwą białego puchu. W obozie żołnierze od rana do wieczora odkopywali namioty, patrole zawieszono, bo konie brnęły w śniegu po brzuch. Był jednak ktoś, komu nie przeszkadzała ani sypiący gęsty śnieg, ani wiejący wściekle północny wiatr. Redford od farmy Morrisa, posiadłości leżącej naprzeciw Trentom drogą dzieliło jakieś osiem mil, natomiast zakolami rzeki, wzdłuż których wędrował wspomniany jeździec, odległość ta zwiększała się nawet do dwunastu. Freder Soerman przemierzał tę trasę dwa razy dziennie, począwszy od dziewiętnastego grudnia, czyli od dnia, gdy przewieziono Roberta z chaty leśniczego do Redford. Wyprawy te traktował jak swój codzienny obowiązek i nie zrezygnował z niej także dzisiaj, choć był wigilijny ranek. Żołnierze z patroli szybko się zorientowali, że mężczyzna w ciemnozielonym płaszczu z kołnierzem z rysiej skóry przykrywającym ramiona jest tym zatrzymanym Hesem. Znali rozkład jego dnia i starali się go unikać, a gdy mimo wszystko się na niego natykali, przejeżdżali bez słowa. Jego historia szybko obiegła okolicę. Chociaż poręczył za niego Skelnik, dał mu konia i ubranie, ludzie nie potrafili zapomnieć, że przedostał się przez rzekę w znieawidzonym heskim mundurze. Gdziekolwiek się zjawiał, powtarzano z ust do ust: "To ten Hes!" Czy wysiłek Soermana miał jeszcze sens? Po pięciu dniach bezskutecznych poszukiwań szansa na odnalezienie topielców lub szczątków łodzi była niewielka, a kiedy brzegi i skarpy pokrył śnieg, zmaląła wręcz do zera. Trzymał siarczysty mróz, gdy Soerman pierwszy raz dotarł do farmy Morrisa, a mimo to spędził tam cały dzień, zaglądnąwszy dosłownie pod każdy kamień, pod każdy rosnący nad brzegiem krzak. Nic nie znalazł, na drugi dzień więc powrócił. Sprawdzał krok po kroku brzeg od miejsca, gdzie patrol sierżanta Haughtona ostrzelał łódź, do krzaków wyznaczających granice posiadłości. Jak na dłoni było stąd widać Trenton. Codziennie Soerman z niewielkiego wzniesienia obserwował, co dzieje się w mieście, które przysypane śniegiem przypominało mu zapamiętaną z dzieciństwa szwedzką wieś. Żadnego ruchu wojsk. Raz tylko zobaczył oddział ćwiczący w śniegu, raz zmianę warty, za to codziennie widywał pojedynczych jeźdźców, zapewne kurierów, przybywających i odjeżdżających spod stojącego na uboczu, prawie nad samym brzegiem rzeki, domu. Nie zdarzyło się ani razu, aby na dziedzińcu nie stał koń, czasami czekał cały hufiec, wszystkie nakryte jednakowymi ciemnymi kocami. Także dziś przed domem nad rzeką panował ożywiony ruch. Ostry wschodni wiatr wiał Soermanowi w twarz, wyciskał z oczu łzy, lecz Szwed stał nieruchomo na wzniesieniu. Nie liczył upływającego czasu i nie wiedział, dlaczego nagle zdecydował się wracać. W śniegu pozostały ślady jego poprzednich wypraw, gniadosz znał już trasę na pamięć i bez prowadzenia biegł lekkim klusem. Co najmniej dziesięć razy Soerman zeskakiwał z konia, rozgrzebywał zmarznięty śnieg gołymi rękoma, by przekonać się, że trafił tylko na złamaną gałąź lub odsłonięty korzeń. Opuścił Redford zaraz po śniadaniu, gdy teraz wjeżdżał w cedrową aleję, minęła pora, o której zazwyczaj siadano do obiadu. Koń szedł według własnego uznania, dopiero przed zjazdem w kierunku dworu Soerman chwycił

cugle i poprawił się w siodle. Zdawał sobie sprawę, że jest tutaj bacznie obserwowany. Podjazd uprzątnięto ze śniegu, lecz wiatr nawiał od nowa długie, płaskie zasy świeżego puchu. Przed wejściem do domu stała Mary w różowej sukni ze srebrnoszarymi pasami, w której wydawała się niezwykle wysoka i chuda. Odwrócona plecami, podawała mężczyźnie na drabinie gałązki jemioli, które on przybijał do portalu. Jesiony nad rzeką, obrośnięte gęsto jemiolą, wyglądały, jakby ich bezlistne gałęzie obsiadły roje owadów. Mary pokazywała mężczyźnie, w którym miejscu ma umocować gałązkę, i albo nie słyszała podjeżdżającego jeźdźca, albo też - co Soermanowi wydało się bardziej prawdopodobne - nie chciała słyszeć. Dawno już zauważył, że jej miejsce przy stole w jadalni przeważnie jest puste. Nakrywano zawsze dla czterech osób, lecz Mary za każdym razem znajdowała jakiś ważny powód, by wykręcić się od wspólnego posiłku. Podobnie zresztą zachowywali się w Redford wszyscy. Nie usuwali się z drogi jak wartownicy nad rzeką, wręcz przeciwnie, starali się być mili, ale i tak dało się wyczuć skrętnie ukrywaną niechęć. Soerman przyspieszył kroku. W stajni rozpiął płaszcz, gdyż było tam bardzo ciepło, rozsiadł konia i wyszedł. Przy studni na podwórzu dzieci ulepiły bałwana. Na głowie miał kapelusz z biało-niebieską szarfą, jaki noszą oficerowie milicji. Z otwartego okna pralni buchały obłoki, nie stamtąd jednak dochodziły rytmiczne odgłosy, które nagle przykuły uwagę Soermana. Upewnił się, że dochodzą z podwórza pomiędzy stodołami. Rzeczywiście, zastał tam Roberta strzelającego z łuku. W głębokim do ramion śniegu wykopano tylko wąski chodnik. Na jednym końcu, osłonięty od wiatru, stał Robert, na drugim, na wrotach stodoły, wisiała słomiana tarcza z zaznaczonym na czarno środkiem. Bez czapki, bez rękawic, w rozpiętej pod szyją futrzanej kamizelce, Robert celował do oddalonej o trzydzieści kroków tarczy. Soerman poczekał, aż wystrzeli ostatnią strzałę. - Nie lekceważysz czasami swojej rany? - spytał poważnie. - Muszę coś robić. W lewej ręce nie mam prawie żadnej siły. - Mimo to trafiasz do celu nadzwyczaj łatwo! Podeszli do tarczy. Robert z widocznym wysiłkiem wyciągał strzałę, Soerman więc go wyręczył. - Prawdę mówiąc, nie mogę już znieść tego skakania wokół mnie - rzekł Robert, kiedy wracali. - Nigdy w życiu nie chorowałem, nigdy tak długo nie siedziałem w zamkniętych pomieszczeniach. Dziś po południu przejadę się z tobą na koniu. - Jak chcesz - odpowiedział Szwed, spuściwszy wzrok - ale nad rzekę nie pojedziemy. Robert wbił strzałę grotami w śnieg. Pióra na końcach były mocno wytarte. - Zaczynaj - rzekł. - Dla każdego po pięć. Soerman wziął łuk, sprawdził drzewce i cięciwę. - Dostałeś go od McGill? - Zgadłeś, to stary indiański łuk i strzały. Popatrz na te pióra; gdyby je wymienić na nowe, można by strzelać na odległość stu dwudziestu kroków albo i dalej. Przez chwilę panowała cisza, potem rozległ się świst strzał i trzask przebijanej słomy. - Dlaczego nie nad rzekę? - spytał Robert. - Myślałem, że już sobie wszystko wyjaśniliśmy. Soerman przytaknął. Był wdzięczny Robertowi za podjęcie tego tematu. Przyjaciel nie czynił mu żadnych wyrzutów, a mimo to poczucie winy nie opuszczało Soermana. - Wyjaśniliśmy, ale to tylko słowa, a one nie załatwiają wszystkiego - rzekł po chwili Soerman. Można się było tylko domyślać, o co mu chodzi. Bał się, że zapomni o tym zdarzeniu albo - co gorsza - nieświadomie utrwali sobie w pamięci wersję, która nie ma nic wspólnego z prawdą. Robert przypomniał sobie, co ojciec powiedział o Soermanie, gdy rozmawiali pierwszy raz w chacie leśnika. To rzeczywiście nie był już ten sam Soerman, który wsiadł do łodzi na tamtym brzegu. Zmienił się nie tylko jego wygląd, lecz i całe zachowanie. On, który żył z dnia na dzień i bez żadnych zobowiązań, nagle czymś się gryzie, więcej, oskarża samego siebie. - Czasami wydaje mi się - odezwał się Robert - że twoje wyjazdy nad rzekę mają jakiś inny cel. Wiesz przecież od dawna, że żadnych śladów łodzi nie znajdziesz. Po co właściwie jeździsz aż do farmy Morrisa? - To szczególne miejsce. Aż trudno uwierzyć, że naprzeciw stoją heskie wojska, że Rall mieszka w domu doktora i czeka, kiedy Delaware zamarnie. - Daj spokój! Tobie trudno uwierzyć? Cały czas o tym myślisz i tylko czekasz, aż zaczniesz się coś dziać. - Nie mylisz się - przyznał Soerman. - Od tamtej nocy nad Wezerą nie potrafię już myśleć o

niczym innym... Nad dachami stodół wiał silny wiatr, na dole było zaciszenie. - Chcesz się tam przeprowadzić? - spytał Robert. - Dlaczego o tym nie rozmawiamy? - odpowiedział pytaniem Soerman. - Niby o czym? - Dziś rano nad rzeką widziałem, jak jeden z oddziałów przygotowywał łodzie ukryte w lesie, a drugi z wozami i namiotami prznosił się do farmy Morrisa. Oni chyba szykują się do przeprowy? Robert przewiesił łuk przez ramię i zebrał strzały. - Na dziś chyba wystarczy - rzekł. - Poczekaj! Nie powiesz mi, co tu się dzieje? - Powiem, co slyszalem: Amerykanie chcą zaskoczyć Ralla w Trenton. Decyzja już zapadła. Szli przez dziedziniec obok stajni; nikogo nie spotkali. - Mówisz tak, jakby cię... nas to nie obchodziło. - A obchodzi nas? - zdziwił się Robert. - Dziś przed południem przyszedł do mnie oficer i zaczął wypytywać, jakimi siłami dysponują Hesi, gdzie rozstawili posterunki, kiedy są zmiany warty, gdzie stoją armaty, jak liczna jest kawaleria i jak porozumiewają się z kwaterą główną Anglików w Brunswiku. - I co mu odpowiedziałeś? - Prawdę: nie po to zdezerterowałem, żeby popierać tę wojnę. - Rzeczywiście tak myślisz? - Naturalnie. - Chciałbym, aby tak było, w moim przypadku także. Robert chuchnął w ręce. - Teraz tak jest, a jak będzie później, zobaczymy. Może zmienię zdanie już jutro, może dopiero za rok. Trudno powiedzieć, jak długo ta wojna potrwa, a zanim się skończy, może zapomnę, że kiedyś nosiłem heski mundur. - Ty mówisz, Robertcie o wojnie! - zdziwił się Soerman. - A ty nie? - Powiesz mi, kiedy będą forsować rzekę? Chciałbym to wiedzieć. Robert zatrzymał się. - Co ty kombinujesz? - Lepiej, żebyś nie wiedział. - Jeśli nie chodzi ci o wojnę, to o co? Pamiętaj, abyś nie mieszał się do moich spraw, jasne? - Jesteśmy przyjaciółmi, a poza tym to także moja sprawa. Nie byłeś sam w karcie, którą zatrzymano nad Wezerą, nie tylko ty stałeś przed plutonem egzekucyjnym i nie ciebie jednego major von Haynau wysyłał na pozycje, gdzie szanse na przeżycie były znikome. - To było dawno, to już historia. - Nieprawda, i ty dobrze o tym wiesz! Dla was obu nie ma miejsca pod jednym niebem. To ciągnie się już latami, a ty ciągle zwlekałeś i odkładałeś decyzję na później, uciekałeś przed nią... - Przestań! Nie chcę już o tym nawet myśleć. - Chcesz! I teraz ja ci powiem, że ty wciąż o tym myślisz i nie możesz przestać. Przecież nad rzeką on chciał cię zabić, myślisz, że się zawaha, kiedy znów będzie miał okazję? - Jak się dowie, co stało się z matką... - Tym bardziej cię zniechędzi. Może ty chcesz umrzeć, bo ja na pewno nie! Uświadomiłem to sobie wczoraj, gdy jechałem przez las. Są tu lisy, wszędzie pozostawiano na nie pułapki. Widziałem na śniegu krwawy ślad i przypomniałem sobie opowieści myśliwych, jak to złapany we wnyki lis potrafi odgryźć sobie łapę, byle tylko wyswobodzić się z potrzasku. Może nawet później padnie, ale straci życie jako wolne zwierzę. Ja też chcę poczuć się wolny, choćby tylko na chwilę... - Proszę cię, przestań! Szli dalej w milczeniu. W oknach dworu odbijało się zimowe słońce, na piętrze mężczyzna z drągiem w rękę, mocno wychylony, obracał sople lodu zwisające z rynny. Spadały z hukiem i wbijały się w głęboki śnieg. Przed schodami głównego wejścia leżały świerkowe gałazki do wycierania butów. Nad drzwiami wisiała już jemiola, przypięte do niej czerwone wstążki powiewały na wietrze.

42 Z leśniczówki Roberta przywieziono do Redford w ubraniu Jeana Daniela. Heski mundur ktoś wrzucił na wóz. Mary zapamiętała, że leżał potem w holu, ale kiedy chciała go zabrać do prania, gdzieś zniknął. Nawet nie próbowała szukać, wciąż mając w pamięci strach, jaki ją obleciał, gdy zobaczyła go wtedy w zaroślach. Sama się dziwiła, że mimo wszystko zdecydowała się wezwać pomoc. Targały ją przecież dwa odmienne uczucia: strach i litość, a jednak dokonała wyboru, z którego mogła być dumna. Kiedy Robert zamieszkał we dworze, w żaden sposób nie potrafiła nawiązać z nim serdeczniejszych stosunków. Opiekę nad nim przekazała McGill, a kiedy mógł już wstać z łóżka, szukała wykrętów, by nie usiąść z nim przy stole, i unikała biblioteki, w której Robert spędzał większość czasu. Zła na siebie, przyrzekała w duchu, że będzie go inaczej traktować, ale w decydującym momencie sprzeciw okazywał się silniejszy niż rozsądek i postanowienie. Tak było też teraz, gdy z Henrym Lee ozdabiała główny portal jemiolą i zobaczyła idących od

stajni Roberta i Soermana. Zostawiła Henry'ego na drabinie i uciekła do salonu. Tam też trwały przygotowania do wigilijnej wieczerzy. Dwóch parobków do dużego stołu dostawiała w podkowę kilka mniejszych. Zwyczaj zasiadania przy wspólnym stole wprowadził Skelnik zaraz na początku, gdy w holu były jeszcze nie otynkowane ściany, a blat z surowych desek wspierał się na drewnianych kozłach. Po latach dla niego i dla tych, co pamiętali początki Redford, była to nie tylko wigilijna uroczystość, lecz coś o wiele ważniejszego. Podarunki dostawały wyłącznie dzieci: dziewczynki lalki, chłopcy drewniane koniki ciągnące wózek, do tego po torebce orzechów i słodyczy. Po prezenty Skelnik wyjeżdżał do Filadelfii, najpierw sam, później z Mary. Jazda saniami przez zasypany śniegiem kraj była dla niej największą atrakcją nie tylko wigilijnego przedpołudnia, ale wręcz całych świąt. Przeważnie wyruszali w przeddzień, nocowali w hotelu "Francis", gdzie zatrzymywali się kapitanowie wielkich morskich statków. Przed południem robili zakupy, a do Redford wracali tuż przed zapadnięciem zmierzchu, gdy wszędzie pozapalano już pochodnie. Na dziedzińcu przed dworkiem czekały rodziny z dziećmi, które podchodząc po kolei do sań, odbierały swoje prezenty. Mary przypomniała sobie o tym wszystkim, gdy zobaczyła ustawione w podkowę stoły. W szafie w jej pokoju wisiała już nowa suknia i płaszcz, w których zamierzała pojechać w tym roku do Filadelfii. Uchyliła drzwi - w holu panowała cisza, żadnych kroków, żadnych głosów. Na środkowej belce u sufitu, na zawieszanej tam dużej gałązce jemioli lekko poruszały się czerwone wstążki. Podeszła do okna, z którego widać było dziedziniec. Sanie jeszcze nie podjechały, lecz jej się zdawało, że brzęczą dzwonki przyłączone do uprzęży. Tymczasem za plecami usłyszała ciche znajome kroki. Schodził po schodach, Mary jednak nie odwróciła się, dopóki nie poczuła jego ręki na ramieniu. - Jak to, jeszcze niegotowa? - spytał Skelnik. - A ja myślałem, że stoisz już na dworze. - Na sobie miał brązowy płaszcz z astrachańskim kołnierzem, w rękę trzymał białą wilczą skórę. - Biegnij! Ubieraj się szybko, a ja zaczekam w holu. Nie poruszyła się, jakby go nie słyszała. Chciała coś powiedzieć, ale wszedł Jan Kyllogs. - Podstawiłem sanie - rzekł. - Whitecombe założył nowe płozy i chwali się, że dzięki temu będziecie w Filadelfii pół godziny wcześniej. - Dobrze, że mi przypomniałeś: muszę przecież zdążyć do notariusza! - Mister Darell czeka na was dopiero jutro. O dziewiątej przyjdzie specjalnie do kancelarii. Zapewnia, że wszystko będzie gotowe do podpisu. Mary poczekała, aż Kyllogs wyjdzie. Nie zamierzała niczego przed Skelnikiem ukrywać, chociaż nie chciała też zdradzić przed nim swoich prawdziwych uczuć. Najgorsze, co mogło jej się zdarzyć, to gdyby teraz wybuchnęła płaczem. - Myślę, że będzie lepiej, jeśli pojedziesz sam - zaczęła. - Tyle tu roboty. Jeszcze nigdy nie szło nam tak powoli. - Poradzą sobie bez ciebie, a ty skorzystaj z okazji i rusz się trochę między ludzi. Zbieraj się szybko i nie zapomnij listy! Mary sięgnęła do kieszeni i podała Skelnikowi zwiniętą kartkę. - Tu masz wszystko spisane. Nigdzie nie będziesz czekać, bo kazałam przygotować towar, więc jeżeli obejdiesz sklepy w kolejności jak na liście, nie będziesz musiał do żadnego wracać. Skelnik kręcił głową. Zauważył, że Mary jest w kiepskim nastroju, lecz się tym zbytnio nie przejmował. Jedno miłe słowo i wszystko będzie dobrze. - Chyba nie chcesz wysłać mnie samego? - rzekł poważnie. - Bez ciebie ta podróż straci cały urok. - Nie sądziłam, że pojedziesz sam... - Od lat jeździmy razem, dlaczego w tym roku miałoby być inaczej? - Masz teraz syna... Z kuchni dobiegały podniesione głosy, śmiech, trzaskanie drzwiami. Skelnik objął Mary. - Jeżeli to jest powód, to dlaczego nie powiedziałaś mi od razu? Przecież zawsze rozmawialiśmy otwarcie... Wejźmy do biblioteki. - Musisz już wyjeżdżać, w przeciwnym razie nie zdążysz do Filadelfii przed zmrokiem. Nie słuchał, otworzył drzwi biblioteki i czekał, aż Mary wejdzie. Z ociąganiem przekroczyła próg. Mimo woli zerknęła w stronę okna, gdzie stał stolik, przy którym Robert i Soerman całymi dniami grali w szachy. - Mam syna - zaczął, gdy tylko zamknęła drzwi - ale czy to coś zmienia w stosunkach między tobą a mną? Chcę, abyś mi odpowiedziała szczerze i bez ogródek. Mary unikała jego spojrzenia. W takich momentach nie było w jego oczach ani

ciepła, ani wyrozumiałości. - Zmiana nastąpiła jeszcze przed jego przybyciem - rzekła po namyśle, patrząc w podłogę. - Zobacz, oficerowie porysowali ostrogami cały parkiet, wątpię, czy da się usunąć tak głębokie rysy, a to jest tylko jedna z oznak, że w Redford coś się zmieniło. Nic już nie jest takie jak dawniej. - Nie rozumiem. Sama mówisz, że to nie ma nic wspólnego z Robertem. Nie mógł rozumieć. Żołnierze zabrali jej tylko pokoje, Robert coś znacznie więcej. Coś, co do tej pory miała wyłącznie dla siebie. - Muszę się teraz dzielić tobą z Robertem, a także z jego matką, chociaż ona nie żyje. Mam wrażenie, że tylko oni się liczą, a ja w tym domu stałam się niepotrzebna. Skelnik milczał. Czy rzeczywiście miała powód, by czuć się odrażona? A może tylko obawiała się, że wkrótce to nastąpi? - Przyzwyczaję się do nowej sytuacji - odezwała się, jakby słyszała jego pytania. - To jak? Jedziesz ze mną do Filadelfii? - spytał, głęboko zamyślony. Mary odebrała jego zachowanie niemal jak obrazę. - Mógłbyś mi przynajmniej tego oszczędzić - rzekła szorstko. - Rozumiem, że chcesz przepisać posiadłość na syna, ale czy ja koniecznie muszę być tego świadkiem? Spojrzał na nią zdumiony. Była blada, głos jej drżał. - Mylisz się - rzekł spokojnie. - U notariusza umówiłem się z Edem Saundersem, żeby uzgodnić warunki kupna jego farmy. - Nie musisz się tłumaczyć. Robert jest twoim synem, a ja obcą osobą, korzystającą z twojej gościny. Dobrze, że mi przypomniałeś, jaka jest moja pozycja w tym domu. Przynajmniej pozbędę się złudzeń. Jeszcze niedawno sam nazwałś mnie swoją córką, kiedy w salonie przy kominku opowiadałeś o perspektywach Redford, a ja byłam pewna, że mówisz o mojej przyszłości. Teraz wiem, że były to tylko słowa, i dobrze, bo nie jest jeszcze za późno. Podeszedł do niej i objął ją. - W Redford jest dość miejsca dla wszystkich. Starczyło go dla Henry'ego Lee i dla mnie, starczy także dla ciebie i Roberta. Skąd nagle przysły ci do głowy te ponure myśli? Nie możesz uwierzyć, że między nami nic się nie zmieniło? Mary czuła jego bliskość, spokój i siłę, a także wielki strach, że może go stracić. Miała wrażenie, że to już koniec. Zamknęła oczy i jakby szukając ostatniej deski ratunku, szepnęła: - Ożeń się ze mną! Była chyba nie mniej zaskoczona niż on. Nie miała odwagi popatrzeć mu w oczy, była mu wdzięczna za każdą sekundę milczenia. Próbowwała się pocieszać, że słowa te padły tylko w jej myślach, że ich nie wypowiedziała. - Od kiedy o tym myślisz? - spytał zakłopotany. - A ty nigdy o tym nie myślałeś? - wyrwało jej się. Wypuścił ją z objęć. - A jeśli nawet? Starzejący się mężczyzna miewa czasami dziwne pomysły. Sądzisz, że naprawdę mnie kochasz? Spuściła głowę. - Boję się ciebie stracić, a to chyba jest miłość - szepnęła. - Strach przed utratą bliskiej osoby może być częścią miłości, natomiast jej istotą jest pragnienie posiadania tej osoby - zaczął, a gdy teraz próbował ją objąć, na pewno rzuciłaby się do ucieczki. - Zastanawiasz się - ciągnął - to dobrze, bo najgorzej by było, gdybyś próbowała oszukiwać samą siebie. Nie chodzi ci o mnie. Myślisz o Redford, być może o łączących nas przeżyciach, ale nie o mnie jako mężczyźnie. Więc to nie jest miłość. Słuchała, lecz nie chciała przyjąć do wiadomości jego słów. Musiałaby przyznać mu rację, a wtedy nie miałyby już sił walczyć o miejsce przy jego boku. - Jak zatem, twoim zdaniem, powinna wyglądać miłość? Czy trzeba czekać na ukochaną osobę aż dwadzieścia pięć lat, jak w twoim przypadku? Powiedziałaś, że miłość to chęć posiadania tej osoby, a ty tylko czekałaś. - Tak to bywa. Świat jest zwariowany, a my wraz z nim, kiedy się zakochamy. Mnie to się przydarzyło i muszę wierzyć, że postąpiłem słusznie. Cóż innego mi pozostało? - To przecież rezygnacja! - Możliwe, ale jestem już za stary, by cokolwiek zmieniać. Ty, Mary, jesteś bardzo młoda i nie wolno ci zadowalać się byle czym. - A jeżeli ja cię rzeczywiście... - Przystań! - przerwał jej. - Pewnego dnia wymówisz to słowo i zrozumiesz, że ma dla ciebie dużo większe znaczenie niż teraz. - John mnie kochał i musiał umrzeć, ona kochała ciebie i zginęła, będąc już tak blisko, powiedz, czy to zawsze tak musi być? Miał ochotę przytulić ją tak serdecznie, jak jeszcze nigdy dotąd, lecz zrezygnował. - Nie musi się kończyć tak jak w przypadku Johna i... i moim. - Mówisz o końcu, a jak się zaczyna? - Sama się przekonasz. - Zapomnij, proszę, co ci powiedziałam... O tym małżeństwie... - Powinienem zapomnieć? -

Musisz. Będzie mi wstyd. - W takim razie zapomnę. Zapomnę, że przez chwilę znów poczułem się bardzo młody. Bałaś się, że będziesz musiała podzielić się mną z Robertem, teraz ja będę się bał, że w każdej chwili ktoś każe mi dzielić się tobą. Zastanawiała się później, co miały znaczyć te jego zagadkowe słowa, to dziwne spojrzenie, jakie jej posłał. Wkrótce jednak w nawale zajęć przestała o tym myśleć. Dopiero wieczorem, gdy weszła do biblioteki i zobaczyła na krześle wilczy błam, którego Skelnik nie zabrał do sań, przypomniała sobie ich rozmowę. Jej taftowa suknia szeleściła przy każdym ruchu i przyciągnęła uwagę obu siedzących przy oknie mężczyzn. Mary zobaczyła ich dopiero, gdy usłyszała głos Roberta: - Przysiądziesz się do nas, panienko?. Siedzieli przy tranowej lampce z wielkim zielonym abażurem, oświetlającej tylko szachownicę i przesuwające pionki dłonie. Podeszła niezdecydowanie. - Mam nadzieję, że to nie twoją grę zburzyliśmy przed chwilą - mówił dalej Robert. - Próbowałem ją dokończyć, ale białe stały w dość beznadziejnej sytuacji. W pierwszej chwili, gdy Robert ją zaprosił, odezwał się w niej dawny sprzeciw, szukała w pośpiechu jakiejś wymówki, nagle jednak jakby się coś w niej przełamało. - Zawsze pozwala mi grać białymi - uśmiechnęła się - daje mi nawet dwa pionki przewagi, choć w końcu i tak zapędzi mnie w "beznadziejną sytuację", jak to określiłeś. Robert wziął czarną wieżę i zaczął się nią bawić. W oknie jak w czarnym lustrze odbijała się jego sylwetka. Drugą szybę rozjaśniała zapalona na podwórzu pochodnia; widać było, że znowu zaczął padać śnieg. - Ojciec często gra w szachy? - spytał Robert. Gdy Mary milczała, usprawiedliwił się: - Wiem, że to dziwne pytanie, ale ja dopiero zaczynam poznawać ojca. Grywa z tobą? Przytaknęła głową. - Dobrze gra, prawda? - Jestem dla niego za słabym partnerem, ale o lepszego teraz trudno. Dawniej przyjeżdżał z Trenton doktor Banks i wtedy gra toczyła się na wysokim poziomie. Zapadła cisza, obaj gracze przesunęli pionki, potem długo się zastanawiali. Zegar na kominku wybił cztery wyższe tony i dziewięć niższych, donośniejszych. Mary zwróciła się ku drzwiom. - Proszę zostać - odezwał się Robert. - Zaraz skończymy, a zwycięzca zagra z tobą. - Mam jeszcze sporo roboty. - Nie widziałem, żebyś nie miała! - Jak to w dużym domu... - Ojciec docenia przynajmniej twe wysiłki? Nie odpowiedziała. Robert pochylił się lekko, jego twarz znalazła się na granicy światła i ciemności. Tym razem jego oczy przybrały niemal czarną barwę. Miał na sobie zieloną aksamitną bluzę, w której wiele razy widziała Skelnika. Kupił ją bardzo dawno w Filadelfii, stąd jej staromodny krój. Drzwi biblioteki cicho się otworzyły. Mary podeszła do stojącego w progu mężczyzny. - Och, myślałam już, że z tymi książkami nie zdążycie! - rzekła do okutanego szalem Dawida Woodrocka, chłopca stajennego z farmy Hancocków. - Wejdz, proszę! - Podniosła opuszczaną deskę między szafami i poprosiła: - Postaw paczkę tutaj, Dawidzie. - Ojciec chciał sam te książki panience przynieść, ale jak tylko zaczęły się mrozy, to podagra znów go przykuła do krzesła. Przynajmniej miał jakieś zajęcie, a widzę, że tym razem bardzo ładnie mu wyszło. - Podziękuj mu w moim imieniu i pozdrów Abigail. Jak tam jej mała? - Zdrowo rośnie. Pojutrze będą chrzciny; dostanie na imię Roberta, ale proszę mnie nie wydać, bo Abigail chce zrobić panu Skelnikowi niespodziankę i powie mu, gdy pierwszy raz zobaczy małą. - Napij się czegoś ciepłego przed powrotem do domu - zaproponowała. - Chętnie, tylko że wolałbym już być w domu. Wygląda na to, że zaraz sypnie porządnie śniegiem. Dawid miał na nogach futrzane buty i nie było widać, czy na lewej stopie nosi jeszcze opatrunek, w każdym razie prawie już nie kulał. W drzwiach odwrócił się i po wojskowemu zasalutował do futrzanej czapy. Mary rozwiązała paczkę i wzięła leżący na wierzchu tom. Był tak zimny, że wolała go szybko odłożyć. Przeglądnęła następne - w sumie było ich dwanaście - i ustawiła na półce. Był to wydany w Paryżu zbiór dzieł sławnego astronoma, który Mary znalazła w skrzyni wyniesionej z zamkniętych pokoi. Skelnik kazał je posprzątać tydzień wcześniej. Zniszczone francuskie książki musiały być dla niego cenną pamiątką, skoro przechowywał je przez tyle lat, chociaż najwyraźniej o nich zapomniał. Pięknie odnowione dostanie od Mary jak bożonarodzeniowy prezent. Wyrównała grzbiety

dwunastu tomów, sprzątnęła papier i sznurek, jeszcze raz popatrzyła z daleka na książki i wróciła do szachistów. Na planszy stało jeszcze pięć figur: trzy białe i dwie czarne. - Poddajesz się? - spytał Robert Soermana. - Nic nie rozumiem. - Soerman kręcił głową. - Przed chwilą miałem wygraną w garści. Niepotrzebnie zamieniłem tę królową, bo... Ktoś zastukał mocno do okna, jakby jakiś wielki ptak uderzył w nie skrzydłami. Obaj gracze odwrócili głowy, Mary krzyknęła wystraszona. Za szybą kołysał się człowiek w heskim mundurze - w zielonej bluzie z czerwonymi wyłogami i srebrnymi galonami oraz w białych spodniach. Mary po plecach przeszły ciarki, gdy postać oddaliła się, by ponownie uderzyć o futrynę. Rozpoznała mundur Roberta. Z rękawów i nogawek wystawała słoma, którą wypchana była też głowa nakryta czarnym rogatym kapeluszem. Robert wstał i otworzył okno na oścież. Na dziedzińcu stała grupka mężczyzn z pochodniami, na drągu trzymali kukłę w heskim mundurze, potrząsając nią jak zdobyczym sztandarem. Mary zamknęła oczy, jakby chciała wymazać z pamięci ten obraz. Mimo mroźnego przeciągu zrobiło jej się gorąco. Z wściekłością rzuciła się do drzwi. Robert dogonił ją w holu; wahała się, czy ze stojaka przy drzwiach wziąć szpicrutę czy bat. - Proszę ich zostawić, panno Mary! To tylko zabawa. Chcieli sobie z nas pożartować. Nie słuchała. Biegł za nią, gdy szybkim krokiem zmierzała ku stajniom, gdzie mężczyźni z pochodniami utworzyli krąg wokół towarzysza, który trzymał wysoko kukłę w heskim mundurze. Robert chwycił Mary za rękę. - To tylko zabawa! - powtórzył. Zwolniła, szli obok siebie, trzymając się ciągle za ręce. Nagle ktoś rzucił pochodnią w manekina, który błyskawicznie stanął w płomieniach i zaczął się dziwnie wykręcać, jakby nagle ożył. Mary odwróciła się. Krąg się rozpadł, jedni pouciekali, drudzy jak sparaliżowani z wypiekami na twarzy patrzyli, jak z kukły zostaje tylko ręka i głowa z płonącym kapeluszem. Ta błysnęła jaśniejszym światłem i spadła na ziemię, syjąc iskrami. - Wracajmy - rzekł Robert, widząc, że dziewczyna w taftowej sukni drży na całym ciele. Objął ją, a ona położyła mu głowę na ramieniu. - Dlaczego to zrobili? - szepnęła i szybko odsunęła się od niego. - Czy tak musi być zawsze? Dlaczego ludzie wciąż nienawidzą się nawzajem? Robert nie wiedział, co odpowiedzieć, wołał milczeć. Przed portalem przystanęli. Podwórce opustoszało, śnieg padał coraz gęściej. Pochodnie przy wejściu oświetlały twarz Mary z obu stron. Z tak bliska Robert jeszcze jej nie widział, nie licząc pierwszego razu, gdy pochyliła się nad jego łóżkiem w chacie Daniela. - Dlaczego mi się tak przyglądasz? - spytała. - Gdy mnie znalazłaś w lesie, miałem na sobie ten mundur, a przecież nie wybuchnęłaś nienawiścią... 43 Dom stał na niewielkim wzniesieniu przy wjeździe do Filadelfii. Miał fasadę ozdobioną portykami z kolumnami i zielony od patyny miedziany dach. Przed głównym wejściem stały dwie furmanki, na jednej piętrzyły się meble. Na płocie wisiała drewniana tabliczka z napisem "Na sprzedaż". Po przeżyciach z poprzedniego dnia Skelnik chciał opuścić Filadelfię jak najprędzej. Pogoda jest ładna, wiatr będzie mu sprzyjał, co znacznie przyspieszy jazdę, choć i tak do Redford dotrze za cztery godziny, nawet jeśli w połowie drogi uda mu się wymienić konie na wypoczęte. Spojrzał na zegarek - zbyt dużo czasu mu nie zostało. Przywiązał konie, zaciągnął hamulce i wyskoczył z załadowanych po brzegi sań. Dwóch mężczyzn wynosiło z domu dolną część regału na książki. W ogrodzie płonęło ognisko, wokół leżały stosy starych gazet i innych niepotrzebnych rzeczy, które Eph Tyler, lokaj doktora Wyngarda, w nieodłącznym żółtym szalu na szyi, dorzucał co jakiś czas do ognia. Zobaczywszy Skelnika, uklonił się i rzekł: - Pan doktor jest na górze. - A więc wy też wyjeżdżacie? - spytał Skelnik. Tyler wzruszył ramionami. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, zaraz jednak schylił się, wyjął z kosza rolę starej tapety i wrzucił do ogniska. Robert przecisnął się przez zastawiony meblami hol i wszedł na piętro do gabinetu, który w ciągu ostatnich lat odwiedzał, gdy tylko czuł, że powracają kłopoty z sercem. Doktor przeglądał jakieś stare dokumenty, a ponieważ w gabinecie nie było już ani stołu, ani krzeseł, siedział we wnęce okiennej na parapecie. Dopiero gdy Skelnik powtórnie zamknął za sobą drzwi, tym razem głośniejszy, Wyngard

podniósł głowę i popatrzył znad okularów - No, panie Skelnik, ciebie to już się nie spodziewałem! - zawołał. - Choć przecież co roku w Wigilię bywasz pan w Filadelfii. A gdzie Mary? Nie przyjechała? To czym nacieszę moje stare oczy? - Kilka kartek spadło na ziemię, ale doktor nie schylił się po nie, tylko szedł prosto do Skelnika. - A więc i ty się poddajesz, doktorze? - spytał Robert. - Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że wyjedziesz. Co tu się porobiło? Zawsze lubiłem to piękne i dumne miasto, ale po wczorajszych doświadczeniach wyjeżdżam stąd załamany. Nie było mnie tu dwa tygodnie i nie poznaję mojej dumnej Filadelfii! Córy Wolności! I tyś też dał się zastraszyć, doktorze? Wyngard zdjął okulary. - W wieku siedemdziesięciu lat mam chyba prawo wybrać, gdzie chcę czekać na śmierć? - Każdy powód wydaje się ważny. Proszę mi wybaczyć, doktorze, nie przypuszczałem, że w Filadelfii może dojść do paniki. Wszędzie, tylko nie tutaj! Jak to dobrze, że Mary tego nie widzi! Dwa tygodnie temu karetą ledwo się przecisnąłem, taki był ruch. W hotelu wszystkie pokoje zajęte, na schodach przed Kongresem siedzieli młodzi ludzie i z gazetami w ręku zawzięcie dyskutowali. Wczoraj nie było tam żywej duszy. Wystawy sklepowe puste, pozamykane kraty, coraz więcej opuszczonych domów z pozabijanymi oknami i drzwiami. Pewnie gdyby pożar spustoszył miasto, nie byłbym tak rozczarowany. W hotelu zawsze było wesoło, a wczoraj nawet nie miałem z kim zagrać w pokera! Wszyscy się zastanawiają, co i gdzie najkorzystniej sprzedać, dokąd najlepiej wyjechać. To miasto oszalało! - Doskonale cię rozumiem, ale jak zatrzymać ludzi, skoro sam Kongres wyniósł się z miasta? Wszyscy się boją. W Trenton stoją trzy regimenty heskie i nikt nie wierzy, że generał zatrzyma się tam dłużej. - Delaware w każdym razie nie przekroczy! - oznajmił stanowczym tonem Skelnik. - Chyba że bardzo mu zależy, aby dostać się do niewoli na naszym brzegu! - Już się nie zmienisz, Skelnik - rzekł doktor, nakładając okulary i przyglądając się mu bacznie. Było to już lekarskie badanie. - Właściwie to nie wiem, dlaczego cię przez tyle lat leczyłem. Wygląda na to, że brałem honorarium za darmo. Skelnik rozejrzał się po gabinecie. Kominek był wygaszony, dokładnie wymieciony, w pokoju panował ziąb. Tam, gdzie niegdyś stało biurko Wyngarda, na ścianie świeciła jaśniejsza plama: lekarski dyplom został zdjęty. - A jednak atak się powtórzył, doktorze - odparł Skelnik. - Te same objawy, taki sam strach jak poprzednio. Wyngard przecesał palcami siwe, kręcone włosy. - Czyżbyś miał być moim ostatnim pacjentem? Leżanka jeszcze jest - roześmiał się. Skelnik machnął ręką. - Szkoda fatygi. Proszę powiedzieć prawdę, doktorze. Ile jeszcze czasu mi pozostało? - Zamierzasz się żenić? Teraz i Skelnik się roześmiał. - Jesteś pan drugą osobą, która mnie o to pyta! Nie zamierzam! To jaka jest prawda, doktorze? - powtórzył pytanie z powagą w głosie. - Prawda! Kiedyś zajmowałeś się chemią, więc dobrze wiesz, że cały świat, w tym również człowiek, składa się z drobnych elementów. Nie inaczej jest z prawdą: to także ściśle połączone elementy. - To wymijająca odpowiedź. - A czego się spodziewasz? Że znam się na przepowiedniach? Pewnie chcesz pójść na wojnę i łatwiej byłoby ci zginąć, gdybym teraz oznajmił, że i tak wkrótce musisz umrzeć? O nie! Ja ci takiego argumentu nie dam do ręki! Zresztą wiele razy to powtarzałem: pański przypadek nie podpada pod medycynę. - Zatem kto może mi pomóc? - Wróżbita, cudotwórca, sam nie wiem. Po prostu nie wiem! - rzekł doktor ze złością i zaraz przeprosił. - Nikt nie lubi przyznawać się, że czegoś nie wie, a już najbardziej lekarz. Kiedy przyszedłeś do mnie pierwszy raz, panie Skelnik, byłem przekonany, że za pół roku będzie po wszystkim. Ale minęło dziesięć lat, ty wciąż żyjesz, a ja nie mam pojęcia, dlaczego mimo zdrowego serca raz po raz dostajesz zawału. W żadnych mądrych księgach takiego przypadku jeszcze nie opisano, choć z tego, co widzę, przeżyjesz nie tylko mnie, ale i wielu swoich rówieśników, o ile oczywiście nie spadniesz z konia i nie skrećisz karku! Pożegnał się z doktorem w nieco pesymistycznym nastroju, który długo mu towarzyszył. Oprócz nowych płóz, Jonathan Whitecombe wyposażył sanie w nowe resory, dzięki czemu mknęły po śniegu jak po stole. Obok i z tyłu piętrzyły się stopy kolorowych pakunków i one to przypomniały

Skelnikowi o świętach, przywołując na pamięć poprzednie świąteczne wyprawy do Filadelfii. Ruch na trakcie był niewielki. W pobliżu miasta Robert spotkał zaledwie kilku powracających z zakupów wieśniaków, później jechał zupełnie sam. Dwa czy trzy razy minął sanie jadące w przeciwnym kierunku. Słońce stało wysoko, z południa wiał dość silny, ciepły wiatr. Śnieżna powłoka topiła się i przyklejała do płóz, utrudniając koniom utrzymanie tempa. Jeżeli kierunek wiatru się nie zmieni, śnieg zniknie równie szybko, jak napadał. Robert rozpiął płaszcz, i futrzaną czapę odłożył na siedzenie. Około pierwszej dotarł do stacji. Czekał na zmianę koni, zauważył nadciągające z zachodu ciemne ciężkie chmury. Zmieniający kierunek wiatr przyniósł pierwsze, pojedyncze płatki śniegu. Niebo zaciągnęło się błyskawicznie, śnieg padał coraz gęściej. Kiedy Robert dojechał do miejsca, gdzie odbijała droga do Redford, śnieżycą rozszalała się na dobre. Czapraki, które zdążył zarzucić koniom na grzbiety, pokrywała spora warstwa białego puchu. Sanie sunęły bezszelestnie, a skrzypienie upręży dochodziło z oddali, jakby z jadących za śnieżną kurtyną drugich san. Robert z trudem dostrzegł kępę rosochatych dębów, wyznaczających południową granicę jego posiadłości. Pozostały tu po pradawnej dębowej puszczy. Przerzedzone, z daleka wyglądały jak mury ogromnej twierdzy. Nagle na białej równinie Skelnik dostrzegł ciągnące ku dębom zastępy wojska. Kolumna szła traktem wprost na niego. Chciał zjechać z drogi, lecz zasy były już zbyt wysokie. Nie spodziewał się tego spotkania: według planów wojska miały opuścić obóz dopiero koło trzeciej. Zatrzymał sanie, a przechodzący obok żołnierze w mig wydeptali w głębokim śniegu ścieżkę. Szli w milczeniu, słychać było tylko skrzypienie śniegu pod ich butami i uderzenia toreb z nabojami o biodra. Ciężkie plecaki wrzynały się w ramiona, niektórzy mieli drugą strzelbę, należącą do tych, co z tyłu kolumny nieśli łodzie. Robert zaciągnął cugle, wtułił głowę w wywinięty kołnierz, ręce wsadził głęboko w kieszenie i obserwował mijające go oddziały. Nie zauważył dwóch jednakowych mundurów. Każdy włożył to, co zostało mu po letniej kampanii, przeważnie mocno połatane łachmany: jedni skórzane obcisłe spodnie do kolan, drudzy wełniane, sięgające kostek. Do tego brązowe bluzy we wszystkich odcieniach, jakie tylko można uzyskać przez farbowanie w dębowej korze. Wełniane płaszcze, w których podczas marszu byłoby za gorąco, żołnierze pozwijali i przytroczyli do plecaków. Uzbrojenie wcale nie wyglądało lepiej od umundurowania. Niektóre strzelby pamiętały jeszcze podbój Kanady, inne zdobyto od Hiszpanów w czasie rebelii w Savannah, jeszcze inne angielski król odebrał Francuzom po bitwie o Louisbourg, a potem za ciężkie pieniądze sprzedał osadnikom. Jedno, co nie różniło przesuwających się koło san Skelnika żołnierzy, to były ich twarze: bez wyrazu, z oczami utkwionymi przed siebie. Byli podobni do siebie jak bracia. Robert zastanawiał się, dlaczego właściwie nie jest teraz wśród nich? Wyprodukował proch, sprowadził mnóstwo broni i obuwia, kobiety uszyły płaszcze, utkały koce, ale czy to wystarczy? Pytanie doktora, które znowu zabrzmiało mu w uszach, nie było pozbawione sensu, gdyż rzeczywiście nie raz poważnie się zastanawiał, czy nie zaciągnąć się do armii. Przez chwilę odprowadzał wzrokiem odchodzącą kolumnę. Konie, które dotąd kręciły się niespokojnie, teraz otrząsnęły śnieg z grzyw i ostro ruszyły przed siebie. Robert myślami wrócił do odprawy generała z oficerami. Był tam obecny. Przed oczyma stanęła mu mapa i sunący po niej drewniany wskaźnik. Niebieska linia wzdłuż Delaware - ośmiuset żołnierzy - to część z tych, którzy przed chwilą przemaszerowali. Strzałka przecinająca rzekę dziesięć mil na południe od Trenton - tam jeszcze dziś ma się przeprawić niewielki oddział, pozostałe jutro. Ich zadaniem jest zmylenie Hesów i odwrócenie ich uwagi od właściwego miejsca przeprawy Armii Kontynentalnej - na wysokości Redford. Stąd po nocnym przemarszu wojska okrażą Trenton a o świcie uderzą na Hesów. Patrząc na mapę, Skelnik był pewny, że operacja się powiedzie, teraz wszakże, widząc brnących w śniegu, źle uzbrojonych żołnierzy w łachmanach, ogarnęły go wątpliwości. Wiatr ucichł, jakby przytłumiony gęsto sypiącym śniegiem. Mimo wczesnego popołudnia wyraźnie zaczynało się ściemniać. Robert minął obozowisko Armii. Wczoraj

wznosiły się tu jeszcze rzędy namiotów, dziś świadczyły o tym tylko wielkie kwadraty, przysypane grubą warstwą świeżego śniegu. Po obozowych ogniskach pozostały wydeptane kręgi i czarne kratery, w których z popiołu unosiły się gdzieś smutki dymu. Miało się wrażenie, że obozowała tu armia olbrzymów. Z daleka dochodziło głucho regularne bicie w bębny, na bezkresnej białej równinie widać było ciemną smugę maszerujących kolumn. Przy wjeździe pomiędzy pierwsze drzewa cedrowej alei Robert otrzepał śnieg z ramion i czapki, popędził konie. Za zakrętem dostrzegł galopującego ku niemu jeźdźca na białym wierzchowcu. Po długich ciemnych włosach poznał, że może to być tylko Mary. Zatrzymał sanie i wyskoczył, by pomóc jej zsiąść. Ona jednak była szybsza: nim się spostrzegł, rzuciła mu się na szyję. - Co jest? - spytał. - Co się dzieje? Ręce miała zziębnięte, kosmyki włosów przysłaniały jej twarz. Robert zrobił jej miejsce w saniach, podsadził i opatulił kocem. Przywiązał jej siwka do sań i ruszyli. Mary przytuliła się, pocierając pod kocem zgrabiałe dłonie. Zadawanie jakichkolwiek pytań nie miało sensu. Skelnik objął ją jedną ręką, drugą trzymał cugle. Sanie skakały przez chwilę po zmarzniętej grudzie, w końcu trafiły w wyłobione poprzednio koleiny i jazda stała się spokojniejsza. Słysząc wyraźniejszy stuk kopyt końskich i dochodzące z oddali, bezustanne bicie w bębny. Mary odsunęła koc i chwyciła Skelnika za rękę. - On wyjechał! - rzekła z poważną miną. - Wyjechał, słyszysz? - Sam? - Nie, z Soermanem. - Rozmawiałaś z nim? Potrząsnęła głową. - Jan Kyllogs ich widział, jak wyprowadzali ze stajni konie. Robert powiedział mu, że jadą do leśniczówki, bo umówili się z Jeanem Danielem na polowanie. Jean przyjechał na wigilijną wieczerzę - o żadnym polowaniu nie słyszał, a tych dwóch widział jadących w stronę rzeki. Chciałam pojechać za nimi. Skelnik spuścił głowę. - Dobrze, że tego nie zrobiłaś. Mary odsunęła się od niego gwałtownie. - Oczywiście ty o wszystkim wiedziałaś, tak? - oburzyła się. - Nie powiedział mi ani słowa, ale czułem, że to zrobi. - To czemu go nie zatrzymałeś? - I tak by mi się nie udało. - Mój Boże! Dlaczego dla tej wojny jesteście gotowi zrobić wszystko? Chcesz czekać, aż tak jak Compsonowi przywieżą ci syna na marach? To nie ma sensu! Przebył taki kawał drogi, cudem uniknął śmierci, byłeś szczęśliwy, a teraz pozwalasz mu odejść? - A ty pozwoliłaś odejść Johnowi? - To było coś zupełnie innego. Wjechali na dziedziniec. Z drzew spadały lawiny śniegu. - Dzieci już czekają? - spytał Skelnik. Skinęła głową. Przed samym domem zrobiło się jaśniej. Niebo miało lekko fioletową barwę, śnieg wydawał się różowy. Ciemnoszare chmury przesunęły się nisko nad dachem dworku, ściany z czerwonej cegły były teraz niemal czarne, jedynie weranda i drewniana boazeria pierwszego piętra pozostały białe. Silny podmuch wiatru przeleciał przez podwórze. Pochodnie przygasły, zaraz wszakże na nowo buchnęły jasnym płomieniem. Mieszkańcy Redford czekali przed dworkiem: mężczyźni przy portalu, kobiety u podnóża schodów, dzieci na przodzie. Wszystkie twarze odwróciły się w stronę nadeżdżających sań. Zaprzęg stanął, ucichły dzwonki przy chomątach, dzieci otoczyły sanie kołem. Wszystko odbywało się jak w każde z dotychczasowych świąt w Redford. Trenton Zostaliście sprzedani, i po co? Obcymi statkami przewieziono Was za ocean, niczym bydło przeznaczone na rzeź! Kazano Wam zabijać ludzi, którzy nie uczynili Wam nic złego, a którzy jedynie domagają się swoich słusznym praw. Nie powiedziano Wam nawet, z kim tak naprawdę walczyacie, pamiętajcie więc, że natraficie na opór ludzi odważnych, pracowitych i upartych. Takich samych jak Wy! Wam kazano opuścić domy i walczyć dla obcych, oni są u siebie i bronią własnej ziemi. Wy będziecie tam tylko bandą awanturników z za oceanu. Oszukani, poniżeni i sprzedani niemieccy żołnierze! Jeżeli już musicie opuścić splamioną przez despotów rodzinną ziemię, podajcie Waszym amerykańskim braciom przyjacielską dłoń i uczcie się od nich, jak można być wolnym i szczęśliwym narodem. Fragment ulotki Rady dla Hesów i innych narodów niemieckich, sprzedanych Anglii przez swoich książąt wydanej przez Mirabeau w Cleve w 1777 roku. 44 Wichura zerwała Robertowi futrzaną czapkę z głowy, jego blond włosy pociemniały, przemoczone od śniegu. Północno-wschodni wiatr wiał z taką

siłą, że chwilami konie przebierały nogami w miejscu, mimo to obaj jeźdźcy wciąż je popędzali. Im bliżej rzeki, tym wichura przybierała na sile, jakby chciała powstrzymać maszerujące ku Delaware oddziały i zmusić je do pozostania na tym brzegu. Soerman i Robert stanęli na wzniesieniu w pobliżu przystani promowej, którą po kilku tygodniach przerwy uruchomiono ponownie, by przeprowadzić wojsko. Promem przewożono tylko działa, amunicję i konie, żołnierze natomiast płynęli rybackimi łodziami albo tratwami, dawniej służącymi do transportu towaru. Woda w rzece podniosła się, nurtem płynęło coraz więcej kry i najbezpieczniej dla łodzi było w pobliżu promu, który je osłaniał. - Musimy podjąć decyzję - rzekł Soerman. - Jeśli chcemy płynąć łodzią, trzeba będzie zostawić tu konie. Robert milczał. Może pod wpływem wichury wpadł w dziwny stan upojenia, czuł taki przypływ sił, że mógłby przenosić góry. Trzymał rękę na karku swojego wierzchowca, który przy każdym silniejszym podmuchu drżał ze strachu, i wpatrywał się w prom, przeładowany armatami, skrzyniami z amunicją i końmi, kołyszający się na napiętej do granic wytrzymałości linie i obijany z lewej burty płytami kry. - Bez koni nasza przeprawa nie ma sensu - przemówił wreszcie. Soerman wytarł mokrą twarz. - Masz zamiar się wycofać? - Myślę tylko o tym, co przydarzyło nam się poprzednio - odparł Robert i ruszył po zboczach w dół. Z szeregów oczekujących na przeprawę odłączył się jeden z kawalerzystów i skierował ku nim. Kapelusz z biało-niebieską kokardą miał nasunięty na czoło i dopiero z bliska Robert rozpoznał porucznika Blytha, który tak gwałtownie zatrzymał konia, że z szerokiego ronda kapelusza wylała mu się na twarz woda. Prychając, uśmiechnął się. - Jak dalej tak gładko pójdzie, zaskoczemy ich w pieleszach. Panowie nie wybieriecie się z nami? - spytał. Jeszcze wczoraj Robert dałby głowę, że porucznik jest dużo starszy od niego, dziś wydał mu się kipiącym energią dwudziestolatkiem. - A znajdziecie dla nas miejsce na promie? - zaryzykował. - Z przyjemnością! Bardzo nam się przyda ktoś, kto dobrze zna tamten brzeg. - Przykro mi, ale na nas nie możecie liczyć, poruczniku. Rzeczywiście mamy na tamtym brzegu pewne sprawy do załatwienia i bylibyśmy wdzięczni za przewiezienie, ale w żadne wojskowe akcje nie damy się wplątać. Porucznik poluzował pasek przytrzymujący kapelusz. - Chcielibyście być w Trenton przed nami? - spytał podejrzliwie. - Niekoniecznie. - Przypadkiem moglibyście ostrzec wroga... - Wciąż jeszcze nam nie ufacie? Po chwili milczenia Blyth odjechał w kierunku przystani. Prom wracał akurat z przeciwnego brzegu; z wiatrem przejazd trwał krócej. Robert i Soerman dołączyli do porucznika i czekali, aż prom zacumuje. Przewoźnicy w wysokich do pachwin butach i juchtowych płaszczach, przemoczeni do nitki, zeszli na ląd, by pomóc żołnierzom wtoczyć dwie ciężkie haubice i przenieść kilka skrzyń z amunicją. Zostało jeszcze trochę miejsca dla koni - porucznik dał znak Robertowi i Soermanowi, by wsiadali, i jako ostatni też wszedł na prom. Przerażone konie trzeba było trzymać oburącz, żeby nie wyskoczyły w momencie odbijania od brzegu. Wszyscy trzej stali obok siebie, zapatrzeni w ciemnozieloną wodę i rozbijające się z trzaskiem o burtę lodowe kry. Niektóre usuwały się bokiem, inne nurkowały i ocierając się złowieszczo o dno promu, z rozpędem wynurzały się przy drugiej burcie, jakby wydostały się z groźnej pułapki. Jakieś sto jardów od brzegu wiatr nagle stracił impet, powstrzymany przez wysoką nadbrzeżną skarpe. Robert i Soerman poczekali, aż wszyscy zejść na brzeg. Blyth zniknął w zamieszaniu, a oni ruszyli wzdłuż skarpy w górę rzeki, w kierunku przeciwnym do przeprowadzających się wojsk. Połacie raz świeżego, raz zamarznętego śniegu uniemożliwiały szybką jazdę - konie mogły w każdej chwili się pośliznąć. Nad ich głowami wiatr spadał na płaski brzeg i z wyciem mknął nad wzburzoną rzeką. Głosy żołnierzy dolatywały coraz słabiej, w końcu całkiem ucichły. Robert od czasu do czasu wyjeżdżał na wierzchołek skarpy albo, gdy była niższa, stawał w strzemionach i rozglądał się po okolicy, jakby czegoś lub kogoś szukał. Wreszcie znalazł: pasterski wóz bez jednego koła ledwo wystawał z zasy. - Jedź dalej - rzekł do Soermana - a ja zobaczę, co zrobili ze zwłokami Niklasa i Plötza. Szwed pokiwał głową. - I tak ich nie znajdziesz. Rozdzielili się, wkrótce

jednak Robert dołączył do jadącego wzdłuż brzegu Soermana. - Zabrali ich - oznajmił. - A co myślałeś? Przecież twój przyrodni braciszek nie mógł przepuścić okazji, by pokazać żołnierzom, jak kończą dezerterzy. Jak go znam, to wcześniej wystarał się o wyrok śmierci. Dla nas zresztą też. - Chciałem się tylko upewnić... - Co zamierzasz robić dalej? Wjedziemy do Trenton ot tak? Chyba masz jakieś plany? Robert milczał. Planów oczywiście nie miał, jedno tylko wiedział na pewno: w ciągu tej nocy lub jutrzejszego dnia sprawa z Clausem zostanie zakończona. - Jedźmy szybciej - rzekł. Minęli miejsce, gdzie miały przeprowić się wojska wysłane dla zmylenia Hesów. Ze śniegiem zaczął padać deszcz, i to tak mocny, że pojedyncze krople wydawały się twardsze od gradu. Soerman owinał głowę wełnianym szalem, zasłaniając prawie całą twarz. Jechali blisko siebie i zamieniali się miejscami, tak aby zawsze tylko jeden był wystawiony na wściekłe ataki wichury. Co pewien czas zsiadali i usuwali bryły mokrego śniegu, oblepiającego końskie grzywy i czoła. Skręcili na drogę przecinającą górujący nad okolicą płaskowyż. Zupełnie stracili rachubę czasu. Od kilku godzin wydawało im się, że lada chwila zrobi się ciemno, a mimo to wieczór nie nadchodził. Wokół żywej duszy. Jeżeli na horyzoncie pojawiały się zabudowania, to i tak wyglądały na wyludnione. A przecież dwa tygodnie wcześniej maszerowali tą drogą, tyle że w przeciwnym kierunku, gdy z heskimi regimentami, przy dźwiękach werbli szli do Trenton! Wówczas niebo było błękitne, słońce przypalało im odsłonięte karki. Dziś znaleźli się w zupełnie innym świecie, jakby dopiero przed chwilą stworzonym, w którym prócz nich dwóch nie było jeszcze nikogo. Za zakrętem zobaczyli płonące zabudowania. Płomienie barwiły krawędzie nisko sunących chmur na czerwono, w powietrzu unosił się swąd spalenizny. Gdyby nie on, mogłoby się wydawać, że to tylko złudzenie, obraz namalowany przez artystę. Robert dopiero po chwili zorientował się, że jest to prawdziwy pożar. Zjechali z drogi. Po kilkudziesięciu krokach zobaczyli, że pali się wielka stodoła. O strzechę była oparta długa drabina, stał na niej mężczyzna, a dwie kobiety nosiły wiadrami wodę. Ich wysiłki niweczył wiatr, przenosząc ogień z jednego miejsca na drugie. Robert i Soerman zeskoczyli z koni i przywiązali je przy domu, po czym podbiegli do stodoły. Paliła się w wielu miejscach aż po kalenicę - o uratowaniu jej nie mogło być mowy. Zanim umorusany sadzą mężczyzna zszedł z drabiny, Robert długim bosakiem otworzył na oścież wrota. - Co wyprawiacie? Kim jesteście? - krzyczał oburzony gospodarz. - Z tej stodoły już nic nie będzie. Jak ogień dostanie powietrza, szybciej ją strawi i zgaśnie - przekonywał Robert. Spod dachu wypęzły płomienie, wzmagając się przy każdym silniejszym podmuchu wiatru. Przez otwarte wrota wypadały płonące wiechcie słomy, które wiatr błyskawicznie roznosił po ośnieżonej okolicy. Po chwili zachwiały się nadwerężone krokwie i z hukiem runęły do wnętrza, wzniciając snopy iskier i kłęby czarnego dymu. Stali wszyscy z daleka i patrzyli na sterczące ze zgliszczy zwęglone belki i smugi dogasającego ognia. Młodsza z kobiet nagle wybuchnęła płaczem. Starsza objęła ją ramieniem i zaprowadziła do domu. - Jak to się stało? - spytał Robert zrozpaczonego farmera. Popatrzył na niego zdziwiony. - Wyście chyba z daleka, skoro stawiacie takie głupie pytanie? - Rzeczywiście, jedziemy do Princeton - wyjaśnił skwapliwie Robert. - Tam też już są! Oni są już wszędzie! - Wieśniak zacisnął pięści, nie wyjmując rąk z kieszeni wełnianej bluzy. - Przekłęci Hesi! Specjalnie czekałem ze świniobiciem do pierwszego dnia świąt, bo myślałem, że przynajmniej w Boże Narodzenie dadzą nam trochę spokoju. Czort jeden wie, jak się dowiedzieli? Nagle, jak spod ziemi, zjawiło się trzech. Mało, że zabrali oprawionego już wieprza, mnie poturbowali, to jeszcze na odchodnym podpalili stodołę! I postraszyli, żeby przypadkiem nie poskarżył się komendantowi. - Wieśniak aż trząśił się ze złości, ale popatrzył na przybyszy i nagle zmienił ton: - Chcecie w taką wichurę dojechać do Princeton? - Nie musimy, o ile znajdzie się dla nas miejsce do spania. - Jak chcecie spać w kuchni, to zostańcie. Tam zresztą jest najcieplej - odrzekł wieśniak i ruszył w stronę domu. Przystanął koło uwiązanych przy drzwiach koni i przyglądał im się z zainteresowaniem, jakby nie wierzył własnym oczom. - Od dawna po tej

stronie Delaware nie ma tak pięknych koni. Szczerze wam radzę, panowie, jeśli chcecie je zachować, nie jedźcie przez Trenton. Najpierw pozabierali nam konie ci przekłęci Hesi! - Farmer zacisnął pięść i odwróciwszy się, pogroził nią komuś niewidocznemu. Robert spojrział w tamtą stronę i ze zdziwienia aż otworzył usta: z tego miejsca było widać Trenton jak na dłoni! Pomiędzy przysypanymi śniegiem dachami domów, w bladożółtym świetle ognisk stały namioty heskich wojsk, nieco dalej na białym tle rysowała się zielona wstęga Delaware. 45 Pułkownik Rall zajął całe piętro w domu doktora Banksa, lecz korzystał tylko z dużego pokoju wyłożonego boazerią, którego okna wychodziły na Delaware. W obu znajdujących się tam kominkach płonęły grube szczapy, a od gorąca powyginały się długie świece w lichtarzu. W powietrzu przesyconym tytoniowym dymem czuć było mocny zapach cynamonu i goździków, unoszący się z podgrzewanego na ogniu ponczu. W świetle płomieni czerwonego odcienia nabrały nie tylko ściany i meble, ale też ciemniejące o zmierzchu szyby. W pokoju królował duży okrągły stół, na którym oprócz mnóstwa książek leżały mapy geograficzne i sztabowe. Siedział przy nim pułkownik, zagłębiony w lekturze. Dla sierżanta Luiba był to niezwykle widok, bo jak długo był ordynansem pułkownika Ralla, nigdy nie widział go z książką w ręku, nie licząc oczywiście ksiąg rejestrowych regimentu. Nie zdziwił się więc, że pułkownik nie odpowiedział na jego pukanie, a na wejście zareagował gniewnym pomrukiem. Luib wolał pozostać w progu. - Siadaj, Luib, i posłuchaj - odezwał się Rall, nie podnosząc głowy znad książki. - W Filadelfii strażnicy nocni oznajmniają nie tylko godziny, ale i pogodę: kierunek wiatru, temperaturę, o której wszędzie słońce i księżyc, no i czy będą opady. Pracuje tam dwudziestu ludzi, którzy zajmują się wyłącznie przepowiadaniem pogody. Ta Filadelfia wciąż zaskakuje mnie czymś nowym! Luib nie usiadł, a gdy zobaczył, że Rall na chwilę oderwał się od książki, szybko zameldował: - Przyjechał posłaniec, porucznik Morgan z Princeton. - Anglik? Niech z nim rozmawia major Haynau. - Major właśnie przysłał go do pana... - Tylko mi zawraca głowę! Niech Anglik czeka, a ty usiądź wreszcie, bo jak sterczysz, to tylko działasz mi na nerwy. Luib, ociągając się, podszedł do stołu. W ciągu ostatnich dwóch tygodni znowu schudł, choć wcale już nie pościł - wystarczyło, że przekroczył próg tego pokoju i od razu na cały dzień tracił apetyt. Na jego niegdyś pyzatej, zadowolonej twarzy obecnie gościła wyłącznie powaga i zatroskanie. To wszystko przez te cholerne księgi! A zaczęło się już pierwszego dnia, kiedy zakwaterowali w tym domu. Najpierw Rall kazał sobie przynosić po jednej książce z biblioteki doktora, potem całymi naręczami, a dziś leżały już wszędzie: na stole, na krzesłach, na parapetach okien, na kanapie. By spełnić polecenie pułkownika, Luib musiał najpierw uprzątnąć książki z krzesła. - Ten Anglik przywiózł pilny meldunek - nie poddawał się. - Koń zziąpany, pędził całą drogę galopem. A jak w taką pogodę Anglicy zdecydowali się wysłać go do Trenton to musi chodzić o coś bardzo ważnego. - Zamilkł w końcu, widząc, że Rall nie słucha. - W tych stronach występują bardzo duże różnice temperatur - odezwał się Rall znad swojej książki. - W maju zeszłego roku w ciągu dnia było według tej nowej skali 25 stopni, a w nocy przyszedł taki mróz, że na drugi dzień szpital zapełnił się ludźmi z odmrożonymi dłońmi i stopami. Latem w Filadelfii bywa nawet 50 stopni ciepła i trzeba dachy polewać wodą, bo belki mogłyby się same zapalić. W lutym niekiedy jest ciepło jak w lecie, a w maju nagle pada śnieg, że nie da się karetą wyjechać na ulice. Na Delaware są wyspy, na których można uprawiać banany i cytryny, bo są tam gorące źródła. - Odłożył książkę. W ciszy słychać było jedynie trzask palących się szczap i stukanie nie domkniętej okiennicy po drugiej stronie domu. - Czy ty wiedziałeś, Luib, że mieszkańcem Filadelfii jest pruski król? Ma tu swój dom! Drewno kazał przywieźć zza oceanu, z Fryzji, a całą budowę zakończono w ciągu jednej nocy, wyobrażasz to sobie? Teraz jest tam zajazd, ale jak wejdziemy do miasta, to urządzimy w tym domu naszą główną kwaterę. Luib znał tę śpiewkę, Ralla interesowały tylko dwie rzeczy: Filadelfia i pogoda. To była wręcz obsesja, z każdym dniem przybierająca na sile. - Jeszcze jesteśmy w Trenton - burknął ordynans

niegrzecznie, co dotychczas nigdy mu się nie zdarzyło. - Ale nie na długo, mój drogi, nie na długo! - odrzekł Rall zadowolony. Za oknem zabrzmiała trąbka, Luib zerwał się i wyjrzał. Kiedy sygnalista zatrąbił powtórnie, sierżant wyjaśnił: - Na farmie w pobliżu Trenton trzech żołnierze ukradli wieprza i podpalili stodołę. Przyłapał ich major Haynau i kazał każdemu wymierzyć po pięćdziesiąt batów. Właśnie zaczęła się egzekucja. - Trzech ich było? A z którego regimentu? - Od Linsinga. Skoro nie byli to jego żołnierze, Rall mógł wrócić do lektury. Luib i z tym nie mógł się pogodzić. Pułkownika przestało obchodzić, że śnieg zasypał magazyn z prochem, że nie dostarczono zamówionej mąki, że feldkurat zarządził ogólną spowiedź i rozdaje komunię, że jeden z żołnierzy zachorował na tyfus i trzeba go wieźć do Nowego Jorku. Takie zachowanie dowódcy było na rękę oficerom, zwłaszcza majorowi von Haynau. Gdy sierżant sobie o tym przypomniał, aż poczerwieniał ze złości. - Od wielu dni nie kontrolowaliście posterunków, panie pułkowniku - rzekł z wyrzutem w głosie. - Nie wydajecie rozkazów dziennych, a tacy ludzie jak Haynau tylko na tym korzystają. Ślęczycie nad księgami, gracie z doktorem w szachy, a pewnie nawet nie wiecie, że napadało po pas śniegu i na Delaware pojawiła się kra. - Zdawał sobie sprawę, że takim tonem nie wolno mu rozmawiać z przełożonym, ale było mu już wszystko jedno. W oddali zabrzmiała znowu trąbka, tym razem towarzyszyły jej strzały. Huk ucichł i dopiero wówczas Rall odłożył książkę i zaczął szukać pod stołem pantofli. Wstał ociężale. - Coś mówiłeś o angielskim posłańcu? Luib odruchowo cofnął się o krok, by zachować przepisowy odstęp od przełożonego. - Przysłał go generał Leslie - zameldował. - Mówi po niemiecku? - Kiepsko, ale można zrozumieć. Rall pozapinał guziki. - Dobrze, że przynajmniej się starają. Luib przyniósł buty, które pułkownik odsunął ze złością. - Chyba nie wyjdziecie do tego Anglika w pantoflach? - przestraszył się sierżant. - Dawniej nie zdejmowaliście butów od rana do wieczora! - O ile sobie przypominam, też ci się to nie podobało - roześmiał się Rall i wyszedł, jak stał: w pantoflach i przybrudzonych skarpetach. Luib ruszył za nim, klnąc po cichu. Dom doktora nie miał werandy, tylko drewniany taras bez poręczy przed głównym wejściem. Latem stała tu ławka dla pacjentów, którzy woleli czekać na świeżym powietrzu, zamiast gnieść się w ciasnym korytarzu. Przy drzwiach paliły się dwie latarnie. Taras nie był zamieciony, z jednej strony utworzyła się zaspą śniegu. Porucznik przemierzał taras tam i z powrotem, najpierw żeby po forsownej jeździe rozprostować trochę kości, potem, bo zrobiło mu się zimno. Gdy wreszcie stanął przed Rallem, zasalutował i wyjąwszy z mankietu kopertę, podał ją pułkownikowi. - Jedna wiadomość od generała Leslie - zameldował. Luib wziął kopertę, złamał pieczęć i osłupiał. - To jest po angielsku! - Wrzucić do pieca! - warknął Rall. Anglik nie był pewny, czy dobrze zrozumiał. - To bardzo ważna! - wyjąkał. - My dostaliśmy sprawdzoną wiadomość, że generał Waszyngton przygotowany się do przekroczenia Delaware River. Rall nie odzywał się, aczkolwiek wyraźnie czekał na dalsze wyjaśnienia. - Przechwycone zostały listy - rzekł Anglik. - Generał Waszyngton chce zająć Trenton jeszcze w ten rok. - Hm, generał chce zająć Trenton, chce przekroczyć Delaware, a ustaliliście, czy przyjdzie sam, czy też z wojskiem? Anglik chciał zaprotestować, jednakże Rall powstrzymał go ruchem ręki. Drogą prowadzącą od mostu na Assanpinku zbliżał się oddział żołnierzy, wyraźnie kierując się w stronę domu doktora. Na czele jechał adiutant Wardein, dwóch jeźdźców z trudem trzymało się w siodłach, chyba byli ranni. Wardein, z trudem łapiąc oddech, zawołał: - Oni przeprawiają się przez rzekę! Rall roześmiał się. - Tylko proszę mi nie mówić, że widziałeś całą armię Waszyngtona! Nigdy nie podejrzewałem, że tak łatwo tracisz głowę, Wardein. Ilu się przeprawiło? - Pięćdziesięciu, może nawet stu. - Czym przepłynęli? - Łodziami. Zaatakowali nasz posterunek przy drodze do Bordentown. Jeden strażnik poległ, dwóch zostało rannych. - Ilu rebeliantów zginęło? - spytał obojętnym tonem Rall. Wardein z trudem utrzymywał niespokojnego konia. - Moim ludziom udało się odeprzeć atak, przejeżdżaliśmy tam przypadkowo. Pięciu rebeliantów padło, pozostali uciekli łodziami na drugi brzeg. Rall słuchał, uśmiechając się ironicznie. -

Jesteś zadowolony? Masz pan wreszcie tę swoją wielką bitwę, Wardein, o której krakałeś codziennie, odkąd weszliśmy do Trenton. - Mam ogłosić alarm, panie pułkowniku? Rebelianci mogą ściągnąć posiłki i uderzyć ponownie. - Który regiment ma dzisiaj służbę? - spytał Rall. - Pański, panie pułkowniku. Na chwilę zapadła cisza. - Wystawcie nową wartę przy drodze do Bordentown w takiej liczbie jak poprzednio. Reszta regimentu pozostanie w kwaterach, a swoim ludziom proszę wydać dodatkową porcję rumu - rzekł Rall i wszedł do domu. Luib przysłuchiwał się tej rozmowie z mieszanymi uczuciami: satysfakcjonowało go, że nie tylko jego Rall nie słucha, a równocześnie bał się, że takie zachowanie pułkownika nic dobrego nie wróży. Żołnierze z oddziału Wardeina podjechali bliżej, dwóch zeskoczyło z koni i pomogło zejść jednemu z rannych. Był półprzytomny, z jego lewej ręki płynęła krew, znacząc czerwone ślady na śniegu. Wardein zwrócił się do Luiba: - Gdzie jest doktor? Nie mógłby zająć się rannym? Sierżant pokręcił głową. - Lepiej zanieście go do felczera, bo pan doktor dla żadnego Hesa nie kiwnie nawet palcem - odparł, zwinął kartkę, którą cały czas trzymał, oddał Anglikowi i podążył za Rallem. Na doktora Banksa sierżant Luib patrzył podejrzliwie już od pierwszego spotkania, teraz zaś wręcz go nienawidził, jakby to doktor był winny, że Rall wprowadził się do jego domu. W rzeczywistości było na odwrót - doktor ostro protestował - dla sierżanta wszakże nie był to żaden argument. Uważał, że pułkownik dał się złapać w pułapkę, i pilnie śledził każdy krok doktora, podслуchiwał pod jego drzwiami, a gdy wyjeżdżał do pacjentów, Luib wysyłał za nim zaufanego żołnierza. Nie miał żadnych wątpliwości, że to pod wpływem doktora pułkownik zmienił się nie do poznania. To przecież Banks podsuwał mu książki i mapy ze swojej biblioteki, to on grał z nim w szachy, często do północy, a nawet do samego rana. Rezultat był taki, że upojony ponczem pułkownik gramolił się z łóżka gdzieś koło południa! Dziś będzie dokładnie tak samo. Czas płynie, a ilekroć Luib zajrzy do salonu doktora, nic tam się nie zmienia: doktor i pułkownik siedzą przy owalnym stoliku nad szachownicą. Całymi godzinami gracze milczą. Dziwna to para: heski pułkownik, nie rozumiejący ni w ząb po angielsku, i amerykański lekarz, który nigdy nie wymówił słowa po niemiecku, przynajmniej w obecności Luiba. Tym było to dziwniejsze, że popijali gorący poncz, po którym języki raczej powinny im się rozwiązać. Grubo po północy skończyli wreszcie partię. Luib zdążył się zdrzemnąć na ławie w korytarzu, teraz się zerwał, by pomóc pułkownikowi wejść po schodach. Rall z trudem stawiał kroki. W swoim pokoju zwał się na łóżko, odwrócił twarzą do ściany, coś pomamrotał i prawą ręką pociągnął za sznur opuszczający kotarę. Po chwili regularnie chrapał. Luib znał pułkownika od lat i często widywał go pijanego, tym razem jednak nie było to zwykłe upojenie. Ono chyba nie miało nic wspólnego z wypitym u doktora ponczem. Sierżant zgasił dopalający się coraz słabszym płomieniem lichtarz, drugi, na kominku, zgasł sam; można było iść spać. Choć w sąsiednim pokoju mieściła się jego sypialnia, Luib sprzątnął z sofy książki i położył się, owinięty w koc. 46 Kiedy się zbudził, za oknem już szarzało. Koc zsunął się na podłogę, sierżanta okropnie bolały plecy. Zza kotary dochodziło ciche chrapanie Ralla. Luib rzucił okiem na zasłany książkami stół, sięgnął po jedną z nich, przewertował i pogłodził czarny grzbiet z wytłoczonym złotym napisem. Decyzję podjął błyskawicznie: rozłożył na podłodze koc i zaczął na nim układać książki, najpierw te ze stołu, potem z krzesel, parapetów i spod ściany, wreszcie dorzucił mapy i atlasy. Rozejrzał się, czy przypadkiem którejs nie przeoczył. Związał cztery rogi i zarzuciwszy sobie ciężki tobolek na plecy, wyszedł. W bibliotece na parterze Luib rzucił koc z książkami na ziemię, pokręcił głową, jakby się dziwił, że starczyło mu odwagi. W holu zdjął z wieszaka płaszcz, przed lustrem poprawił fryzurę - zgarnął włosy z czoła i spiał od nowa kucyk na karku - po czym tylnymi drzwiami wyszedł przed dom. Wichura w nocy ustała, kamienne schodki, które jeszcze wieczorem pokrywała warstwa lodu, były odmarznięte. Z rynny strumieniem lała się woda. W stajni, oprócz dwóch koni doktora, stały gniady Ralla, siwek Luiba i dwa zapasowe wierzchowce. Sierżant osiodłał swojego i wyprowadził na dwór. Warstewka lodu

na śniegu pękała przy każdym stąpieniu, a sierżant krzywił się z bólu, odczuwając skutki niewygodnego posłania. Przed nim rozciągała się szeroka równina przylegająca do rzeki. Mógł jechać szybciej. Odłamki lodu pryskały spod kopyt niczym tłuczone szkło. Dookoła, jak okiem sięgnąć, biel, żywej duszy, jedynie rzeka szumiała z cicha, skuta sięgającymi nurtu jezorami lodu. Od chwili gdy Luib się obudził, nie rozjaśniło się, wręcz przeciwnie, chmury pociemniały i zawisły niżej nad ziemią. Miało się wrażenie, że całe dzienne światło pochodzi wyłącznie od pokrywającego ziemię śniegu oraz żółtawego paska, przecinającego granatowe niebo na linii horyzontu. Zrobiło się ciepło i Luib rozpiął płaszcz. Przed sobą zobaczył posterunek straży ustawionych nad rzeką. Już chciał zawrócić konia, gdy z okrzykiem dobiegł do niego wartownik. Na szczęście został rozpoznany. - Widzieliśmy łódź - zameldował żołnierz. - I co w tym szczególnego? - rzekł Luib, próbując uspokoić kręcącego się w miejscu konia. - Nic - zgodził się z nim wartownik. - Płynęła unoszona prądem, a w środku siedział żołnierz w rebelianckim mundurze. - O której macie zmianę warty? - O siódmej, czyli za godzinę. Luib popatrzył na niebo i zrozumiał, dlaczego koń jest niespokojny: żółty pas na horyzoncie poszerzył się, z czarnej chmury wystrzeliła błyskawica, zaraz potem potężnie zagrzmiało. Wartownik przeżegnał się zamasyście. - Nigdyście nie słyszeli w zimie grzmotu? - roześmiał się Luib. Chciał zostać sam. Nie zważając na gołoledź, popędził konia galopem wzdłuż rzeki, w stronę widocznego na północ lasu. Krajobraz tonął w dziwnej poświacie, nad zaśnieżoną równiną unosiła się zielonkawa mgła. W lesie, do którego Luib się zbliżał, rosły wyłącznie iglaste drzewa. Spiczaste korony niemal dotykały żółtego pasa na niebie, na jego tle stały się czarne jak smoła. Takiego widoku jeszcze Luib w życiu nie widział. Powietrze też wydało mu się dziwne: zimne, a tak duszne jak w środku upalnego lata. Błysnęło znowu. Sierżant zatrzymał konia, zamiast wszakże oczekiwanego grzmotu wzdłuż krawędzi lasu nastąpiła cała seria błysków, a po niej odgłos podobny do wystrzałów z broni. Miał wrażenie, że drzewa ruszyły z miejsca i idą przez ośnieżoną równinę w jego kierunku. Luib przecierał oczy, nie mógł uwierzyć, że widzi maszerujące wojsko, zwłaszcza że nie było tam zielonych czy czerwonych mundurów ani proporców, a wyłącznie ludzie ubrani w bluzy, barwą przypominające korę drzew. Heskie straże rzuciły się do ucieczki. Pędzące w panice oddziały omal nie stratowały Luiba, ledwo zdążył uskoczyć. Spojrzał na las porastający wzgórza otaczające miasto od wschodu i nie pomylił się - on ruszył także! Na południu to samo. Lasy maszerowały na Trenton ze wszystkich stron! W mieście, w heskim obozie, wszędzie słychać było trąbki. Ciężkie burzowe chmury nadciągnęły nad miasto. Luib widział namioty tak wyraźnie, jakby patrzył przez lornetę. Skąd ta dziwna jasność, pozwalająca rozróżniać kontury z takiej odległości? Z chmur wyrwała się potężna błyskawica. Po drodze sierżant zastanawiał się, czy uda mu się dobudzić pułkownika, gdy wszakże zdyszany wbiegł do jego pokoju, Rall siedział już na łóżku. Zmarszczył brwi i obrzucił ordynansa nieprzyjaznym spojrzeniem. - No i co, wykrakałeś? - Nie wiem, jak to zrobili, ale są tu! Całą armią! Rall wstał, odsunął ordynansa i wielkimi krokami podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na północną część Trenton. Zimne powietrze wdarło się do pokoju, a wraz z nim odgłosy strzelaniny i trąbek sygnalistów. Nie odwracając się, pułkownik spytał: - Jak szacujesz, Luib, ilu ich jest? - Dwa tysiące, a może więcej. Wychodzą ze wszystkich okolicznych lasów. Nasze straże uciekły, nie wiem, kto ich teraz powstrzyma... Rall stał jeszcze chwilę w oknie, a gdy się odwrócił, Luib bez pytania podał mu buty. - Myślisz, że przegraliśmy tę walkę, jeszcze zanim się zaczęła? No to zobaczymy! Przygotuj konie, zaraz schodzę. W biegu włożył buty, z szafy wyjął upudrowaną siwą perukę - chwilę się wahał, w końcu jednak przygładził włosy i włożył ją - oraz trójgłaniasty kapelusz, już na schodach przypiął pas i szpadę. Pułkownik i ordynans wyjechali z podwórza ramię w ramię. Luib prowadził wierzchowca lewą ręką, w prawej trzymał cugle dwóch zapasowych koni. Pędzili tak szybko, że nadjeżdżający ze wszystkich stron kurierzy ledwo za nimi nadążali. Wykrzykiwali swoje meldunki, których Rall nie

śluchał - on i tak wiedział, że atak nastąpi niespodziewanie i wszystkie posterunki są stracone, a wroga już nic nie powstrzyma, bo wokół miasta nie ma ani wałów, ani szaniców. Luib próbował zapamiętać poszczególne meldunki, szybko jednak się zorientował, że na nic się nie przydadzą. Najważniejsze, że towarzyszy Rallowi, który znów jest taki sam jak dawniej. Aż trudno uwierzyć, że to ten ciężki mężczyzna, którego poprzedniego dnia z trudem włókł po schodach. Teraz siedzi w siodle, jakby nic nie ważył, jakby została z niego tylko energia. Pomiędzy salwami z broni i dział prawie nie było przerw, a gdy odezwały się nieprzyjacielskie haubice, huk był tak wielki, że Luib i Rall nie słyszeli stuku podków swoich koni. Od strony rzeki Assanpink nadjechał rotmistrz Kunkel. Z rany na skroni krew spływała mu po policzku. - Nie jedźcie do miasta! Wasz regiment... - zaczął, lecz zamilkł, zachwiał się w siodle. Co z moim regimentem? - Głos Ralla, ku uciesze Luiba, zabrzmiał nadzwyczaj mocno. - Wasz regiment został odcięty od rozstaju do Princeton... Ucieka! - Rotmistrz wyprostował się, wypuścił cugle z rąk i upadł na ziemię. Rall zatrzymał się, jego blada twarz nagle nabrała życia. - Słyszałeś? Regiment Ralla ucieka! Tego jeszcze nie było i nie będzie, prędzej kaktus mi na dłoni wyrośnie! - Rall ścisnął udami konia tak, że rumak stanął dęba i zerwał się do galopu. Ze wszystkich stron świszczały kule, a oni dwaj pędzili na oślep między domami, przeskakiwali płoty, aż dotarli do porośniętej drzewami łąki, pełnej żołnierzy w zielonych i błękitnych mundurach. Byli to strzelcy i grenadierzy Ralla. W śniegu poniewierały się porzucone torby z nabojami, błyszczące hełmy i strzelby. Do Ralla na złocistej Izabelli podjechał major von Haynau, patrząc na niego jak na zjawę. - Jak ich zmusić, żeby nie uciekali? - wrzasnął pułkownik. - Krzyczę, a oni w ogóle nie słuchają! Wyjął szpadę i ze złością uderzył w gałęzie drzewa, pod którym stali. Posypał się śnieg. Po chwili Rall się opanował, spiął konia ostrogami i skoczył pomiędzy żołnierzy. - Dobosze! Gdzie są dobosze? Wszyscy do mnie! Luib widział, jak ludzie ociągają się, jakim wzrokiem patrzą na swojego dowódcę. - Trębacze! - wrzeszczał Rall. Z wolna zaczął formować się szereg. Chłopcy z wielkimi bębnami i błyszczącymi trąbami udeptywali śnieg, a za nimi posuwał się regiment. - Na-przód, na-przód! - dyrygował Rall. - Za mną! Zagrały trąbki, zadudniły bębny, Rall rzucił się przed siebie, nie sprawdzając, czy ktoś idzie za nim. Wracali do miasta. 47 Nad Trenton rozszalała się burza, jakby Delaware nie chciała przepuścić ciężkich czarnych chmur na drugi brzeg. Błyskawice rozdzierały niebo, huczały grzmoty. Jak na grudniową burzę, ta była wyjątkowo silna. Patrząc ze wzgórz, miało się wrażenie, że przyroda rywalizuje z atakującymi wojskami; kiedy u wylotu luf po wystrzale ustawały błyski, chwilę potem pojawiały się na niebie. Wieśniacy wyszli z domu i w milczeniu, z niedowierzaniem przyglądali się spektaklowi w dolinie. Zapomnieli o spalonej stodole, o sianie, które poszło z dymem, nie będzie więc czym karmić krów, o beczkach z kapustą i workach ziarna, przysypanych warstwą popiołu, o ukradzonej świni, której mięso miało im starczyć do wiosny. Wszystko to nagle przestało się liczyć, z lasu bowiem wyszła armia i wspomagana przez niebiosa, bierze na znieawidzonych Hesach odwet. Dwa gniade konie z wypalonymi znakami farmy Redford stały spokojnie w stajni, Robert i Soerman, usadowieni na stosie drewna pod wysuniętą strzechą domu, również obserwowali rozwój wydarzeń w dolinie. W nocy prawie nie zmrużyli oka. Całodzienna jazda dobrze dała im się we znaki, posłanie na słomianych siennikach w kuchni było bardzo wygodne, mimo to raz jeden, raz drugi wstawał i podchodził do okna. O świcie na zrealizowanie planu, z jakim opuścili Redford i przepłynęli na drugi brzeg Delaware, było już za późno. Soerman zeskoczył na ziemię. - Wygląda na to, że jest już po wszystkim. Jak długo chcesz jeszcze czekać? Wiesz przynajmniej na co? - Jeśli pojedziemy wolno, zdążymy w sam raz - odparł Robert i również zeskoczył. Poszli po konie. W powietrzu unosił się ostry swąd spalenizny. - Koło południa moglibyśmy być z powrotem w Redford - odezwał się niespodziewanie Soerman. - Uważasz, że powinniśmy wracać? Szwed unikał spojrzenia Roberta. Udawał, że poprawia uprzęż. - Dlaczego nie? Do Trenton już nie ma sensu jechać. Co tam chcesz zobaczyć?

Trupy? Nie wiadomo, czy uszedł z życiem, a jeśli nawet, to chcesz zabijać schwytanego do niewoli? - Jak chcesz, możesz wracać - rzekł Robert. - Może to i lepiej: opowiesz im, co tu się stało, a ja wrócę do Redford pod wieczór. - Po co chcesz tu zostać? Czego się spodziewasz? Całą noc nie mieliśmy dość odwagi, żeby to zrobić; chyba nie sądzisz, że w biały dzień będzie ci łatwiej? - Wiem jedno: dzisiaj to się musi skończyć raz na zawsze. Może znajdę go martwego, tym lepiej. - Wracajmy, Robercie! - przekonywał Soerman. - To ja namówiłem cię na tę przeprawę, z mojej winy wplątałeś się w całą tę historię, proszę cię, daj spokój! - Nie mogę. Jeśli chcesz wracać, zrób to zaraz. Ja muszę już iść. - Zawsze przynosiłem ci pecha. Nie zniosę, jeżeli i tym razem ja jeden przeżyję. - Wskoczył na konia. - A może masz rację - rzekł po chwili. - W pojedynkę zawsze radziłeś sobie lepiej. - Nie spojrzawszy na Roberta, odjechał powoli, jakby chciał jeszcze dać mu czas do namysłu. Kręta droga prowadziła ze wzgórz ku dolinie. Na śniegu odciskały się świeże ślady co najmniej trzech koni. Ucichły armatnie salwy, strzelby, szrapnele, skończyła się też burza. Nagle spadł rześisty deszcz - z nieba lały się strugi wody, które po kilku minutach ustały równie gwałtownie, jak się zaczęły. Chmury rozstały się, nad doliną zaświeciło jaskrawe słońce. Łąki i pola, po których teraz Robert jechał, były zryte końskimi kopytami, kołami lawet i żołnierskimi butami. Gdzieś tam bielili się płatki śniegu, upstrzone ciemnymi plamami - zabici. Robert omijał ich skrętnie, próbował odwracać wzrok. Dotarł do pierwszych zabudowań Trenton. Z ruiny długiej hali jeszcze unosił się dym, wielki ceglany piec do wypalania garnków ocalał, podobnie jak duży budynek odlewni żelaza. W mieszkalnych domach okna zasłaniały żaluzje. Zza jednego wyskoczył żołnierz w niebieskim mundurze grenadierów Ralla z chorągwią regimentu w dłoni, z trudem biegł po błotnistej mazi. Za nim pędziło czterech jeźdźców, wyprzedzili go, któryś się odwrócił, padł strzał i zapadła cisza. Robert zszedł z konia, gdy zabudowa stała się bardziej zwarta. Drogę tarasowała armata z rozerwaną lufą, w błocie wałały się porzucone strzelby, bagnety, torby z nabojami, podziurawione lub podeptane kapelusze, pokrwawione części mundurów. Istne pobojowisko. Żołnierze w brązowych mundurach prowadzili pod lufami grupkę jeńców, ranni choć na chwilę próbowali się wesprzeć o mur domu lub płot. Nie ogoleni, ledwo ubrani - tak jak zerwano ich z pościeli. Nikt nie przejmował się ich wołaniami o pomoc. Gdyby ktoś patrzył na Trenton z góry, pomyślałby, że ogląda idealnie zorganizowane manewry. Nawet wystrzały wydawały się pozorowane. Ranni i zabici byli dziwnie do siebie podobni, jakby ucharakteryzowani do przedstawienia. Jedni mieli pokrwawione twarze, inni oburącz trzymali się za brzuchy. Robert jednak zdawał sobie sprawę, że tych pierwszych z bliska postrzelono, drugich zaś ugodzono bagnetem w brzuch... Robert kurczowo trzymał cugle, jakby koń był dla niego jedyną ochroną. Na ulicach leżała błotnista maź, jedynie w przydomowych ogródkach pozostał jeszcze śnieg. Nagle za przewróconym płotem dostrzegł dwóch żołnierzy. Jeden leżał na śniegu, drugi klęczał i podtrzymywał mu głowę. Nikt nie zamierzał udzielić im pomocy. Robert rozpoznał Luiba i Ralla. Pułkownik miał zamknięte oczy, obok leżały trójgraniasta czapka i peruka, w wypolerowanych butach odbijało się słońce. Ani na białych spodniach, ani na zielonej bluzie nie było śladów krwi. Robert podszedł bliżej. - Co z nim? - spytał, jednakże Luib, nie rozpoznawszy go, milczał. Z dachu spadła spora lawina śniegu. - Sprowadzę lekarza - rzekł Robert i zamierzał odejść. - Nie trzeba! - przestraszył się Luib. - Jemu już nic nie pomoże, a gdyby nawet, to byłoby jeszcze gorzej. Gdyby pułkownik przeżył ten dzień, byłaby to dla niego większa kara niż śmierć! Twarz Ralla była blada, oczy mocno zaciśnięte, w ustach zaschnięta krew. - Co z pozostałymi regimentami? - spytał Robert. - Co z moim bratem? Luib dopiero teraz przyjrzał mu się dokładnie. - A, to wy? - wyjąkał. - Skąd się tu wzięliście? - Gdzie jest mój brat? Chcę wiedzieć! - Wasz przyrodni brat? Chciał z trzydziestoma ludźmi przedrzeć się do Bordentown, by wezwać posiłki. Rall jęknął boleśnie i Luib pochylił się nad nim troskliwie. Poza pułkownikiem nic już go nie obchodziło. Robert wyjechał z ogródka, usiłując sobie

przypomnieć, którądy wiedzie trakt do Bordentown. A tak, przez błota między Assanpinkiem i Delaware. Gdy zbliżał się do miasta, dobiegały pojedyncze strzały. Wiedział więc, gdzie się skierować, mimo to nie zawrócił. Na rynku w Trenton panował gwar. Ze wszystkich stron schodzili się żołnierze w brunatnych mundurach eskortujący jeńców, wokół pawilonu rosły piramidy strzelb i wojskowego ekwipunku. Przed budynkiem komendantury w kopcu śniegu tkwiły zdobyte heskie sztandary. Robert patrzył jak urzeczony, nie zauważył, kiedy obok niego zatrzymał się rozpędzony jeździec. - Widziałeś go gdzieś? - usłyszał nad sobą głos porucznika Blytha. - Pomóż mi, przynajmniej teraz: muszę znaleźć Ralla! Wiem, że nie wyjechał z miasta. Oczy porucznika wydawały się płonąć. Czy gdyby mnie teraz pokazano lustro, też miałbym takie dzikie spojrzenie?, pomyślał Robert i przypomniał sobie Soermana. Pewnie wsiada już na prom do Redford. Dlaczego właściwie nie poszedł z nim? - Chcesz go znaleźć wśród żywych czy zabitych? - spytał Blytha. - Widziałeś go? Gdzie jest? - Pan też go zobaczysz - odpowiedział Robert spokojnie. - Później, gdy zaczniecie liczyć poległych. Teren po tej stronie Assanpinku był błotnisty. Moździerz ustawiony przy moście po każdym wystrzale wbijał się głębiej w ziemię. Amerykańscy żołnierze zaprzęgli cztery konie, aby go wyciągnąć, ale w końcu zrezygnowali, zostawiając cenne trofeum w błocie. Most na Assanpinku był najdalej na południe wysuniętą placówką, którą rebelianci zdołali przejąć. Następny posterunek znajdował się daleko stąd, na wschód od miasta, za łąkami w rozwidleniu obu rzek, przez które prowadziła droga do Bordentown. Przez most nie było przejścia. Wzdłuż brzegu z dwa tuziny żołnierzy utworzyły szereg, jakby lada chwila miał nastąpić atak. Kilku pilnowało heskich jeńców, lecz nie było wśród nich nikogo z regimентu Ralla. Jeden wyglądał na weterana, na jego jasnobrązowym mundurze pozostały ślady po dystynkcjach sierżanta. Zdziwił się bardzo, gdy Robert przemówił do niego po niemiecku: - Podobno jeden z heskich oddziałów próbował się przedrzeć do Bordentown. Nie wiecie, czy już przeszli? Stary żołnierz skrzywił się. - Jak im się chce, to niech się przedzierają. Mnie to, do stu diabłów, nie interesuje - splunął siarczyście. - Ja myślami jestem już po drugiej stronie tej rzeki. Każdemu, kto chce się tu osiedlić, dają po dwie pary wołów i pięćdziesiąt mórg ziemi, a ja mam się przejmować garstką szaleńców, którym chce się wojować? Robert wrócił na most. Na co właściwie czeka? Po co przyszedł akurat tutaj? Sam tego nie pojmował. Nad Delaware rozległy się strzały, żołnierze przy moście poruszyli się, ich palce nerwowo szukały spustu. Stanęli w rozkroku, wpatrzeni w drugi brzeg rzeki, od którego dzieliło ich zaledwie dziesięć kroków. Konia Robert puścił wolno, sam stanął pomiędzy żołnierzami milicji. Przez krzaki widać stąd było dom doktora Banksa, Delaware i pokrytą śniegiem równinę, po której szybko poruszało się kilka ciemniejszych punktów. Oficer dowodzący posterunkiem wziął lornetę, z pedantyczną dokładnością nastawił ostrość, a choć jego ruchy cechował niezwykle spokojny, wśród żołnierzy panowała nerwowa atmosfera. Bez rozkazu, po kolei wszyscy załadowali strzelby. - Spocznij! - rozkazał oficer odkładając lornetę, lecz nikt nie posłuchał. Niskie krzaki nad rzeką ograniczały widoczność, w dodatku przysypane śniegiem osłepiająco błyszcząły w słońcu. Robert widział jedynie zarysy zbliżających się jeźdźców, dopiero w ostatniej chwili zobaczył, że jeden z koni jest gniady, a drugi to znana mu doskonale Izabella... Na gniadoszu siedział młody żołnierz, trzymał długie drzewce z białą chustą. Kilka kroków za nim, na Izabelli, jechał Claus, bez kapelusza, bez peruki. Jego ciemne włosy wydały się Robertowi dłuższe niż zwykle, ciągle spadały mu na czoło. Płaszcz miał przewieszony przez lewe ramię tak, że widać było tylko rękojeść szpady i pistolet przy pasie. Przez chwilę Robertowi stanęła przed oczyma zbrojownia w Haynau i szafa, w której ten pistolet zawsze leżał. W tym samym momencie uświadomił sobie, co właściwie się wokół niego dzieje. Odruchowo sięgnął za pas - nie ma broni, nie ma nawet noża! Wyjechał z Redford bez niczego! Odkrycie to jednak bardziej go zdziwiło, niż zmartwiło. Obaj jeźdźcy zatrzymali się przy brzegu, oddzieleni od celujących w nich rebeliantów wąskim pasmem Assanpinku. Zapadła cisza. Claus podniósł rękę i zawołał: - Proszę wydelegować

oficera, z którym mógłbym pertraktować. Jesteśmy gotowi się poddać na określonych warunkach. Siedział prosto w siodle, jego słowa brzmiały jak rozkaz. Do tej chwili Robert nie potrafiłby wyjaśnić, po co właściwie przeprowił się do Trenton, teraz już wiedział, choć z ciężkim sercem się do tego przyznawał: była to nienawiść do brata, którą żywił od lat. Nie zaczęła się owej nocy nad Delaware. Nie chciał w nią uwierzyć i bronił się przed nią do ostatniej chwili - przecież celowo nie zabrał z Redford żadnej broni; teraz natomiast nie próbował już jej kryć, a to przyniosło mu wielką ulgę. Nie zdziwił się, że Claus rozpoznał go natychmiast. Ich wzajemna nienawiść była tak silna, że niewielka odległość, jaka ich dzieliła, nie mogła być dla niej żadną przeszkodą. Ich spojrzenia się spotkały. Było w nich tylko rozczarowanie. Robert czuł, jak Claus traci oddech, jak coś łapie go za serce, sam przeżywał to samo. Czas jakby stanął w miejscu. Było go tak dużo, że Robert mógł zrobić cokolwiek, chociażby zejść Clausowi z linii strzału, lecz się nie ruszył. Broń, którą dysponował, była dla niego nowa, jeszcze nie umiał się nią posługiwać, lecz zaufał jej bezgranicznie. Tą nową bronią była nienawiść. Srebrne okucia pistoletu w rękę Clausa błysnęły w słońcu, przed oczami Roberta eksplodowało światło, stojący obok żołnierz złapał się za ramię i krzyknął z bólu. Pozostali jakby na to czekali. Biała chusta na drzewcu nie uspiła ich czujności, raczej przeciwnie. Hesi officer odezwał się po angielsku, oni jednak zapamiętali tylko jego obcy akcent i zniechęcony zielony mundur ze szkarłatnymi wyłogami. Na rozkaz do strzału nikt nie czekał - hesi officer wydał go sam. Na jego strzał po drugiej stronie rzeki odpowiedziało, niczym echo, kilkanaście. Dokładnie dziewiętnaście. Dwie strzelby zawiodły, z pozostałych wystrzelono, jednakże żołnierze musieli być bardzo zdenerwowani, bo jeździec z białą chustą nie został nawet draśnięty, podobnie jak oba konie. Z siedemnastu kul tylko jedna trafiła do celu, za to śmiertelnie. Tym razem nikt nie zabraniał Robertowi przejść przez most. Żołnierze zaczęli ładować broń. Gniadosz pod młodym jeźdźcem rzucił się do ucieczki, złotogrzywa Izabella za nim. Drzewce z białą chustą upadło na śnieg obok Clausa. Miał otwarte oczy i żył jeszcze, musiał więc widzieć cień podchodzącego Roberta. Zanim skonał, zdążył jeszcze wyszeptać: - Bękart... Ty bękartie! 48 Pomieszczenie i znajdujące się w nim sprzęty wydawały się nieznanym. Robert miał wrażenie, że obudził się wyrzucony przez ocean na obce wybrzeże, nie był nawet pewny, czy znajduje się we własnym ciele. Podniósł rękę do oczu i dokładnie przyjrzał się liniom papilarnym dłoni. Leżał ubrany w łóżku, ktoś jednak zdjął mu buty i rozpiął koszulę pod szyją. Był głodny i chciało mu się pić. Do pokoju wpadało słońce. Rozejrzał się. Buty stały przy łóżku, na krześle wisiała bluza. Ubrał się, otworzył szeroko okno. Wciągnął głęboko rześkie świeże powietrze. Obok domu przechodziły kolumny jeńców: Hesi szli trójkami ku rzece, słońce dodawało głębi barwnym mundurkom i wyłogom, odbijało się w srebrnych lub złotych galonach na mankietach. Nie nieśli plecaków, broni ani toreb z nabojami, a mimo to poruszali się jak obciążeni wielkim ciężarem - pochyleni, ze zwieszonymi głowami. O dziwo, konwojujący ich strażnicy, mimo pełnego rynsztunku i połatanych mundurów, stąpali lekko i raźnie, jak na paradzie. Za nimi pozostał wydeptany brązowy pas. Dopiero teraz Robert usłyszał plaśnięcia butów o rozmiękłą ziemię, pobrzękiwania bagnietów, odgłosy komend. Zamknął okno. Korytarz wydał mu się znajomy. Wszystkie drzwi były jednakowe, a mimo to bez zastanowienia sięgnął do klamki. Doktor Noah Banks stał na drabinie i układał książki w regale. Na widok Roberta - natychmiast zszedł. - Zaglądałem wielokrotnie, ale spałeś pan jak zabity, pełne siedem godzin! - roześmiał się. Robert spojrział w okno. Tu też nie było zasłon, światło wypełniało cały pokój. - W zeszłym roku w Filadelfii atrakcją był pewien Hindus, który kazał się zamknąć w drewnianej skrzyni i zakopać w ziemi - mówił rozbawiony doktor. - Miałeś szansę powtórzyć jego wyczyn: tętno spadło poniżej czterdziestu i prawie przestałeś oddychać. W takim stanie mógłbym ci wyjąć serce i nic byś nie poczuł. - Szkoda, doktorze, żeś tego nie zrobił - odezwał się Robert. Doktor popatrzył na niego zdziwiony. - Sądzisz, że bez serca łatwiej żyć? Może mnie, staremu, ale tobie na pewno nie! Robert przypomniał

sobie, że widział twarz doktora i słyszał jego głos w innych okolicznościach. Pamiętał to jak przez mgłę. - Co się ze mną działo? - spytał. Banks odłożył książkę, którą trzymał w ręku. - Nic szczególnego: przewróciłeś się jak ścięte drzewo, więc przenieśliśmy cię do łóżka, a potem spałeś aż do tej chwili. Przez otwarte drzwi w głębi biblioteki Robert dostrzegł lekarską leżankę i znowu coś mu się przypomniało. - A coście z nim zrobili? - Masz na myśli zmarłego? - spytał Banks. - Nie wiem, po co mi go tu przyniesiono. W odróżnieniu od ciebie, w jego przypadku nie było żadnej wątpliwości, że nie żyje. - Dokąd go zabraliście? - Nie jesteś głodny? - Doktor próbował zmienić temat. - Kazałem nakryć stół w wykuszu, proszę siadać! - rzekł i usiadł pierwszy. - Pochowaliśmy go - dodał po chwili. - Po zwycięstwie generałowie stają się łaskawsi. Nasi pozwolili Hesom zabrać poległych i pochować w zbiorowej mogile. Armia Kontynentalna oddała nawet salut na ich cześć; nie słyszałeś salwy? - Gdzie jest ten grób? - Po drugiej stronie Assanpinku, zaraz przy moście. - Jego też tam pochowano? - Nie, leży na cmentarzu prezbiterianów. Robert zaczął jeść, po chwili wszakże odłożył sztućce i obrzucił Banksa zdziwionym spojrzeniem. - Co właściwie o mnie wiesz, doktorze? Czasami mam wrażenie, jakbyś mnie znał od lat. - Pańska ucieczka za Delaware stała się w mieście sensacją. Słyszałem o niej nie tylko od pacjentów, ale byłem mimowolnym świadkiem raportu, który w tej sprawie major Haynau złożył pułkownikowi. Graliśmy w szachy przy tym stole. - Z kim właściwie trzymasz, doktorze Banks? - Jak świat stoi na głowie, to trudno powiedzieć, która strona jest właściwa... Zapadło milczenie. Słysząc było odgłos kroków i okrzyki komend, dochodzące przez jakieś otwarte okno lub drzwi. - O tym drugim grobie pewnie nie wiesz? - spytał znienacka Banks. - O drugim? Doktor popatrzył przez okno na pokryte śniegiem łąki. - Stało się to nazajutrz po waszej ucieczce. Patrol nad rzeką zauważył topielca. Przyniesiono go do mnie i okazało się, że była to kobieta. Pańska matka. Leżała na tej kozetce, zanim pochowano ją na prezbiteriańskim cmentarzu. A więc prąd rzeki wyrzucił ją na ten brzeg; taka była pierwsza myśl Roberta. Nie czuł nawet bólu, a jedynie potworne osamotnienie, które jak pancierz oddzielało go od bliskich zmarłych, ich mogił. Wszystko przestało się liczyć, straciło jakikolwiek sens. Wolałby nie wiedzieć, gdzie znajduje się grób matki, przynajmniej jeszcze nie dziś. Zbyt wielu martwych widział tego dnia i pragnął czym prędzej uciec z Trenton i znaleźć się na tamtym, spokojnym brzegu Delaware. Wstał. - Jak mogę się odwdzięczyć, doktorze? - Sam nie wiem, skoro jesteś pan zdolny do tak niezwykłych rzeczy - uśmiechnął się Banks i odprowadził Roberta przed dom, gdzie czarny służący przygotowywał już dla niego konia. - Proszę powiedzieć ojcu, że nasza nie dokończona gra wciąż czeka na niego, zamknięta w szafie. Niech się pokaże u mnie, bo kto wie, jak długo jeszcze nad rzeką będzie spokojnie. Prom, głęboko zanurzony, płynął powoli, jakby przedzierając się przez tłum otaczających go łodzi. Niektóre jednak prześlizgiwały się, pracując do przodu, by czym prędzej wyładować na przeciwległym brzegu grupkę jeńców i wrócić po następnych. Stojąc pomiędzy wziętymi do niewoli i pilnującymi ich żołnierzami, Robert wpatrywał się w wodę i miał wrażenie, że prom się nie porusza. Delaware wydała mu się trzykrotnie szersza niż poprzedniego dnia, gdy płynął w przeciwną stronę, a dom doktora wcale nie malał, wręcz przeciwnie - coraz bardziej przypominał niedostępną twierdzę na granitowej skale. Obok tłoczyli się jego rodacy, a on nie czuł żadnej z nimi więzi, jakby nigdy nie przebywał z nimi w koszarach w Kassel, nie płynął Wezerą do Bremerlehe, nie składał przysięgi i nie wyruszał za ocean. Nie miał ochoty na kogokolwiek patrzeć, nie mówiąc już o nawiązaniu rozmowy. Raptowne szarpnięcie oznaczało, że prom dobił do przystani. Ludzie w milczeniu zeszli na brzeg. Trzy regimenty heskich jeńców już tu stały. Ponad tysiąc żołnierzy jakby czekało na przybycie tego promu, gdyż bez żadnego rozkazu zaczęli formować oddziały, gotowi do wymarszu. Na promie milczeli, wyraźnie przygnębieni, tutaj jakby wstąpił w nich nowy duch. Robert jechał za nimi aż do rozwidlenia, gdzie od filadelfijskiego traktu odbijała droga do Redford. Zatrzymał konia i chwilę patrzył za odchodzącą kolumną. Ruszył, choć jeszcze kilka razy się

obejrzał. Najpierw rozróżniał barwy mundurów, potem widział już tylko ciemniejszą plamę na tle ośnieżonej równiny, wreszcie i ona rozmyła się w szarzejącej bieli. Został zupełnie sam w tej krainie milczenia. Wichura i śnieżycy pozacierały wszystkie ślady ludzkiej obecności, a Roberta ogarnęło znów to samo uczucie, co po przebudzeniu w domu doktora: w czasie snu ocean wyrzucił go na nieznaną brzeg. Wszystko zniknęło, został tylko ten nowy obcy świat. Poprzedniego dnia ciemności zapadły już koło drugiej po południu, dziś zanosilo się na słońce do wieczora. Świat nabrał nowych barw: cienie połyskiwały błękitem, linie wyżłobione w śniegu stały się wyrazistsze. Krzaki porastające drogę niespodziewanie ułożyły się w regularny żywopłot, za nim pojawiły się dachy. Od bramy do domu i stamtąd do studni oraz zabudowań gospodarczych w głębokim śniegu wykopano chodniki. Studzienny żuraw przypomniawszy Robertowi, że jeszcze na promie męczyło go pragnienie. Wjechał na podwórze, płosząc siedzące obok komina gołębie. Pod ścianą domu stały dziecinne sanki. Zeskoczył z konia, nabrał wiaderem wody ze studni i wypił kilka długich zimnych łyków. W drzwiach domu stanęła rudowłosa kobieta z niemowlęciem na ręku, wokół niej tłoczyła się gromadka rudyh jak ona dzieci. Pozostały w progu, gdy matka z najmłodszym podeszła do studni, już z daleka wołając: - Zobaczcie, będzie najładniejsza ze wszystkich moich dzieci. To wyście pomogli jej przyjść na świat. Nagle zatrzymała się i poczerwieniała tak, że piegi na jej twarzy zrobiły się ciemnobrązowe. - Wyście są synem pana Skelnika? - wyjąkała zmieszana. - Co za niezwykle podobieństwo! Jestem Abigail - rzekła, podchodząc bliżej - a to jest moja najmłodsza. Pański ojciec zatroszczył się o mnie, kiedy ją rodziłam, i dlatego daliśmy jej na imię Roberta. Wczoraj był chrzest; powiecie o tym? - Z prawdziwą przyjemnością. - I powiedzcie, jaka jest śliczna - dodała z uśmiechem. Nagle spoważniała. - Przychodzicie z Trenton? Robert przytaknął. - Podobno było to wielkie zwycięstwo. Nikt w nie nie wierzył, tylko pański ojciec... - Macie tu wspaniałą wodę - uśmiechnął się Robert, zaczerpnąwszy z wiadra pełną garścią. - Och, musicie spróbować, jak smakuje latem, w upalny dzień po długiej jeździe konnej! - Na pewno spróbuję. Przyjadę specjalnie. W drzwiach stodoły ukazał się młody mężczyzna. - Dawidzie, to jest syn naszego pana! - zawołała Abigail. - Był w Trenton. Nasi naprawdę wygrali tę bitwę! Robert wskoczył na konia, Abigail pobiegła do swojej gromadki. Przez chwilę słyszał jej śmiech i dziecięcy szczebiot, później ponaglił konia. Dzień jakby nie śpieszył się ku wieczorowi. Wciąż było jasno, choć błękit nieba poszarzał, a światło przedzierało się niczym przez mglistą zasłonę. Do cedrowej alei było już niedaleko. Jadąc do stajni, Robert nie spotkał nikogo. Wszystkie konie stały w boksach, Soermana również. Rozsiodłał swojego, nalał mu do poidła wody, do żłobu dosypał owsa. Gdy wyszedł, podwórze dalej było puste. Na drugim końcu, gdzie urządzono dla dzieci ślizgawkę, czerniała wielka błotnista kałuża. Dopiero teraz Robert uświadomił sobie, jak ciepło było przez cały dzień. Śnieg na dachach stopniał niemal zupełnie. Od strony zabudowań szło dwóch mężczyzn i zapalało pochodnie. W domu lampy jeszcze się nie świeciły, w szybach odbijały się promienie zachodzącego słońca. W jednym z okien Robert zobaczył twarz Mary. Chciał zastukać, lecz zrezygnował. Siedziała w bibliotece, sama przy szachowym stoliku, i rozgrywała jakąś nie dokończoną partię. Abigail miała rację: w Trenton odniesiono wielkie zwycięstwo. Nie chodzi o samą bitwę, o liczbę zabitych i wziętych do niewoli - Trenton pokazało Amerykanom, że stać ich na pokonanie wroga. Wojna jednak się nie skończyła, trwała jeszcze pięć lat, tocząc się ze zmiennym szczęściem, lecz w końcu Anglicy i ich niemieccy najemnicy zmuszeni zostali do odwrotu. W Yorktown 19 października 1781 r. wróg skapitulował, a we wrześniu 1783 r. zawarto układ pokojowy. Ostatnie heskie oddziały wróciły do Bremerlehe w kwietniu 1784 r., czyli dziewięć lat po tym, jak wywieziono je za ocean. Z trzydziestu tysięcy najemników powróciło siedemnaście tysięcy, trzy tysiące poległo, a pozostali wybrali wolność w Nowym Świecie.